

JUDITH KRANTZ

CÓRKA MISTRALA

Mistral's daughter

Przełożyła Agnieszka Dorota Gostwanowicz

Dla Ginette Spanier

Która otworzyła przede mną drzwi Paryża

Z serdecznymi pozdrowieniami na pamiątkę wielu lat przyjaźni

Dla Steve'a

Któremu oddałam całą miłość

Bez niego ta książka nigdy by nie powstała

Żywię głęboką wdzięczność dla następujących
przyjaciół za odpowiedzi na moje pytania:

Jean Garcin, Le President, *Conseil General de*
Vaucluse

Jacques and Marie - France Mille

z *Le Prieure*, Villeneuve - les - Avignon

Bill Weinberg z Wilhelmina Agency

Karen Hilton i Faith Kates z Wilhelmina Agency

Joe Downing

Aaron Shikler

Micheline Swift

Betty Dorso

Grace Mirabella z „Vogue'a”

Ann Heilperin z Van Cleff and Arpels

Fauve przebiegła przez westybul trzepocząc czerwonym jak znak stopu płaszczem przeciwdeszczowym i przecisnęła się przez drzwi windy na ułamek sekundy przed ich zasunięciem. Zdyszana, usiłowała złożyć wielką pasiastą parasolkę, żeby woda nie kapiała na ludzi stłoczonych razem z nią, ale ręce miała przyciśnięte do boków i unieruchomione.

Wcześniej rano Fauve miałyby prawie całą windę dla siebie, ale w ten deszczowy, wrześnieowy poranek 1975 roku nie było na Manhattanie ani jednej wolnej taksówki. Musiała bez końca czekać na autobus na Madison Avenue i przebiec resztę drogi, przecinając Pięćdziesiątą Siódmą ulicę. Ociekająca wodą i zgnieciona, ostrożnie przekreśliła szyję, by przyjrzeć się ściśniętym obok. Czy ktokolwiek wysiadzie przed dziesiątym piętrem? Zdała sobie sprawę, że nie ma na to żadnej nadziei. Zgrzytającą, wiekową windę tak powoli jadącą do góry w biurowcu Carnegie Hall wypełniała wyczuwalna chmura napięcia i przerażenia. Oprócz windziarza tę małą przestrzeń zajmowały stłoczone młode kobiety, zastygłe w milczącym, zawziętym i pełnym strachu skupieniu. Każda z nich wyrosła w przeświadczeniu, że bez kwestii jest najpiękniejszą dziewczyną w swojej szkole, mieście, stanie.

Ta przejażdżka windą stanowiła ostatni krok do celu, o którym gorączkowo marzyły całymi latami. Miały przed sobą próbę w Lunel Agency, najśłynniejszej agencji modelek na świecie, agencji o największym prestiżu i największych wpływach. Fauve czuła niemal nieznośny ciężar drżącego niepokoju i nerwowego oczekiwania pulsującego wokół niej. Zamknęła oczy i modliła się o koniec jazdy.

- Casey pytała, czy cię nie widziałem - odezwał się do Fauve

windziarz tak głośno, że wszyscy usłyszeli. - Czeka na ciebie na górze.

- Dzięki, Harry. - Fauve zgarbiła się, jeszcze głębiej wsuwając głowę w kołnierz płaszcza, usiłując zniknąć z pola widzenia dwudziestu par oczu, które, jak wyczuła, natychmiast zwróciły się na nią falą wrogiego zainteresowania. Jej profil został poddany ze wszystkich stron ocenie, gdy sąsiadki, nie ukrywając chęci współzawodnictwa, przesunęły wzrokiem od jej czoła do podbródka - i nie znalazły żadnej skazy. Stojące za nią oceniały jej wzrost i ich przygnębienie aż drgało w powietrzu, gdy stwierdziły, że dorównuje albo przewyższa wzrostem każdą z nich. Nawet z tyłu windy żadna dziewczyna nie miała widoku zasłoniętego tak całkowicie, żeby nie zauważyć pożaru rozburzonych włosów Fauve, tak przesadnie rudych, że mógł to być tylko naturalny kolor.

Podczas tego przeglądu panowała absolutna cisza.

- Jesteś modelką, tak? - spytała dziewczyna stojąca z prawej strony Fauve z oskarżeniem i rozpaczliwą zazdrością w głosie.

- Nie, ja tu tylko pracuję. - Fauve wyczuła ulgę, która nastąpiła w windzie, jakby to była jakaś namacalna substancja. Wyprostowała się, teraz już niewidzialna i cudownie nieważna. Gdy tylko drzwi windy otworzyły się na dziesiątym piętrze, wypadła na korytarz i nie oglądając się za siebie wbiegła w drzwi Lunel Agency.

Wiedziała dokładnie, co zrobią dziewczęta idące za nią. Każda z nich stanie w kolejce, która zaczęła się formować pół godziny temu, do otwartego przeglądu odbywającego się rano trzy razy w tygodniu, w agencji założonej ponad czterdzieści lat temu przez Maggy Lunel, babkę Fauve Lunel. Z wielu tysięcy stawiających się rocznie dziewcząt przyjmowano zaledwie trzydzieści.

Idąc szybko do swego gabinetu Fauve pomyślała, że z tych wszystkich dziewcząt w windzie może jedna ma minimalny cień drobnego ułamka szansy na sukces. Może jedna z nich ma tę cechę, którą wszyscy w agencji nazywają „błyskiem”. Otwierając drzwi do swego biura, na których tabliczka głosiła „Dyrektor, Dział Kobiety” zastanawiała się, skąd one mają wiedzieć, że nigdy nie wystarcza być po prostu piękną?

* * *

Casey d'Augustino, asystentka Fauve, podniosła z zaskoczeniem głowę znad egzemplarza sygnałowego „Vogue'a”, który przeglądała przysiadłszy na fotelu. Nieduża, o kędzierzawych włosach, dwudziestopięcioletnia Casey była o kilka lat starsza od Fauve.

- Wyglądasz, jakby poszukiwała cię Policja Konna - parsknęła śmiechem, rozbawiona wyrazem twarzy Fauve.

- Właśnie uciekłam furjom... ugrzęzłam w windzie z całą grupą obiecujących panien.

- Dobrze ci tak za spóźnienie.

- Jak często mi się to zdarza? - zapytała Fauve z nutą łagodnej wojowniczości w głosie, zrzuciła płaszcz przeciwdeszczowy i z westchnieniem ulgi zagłębiła się w fotelu. Zdjęła mokre buty i położyła na biurku stopy w żółtawozielonych rajstopach. W złą pogodę zawsze ubierała się ciepło i dzisiaj miała na sobie pomarańczowy sweter z golfem i fioletowe tweedowe spodnie.

- Rzadko - przyznała Casey - ale nie musisz przeproszać, jeszcze zdążyłaś na kryzys tygodnia.

- Kryzys? - Fauve wyjrzała przez szklane drzwi swego gabinetu unosząc pytająco rude brwi. Wszędzie widziała normalną działalność

agencji, dziesiątki sekretarek rozmawiających przez całe baterie telefonów. Dopóki działają telefony, w Lunel nie będzie żadnego prawdziwego kryzysu.

- Kłopoty z Jane - rzekła Casey z niepokojąco poważną miną.

- Znowu! - Fauve, która zaczęła coś machinalnie rysować w notatniku leżącym na biurku, trzasnęła ołówkiem w blat z taką siłą, jakby to był młotek sędziego, który właśnie wydał wyrok śmierci. - Po moim ostrzeżeniu w zeszłym tygodniu. Znowu kłopoty?

- Była umówiona na wczoraj z „Bazaarem” - zdjęcia robił Arthur Brown. Bunny, jego stylistka, zadzwoniła z samego rana, absolutnie sina...

- Wiedziałaś, że „siny” to czarny z niebieskim? - przerwała jej pośpiesznie Fauve, niespecjalnie chcąc, żeby jej tak pechowo rozpoczęty dzień został kompletnie zniszczony przez najnowsze wiadomości o Jane, najlepszej modelce z Lunel, dziewczynie, która pracowała tylko pod swym zwykłym imieniem, nie potrzebując żadnych chwytliwych, wymyślnych określeń, jakie nadawały sobie inne, była bowiem najlepszą błękitnooką blondynką na świecie, posiadając urodę o sile kataklizmu, do której nie stosowały się żadne „jeżeli”, „i” czy „ale”. Jane miała to w sobie, w samych kościach, nieodparcie. Była jedyną modelką, jaką знаła Fauve, która była zupełnie zadowolona ze swego wyglądu, nieznośna Jane, która wiedziała, że jest doskonała.

- Sina z wściekłości - ciągnęła Casey. - Jane pojawiła się wczoraj spóźniona o dwie godziny, co Bunny przewidziała, bo Jane zawsze się spóźnia. Nie o to chodzi. Miała brudne włosy. To też nie był problem, bo stylistka je umyła. Jane zaczęła śmiertelnie obrażać faceta od makijażu, ale wybaczył jej, bo bardzo lubi być obrażany.

Następnie poczuła się zbyt słabo, żeby pracować, bo nie jadła lunchu, więc nakarmiono ją, posyłając po trzy gatunki jogurtu, zanim jej dogodzono. Potem musiała zadzwonić do swego osobistego doradcy astrologicznego, co trwało pół godziny. Jak dotąd wszystko w normie. Bunny zsiniała dlatego, że po całodziennym nadskakiwaniu Jane „Bazaar” i tak nie zrobił jej tego zdjęcia. Nie pozwoliła obciąć sobie włosów.

Fauve zerwała się na nogi. Jej śliczna, pełna życia twarz stanowiła studium niedowierzania, a wielkie, szare oczy rozszerzyły się oburzeniem. - Jane wiedziała, że to wstępniak na temat urody. Wiedziała, że muszą obciąć jej włosy o pięć centymetrów - o to właśnie chodziło. Cholera! W następnym sezonie różnica w długości włosów wynosi zaledwie pięć centymetrów - wyjaśniłyśmy to sobie w zeszłym miesiącu, kiedy przyjęła to zlecenie.

- Tak, ale widzisz, Jane rozmyśliła się. Jej astrolog powiedział, żeby nie wprowadzała żadnych zmian, dopóki słońce nie zbliży się do Neptuna.

- To jest to! Jane musi odejść. Dzisiaj rozwiążę z nią umowę.

- Och, Fauve... - jęknęła Casey myśląc o planie Jane szczelnie wypełnionym zleceniami na trzy miesiące naprzód.

- Nic z tego. Musieliśmy świecić oczami za Jane o jeden raz za dużo. Jak mam oczekiwać, że inne dziewczęta będą dobrze się zachowywać i ciężko pracować, jeśli puszczę jej to płazem?

- Jeśli rozwiążesz umowę, jutro będzie pracować dla Forda lub Wilhelminy. Ludzie zniosą wszystko, żeby tylko ją mieć - jest tylko jedna Jane - ostrzegła poważnie Casey.

- Nie masz racji, Casey. Zawsze, prędzej czy później, będzie inna Jane - powiedziała cicho Fauve. - Ale jest tylko jedna Lunel.

- Dobry argument. Przyjęłam. Nie chcesz jednak omówić tego z Maggy? - spytała Casey.

- Z Maggy! - wykrzyknęła Fauve ze zdziwieniem. - Nie miała dzisiaj przyjść - jest piątek. - Gdy jej babka wyjeżdżała na swe zwykłe, długie weekendy, Fauve przejmowała całą odpowiedzialność za firmę.

- Powiedziała mi, że za bardzo pada, żeby wyjechać na wieś przed sobotą. Szefowa jest w swoim gabinecie - poinformowała Casey.

- Oczywiście, że powiem jej o Jane - rzekła Fauve z namysłem.

- Jeszcze jakieś problemy?

- Tylko jeden, na który nic nie poradzisz. Zajmuje się nim Pete - odparła Casey mając na myśli człowieka od napraw telefonów, który spędzał połowę każdego tygodnia na doprowadzaniu do ładu setki wyjść na zewnątrz i dziesiątków połączeń wewnętrznych. - Coś się poplątało w jednym z telefonów sekretarek - odbiera telefony do jakiejś wariatki, a wariatka odbiera telefony do nas. Mówi wszystkim, żeby dobrze się wyplakali, a potem wzięli zimny prysznic, dwie aspiryny... i żeby się modlili.

- Zaszkozić nie zaszkodzi - rzekła Fauve otwierając pchnięciem drzwi gabinetu. Skierowała się do wielkiego narożnego biura, gdzie od dawna nad światem modelek królowała Maggy Lunel.

* * *

Niektóre wielkie piękności starzeją się wdzięcznie; inne trzymają się kurczowo pewnego okresu z własnej przeszłości i usiłują w nim pozostać, z każdym rokiem jednak po trochu więdnąc; inne z kolei tracą urodę zupełnie nagle, tak że może ją odtworzyć jedynie przelotnie wyobraźnia ludzi, z którymi się spotykają. Maggy Lunel postarzała się bezwiedkowo. Z

odległości sześciu metrów nadal była tą siedemnastolatką, która niegdyś była najśliczniejszą modelką na całym Montparnasse. Z odległości trzech metrów wyraźnie była najbardziej wyrafinowaną kobietą w Nowym Jorku, kobietą, ożywiającą swą szczupłą figurę werwą, którą usiłowały naśladować całe pokolenia. Z bliższej odległości nie można było poznać, że jest po sześćdziesiątce, bo jej potężny czar nie zostawiał miejsca na takie małostkowe obliczenia.

- Magali! Jaka szkoda z tym wyjazdem... czy Darcy bardzo jest zawiedziony? - Fauve podbiegła, by ucałować babkę, nazywając ją jej prawdziwym imieniem, do czego nie miał prawa nikt inny.

- Trochę zrzędził, ale potem zadzwonił do Herba Mayesa i umówili się na lunch w „21”, co natychmiast podniosło go na duchu - odpowiedziała Maggy ściskając wnuczkę. - Wczoraj wieczorem powiedzieli w radiu, że jest awaria prądu, więc odmówiłam współpracy... Jakoś tracę swoje słynne słodkie usposobienie, gdy muszę się skradać przy świecach i piec hot doga w kominku.

- A ja myślałam, że jesteś bardziej romantyczna - koniec kolejnego złudzenia. W każdym razie bardzo się cieszę, że tu jesteś. Postanowiłam pozbyć się Jane... - Fauve spojrzała na Maggy na wpół pytająco, na wpół stanowczo.

- Zastanawiałam się, kiedy do tego dojdzie. Założyłam się o to z Loulou trzy miesiące temu.

Fauve otworzyła usta z zaskoczenia. Loulou, szefowa sekretarek i serdeczna przyjaciółka Maggy, na niemożliwe do przewidzenia zachowanie Jane zawsze reagowała jedynie zrezygnowaniem.

- Kto wygrał? - wykrztusiła.

- Oczywiście Loulou. Mimo pięciu lat usiłowań nie wygrałam jeszcze z Loulou ani jednego zakładu. Może jednak... pewnego dnia... - Maggy uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. Pomyślała, że tego ponurego poranka Fauve wygląda szczególnie czarująco w tej dzikiej kombinacji ubrań i w żółtozielonych rajstopach. Nikt z *Les Fauves*, szkoły malarstwa, na cześć której otrzymała swe imię, nie potrafiłby się jej oprzeć. Właściwie, zdaniem Maggy, nie potrafiłby się jej oprzeć żaden mężczyzna, choć powiedzenie tego Fauve nie byłoby może najlepszą rzeczą. Nie dlatego, że jest próżna, ale mogłoby to zabrzmieć jak naturalna stronniczość zwykłej babki. Od dziesiątków lat Maggy miała najlepiej w świecie wyszkolone oko do wykrywania urody i żywiła do losu głęboką wdzięczność za to, że Fauve nie postanowiła być modelką. Mogła zostać najlepszą z nich - na swój własny sposób przewyższyć ją samą - ale Maggy nigdy nie chciała, by Fauve wybrała taką właśnie karierę.

- Która godzina? - spytała nagle Fauve. - Zostawiłam zegarek w domu - takie są skutki pośpiesznego ubierania się, a nie chcę przegapić nowej reklamy twarogu, którą zrobiła Angel.

- Prawie dziesiąta trzydzieści.

- Dobrze. Akurat. Włączyć twój telewizor? - Fauve pokazała ręką na telewizor, za pomocą którego Maggy śledziła różne reklamy, w których pojawiały się jej dziewczęta. - A może jesteś zajęta? Bo mogę obejrzeć na własnym.

- Nie, zostań tu, kochanie. Też chciałabym ją zobaczyć. Słyszałam, że Angel przeprowadza wywiady z biznesmenami... idzie jej tak dobrze, jak można się było spodziewać.

Fauve włączyła telewizor i usiadła w fotelu przed biurkiem Maggy.

Obie kobiety zwróciły uwagę na ekran, a w ciągu trzydziestu zdumiewających sekund, Angel udało się przekonać je nawet, że twaróg z chudego mleka może być obiektem czci smakosza.

Gdy reklama skończyła się, pogratulowały sobie uściśnięciem dłoni śmiejąc się razem, każda na tę samą, pełną radości nutę wyzwolenia ze wszystkich konwenansów; śmiechem, na którego dźwięk wszyscy, którzy go słyszeli, zatrzymywali się, by go posłuchać, i gorąco pragnęli usłyszeć go jeszcze raz.

- Słusznie przesunęłaś Angel na Dużą Tablicę - rzekła Maggy. - Ten kawałek powinni nadawać bez końca.

- Już ją widzę, jak próbuje zdecydować, czy kupić za honorarium blok mieszkaniowy czy stado bydła. Zadowolili się pewnie Jaguarem.

Gdy Fauve sięgała, by wyłączyć telewizor, na ekranie ukazał się napis „Wiadomość specjalna” i dziewczyna poczekała, żeby dowiedzieć się, co zaszło. Pojawiła się szybko mówiąca prezenterka.

Julien Mistral, uważany za największego żyjącego malarza Francji, zmarł dzisiaj na zapalenie płuc w swoim domu na południu Francji. Artysta miał siedemdziesiąt pięć lat. Jego córka, madame Nadine Dalmas, była obecna przy jego śmierci. Szczegóły w południe.

Nie poruszyła się ani Fauve, ani Maggy. Zastygły w fotelach na całą długość następnej reklamy. Nagle Maggy zerwała się i wyłączyła telewizor, ale Fauve nadal siedziała nieruchomo ze zgaszonym wzrokiem. Maggy podeszła do niej, pochyliła się, położyła jej ręce na ramionach i przyciągnęła nieruchomą rudą głowę do piersi.

- Mój Boże, mój Boże, usłyszeć to w taki sposób - mruknęła kołysząc Fauve w ramionach.

- Nie czuję niczego. Absolutnie niczego. Powinnam coś czuć, prawda? - powiedziała Fauve prawie zbyt cicho, żeby Maggy usłyszała.

- To ta nagłość... ja też niczego nie czuję, ale to się zmieni. - Przez chwilę milczały obie, mocno przytulone, nie słysząc jęku syreny przebijającego się przez hałas ruchu na Pięćdziesiątej Siódmej ulicy. Julien Mistral umarł i dla obu tych kobiet, które go kochały, czas się zatrzymał.

Na biurku Maggy stała jedna fotografia w ramce. Jak gdyby łączyły się z nią po tym ciosie, każda z nich spojrzała na to zdjęcie Teddy, największej modelki wszechczasów, dziewczyny, która była córką Maggy, kochanką Juliena Mistrala i matką Fauve.

W końcu Maggy wstała i puściła Fauve. Jej francuska praktyczność zwyciężyła powstrzymywane uczucia i powiedziała jej, co musi się teraz stać.

- Fauve, pogrzeb... będziesz musiała pojechać. Chodź - pojedę z tobą do mieszkania. Pomogę ci się spakować. Casey odbierze dla ciebie bilet na samolot.

Fauve poruszyła się po raz pierwszy od usłyszenia komunikatu. Podeszła do jednego z okien i wyjrzała na deszcz. Odezwała się do Maggy nie odwracając głowy.

- Nie.

- Co to znaczy „nie”? Nie rozumiem.

- Nie, Magali, nie mogę pojechać.

- Fauve, jesteś w szoku. Twój ojciec nie żyje. Wiem, że nie rozmawiałaś z nim ponad sześć lat, ale oczywiście musisz pojechać na jego pogrzeb.

- Nie, Magali, nie, nie pojedę. Nie pojedę. Nie mogę.

Paryż był *en fete*, zakochany w sobie. Był majowy poniedziałek 1925 roku i wszyscy sąsiedzi zgadzali się ze sobą, że nigdy za ich pamięci kasztany nie dźwigały aż tylu kremowych piramid kwiatów. Znajdowali czas, by zauważyć pochód błękitnych dni i gwiazdzistych nocy tylko wtedy, gdy nie byli zajęci plotkowaniem, bo nigdy w całej historii tej stolicy wszystkich stolic ferment światów sztuki, mody i towarzystwa nie dawał tak pikantnego, odurzającego wina.

Tego majowego poranka Chanel była zajęta w swojej pracowni tworzeniem pierwszego małego, czarnego kostiumu; tego ranka Colette wygładzała gorszący rękopis „La Fin de Cheri”. Młody Hemingway i na wpół ślepy James Joyce pili razem o świcie w jakimś lokalu, a Mistinguett miała poprzedniego wieczora premierę w Casino de Paris, po raz kolejny udowadniając z niezawodnością wielkiego toreadora domagającego się oklasków tłumu, że sztuka schodzenia ze schodów należy do niej. Bracia Cartier kupili najbardziej niezwykły naszyjnik na świecie, trzy nieskazitelne sznury różowych pereł, zebranie których zajęło dwa wieki - a wielu zastanawiało się, komu go sprzedadzą.

Naszyjniki z pereł nic nie obchodziły Maggy Lunel, stojącej na rogu ulicy na Montparnasse, zwanej Carrefour Vavin. Pochłaniała drugie śniadanie, garść gorących smażonych ziemniaków właśnie kupionych u ulicznego sprzedawcy za cztery centymy. Była w Paryżu mniej niż dwadzieścia cztery godziny i stwierdziła, że ucieczka z domu w Tours w wieku siedemnastu lat w poszukiwaniu przeznaczenia, to sprawa piekielnie zaostrzająca apetyt.

Przechodnie na rue de la Grandę Chaumiere odwracali się, by rzucić

na nią okiem po raz drugi, a nawet i trzeci. Stała, jakby chodnik należał do niej, wysoka, o długich nogach i rękach, nie zażenowana i najwyraźniej nieświadoma sprzeczności między jej twarzą i ubraniem. Mała chłopcęcią, sportową sylwetkę będącą właśnie w modzie, a ubrała się w najmodniejszą, schludną plisowaną spódnicę z granatowej serży, przykrywającą kolana, i białą bluzkę z krepy, wykładaną na spódnicę, ściągniętą paskiem poniżej talii.

Lecz w czasach gdy żadna dama, bogata czy uboga, nie pokazywała się na ulicy bez kapelusza, miała odkrytą głowę, a jej twarz nie była wymodelowana i pomalowana na podobieństwo lalki - cherubinka o ustach w kształcie serca, pokryta grubą warstwą pudru i różu, co cieszyło się takimi względami, że kobietom wszędzie udało się wyglądać tak samo. Miała mocną, zuchwałą urodę czasów, które nadejdą dopiero za ćwierć wieku. Jej kości policzkowe były dwoma bułatami pod naciągniętą białą skórą, a głowę na długiej szyi nosiła dumnie jak sztandar wojenny.

W czasach gdy wszystkie kobiety ścinały włosy, jej spadały długą, prostą falą, lśniącą jak ciemnopomarańczowy dżem z moreli, a jej grube, niemodnie nie wyskubane brwi były tylko o parę odcieni ciemniejsze nad oczyma rozstawionymi prawie zbyt szeroko. Szczere, błyszczące i szeroko otwarte, jaśniały świeżością białek i żółtozielonymi tęczęwkami przypominającymi kieliszek Pernoda nie rozcieńczonego wodą. Wargi Maggy były tak pełne i widoczne, że stanowiły centrum jej twarzy, sygnał tak wyraźny jak drogowskaz.

Maggy Lunel z żalem żująca resztki ziemniaków wyglądała jak wielki złocisty kot w podmuchu wiatru. Nic w jej pewnej sobie postawie nie zdradziłoby postronnemu obserwatorowi jej wieku, ale skórę miała

delikatną i świeżą jak dłonie niemowlęcia, a jej dobrze uformowany, prosty nos był nakrapiany delikatnymi piegami.

Maggy wytarła ręce chusteczką i rozejrzała się po Carrefour Vavin. Stała o krok od bulwaru Raspail. Po drugiej stronie tej szerokiej ulicy zaczynała się rue Delambre. Z jej miejsca na chodniku wydawało się, że wszystkie inne ulice schodzą w dół. Mała uczucie, że znajduje się na szczycie łagodnego wzgórza pośrodku wielkiej, otwartej przestrzeni, jakby to skrzyżowanie było główną aleją wielkiego miasta, stanowiąc samo w sobie skończoną całość. W każdym kierunku rozciągał się rozległy widok świeżego, wietrznego wiosennego nieba, przesytego czubkami kwitnących kasztanów. Lecz w tym widoku nie było nic spokojnego. Samo powietrze przenikały iskry energii i nawet gołębie wyglądały na zajęte. Maggy wydawało się, że przechodnie nieomal biegną do swych tajemniczych miejsc przeznaczenia.

Och, pomyślała, jak szaleńczo chcę zgnieść Paryż w zębach, żuć i żuć aż obejmę to miasto w posiadanie, tę zamkniętą skrzynię pełną budzących pożądanie skarbów. Niecierpliwie przesunęła ciężar ciała z jednej nogi na drugą, chcąc już zacząć, i zaczęła lekko uderzać o chodnik zgrabnym pantofelkiem na obcasie „Louis” i zapinanym z boku na pasek, kręcąc głową, bo chciała zajrzeć do środka każdej przejeżdżającej taksówki, tak ogarnięta ciekawością i zapałem, że nie zauważyła, iż sama stała się obiektem zainteresowania rosnącej wokół niej grupy ludzi. Była to dziwaczna zbieranina: młode kobiety w tanich, kolorowych ubraniach, stare kobiety w fartuchach i kapciach; dziadkowie z papierosami lub fajkami i małe dzieci ciągnące matki za ręce; chłopcy i dziewczynki, które z pewnością powinny być w szkole, a wszyscy czekali w atmosferze pełnej

rezygnacji cierpliwości, co sprawiało, że Maggy wyglądała jak nerwowa klaczka napierająca na barierę startową.

Stopniowo utworzyli wokół niej nieregularne koło. Rozmowy ucichły, stali patrząc na obcą i trącąc się łokciami.

- Czekasz na kogoś? - spytała hoża trzydziestopięcioletnia kobieta. Maggy podniosła zdumiony wzrok, spojrzała po kole i uśmiechnęła się.

- Cała w tym moja nadzieja, madame. Jestem we właściwym miejscu, prawda?

- To zależy.

- To giełda modelek? Czy to nie tutaj czeka się na pracę jako modelka?

- To tu - powiedział dwunastoletni chłopiec spoglądając na nią z żarliwym zainteresowaniem. - Ja też jestem z branży. Jeszcze nawet się nie urodziłem, kiedy po raz pierwszy mnie malowano - pochwalił się. - Ale moja mama była w ostatnim miesiącu.

- Zamknij się, durniu - powiedziała jego matka, popychając go za siebie.

- Ty nie jesteś modelką - rzekła oskarży cielsko. Instytucja *foire aux modeles* powstała jakieś siedemdziesiąt pięć lat temu na Montmartre, gdy zawodowe modelki zbierały się wokół fontanny na Place Pigalie, a artyści przychodzili tam, by je wynająć. Kiedy malarze przenieśli się na Montparnasse, modelki poszły za nimi i nadal w każdy poniedziałkowy rano wystawały na ulicy czekając na pracę.

Od pokoleń żyły z tego zajęcia całe rodziny i pojawienie się wśród nich Maggy zostało powitane z wielką niechęcią, jaką każda grupa zawodowców okazuje oczywistemu amatorowi.

- Jeśli ktoś zapłaci, by mnie malować - odparowała Maggy - to czy nie będę wtedy modelką?

- A więc sądzisz, że to wszystko, tak? To cholernie ciężka praca, moja śliczna młoda damo.

- Świetnie - rzekła Maggy stanowczo, wpychając ręce do kieszeni spódnicy i stając prosto i pewnie w swych ciasnych, nowych pantoflach.

Modelki, które przysunęły się bliżej, aby posłuchać tej rozmowy, zastawiając chodnik, nagle wycofały się i wszystkie spojrzały na ładną dziewczynę w ciasno dopasowanym, zielonym jak jadeit kapeluszu w kształcie hełmu, tkwiącym na krótko ostrzyżonych, ciemnych włosach. Kroczyła zamasyżuje ulicą z uwieszonymi u obu ramion, wpatrzonymi w nią mężczyznami. Gdy spostrzegła Maggy, powiodła po niej fachowo wzrokiem. Uniosła w zdumieniu brwi i wzruszyła lekceważąco ramionami. Rzuciła na tyle głośno, żeby wszyscy ją usłyszeli: - A więc takie dzikuski przyjeżdżają teraz z prowincji, tak? Ta tyka do fasoli najwyraźniej nigdy nie widziała nożyczek. Zastanawiam się, czy w ogóle słyszała o mydle i wodzie... gdzieś tu mocno zalatuje podwórkiem. - Roześmiała się pogardliwie, udając, że nie słyszy wywołanej przez jej uwagi fali chichotów i zniknęła w głębi ulicy.

- Kto to jest ta... osoba? - zapytała Maggy z oburzeniem.

- To Kiki de Montparnasse, a ty jej nawet nie rozpoznałaś? To jest dopiero modelka - królowa nas wszystkich. - Kobieta z zadowoleniem podkreśliła ignorancję Maggy. - Wszyscy znają Kiki i Kiki zna wszystkich. Ty rzeczywiście jesteś zielona.

Maggy już chciała coś powiedzieć, gdy poczuła na ramieniu czyjąś rękę, która gwałtownie ją odwróciła.

- Co my tu mamy? - Patrzyło na nią dwóch mężczyzn. Ten, który to powiedział, był niższy od niej, ubrany w modną oblamowaną marynarkę i nieskazitelnie wyprasowane spodnie. W krawacie miał wpiętą ozdobną szpilkę, a na głowie nosił na bakier słomkowy kapelusz. Miał małe, sprytnie oczy i uśmiech pokazujący drobne, żółte zęby.

Drugi mężczyzna był tak monumentalny jak ogromne drzewo, o które się opierał. Jego oczy, błękitne jak otwarta woda, niepokoiły spokojem i niewzruszonością spojrzenia. Miał 193 centymetry wzrostu i sprawiał wrażenie dzikości, ale i szlachetności, które w tej zatłoczonej miejskiej scenerii zaskakiwało podwójnie, ponieważ nie było utemperowane miejskim obyczajem czy innymi względami. Mógłby być alpinistą spoglądającym z wysokości zdobytego szczytu na świat leżący w dole. Miał wspaniałą głowę arogancko osadzoną na szerokiej, mocnej szyi, szerokie, otwarte czoło, wydatny, śmiały nos i szerokie usta. Włosy miał ciemnorude, kędzierzawe i zmierzwione. Gdy patrzył taksująco na Maggy, wyglądał jak wyłaniający się z przeszłości, dzielny kawaler na koniu w drodze do bitwy - mimo brązowych spodni ze sztruksu, jakie nosili robotnicy, i rozpiętej pod szyją niebieskiej koszuli.

- Jak myślisz, Mistral? - zwrócił się do niego niższy. Ujął Maggy pod brodę i powoli odwrócił jej głowę. - Bardzo interesujące, co? Oczy - bardzo ciekawy kolor. I jest coś zdecydowanie niezwykłego - nawet dziwnego - w tych ustach, odrobinę kanibalistyczne, nie powiedziałbyś? Van Dongen niewiele by z tym zrobił. - Dotknął włosów Maggy, jakby były jakimś materiałem w sklepie, rozcierając je między kciukiem i palcem wskazującym. - Hmm... przynajmniej są czyste i nie obcięte.

Maggy stała zeszywniała z zaskoczenia. Nigdy w życiu nie dotykał

jej tak żaden mężczyzna. W odruchowej samoobronie skupiła się na neutralnym przedmiocie, trzech pęczkach porów, które trzymał jak książkę pod pachą wyższy mężczyzna. Gdy palce niższego uniosły jej włosy nad uszu, by mógł się przyjrzeć jej profilowi, postąpiła do przodu, wyciągnęła rękę i chwyciła duży por za włochate, szarawe korzenie. Podniosła go do ust i przegryzła na pół, upuszczając na chodnik długie, zielone liście. Mężczyzna w oblamowanej marynarce, Vadim Legrand, znany wszystkim jako „Vava”, opuścił rękę i patrzył, jak Maggy żuje. Odgryzła jeszcze jeden kęs.

- Mogłabyś poprosić - powiedział Julien Mistral.

- Jak się ogląda zwierzęta w zoo, trzeba je także karmić - odparła Maggy energicznie poruszając szczęką. Mistral nie uśmiechnął się.

- Mistral - rzekł Vava zdecydowanym tonem - wezmę ją do akademii i zobaczę, jak wygląda. Chodźmy. - Gestem nakazał Maggy, aby poszła za nim do akademii malarstwa przy rue de la Grande Chaumiere odległej o kilka kroków.

- Dlaczego? Już pan na mnie patrzył. Czego jeszcze pan chce? - sprzeciwiła się Maggy.

- Chce zobaczyć twoje cycki - wyjaśnił chłopiec z ważną miną.

- Tutaj? Teraz? - spytała z oszołomieniem. Matka chłopca roześmiała się złośliwie.

- Rusz dupę, dziewczyno. Dalej, rozbierz się w pustej klasie tak jak my wszystkie. Myślisz, że chowasz coś specjalnego, czego jeszcze nie widzieli? Och, te debiutantki! Myśli, że to z masy perłowej.

- Idziesz czy nie? Zdecyduj się - ponaglił ją Vava. - Tak naprawdę to nie potrzebuję dzisiaj modelki.

- Tak - Maggy usłyszała własny głos. - Oczywiście.

Odwróciła się i poszła za nim szybkim krokiem, usiłując zniknąć z oczu tłumu modelek zanim zauważą falę gorąca, jaką poczuła na twarzy, rumieniec prześladowający ją przez całe życie.

- Czekaj, Vava. - Mistral przegonił ją jednym krokiem i zatrzymał mniejszego malarza. - Ja wezmę tę dziewczynę.

- Ja ją pierwszy zobaczyłem.

- A cóż to za różnica, do diabła? Czy nie mylisz mnie czasem z kimś, kogo to obchodzi, Vava?

Vava zaprezentował swój żółty uśmiech.

- To już dwunasty raz jak robisz mi coś takiego.

- Kiedy czegoś chcę, a nie tylko, żeby ci dokuczyć.

- Ach, brawo! To najbliższa przeprosinom rzecz, jaka kiedykolwiek wyszła z twoich ust, Mistral. Weź ją. Weź ją! I tak muszę popracować nad portretem madame Blanche. Nikt nie kupuje twoich rzeczy, więc masz czas, by zaspokajać ciekawość. Powiedz mi tylko, czy stać cię na opłacanie modelki?

- A kogo stać, do diabła? Ale nie stać mnie też na spędzanie czasu na malowaniu pochlebnych portretów bogatych kobiet - odrzekł obojętnym tonem Mistral, nie dbając o to, czy Vava się obrazi.

- Chodź - powiedział Mistral do Maggy, żegnając się z Vavą krótkim uściskiem ręki. Wyjął scyzoryk, obciął korzenie od kolejnego pora, podał go jej i ruszył bulwarem du Montparnasse nie oglądając się, czy idzie za nim. Maggy wzięła por i wetknęła go jak chusteczkę do kieszeni chłopca, który przedtem z nią rozmawiał, i popędziła za Mistralem gwizdząc fragment jawajskiej melodii - natrętnie chwytliwej muzyki tanecznej, która

zeszłej nocy podpłynęła do jej okna z otwartych drzwi *bal musette* tuż obok jej taniego hoteliku.

* * *

Julien Mistral był w podłym nastroju. Do swej pracowni przy boulevard Arago szedł skrótami. Od lat zmagał się ze swymi obrazami jakby był skutym łańcuchami skazańcem, któremu kazano małym młotkiem rozbić na pył potężną skałę. Zmagania te stały się jego jedynym celem w życiu od chwili, gdy wyszedł z zajęć w Ecole des Beaux-Arts na Sorbonie i postanowił malować po swojemu, malować uczuciami, a nie rozumem. W ciągu czterech lat, jakie upłynęły od tego czasu, Mistral przekonał się, że jest prawie niemożliwe odwrócić głowę, uciec z ciasnego więzienia francuskiego wykształcenia, wyrwać się swobodnie poza klasycyzm, który zawsze władał istotą francuskiego malarstwa. Spalał się w usiłowaniu kładzenia farby na płótno z pominięciem swego wyszkolonego francuskiego umysłu.

Wysoki mężczyzna szedł szybkim krokiem pod wiekowymi drzewami parku szpitala Cochin, nie zwracając uwagi na dziewczynę, która musiała biec, by za nim nadążyć. Zapomniał o jej istnieniu, gniewnie rozpamiętując wystawę, którą odwiedził z Vavą wcześniej tego dnia.

Nawet ten typek, Matisse, nawet on ugrzązł w grze w szachy, bo to nie jest malowanie. Stosuje kontrast dwóch kolorów, żeby stworzyć trzeci - taki, którego po prostu nie ma, żeby oślepl - dlaczego nie nazwie się matematykiem i nie da sobie z tym spokoju? Albo malarzem pokojowym? A jeśli chodzi o tego cholernego akrobatę Picassa i jego przyjaciela Braque'a, szarego, nudnego, naśladowczego, ponurego Braque'a, to oni wcale nie są lepsi - gonią za tymi bzdurami Cezanne'a o sprowadzeniu

całej natury do stożka, kwadratu i koła, wbijają ją w ziemię, aż wysączą z niej wszelkie życie i pozbawią powietrza - niech ich wszystkich porwą diabli do najniższego kręgu piekieł!

Taki był zły, że minął numer 65 i zorientował się, co się stało, dopiero w połowie kwartału. Zawrócił gwałtownie, zaklął i mając Maggy tuż za sobą rzucił się w otwarte drzwi prowadzące do krytego przejścia.

Cite artystów przy boulevard Arago, zbudowane w 1878 roku, wyglądało jak wioska w Normandii. Brukowana ulica prowadziła do szeregów dwupiętrowych domów z pruskiego muru, zakończonych szczytami o szklanych ścianach. Długie żwirowe ścieżki graniczyły z zarośniętym ogrodem pełnym jabłoni, malw i pelargonii. Każda z małych pracowni miała własny ogródek ogrodzony żywopłotem z bukszpanu, przerywanym niskimi furtkami.

Maggy weszła za Mistralem po trzech stromych stopniach. Otworzył drzwi i wszedł do przypominającej poboju kuchenii rozglądając się gniewnie za wolnym miejscem, gdzie mógłby położyć pory. Maggy stała w drzwiach, onieśmielona jego milczeniem i sposobem, w jaki przebijał się przez powietrze, jakby było jego wrogiem. Zaczerwieniła się od długiego, szybkiego marszu i wysoko uniosła podbródek, by ukryć nagłą i niezwykłą nieśmiałość.

W końcu Mistral rzucił pory na podłogę i skręcił do dużej pracowni, gestem głowy nakazując iść za sobą. Rozejrzała się w zdumieniu. Wszędzie były płótna i wszędzie był kolor, kolor, jakiego nie widziała nigdy w życiu, kolor, o którego istnieniu w czterech ścianach nie miała pojęcia, kolor, na którym czuła, że mogłaby unosić się jak na wodach wielkiej rzeki. Były tam tęcze i chmury i gwiazdy i ogromne kwiaty;

dzieci, cyrki i sztuczne ognie, żołnierze, nagie kobiety, flagi, skaczące konie, dżokej na ziemi i zawsze wszechobecna rzeka koloru wydarta samemu słońcu.

- Tam jest sypialnia - odezwał się Mistral pokazując ręką.

- Przygotuj się. Szlafrok jest w środku. Maggy znalazła się w małym pokoju, w którym oprócz łóżka znajdowało się niewiele więcej. Na haczyku za drzwiami wisiało zakurzone czerwone kimono z jedwabiu, które Mistral trzymał specjalnie dla modelek.

Maggy zdjęła spódnicę i bluzkę, starannie je poskładała i położyła na łóżku. Nagle poczuła, że ma sucho w ustach. - Malarze malują skórę - powiedziała sobie w panice, szukając wsparcia w zapamiętanych szkolnych lekcjach rysunku. - Rubens malował góry białej skóry z czerwonymi plamami. Rembrandt malował skórę żółtozieloną. Boucher malował skórę różową i białą. W całej historii malarstwa najczęściej malowanym materiałem jest skóra. - Trzęsącymi się palcami zwinęła śliczne nowe jedwabne pończochy. - Malarze są jak lekarze - ciało to tylko ciało - przedmiot, a nie osoba - powtarzała sobie w rosnącym przerażeniu, tłumiąc lęk.

Wiele razy w życiu Maggy rzucała się w sytuacje, z których mogła wyjść tylko dzięki swej wrodzonej pewności siebie. Gdy zdecydowała się uciec do Paryża i zostać modelką, zdawała sobie sprawę, że oczywiście będzie musiała pozować nago. Ze swą zwykłą brawurą postanowiła, że tak zrobi i zaczęła wprowadzać plan w życie.

A teraz, w majowy poranek, stwierdziła, że jednocześnie drży, trzęsie się i jest spocona. W swoich wyliczeniach nie wzięła pod uwagę swego życiowego doświadczenia. Żaden mężczyzna nigdy nie widział jej nagiej,

nawet lekarz, ponieważ nigdy w życiu nie chorowała.

Gdy z gorączkowym pośpiechem zdejmowała ramiączka koszulki, spróbowała zagwizdać fragment wczorajszej jawajskiej melodii, ale usta miała zbyt wysuszone ze strachu. Wyśliznęła się z ubrania, które miała dopiero kilka dni, z pierwszej dorosłej bielizny. Pod białą batystową koszulką, o wstydzie, miała tylko nową parę szerokich białych majtek do kolan, zgodnie z nową modą równie cienkich. Zdała sobie sprawę, że żadna siła na ziemi nie zmusi jej do ich zdjęcia.

- Co tak długo, do diabła? - zawołał szorstko Mistral z pracowni.

- Idę - odparła słabo. Niecierpliwość w jego głosie kazała jej narzucić kimono na majtki i ciasno się nim owinać wokół talii. Podłoga była tak zimna, że z powrotem nałożyła pantofle na bose stopy. Zdenerwowana, chciała zapiąć paski na małe guziki, ale palce odmówiły jej posłuszeństwa, więc dała spokój i wyszła z sypialni z płaczącymi się paskami pantofelków, co przy każdym kroku wywoływało ciche klaśnięcie. Zatrzymała się trzy metry od Mistrala stojącego w pogotowiu przy sztalugach i czekała na polecenia. Całe światło w pokoju zbiegło się ku dysharmonii jej pomarańczowych włosów i czerwonego japońskiego jedwabiu.

- Stań przy oknie i połóż rękę na oparciu tego krzesła. Wykonała polecenie i znieruchomiała.

- Chryste, kimono - warknął Mistral.

Maggy przygryzła wargę i poczuła drżenie w palcach, gdy rozwiązywała pasek i pozwoliła kimonu zsunąć się na podłogę.

Maggy miała szerokie ramiona, a długa pionowa linia jej szyi, stykająca się ze śmiałym zarysem obojczyków, była silna i namiętą. Jej

piersi delikatnie pulsowały życiem, tak młode, że niemal stożkowe, wysokie i szeroko osadzone, z małymi sutkami jak twarde punkty. Linia jej klatki piersiowej od pachy do talii była lekko napięta i doskonale czysta. Jej skóra była tak wypolerowana, tak biała, że wchłaniała w siebie pluskające, rozkołysane światło, a potem odbijała je tak, że płonęła, jakby rozświetlona od wewnątrz.

Mistral zareagował na jej urodę instynktownie. Przyzwyczał się do łatwo oferowanej nagości zawodowych modelek, które nosiły swą skórę jak starą sukienkę. Nagość miała dla niego wartość tylko dlatego, że malowanie nagiego ciała było niezwykle poważną sprawą. Maggy stała z takim zdecydowaniem, jak Joanna d'Arc na stosie, i w jednej chwili wydała mu się wściekle erotyczna. Gdy zdał sobie sprawę, że wznieciła w nim płomień, w samoobronie wzbudził w sobie gniew.

- Co ty sobie, u diabła, myślisz - że to Folies Bergere? Od kiedy to modelka pozuje w majtkach i butach? Co? - Spiorunował ją wzrokiem. Zrzuciła buty i zaczęła rozpinąć guziki przytrzymujące majtki w talii. Z każdego oka spłynęła jej łza upokorzenia i wściekłości.

- A teraz co? Strip - tease? Czy to burdel? Czy myślisz, że po to cię wynająłem? - krzyczał Mistral. - Dostyc, wystarczy!

- Już dobrze - mruknęła Maggy z pochyloną głową. Jeden guzik się opierał i nie chciał się rozpiąć.

- Precz! - rozkazał Mistral. - Powiedziałem dostyc. Nie mogę malować modelki, która się wstydzi. To niedorzeczne, jesteś śmieszna! Nie powinnaś była przychodzić. Cholera, zmarnowałaś mój czas. Precz! - Gniewnym gestem wysłał ją biegiem z powrotem do sypialni, jakby przepędzał kota, który wszedł na dopiero co namalowany obraz. Kimonem

owinęła się jak kocem.

- Głupia, głupia, głupia! - wybuchnęła Maggy wybiegając zupełnie już ubrana z pracowni Mistrała. Nie odważyła się spojrzeć na niego przed wyjściem, lecz gdyby to uczyniła, zobaczyłaby, że patrzy na krzesło przy oknie. Obraz jej nagiego ciała wrył mu się w niechętną pamięć.

Trzęsąc się i wściekła na siebie, Maggy uciekła w kierunku ogrodów Luxembourg i niemal padła na pierwsze wolne krzesło, jakie znalazła, obojętna na rozbiegany świat bawiących się dzieci. W ciągu ostatniej pół godziny marzenie, którym żyła od czterech lat, zmieniło się w tak dojmujące niepowodzenie, że objęła się opiekuńczo ramionami i pochyliła głowę, przepelniona wstydem.

Obok Maggy usiadła młoda mama i zajęła się swym niemowlęciem. Jej poczucie ważności i dumy dotarło do Maggy nawet przez warstwę jej własnych emocji. Uniosła głowę i rozejrzała się po nakrapianym plamami cienia i światła świecie, w którym starzy wystawiali się do słońca, a młodzi zajmowali się zabawą. Serce zabiło jej żywiej, gdy mały chłopczyk podszedł do niej na niepewnych jeszcze nóżkach i położył jej na kolanach dużą gumową piłkę. Otworzyła ramiona i potoczyła piłkę po alejce. Chłopczyk przyniósł ją z powrotem z entuzjazmem psa przynoszącego patyk i wkrótce Maggy została otoczona grupą dzieci zwabionych nowością: dorosła osoba, która łaskawie zgodziła się z nimi bawić, tak różna od ich matek z litanią francuskiego dziecka na ustach: „Nie dotykaj, podaj ładnie rękę; nie zabrudź się; nie biegaj za szybko; wyjmij to z buzi. „

Maggy bawiła się godzinę, uciekając w świat prostych zabaw niosących z sobą posmak wczesnych lat szkolnych, kiedy była biegającą z chłopakami łobuzicą o dzikich, rozwianych na wietrze włosach jak skrzydła wielkiego ptaka; jedyną dziewczyną w szkole, która rzucała kamieniami lepiej od każdego chłopaka, potrafiła złapać każdą piłkę i wspiąć się na każdy mur.

Maggy wyszła z parku wkrótce po tym, jak ostatnie dziecko zostało

powleczone do domu na obiad. Głód pchał ją z powrotem na Carrefour Vavin, ale wszystkie restauracje, które mijała, były pełne. Było tuż po południu i na tarasach Le Dôme i La Rotonde nie było ani jednego wolnego krzesła. Kelnerzy uwijali się dostawiając dodatkowe krzesła i stoliki, tak że tarasy dochodziły prawie do krawędzi chodnika, ale nie było tam miejsca dla nie wtajemniczonych, ponieważ nikt nie był na tyle głupi, żeby opuścić miejsce w pierwszym rzędzie najbardziej ekscytującego teatru w świecie.

Maggy zatrzymała się przy ulicznym straganie, kupiła jeden czerwony goździk i przypięła go sobie do bluzki. Humor znacznie się jej poprawił i z podniesioną głową skręciła do Select z nadzieją, że może w mniejszej kawiarni znajdzie jakieś miejsce. Przy drzwiach natychmiast poszła w lewo, by uniknąć tłumu mężczyzn stojących przy długim barze i odkryła pusty, nie rzucający się w oczy stolik wciśnięty w odległy róg salki, tuż obok dużego okna zasłoniętego firankami.

Zamówiła oszczędnie tylko kanapkę z serem i lemoniadę. Patrzyła na tłum hałaśliwych, ryczących ze śmiechu, dziwacznie odzianych, beztroskich ludzi powciskanych za maleńkie stoliki z drewna, jakby zamierzali tam spędzić cały dzień. Wokół niej unosił się hałas ochrypłych rozmów prowadzonych podniesionymi głosami, wzbierający jak rzeka na wiosnę. W miarę jak pomieszczenie stawało się coraz bardziej zadymione, dobiegały do niej urywki rozmów prowadzonych co prawda po francusku, ale z dziesiątkiem różnych akcentów, bowiem była to epoka, w której na Montparnasse panowali zagraniczni artyści; czasy Picassa, Chagalla, Soutine'a, Zadkine'a i Kislinga; lata de Chirico, Brancusiego i Mondriana, Diego Rivery i Foujity. Francuzi, jak Leger i Matisse, stanowili

mniejszość, a do *quartier* tłumnie napływali Amerykanie, Niemcy, Skandynawowie i Rosjanie.

Zachwycona swą anonimowością, czując się niewidzialna, bo nikogo nie znała, Maggy nie zauważała ciekawych spojrzeń kierowanych w jej stronę. Nareszcie ma egzotyczne widowisko, które miała nadzieję znaleźć. To jest życie, o którym mówił jej Constantine Moreau, nauczyciel plastyki w szkole. Będąc artystą, który nie odniósł sukcesu, napełniał głowy swych uczniów napuszczonymi opowieściami o życiu kulturalnym Montparnasse, niezupełnie zgodnymi z prawdą opisami przyjęć, na które nigdy go nie zapraszano i sporów, w które nigdy nie był zamieszany. To, czego mu nie dostawało w zdolnościach nauczycielskich, nadrabiał gorącą tęsknotą do życia artysty i emanującym z niego poczuciem bolesnego wygnania, gdy przed oczyma uczniów roztaczał burzliwy, pełen żywych barw obraz paryskiego życia, w którym tak bardzo chciał brać udział. To Moreau dał wyobraźni Maggy cel, którego szukała, to Moreau uczynił z życia cyganerii artystycznej na Montparnasse jej nieustające marzenie, to on zapewniał ją, że chciałby ją malować sam Renoir, nawet gdyby była wyższa od większości kobiet na świecie. Patrzyła z ustami niemal otwartymi z zachwytu na wystawę umyślnej ekscentryczności w Select. Pomyślała, że tak musi wyglądać w niebie. Gdyby tylko była jego częścią.

- No co, mała, to ty jesteś ta nowa? Postawię ci coś.

Maggy odwróciła się, zaskoczona. Nawet nie zauważyła kobiety siedzącej przy sąsiednim stoliku i bacznie ją obserwującej od skandalicznego oranżu jej włosów po niezwykłą i niemal równie skandaliczną śmiałość jej rysów.

- No co, jesteś nią, czy nie? - spytała kobieta.

- Och, jestem nowa, to pewne - odparła zaskoczona Maggy, oglądając się na nieznajomą. Pomyślała, że musi mieć ponad czterdziestkę, choć jest urocza i trochę więcej niż pulchna, jak jedna z tych apetycznych dziewcząt malowanych przez Fagonarda, która postarzała się i roztyła.

- Jestem Paula Deslandes - oznajmiła kobieta z ważną miną. - A ty?

- Maggy Lunel.

- Maggy Lunel - powtórzyła powoli, jakby smakowała nazwisko. Jej oczy krótkowidza o ciepłym kolorze brązu drogiego cygara popatrzyły uważnie na Maggy. - Nieźle. Ma pewien urok, pewien błysk, ogień - może się nada. W każdym razie ma najważniejsze dwie sylaby i ponieważ w *quartier* nie pracuje żadna inna Maggy, o jakiej bym wiedziała, a wiem wszystko, co można wiedzieć, w zasadzie pochwalam, przynajmniej na razie.

- No to mam szczęście. A gdybym nie spotkała się z twoją pochwałą?

- *Tiens, tenis!* Siada i szczeka! - Uśmiech Pauli, mający moc rozpraszenia wszelkiego przygnębienia, rozszerzył się. - Jesteś zuchwałą jak na prowincjuskę.

- Prowincjuskę! - wybuchnęła Maggy. - To już drugi raz w ciągu jednego dnia. Och, tego już za wiele! - Chociaż oprócz Moreau nie знаła nikogo z Paryża, rozumiała, że prowincja stanowi źródło stałego, pełnego wyższości rozbawienia dla kogokolwiek, kto ma królewskie szczęście urodzić się w Paryżu.

- Ależ to od razu rzuca się w oczy, moja gołąbko - powiedziała Paula bez cienia przeprosin. - Nieważne. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi w *quartier* jest z prowincji. Ale ja jestem wyjątkiem. - Była

ogromnie dumna z siebie, to dziecko ulic Montparnasse, „kwiat chodnika”, jak lubiła mawiać z romantycznym westchnieniem córka ramiarza, która wychowała się w odległości kilkuset metrów od Carrefour Vavin. Wszystko, co Paula Deslandes wiedziała lub chciała wiedzieć o przyrodzie, zawierało się wewnątrz ogrodzenia ogrodów Luxembourg, a wszystkiego, co wiedziała o rodzaju ludzkim, a była przesiąknięta tym tematem jak wiśnia na dnie butelki starego winiaku, nauczyła się podczas tysięcy godzin spędzonych na pozowaniu w pracowniach malarzy lub w kawiarniach. Swym krągłym i obfitym ciałem uosabiała namiętność do plotkowania, nie kończącego się plotkowania, które tak głęboko zakorzeniło się w artystycznym życiu Montparnasse.

Spotkanie Maggy wprowadziło Paulę w najlepszy z trzech nastrojów, jakie do siebie dopuszczała. Co rana oceniała swą temperaturę emocjonalną i nigdy nie przyznawała się do nastroju, który nie byłby dobry, lepszy lub wspaniały. Wspaniały od dawna zarezerwowała na okazję wydłużenia listy kochanków - istnieli i zawsze będą istnieli mężczyźni doceniający kobietę ucieleśniającą to klasyczne trio przyjemności: ładna, gruba i czterdziestoletnia. Ostatnio odkryła, że zdobycie świeżej informacji zanim ktokolwiek w *quartier* nawet ją zwęszył, potrafiło wprowadzić ją w nastrój zasługujący na miano wspaniałego, a Maggy zapowiadała wielką ucztę nowości.

W każdy poniedziałek, gdy jej restauracja La Pomme d'Or była zamknięta, Paula sprawiała sobie wycieczkę po wiosce zwanej Montparnasse, splatając w jedno liczne wątki plotek, które poznała podczas pracowitego tygodnia. Co wieczór przewodniczyła na kolacjach artystów i kolekcjonerów sztuki z całego świata, którzy przynosili jej

restauracji tyle zysków. Paula Deslandes była naturalnym, niewykształconym historykiem, który z łatwością łączył oderwane fragmenty informacji w spójną społeczną tkaninę.

- A więc, Maggy Lunel, nie powiodło ci się rano z Mistralem, co?

- Och! - wykrzyknęła Maggy. - Skąd możesz w ogóle cokolwiek o tym wiedzieć? Przecież mnie nawet nigdy nie widziałaś!

- Wiadomości rozchodzą się szybko w tym zakątku Paryża - odparła Paula, zadowolona z siebie.

- Ale... kto ci powiedział?

- Vava. Wpadł do Mistrała zaraz jak ten przerośnięty łajdak cię wyrzucił, biedactwo, i jak to Vava, oczywiście od razu wszystko rozniósł. Zawsze mówiłam, że to stara baba.

- Och, nie! - Maggy uderzyła pięściami swe zuchwałe, różowe kolana przykryte nową spódnicą. Poczwała, że oblewa się rumieńcem, że jeszcze raz jest nieznośnie zawstydzona, znów wytknięta jako dziecinna, pruderyjna prowincjuszka.

- To nieważne - rzekła z naciskiem Paula. - Nie wolno ci tego brać poważnie - każdy musi jakoś zacząć.

Ale Maggy przestała słuchać. Właśnie dwie kobiety i trzech mężczyzn z zadowoleniem zajęło stolik pośrodku sali. Jedną z kobiet była Kiki de Montparnasse, która otwarcie się jej przyjrzała, po czym szturchnęła łokciem przyjaciół i pokazała im Maggy i Paulę. Jej towarzysze utkwili wzrok w Maggy i pozdrowili ją z ironiczną uprzejmością uchyleniem kapeluszy, a towarzyszki zachichotały.

- Znowu ona! Tego mi właśnie brakowało - mruknęła z gniewem Maggy.

- Co ma do ciebie Kiki? - spytała Paula.

- Obraziła mnie dziś rano przechodząc obok na ulicy.

- Ach. Doprawdy? - wymruczała Paula.

- Mnie to nie bawi - odparła Maggy, której nie podobał się pełen zastanowienia ton Pauli.

- Mnie też, zapewniam cię. Dla mnie to fascynujące... ta suka jest zbyt wyniosła, by obrażać byle kogo... a więc już cię zauważyła... no cóż, muszę przyznać, że ma oko.

- Więc ty też ją znasz?

- Tak. Znam. Wyjdźmy stąd. Coś tu zaczęło nieładnie pachnieć. Zapraszam cię na prawdziwy obiad. Chodź - wczoraj wieczorem wygrałam w pokera trzysta franków, ograłam Zborowskiego, a Bóg jeden wie, że tego handlarza na to stać. Przestań gapić się na tę flandrę i jej hołotę. Udawaj, że nie istnieją. Idziemy do Dominique na szaszłyki. Pasuje?

- Szaszłyki? Co to takiego? Mam nadzieję, że coś do jedzenia - stale jestem głodna. - Maggy wstała szybko, nagle chcąc czym prędzej wyjść, i wyprostowała się na całą swą wysokość 175 centymetrów. Paula zmrużyła podniesione na Maggy oczy.

- Mój Boże, ile potrzeba jedzenia, żebyś się najadła? Nieważne, chodź, tam jest tłok, ale dla nas znajdzie się miejsce. - Paula sprawnie wyprowadziła Maggy z Select, nawet nie rzucając okiem na stolik przyjaciół Kiki, którzy odprowadzili je do drzwi złośliwymi spojrzeniami.

Za rogiem, w połowie rue Brea, obie kobiety skrzyły w niepozorne drzwi prowadzące do *charcuterie*. Lecz za gablotami pełnymi zimnych rosyjskich przystawek znajdowała się niska salka o czerwonych ścianach i

wysokich stołkach za marmurowymi blatami.

Kiedy już się usadowiły przy jednym z blatów i Paula zamówiła dla nich obu, wróciła do wypytywania Maggy. - Opowiedz mi o sobie. I pamiętaj - poznam, jeśli coś opuścisz.

Maggy zawahała się, nie wiedząc od czego zacząć. Przez całe siedemnaście lat nikt jej nie zadał takiego pytania. W Tours, gdzie mieszkała całe życie, wszyscy wiedzieli o niej wszystko. Czy powinna upiększyć fakty? Coś w oczach Pauli skłoniło ją do powiedzenia prawdy. Były nieskończenie mądre, ale i nieskończenie serdeczne, a Maggy potrzebowała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać, nawet bardziej niż potrzebowała jedzenia. Wzięła głęboki oddech dla odwagi i zaczęła, by jak najszybciej wyrzucić z siebie najgorsze.

- Najważniejszą rzeczą w moim życiu było zawsze to, że mój ojciec umarł na tydzień przed ślubem z moją matką - miał ospę. Gdyby żył, byłabym po prostu jeszcze jednym przedwczesnym dzieckiem, a tak pochodzę z nieprawego łoża.

- Najwyraźniej, ale takie rzeczy zdarzają się nawet w najlepszych rodzinach.

- Ale nie w szanowanych rodzinach żydowskich. Tam po prostu w ogóle się nie zdarzają. Jestem jedynym bękartem w całej gminie żydowskiej w Tours i zawsze mi o tym przypominano.

- Więc dlaczego twoja matka nie wyjechała z Tours gdzie indziej, udając, że jest wdową jak tyle innych kobiet?

- Umarła przy moim porodzie. Ciocia Estera zawsze obwiniała ją za śmierć i ucieczkę przed skandalem.

- Czarujące! Co za współczucie! Czy ta miła ciocia cię wychowała?

- Nie, mieszkałam z babcią aż do jej śmierci cztery miesiące temu. - Maggy pomyślała ze smutkiem o łagodnej staruszce, która tak czule wychowywała ją w swoim małym domku, którą uszczęśliwiały uśmiechy Maggy, której bezkrytyczna miłość dodawała Maggy odwagi, która zawsze sprzeciwiała się nieracjonalnemu przekonaniu cioci Estery, że Maggy powinna jakoś zapłacić za wstyd swoich narodzin.

- To babcia Cecile, matka mojej mamy, nazwała mnie Magali. Zawsze mnie tak nazywała, choć wszyscy inni nazywają mnie Maggy, bo było to jedno z ulubionych imion jej rodziny. Po rewolucji Lunelowie przeprowadzili się do Tours z Prowansji, a po prowansalsku Magali znaczy *marguerite*...

- A więc sprowadza się to do tego, że jesteś z Południa?

- Tak, i ze strony ojca też. Nazywał się David Astruc. W Prowansji „astruc” znaczy „urodzony pod szczęśliwą gwiazdą”... ale nie dla niego! Babcia opowiadała mi o rodzinie, żeby mnie pocieszyć, kiedy dzieci nazywały mnie bękartem. Powiedziała, że chociaż moi rodzice popełnili błąd, to pochodzili z najstarszych rodzin żydowskich we Francji - na setki lat przed krucjatami - i że zawsze powinnam o tym z dumą pamiętać.

Maggy gestykulowała długimi rękoma, kreśląc w powietrzu płomienne arabeski, rozpalona wspomnieniami opowieści, jakie jej babka snuła o życiu w miastach o śpiewnych nazwach: Nimes, Cavaillon, Avignon.

- A co się stało po jej śmierci? - spytała Paula, wzruszona prawie dziecięcym poczuciem minionej świetności, jakie emanowało z Maggy.

- Ach, to dlatego znalazłam się tutaj, dlatego musiałam na zawsze opuścić Tours i dlatego nigdy tam nie wrócę. Ciocia nie mogła się

doczekać, kiedy się mnie pozbędzie. Ledwo skończył się pogrzeb, a już zaczęło się polowanie na męża. Oczywiście nie w Tours - tam zawsze będę bękartem Lunelów - ale w innych miastach. W końcu znalazła rodzinę w Lille, która miała tak brzydkiego syna, że nie mogli znaleźć dziewczyny, chcącej chociaż z nim gdzieś pójść, a co dopiero go poślubić... i umówiła się z nimi.

Maggy wściekle odgarnęła włosy znad elegancko umieszczonych uszu.

- Umówione małżeństwo. Dzisiaj, w obecnych czasach... tak, to jeszcze jest praktykowane. Jak tylko o tym usłyszałam, zaczęłam robić plany.

Przerwawszy, by zjeść marynowanej jagnięciny, wspomniała dzień, w którym jej bunt zmienił się z ulotnego marzenia w konieczne działanie. Planowane małżeństwo wydarło pomysł ucieczki do Paryża z królestwa fantazji. Z drobnych prezentów otrzymywanych od babki zaoszczędziła przez lata pięćset franków i trzysta z nich wydała w sklepach przy rue Bordeaux na tanią walizkę i kilka gotowych ubrań. Jej jedynym szaleństwem były jedwabne pończochy, aż trzy pary, ale jakże mogła stawić czoła Paryżowi w czarnej bawełnie?

- A więc - przerwała jej rozmyślenia Paula - krótko mówiąc jesteś piękną, osieroconą żydowską dziewczyną.

Maggy roześmiała się na taką interpretację wznoszącą się pogodną nutą, błyskając doskonałymi zębami, a jej żółtozielone oczy lśniły w mroku restauracji jak marzenie poszukiwaczy skarbów.

- Nikt jeszcze nie ujął tego w taki sposób, a nadawano mi już wiele przezwisk. Babcia posyłała mnie do naszego rabbiego, rabbiego

Taradasha, kiedy trzeba mnie było porządnie skrzyczeć, bo wiedziała, że sama nie zrobi tego przekonująco. I chodziłam do niego ze wstydem przynajmniej raz w miesiącu - mówił, że to jakaś odmiana w przygotowywaniu chłopców do bar micwy - i logika moich wyjaśnień tak go wciągała, że w końcu kazał mi obiecywać, że już tego nie zrobię i obietnicy dotrzymywałam. Robiłam coś gorszego. Ale „piękna” - nie, nikt mnie tak nie nazywał oprócz mojej biednej babci. Albo „dziewicą”.

- A czy jesteś dziewicą?

- Oczywiście! - Maggy wyglądała na zaskoczoną. Przez całe życie miała kłopoty z powodu rozrabiania z grupą chłopaków, ale oni byli tylko jej towarzyszami, partnerami w łobuzerce.

- Tym lepiej - powiedziała Paula - przynajmniej na razie. Masz jeszcze wszystko przed sobą, a to najlepszy sposób na zaczynanie w Paryżu.

Paula widziała, jak przemijały całe generacje dziewcząt z Montparnasse. Widziała, jak na zawsze odjeżdżały z milionerami we wspaniałych Bugatti i widziała, jak umierały w ciągu tygodnia na syfilis; widziała, jak poślubiały artystów i zostawały dumnymi paniami domu, ale częściej widziała, jak poślubiały artystów i zmieniały się w harpie. Chyba nigdy nie widziała dziewczyny tak obiecującej jak Maggy Lunel. Pomyślała, że to ktoś nieunikniony.

- No i to wszystko, co mogę o sobie powiedzieć. Poza tym, że zrobiłam początek najgorszy z możliwych. - Nawet pełny żołądek, nawet coś tak nowego, jak słuchacz tak zainteresowany jak Paula nie pozwoliły Maggy zapomnieć przeżycia z malarzem, o którym wiedziała, że nazywa się Mistral.

- Posłuchaj, moja mała. Musisz zapomnieć o Mistralu i jego obrzydliwym zachowaniu. Vava mówi, że to geniusz, ale jeśli to prawda, to dlaczego nikt go nie kupuje, pytam? Jakim on może być geniuszem, skoro nie stać go na jedzenie w mojej restauracji? - Najwyraźniej to była miara, którą Paula przykładła do osiągnięć innych.

- A ta kobieta, Kiki de Montparnasse, czy ona je u ciebie? - spytała Maggie z ciekawością.

- Ta kupa kości i pretensji o ciastowatej twarzy nie ośmieliłaby się postawić stopy na moim progu. A nazywa się Alice Prin. Rzeczywiście, „Kiki de Montparnasse”! - Twarz Pauli przybrała tak ponury wyraz, na jaki pozwalały jej okrągłe rysy. - Tak się nazwać, kiedy nawet nie urodziła się w Paryżu - to obrzydliwe.

- Ale powiedziano mi, że jest królową modelek...

- To kłamstwo. Ci ludzie nic nie wiedzą. Kiedyś, wcale nie tak dawno, to ja byłam królową modelek, ale Alice Prin nigdy nie dorównała mi klasą. - Usta Pauli zacisnęły się w zawziętą linię. Przecież nie mogła wyjaśnić niewinnej Maggy, że ta, która nazwała się Kiki, ukradła niejednego, ale wielu kochanków Pauli, a potem, niesyta zwycięstw, rozniosła to po całym Montparnasse.

- Zastanawiam się, dlaczego mnie obraziła? Nic jej nie zrobiłam.

- Bo jest taka dumna z siebie, że musi wyśmiewać się z każdej kobiety, jaką zobaczy. Ale Jej grupka pochlebców nic nie znaczy. Posłuchaj mnie, Maggy, ty wyglądasz jak nikt inny na świecie. Ty się urodziłaś, żeby być modelką.

- Urodziłam? - Maggy zamilkła. Słowa Pauli wypowiedziane z taką mocą były tak nieoczekiwane, że odebrały jej mowę.

- Tak, urodziłaś się, jak koliber rodzi się, by spijać nektar, jak pszczoła rodzi się, by żądlić, jak kurczę rodzi się, by je upiec. Ale to oferowanie się na ulicy na *foire aux modeles* w ogóle nie wchodzi w rachubę, rozumiesz? Przedstawię cię malarzom, których stać na zapłacenie ponad piętnastu franków za trzygodzinne pozowanie - to wszystko moi kumple. A tak nawiasem mówiąc, czy Mistral cokolwiek ci zapłacił? Nie, oczywiście, że nie - to mnie nie dziwi. Ale odtąd pracujesz tylko za najwyższe stawki. Oczywiście najpierw musisz się nauczyć paru rzeczy, ale nie jest to nic, czego nie mogłabym cię nauczyć ja. To wszystko kwestia zdecydowania się na zdjęcie majtek, no a jak trudne może być coś takiego? Widzisz, zadaniem malarza jest dowiedzieć się, jak zbudowana jest każda kobieta. Cokolwiek byśmy myślały, oni potrzebują nas o wiele więcej niż my ich.

- Naprawdę? - W głosie Maggy brzmiało zdumienie.

- Ależ tak. Wyobraź sobie, Maggy. Od tysiąca pięciuset lat, od samego końca mrocznego średniowiecza, artyści uganiają się tą zwyczajną rzeczą, za ciałem nagiej kobiety. Nic bardziej nie wymaga zaangażowania całego talentu artysty, nic tak szybko nie obnaża jego słabości. Pokaż mi mężczyznę, który nie potrafi namalować nagiej kobiety, a ja ci pokażę mężczyznę, który naprawdę nie potrafi malować.

- Constantine Moreau nigdy nam tego nie mówił. Mówił tylko... no że chciałby mnie malować Renoir.

- Może Moreau chciał tylko utrzymać pracę. Zastanawiam się, co wy, uczennice, powtórzyłybyście w domu? No, i co ty na to? Proponuję ci start! Zważ, że wcale nie z dobroci serca. Chcę, żebyś pobiła tę sukę, tę nieznośną, niemożliwą Alice Prin, która ma czelność uważać, że ponieważ

przeminęła moja młodość i może przytyłam o parę kilogramów, to zajęła moje miejsce. Moje! Nie potrafi zajrzeć w przyszłość, ale ja potrafię, i pewnego dnia jej uroda też przeminie - tak jak i twoja, moja siedemnastoletnia gołąbko - nawet twoja. No co, Maggy?

Zanim dziewczyna mogła odpowiedzieć, Paula uniosła ostrzegawczo rękę.

- Czy jesteś pewna, że podołasz? Nie chcę stracić czasu, jeśli nie. To nudna praca, zawsze będzie ci za zimno lub za gorąco, a przede wszystkim utrzymanie pozy jest o wiele trudniejsze, niż można sobie wyobrazić. Będziesz chciała płakać z bólu, ale nie będzie ci wolno dać tego po sobie poznać. Wolno ci się poruszyć dopiero po półgodzinie, i tylko wtedy. I po dziesięciu minutach z powrotem do pracy. Czy sprawimy, że Alice Prin pożałuje dnia, w którym cię obraziła? Czy zaatakujemy?

- O, tak... tak, proszę! - Momentanym gestem niecierpliwiej zgody Maggy strąciła szklankę herbaty z brzękiem na podłogę. Nagle jej dawne marzenie znów znalazło się w zasięgu ręki, tym cenniejsze z powodu porannej porażki, nagle poczuła, że wystarczy tylko sięgnąć, by objąć Paryż ramionami. No bo jakie to miało znaczenie, że Renoir nie żyje?

- Posłuchaj mnie, Maggy Lunel - powiedziała surowo Paula. - Czy jajko nosi spódnice?

- W każdym razie nie te jajka, które znam - odparła Maggy lekceważąco przewracając oczyma. W ciągu trwającej krócej niż tydzień znajomości nauczyła się kochać Paulę, a z tymi, których kochała, droczyła się.

- Nie popełnij błędu nie biorąc mnie poważnie, moja panno! Musisz sobie z całej siły wyobrazić, że twoje ciało to koszyk jajek, jajek rozmaitych kolorów i wielkości, że twoje piersi to jajka strusia, włosy łonowe to nakrapiane jajo mewy, a sutki to jajka niedożywionego wróbla. Nagie jajko to najbardziej naturalna rzecz na świecie. Jest tak podstawowe, tak skończone, że nawet Brillant-Savarin nie zaproponował ozdobienia jego skorupki.

- A rosyjskie jaja wielkanocne? - zaproponowała Maggy, ale szybciej niż sądziła, że to możliwe, nauczyła się uczucia prawdziwej obojętności pokazując swe ciało malarzom, którzy najpierw dawali jej pracę jako protegowanej Pauli, a potem szybko zaczęli zawzięcie konkurować o jej czas. Jeśli Maggy czuła, że zaraz zdradzi ją rumieniec, nauczyła się na kilka sekund przesłaniać twarz włosami - tylko tyle potrzebowała, by przywołać obraz jajek - lecz w ciągu kilku tygodni swobodnie zmieniała pozy, traktując swe ciało jak przedmiot.

Pascin malował ją z różami na podołku jako obraz zmysłowej władzy; Chagall malował ją jako pannę młodą lecącą w zdumieniu po fioletowym niebie; Picasso malował ją wciąż w swym monumentalnym, neoklasycznym stylu, a ona sama stała się ulubioną odaliską Matisse'a. -

Ty, *popotte* - mówiła mu - jesteś moim ulubionym klientem. Nie z powodu twoich pięknych oczu, ale orientalnego dywanu. Tu mogę nareszcie usiąść - to jak tygodniowe wakacje.

* * *

Nazajutrz po poznaniu Pauli Maggy wyprowadziła się ze swojego hoteliku do pokoju z kominkiem, umywalką i bidetem, znajdującego się wysoko w budynku sąsiadującym z La Pomme d'Or, restauracją Pauli. Kosztował ją osiemdziesiąt pięć franków tygodniowo. Jego umeblowanie stanowiło duże, połączane łóżce. Maggy kupiła sobie nową pościel. Paula dała jej miękko wyściełane krzesło, a ona sama znalazła w sklepie ze starzyzną poobijany stolik i starą szafę i kiedy wszystko ustawiła, nie było już na nic miejsca oprócz lustra nad umywalką. Kiedy Maggy wyglądała ze swego okna na mansardy i kominy na szarobiałych dachach Montparnasse odcinających się wyraźną linią na tle zmiennego paryskiego nieba, nie pragnęła żadnego innego widoku.

Dom, w którym mieszkała, szczyił się najrzadszym stworzeniem na świecie - życzliwą, szczęśliwą konsjerżką. Madame Poulard cały dzień siedziała w swej ciemnej *loge* przy maszynie do szycia Singera, palce w górę, pięty w dół, palce w górę, pięty w dół, będąc *petite couturiere* dla najbliższego sąsiedztwa. Nie mając własnych dzieci, adoptowała wszystkie dziewczęta, dla których szyła, przeglądając z Maggy tekst „Le Journal des Modes” w poszukiwaniu modeli do skopiowania, bo dwie gotowe spódnice i dwie bluzki, które Maggy przywiozła z Tours, były całkowicie nieodpowiednie dla jej nowego życia.

Nim nastał październik 1925 roku, Maggy zdobyła sobie pozycję jedynej rywalki Kiki i nawet jeśli Kiki nadal była „de” Montparnasse,

Paula rozkoszowała się faktem, że Maggy nie potrzebowała po swoim imieniu żadnego takiego dopowiedzenia.

Jako po prostu Maggy, niezrównana i jedyna Maggy, zawsze mająca w butonierce świeży, czerwony goździk, wskakiwała i wyskakiwała z taksówek, zbyt zajęta, by z jednej pracy do drugiej iść pieszo; jako Maggy tańczyła całą noc tango czy shimmy w Le Jockey i La Jungle; jako Maggy poruszała się w rytm zmysłowej melodii begina w La Bal Negre, gdzie czuła się tak obca światu tancerek urodzonych w Martynice i Gwadelupie jak Cocteau i Scott Fitzgerald, którzy też tam tańczyli.

Maggy była zapraszana na dwudziestorundowe mecze bokserskie w Cirque d'Hiver, na które chodziła z kilkoma wielbicielami dla ochrony przed grubiańskim tłumem, i często chodziła na biegi przełajowe w Ateuil, wiwatując, gdy jej koń przeszedł wszystkie przeszkody i stawiając potem za całą wygraną swoim kumplom szampana. Nigdy nie szła na wyścigi bez jakiegoś pewniaka i rzadko przegrywała, bo typy miała wspaniałe, otrzymywane w zamian za uśmiech i nagły uścisk silnych, szczupłych ramion.

Gdy Maggy przychodziła do La Rotonde czy La Coupole, zawsze znajdowało się dla niej krzesło najpierw przy jednym, potem przy innym stoliku jej *compains*. Teraz też czuła się na Montparnasse jak we własnej wiosce i tej jesieni uczciła swe osiemnaste urodziny przyjęciem w swoim pokoju. Maggy ozdobiła bidet wypełniając go wiązkami czerwonych goździków, zastawiła jedyny stolik butelkami wina i zaprosiła setkę ludzi. Zjawili się wszyscy, przyprowadzając przyjaciół, i usadowili się pijąc i śpiewając na schodach, aż w końcu przyszła policja.

Czasami spędzała wieczór samotnie w domu, leżąc na kołdrze,

obserwując z okna niebo i usiłując ułożyć sobie w głowie wszystkie nowe rzeczy, jakie widziała i wszystkich nowych ludzi, jakich poznała. Maggy myślała z uśmiechem, że rabbi Taradash z pewnością by ją zganił, gdyby wiedział, w jaki sposób ona zarabia na życie, a właściwie nie uwierzyłby, że to możliwe. Podejrzewała jednak, że nadal nazywałby ją jak dawniej „swoim małym *mazekiem*”. Było to hebrajskie słowo na określenie ukochanego dziecka, będącego zarazem szybkim, sprytnym psotnikiem.

Nie tęskniła za domem, choć nadal ze smutkiem myślała o babce, szczególnie w piątkowe wieczory, gdy w wieczór szabatowy wraz z zapaleniem dwóch świec na stole w jadalni i błogosławieństwem światła i wina, ich mały domek wypełniał się pokojem i radością. Żaden z Lunelów nie był szczególnie pobożny ani nie przestrzegał ściśle praktyk religijnych, ale ta cotygodniowa uroczystość podnosiła Maggy na duchu. Także rok w rok niecierpliwie wyczekiwała zapalenia każdego dnia kolejnej świecy w pięknym świeczniku chanukowym babki, aż od wszystkich świec bił słodki blask na pamiątkę płomyków, które niegdyś świeciły w jerozolimskiej świątyni przez osiem dni, mimo że oliwy powinno wystarczyć tylko na jeden. Teraz wszystko to należało do życia, które zostawiła za sobą. Pomyślała sobie, że oczywiście nie żałuje rodzinnego sederu w wieczór pesachowy, odbywającego się zawsze w domu ciotki Estery. Zgromadzeni krewni Maggy jakoś nigdy nie przepuścili okazji, by przypomnieć o jej haniebnym statusie; co roku po raz kolejny czuła, że samo jej istnienie jest plamą na honorze jej rodziny... nie, pomyślała hardo, nie, nie wytrzymałabym tego życia ani minuty dłużej, a teraz mogę o nim na zawsze zapomnieć.

Maggy potrzebowała tych sporadycznych spokojnych godzin

zastanowienia jako przeciwwagi dla wielu przetańczonych nocy, gdy uciekała przed bezruchem godzin pozowania w wir przyjemności, coraz większych przyjemności, nigdy nie wystarczających przyjemności, które czyniły z Montparnasse ośrodek wszystkiego, co w Paryżu było szalone, radosne i zepsute.

Bowiem Paula nigdy nie przepuściła okazji, by zwrócić uwagę Maggy na fakt, że życie na Montparnasse ma i swoją mroczną stronę, na świat, w którym alkohol i narkotyki są na porządku dziennym. Ale nawet bez jej ostrzeżeń Maggy mogłaby niczym nie zagrożona hasać na nie kończącej się zabawie wieczorów i nocy Montparnasse. Nie skaziłoby jej płonące taką czerwienią niebo, oświetlane dziesiątkami nocnych klubów i barów przyciągających swym blaskiem cały Paryż. Ciągle chroniła ją naturalna i nietykalna niewinność, spuścizna siedemnastu lat spędzonych w domu babki.

Maggy często tańczyła boso, nie tylko dla wygody, ale ponieważ przewyższała wzrostem wielu swoich partnerów. Nadal nie chciała obciąć włosów. Przed wyjściem wieczorem w jednej z prostych, przypominających koszulkę, wydekoltowanych sukienek bez rękawów, jakie uszyła dla niej madame Poulard z resztek materiału, które Maggy znalazła na wyprzedazy w Le Bon Marche, robiła na środku przedziałek i zwijała włosy nad uszami albo owijała głowę szarfą naszywaną cekinami, zawiązaną z boku i opadającą na ramię. Lecz cokolwiek by robiła naśladowując obowiązujące fryzury, po półgodzinie na parkiecie Maggy stwierdzała, że szarfa się ześliznęła albo że zwinięte włosy jakoś rozsypały się i falowały z boku na bok rozwianą masą, jakby Maggy galopowała po szerokich polach.

Nie tylko kaprys powstrzymywał ją przed zmianą uczesania na modniejsze; malarze, dla których pozowała, woleli długie włosy i nawet płacili za to kilka franków więcej. Zachwyt artysty nad kobietą opiera się na jej ciele we wszystkich jego przejawach; od paznokci u nóg do czubka głowy i co do jednego, wszyscy nie znosili stylu wymagającego od kobiety przystrzyżonej i płaskiej fryzury. Jednak jak wszystkie kobiety w zachodnim świecie, Maggy przyjęła linię ubioru narzuconą przez modę: talia zaznaczona na biodrach, spłaszczony biust. Ta kapryśna malarka, Marie Laurencin, upierała się, że kobieta to nie kij, ale Chanel, Patou i Molyneux zdecydowali, że kobieta musi postarać się o wygląd jak najbardziej do niego zbliżony i w ramach swych ograniczonych możliwości Maggy starała się iść za modą.

- Nie musisz zadzierać nosa i się nadymać - zapewniła radośnie Picassa unosząc brew na widok zniekształceń, jakie nadał jej ciału na swych obrazach. - To nie jest tylko twój własny pomysł, *chouchou*, bo my kobiety też potrafimy na nowo wynaleźć anatomię. Zauważyłeś moją nową sukienkę, co? I nie zapominaj, że piersi, uda i inne kawałki, z którymi tak beztrąsko igrasz, należą ściśle do nas. Bez dotykania!

Kupiła sobie do pracy jedwabny szlafrok koloru zielonego jabłka i podczas chwil przeznaczonych na odpoczynek często się nim owijała i chodziła po pracowni majestatycznie jak czapla, przyglądając się nie dokończonemu płótnu.

- Ach, więc to tak dla ciebie wyglądam? No, może i nie mam u siebie dużego lustra, ale wystarczy, że spojrzę w dół, żeby zobaczyć, że oba sutki mam tego samego koloru. Czy widzisz, że u ciebie lewy wygląda jak malina, a prawy jak przeterminowana truskawka? A moje oczy - naprawdę

mają tyle różnych kształtów? Słyszałam, że Eskimosi mają dwadzieścia pięć różnych wyrazów na śnieg - wyszedłeś więc z eskimoskiej szkoły? Chociaż może masz cię talentu. Kto wie? No ale ja nie jestem ekspertem.

Swoich klientów, *mes popottes* jak ich nazywała, Maggy zalewała swym sarkazmem, hojnością i nieuleczalnym tupetem. Paulę obdarzyła trwałą, zupełnie pozbawioną kapryśków miłością, która znakomicie odpowiadała starszej kobiecie. Uważała ona wszystkie sukcesy Maggy za własne i od czasu do czasu, podczas wspólnego obiadu w kuchni La Pomme d'Or, Paula zauważała, iż dziewczyna ciągle nie znalazła sobie mężczyzny. Nie przy tym jej olbrzymim apetycie, apetycie kogoś, kto nie zaznał ani jednego dnia, w którym by usychał z miłości. Jeszcze jest dużo czasu, myślała z aprobatą.

* * *

Gdy Maggy podbijała Montparnasse, Julien Mistral znalazł się w kryzysie finansowym. Od lat ostrożnie łątał skromny spadek odziedziczony po śmierci matki prawie trzy lata temu, ale ostatnio przekonał się ku swemu zaskoczeniu, że niemal nic z niego nie zostało. Jednak dla artysty, który hojnie szafował farbami i płótnem jak on, nie istniały żadne możliwości poważnego oszczędzania.

Zawsze kupował materiały w takich ilościach, że przekonał Luciena Lefebvre'a, właściciela sklepu z artykułami artystycznymi przy rue Brea, aby udzielił mu niewielkiego rabatu. Oczywiście istniały tańsze farby, ale tylko Lefebvre ucierał je ręcznie i mieszał z olejem makowym zamiast zwykle stosowanego oleju lnianego. Takie farby pachniały miodem i posiadały, o czym Mistral był przekonany, bogactwo odcieni, jakiego brakowało innym farbom. Lecz nawet z rabatem jego rachunek urósł do

niepokojących rozmiarów. Ale ograniczać się? Niemożliwe!

Ograniczenia, oszczędności, umiejętne gospodarowanie środkami, życie w granicach możliwości finansowych; wszystkie te cnoty Mistral praktykował w codziennym życiu, pijąc tylko niewiele taniego czerwonego wina w kawiarniach i prawie nic nie płacąc za mieszkanie i jedzenie. Kobiety, pomyślał wybierając się na bal kostiumowy surrealistów, na który zaprosiła go zamożna młoda Amerykanka Kate Browning nic go nie kosztują. Były tak liczne w jego życiu jak rzepy na psie, a jeszcze na żadną nie wydał ani centyma.

Mistral przeciągnął się i prawie uderzył głową w sufit swej sypialni. Postanowił nie zawracać sobie głowy goleniem ani czesaniem splątanych rudych kędziorów, ponieważ jego jedyne ustępstwo na rzecz kostiumu stanowił staromodny, szerokoskrzydły czarny kapelusz, który znalazł w jakimś sklepie z używaną odzieżą. Nie miał ochoty sprawiać sobie ani trochę więcej kłopotu przez surrealistów, których definicja piękna - „przypadkowe spotkanie maszyny do szycia z parasolem na stole w prosektorium” - napawała go odrazą.

Wszystkie „izmy” były mu równie wstrętne, a włączał do tej grupy partie polityczne wszystkich typów, wszystkie grupy religijne i każdego, kto wyznawał jakiś jasno określony system moralny. Sztuka nie ma nic wspólnego ze słowami jak moralność czy niemoralność; wyrasta ponad moralność, ponad definicje piękna. Często zastanawiał się, dlaczego ludzie pieprzą sobie życie zajmując się ideami zamiast farbami.

Mimo wszystko chciał poświęcić swój czas na bal. Pomyślał, że Kate Browning może wkrótce kupić jeszcze jeden obraz, a Bóg jeden wie, że miałby na co wydać te pieniądze. Ta surowo wypielegnowana, niemal

ascetycznie ładna i wyraźnie amerykańska blondynka była na swój sposób atrakcyjna. W ciągu ostatnich miesięcy sprzedał jej dwa małe płótna, co spowodowało, że stała się dla niego bardziej atrakcyjna, niż na to zasługiwała - wolał mniej surowy typ kobiety.

W każdym razie nie chce i nie może skąpić na materiały. Mistral wybiegł z domu zwijając rachunek od Lefebvre'a w kulkę i rzucając go do sąsiedniego ogródka. Żaden artysta nie był tak poważny lub zajęty, by nie chodzić na bale kostiumowe, nawet Julien Mistral.

* * *

Czy rok 1926 bardziej obfitował w bale kostiumowe niż 1925? A może będzie ich więcej w 1927? Podczas tych pięknych, wesołych lat nikt nie mógł mieć pewności, bo nikt nie był w stanie śledzić wszystkiego. Co tydzień inna grupa wydawała jakiś bal. W drugim tygodniu kwietnia 1926 roku rosyjscy artyści już wydali swój *Bal Banal*, a międzynarodówka homoseksualna miała *Bal des Lopes* w Magie City. Kiedy surrealiści zorganizowali *Bal Sans Raison d'Être* dla uczczenia zupełnie niczego i wszystkiego naraz, wszyscy się zgodzili, że nie można go opuścić.

Przed rokiem na bankiecie wydanym w Closerie des Lilas surrealiści dopuścili się wielkiego skandalu, który skończył się usiłowaniem linczu, przerwany jedynie przez przybycie policji. Jako wolnomyśliciele najbardziej doktrynerskiego rodzaju gwałtownie przeciwstawili się rządowi, kościołowi, wojsku i dla dopełnienia miary także przedsiębiorczości, chlubiąc się swym przydomkiem „Postrachu z Boulevard Montparnasse”. Gdy dwóch spośród nich Miro i Max Ernst stworzyli scenografię do *Ballet Russe* Diaghileva, dziesiątki surrealistów zerwało przedstawienie dmąc w trąbki, wygłaszając mowy i atakując

widzów.

Biorąc pod uwagę ich ekscytującą reputację, kto roszący sobie jakiegokolwiek pretensje do pozycji w świecie sztuki, literatury czy mody mógłby tego wieczora zostać w domu?

* * *

- Surrealiści czy nie - oznajmiła Paula tydzień wcześniej - tak jak zawsze pójdę w tym, w czym mi jest najlepiej.

- Chyba nie jako pani Pompadour? Znowu! - zawołała Maggy.

- Jesteś niemożliwa. Mam dosyć twoich kostiumów i ty też powinnaś się już nimi zmęczyć.

- Istnieje tylko jeden powód chodzenia na bale kostiumowe - powiedziała spokojnie Paula. - Idzie się po to, by wystawić na pokaz obojętnie jaką część ciała, którą przez przypadek życia w tej banalnej epoce trzeba zasłaniać codziennym ubraniem. Nie usiłuję być pomysłowa - zostawiam to tym, które nie mają do odsłonięcia nic specjalnego, które nie mają moich wspaniałych ramion, moich przepysznych piersi, mojej nadal wąskiej tani. Ale - tak dla odmiany - idę jako pani Du Barry, żeby troszeczkę się różnić od pani Pompadour.

- Troszeczkę to za mało. Znowu szerokie, różowe spódnice z tafty, obcisły stanik z błękitnej satyny, koronkowa apaszka, koronki przy nadgarstkach, upudrowana peruka i pieprzyk - przynosisz mi wstyd!

- Ach, nigdy się mnie nie docenia - westchnęła Paula. - Zamiast koronkowej apaszki będę miała wypchanego pytona przymocowanego do prawego ramienia, przechodzącego pod nagimi piersiami i mocno przypiętego na prawym ramieniu tak, żeby jego język lizał mnie w ucho.

- Nagimi piersiami?

- Ależ naturalnie - myślałam, że ci to wyjaśniłam.

- *Felicitations!* Jestem z ciebie dumna.

- To niewielki wysiłek. Trzeba tylko pożyczyć pytona i jestem gotowa. A ty?

- Ja idę jako miska owoców.

- Straszne! Cytryny we włosach i sukienka jak jabłko? Maggy, to niegodne ciebie.

- Poczekaj, to zobaczysz. - Maggy zamieszała kawę i przymknęła powieki. Gęste, proste rzęsy przyciemnione tuszem wyglądały na jej policzkach jak dwie długie najeżone gąsienice.

- Z kim idziesz, z Alainem?

- Z Alainem i trzema jego przyjaciółmi - dokładnie z czterema mężczyznami.

- Jak zwykle bezpieczeństwo w liczebności, tak?

Maggy wydeła wargi i dmuchnęła na niewidzialny włos, co miała w zwyczaju, gdy była skrępowana. W przeszłości często zbierała za ten dziecinny zwyczaj docinki. Paula jak zwykle miała rację.

Montparnasse przypominało przeładowane seksualne zoo. Można było tu znaleźć dziesiątki przykładów każdego możliwego rodzaju związków seksualnych. Od gospodarstwa domowego pary heteroseksualnej po najbardziej nieopanowane przypadki fetyszyzmu, żaden aspekt Erosa nie był w *quartier* obcy czy niechętnie widziany. Wszystko było możliwe i dozwolone.

W tej atmosferze nieograniczonego, a więc przerażającego przyzwolenia, Maggy od początku czuła się pewniej jako widz niż uczestnik. Robiła sobie wyrzuty z upływem miesięcy, wymyślała sobie za

dziewictwo, o które nikt oprócz Pauli jej nie podejrzewał, ale wbrew wszelkim argumentom przemawiającym za posiadaniem kochanka, pozostawało faktem, że nadal była dziewicą, choć jej osiemnaste urodziny minęły przed kilkoma miesiącami.

Maggy przed wszystkimi ukrywała swój stan upartej, niemodnej niewinności. Tylko Paula nie dała się wprowadzić w błąd jej swobodnym zachowaniem, szelmowską bezczelnością, z jaką traktowała swych mężczyzn, roześmianymi replikami na ich naprzykrzanie się, jej niedbałą nagością. Ponieważ wszyscy zakładali, że musi mieć kochanka, fakt, że Maggy odrzucała awanse każdego mężczyzny, gdy tylko stawały się poważne, dał jej po prostu reputację wiernej i skrytej kochanki jakiegoś szczęśliwca.

Stworzenie kostiumu Maggy, kostiumu *trompe l'oeil*, zajęło Alainowi i jego przyjaciółom całe popołudnie i wieczór. Jej prawa pierś została pomalowana jako grono jasnozielonych winogron, a lewa jako mały melon z Cavaillon, taki, jaki podaje się w całości ze słodkim winem w zagłębieniu. Jej ręce i ramiona zmieniły się w kiście bananów, niektórych dojrzałych, innych jeszcze zielonkawych, a pod piersiami i na pępku wyrósł jej ananas, którego ostre liście gubiły się we włosach łonowych. Każde biodro stanowiło plaster dyni, a uda łodygi rabarbaru. Od kolan w dół oplatała ją namalowana winorośl, a pod pachami miała jabłka.

Twarz zostawiła nie pomalowaną, oprócz dwóch pszczoł na czole, a włosy zebrała z tyłu girlandą kwiatów. Nie uległa sprzeciwom malarzy, że zielony szal z szyfonu, jaki zamierzała mieć na sobie w charakterze zaimprovizowanego trójkąta, nie zgadza się z duchem balu.

Malarze skonstruowali owalną, drewnianą misę na owoce długości prawie dwóch metrów i pomalowali ją srebrną farbą. Zamierzali nieść na niej Maggy na wysokości ramion. Każdy z czterech mężczyzn ubrany był w czarne rajstopy i sweter, a na piersiach i na plecach niósł pomalowane tablice reklamowe. Andre przedstawiał ser brie, Pierre miał namalowany cały camembert, Henri plaster roqueforta, a Alain pół chevre... Każdy ogromny kawał sera został odmalowany tak realistycznie, że zachęcał do zjedzenia. Czterej malarze należeli do szkoły realistów i ich „martwa” natura przedstawiająca sery i owoce miała stanowić protest przeciw surrealizmem i ich zniekształceniom.

- Czekaście - powstrzymała ich Maggy, gdy chcieli na próbę podnieść misę. - Muszę coś zrobić z rękoma. Nie mogę trzymać kwiatu albo czegoś takiego?

- Nie, zepsujesz cały efekt. Oprzyj głowę na łokciu, leż zupełnie nieruchomo i, na miłość boską, nie poć się. Cholera, Maggy, dlaczego nie pozwoliłaś nam użyć farb olejnych zamiast akwareli?

- Bo nie zamierzam spędzić jutrzejszego dnia na kąpieli w terpentynie - odparła Maggy. - I wiesz co, Alain, ta srebrna farba trochę się lepi. Chyba nie wyschła do końca. Czy jakiś król nie pomalował kiedyś niewolników złotą farbą? Chyba od tego poumierali.

- Plotki, plotki. W każdym razie pobrudzi tylko twój tyłeczek, jeśli w ogóle. Chodźmy już - bal zaczął się godzinę temu. Maggy, zejdz i chodź z nami. Kiedy dojdziemy do Bulliera, złożymy to cudo razem.

- Włożę tylko płaszcz i buty.

- Nie zawracaj sobie głowy - na dworze jest ciepło - zaprotestował Andre.

- Ale to o trzy ulice dalej.

- Ani mi się waź coś rozmazać - powiedział z niepokojem Pierre.

- A właściwie to wezmę taksówkę - i płaszcz. Spotkamy się na miejscu.

- Ach, burżujka - zadrwił Andre.

Maggy podeszła do niewysokiego malarza z groźną miną. - Chcesz zginać, komarze? Uduszony przez dwa banany? Odwołaj to.

- Nie rozzłościłabyś się, gdyby to nie była prawda - wrzasnął, odskakując na bezpieczną odległość.

- Hej, nie ma czasu na miłość - krzyknął Alain. - Jeśli się spóźnimy, wszyscy będą zbyt zużyci, żeby nas zauważyć - naprzód! Wszyscy na barykady!

* * *

Zanim Maggy przybyła do Bulliera, tłoczyło się tam już pięćset osób. W tłumie byli Darius Milhaud, Satie i Massine, a także hrabina de Noailles, Paul Poiret i Schiaparelli, do których przyłączył się Picasso w stroju pikadora. Gromaire włożył habit hiszpańskiego jezuitę, do którego dodał baloniaste damskie majtki do kolan, przybrane różowymi i czerwonymi wstążkami, a Brancusi przebrał się za wschodniego księcia ze sznurami koralików do kolan i perskim dywanem udrapowanym na ramionach. Pascin, jak zawsze otoczony swoją grupą oswojonych Cyganów, muzyków jazzowych i ładnych dziewcząt, ubrał się jak zwykle na czarno.

Gdy tylko Maggy pojawiła się u szczytu wspaniałych schodów, zabrzmiały pełne zdziwienia okrzyki „Brawo!”. Miała znakomite wejście, niesiona wysoko ponad głowami ludzi w doskonałej równowadze, gdy jej

towarzysze znosili ją po schodach. Muzycy jeden po drugim zauważali Maggy poprzez dym i trąbieniem oraz dęciem we wszystkie instrumenty oznajmili jej powolne przemierzanie ogromnej sali balowej, gdy bez ruchu leżała na srebrnej tacy. Wszędzie, gdzie ją niesiono, tłum przerywał taniec i cisnął się wokół grupki realistów, bijąc brawo i wykrzykując pochwały. Maggy została pomalowana tak umiejętnie, że dopiero stopniowo wszyscy zdawali sobie sprawę, że poza skrawkiem szyfonu nie ma na sobie absolutnie niczego, co wydało jeszcze potężniejszy ryk aprobaty.

- A cóż to takiego? - spytała Kate Browning Mistrala, siedząc w dogodnym punkcie obserwacyjnym przy jednym ze stolików stojących na podwyższeniu okalającym parkiet.

- Manifest realistów - odparł wzruszając ramionami. Rozpoznał Maggy gdy tylko się pojawiła. Nikt inny na Montparnasse nie obnosił włosów o tak płomienistym odcieniu pomarańczowego, koloru, którego nigdy nie zapomniał. Lecz niemal nie potrafił pogodzić w swej wyobraźni niezręcznej, skrepowanej dziewczyny, która nie miała pojęcia o pozowaniu, z tym bezwstydnie obnażonym, roześmianym stworzeniem, spoczywającym nago na oczach pięciuset ludzi. Roześmianym!

W miarę jak stawała się dobrze znana, słyszał o niej od dziesiątków osób, często widywał ją z daleka, jak gdzieś się śpieszyła, ale w ciągu jedenastu miesięcy, jakie upłynęły od jej pierwszego dnia w roli modelki, nie zamienili ze sobą ani słowa. Gdyby był uczciwy, mógłby przyznać się przed samym sobą, że unikał jej, mógłby nawet przyznać, że wstyd mu sposobu, w jaki ją wyrzucił - lecz takie myśli obce były postawie życiowej Mistrala. Jakież wyrzuty co do głupiutkiej dziewczyny? Nie, życie jest zbyt krótkie, jest za dużo pracy do zrobienia.

- Julien! Umiesz tańczyć? - Kate Browning zapytała, pomimo swoich zaledwie dwudziestu trzech lat, w spokojnie władczy sposób, z którego nie zdawała sobie sprawy.

- Tańczyć? Oczywiście, że tańczę. Ale nie za dobrze. Ostrzegam cię.

- No dobrze, ale nie chcesz zatańczyć?

- W tym tłumie?

- Chodź, mam ochotę - rzekła nie dając się zbić z tropu.

- A co teraz grają? - spytał.

- „Mountain Greenery”. Przyjemne, rytmiczne i po prostu nie można tak tu siedzieć. Wstał niechętnie, o kilka centymetrów przerastając każdego na sali, i poszedł za schludną Amerykanką na piekielny parkiet, na którym ludzie byli tak ściśnięci, że jego brak tanecznych umiejętności nie miał znaczenia. Przez kilka minut poruszali się niewprawnie prawie na skraju tłumu, gdy muzyka przeszła w pulsujący rytm ragtime'u. Nagle Mistral i Kate zostali ściśnięci z obu stron przez dziesiątki tancerzy tłoczących się, by móc lepiej przyjrzeć się Maggy, która właśnie zbliżała się, niesiona na ramionach czterech tragarzy.

Spoczywająca wysoko Maggy poddawała się narastającemu oszołomieniu płynącemu z ciepłego obłoku podziwu unoszącego się wokół niej. Ogarnęło ją uczucie ogromnego wyzwolenia: była naga, a jednak pokryta farbą, jakby zarazem była widoczna i niewidoczna. Czowała się, jakby swobodnie unosiła się nad podłogą sali balowej. Ze wszystkich stron wyciągały się chcące jej dotknąć ręce, ale nic jej nie groziło, malarze bowiem wznosili srebrny owal coraz wyżej, by utrzymać ją poza zasięgiem ciekawskich. Nagle z tłumu wyrwał się okrzyk: - Precz z realistami!

- Precz z surrealistami! - wrzasnęło kilkanaście innych głosów.

Tłum, który jeszcze przed sekundą był pełen życzliwości pomimo morderczego ścisku na parkiecie, z energią rozpoczął bitwę - na to przecież wszyscy czekali cały wieczór. Kate Browning, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, zręcznie wyśliznęła się z objęć Mistrała i przecisnęła się ku krawędzi tłumu, oczekując, że Mistral pójdzie za nią.

Szturchając się, popychając, rozpychając się łokciami i wykrzykując slogany, tancerze okrążyli czterech malarzy Maggy, nieomal zbijając z nóg Alaina i Andre. Pierre i Henri, Camembert i Roquefort, walczyli mężnie. Jednak pozbawiona delikatnej równowagi osiągniętej przez czwórkę artystów, wielka drewniana laca przechyliła się niepokojąco i Maggy z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że grozi jej upadek i stratowanie. Nagłe otrzeźwiona, rozejrzała się przytomnie dookoła. Wszędzie widziała zbity tłum, walczących mężczyzn, uchylające się i piszczące kobiety. Bal zmienił się w bijatykę.

Maggy skuliła się, zebrała w sobie, zwinęła w ciasną kulę i mocnym skokiem odbiła się w bok z tacy, mierząc prosto w jedyny punkt sali, który wydawał się stabilny - czarny kapelusz Mistrała.

Złapał ją z pełnym zaskoczenia stęknieniem, ale stał nieruchomo jak skała, zbyt silny, by nawet w takim tłumie stracić oparcie dla stóp. Maggy leżała w jego ramionach jak dziecko na huśtawce, bez lęku w spojrzeniu, nadal pod wrażeniem chwili mimo instynktownego skoku ku bezpieczeństwu.

Oplotła szyję Mistrała rękoma i opuściła głowę na jego ramię. Odruchowo wzmocnił uścisk i przytulił ją do siebie. Zwinęła się w ciasny owal, mocno zginając nogi w kolanach, chroniąc w ten sposób stopami

tylną stronę ud i nagie, poplamione srebrem siedzenie.

W końcu Mistral poruszył się. Mniej niż trzydzieści metrów od niego znajdowały się drzwi prowadzące na ulicę i ku nim właśnie ruszył przez skłębiony tłum, przyciskając Maggy do siebie, jakby była kimś, kogo właśnie wyratował z morza.

Gdy znaleźli się na ulicy, Maggy odezwała się.

- Dokąd idziemy?

- Niedaleko.

- Mam nadzieję, że to będzie coś bezpretensjonalnego.

- Och, jak najbardziej.

Mistral przeszedł przez ulicę, skręcił za róg i wszedł do okazałego budynku z ozdobną, pseudo - marokańską fasadą. Wewnątrz znajdował się kontuar, za którym stała kobieta czekająca na klientów.

- Dobry wieczór, monsieur. Jedyńka czy dwójka?

- Poproszę jedyńkę. Czy musimy czekać?

- Nie, ma pan dzisiaj szczęście. Mam coś gotowego - proszę za mną, monsieur, 'dame. Kobieta poprowadziła ich korytarzem z regularnie rozmieszczonymi drzwiami po obu stronach. Otworzyła jedne z nich, przepuściła Mistrala do środka i zamknęła za nim.

Pośrodku nieumeblowanego pokoju stała wielka balia napełniona po brzegi gorącą wodą. Na krześle obok balii leżał ręcznik, kostka mydła i ściereczką do mycia. Nadal trzymając Maggy, Mistral pochylił się szybkim ruchem i sprawdził palcem temperaturę wody. Zadowolony z wyniku, nie pozwalając by dotknęła stopami podłogi, wrzucił Maggy do wody, moczając sobie ręce po łokcie.

- Zamachowiec! - wykrztusiła Maggy.

- Nie chodzi o to, że nie podziwiam twego kostiumu, ale zaczął przechodzić mi na koszulę - powiedział, energicznie mydląc ściereczkę.

- Daj mi to.

- Nie ma mowy. To męska robota. - Zdjął wilgotną marynarkę, zawinał mokre rękawy i ukląkł na podłodze przy balii. Maggy spróbowała stanąć w wodzie, ale w głębokiej balii nie było to łatwe. Zachwiała się wynurzając się do połowy, po czym obsunęła się z powrotem. Mistral zignorował jej szamotanie i energicznie używał ściereczkę do mycia tej części ciała, która akurat była uchwytna. W ciągu kilku sekund woda zrobiła się ciemnoszara.

Maggy wybuchnęła bezradnym śmiechem. Położyła się w wodzie i patrzyła bez protestu, jak Mistral szoruje jej ramiona i nogi. Dopiero gdy zbliżył się do jej piersi, splótła palce obu rąk, zamachnęła się znad głowy i uderzyła go prosto w kark. Kapelusz wpadł mu do wody i Mistral wypuścił z rąk ściereczkę, a Maggy natychmiast ją chwyciła. Chlusnęła mu kapeluszem mydlanej wody prosto w oczy i gdy na wpół oślepiony kłął zapamiętałe w ręcznik, usiłując je wytrzeć, skończyła zmywać z siebie resztki akwareli, śmiejąc się bez opamiętania na widok Mistrala klęczącego na podłodze, z wodą ściekającą mu na koszulę i czerwonymi, piekącymi oczyma.

W końcu Maggy upuściła ściereczkę na drewnianą podłogę i usiadła w mętnej wodzie sięgającej jej do ramion, z rękoma złożonymi na krawędzi balii i opartym na nich podbródkiem. Wilgotne włosy przykleiły się jej do ramion, oczy nie obeschły jeszcze z łez wesołości, ale wargi ułożyła w stary łobuzerski uśmiech i nacisnęła na tył głowy ociekający wodą kapelusz Mistrala.

- Dobra robota - pogratulowała mu. - Ale co zaplanowałeś na resztę wieczoru? Mistral przysiadł na piętach. Rzeczywiście, co?

- Zaczynam marznąć i być głodna - zagroziła Maggy. - A kiedy jest mi zimno i jestem głodna, robię się wstrętna. Chcesz podjąć to ryzyko? - W jej głosie, oczach, nachyleniu głowy było wyzwanie - nawet w jej rudych brwiach. Mogła być naga i zanurzona w wodzie, ale sam sposób, w jaki przywłaszczyła sobie jego kapelusz, był prowokujący.

- Nigdzie nie odchodź - rzekł Mistral, zerwał się na nogi i wyszedł z pokoju, zabierając z sobą marynarkę i wilgotny ręcznik. Zamknął za sobą drzwi.

- Och, ten sukinsyn! - zawołała Maggy. Spojrzała z odrazą na krawędź balii, gdzie tworzył się szary pierścień. Spróbowała napuścić trochę więcej wody, ale kurek był zablokowany. Wzruszyła ramionami i stanęła w balii, splukując się wodą czerpaną dłońmi. Ucieszyła się, że nie zszarzała. Wyszła ostrożnie z balii i potężnie się otrząsnęła jak ogromny pies, wykręcając włosy z wody. Na szczęście noc była ciepła, a w pokoju wypełnionym gorącą parą było nawet ciepłej.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wrócił Mistral. Maggy wyprostowała się, osłaniając brzuch kapeluszem, a piersi ręką.

- Zapomniałeś zapukać.

- Przepraszam. - Podał jej dwa świeże ręczniki. - Wytrzyj się - śmiało - nie będę patrzył. Masz moją marynarkę - włóż ją, gdy już skończysz. Taksówka czeka.

- Mam nadzieję, że idziemy na kolację w jakieś przyjemne miejsce.

- Tym się pewnie skończy.

- Ty rzeczywiście wiesz, jak sprawić dziewczynie przyjemność.

- Maggy ubrała się w jego marynarkę. Rękawy zwisały jej poniżej kolan, dokładnie skrywając ręce. Objęła się niezdarnie ramionami, by jakoś przytrzymać marynarkę. Wystawały spod niej tylko nagie nogi Maggy. - No, ja jestem gotowa i wyglądam wspaniale, ale ty za to nie najlepiej. Koszulę masz całkiem moką - burknęła.

- Myślę, że oboje wyglądamy... czysto - odparł Mistral prowadząc ją do wyjścia z łaźni. - Dopóki jesteś czysta, reszta jest nieważna.

Stąpając miękko na bosaka, Maggy szła za Mistralem do drzwi frontowych. Przemknęli przez chodnik do czekającej na zewnątrz taksówki.

- Boulevard Arago 65 - Mistral podał adres zdumionemu kierowcy.

* * *

Nadal boso, ale w czerwonym kimonie, które włożyła z uśmiechem zdumienia znalazłszy je dokładnie tam, gdzie było rok temu, zdziwiona, że ciągle wisiało na tym samym haczyku jak jakieś dawne wspomnienie, Maggy weszła do pracowni, która w nocy, gdy nie paliły się światła robocze, była skąpo oświetlona, i rozejrzała się za miejscem, gdzie mogłaby usiąść.

Pracownię, w przeciwieństwie do pustej sypialni, wypełniało mnóstwo sprzętów. Mistral miał zwyczaj odwiedzania okolicznych *brocantes*, handlarzy przedmiotami, których nie można było obdarzyć mianem antyków, ale które z pewnością nie były nowe, i kupowania pojedynczych rzeczy wykrytych jego bystrym wzrokiem, na przykład na wpół zjedzonego przez korniki galionu, ostatnią ocalałą figurę z niegdyś wspaniałego kompletu malowanych cynowych żołnierzy czy wiktoriańskie krzesło obite fioletową satyną oblamowaną galonem.

Jednak choć odkrycia Mistrala wypełniały pokój, nie stanowiły jego umeblowania. Uważając, gdzie stawia nogi, Maggy podeszła do wiktoriańskiego krzesła, które przynajmniej z pozoru do czegoś służyło, i usiadła na nim z westchnieniem ulgi. Przepęniała ją mieszanina ciekawości i poczucia ryzyka. Nie spodziewała się, że kiedykolwiek tu wróci i wieczór był jakby pełen nieśmiałego zdumienia.

- Zupa? - zawołała w kierunku maleńkiej kuchni, skąd dochodziły odgłosy krzątania się.

- Co ty sobie myślisz, że to restauracja? Jeśli mam ochotę na zupę, to wychodzę, żeby ją gdzieś zjeść. Dostaniesz chleb, ser, kielbasę i wino i powinnaś się z tego cieszyć.

- Nie jesteś najlepszym gospodarzem.

- Rzadko mam gości - powiedział Mistral patrząc z irytacją na krojoną przez siebie kielbasę. Wyglądała na dosyć wiekową. Pośpiesznie ustawił na tacy kilka talerzy nie do pary, butelkę wina i dwa kieliszki, z których jeden był wyszczerbiony i wniósł je do pracowni. Na widok siedzącej na fioletowym krześle Maggy, której rude włosy opadały na czerwony japoński jedwab, zatrzymał się w pół kroku. Jakby w kącie jego pracowni zapłonął ogień.

- Nie możesz tam siedzieć.

- Dlaczego?

- To krzesło zaraz się rozpadnie.

- Co więc proponujesz - podłogę?

- Mam w ogrodzie mały stolik - myślałem, że tam możemy zjeść.

- A czy masz w ogrodzie także małe krzeselka? - spytała z nutką rozbawienia w głosie.

- Tak, możesz w to uwierzyć lub nie.

- Ach, w takim razie któż mógłby się oprzeć takiemu przepychowi? -

Maggy wyszła za Mistralem na dwór, gdzie wybujale bzy w pełnym rozkwicie jaśniały nad białym, drewnianym stołem. Na nie koszonej trawie stały dwa krzesła z giętego drewna o oparciach w kształcie serca i z bawełnianymi poduszkami w paski na siedzeniach. Gdy Mistral zapalił długą świecę w niskim, skręconym spiralnie lichtarzu z miedzi, Maggy pochyliła się nad talerzem z kielbasą.

- No, weź plasterek - zachęcił ją.

- Brakuje jej... jakby to ująć... młodości.

- To lepiej nie jedz - powiedział pośpiesznie zestawiając talerz na trawę. - Ser jest chyba w porządku. Czy naprawdę jesteś głodna? Mogę coś kupić - jest taka *charcuterie* otwarta do późna...

- Nie, nie, droczę się tylko z tobą. Ale jadłeś kolację?

- Och.

- O co chodzi?

- Właśnie przypomniałem sobie, gdzie jadłem.

- I?

- Byłem z kobietą... bogatą amerykańską, można by powiedzieć kolekcjonerką, która zaprosiła mnie do tego surrealistycznego domu wariatów.

- W takim razie ma poważny powód do zażalenia. - Maggy uniosła swój kieliszek pochylając się poważnie do przodu i gestem nakazując Mistralowi, żeby uniosł także swój. - Za tę damę, wypijmy za damę, która rozpoczęła dzisiejszy wieczór z monsieur Mistralem. Kto wie, z kim go zakończy? Życzę jej szczęścia.

- Za szczęście - rzekł Mistral muskając jej kieliszek swoim. Gdy pił, znikły wszelkie wspomnienia o Kate Browning. Nic nie istniało poza tym spokojnym, pogrążonym w półmroku zakątkiem wonnego ogródka, tą przestrzenią jakby wyśnioną do istnienia z dala od rzeczywistego świata, przestrzenią, w której muzyka głosu Maggy, bezczelnego, cichego i swobodnego jak woda w strumieniu, odgradzała go od jego poprzedniego życia; przestrzenią, w której znajomy skrawek ogródka został stworzony jakby na nowo, pachnąc świeżo miętą i tajemniczy jak las tropikalny.

Poczuł, że jego wola, silna, krnąbrna wola opuszcza go, jakby opadało z niego ciężkie, zbyt długo noszone ubranie. Poczuł się młodszy o dziesięć lat, poczuł, że zauważa ciepły dotyk kwietniowego powietrza, soczysty szept wysokiej trawy, słodką woń bzu i cierpki smak wina. Śliczna Maggy zaskoczyła go. Nie był na nią przygotowany. Nie spodziewał się jej. Co ona tu robi? Znów wypił i pytanie rozplynęło się, nie w winie, ponieważ nie wypił dużo, lecz w jej widoku.

Mimo braku innego światła oprócz pojedynczej świecy, ozdabiała noc. Przy każdym ruchu jej skóra odbijała światło księżyca. Płomień świecy zapalał w odpowiedzi iskrę w zieleni jej oczu, iskrę tak pełną życia, iż kwietniowy księżyc wtulony w drzewa wyglądał przy niej blado i odległe. Brzmienie jej głosu budziło w nim uczucia niejasnego buntu... nie potrafiłby powiedzieć, przeciw czemu.

Nieomal z niechęcią, jakby wypełniał polecenie, poddał się nieznanemu, przemożnemu rozkazowi. Rzucił się na trawę i ujął w dłoń nagie stopy Maggy, łagodnieje rozcierając.

- Biedne stopy - takie zimne - mruknął.

Milczała. W odpowiedzi na dotyk jego dłoni, dużych, elastycznych,

silnych dłoni, na gorąco i pewną szorstkość jego skóry, przebiegło ją drżenie wywołane uczuciem, którego nie rozumiała. Odrzuciła w tył głowę i zdało jej się, że mgielka gwiazd pulsuje.

* * *

Teraz jego wargi dotykały spodu stóp, delikatnie, pytająco, ledwo muskając skórę. Wstrzymała oddech, bojąc się poruszyć, zahipnotyzowana doznaniem biegnącymi od jej stóp po cebulki włosów, przeszywającymi doznaniem jakby w obcym, po raz pierwszy słyszonym języku, ale co dziwne, zrozumiałym. Zagryzła wargi, gdy jego język dotknął wysklepienia stopy, obrysowując jej kontur, badając, z każdą sekundą nabierając zuchwałości. Jęknęła głośno, gdy poczuła jego zęby ocierające się o jej piętę i spróbowała wysunąć stopy z jego uścisku, ale on tylko wzmocnił uchwyt. Poczowała, jak kolana rozstępują się jej pod japońskim jedwabiem, gdy jego język sunął w górę po jednej łydce, potem po drugiej, znajdując miękką, intymną krzywiznę pod kolanami. - Przestań - wykrztusiła. - Proszę.

Mistral wstał, stanowiąc w mroku potężny kształt, i porwał ją w ramiona. Spojrzał na nią marszcząc czoło.

- Mam przestać? Jesteś pewna? - Pocałował ją delikatnie w usta i cofnął głowę, chcąc zobaczyć jej twarz. - Ach, nie tak pewna, nie tak zupełnie pewna - westchnął i pocałował ją w usta, których soczystość była zmysłowa i zarazem niewinna, powoli całował te wargi wychylające się z jej bladej twarzy jak pełny kwiat.

Pod jego pocałunkami zniknęło zmieszanie i nagły niepokój Maggy. Roześmiała się, nie tylko z czystej przyjemności, ale i z nową nutą w głosie, gdy dał o sobie znać zawsze w niej drzemiący niespokojny duch.

Jej śmiałe wargi przesuwwały się po jego mocnej szyi, a zuchwałymi rękoma sięgała do kędzierzawej głowy, by znów ją przechylić ku sobie. Wyśliznęła się mu z ramion, stanęła na własnych nogach i zuchwale przycisnęła swe smukłe ciało do niego. Przez długą, długą chwilę stali razem, rośli razem jak dwa wysokie drzewa, chwiejąc się lekko, gdy oderwali się od swych ust, a potem znieruchomieli, gdy przyciśnięci do siebie szukali wiedzy poza wszelką wiedzą. Mistral owi wydarł się jęk pragnienia. Rozchylił ciężkie jedwabne kimono, oszalały z potrzeby dotykania ciała, które znał tylko za pośrednictwem oczu, oszalały z potrzeby dotykania jej skóry, trzymania w rękach jej piersi, nauczenia się palcami napiętych pączków jej sutków. Odezwała się jak w transie. - Nie tutaj - w środku. - Potykając się, rozpinając po drodze koszulę, poszedł za nią do sypialni, do tego szerokiego łóżka pod oknem, przez które padało na pościel światło księżyca. Po kilku sekundach stał nagi, naprężony, wspaniały.

- Niech popatrzę - rozkazała tonem takiej pałacej ciekawości, że stanął nieruchomo, a ona podeszła bez śladu rozbawienia i delikatnie powiodła palcami po jego ramionach, piersi i w dół ku talii, zatrzymując się nad nieznanymi powierzchniami, nad żyłastymi mięśniami jego ramion, nad zdumiewająco twardymi sutkami ukrytymi w kędzierzawym zaroście na piersi. Dopiero gdy zaspokoila ciekawość, gdy jego ciało nie stanowiło już dla niej zupełnej zagadki, rozwiązała pasek kimona i pozwoliła mu opaść na podłogę. Położyła się na łóżku czekając na niego.

Nareszcie, pomyślała Maggy, nareszcie. Nie poddała się jego rękom, zachęcała je. Wyginając się i przeciągając jak kot bawiła się nim, biorąc swe piersi w dłonie i oferując je jego ustom, pozwalając mu żarłocznie się

nimi napawać, aż szybkim zwinnym ruchem wyśliznęła się i rzuciła na jego tors szukając wargami jego sutków. Naśladując go ssała je, dopóki nieomal wykrzyknął i przytrzymał ją, nie mogąc znieść podniecenia. - Ach, więc nie mogą się w to bawić dwie osoby? - mruknęła i wkrótce otrzymała odpowiedź, gdy niespokojnymi dłońmi rozsunął jej nogi i nachylił się nad nią, klękawszy na łóżku, gorącymi, otwartymi ustami i drgającym językiem myszkując między jej udami. Wydawało się, że ogarnęła ich ogromna cisza. Maggy znieruchomiała, zeszywniała, niemal tracąc oddech, czekając bez cienia swawoli.

Nadal klęcząc na piętach, trzymając ją w talii obiema rękoma, Mistral wykonał gwałtowny ruch. Była tak wilgotna, że wsunął się o kilka centymetrów, zanim natrafił na przeszkodę. Nie ustawał, zdezorientowany, ale nie posunął się dalej.

- Co... ? - mruknął spalony namiętnością spuszczać wzrok na mroczny trójkąt w miejscu, w którym się zespolicili. Znów spróbował bez powodzenia. Teraz prysł czar znieruchomienia i Maggy zebrała się w sobie z całą odwagą, na jaką ją było stać. Poddała się do przodu, nakazując sobie siłą woli otworzyć się na niego. Napięła każdy mięsień długich, silnych nóg, zakrzywiła palce u stóp, ręce zacisnęła na materacu i wyginając plecy uniosła biodra. Jego nastawiona, rozpalona ostroga stanowiła jedyne centrum wszechświata. Zignorowała błysk bólu i znów rzuciła się w przód, napotykać w pół drogi jego potężne pchnięcie. Nagle znalazł się wewnątrz niej, nagle cała włócznia, od grotu po rękojeść, nagle ciężka pełnia śmiertelnego ciała zagłębiła się w nią i oboje leżeli nieruchomo, dysząc jak równi sobie gladiatorzy, którzy przerwali walkę, by oddać sobie wzajemne honory przed podjęciem jej na nowo.

- Nie wiedziałem - wyszeptał ze zdumieniem tak wielkim, że znajdował tylko banalne słowa.

- Nie powiedziałam ci. Zrobiłoby to jakąś różnicę?

- Nie, nie. - Leżeli teraz na boku, patrząc sobie w oczy. Mistral jedną ręką podpierał jej ramiona, a drugą zapuścił się delikatnie w wilgotną płataninę jej włosów łonowych, odnajdując wrażliwe miejsce, którego szukał, i zaczął je pieścić ukradkiem, wytrwale, bez przerwy, nawet wbrew jej prośbom, aż krzyknęła w radosnym oszołomieniu. Dopiero wtedy sięgnął poważnie po swą przyjemność, ale nadal delikatnie, z niezwykłą u siebie ostrożnością, która wzmagała narastającą gorączkę. Zaskoczyła go swą siłą, gdy w końcu wybuchł w niej z mocą potężnego buhaja.

Kiedy Julien Mistral malował Maggy po raz pierwszy, kiedy po raz pierwszy chciał uchwycić cień leżący między jej piersiami i po raz pierwszy niewiele myśląc zanurzył pędzel w cynobrze i namalował ten cień, usłyszał, jak kosmiczne „Aha!” wstrząsnęło jego mózgiem. Oszołomiony, nieomal zbity z nóg zobaczył, zobaczył tak, jak nigdy przedtem, zobaczył wnętrznościami, gwałcąc płótno pędzlem, który wyrwał mu się prawie spod kontroli, z palcami zdrtwiałymi od tego odkrycia i temperaturą ciała tak wzrosłą, że musiał zedrzeć z siebie koszulę, płonąc taką niecierpliwością uchwycenia swej wizji, że w końcu rzucił pędzel i wyciskał farbę na płótno bezpośrednio z tubek.

Nareszcie malował tak, jak zawsze wiedział, że potrafi, bez zahamowań, bez wyrachowania, czując swobodę tak ogromną, jakby ściany i sufit pracowni zostały zburzone, a on stał pod błękitnym, otwartym niebem.

Maggy obserwowała go zafascynowana, leżąc bez ruchu na stercie zielonych poduszek, nie śmiejąc drgnąć, aż długo po upłynięciu godziny przerwał w końcu atak na płótno i padł obok niej promieniejący i zlany potem.

Gestem, o jakim nigdy przedtem nie marzył, wytarł swe unurzane w farbie ręce o jej włosy łonowe, piętnując ją smugami zieleni i tycjanowskiej czerwieni, jak gdyby była innym rodzajem płótna. Nie zdejmując spodni rozerwał je i rzucił się w nią gwałtownie, wciskając ją w poduszki swym wielkim, rozpalonym, wilgotnym ciałem, aż wreszcie doznał potężnego wyzwolenia, które powitał rykiem tryumfu.

Mistral malował Maggy, a tygodnie mijały. Wiedział, że inspiracją

dla jego przełomu było coś we wzajemnym oddziaływaniu światła i jej ciała. To nie była tylko kwestia techniczna, zjawisko, które dałoby się wytłumaczyć przezroczystą bielą jej skóry albo tym, jak jej włosy załamują się w strzały ognia czy też faktem, że jego wyobraźnia była gotowa - dlaczego, ani wiedział, ani dociekał. W uchwyceniu jej szczególnych cech fizycznych i użyciu ich do dokonania skoku w przód grało rolę także jego duchowe przekonanie, że światło wypływa z wnętrza jej ciała, emanuje z niej, tak że kiedy ją malował, samo płótno stawało się źródłem światła. Maggy wiedziała, że przydarzyło mu się coś niezwykle ważnego, ale gdy go o to zapytała, znalazł tylko kilka niewiele wyjaśniających słów. Ponieważ doświadczenie to nie było intelektualne, wymykało się słowom i Mistral odczuwał zabobonny lęk sprawiający, że nie chciał o tym mówić.

Po tej pierwszej kwietniowej nocy nastąpiła jedyna doskonała wiosna w życiu Maggy. Do niej będzie porównywała wszystkie inne wiosny i ocena będzie wypadać niekorzystnie dla nich, i przeżywając ją Maggy obserwowała także siebie. Tą częścią umysłu, która nie odczuwa emocji, a jedynie rejestruje oraz magazynuje wspomnienia, wiedziała, że to jej złoty wiek. Mądrość wrodzona wszystkim kobietom utwierdzała ją w przekonaniu, że nic tak cudownego nie trwa wiecznie, a jednak, gdy dzień następował za dniem, nigdy nie spoglądała w przyszłość, nigdy się nad nią nie zastanawiała, nigdy nie zadawała sobie pytania, co będzie jutro. Każdy dzień był wystarczający, okrągły, pełny i skończony jak jabłko w słońcu.

Dla Mistrala był to także czas niezrównanej radości, ale przede wszystkim był malarzem, a dopiero potem mężczyzną i jego szczęście wypływało bardziej z pracy niż z obecności Maggy.

Po balu surrealistów Julienowi Mistralowi nigdy nie przyszło do głowy, że Maggy ma życie, które może nie pozwalać jej na pozowanie wyłącznie jemu siedem dni w tygodniu. Zabrał cały jej czas jako prawnie mu należny, oczekując od niej, że będzie utrzymywać pozę przez nienormalnie długi czas, ponieważ on sam był niezmordowany i nigdy nie przerywał pracy, dopóki mięśnie Maggy tak jej nie rozboleły, że musiała błagać o odpoczynek. Z egoizmem tak absolutnym, że aż królewskim, zakładał, że całkowicie jej odpowiada porzucenie dotychczasowego życia, wyprowadzenie się z jej mieszkania i dzielenie z nim jego pracowni, zapomnienie jej kręgu przyjaciół, życie bez zwykłych rozrywek, pozbycie się wszystkich pozorów wolności. Gdy rzucał pędzle, rzeczą najzupełniej naturalną było to, że czeka na niego, by rozładować jego twórcze napięcie, otwierając swe ciało na jego wygłodniałą, gwałtowną miłość.

Maggy nie kwestionowała beztróskich przekonań Mistrała. Dawała mu siebie na wszystkich płaszczyznach z pełną prostoty hojnością, jakby była polem wysokich kwiatów rosnących tam jedynie po to, by mógł je zrywać, kiedy tylko miał na to ochotę.

Godzina za godziną z chęcią wytrzymywała skupienie jego spojrzenia wiedząc, że o niej nie myśli ani nawet nie widzi jej jako Maggy. Jej miłość nie prosiła dla siebie o nic prócz zaspokojenia płynącego z obserwowania go przy pracy. Był człowiekiem trawionym tak wielką pasją tworzenia, że uznała ją za świętą. Dwa miesiące, podczas których Mistral namalował siedem portretów Maggy, cykl, który później został nazwany *La Rouquinne*, „Rudowłosa”, były miesiącami, które wkrótce miały zamienić się dla nich w legendę, jakby kiedyś połączyli się w heroicznej przygodzie nigdy przedtem nie doświadczonej przez człowieka. Cykl ten

stał się kamieniem milowym w historii sztuki, ale żadne z nich nigdy nie miało o tym rozmawiać.

Pod koniec maja 1926 roku Mistral był na tyle pewien swych nowych możliwości, że zaatakował nowe tematy. Gdy skończył siódmy portret Maggy, przestał się interesować aktami równie szybko, jak poprzednio zaczął je malować. Zwrócił się teraz ku martwej naturze. Jego zaniedbany ogród ciężki od czerwcowych kwiatów, każdy kąt jego zagraconej pracowni, kolorowej od strzępków materiału jak pchli targ, wazon fioletowych i białych astrów, przekrojony na pół melon - wszystko to przedstawiało się jego nowo odkrytemu widzeniu jakby po raz pierwszy. Wszystkie te przedmioty żyły z taką oczywistością jak żyła Maggy. Padało na nie światło, którym oddychały. Świat odmłodził.

Mistral malował wyłącznie z natury i przy pomocy swego roztańczonego umysłu na zawsze zmienił sposób widzenia świata przez ludzi. Z wyczuciem rytmu właściwym rozbójnikom, z brawurą pirata wyzwolił w sobie atmosferę zabawy, z którą stracił kontakt od czasów dzieciństwa. Plądrował tajemne zakamarki swego ducha, otwierając je na słońce, powietrze i wiatr, używając pędzli, jakby to była trąbka, której dźwięki mogły przed nim otworzyć bramy niebios.

* * *

Zniknięcie Maggy z życia *quartier* u Mistrala wywołało burzę plotek, a kiedy zwolnił ją od pozwania dla niego, jej pojawienie się spowodowało dalsze pytania.

- Oczywiście - rzekła Paula - zrobiłaś to wszystko w imię miłości?

- Paula! - odpowiedziała wstrząśnięta Maggy. - Chyba nie spodziewasz się, że poproszę go o pieniądze!

- Nie, niestety chyba nie mogę się tego spodziewać! Boże, jakie kobiety są głupie.

- Ty po prostu nic nie rozumiesz - powiedziała łagodnie Maggy. Czowała się zbyt szczęśliwa, żeby się rozgniewać.

- Przeciwnie. Doskonale rozumiem i całkowicie potępiam. To *la folie furieuse* - należało się tego spodziewać - ale nie myśl, że ci pogratuluję. Sądziłam, że nauczyłaś się profesjonalnego zachowania.

- Jeśli ci o to chodzi, stara cyniczko, to Julien dał mi mój ulubiony obraz - największy i najlepszy z nich wszystkich i ten, który mi się najbardziej podoba - pierwszy, jaki namalował ze mną, ten z zielonymi poduszkami.

- Cudownie! Całe miesiące pracy i jesteś właścicielką obrazu artysty, na którego prace nie ma popytu! Och, Maggy, nigdy nie sądziłam, że skończysz jako służąca malarza. To dobre dla innych dziewcząt, a nie dla ciebie - krzyczała Paula, zbyt wytrącona z równowagi, by ukrywać swe uczucia. - A teraz, kiedy na chwilę przestał cię malować, teraz, kiedy masz czas, żeby wrócić do pracy, za którą dostajesz pieniądze, pewnie dajesz mu to, co zarobisz pozując dla innych?

- Tak nie można - zaprotestowała Maggy. - Julien pracuje jak oszalały i nie ma grosza - naturalnie, że się dorzucam i płacę za różne rzeczy - to naturalne, ale tylko do czasu, gdy zacznie sprzedawać swoje obrazy, Paula.

- Powiedz mi, co Julien Mistral robi dla ciebie poza malowaniem twoich aktów i pozwalaniem, byś dzieliła z nim łóżko?

- Och! - Maggy nie mogła uwierzyć, że Paula tak źle rozumiała naturę więzów łączących ją z Mistralem.

- „Och” - powiedziała gęś - rzekła Paula surowo. - A kto gotuje, kto sprząta pracownię, kto nosi bieliznę do prania - albo, broń Boże, sama ją pierze - kto pilnuje, żeby nie brakowało wina i idzie rano po rogaliki, parzy kawę i ściele to tak często używane łóżko? Czy monsieur Mistral robi to wszystko w zamian za pieniądze, które przynosisz do domu?

- Ależ ty potrafisz być śmieszna, Paula. Oczywiście, że on nie ma czasu na takie rzeczy. Przecież ja sama ledwo mam czas - kupuję tylko coś w *charcuterie* i robimy sobie piknik...

- Ani słowa więcej! - rzekła Paula. Było gorzej, niż podejrzewała. Wszystkie znane jej kobiety, które żyły z malarzami, a знаła ich bardzo dużo, źle kończyły. Malarze, nawet niedobrzy malarze, mają ego ogromnego niemowlęcia. Jak potworne dzieci, każdy z nich jest środkiem swego własnego wszechświata, a inni ludzie istnieją na orbicie wokół nich jedynie po to, by zaspokajać ich potrzeby.

Czasami, gdy Paula była w życzliwym nastroju, przyznawała, że walka malarza o uznanie w świecie, w którym jej osobistym zdaniem namalowano już największe dzieła, jest tak wyczerpująca, że wyłącznie ktoś o wielkim ego może traktować się na tyle poważnie, by wytrwać. Może nie mając takiego ego musieliby się poddać i zostać urzędnikami bankowymi. Możliwe, że między nimi i zupełną paniką leży jedynie ich ego. Jednak wcale jej nie obchodziło, dlaczego malują, skoro czego rozsądnie nie rozgłaszała jedna wizyta w Luwrze wystarczyłaby, żeby popodcinali sobie w rozpaczy żyły. Nie miała dla nich ani za grosz współczucia, jeśli chodziło o los kobiety. Czasami, trzeba uczciwie przyznać, czasami malarz żenił się ze swoją modelką i czasami nawet zostawali małżeństwem, jak stary dobry Monet, który malował ogrody i

grządkki lilii, bo jego żona zagroziła, że go opuści, jeśli sprowadzi do domu modelkę, ale to było dawno temu.

Paula nie żywiła żadnych złudzeń co do Mistrała. Nie dowierzała takiej niedbałej, bezspornej urodzie u mężczyzny. To niepokojące i nieprzyzwoite. Uroda, mówiła sobie, powinna być zarezerwowana dla kobiet, które jej potrzebują do stawienia czoła światu.

Przecież nawet ona, Paula Deslandes, która nie lubi Mistrała, łapała się na przyglądaniu mu się na ulicy, gdy przechodził jak rozbójnik, zastanawiając się, jakby to było leżeć po kochaniu się, ciepła i lepka, pod nieopanowaną opieką tego ogromnego, muskularnego ciała; łapała się nawet na myśleniu, że gdyby nadal była młoda, poskromiłaby go, tego aroganckiego pyszałka, o którym wiedziała z całą pewnością, że pogrązał się na krótko w namiętność kolejno z tuzinem dziewcząt na Montparnasse. Nie, to nie jest potencjalny mąż dla nikogo. A jako kochanek - och, dlaczego Maggy nie mogła sobie znaleźć jakiegoś mniejszego samoluba?

La vie boheme, pomyślała Paula z ciężkim sercem, zawsze było tylko poetycką różową fantazją, a tu jej Maggy, jej własna, kochana Maggy, jeszcze niewinna, myśli, że właśnie to przeżywa.

- Mniejsza o to - rzekła Paula ocknąwszy się z zadumy. - Wczoraj wieczorem przegrałam pięćdziesiąt franków w pokera kośćmi i mam podejrzliwy stosunek do ludzkiej natury, szczególnie swojej. Nie zwracaj na mnie uwagi.

- Tak właśnie robię - odparła szczerze Maggy.

* * *

Gdyby Paula więcej wiedziała o Mienie Mistrału, może rozumiałaby go lepiej, ale wcale nie przejmowałaby się mniej miłością Maggy do

niego.

Malarz urodził się i wychował w Wersalu. Był jedynakiem. Gdyby oboje rodzice byli w domu, kiedy dorastał, mógłby zaznać normalnej rodzinnej atmosfery, lecz jego dzieciństwo było dziwnie jałowe, pozbawione śmiechu.

Jego ojciec, inżynier budujący mosty na zlecenie rządu francuskiego, wiele czasu, jeśli nie cały rok, spędzał w koloniach, a jego matka była dość zadowolona z takiego - układu. Prawdopodobnie zaakceptowałyby każdy styl życia, który pozwoliłby jej oddawać się haftowaniu, jedynej rzeczy, która naprawdę ją interesowała. Wyszywała wspaniałe szaty kościelne z oddaniem, które nie miało nic wspólnego z religią, choć pewnie byłaby szczęśliwsza jako zakonnica. Bez kawałka haftowanego materiału w ręku szybko stawała się niespokojna, skora do płaczu i w końcu zła.

Madame Mistral dbała o potrzeby syna, gdy był niemowlęciem, ale gdy tylko można było posłać Juliana do Ecole Maternelle, z czystym sumieniem zostawiła go własnemu losowi. Chłopiec był zdrowy i prawidłowo zbudowany, służący karmił go, utrzymywał w czystości i odprowadzał do szkoły.

Od pewnego punktu w przeszłości, który leżał tak daleko, jak sięgała jego pamięć, Julien zawsze wiedział, że większość z tego, czego mógł się nauczyć w szkole, nie była warta zachodu. Żył dla innych wiadomości, dla lekcji, których uczył się sam. Jak wszystkie dzieci był naturalnym artystą, rozporządzającym podstawowym zestawem symboli na oznaczenie ludzi, domów, drzew, słońca.

Zanim skończył sześć lat, zanim większość dzieci rozkochuje się w realizmie w swoich rysunkach, Julien zaczął używać oczu do złożenia

rysowanych elementów w spójną całość, w kompozycję. Wkrótce żył tylko dla kartek papieru, które nosił w teczce szkolnej, cennych ołówków, które zawsze były tak ostre, kolorowych pastelów, na które wydawał całe kieszonkowe. W miarę jak rysowanie stawało się punktem, wokół którego skupiało się całe jego istnienie, coraz mniej posługiwał się słowem, coraz mniej zdawał sobie sprawę z upływu czasu, koncentrując się na kwestiach ostatecznych: kształcie przedmiotów, relacji jednego kształtu względem innych i relacji wszystkich kształtów względem całości. Gramatyka, ortografia, matematyka i nawet samo czytanie nie miały żadnego związku z zasadniczymi problemami wzoru i struktury, którymi zajęty był jego umysł.

* * *

Gdy nauczyciele zwrócili na to uwagę jego matce, zgodziła się, że jego brak skupienia jest godny ubolewania. Lecz nawet potężny francuski system nauczania nie potrafi zmusić do osiągania dobrych wyników dziecka, kiedy nie dba ono o opinię innych, kara jest dla niego tylko drobną przykrością, a matka zapomina o jego przewinieniach w chwili, gdy uda jej się uciec z gabinetu dyrektora.

Julien niczym się nie przejmował. Uznany przez nauczycieli za tępaka zajmował ostatnie miejsce w każdej klasie do czasu gdy dorósł na tyle, że mógł opuścić szkołę. Jego koledzy już przed laty porzucili próby porozumienia się z tym nieobecnym chłopcem, którego odizolowanie było tak całkowite, że już dawno przestało stanowić dla nich wyzwanie. Gdyby był nieśmiały, może dałby się tyranizować, ale jego nieskrywany brak zainteresowania kolegami chronił go przed nimi równie dobrze jak jego niezwykły wzrost i siła.

W wieku siedemnastu lat, gdy jego koledzy zgłaszali się na ochotnika do walki z Kaiserem, Mistral wstąpił do prywatnej szkoły artystycznej w Paryżu, gdzie aż do zdania egzaminu do Ecole des Beaux-Arts pracował błyskotliwie w duchu akademizmu. Po kilku latach na Sorbonie począł nie zgadzać się z każdym tradycyjnym podejściem do sztuki. Powtarzał najpierw tylko sobie, a potem już otwarcie, że sztuki nie można nauczyć. „Techniki tak, koloru tak, anatomii tak... co do reszty - nie”. Porzucił Beaux-Arts gdy miał zaledwie dwadzieścia jeden lat i jego ojciec bez protestu przysyłał mu z Algierii pieniądze na życie do czasu, gdy w rok później zmarł. Gdy Mistral miał dwadzieścia trzy lata, zmarła także jego matka i oprócz zapisu dla najlepszej przyjaciółki, to niewiele, co posiadała, zostawiła swemu jednemu dziecku.

W tej chwili Julien Mistral miał prawie dwadzieścia sześć lat i nadal był nieznany w świecie sztuki, nie licząc reputacji, jaką sobie wyrobił wśród niektórych swych rówieśników. Wszyscy właściciele galerii i handlarze sztuki stanowili dla niego jedną kategorię wrogów. Gdy Mistral usłyszał, że Marcel Duchamp nazwał handlarzy sztuki „wszami na grzbietach artystów”, zaryczał, że Duchamp nie posunął się wystarczająco daleko.

- A co z Cheronem, który zapłacił Zadkinowi dziesięć franków za sześćdziesiąt rysunków? To ten sam gnojek, który Foujicie rzucił siedem franków pięćdziesiąt centymów za akwarelę! Tylko wszy? Powinno się go powiesić, odciąć, gdy będzie jeszcze oddychać i wypruć z niego flaki. Dwadzieścia franków dla Modiglianiego za portret - to obrzydliwe.

Jednak jego spadek prawie zupełnie się wyczerpał, a Kate Browning, ta wymuskana, bogata Amerykanka, która zaprosiła go na bal surrealistów,

nie wróciła, by kupić jeszcze jeden obraz. Mistral zastanawiał się, czy może powinien napisać do niej z przeprosinami za zniknięcie? Zastanawiał się nad tym pomysłem krótko, po czym odrzucił go i wrócił do sztalug.

Katherine Maxwell Browning z Nowego Jorku miała niewielki talent. Bardzo, bardzo niewielki talent i, co nieskończenie gorsze, prawie o tym wiedziała. Miała dużą inteligencję i dobre oko jeśli chodzi o piękno, urodziła się z bolesną zdolnością doceniania tego, co najlepsze, aspirowania ku niemu, lecz bez umiejętności tworzenia go. Mówiła o sobie jako o rzeźbiarce, a jej rodzina zamożnych maklerów myślała o niej z podziwem i zdumieniem jako o prawdziwej artystce, ponieważ nikt w jej rodzinie ani nie posiadał gruntownej wiedzy o sztuce, ani jej nie pragnął. Nawet wykładowcy na uczelni zachęcali ją do pracy w tym kierunku. Zawsze potrafiła wykryć i zdeptać prawdę o własnym talencie, zanim przebiła się do jej świadomości.

Kate Browning przyjechała do Paryża na początku roku 1925, by studiować u Brancusiego, ale on nie chciał mieć z nią do czynienia. Jednak profesor opiekujący się atelier w Beaux-Arts, gdzie następnie udała się Kate, był na tyle łagodny, że przyjął ją, nawet kiedy pokazała mu wymagane fotografie swych najlepszych prac z uczelni. Spodziewał się, że kiedy już postawi innym studentom obowiązkową kolejkę drinków, to pojawi się na kilku zajęciach i po cichu odpadnie, jak robiło to w tamtych czasach tylu Amerykanów.

Jego postępowanie nie było podyktowane niefrancuskim, nietradycyjnym pragnieniem bycia uprzejmym dla cudzoziemców, lecz bardzo francuskim uznaniem jej nieskazitelnej urody - wyglądu tak spokojnie wymownego jak siła woli, która pchała tę zasadniczo

nieuzdolnioną kobietę do usadowienia się w sercu artystycznego życia świata.

Miała dwadzieścia dwa lata i rzadki, doskonale owalny kształt głowy, który pozwalał jej bezkarnie dzielić pośrodku jej krótkie, popielato - blond włosy. Wysokie czoło górowało nad cienko wyskubanymi brwiami, a wystające kości oczodołów nadawały jej twarzy wyrazistość, której mogłaby ją pozbawić bezlitosna regularność jej rysów. Kate miała szare oczy, szczupły nos, cienkie wargi i ostry podbródek, a jednak to właśnie te twarde linie wraz z cudownie ukształtowaną głową robiły z niej uderzającą kobietę.

Wczesną wiosną 1926 roku Kate Browning, która mówiła po francusku z wyuczoną płynnością, słownictwem nadrabiając braki w artykulacji, została zaproszona przez jednego z kolegów z Beaux-Arts do odwiedzenia Mistrała w jego pracowni.

Od pierwszego dzikiego skoku, jakim jego płótna zaatakowały jej wyszkolone, lecz elastyczne oko, zaczęła ją trawić żądza posiadania prac tego mężczyzny. Ona wiedziała. Spojrzała na jego prace, zanurzyła się w wielkiej rzece koloru i wiedziała raz na zawsze. Nigdy nie miała najmniejszej wątpliwości, teraz czy kiedykolwiek indziej, że Julien Mistral jest największym malarzem swych czasów i że w końcu inni się z nią zgodzą.

Jednak Kate była na tyle sprytna i zdyscyplinowana, by oprzeć się żarłocznemu impulsowi kupienia jak największej ilości obrazów Mistrała. Przy pierwszym spotkaniu spokojnie słuchała, jak miota pioruny na prywatnych kolekcjonerów.

- Znałem takich, którzy kupują wszystko, co nieszczęsny malarz chce

im sprzedać, biorą wszystko po okazyjnych cenach i czekają, aż rynek dogoni ich gusta. I wtedy hop! Wielkie zyski! Są nawet gorsi niż handlarze - z handlarzem przynajmniej wiadomo, kiedy jest się okradanym.

Julien Mistral wrzeszczałby z oburzenia, gdyby ktokolwiek dał mu do zrozumienia, że kiedy jeszcze to mówił, Kate widziała się jako jego przyszła protektorka, opiekunka jego talentu, strażniczka jego kariery. A jednak od tego dnia budziła się w środku nocy z myślą o nim, planując uczynienie go tak sławnym, jak była przekonana, że na to zasługuje.

Jej zachłanną naturę tylko nieznacznie przykryła gładka powłoka cywilizowanych zasad. Była przebiegła, bardzo przebiegła i równie nieustępliwa. Pod skromną osobowością prezentowaną światu kłębiły się prymitywne siły, które teraz zaprzęgała w służbę cierpliwości. Starannie wybrała jedną z prac Mistrala i po miesiącu kupiła następną. Pilnowała się, ponieważ od początku pojęła, że mimo trudnej sytuacji finansowej, którą natychmiast wychwyciła spostrzegawcza natura właściwa bogatym ludziom, Mistral żywi głęboką podejrzliwość względem każdego, kto Wydawał się zainteresowany posiadaniem fragmentu jego samego. Bo czymże była jego praca, gdy ciskał swą osobowość na płótno?

Udało jej się bardzo niezobowiązująco zaprosić Mistrala na bal surrealistów i kiedy zniknął z Maggy, mruknęła do siebie tylko „cierpliwości” nie chcąc wziąć jego postępowania za obrazę.

Czy decyzja Kate Browning zrodziła się z faktu, że poświęcając się dla pracy Mistrala mogła odsunąć na bok swe własne mierne zdolności bez konieczności usprawiedliwiania się, nawet przed sobą? Czy zrodziła się ona z tej samej doskonałej okazji zaniechania z honorem własnych, bezowocnych wysiłków tworzenia? A może nagrodą, jakiej się

spodziewała, był sam Mistral, a nie jego dzieło? Czy ten szorstki, rozpustny, nieobecny mężczyzna nie był tym, co interesowało ją najbardziej? Ten rudy, wysoki mężczyzna, który porusza się z takim wdziękiem człowieka nawykłego do otwartych przestrzeni, którego twarz jest tak niezapomniana w swym pięknie, w swej sile?

Nigdy nie zadawała sobie w środku nocy tych pytań ani odpowiedzi na nie nie miałyby znaczenia. Wszystko zlało się dla niej w całość w jednej chwili świadomości i na swój skąpy, drapieżny i całkowicie stanowczy sposób Kate Browning wybrała ścieżkę swego życia.

* * *

Gdy w pewne sobotnie popołudnie na początku czerwca Maggy stała w kuchni Mistrala nucąc do siebie i obierając ziemniaki, usłyszała stukanie do drzwi frontowych. Rzuciła okiem do pracowni, gdzie malował Julien. Kiedy stukanie powtórzyło się, nie usłyszał go. Maggy otworzyła drzwi z lekkim zaciekawieniem. Na zewnątrz stała młoda kobieta o delikatnej budowie ciała, wyraźnie opanowana i o wiele za elegancka dla tego otoczenia. Miała na sobie nieskazitelną białą sukienkę z krepdeszyny, ozdobioną misterną мереżką i obrębioną w muszelki, a głowę przykryła głębokim białym kapeluszem w kształcie hełmu z najdelikatniejszej słomki. Maggy pomyślała, że towarzyszący jej mężczyzna wygląda jak wieśniak ubrany na wizytę w wielkim mieście, jakby dopiero co porządnie się wyszorował i wbił w jedyny przyzwoity garnitur.

- Czy monsieur Mistral jest w domu? - spytała kobieta.

- Tak, ale pracuje. - Maggy nie ośmieliłaby się przeszkodzić mu dla kaprysu przypadkowego gościa.

- Ale on mnie oczekuje, mademoiselle - odparła Kate z uprzejmym

uśmiechem.

- Nie powiedział mi... - Maggy przerwała, gdy Kate szybko przeszła obok niej. Patrzyła z otwartymi ustami, jak para wchodzi do pracowni. Mistral odłożył pędzle ze złością, ale podszedł do Kate i uściśnął jej rękę marszcząc czoło.

- Ach! Rzeczywiście zapomniałeś, Julien. Nie szkodzi - powiedziałam Adrienowi, że nie sędzę, żebyś na nas czekał. Adrien, to jest Julien Mistral - Julien, to jest przyjaciel, o którym ci pisałam, Adrien Avigdor. - Gdy mężczyźni podawali sobie ręce, Kate roześmiała się towarzyskim śmiechem, śmiechem z salonów, śmiechem, który mógł pokryć każdą sytuację swą charakterystyczną nutą całkowitej pewności siebie i przekonania, że wszystko, co właściciel tego śmiechu robi czy mówi, jest właściwe.

Maggy pośpiesznie zdjęła fartuszek i wytarła w niego ręce. Była bosa, jak zwykle, i miała na sobie bawełnianą sukienkę w kwiaty bez rękawów, którą nosiła tylko w kuchni. Ściągnęła do tyłu ramiona i gibkim, długim krokiem wmaszerowała do pracowni. Dzięki Bogu, że jestem wysoka, pomyślała ściskając ręce Kate Browning i Avigdora, którzy oboje byli niżsi od niej. Zastanawiała się, dlaczego Julien nie ostrzegł jej, że spodziewa się gości? To pewnie o tym mówiła wiadomość na błękitnym blankiecie telegraficznym, który otrzymał wcześniej tego dnia, a po przeczytaniu odrzucił od siebie, mrużąc coś z irytacją.

- Kieliszek czerwonego? - usłyszała propozycję Mistrala. - Usiądźcie gdzieś - rzekł z nieokreślonym gestem. - Maggy, przynieś wino.

Przetrząsając kuchnię w poszukiwaniu czterech całych kieliszków Maggy poczuła, jak od jej krtani do czoła wznosi się fala gorąca. Niech go

diabli za to, że jej nie powiedział. Ta kobieta wygląda, jakby dopiero co zeszła z jachtu - a więc to jest ta Amerykanka, którą porzucił w wieczór balu. Nie mówił, że jest młoda i ładna. I ta cudowna sukienka! Och, co za sukienka! Dlaczego odwiedzają slumsy? Avigdor nie może być jej chłopakiem - wygląda na zbytniego prostaka, żeby nawet ją znać - ale jego nazwisko jest jakby znajome. Znalazła prawie pełną butelkę czerwonego wina, zadowolona się czterema nie pasującymi do siebie kieliszkami, dwoma wyszczerbionymi i dwoma całymi - do diabła z odgrywaniem pomywaczki - i wniosła wszystko do pracowni.

Podczas gdy Mistral nalewał wino, Kate podtrzymywała swój szczebiot przeciągając z amerykańską samogłoską, co uroczo kontrastowało z formalną poprawnością jej francuskiego. Maggy zauważyła, że Adrien Avigdor rozgląda się po pracowni nieuważnym wzrokiem człowieka, który myśli o swych warzywach i zastanawia się, czy przed wieczorem spadnie deszcz. Wydawało się, że prawie nie słucha Kate, ale gdy tylko na chwilę przerwała swe uwagi, odezwał się bezpośrednio do Mistrała.

- Widziałem te dwa obrazy, które kupiła od pana Kate. Bardzo mi się podobały.

- Napisała mi o tym - odparł Mistral zbywając go szorstko, jakby komplement był fałszywy.

Niech go jeszcze raz diabli, pomyślała Maggy. Jeśli ten gospodarz jest tylko potencjalnym klientem, Julien mógłby przynajmniej być uprzejmy. Ciekawe, czego mamy używać jako pieniędzy, gdy pójdę na targ? Sklepikarze nie pozwolą mi brać jedzenia na rachunek, tak jak udaje mu się z farbami. To moje franki wydajemy.

- Czy mogę się rozejrzeć? - spytał Avigdor ze szczerymi jasnobłękitnymi oczyma promieniejącymi otwartością w jego okrągłej twarzy. Wzbudzał wrażenie sympatii i zaufania, przyzwoitości i uprzejmości, na które Maggy zareagowała mimo niezadowolenia z tej niespodziewanej wizyty.

- Posłuchaj, Avigdor, handlarze jak ty nie rozglądają się tak po prostu - rzekł Mistral, nagle rozzłoszczony. - Nie odwiedzasz malarzy w sobotnie popołudnia dla zabicia czasu, tylko po to, żeby wsadzić sobie coś do kieszeni, nie uważaj mnie za głupca. Przecież to handlarze jak ty...

- Panie Mistral, popełnia pan błąd - przerwał mu łagodnie Avigdor. - Proszę nie osądzać wszystkich handlarzy jednakowo, to naprawdę niesprawiedliwe z pańskiej strony. Weźmy Zborowskiego - przecież w końcu podbił cenę Modiglianiego do czterystu pięćdziesięciu franków za portret, co? A kto inny potrafiłby zainteresować tego Amerykanina Barnes'a Soutinem? Proszę też pamiętać o kilku innych uczciwych pośrednikach. Co z Baslerem, Couquotem i poetą Francisem Carco - przecież nie może mi pan powiedzieć, że wszyscy oni są nieuczciwi, prawda?

- No dobrze, jest kilka, jeden, może dwa wyjątki, ale o ile chodzi o mnie, handlarze jako grupa są zwykłymi złodziejami, dziwkarzami i głównym pierwszej klasy!

Jego słowa przywitał spokojny, dźwięczny śmiech Kate. - Dobrze powiedziane, Julien! Ale tak jak ci pisałam, Adrien jest jeszcze jednym wyjątkiem. Inaczej nie ośmieliłabym się go tu przyprowadzić. Czy może się więc rozejrzeć? A jeśli już o to chodzi, to czyja też mogę? Nie widziałam twoich prac od kilku miesięcy.

- Proszę, proszę, skoro już tu jesteście - mruknął niegrzecznie Mistral. - Ale nie spodziewajcie się, że zostanę i będę was obserwował. Nie znoszę ludzi mówiących to, co uważają, że muszą mówić oglądając obrazy. Dopóki nie skończycie, będę w ogrodzie. Chodź, Maggy. I weź butelkę.

Gdy zostali sami w pracowni, Adrien zaczął obchodzić pokój, bacznie przyglądając się obrazom na ścianie.

- Nie, Adrien - powiedziała niecierpliwie Kate. - Obejrzyjmy nowe prace... resztę możesz sobie obejrzeć później. - Zaczęła wyciągać duże płótno stojące na podłodze i przechylone do ściany tak, że nie było widać, co przedstawia. - Pomóż mi z tym.

Avigdor szybko i sprawnie odwrócił wszystkie obrazy, które Mistral postawił niedbale pod ścianą. Teraz wszystkie były obrócone na pokój. Ustawiając je jeden obok drugiego nie zatrzymywał się, aby na nie popatrzeć. Pracował z pośpiechem włamywacza bojąc się, że Mistral zmieni zdanie i lada moment wróci do pracowni. W końcu wszystkie płótna zostały właściwie ustawione i oboje z Kate stali otoczeni przez nie, patrząc w milczeniu. Avigdor sapał z wysiłku, a Kate drżała z podniecenia i innego uczucia, którego nie potrafiła nazwać, uczucia, z powodu którego czuła gniew, wściekły gniew.

Przesuwając oczy z jednego aktu Maggy na drugi Adrien Avigdor pomyślał, że to jak przyciskanie swej nagości do żywego ciała, jak uctowanie, pożeranie, dosłownie zjadanie młodości. Ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że chce się wytarzać w tych obrazach, on, który ufał jedynie swemu spokojnemu osądowi, aż do bólu pragnął rzucić się na nie i wytarzać się wierzgając nogami z nagromadzonego podniecenia. Te

obrazy z dziewczyną - ach, mógłby je pokryć! Podniecały go o wiele bardziej niż żywa Maggy.

W końcu oderwał się od siedmiu dużych płócien i zwrócił się ku martwym naturom. Patrząc na nie miał wrażenie, że jest na dworze i przepelniony pogańską błogością leży w wysokiej, słodko pachnącej trawie, nieświadom niczego prócz powodzi zmysłowych doznań. Biegał od obrazu do obrazu jak szczeniak za kością, nie potrafiąc kontemplować żadnego z nich dłużej niż kilka sekund, ponieważ wzywał go już następny, widziany kątem oka.

Kate obserwowała go i czuła twardniejące w niej kryształy tryumfu. Mimo że była przekonana o geniuszu Mistrała, z napięciem czekała na reakcję Avigdora. W opinii wielu ludzi był on najbardziej przenikliwym handlarzem sztuki awangardowej swych czasów. W ciągu jednego tylko roku jego nowa galeria na rue de Seine była sceną kolejnych udanych wystaw dzieł grupy nowych artystów, którzy przedtem nie wystawiali wiele, i Avigdor stworzył szybko rozrastający się rynek dla swych odkryć.

Odwróciła się do aktów plecami. Pomyślała, że jest w nich coś, co napawają krańcowym obrzydzeniem, coś przyprawiającego o mdłości. Ale inne prace! Była nimi zdumiona. Wcześniejsze obrazy Mistrała wiszące jeszcze na ścianach, a także jej dwa własne, bladły w porównaniu z tą nową energią, z wybuchem witalności, która przesyciała wszystkie jego martwe natury. Oto pojedyncza, ogromna cynia o podwójnym kręgu sztywnych, różowych płatków unosi się na tle nieba wchłaniając w siebie istotę każdego kwiatu, jakkolwiek rósł na ziemi. Obok cynii wielkie płótno przedstawiające kąć pracowni, w którym z każdego znajdującego się przedmiotu emanowała tak potężna siła życia, że tajemnica obrazu

rosła tym bardziej, im dłużej Kate mu się przyglądała, aż w końcu obraz przesłonił całe swoje otoczenie, a Kate poczuła się oszołomiona, zdumiona, przygnieciona. Wszędzie w pracowni czuła się tak, jakby w ścianach były powybijane przejścia do krainy zdumienia.

- No więc? - W końcu odezwała się Kate do Avigdora po angielsku, którym dobrze władał. Dla niej zawsze będzie to język interesów, a przyprowadziła go tu właśnie w interesach.

- Jestem twoim dłużnikiem, moja droga - odparł niejasno i jak we śnie z powrotem odwrócił się do obrazów przedstawiających Maggy na zielonych poduszkach.

- Adrien, nie rozpraszaaj się. - Kate podeszła do niego i strzeliła mu palcami pod nosem. - Wiem, jak się czujesz, ale nie przyprowadziłam cię tu tylko po to, żebyś się gapił.

- Mój Boże, Kate, kolana mi drżą, oczy wychodzą z orbit. Czuję się, jakby strzelił we mnie piorun - pozwól mi odzyskać siły, prawie czuję zapach ozonu - powiedział Adrien z otwartym uśmiechem wieśniaka.

- A więc zgadzasz się ze mną? - spytała Kate z drapieźnym błyskiem w oku.

- Bez zastrzeżeń.

- To co z wystawą? Powiedziałeś, że w przyszłym roku jesteś całkowicie zajęty, że absolutnie nie dasz rady zmieścić jeszcze jednego artysty - a co powiesz teraz?

- Odkryłem nagle w 1926 roku nowy miesiąc - urządzimy chrzciny w październiku.

- Wystawa otwierająca sezon? - cienkie brwi Kate pofrunęły do góry.

- Ależ naturalnie - odparł z prostotą zamożnego chłopca

rozmawiającego o cenie buraków.

- Naturalnie - powtórzyła Kate, której wielkość własnego zwycięstwa zaparła dech w piersiach. Kupowała u Avigdora od czasu, gdy otworzył galerię i jej szacunek dla jego przenikliwości wzrastał, w miarę jak widziała kolejne sukcesy handlarza na pełnych ryzyka wodach rynku sztuki. Teraz, kiedy zobaczyła, że podejmuje decyzję z tą samą szybkością i zaangażowaniem, z jakimi działała ona sama, zrozumiała go lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

Jakże słuszny okazał się jej pomysł, by go tu przyprowadzić nie dając Julienowi nawet szansy powiedzenia, że nie chce go widzieć. Avigdor, jak wielu handlarzy, od razu kupował obrazy, które chciał wystawić. Różnica między ceną, jaką za nie zapłacił a ceną, za jaką je sprzedawał, stanowiła nie tylko podejmowane przez niego ryzyko, ale i możliwość zysku.

Wiedziała, że zapłaci Mistralowi najmniejszą sumę, na jaką pozwoli mu uczciwość, ale to jej najzupełniej odpowiadało. Ostatnią rzeczą, której pragnęła, była finansowa niezależność Mistrała. Kate pomyślała, że malarz, który kontroluje swego marchanda, nie potrzebuje protektorki, a gdy prędko już nadejdzie czas wzrostu cen na jego dzieła, właśnie ona zamierzała przynieść mu tę dobrą wiadomość.

Stali w nagłej ciszy, połączeni spiskiem, lecz lekko nieufni, czekając, aż odezwie się to drugie. W końcu Avigdor powiedział: - Lepiej pójdę z nim porozmawiać.

- Och, nie, Adrien.

- Ależ, moja droga Kate, jedna rzecz musi być jasno postawiona. Tak jak mówiłaś, ten twój Mistral może mieć alergię na rozmowę o

pieniądzach, ale dopóki nie podpiszę z nim umowy na wyłączność, nie mamy o czym rozmawiać.

- Adrien, zaufaj mi. Dziś nie jest dobry dzień, żeby mu wspominać o kontrakcie. Dzisiaj nie jest dobry dzień, żeby powiedzieć mu cokolwiek oprócz tego, że za trzy miesiące chcesz mu zrobić indywidualną wystawę. Nie myślałam się jak dotąd, prawda?

- Kate, nie mogę powiedzieć temu człowiekowi, że chcę zrobić wszystko, aby go wylansować, jeśli nie otrzymam zapewnienia, że nie zostawi mnie pewnego dnia i nie pójdzie do innej galerii - powiedział Avigdor ze stanowczością hodowcy ustalającego cenę za pokrycie krowy przez nagradzanego byka.

- Masz moje zapewnienie.

- Czy sądzisz, że postawię wszystko na jedną kartę opierając się jedynie na twojej obietnicy? Skąd ta pewność, która pozwala ci mówić za niego?

- Musisz mi po prostu uwierzyć na słowo - rzekła Kate stanowczo, spokojnie.

Adrien przyglądał jej się przez chwilę. Nie był pewny, czy lubi Kate Browning, ale ją podziwiał. Odznaczała się trafnością smaku godną uwagi u kogoś spoza branży oraz indywidualnym charakterem. Czy Mistral, ten wyniosły, niecierpliwy, arogancki olbrzym, mógł znajdować się pod jej wpływem? W sposobie, w jaki się z nią przywitał, nie było nic, co by na to wskazywało, a jednak... jednak... nie można było wątpić w Kate, gdy mówiła z takim wyraźnym zdecydowaniem. To było ryzyko warte podjęcia. Właściwie nie widział sposobu uniknięcia go. Ten sam instynkt, który kazał Avigdorowi podjąć decyzję o otwarciu sezonu obrazami

człowieka, którego najnowsze prace zobaczył po raz pierwszy przed godziną, ten sam instynkt mówił mu, że do Mistrała może dotrzeć jedynie poprzez Kate. Wykonał gest oznaczający zgodę i odwrócił się w kierunku drzwi prowadzących do ogrodu.

- „Ja mam mu powiedzieć, Kate, czy ty?

- Adrien! Oczywiście, że ty. To twoja decyzja, twoja galeria. -
Wymuskane usta Kate ułożyły się w delikatnym uśmiechu.

O, tak, pomyślał Avigdor, jest sprytna. Poczł lekki dreszcz przebiegający mu po kręgosłupie. Nic dziwnego, że nigdy nie pociągała go fizycznie. Nie lubił kobiet tak sprytnych jak on. Albo sprytniejszych.

Gdy Adrien Avigdor poznał Julięna Mistrala, miał dopiero dwadzieścia osiem lat, ale mógł szczerze powiedzieć, że spędził życie przygotowując się do dnia, w którym momentalną decyzją mógłby zmienić przyszłość jakiegoś malarza.

Wychował się na handlu antykami. Jego ojciec mawiał czyniąc szeroki gest w kierunku prosperującego sklepu na quai Voltaire: - Sprzedawaliśmy im antyki, zanim jeszcze wybudowali Notre Dame. - „My” to byli Avigdorowie, Żydzi, a „oni” to wszyscy inni we Francji. Adrien, który w równym stopniu kochał swego majestatycznego ojca, co się z niego podśmiewał, zastanawiał się, dlaczego ojciec nie powiedział, że Avigdorowie sprzedawali antyki faraonom, gdy ci budowali piramidy.

Jako dziecko Adrien podróżował po kraju z ojcem, kupując antyki. Tak szybko, iż wydawało się, że pije, a nie uczy się, młody Adrien uchwycił głęboką różnicę w sposobie myślenia handlarzy antyków i ich klientów. W wieku zaledwie ośmiu lat potrafił ocenić towar wyobrażając sobie siebie samego patrzącego na wystawę w sklepie ojca i ogarniętego pragnieniem posiadania danej pary kielichów. Co więcej, zanim skończył dziesięć lat, z równą łatwością potrafił wskazać dzbanek do herbaty lub inkrustowaną szkatułkę, które nigdy nie zostaną kupione, choć będą podziwiane, nawet podnoszone i omawiane przez kwadrans, ale których przeznaczeniem nie będzie zmiana właściciela. Z dwóch tuzinów filiżanek do herbaty z Limoges jego ręka, jakby z własnej woli, wybrała i odwracała do góry dnem jedyną filiżankę z maleńkim pęknięciem u podstawy.

Gdy umarł jego ojciec, Adrien, zamiast pracować w rodzinnym sklepie z dwoma starszymi braćmi, otworzył własny na rue Jacob, kilka

kroków od kościoła St. Germain - des - Press. Był przekonany, że ludzie chętniej kupują w sklepie wybudowanym w cieniu kościoła, a jeszcze lepiej katedry. Zanim skończył dwadzieścia pięć lat, zbił fortunę i, co niesłychane u Avigdora, antyki przestały go fascynować. Zdał sobie sprawę, że doszedł do niebezpiecznego punktu w życiu, gdy sprzedał serwis do czekolady, który może nie należał do cesarzowej Józefiny, ale powinien i może w rzeczywistości był jej własnością. Dostał za niego pięć razy tyle, ile zapłacił i podczas transakcji o mało nie zasnął.

- Sprzedawaliśmy im śmiecie wieków już zbyt długo - powiedział sobie w duchu wyglądając, jakby zdechła mu jedna ze świń. W ciągu kilku godzin postanowił zmienić *metier*. Przenieść się ze świata antyków, w którym wszystko co mogło być sprzedane, już istnieje, do świata sztuki, gdzie wzywały zyski z dzieł jeszcze nie stworzonych. Jego dobrze wyszkoleni pomocnicy mogli nadal prowadzić jego interes, do którego czasami by zaglądał.

Wszelka groźba nudy zniknęła, gdy Avigdor zastanawiał się nad podjęciem wyzwania, jakim było wyrobienie sobie pozycji w zawodzie obok takich olbrzymów jak Paul Rosenberg, bracia Bernheim, Rene Gimpel, Wildenstein i najbogatszy z nich wszystkich Vollard, którego fortuna opierała się na dwustu pięćdziesięciu Cezanne'ach, które mu się kiedyś udało kupić od malarza przeciętnie po pięćdziesiąt franków za sztukę. Nie będzie łatwo zaczynać od niczego w zawodzie opanowanym przez wielkich handlarzy obracających pracami najbardziej liczących się współczesnych malarzy, takich jak Matisse czy Picasso, i którzy jednocześnie potrafili przyciągnąć na stałe największą klientelę, w dużej mierze milionerów z Ameryki, dzięki łatwości, z jaką mogli wyczarować

ze swych magazynów Velasqueza, rysunek Goi czy jakieś dzieło jednego z wielkich impresjonistów.

Avigdor wiedział, że mimo pełnej godności powagi tych wielkich handlarzy oraz ich pokrytych szarym aksamitem ścian, ich ściśle spojony licznymi powiązaniemiami świątek przypomina zmijowe kłębowisko zawiści i otwartej, zawziętej rywalizacji, tym bardziej że przychodziły coraz to nowe wiadomości o sukcesach nowojorskich filii francuskich galerii. Ileż włosów wyrwano sobie z głów na wieść o tym, że Bernheimowie dostali dwadzieścia tysięcy dolarów za Matisse'a i że Wildenstein sprzedał dużego Cezanne'a za sześćdziesiąt tysięcy. Były to sumy, o jakich we Francji wcześniej nie słyszano.

Adrien Avigdor zakładał, że skoro takie pieniądze można zrobić na ludziach, którzy zaledwie dwadzieścia pięć lat temu byli zupełnie nieznanymi, to oczywiście powstanie podobny rynek dzieł ludzi, którymi wielcy handlarze jeszcze się nie interesują. Tylko nieliczni książęta wśród kolekcjonerów, chcąc zapewnić sobie nieśmiertelność, mogą pozwolić sobie na zakup starych mistrzów. Nie ma także zbyt wielu kolekcjonerów, którzy chcą ryzykować tysiące na artystów, którzy dopiero niedawno zdobyli reputację. Jednak muszą istnieć liczni przyszli kolekcjonerzy, którzy zechcą zaryzykować sumy mniejsze od tych potrzebnych do wejścia w posiadanie Matisse'a.

Tak, powiedział sobie w duchu idąc rue de Seine, wzdłuż której już usadowiły się co bardziej uczęszczane galerie Lewego Brzegu, istnieją trzy gatunki kupujących: na miarę Andrew Mellona i jemu podobnych, sprzedających tylko dzieła artystów, którzy oparli się próbie czasu, na miarę Picassa, czyli średniacy, i na miarę Avigdora, którzy chcą zacząć

wszystko od zera.

Obserwując spacerujących ludzi doszedł do wniosku, że świat został tak urządzony, aby ludzie jego pokroju mogli prosperować. Bo przecież nikt nie musi posiadać dzieł sztuki, by przeżyć. A jednak natura ludzka tak jest stworzona, że gdy człowiek już zapewni sobie byt i osiągnie pewien stopień wygody, posiadanie zbędnych przedmiotów staje się jego nagłą potrzebą. Dzikus dodający drugi naszyjnik do już posiadanego nie różni się chyba tak bardzo od Johna D. Rockefellera kupującego gobeliny z jednorożcami, prawda? A czym różni się żona wieśniaka, która czeka na dobry urodzaj i natychmiast kupuje malowany dzbanek, by ustawić go na skrzyni, od Henry'ego Claya Fricka, tego mecenasa o zimnym spojrzeniu, który wydał milion dolarów na jedenaście panneaux Fragonarda stanowiących prezent od Ludwika XV dla madame Du Barry, odrzuconych przez nią, ponieważ sądziła, że są zbyt dwuznaczne? Tak, pomyślał radośnie Avigdor, jest tu mnóstwo potencjalnych klientów mieszczących się między żoną wieśniaka i Rockefellerami.

Dwa lata poświęcił na naukę nowego zawodu. Pozornie sprawiał wrażenie, że ma tyle wolnego czasu, co ta instytucja osiemnastego wieku, miłośnik sztuki z wyższych sfer. Odwiedzał każdą z najlepszych galerii, gdzie witano go jako zamożnego, kulturalnego kolegę ze świata antyków. Uśmiechał się swym szlachetnym, choć nieco wieśniaczym uśmiechem i mówił o zamiarach kolekcjonowania obrazów... w czym, co niestety musi wyznać, jest zupełnym neofitą.

U Gimpela powiedział nieśmiało, że nie myśli o niczym tak rzadkim jak rysunek Greuze'a czy nawet o jakiejś niewielkiej Marie Laurencin - to dla niego zbyt ciężkie - ale może o jakimś dziele któregoś z młodszych

malarzy? U Rosenberga ze smutkiem wypowiadał się na temat Picassa. Podziwia tego artystę, ale chyba go na niego nie stać - nie przy cenie stu tysięcy franków za obraz. Gdyby tylko miał trzysta tysięcy franków na Moneta, tego z czerwoną łódką - ale oczywiście czasy kupowania Moneta dawno już minęły, prawda? Może kupić kogoś młodszego? U Zborowskiego przyznał, że bardzo go kuszą Soutinowie. Czy to prawda, że rok temu nikt nie chciał ich obrazów za darmo, a teraz każdy kosztuje piętnaście tysięcy franków? Fascynujące! Słyszał o tym. Ależ ten rynek sztuki jest nieobliczalny.

Avigdor poprosił o radę kilku starannie wybranych krytyków pracujących dla wyspecjalizowanych czasopism dla czytelników, którzy regularnie kupują dzieła sztuki. Pochlebiając im poprosił o pomoc w tworzeniu planowanej kolekcji. Niektórzy podejmowali się zadania za pewną opłatą, co było powszechną praktyką, a innym potrafił wskazać wyjątkowo korzystne transakcje przy zakupie antyków. Któż nie lubi mieszkać z okazem pięknego, starego srebra, empirowym krzesłem, kilkoma talerzami z Miśni? Zostali jego przyjaciółmi i dobrze mu życzyli.

W końcu zapuścił się w zaniedbane mrowisko pracowni malarskich na Montparnasse, torował sobie drogę przez La Ruche, *cite* Denfert Rochereau i rue Joseph - Bara 3, niczego nie odrzucając i niczego nie przyjmując, ale patrząc, zawsze patrząc.

Zanim nastał rok 1925, dwudziestosiedmioletni już Avigdor był gotów otworzyć pięknie odnowioną przez siebie galerię, którą wynajął przy rue de Seine. Wybrał sobie siedmiu interesujących go artystów, stajnię malarzy, którzy mieli jeszcze dużo do zrobienia, i wybór ten okazał się szczęśliwy, błyskotliwy, oczy Avigdora funkcjonowały wspaniale - no

i miał szczęście. Po roku uznano go za handlarza sztuką awangardową o wyjątkowo trafnym osądzie. Wkrótce cały świat sztuki rozbrzmiewał wiadomościami o każdym jego posunięciu. Jego dobrzy przyjaciele wśród krytyków byli zachwyceni, bo czyż to nie oni nauczyli go wszystkiego? Czyż nie równy z niego gość? Krytycy, którzy nie byli jego przyjaciółmi, atakowali go zjadliwie, co jeszcze korzystniej wpłynęło na sprzedaż, bo w Paryżu jeśli nowa sztuka nie wywołuje skandalu, to nie warto na nią nawet spojrzeć.

* * *

Mistral zgodził się na indywidualną wystawę z dobrze skrywaną ulgą. Kiedy zostało to już ustalone, Kate wyjaśniła mu, że podpisanie umowy na wyłączność jest stosunkowo nieważne. Trzeźwym tonem, który skrócił dyskusję, powiedziała, że to zrozumiałe, że nie można mieć jednego bez drugiego, tym bardziej że doradziła mu, by nie wyceniał swych prac zbyt wysoko.

- Pozwól, że ja będę się targować z Avigdorem w twoim imieniu - powiedziała. - Wszyscy wiedzą, że nikt nie żąda za swoje prace tyle, ile trzeba - potrzebujesz kogoś, kto nie jest zaangażowany emocjonalnie. A ja to lubię - w tym właśnie moja rodzina jest dobra - naprawdę, Julien, zrobisz mi przysługę. - Mistral, który nie znosił nawet myśli o pieniądzach i wcale nie uśmiechało mu się targowanie z Avigdorem, z wdzięcznością złożył swe sprawy finansowe w jej ręce. Teraz mógł z rosnącą uwagą kierować przygotowaniem wystawy.

Od lat nie zajmował się skończonymi obrazami, niecierpliwie zostawiając je nie naciągnięte i nie zawerniksowane, opierając je o ściany lub zawieszając na gwoździu, jeśli tylko znalazł wolne miejsce, ale teraz

był tak dumny z prac namalowanych w ostatnich miesiącach, że najdrobniejszy szczegół wymagał jego pełnej uwagi. W ciągu trzech miesięcy przed wystawą był prawie zbyt zajęty, aby malować. Maggy nadal wspierała go pozowaniem, a on pozwalał Kate przerywać mu pracę w każdej chwili. Często zabierała go swoim niebieskim talbotem z odkrywanym dachem, aby przejrzeć korektę katalogu, wybrał krój czcionki do zaproszeń na wernisaż albo spotkał się z Avigdorem przy kieliszku.

Kate stworzyła wspaniałą atmosferę w kontaktach z ramiarzami, z którymi z powodu ich znanej drażliwości zawodowej trzeba się było obchodzić bardzo ostrożnie. Mistral coraz bardziej uzależniał się od niej jako pośrednika między nim i tymi rzemieślnikami, którzy nie tolerowali żadnego pogania ze strony niecierpliwych malarzy, ale najwyraźniej z zadowoleniem współpracowali z tą czarującą Amerykanką zwracającą się do nich z tak należytych szacunkiem.

Maggy obserwowała to wszystko i czekała, a z każdym dniem rosło w jej sercu nie dopuszczane do głosu przecucie strasznej bolesti. Oprócz swego ciała i miłości nie miała żadnej innej broni, ale uwaga Mistrala była skupiona na wystawie i ku Maggy zwracała się coraz rzadziej. Kiedy kochał się z nią, kładł się między nimi cień jej nieświadomionej zazdrości i jego prawie nie ujawnionych uczuć związanych z wystawą.

Żył w zamięcie radosnego uniesienia i oszołomienia, w którym niepokój mieszał się z nadzieją, a podniecenie było podszyte paniką. A pod wszystkim kryło się rosnące, nabierające mocy, przerażająco silne przecucie zwycięstwa. Ten mężczyzna, który tak długo szydził ze swoich kolegów, który szedł własną, nieokrzesaną drogą, który z pogardą pomstował na komercjalizację sztuki, teraz ze wszystkich sił swego

barbarzyńskiego, wygłodzonego charakteru rozpaczliwie pragnął zająć należne mu miejsce w świecie, być w końcu uznany.

W miarę jak zbliżała się data otwarcia wystawy, data *vernissage'u*, Mistral stawał się coraz bardziej podniecony.

Kate ze swoim absolutnym przekonaniem o jego geniuszu, potrafiła w jakiś sposób znaleźć właściwe słowa potrzebne mu do odzyskania chwilowego spokoju. O tę pociechę prosił ją coraz częściej, chociaż udawał, że niemal nie zwraca na nią uwagi, gdy mówi.

Nawet gdyby Maggy wiedziała, co powiedzieć, zignorowałaby ją. Była zbyt młoda, zbyt niedoświadczona, aby Mistral liczył się z jej zdaniem. Oczywiście Maggy uważała, że jego dzieła są cudowne. Dlaczego nie miałyby tak sądzić? Co wiedziała o malarstwie, czego nie znalazłaby tak, jak gołąb znajduje okruszki na ulicy? Jak osąd osiemnastoletniej modelki mógł dać mu oparcie, które znajdował w rozmowie z kulturalną światową kobietą, córką bogacza, która w wieku dwudziestu trzech lat szybko poznała wszystkich ludzi liczących się w artystycznych kręgach Paryża? Delikatne paluszki Kate były jakby stworzone do zbadania pulsu tego świata i oceny stanu jego zdrowia.

* * *

W czerwcu Paul Rosenberg wystawił prace Picassa z ostatnich dwudziestu lat. 5 października 1926 roku, gdy Avigdor po raz pierwszy wystawił Mistrala, stało się jasne, że nastąpiło drugie wielkie wydarzenie artystyczne roku. Tłumy zapraszane na *vernissage* są w równym stopniu pozbawione litości co fałszywej dumy. Gdy prace wydają im się nieciekawe, szybko odwracają się plecami do ścian i rozmawiają ze sobą, wychylają kieliszek wina, jeśli jest, i bez słowa przeprosin wychodzą, by

znaleźć się w jakimś bardziej interesującym miejscu.

Lecz gdy prace do nich przemawiają, gdy wyczuwają nowy talent, potrafią rozpychać się na boki, by lepiej widzieć, z takim samym brakiem uprzejmości, jak gdyby łapali ostatnią taksówkę w deszczowy wieczór. A kiedy zdecydują się kupować, w galerii narasta fala pożądania błyskawicznie ogarniając wszystkich oglądających, zaraźliwa jak histeria, jakby ci elegancko odziani kolekcjonerzy byli niegrzecznymi dziećmi na przyjęciu urodzinowym, z otwartą chciwością sięgającymi po ostatni mały kawałek wspaniałego tortu, bez którego nie mogą się obejść.

Obleżony przez tłum Avigdor przyczepił czerwoną karteczkę z napisem „sprzedane” do ostatniego z pięćdziesięciu wystawionych płócien po upływie niecałych dwóch godzin od chwili, gdy kolekcjonerzy i zwykli ciekawscy zaczęli stopniowo napływać do galerii. Wielu z nich dowiedziało się o wystawie od krytyków, którzy wiedzieli, że Avigdor dostarczy im tematu do gorącej dyskusji. Musiał przywołać całą swoją cierpliwość i łagodność, by poradzić sobie z wyrzutami byłych klientów, rozzłoszczonych niedostępnością płócien, które koniecznie chcieli mieć.

- Przyjdź jutro - powtarzał z pełną ufności prośbą w uprzejmym spojrzeniu - a ja zobaczę, czy zostało mi coś dla ciebie, ale nie mogę obiecywać cudów, to będzie coś małego. Wybacz mi, przyjacielu. Nie, zapewniam cię, że nie zostawiłem nic dla siebie - wiesz, że nigdy tego nie robię. Jutro - tak, spróbuję coś znaleźć. - Pomyślał, że w tym tempie pozbędzie się wszystkich wcześniejszych prac Mistrala.

Mistral zamyślił się. Wyglądał jak milcząca wyspa pośrodku długiej, zatłoczonej sali. Rozumiał swój sukces intelektualnie, ale zamiast chwały, której się spodziewał, czuł pustkę i zamęt. I było coś jeszcze gorszego -

strach. Sukces, tak długo pogardzany, a w końcu tak gorąco upragniony, stanowił dla niego zmianę zbyt wielką, by ją zaakceptować. Był to teren zbyt obcy, pozycja zbyt odsłonięta, nagroda zbyt cenna.

Za każdym razem, gdy podchodził do niego ktoś obcy, by mu pogratulować, jego słowa jakby znaczyły coraz mniej. Nie łączył falującego wokół niego tłumu rozgadanych ludzi z obrazami na ścianach. Nie potrafił stworzyć ogniwa łączącego jego dzieła, dzieła, które tworzył sam, dzieła rodzącego się w jego wnętrzu, z którymkolwiek prawionym mu komplementem. Dziękował mrukliwie patrząc ponad głowami rozmówców, z roztargnieniem odgarniając ciemnorude kędziory z czoła wilgotnego od gorąca panującego w sali.

Potrafił spojrzeć w dół i lekko się uśmiechnąć tylko do Kate, która bez wysiłku prześlizgiwała się przez tłum i od czasu do czasu wracała do niego. Zamieniali kilka słów, błałych uwag o wielkości tłumu i zaletach ram, ale im mniej mówili, tym bardziej stawali się sobie bliscy. Mistral czerpał siłę od Kate, która wcale nie miała nieprzyjemnych odczuć, zatruwających Mistral owi te chwile. Dla niej było to zwycięstwo z drugiej ręki, wystarczająco odległe, by zachować nad nim kontrolę, ale wystarczająco bliskie, by przepełniała ją słodycz świadomości, że to ona się do niego przyczyniła.

Maggy stała w kącie przybrawszy szczególnie wyniosłą i dumną pozę. Gdy patrzyła na podekscytowany tłum skupiony wokół siedmiu płócien ukazujących ją w całej nagości, ogarnęła ją wściekłość. Pomyślała, że pozowanie malarzowi to jedno, a wystawianie jego dzieł na widok publiczny to coś zupełnie innego. Gdyby wiedziała, jak się będzie czuła, w ogóle nie przyszłaby na *vernissage*. Wezwała na pomoc całe swe

doświadczenie minionego roku, by spokojnie przyjmować gratulacje towarzyszące zdawkowemu potrząsaniu jej dłonią oraz zachłanne, natarczywie ciekawe i badawcze spojrzenia.

Pomyślała, że zupełnie jakby była jakimś zwierzęciem, koniem, który właśnie wygrał wyścig albo psem uznanym za „najpiękniejszego na wystawie”. Mówili do niej: - Wspaniałe, mademoiselle - albo: - Cudowne, wprost cudowne - i szybko odchodzili, jakby nie była istotą ludzką, z którą można rozsądnie porozmawiać. Pomyślała, że wkrótce ktoś na pewno spróbuje wsadzić jej do ust kostkę cukru - a wtedy straci palec.

Gdyby tylko Julien podszedł i stanął obok niej, gdyby choć na nią spojrział, ale tkwił nieruchomo na swoim miejscu pośrodku sali jak wrośnięty. Zapytała samą siebie, dlaczego właśnie dzisiaj tak zupełnie ją ignoruje i zmarszczyła lekko brwi w grymasie bólu.

Nawet Paula, która najpierw trzymała się blisko niej, odpłynęła w tłum kolekcjonerów, artystów i krytyków, tych samych, którzy co wieczór odwiedzali jej restaurację. Zupełnie, jakby to wszystko odbywało się na cześć Pauli, bo gdyby nie ona, do niczego by nie doszło. Gdyby ona, Paula Deslandes nie wylansowała Maggy Lunel, Mistral równie dobrze mógł być nadal nieznany - mówiła sobie w duchu, niezupełnie przekonana, czy cieszy się ze swojej hojności. Rozglądała się z trudną do określenia miną osoby znajdującej się u siebie, wtajemniczonej w mechanizm danego wydarzenia publicznego, gdy odezwał się do niej mężczyzna, którego nie widziała nigdy przedtem.

- Przyzna pani, że to nadzwyczajne wydarzenie, prawda?

- W istocie - odrzekła Paula delikatnie przechylając głowę gestem, jakiego nie powstydziałaby się markiza du Pompadour. Po tym jednym

zdaniu natychmiast poznała, że mężczyzna ów jest tym szczególnym rodzajem Amerykanina, który mówi znośnie po francusku, ale na tyle ma problemy z tym językiem, by nie żywić bezpodstawnych pretensji do płynności.

- Czy madame jest kolekcjonerką?

- W pewien sposób - odpowiedziała Paula patrząc z zainteresowaniem na mężczyznę. - A monsieur? - Jak zawsze, najpierw zareagowała na jego męskość i urodę. Dopiero potem zauważyła, że jest wyjątkowo dobrze ubrany, choć nosi swe drogie ubranie z amerykańską prostotą, jakby szorstką nieskazitelnością obwieszczającą jego pochodzenie.

- Także w pewien sposób - czyż można mieszkać w Paryżu i czegoś nie kolekcjonować?

- Niektórzy tak robią... ale mnie nie są oni do niczego potrzebni - rzekła Paula pogardliwie pociągając noskiem.

- Czy mogę się przedstawić? Perry Kilkullen.

- Paula Deslandes.

Gdy podawali sobie ręce, przyjrzała się nowemu znajomemu. Zbliżał się pewnie do czterdziestki, a unosząca się wokół niego atmosfera zamożności przyjemnie kontrastowała z jego gęstymi blond włosami, właśnie zaczynającymi siwieć na skroniach, oraz szarymi oczyma błyszczącymi młodzieńczym entuzjazmem. Paula pomyślała, że to jeden z tych wspaniałych Amerykanów, co do którego Anglicy z żalem muszą przyznać, że mimo miejsca urodzenia jest dżentelmenem.

- Czy kupił pan coś na wystawie? - spytała Paula.

- Niestety nie. Jedyne obrazy, które naprawdę chciałbym mieć,

zostały już sprzedane.

- A które by pan wybrał? - zapytała Paula uroczo wydymając wargi.

- Którykolwiek z aktów - uważam, że są najlepsze z całej wystawy.

- Monsieur ma wspaniały gust - powiedziała Paula prowokująco.

- Zauważyłem, że rozmawiała pani z tą młodą damą - rzekł Perry Kilkullen wskazując Maggy stojącą po drugiej stronie sali. - Ona jest tą modelką, prawda?

- Chyba nie sądzi pan, że są na świecie takie dwie?

- To pewnie żona malarza?

- Broń Boże!

- A zatem jego przyjaciółka? - spytał dyplomatycznie, nadając słowu „przyjaciółka” szczególną wymowę, cień akcentu, który u Francuzów oznacza kochankę.

- Z całą pewnością nie - odparła opiekuńczym tonem Paula. - Maggy jest zawodową modelką - najlepszą w Paryżu, co każdy panu powie. Pracuje dla wielu malarzy.

- Maggy?

- Maggy Lunel - moja *protégée* - rzekła Paula puszczając się z dumą.

- Ona jest taka piękna. Odstaje od innych - powiedział Perry Kilkullen takim głosem, że Paula spojrzała na niego ostro. Wpatrywał się w Maggy otwarcie wzrokiem tak otepiałe tęsknym, że Paula roześmiałaby się, gdyby jej miłość własna nie potrzebowała ułamka sekundy do odzyskania równowagi. Ach, za kogóż się ona uważa? pomyślała Paula, otrząsając się w duchu, że jej czterdzieści trzy lata mimo swej soczystości wydają się niczym w porównaniu z olśniewającymi osiemnastu latami Maggy.

- Jakim sposobem została ona pani *protégée*! - spytał nieznajomy nie tając ciekawości.

- Och, to długa opowieść - odpowiedziała Paula wymijająco. Pomyślała, że musi uznać pełną chwałę osiemnastu lat, ale nie musi się przed nimi płaszczyć. Ten przystojny Kilkullen będzie musiał postarać się o wiele bardziej, żeby się czegoś dowiedzieć.

Maggy, nadal uwięziona w kącie, popatrzyła na stojącego o jakieś sześć metrów od niej Mistrala. Och, to nie do zniesienia. Nie wytrzyma choćby minuty bez jakiegoś kontaktu z nim. Może obejmie ją ramieniem albo przynajmniej weźmie ją za rękę. Potrzebowała jakiegoś czulego słowa, gestu. Dlaczego jest taka dziecinna? Nawet jeden uśmiech pomógłby jej przetrwać te chwile. Maggy zaczęła przedzierać się przez tłum w kierunku Mistrala. Natknęła się na Avigdora, którego właśnie zatrzymał tęgi mężczyzna z włosami ufarbowanymi na czarno.

- Adrien, do kogo należy ten akt na zielonych poduszkach? Chcę znaleźć tego szczęściarza i wydobyć od niego ten obraz. To tylko kwestia tego, ile zażąda - zapłacę każdą sumę - bądź człowiekiem i powiedz mi.

- Ten obraz nie jest na sprzedaż - powiedziała łagodnie Maggy.

- Mademoiselle Lunel ma rację - zgodził się Avigdor. - On należy do panny Browning.

- Akurat! - odparł grubas. - Gdzie ona jest - chciałbym z nią porozmawiać.

- Monsieur Avigdor myli się - powiedziała Maggy z mocą. - Ja jestem właścicielką tego obrazu od dnia, w którym został namalowany. Julien mi go podarował i nie ma on ceny, ponieważ nigdy go nie sprzedam.

- Co ty na to, Avigdor? - mężczyzna nie dawał za wygraną.

- Powstało pewne nieporozumienie... ach, może panna Browning może... ja nie... - Avigdor wyglądał, jakby z nieba spadł grad i zniszczył mu siano.

- Proszę iść za mną - rozkazała Maggy grubasowi. Avigdor najwyraźniej nie wie, co robi i mówi. Z trudem utorowała sobie drogę do Mistrała i chwyciła go za ramię.

- Julien, ten twój handlarz właśnie powiedział temu dżentelmenowi, że mój obraz nie należy do mnie - czy mógłbyś mu to wyjaśnić?

Mistral odwrócił głowę i spiorunował oboje spojrzeniem spod zmarszczonych brwi. Usta, zawsze ułożone w surową linię, zacisnął z irytacji.

- Co to za bzdury, Maggy? Mówisz tak samo od rzeczy jak wszyscy inni w tej zawszonej menażerii.

- Julien, posłuchaj. Chodzi o mój obraz, pierwszy, na którym namalowałeś mnie na zielonych poduszkach. Avigdor powiedział temu człowiekowi, że obraz należy do mademoiselle Browning.

- To szczerą prawdą. - Kate odezwała się ze spokojem. Pojawiła się u boku Mistrała w chwili, gdy podeszła do niego Maggy.

Mistral gniewnie potrząsnął głową.

- O co tu do diabła chodzi!

- To całkiem proste, Julien - oznajmiła Kate swym beznamiętnym tonem. - Przed otwarciem wystawy zarezerwowałam dla siebie wszystkie akty. Są bezsprzecznie zbyt ważne, by sprzedawać je oddzielnie. Chciałam mieć pewność, że zostaną zachowane jako cykl - to był jedyny sposób. Inaczej znajdowałyby się teraz oddzielnie w rękach siedmiu różnych ludzi.

Maggy puściła ramię Mistrala.

- Nie mogła go pani kupić dla siebie, mademoiselle Browning. Nigdy nie był na sprzedaż. Jest mój. Proszę zapytać Juliana! Julien, powiedz jej! Przecież pamiętasz, musisz pamiętać...

Mistral zamknął oczy, jakby chciał wymazać jej słowa i w jednym przebiegu pamięci Maggy ujrzała ten moment, gdy rzucił się na nią władcym skokiem, szorstkim, zwycięskim ruchem wycierając o jej włosy łonowe swe wielkie dłonie, jeszcze lepkie od farby.

- Namaluje pani inny - powiedziała Kate nie podnosząc głosu. - Prawda, Julien? Proszę być rozsądną, mademoiselle, i uspokoić się. Po prostu nie może się pani spodziewać, że będzie dotrzymywał każdej pochopnej obietnicy, jaką mógł złożyć w związku z tym pierwszym płótnem - jest ono zbyt ważne dla ogółu jego prac. Co do tego chyba wszyscy się zgadzamy.

- Julien! Czemu nic nie mówisz? Wiesz, że dałeś mi ten obraz. - Maggy straciła panowanie nad głosem, który wzniosł się wściekłą nutą.

Mistral powiódł spojrzeniem od jednej kobiety do drugiej. Twarz Maggy zarumieniła się z bólu i niedowierzania, a ona sama była unieruchomiona w gęstym tłumie. Swe wydatne usta wydeła w pełnym emocji grymasie. Kate stała spokojnie, wymagająca i wdzięczna, a szlachetny owal jej głowy był osadzony na szyi w sposób świadczący dobitniej niż słowa, że słuszność jej stanowiska nie podlega dyskusji.

- Przestań zachowywać się jak dziecko, Maggy! - rozkazał jej szorstko Mistral. - Kate ma absolutną rację, te siedem obrazów tworzy całość. Wynagrodzę ci to, do diabła! Chyba nie umrzesz bez jednego obrazu, na litość boską!

Przez długą chwilę Maggy patrzyła mu prosto w twarz. Słuchając go stanęła zupełnie nieruchomo, a zimne opanowanie przykryło jej żywe oburzenie jak maską. Gwar rozmów przycichł wokół niej, gdy chłonęła postawę Kate i znaczenie słów Mistrała. W tym momencie wiedziała o nich więcej, niż wiedzieli sami o sobie - a może więcej, niż będą kiedykolwiek wiedzieli.

Maggy zawsze uznawała Kate za swoją przeciwniczkę, a teraz zobaczyła, że Amerykanka ma oczy rosomaka. Nie kupiła obrazów dlatego, że jej się podobały, ale dlatego, że ich nie znosiła, że chciała, by zniknęły. Mistral, któremu Maggy nakazała sobie ufać, bo gdyby uczyniła inaczej, sprzeciwiłaby się swej kochającej naturze, zwrócił się przeciwko niej w udawanym gniewie sprowadzającym się do haniebnego kłamstwa.

Wydawało się jej, że w chwili, która powinna być dla niego chwilą tryumfu, cuchnie ukradkowością i małością - dzikie zwierzę schwymane, poskromione i zamknięte w klatce. W Kate Maggy wyczuwała bezwzględność, której rozmiarów mogła jedynie zacząć się domyślać. Stała bezsilna, pozbawiona przyjaciół, na arenie, na której nie mogła odnieść zwycięstwa, z której nie było ucieczki oprócz honorowego wycofania się. Czuła się, jakby wyjęto z niej jakiś bardzo ważny korek. Jeśli jeszcze trochę postoi naprzeciw nich, zacznie wyc z strasznego, nieprzyzwoitego bólu... i to na próżno.

Powoli, już spokojnie, odezwała się do Kate.

- Ponieważ tak bardzo pragnie pani mojego portretu, mademoiselle, że jest pani gotowa go ukraść, daję go pani. Nie ma na niego ceny. Proszę go trzymać tam, gdzie zawsze będzie go pani widziała, ale proszę pamiętać - tak naprawdę nigdy nie będzie do pani należał. - Zwróciła się

do Mistrala. - Niczego nie możesz mi „wynagrodzić”, Julien. Dałeś mi prezent, zmieniłeś zdanie, teraz go odebrałeś... jest to tak proste, że nawet ja, choć jestem dzieckiem, mogę to zrozumieć.

- Cholera! Maggy, przestań przesadzać...

- Żegnaj, Julien. - Skinęła chłodno głową Avigdorowi i Kate, odwróciła się i wyszła z galerii tak sztywnym krokiem, jakby jej nogi obróciły się w lód, ale z głową uniesioną wysoko na długiej szyi. Gdy Maggy przechodziła z zimną godnością, ludzie rozstępowali się przed nią i wiedli za nią wzrokiem. Niejedni pomyśleli, że z pewnością nie jest to jednak ta sama dziewczyna, która pozowała do tych aktów. Modelka była roześmianym, erotycznym stworzeniem, taka młoda, taka soczysta. A to idzie kobieta o surowej urodzie, nietykalna, królewska i nade wszystko dorosła.

Kiedy Perry Mackay Kilkullen w końcu wyrwał się z *vernissage'u* Mistrala, wiedział, że powinien znaleźć taksówkę, ponieważ był już spóźniony. Z galerii Avigdora było równie blisko do Hotelu Ritz, gdzie zatrzymał się Kilkullen, jak w przeciwnym kierunku, do Carrefour Vavin. Serce świata sztuki i centrum wspaniałości Prawego Brzegu leżą w zasięgu krótkiego spaceru od rue de Seine. Jeszcze krótsza jest jazda taksówką, ale Perry Kilkullen nie był zdolny wykonać fizycznego przeskoku z paryskiego wieczoru do zamkniętego wnętrza jednej z kanciastych, ciemnoczerwonych taksówek marki Renault. Wczesny październikowy zmierzch miał w sobie marzycielskość, ciepło kołysane jeszcze letnimi woniami, był pełen obietnic i nieskorzystanie z niego byłoby zbrodnią.

Wracając do Ritza, by się przebrać na kolację w interesach, zatrzymał się na minutę na Pont du Carrousel i popatrzył w kierunku wielkiego statku Ile de la Cite, tej szlachetnej wyspy na Sekwanie, która wynosiła w górę skuloną sylwetkę fasady Notre Dame. Odwrócił się plecami do tego odwiecznego pomnika jego wiary i spojrzął ku zachodowi, w cytrynową przestrzeń wzdłuż wijącej się rzeki ograniczonej z lewej strony przez wysokie, wąskie, szare budynki, a z prawej ponętnymi cieniami błękitnych ogrodów Tuileries. Na widoku tym skupiał zwykle wszystkie swoje zmysły, by raz jeszcze wyryć sobie w pamięci obraz tego, co uważał za koronne osiągnięcie cywilizowanego człowieka.

Tego wieczora nie widział nic poza dziewczyną, wysoką dziewczyną jak młoda rudowłosa królowa, o ustach wyglądających, jakby zostały stworzone specjalnie dla niego i o ciele, którego musiał dotknąć, bo czuł, że inaczej umrze. Cały był tęsknotą i cierpieniem i nawet w tym

przyplynie uczuć przypomniał sobie sformułowanie Shelleya „ćma pragnąca gwiazdy”.

Roześmiał się ze szczęścia, bo doznał uczucia jakiego dotąd nie doświadczył, uczucia, o którym sądził, że poeci opisują je z rozmyślną złośliwością, by nie - poetów przyprawić o zazdrość.

Czterdziestodwuletni Perry Kilkullen stanowił wzór amerykańskiego arystokraty wywodzącego się z katolickiej Irlandii. Spokrewniony z rodziną Mackayów posiadających rozległe bogactwa w Comstock Lode, poślubił za młodu pannę z wielkiego i szacownego klanu McDonnellów, pełną wdzięku i niezwykle pobożną młodą damę, która była w stanie udowodnić, że jej gałąź tej dużej, ważnej rodziny wywodzi się bezpośrednio od samego władcy wysp i która mówiła o McDonnellach z trzynastego wieku, jakby to byli jej kuzyni.

W miarę upływu lat miłość Mary Jane Kilkullen do genealogii musiała zastąpić jej miłość do potomstwa, jako że ona i Perry byli prawie jedyną bezdzietną parą wśród swych rówieśników. Tak jak ich liczni przyjaciele żeglowali latem w Southampton, jeździli na nartach w Klubie Lake Placid i wiosną jeździli do Pinehurst grać w golfa, ale brak synów i córek, którzy zjednoczyliby ich jako zagorzałych katolików, nie spowodował, że szukali pocieszenia u siebie nawzajem, co tak często zdarza się u bezdzietnych małżeństw.

Początkowo ich bezpłodność stanowiła przyczynę zawodu, nie dającej się wyjaśnić nieobecności, a potem, gdy przedłużyła się w kwaśne pogodzenie się z losem, zerwali stosunki osobiste, oparte jedynie na ulotnej, młodzieńczej fascynacji i każde z nich pogrzyżyło się w sprawach gwarantujących im jakieś spełnienie.

Mary Jane Kilkullen stała się niezastąpiona w Bractwie Dzieciątka - Zbawiciela, Wielkich Sióstr Katolickich, Katolickiego Ośrodka Niewidomych i Szpitala Podrzutków. Perry Kilkullen zanurzył się w swojej międzynarodowej firmie bankierskiej i zanim nastał rok 1926 więcej czasu w roku spędzał w Paryżu niż we własnym dużym mieszkaniu przy Park Avenue 1008.

Paryż stał się jego prawdziwą miłością, jego pociechą w jałowości życia osobistego i Paryż nie pozwalał mu się starzeć, co dzieje się ze wszystkimi, którzy szczerze kochają to miasto. Jak miłość do Londynu nadaje człowiekowi pewnej miękkości, a miłość do Rzymu patyny historii, tak miłość do Paryża zapewnia przystępne serce.

Perry Kilkullen zajmował trzypokojowy apartament wychodzący na wewnętrzny ogród Ritza i choć jego paryskie życie wypełnione było telegramami, naradami, obiadami w interesach i oficjalnymi kolacjami z przedstawicielami międzynarodowej bankierskiej społeczności, często zwalniał szofera i szedł pieszo, bez celu, nigdy nie przestającymi go wabić ulicami jego miasta.

Gdy śpieszył się teraz w kierunku Place Vendôme, już spóźniony, rzucało na niego okiem wiele kobiet. Podczas gdy Paula zwróciła bacznie uwagę na jego głos, ubranie i zachowanie, inne kobiety choć pozbawione tych wskazówek, wiedziały, że nie jest Francuzem, zauważając od razu jego wysoką sylwetkę, swobodę, gibkość i energię. Jego szybki, wojskowy, pewny krok sprawiał wrażenie, jakby szedł w rytm bicia bębnow.

Perry Kilkullen nie zauważył żadnej z nich zbliżając się do Ritza i wbiegając po schodach, już zatłoczonych przez mężczyzn we frakach i

kobiety w wieczorowych pelerynach z brokatu, podzwaniające mnogością bransolet. Przebiegł gwarny, wyperfumowany, szaro - złoty westybul, zapomniał skinąć głową majestatycznemu recepcjoniście, nie pozdrowił windziarza w białych rękawiczkach, bez słowa minął swego lokaja, zignorował plik czekających na niego listów i wskoczył w strój wieczorowy słysząc w głowie tylko dwa pulsujące słowa. Maggy Lunel. Maggy Lunel!

* * *

Dowiedzenie się, że madame Paula Deslandes jest właścicielką La Pomme d'Or, zajęło mu zaledwie pół godziny następnego ranka. W galerii powiedziała, że Maggy Lunel jest jej *protégée*. Co to ma znaczyć?

Kazał sekretarce zamówić stół na wieczór i jadł kolację samotnie, nie zauważając wspaniałości krwistego gigot ani dojrzałości brie, czekając chwili, gdy madame Deslandes raczy zatrzymać się przy jego stoliku. Gdy przyszedł, przywitała się z nim uprzejmie, ale gdy przechodziła od jednego stolika do drugiego w swej zatłoczonej restauracji, każda grupka gości wymagała nie kończącej się uwagi z jej strony. Obserwowała go kątem oka, jak siedzi niecierpliwie się, prawie nie jedząc, i rozmawiała ze swymi stałymi klientami dłużej niż zwykle. Niech poczeka, pomyślała nie bez niezaprzeczalnej odrobiny urażonej dumy. Gdy pił drugą filiżankę kawy, Paula podeszła do jego stolika i skinęła głową. Perry poderwał się na nogi.

- Czy napije się pani ze mną brandy, madame?

- Z chęcią. - Paula usiadła naprzeciw niego, oparła pulchne łokcie na stoliku i w zamyśleniu złożyła impertynencki podbródek na zetkniętych dłoniach. Zastanawiała się, jak on zamierza przystąpić do sprawy, która go

tu sprowadziła.

- Madame, ja muszę się z nią spotkać.

Paula uniosła z podziwu jedną brew. Atak bezpośredni. Nieźle, jak na Amerykanina.

- Czy może mi pani pomóc?

Uniosła drugą brew, nadając swym przyjemnym rysom wyraz na wpół wahania, na wpół zachęty.

- Madame, zakochałem się.

Strzeliła lekceważąco palcami. - Tak po prostu? To niemożliwe.

- Madame, jestem poważnym człowiekiem, nie miewam kaprysów, pani rozumie, nie jestem skłonny do fantazjowania. Nigdy przedtem nie przydarzyło mi się coś takiego... ale teraz tak. Jestem bankierem...

- Bankierem? *Tiens* - coraz bardziej niemożliwe.

- Zapewniam panią - proszę się nie śmiać - niech pani posłucha, jestem współnikiem w Kilkullen International Trust - oto mój bilet wizytowy - proszę tylko o możliwość spotkania się z nią.

Paula spoglądała na wizytówkę tak długo i poważnie, jakby chciała z niej wyczytać przyszłość. Maggy spędziła noc w mieszkaniu Pauli, rozmawiając z nią jeszcze długo po północy. Skończyła z Mistralem. Powiedziała, że nie ma znaczenia, czy kochał się z Kate, czy nie, i Paula z łatwością rozpoznała w jej głosie prawdę. Chodziło tu o godność Maggy. Została potraktowana jakby nie była nic warta. Była powoli odrzucana już od kilku tygodni, ale nie chciała tego uznać. Teraz, gdy wiedziała, że Mistral ceni ją mniej niż tę Amerykankę, teraz, gdy w końcu to zrozumiała, nigdy nie będzie się domagała od niego najmniejszego nawet gestu. Żadnego. Nigdy. Strata rozsądku z miłości to jedno - coś takiego

może się przytrafić każdemu - i nie ma w tym nic hańbiącego, ale robienie z siebie głupiej z własnej woli to coś zupełnie innego.

Paula słuchała, uważając z początku, by do niczego Maggy nie zachęcać, wiedząc, że w kłótniach kochanków mądra kobieta nie staje po żadnej stronie. Gdyby po tych wszystkich śmiałych słowach Maggy wróciła do Mistrała, aprobata Pauli zwróciłyby się w końcu przeciwko niej.

Lecz w miarę upływu godzin Paula coraz wyraźniej widziała, że Maggy rzeczywiście posunęła się zbyt daleko, by zawrócić, że w ciągu minionych tygodni wydarzenia powoli, nieświadomie przygotowywały ją do niechętnego przyjęcia prawdy o charakterze Mistrała; że Maggy nie ma rezerwy iluzji, z której mogłaby czerpać, żadnych nagromadzonych lat wspólnych uczuć, które mogłyby ją pocieszać fałszywą nadzieją.

Paula nie wątpiła, że Maggy nadal kocha Mistrała. Namiętność, pierwsza namiętność jak ta, którą z nim przeżyła, naznacza kobietę swym piętnem na całe życie. Żadna kobieta nie zapomina takiej miłości. Lecz strata obrazu ukazała jej prawdziwą naturę Mistrała jak żadne inne wydarzenie. Był to ostateczny dowód na to, że Julien Mistral nigdy nie związał się z Maggy tak jak ona z nim. Nigdy już nie będzie potrafiła kochać go ślepą miłością. Hojność, jaką obdarzała Mistrała z taką szczerością, zależała od jej wiary - bez względu na to, jak owa wiara była pochopna, głupia czy nawet zupełnie fałszywa - że on kocha ją tak jak ona jego. Gdy ta wiara została zniszczona, nie został jej żaden punkt zaczepienia.

Maggy przeszła już cała złość. Trzeba przyznać, że Mistral nigdy nie mówił, że czuje to co ona. Uznała to za rzecz oczywistą z łatwowiernością

właściwą niewinnemu dziecku, o którym już prawie zapomniała. Miała suche oczy, była stanowcza i zdecydowana. To jedyny sposób, w jaki może poradzić sobie z tą sytuacją. Rozczulanie się nad sobą oznaczałoby wyrządzenie sobie jeszcze większej krzywdy, a to byłoby nie do zniesienia. Posłała chłopaka po rzeczy zostawione w pracowni Mistrala i właśnie w tej chwili z powrotem wprowadzała się do swego małego mieszkanka.

* * *

- Madame... - Perry Kilkullen pomyślał, że jeśli Paula będzie się przyglądać jego biletowi jeszcze trochę dłużej, to pożółknie on na brzegach i zmarszczy się ze starości.

Paula podniosła wzrok. To dobry człowiek. Nie mogła się mylić co do rzeczy tak podstawowej. Jest bogaty - to wygląda z każdej nitki w jego kamizelce. Jest szczery. Czy rzeczywiście mógł się zakochać w Maggy nie zamieniwszy z nią ani słowa to sprawa dyskusyjna, ale on najwyraźniej tak sądzi. Pożądanie oczywiście, ale miłość to co innego. Jest prawdopodobnie żonaty, ale to nie ma znaczenia. Przydałby się jakiś balsam na świeże rany Maggy, a im prędzej tym lepiej. Bóg widzi, że ten Kilkullen jest fantastycznie przystojny. A cóż lepiej pomoże Maggy wydobyć się z tej głupiej przygody z Julienem Mistralem niż dobry, bogaty, przystojny Amerykanin? Nawet jeśli jest trochę szalony? Każda Francuzka powinna mieć przynajmniej jednego Amerykanina - przynajmniej raz.

- Jutro wieczorem, monsieur Kilkullen, może nas pan zaprosić na kolację - odezwała się poważnie, czując się trochę jak niania Julii.

- Ach... - westchnął z ogromną ulgą. Był już gotów iść do Avigdora, gdyby Madame Deslandes mu odmówiła, ale czuł się mniej śmiesznie

rozmawiając z kobietą.

- U Mariusa i Janette - ciągnęła Paula - ponieważ jest sezon na ostrygi. - I, pomyślała, ponieważ Maggy nie ma się w co ubrać do Maxima. Kreacje madame Poulard nadadzą się najwyżej tam - z pewnością nie do Maxima.

- Jak mam pani dziękować?

- Nie zauważając, gdy będę zamawiała drugi tuzin ostryg - błagając, bym zamówiła trzeci - ale nie pozwalając mi na deser. Nie jestem kobietą sprawiającą trudności. Wolę proste przyjemności.

- Żałuję, że nie mam brata - powiedział pełen podziwu.

- Och, ja też!

* * *

Podczas pierwszej niezręcznej kolacji, gdy Paula poświęciła się swoim ostrygom - bo można doprowadzić do spotkania dwojga ludzi, ale potem muszą dawać sobie radę sami - Perry Kilkullen dostrzegł, że pod zewnętrznym napięciem Maggy tkwi głęboka i straszna rozpacz, ciężar smutku, którego nie zdołała ukryć. To zachęciło go bardziej, niż gdyby była wesoła, ponieważ znaczyło, że cierpi, a cokolwiek to było, miał zamiar ją uleczyć. Operetka dźwięków wypełniających jasną, zatłoczoną restaurację tuż obok placu d'Alma stanowiła tło dla zmysłowego cichego czaru jej smutnego głosu, w którym brzmiała nieświadoma nuta żalu. Był przygotowany na czar, lecz w miarę upływu czasu zaczęła go zdumiewać lekkomyślność jego uczuć, zdumiewać, ale nie przerażać.

W następnych tygodniach starał się o nią jak dżentelmeni starali się o damy w czasach, gdy był kawalerem, na początku wieku. Mimo całej młodości jego czterdziestu dwóch lat, manieri Perry'ego Kilkullena

odznaczały się edwardiańskim wdziękiem i powściągliwością epoki, w której był czas na wszystko.

Mieszkańko Maggy wypełniały kosze kwiatów przynoszone codziennie od Lachaume'a, ale Perry nie pozwolił sobie na ofiarowanie jej czegokolwiek innego. Każdego ranka po wyjściu z Ritza szedł rue de la Paix spoglądając tęsknie na wejście do Cartiera. Chciałby wpaść tam i kupić jej - cokolwiek, wszystko! - ale wiedział, że to byłoby zupełnie nie na miejscu. Jeśli tylko się zgadzała, zapraszał ją na kolację. W czasach gdy w wielkich restauracjach obowiązywały stroje wieczorowe, ulegał jej chęci chodzenia do prostszych lokali, gdzie czuła się swobodnie w swoich sukienkach przypominających koszulki i w czarnej pelerynie. Łagodnie, jakby była rzadkim, dzikim ptakiem, nakłaniał ją do opowiadania o swoim dzieciństwie, babce, rabbim Taradashu i bandzie młodych łobuziaków, której była członkiem jeszcze niespełna dwa lata temu. On z kolei opowiedział jej o swym legendarnym krewniaku, „Uczciwym Nedzie Kilkullenie”, który wyzwał całą potęgę Tammany Hall i przez jakiś czas był górą, i wyjaśnił jej różnicę między Irlandczykami i innymi imigrantami w Stanach Zjednoczonych.

- Uwielbiają dobrą walkę, Maggy, i dobrą piosenkę. Są niejednolici, diabelnie dumni i zrobią wszystko, by zdobyć wolność i sprawiedliwość, tak jak je pojmują. Oczywiście zawsze uważają, że mają rację, nawet, kiedy tak nie jest, ale to po prostu irlandzki ogień.

- Chyba spodobaliby mi się Irlandczycy - powiedziała, rozbawiona jego żarem.

Nagle Perry wyobraził sobie swą żonę, w której irlandzki ogień został stłumiony dawno temu, jeśli sztywność wschodniego wybrzeża

wpojona jej przez guwernantkę w ogóle zostawiła jeszcze jakiś płomień. Mary Jane Kilkullen zmieniła się w oschłą, obowiązkową członkinię komitetów, której imię wywoływało mętne obrazy wielkiego mieszkania wypełnionego antykami, gdzie cenne srebro zawsze było dokładnie wypolerowane, a delikatne lniane prześcieradła świeżo wyprasowane; dokładnie uderzonej piłeczki golfowej; doskonale zmieszanego koktajlu, lecz nie nachodziły go żadne wspomnienia dotyku jej włosów pod jego ręką, jej zapachu czy warg. Obraz żony zniknął z jego umysłu równie szybko, jak się w nim pojawił. Rzeczywiście, to krągłość ramienia Maggy, nieugaszony blask jej oczu rozstawionych tak szeroko, że nadawały jej cień osobliwości, bez której samo piękno jest puste.

Minęły dwa tygodnie tych wdzięcznych starań i Perry Kilkullen, który potrafił być tak bezpośredni z Paulą, zaczął robić sobie wyrzuty, bo dzień mijał za dniem, a on zdawał sobie sprawę, że paraliżuje go siła uczucia do Maggy. Czuł, że zmienił się w nieśmiałego młodzieńca, który waha się nawet wyciągnąć rękę do ukochanej dziewczyny ze strachu, że zostanie odtrącony. Jak to się stało, zapytał siebie zaniedbując korespondencję i zapominając odpowiadać na telefony, że pozwolił na rozwój takiej sytuacji między nimi, w której zachowuje się jak jakiś dobrotliwy, zaślepiony wujcio?

Minął kolejny tydzień, zanim Maggy, która nie mogła nie zauważyć, jak bardzo Perry jej dogadza, zaczęła wypatrywać u niego znaków tego, co Paula, ciekawska jak stara konsjerżka, nazywała jego „intencjami”. Nigdy nie sądziła, że mężczyzna może być taki szarmancki i nieśmiały. Pewnego wieczoru, gdy kończyli wspólną kolację w Le Grand Vefour, Maggy odkryła, że nagle ma ochotę zatańczyć. To coś więcej niż ochota,

wyjaśniała poważnie Perry'emu, to fizyczna konieczność.

- Gdzie? - zapytał, zachwycony przerwą w czymś, co wydawało się nieskończonym ciągiem posiłków.

- Le Jockey - odparła. Od czasu *vernissage'u* Maggy nie wróciła do żadnego z nocnych klubów i barków na Montparnasse. Spotkanie Mistrała, czy któregokolwiek z ich uwielbiających skandale przyjaciół, na Prawym Brzegu było tak nieprawdopodobne, jakby wybrała się w podróż statkiem, ale dzisiaj wybór Le Jockey oznaczał, że nie obchodzi jej, kogo może spotkać, bowiem był to ulubiony nocny klub malarzy, tak nieformalny, że często przychodzili do niego w ubraniach, w których malowali.

Perry i Maggy wkrótce znaleźli się stłoczeni w wąskim, ciemnym pomieszczeniu, będącym może najgłośniejszym miejscem w Paryżu. Jego właścicielami było dwóch ludzi: malarz i były steward na parowcu. Ściany i sufit tego pierwszego i najśłynniejszego klubu nocnego na Montparnasse przypominały saloon na Dzikim Zachodzie. Pokrywały je poprzyklejane w najróżniejszych kierunkach plakaty, a tu i tam pojawiały się tablice z powypisywanymi na nich ryzykownymi limerykami w amerykańskim slangu. Były kowboj, Lee Copeland, grał na pianinie z towarzyszeniem dwóch gitar hawajskich, a kiedy muzycy się zmęczyli, fonograf zastępował ich muzyką z najnowszych płyt jazzowych i bluesowych ze Stanów Zjednoczonych.

W maleńkim Jockey, przez cztery lata jego krótkiego, legendarnego istnienia, pulsowało plemienne, prymitywne podniecenie. Co noc pod czarnymi ścianami klubu, na których wymalowano jaskrawymi kolorami Indian i kowbojów, zatrzymywały się limuzyny, jak ta Perry'ego, i pary zbiegłe z formalnych balów szybko znikwały wewnątrz, by pić nie kończące

się szklaneczki amerykańskiej whiskey i tańczyć w delirium całą noc. Gdy Maggy i Perry usiedli, płyta ryczała właśnie „Black Botton” ze „Scandals” George'a White'a. Pary rzucały się szaleńczo po małym parkiecie.

- Do diabła - nie potrafię tego tańczyć! - powiedział Perry z rozdrażnieniem.

- Ja też nie - nie byłam tu od miesiący. - Maggy pociągnęła whiskey.
- Można sobie złamać rękę.

A potem Lee Copeland zagrał pierwsze takty „Someone to Watch Over Me” i Perry uśmiechnął się z ulgą. - To potrafię - spróbujemy?

Maggy wstała i odruchowo zrzuciła pantofle. Po raz pierwszy trzymał ją w ramionach i wymowa ciał nigdy nie była wyraźniejsza niż w chwili, gdy się dotknęli. Zgodność fizyczna jest przede wszystkim kwestią skóry. Jeśli dotyk skóry drugiej osoby nie sprawia natychmiastowej przyjemności, to nic innego nie będzie miało znaczenia, lecz jeśli jest inaczej, może się zdarzyć wszystko.

Gdy wynaleziono taniec towarzyski, nastąpiło znaczne uproszczenie życia. Nie przez przypadek dalekowzroczne matrony przez lata nie pozwalały swym córkom tańczyć walca. Gdy pozwoli się mężczyźnie objąć kobietę i poruszać się wraz z nią w takt muzyki, można przewidywać nieskończoność dodatkowych układów, do których nigdy nie doprowadzał gawot czy menuet.

Ze wszystkich tańców znanych człowiekowi Zachodu w latach dwudziestych, fokstrot lub też „slow”, jak go zwał we Francji, był najgroźniejszy, o wiele bardziej zgubny niż seksualna dosadność gimnastycznego tanga czy rozbawionego shimmy. Slow to po prostu objęcie i nieskomplikowany krok, ale wielkość parkietu w Le Jockey

uniemożliwiała wykonywanie nawet prostych ruchów.

Gdy hawajskie gitary zanosily się jękiem w takt arcydzieła Gershwina, Maggy stała się w magiczny sposób osiągalna dla Perry'ego. Więzy krępujące go przez ostatnie trzy tygodnie po prostu rozplynęły się w melodii.

Jestem owieczką zagubioną w lesie...

Och, jakbym chciała spróbować być grzeczna.

Nieprzemijająco banalne słowa będą dla Perry'ego źródłem niedorzecznego szczęścia do końca życia. Trzymali się w objęciach, aż muzyka zamilkła i gdy pianino wśliznęło się w następną piosenkę, stali w bezruchu, przywarci do siebie i wpatrzeni w swoje oczy. Maggy nie poruszała się, ale Perry miał wrażenie, że jest przeciwnie, jakby walczyła z wiosennym wiatrem.

- Mógłbym poprosić, żeby zagrał tę piosenkę jeszcze raz - powiedział tęsknie Perry.

- Albo mógłbyś zabrać mnie do domu - szepnęła Maggy z wznoszącą się, przesywającą nutą w głosie. Nie puszczając rąk, zatrzymując się tylko po to, by zostawić na stoliku pieniądze i podnieść pantofle Maggy, wyszli z Le Jockey i wsiedli do czekającej limuzyny, która zawiozła ich parę ulic dalej do wysokiego, wąskiego budynku obok La Pomme d'Or, w którym mieszkała Maggy.

Maggy ciągle nuciła melodię, gdy bez słowa, trzymając się za ręce, wchodzili na piąte piętro po zniszczonych, źle oświetlonych schodach do jej pokoju. Od trzeciego piętra musieli ostrożnie przechodzić między koszami kwiatów, jeszcze świeżych, starannie poustawianych na każdym stopniu. Korytarz prowadzący do mieszkania Maggy był też obstawiony

koszami, a kiedy otworzyła drzwi, Perry wstrzymał oddech - ogromne połączane łóżko w sypialni unosiło się, pływało po morzu kwiatów.

- Chyba przesadziłem - mruknął.
- Dziewczyna nigdy nie ma za dużo kwiatów.
- Nie ma miejsca, żeby usiąść - powiedział oszołomiony.
- I nie ma miejsca, żeby ci zrobić filiżankę kawy.
- I nie możesz przejść do kominka, żeby zrobić grzanekę.
- I nie mogę otworzyć szafy, żeby powiesić twoją marynarkę.
- Nie mam marynarki.
- Ach, to znacznie wszystko upraszcza. Nie mamy wyboru, prawda?
- Nie. Musimy położyć się na łóżku albo stać tu całą noc.
- Bolały mnie stopy - powiedziała płacząco.
- A więc alternatywa - alternatywa...

Zanim pocałował jej uniesione ku niemu wargi, w tej wibrującej sekundzie, w której wszystko wydawało się możliwe, w której ofiarowano mu wszelką szczęśliwość, pomyślał, że zbliża się do przeznaczenia, do którego bezwiednie dążył przez całe życie. A gdy pochylił swe usta ku niej i poczuł jej oddech zmieszany ze swoim, wiedział, że dotarł do celu.

Stali długo całując się, otoczeni kwiatami, aż serca zaczęły im bić tak nierówno, że oboje drżeli.

- Alternatywa? - mruknęła i w końcu położyli się razem na kołdrze i powoli, trzęsącymi się rękami i z licznymi przerwami na pocałunki Perry rozebrał się, a Maggy obserwowała go przy nikłym, jasnozłocistym świetle lampy ulicznej przenikającym przez jej okno. Nagi wyglądał zdumiewająco młodo; bez eleganckiego garnituru, kamizelki, nakrochmalonego lnu, był mężczyzną ze zmierzwionymi, gęstymi blond

włosami i długimi, płaskimi mięśniami narciarza.

Zsunął jej z ramion cienkie ramiączka sukienki, a samą sukienkę opuścił aż do talii. Jedną ręką podtrzymywał półleżącą Maggy, a drugą głaskał ją od szyi do talii, centymetr po centymetrze biorąc ciepłą ręką jej ciało w posiadanie, uspokajając ją, aż zupełnie się odprężyła z głową odrzuconą na poduszkę. Teraz zsunął sukienkę całkowicie, rzucił ją na koszyk fiołków i wkrótce Maggy była tak naga jak on. Ciało miała spokojne, lecz przepelnione szaleńczą obietnicą w rozmyślnym, cudownie pasywnym oczekiwaniu na to, co zrobi Perry. Długo przyglądał się doskonałej i niczym nie zmaconej młodości jej ciała. Następnie przylgnął do niej i leżeli tak naprzeciw siebie, prawie równi sobie wzrostem, stykając się ustami, sutkami, sercami.

- Maggy, tak bardzo cię kocham. Czy pozwolisz mi się kochać?

- Jeśli tego nie zrobisz... jeśli nie zrobisz... - zagroziła trzęsąc się ze śmiechu. - Och, tak, kochaj mnie... kochany Perry... kochaj mnie... nie pytaj już o nic więcej.

Z początku między ich ruchami panowała dysharmonia. Maggy, przyzwyczajona jedynie do nagłych potrzeb i brutalności Mistrala, była o parę kroków przed Perrym, który wniósł do swych pieszczot poważną, spokojną ekstazę, posuwając się do przodu pojedynczymi krokami i przeciągając każdy z nich. Czując w sobie rosnącą gotowość, wzbierającą gorącem i pożądaniem, rosnącą coraz bardziej natarczywie, Maggy zdała sobie sprawę, że nie musi się śpieszyć ku szybkiej satysfakcji. Dostosowała się do niego, zamieniła pośpiech na powolne oczekiwanie, niemal wstrzymując oddech, poddając się jego palcom i ustom z błogą ciekawością. Każda chwila wystarczyła sama w sobie, wtapiając się w

następną jak dźwięki w muzyce. Gdy w końcu ją posiadł, pewny siebie i silny, pomyślała przelotnie, że pachnie miodem. Kiedy złączyli się, poczuła nagle, jakby z jej ciała uwolniło się rozmigotane stado kolorowych motyli, wzlatując w miękim zdumieniu spomiędzy jej ud w drżące powietrze.

Dwa razy w ciągu tej doskonałej nocy budzili się i zwracali się ku sobie, pogłębiając i potwierdzając swe pragnienie.

Kiedy Maggy w końcu się obudziła, na dworze był jasny dzień, a Perry spał, jakby nic nie mogło go obudzić. Wyśliznęła się z łóżka, włożyła srebrzyste pantofle wieczorowe i nie mając na sobie nic oprócz czarnej peleryny zbiegła po schodach do piekarni na rogu, gdzie kupiła sześć jeszcze ciepłych rogalików. Spał, gdy wróciła i ostrożnie przeszła między koszami kwiatów do pojedynczego palnika gazowego, by zrobić kawę i podgrzać mleko. Maggy napełniła do połowy dwie ogromne filiżanki mocnym naparem, postawiła je na tacy z dzbankiem parującego mleka, cukiernicą i rogalikami i zrobiła na tacy miejsce na podłodze obok łóżka.

Perry leżał na brzuchu i w nocy tak wysoko podciągnął kołdrę, że oprócz czubka głowy i jednej odrzuconej ręki cały był przykryty. Ma go pociągnąć za włosy czy... Maggy schyliła głowę i polizała jego mały palec. Jęknął i znów zapadł w sen. Wsunęła język między jego mały i serdeczny palec i zaczęła nim przesuwając po delikatnej skórze. Zabrał rękę, ale chwyciła ją i zaczęła ssać czubek palca wskazującego. Okryta kołdrą masa uniosła się na łóżku jakby zadzwoniono mu tuż przy uchu.

- Co do diabła?... gdzie? Maggy, ty diablico! - Rzucił się na nią i przewrócił ją na łóżko. - Dlaczego jesteś w płaszczu? Zdejmij go! Pocałuj

mnie! Pocałuj!

Złapał ją i popchnął na poduszkę. Jej włosy rozpostarły się na niej jak czerwone sztandary na tle białej chmury. Czując, jak jej usta otwierają się pod jego wargami, pomyślał, że obudził się znów jako dziecko, kiedy każda godzina pełna jest nowych możliwości, każda chwila rozciąga się przed nim, swobodna, lśniąca i gotowa przyjąć w siebie jego marzenia, kiedy żaden dzień nie został jeszcze zużyty, splamiony czy zapomniany.

- Kawa! - udało się jej w końcu wysapać. - Wystygnie.

- Czemu nie powiedziałaś „kawa”? - spytał, puszczając Maggy.

- Czuję ją, ale nie widzę.

Maggy podczołgała się do krawędzi łóżka i z trudem uniosła tacę niczego nie rozlewając.

- Mój Boże! Skąd się to wzięło? - zapytał, gdy nalewała gorące mleko do filiżanek. - Wieczorem powiedziałaś, że nie ma tu miejsca na zrobienie filiżanki kawy... a rano jest cała uczta!

- Rano pewne rzeczy stają się... ważniejsze, więc zmieniłam zdanie. Weź rogalika.

- Jaki dobry. W życiu nie jadłem nic lepszego. Skąd je masz?

- Zeszłam do piekarni zanim się obudziłeś - powiedziała z głodną miną i wzięła rogalika.

Gdy wszystko, co było na tacy, zostało zjedzone, Perry położył się i przeciągnął. Rozejrzał się i po raz pierwszy zwrócił uwagę na otoczenie. Jediną piękną rzeczą w pokoju były kwiaty, a jego ubranie, zrzucone tak pośpiesznie, przykryło kilka koszy. Ściany pokrywała wyblakła i poplamiona tapeta, poślota na łóżku była podrapana i zmatowiała. Szafa z dziesiątej ręki wypaczyła się pośrodku, a sufit był niski i wywoływał

wrażenie ciasnoty mimo słońca wlewającego się przez otwarte okna.

- Czy mogę skorzystać z twojej łazienki? - spytał.

- W korytarzu, drugie drzwi na lewo.

- Nie masz własnej?

- Jedna na piętro, sir. Mam umywalkę i bidet - tylko zimna woda - ale jeśli chcę się wykapać, muszę iść do Pauli. A kiedy chcę pójść do toalety, idę na korytarz.

- Nie pamiętasz przypadkiem, co się stało z moimi spodniami? - zapytał rozglądając się po pokoju.

- Muszą gdzieś tutaj być.

- Jeśli nie, to będę musiał się wysikać do bidetu - zagroził, zdumiony sobą. W ciągu dwudziestu lat małżeństwa nigdy nie odezwał się tak swobodnie do Mary Jane.

- Są na tych różowych różach - nie, zostań, przyniosę ci.

- Maggy poruszała się wśród kwiatów niczym kot, zupełnie nie skrępowana swą cudowną nagością, z całkowitym brakiem skromności, od którego Perry wahał się przez chwilę między podziwem i zgorzeniem. Jego wychowana w klasztorze żona nigdy w ciągu całego ich małżeństwa tak nie spacerowała.

Zanim wrócił z łazienki, Maggy pośpiesznie umyła zęby, twarz i ułożyła jego ubranie na łóżku, gdzie przysiadła okryta peniuarem z liliowego jedwabiu.

- Maggy. - Usiadł na łóżku z miną kogoś, kto chce złożyć oświadczenie.

- Czy łazienka spełniła wszelkie twoje nadzieje?

- I więcej. Posłuchaj, najukochańsza, nie możesz tu zostać.

- Ależ dlaczego - mam najlepszy widok w całym Paryżu.

- Bo nie możemy żyć rogalikami i kawą. Bo nie zniosę myśli, że nie masz łazienki. Bo jest tyle rzeczy, które chcę ci dać. Bo nie mogę spać tutaj co noc i iść rano do pracy nie wracając do Ritza na kąpiel i golenie i po świeże ubranie, a nie mam na to czasu. Bo nie ma tu wystarczająco dużo miejsca dla twoich kwiatów.

- Spać tutaj co noc? - ten zwrot naprawdę przykuł jej uwagę.

- Nie chcesz mnie?

- Och, tak, chcę!

- Co noc? - Jego szare oczy domagały się potwierdzenia.

- Nie jestem pewna, czy co noc. - Objęła go w pasie i ułożyła mu się na kolanach, podnosząc wzrok na plataninę jasnych włosów pokrywających jego pierś. - Ależ z pewnością dzisiaj, jutro i pojutrze...

- A więc widzisz, moja śliczna, że musisz się przeprowadzić. Nie ma tu miejsca na moje ubrania.

- Albo na twojego lokaja.

- Szczególnie na mojego lokaja. Chciałabyś mieszkać w Ritzu? Nie, zostawmy to - w pięć minut mówiłby o tym cały personel, a nie widzę powodu, dla którego ktokolwiek miałby o nas wiedzieć. Maggy - pozwolisz mi znaleźć dla ciebie mieszkanie? Pozwolisz mi zająć się wszystkim, żebyśmy mieli porządne mieszkanie?

- Ale ty jesteś taki przyzwoity - zaproponowała. - Tutaj masz szansę na przygodę w prawdziwym Paryżu, w części Paryża, którą naprawdę znają tylko artyści i Francuzi - w miejscu, które ci wszyscy amerykańscy turyści tak bardzo chcą uczynić własnym - a ty natychmiast chcesz zamienić je na coś innego; na przyjemne miejsce do mieszkania, spania, na pewno ze

służbą, i z najlepszym mięsem od najlepszego rzeźnika i z wszystkimi rachunkami płaconymi na czas... to „porządne mieszkanie” byłoby dla mnie czy dla nas?

- A co za różnica?

- Nie przeprowadzę się do mieszkania, domu czy apartamentu żadnego mężczyzny - wolałabym już zatrzymać ten mój pokój. Odpowiada mi. Ale jeżeli to będzie moje własne mieszkanie, mieszkanie, do którego klucz będę miała tylko ja, moje własne, prywatne mieszkanie jak to, to mogłabym zacząć, tylko zacząć rozważać...

- Obiecuję! Twoje własne, zupełnie. Tylko jeden klucz. Będę się umawiał telefonicznie. Czy mademoiselle jest wolna dziś wieczorem? Czy mademoiselle zechciałaby przyjąć pana Kilkullena? Czy mademoiselle ma ochotę zabawić pewnego dżentelmena? Czy mademoiselle chce być całowana w kark czy też mademoiselle ma mniej ortodoksyjne pragnienia? Czy mademoiselle chce, by ją dotykać między...

- Stop! - Maggy wysunęła się z jego objęć. - Mademoiselle nie ma dziś rano już żadnych pragnień.

- Ale obiecujesz, Maggy? Przeprowadzisz się? Ciągłe nie powiedziałaś, że tak. - Spojrzał na nią z niepokojem. Pomyślał, że zupełnie nie można przewidzieć, jak się zachowa, nie można jej mieć na własność i bał się, że może będzie wolała życie w całkowitej wolności. Nie ma żadnych cech domatorki. Lecz nie potrafił znieść myśli, że Maggy mieszka w tym niemożliwym pokoju, w którym spędził najpiękniejszą noc swego życia. Światło dnia tu nie pasowało.

- Perry, to czego chcesz, ujęte prosto i bez ogródek - powiedziała Maggy z nagłą powagą - to utrzymać mnie. Z własnym kluczem czy

bez, jeśli się zgodzę, zostanę utrzymanką, tak?

- To takie wulgarne słowo! - rzekł z przerażeniem. - Dlaczego tak to nazywasz?

- Ale czy mam rację? Czy tak właśnie nie powiedzieliby ludzie? Czym innym bym była, jak nie utrzymanką, *une femme entretenue*? - ciągnęła bezlitośnie.

- Och, Maggy, jesteś niemożliwa - powiedział złośliwie.

- I pewnie chciałbyś, żebym ubierała się w najlepszych domach mody - uważałbyś, że moje rzeczy nie są odpowiednie - i chciałbyś kupować mi klejnoty i futra...

- Tak! Chciałbym, do diabła! Co w tym takiego strasznego? Cholera!

Maggy wskoczyła na łóżko i na jej wargach pojawił się szeroki uśmiech. Zaczęła wirować, a jej liliowy peniuar owijał się wokół jej nagich nóg. - Brylantowe bransoletki do samych łokci? Szynszyle do ziemi? Wyprawy do Deauville? Własny samochód?

Perry przyjrzał się jej szelmowskiej minie. - Bransoletki na obu rękach, do ramion, jeśli to możliwe... dziesięć futer... powóz i czwórka koni... sześciu wysokich lokajów... po jednym z każdego numeru w nowej kolekcji Chanel... i to tylko na początek!

- Och... och! - Obracała się coraz prędzej, aż przewróciła się na niego. - Zawsze chciałam być utrzymania! To było marzenie mojej zdeprawowanej młodości - och, ten dreszczyk emocji... utrzymanką... zupełnie jak w *la Belle Epoque*. - Zadrżała z zachwytu. - Co by powiedziała ciocia Estera, gdyby się dowiedziała?

- Nie mówmy jej - powiedział pośpiesznie Perry.

- Ani mi się śni. Posłuchaj, kochany - jak szybko chcesz zacząć mnie

utrzymywać? Tak zupełnie szczerze to chcę opuścić Montparnasse i nigdy już tu nie wrócić. Skończyłam ze swoim dotychczasowym życiem. Ten rozdział jest już zamknięty... z wyjątkiem Pauli.

- Dzisiaj, od zaraz. Wynajmę ci apartament u Lottiego - to tylko parę kroków od Ritza i zaczniemy szukać mieszkania.

- Och, tak! Wiedziałam, że bycie utrzymanką to boskie uczucie - ale bycie utrzymanką bogatego, wysokiego, przystojnego, hojnego, szalonego Amerykanina! - Maggy pokryła jego twarz burzą pocałunków. - *Ça, alors, Ça c'est la vie, mon cheri - la bonne vie!*

- Dobre życie - powtórzył Perry - tak, moja ukochana, obiecuję.

- On nie pracuje - powiedziała Cate w kawiarni do Avigdora. - Od wernisażu nie może nawet wziąć pędzla do ręki. - Handlarz zeszywniał. Malarz, który nie maluje regularnie, jakby chodził do biura, może okazać się tak samo złą inwestycją jak zanikająca żyła złota.

- To przez tę przeklętą dziewczynę. Nie wróciła, prawda?

- Nie chodzi wcale o to - warknęła Kate. - Naturalnie był wściekły, gdy zrobiła taką głupią awanturę - ta haniebna scena, jaką urządziła, była obrzydliwa - ale on nie jest typem, który by usechł z tęsknoty za kobietą. Nie potrzebuje jej już do pozowania, a domyślam się, że byli ze sobą tylko parę miesięcy - nie na tyle długo, żeby ktoś taki jak on przestał pracować. Ona jest zasadniczo nieważna.

- Skoro tak mówisz. - Avigdor zgodził się, ale zachował swe myśli dla siebie. Czy jakaś nieważna dziewczyna mogła być natchnieniem do powstania tak namiętnych dzieł? Lecz coś odpychającego w gładkości czoła Kate, jakaś lodowata nuta w jej głosie powiedziały mu, żeby nie zastanawiał się dalej, a przynajmniej nie na głos.

- Mam teorię, że to rodzaj zawodu - chandra po narodzinach. *Vernissage* był takim szczytowym punktem, po którym musiała nastąpić reakcja. Sama czuję się trochę... oklapnięta... więc potrafię sobie wyobrazić, jak to wpłynęło na niego.

- Czy chociaż próbował malować? - spytał Avigdor.

- Tak. I tym martwię się najbardziej. Już od dwóch tygodni staje przed sztalugami i po prostu całymi dniami na nie patrzy, a farba mu wysycha na palcu. Ile razy zaglądam do niego, stoi przed pustym płótnem. A w nocy upija się czerwonym winem - nigdy przedtem tego nie

robił. I nie chce o tym rozmawiać. Adrien, on wygląda na... przestraszonego - to jedyne słowo, jakie mogę znaleźć na określenie wyrazu jego oczu. Prawie jakby znajdował się w panice... nie rozumiem tego.

- Musi na jakiś czas wyjechać, zobaczyć coś oprócz ścian swojej pracowni. Nie jest pierwszym malarzem, który po odniesieniu dużego sukcesu nie może podnieść pędzla.

- Proponowałam mu, żeby gdzieś się wybrał.

- I?

- Mówi, że nie ma do tego nastroju. Mówi, że nie jest typem człowieka, który wyjeżdża na wakacje. Mówi, że od kilku miesięcy nie spędził ani jednej minuty na uczciwej pracy i że musi próbować, aż mu się uda.

- Mam z nim porozmawiać?

- Bardzo bym tego chciała, Adrien. Uważa, że dobrze się spisałeś z wystawą.

- Dzięki - powiedział Adrien sucho. Przecież to on zrobił z niego sensację sezonu. Ale gdyby handlarze spodziewali się od malarzy zwykłej wdzięczności, kładliby się co wieczór spać ciężko zawiedzeni. Każdy handlarz, który prowadzi interes dla wdzięczności, powinien zamknąć swoją galerię i zostać hodowcą psów, najlepiej dużych i zaślinionych.

* * *

W dwa dni później, wczesnie rano pewnego dnia w połowie października, Mistral wyjechał do Prowansji. Poprzedniego wieczoru przy pożegnalnym kieliszku Kate zaproponowała jakby po namyśle, że go tam zawiezie samochodem.

- Znam tylko Paryż i trochę Normandii. Chciałabym zobaczyć Aixi Awinion, ale nie lubię jeździć sama... a ty nie musiałbyś jechać pociągiem...

Mistral obraził się. - Zbyt wiele zakładasz, Kate. Czy sądzisz, że chcę, żebyś wszędzie mnie wozila?

- Ty możesz prowadzić... wszystko mi jedno - odpowiedziała z rozdrażnieniem.

- Nie potrafię - jakie to amerykańskie, myśleć, że mogę, jakbym miał samochód.

- Nauczę cię w pół godziny, jak tylko wyjedziemy za miasto. To nic trudnego.

* * *

Gdy tylko minęli Fontainebleau, Kate skręciła z głównej drogi i po bardzo krótkim instruktażu i paru wskazówkach oddała sportowego, dwuosobowego talbota w ręce Mistrala. Wiedziała, że reaguje błyskawicznie, jakby stale znajdował się w niebezpieczeństwie, i że ma fantastyczną koncentrację wzrokową. Ciekawa była, jak poradzi sobie z tym wyzwaniem. Bez słowa porady obserwowała jego duże, wyjątkowo wydłużone dłonie z palcami o delikatnych stawach zręcznie operujące dźwignią zmiany biegów i kierownicą.

Opanował samochód w dziesięć minut. Wrócili na główną drogę i pomknęli do Saulieu, pędząc na południowy zachód niemal pustą trasą z szybkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Kate siedziała w milczeniu, odprężona i ciepło ubrana w pięknie skrojony brązowordzawy tweed, w miękkich skórkowych rękawiczkach na dłoniach i ciasno przylegającym do głowy filcowym kapelusiku. Jechali

przez płaski *departement* Yonne między nie kończącymi się rzędami platanów, którymi obsadzono pola prawie zupełnie już pozbawione pszenicy. Był to jeden z tych jesiennych dni bez cienia melancholii, gdy w głębi nieba i chłodzie powietrza tkwi nieomal niewidoczna, zwodnicza obietnica, szczególnie, kiedy przeznaczeniem podróżnika jest południe.

W Avallon szybko zjedli lunch i uciekli dalej w milczeniu, aż zostawili za sobą miejscowość, w której Kate zaplanowała nocleg. Wydawało się, że Mistral wpadł w trans ruchu, w którym myśl czy pamięć nie odgrywają żadnej roli.

Od czasu do czasu Kate popatrywała na jego profil i zauważyła, że wyraz jego ust, zwykle zaciśniętych w rozkazującym, apodyktycznym grymasie, złagodniał. Nie widziała jego głęboko osadzonych oczu, ale sposób, w jaki trzymał swą władcą głowę, nie zapraszał do rozmowy.

- Jak daleko jeszcze jedziemy? - spytała w końcu Kate, gdy mijało popołudnie, a ona mimo grubego kostiumu i swetra zaczęła odczuwać wieczorny chłód w odkrytym samochodzie.

- Do Lyonu, gdzie Saona wpada do Rodanu. Dawno temu było to święte miejsce. Dla mnie tam zaczyna się Prowansja, choć każdy Prowansalczyk powiedziałby, że to za daleko na północ. Żadnego postoju aż do Lyonu.

- To prawie dwieście kilometrów - zaprotestowała Kate.

- Tak, ale z górki - zapewnił ją Mistral. - Na południe zawsze się jedzie z górki.

W Lyonie znaleźli hotelik, za niewielkie pieniądze zjedli wspaniałą kolację i udali się do swych pokoiw osmagani wiatrem i wyczerpani. Nazajutrz jechali wzdłuż majestatycznego Rodanu, rzeki płynącej wartko i

kapryśnie, czczonej od tysiącleci, przejeżdżając przez wioski, których nazwy układały się we wspaniałą kartę win, cudownym szlakiem winnic, z których jedna była cenniejsza od drugiej, od Lyonu poprzez Valence i Orange do Awinionu. Tam przejechali przez rzekę do Villeneuve-les-vignon, gdzie niemal o północy wreszcie się zatrzymali w pensjonacie, który Mistral kiedyś już odwiedził podczas wakacyjnej wyprawy, gdy studiował jeszcze w Beaux- Arts.

Madame Ble kupiła swą pensję od ziemianina. Budynek najpierw był pałacem kardynalskim, a od roku 1333 do rewolucji, klasztorem. Potem został oddany do użytku świeckiego. Nadal jednak otaczała go atmosfera zupełnego spokoju. Zbudowano go w kształcie litery U wokół dziedzińca, gdzie porośnięte mchem marmurowe kolumny byłego klasztoru stoją na straży w ciemnym ogrodzie. Ten dawny klasztor nie miał w sobie nic zakonnego, nic kościelnego. Jego ciepły spokój był spokojem ucieczki od świata, lecz nie od ziemskich owoców i uciech. Środek dziedzińca był zaznaczony przez schody prowadzące w dół do piwnic winnych tak starych jak pałac kardynała Arnauda de Via i stanowiących prawdziwe serce budynku.

* * *

- Muszę znaleźć jakiś przewodnik po tych okolicach - powiedziała Kate następnego ranka po późnym śniadaniu.

- Po co?

- Jechaliśmy tak szybko, że czuję się kompletnie zdezorientowana. Nie wiem, co leży na wschód czy na zachód od tego miejsca, ale wiem, że jest ono strasznie historyczne, a nie lubię uczucia niewiedzy.

- Historyczne? - Mistral uniósł ciężkie brwi z udawanym

zdumieniem.

- Och, na litość boską, Julien - pełne ruin, kościołów, muzeów, tych wszystkich rzeczy, które powinniśmy zobaczyć. Przestań robić taką zdziwioną minę. Co w tym złego, że chcę wiedzieć? Przejechaliśmy prawie całą drogę z Paryża nad Morze Śródziemne w dwa dni i chcę wiedzieć, dlaczego z całej Francji wybrałeś na postój to właśnie miejsce.

- I książka ci to powie?

- No... a dlaczego nie? Nie możemy chodzić tak sobie nic nie wiedząc.

- Nie możemy?

- Oczywiście jest to możliwe, ale wtedy wiele stracimy - odparła opryskliwie.

- Mogłabyś mieć dziesięć przewodników i dziesięć lat, żeby je wykorzystać, ale i tak przegapiłabyś coś wspaniałego tuż pod swoim tak bardzo amerykańskim nosem. Odpuść się i rozejrzyj. Po to właśnie przyjechałem - żeby się po prostu rozglądać.

Kate nie dyskutowała. Chociaż jej podstawowe poczucie porządku zostało wywrócone do góry nogami przez pomysł snucia się po okolicy bez żadnych wskazówek, nie chciała się z nim o nic spierać.

Do wieczora i przez cały następny dzień chodzili pieszo po Villeneuve-les-Avignon, odkrywając miasto wyrosłe w ciągu czternastego wieku, gdy papież przeniósł się z Rzymu do Awinionu. Dostojnicy kościelni osiedlali się w Villeneuve i stworzyli ruchliwe miasto z wielkim klasztorem i wspaniałą twierdzą, które teraz zmniejszyło się do kilku sennych, wonnych placów i wąskich, arkadowych uliczek, gdzie jeszcze można było spotkać ostatnie kamienie z pałacu biskupiego.

Trzeciego dnia pojechali na wschód za Awinion drogą prowadzącą do targowego miasta Apt i przecinającą nieckę Apt, żyzną dolinę leżącą między dwoma łańcuchami górskimi odległymi od siebie o jakieś sześć mil. Daleko na północy leżały Monts de Vaucluse, a ku południowi, prawie dotykając drogi, Montagne du Luberon. Podczas poprzedniej wizyty Mistrala urzekła go właśnie ta strona Luberon, *Le Versant Nord*. Nigdy nie zapomniał tych fantastycznie zerodowanych wapiennych urwisk, do których rzadka roślinność przywarła tak kurczowo, jak skulone wioski przycupnięte o tysiąc stóp nad główną drogą. Wydawało się, że nie ma jak do nich dotrzeć, dopóki Mistral nie odkrył wąskiej, polnej drogi prowadzącej do każdej z nich: do Maubec, Oppede-le-Vieux, Félice, Menerbes, Lacoste i Bonnieux.

W miejscach gdzie teraz leżały te ufortyfikowane górskie wioski, prawie niewidoczne z drogi, którą tak często w przeszłości nadciągali wrogowie, ludzie mieszkali już w czasach prehistorycznych. Przez setki lat wioski te toczyły krwawe bitwy przeciw tyranii z północy, te małe, senne wioski o ulicach stromych jak składana drabina, w których domy w odcieniu delikatnej szarości i jeszcze delikatniejszej ochry tłoczyły się jeden obok drugiego, okryte winoroślą, upstrzone drżącym, mitycznym srebrem gajów oliwkowych i głęboką koralową barwą kwiatów winorośli zwanych „palcami wróżki”. Nocami z tych wiosek unosił się opar, a wraz z nim, jak powiadano, duchy ich byłych mieszkańców, protestanckich odszczepieńców bezlitośnie wybitych przez pobratymców podczas wojen religijnych. Te obecnie spokojne wioski były domem dla sklepikarzy i rzemieślników, których klienci pochodzili z licznych, niewielkich i zamożnych gospodarstw w Apt.

Mistral odczuwał szalone podniecenie. Wspiął się na wysoko położone, białe, marmurowe ruiny zamku - fortecy w Oppede-le-Vieux, skąd dostrzegał jakieś szczególnie zachęcające gospodarstwo położone daleko w dole. Pędził w dół stromą ścieżką, którą przed chwilą wdrapywał się razem z Kate pod górę, ciągnąc opierającą się dziewczynę za sobą, by rzucić się z powrotem do samochodu i pojechać do pofałdowanej, uprawnej doliny w poszukiwaniu domu, który dostrzegł z wysoka.

Każde duże gospodarstwo albo, jak nazywa się je w Prowansji, *mas*, stanowi zbiór kamiennych budynków ustawionych z grubsza w kwadrat wokół głównego dziedzińca i połączonych z tak wielką liczbą zabudowań gospodarskich, przyozdobionych wieżyczkami i o najróżniejszej wysokości, z całą kolekcją rozmaitych, asymetrycznie rozmieszczonych okien zasłoniętych okiennicami oraz sklepionych przejść, że przypomina małą osadę położoną wśród bogactwa pól i winorośli pnącej się po zabudowaniach ze wszystkich stron.

Mistral nie zwracał uwagi na znaki ostrzegające, że droga prowadząca do *mas* jest prywatna i podjeżdżał tuż pod budynki, wysiadał z samochodu i okrążał je w niemym zachwycie, nie zwracając uwagi na szczekanie psów, aż wychodziła gospodyni sprawdzić co się dzieje. Wtedy na oczach Kate, obserwującej wszystko z samochodu, Mistral zaczynał rozmowę. Zawsze kończyło się to zaproszeniem obojga na kieliszek wina. Bardzo mu zależało na wchodzeniu do środka tych miejskich fortec, z których każda była inna, a wszystkie miały ściany metrowej grubości i kominki tak duże, że mógł w nich stać.

Prowansalskie gospodynie, małomówne i wystrzegające się nieznanym, normalnie nigdy nie zaprosiłyby dwojga obcych do domu,

ale entuzjastyczne uznanie i zainteresowanie Mistrala oczarowały je w równym stopniu, co wygląd wspaniałego kawalera mimo jego robotniczego ubrania. Podejrzenia kobiet z gospodarstw zmieniały się w życzliwość i ciekawość, bo wyczuwały w tym wysokim przybyszu z północy o rudych włosach i błękitnych jak morska woda oczach pokrewieństwo emocjonalne i wrażliwość na ich styl życia, co sprawiało, że nie wydał się już tak obcy, choć te same gospodynie nazywały własnych sąsiadów z wioski obok „cudzoziemcami”.

- Nie ma piękniejszego miejsca na świecie - powiedział do Kate po trzech dniach spędzonych na jeździe po górach i równinach północnego Luberon, skąd wracali czterdzieści kilometrów do Villeneuve co wieczór przed kolacją. - Przynajmniej moim zdaniem.

- Czy widziałeś wystarczająco dużo świata, by wydać sprawiedliwy werdykt? - Kate nie mogła powstrzymać zdumienia.

- Nie muszę. Niektóre rzeczy są oczywiste. Czegóż więcej można by chcieć od natury, Kate, i od człowieka, niż te wioski, to niebo, kamienie i ziemia? Miałem rację, że tu wróciłem. W Paryżu zapomniałem jak wygląda horyzont, jak wygląda zieleń. Nic, Kate, nic na ziemi nie jest tak zielone jak liście winnicy oświetlone późnym popołudniowym słońcem.

Kate nigdy nie widziała go tak przepełnionego widoczną radością. Wyglądał, jak gdyby cały był przesiąknięty tym szczególnie czystym i żywym światłem prowansalskiej wsi, ziemi, którą poeta Frederic Mistral nazwał „Imperium Słońca”.

Sama też czuła się inaczej. Te dni spędzone na świeżym powietrzu pachnącym wrzosem, rozmarynem i tymiankiem zmusiły ją do zrzucenia grubej warstwy zakłamania, wewnątrz której zwykle tkwiła. Ostre rysy jej

twarży, które zawsze przedtem pokrywała jasnym pudrem koloru kości słoniowej, zmiękły pod wpływem opalenizny, która zaokrągliła i ożywiła jej twarz. Jej cienkie wargi, nie malowane już starannie jasnoczerwoną szminką, wyglądały na pełniejsze i bardziej miękkie na tle zaróżowionych policzków, a jej wysokie czoło chowało się pod delikatnymi popielatymi włosami, które wiatr tak rozburzał w odkrytym samochodzie, że przestała pilnować starannego przedziałka pośrodku fryzury, zapomniała o kapeluszu i pozwoliła im się rozwiewać na wszystkie strony. Perfekcja kształtu jej twarzy zyskała na tej niedbałości. Teraz, gdy pograżyła się w nastroju okolicy, wydawała się mniej groźna - i tak młoda, jak wskazywała na to jej metryka.

- Miałaś rację z przewodnikiem - przyznała, gdy kończyli kolację w ogrodzie pensjonatu madame Ble.

- Ależ, Kate, pomyśl, co straciłaś! W Awinionie jest pałac papieski - nie byliśmy nawet w środku, a leży tuż za rzeką - i rzymska arena w Arles, i fontanny w Aix - ach, nie zapominaj o Maison Carree w Nimes - znajdujesz się oto pośród dziesiątków słynnych zabytków starożytnych, które turyści odwiedzają od wieków, a widziałaś jedynie kilka sennych wiosek i dziesięć gospodarstw.

- Dlaczego ciągle mi dokuczasz, Julien? Powiedziałam, że masz rację; żądasz formalnych przeprosin?

- Przeprosin? Od ciebie, wyniosłej damy z Nowego Jorku, bogatej i eleganckiej Amerykanki, która ciska się dookoła organizując życie ludziom tak sprawnie, że ledwo to zauważają?

- Obdarzył ją protekcyjnym uśmiechem.

- No, to już nieładne. Czuję się dotknięta. - Kate mówiła spokojnie,

ale czuła, jak ogarnia ją gniew. Dlaczego naskoczył na nią, ledwo zrobiła ustępstwo? Czemu jest taki przekorny?

- Nieładne? Wcale nie - po prostu nie chcesz zobaczyć się taką, jaka jesteś. Owszem, tu jesteś inna, ale w Paryżu, kiedy jesteś w swoim żywiole, nigdy nie znałem kobiety, która lepiej umiałaby pokierować sprawami, tak żeby wszystko toczyło się po jej myśli. Jesteś nadzwyczajna, Kate. Co złego w byciu bogatą, doskonale ubraną, w patrzeniu na wszystkich z góry i zmuszaniu życia do toczenia się wedle swojej woli? Jest mnóstwo kobiet, które chciałyby mieć szansę zamienienia się z tobą miejscami.

- Do diabła z tobą, Julien! Kimże ty jesteś, żeby mi mówić, jaką mnie widzisz? Nic, nikt nie ma dla ciebie znaczenia, prawda? Czy oprócz twojej pracy istnieje coś, na czym ci naprawdę zależy? Jeśli tak, to nie widziałam tego. Jesteś potworem. - Kate ledwo mogła uwierzyć, że słowa, które słyszy, wylewają się z jej ust. Jej opanowanie, jej poczucie proporcji, równy rytm jej normalnej mowy zniknęły wszystkie naraz w przypiływie wściekłości.

Mistral uśmiechnął się jak chłopiec drażniący się z kocięciem.

- A ty, droga Kate, oczywiście pozwolisz każdemu się zdeptać, ponieważ masz zbyt dobre serce, żeby się sprzeciwić. Elastyczna, delikatna Kate, niewymagająca Kate Browning, która prosi życie o mały owoc spadający z drzewa do jej stóp.

Zbyt rozgniewana, żeby odpowiedzieć, siedziała w milczeniu gryząc wargi i powstrzymując wybuch złości.

Przemówił leniwie: - Dwoje tak dogłębnie przyzwoitych ludzi, dwie tak wspaniałe osoby jak my, mogłyby stworzyć interesujący związek. Co

ty na to, Kate? Zrobimy eksperyment?

Kate zerwała się od stolika i odeszła w ciemny ogród, poza obręb światła. Mistral poszedł za nią i silnymi rękoma obrócił ją do siebie. Usztywniła się w obronnym odruchu i odwróciła głowę, zaciskając szczęki. Jedną ręką przytrzymał ją, a drugą obrócił jej głowę z powrotem ku sobie, ale Kate nie podniosła oczu. Nie był pewien, czy nadal jest zła, ale nie dbał o to. Od kilku dni zaczęła go pociągać, a na pewno nie wprosiła się na tę wycieczkę dla samych krajobrazów. Doświadczenie mówiło mu, że kobiety nie są tak skonstruowane. Nawet bogate Amerykanki w kosztownych tweedach.

- Kate, chodźmy do mojego pokoju. Chcę zobaczyć cię naga, rozciągniętą na moim łóżku.

- Julien!

- Tylko mi nie mów, że jesteś zaszokowana. Czy byłem zbyt bezpośredni dla panny Browning? Chcesz ładnych słówek, Kate? Chcę cię pieprzyć. Jeśli ci to nie odpowiada, powiedz. Drugi raz cię nie zapytam. Więc... tak czy nie?

- Jakie to typowe, jakie romantyczne - mruknęła.

- Powiedziałem „tak” czy „nie”.

W nikłym świetle zobaczył, że jej twarz przybiera złożony drżący wyraz niechętniej, lecz niepohamowanej tęsknoty. Bez słowa objął ją ramieniem. Przez całą drogę po krętych schodach nic do siebie nie mówili, ich jedyny kontakt stanowił lekki dotyk jego ręki na jej plecach i w talii. Wyczuwał palcami jej sztywność, jej postanowienie nieopierania się o niego, jej chód tak samodzielny, jak gdyby jej nie dotykał, a jednak Kate nie wahała się ani w żaden sposób mu się nie opierała. Zupełnie jakby

wchodziła po stopniach do jego łóżka nie myśląc o tym, co robi, lecz jej milczenie było naładowane czymś tak ściśniętym, skrytym i o wiele silniejszym niż zwykle napięcie seksualne, że Mistral był zaintrygowany.

Puścił ją, by zamknąć drzwi pokoju na klucz. Gdy odwrócił się do niej, zobaczył, że podeszła do okna i jest pochłonięta przyglądaniem się czemuś w ogrodzie. Przeszedł przez pokój, stanął za nią i musnął palcem jej kark. Nie podskoczyła ani się nie odwróciła, lecz z determinacją chwyciła się framugi okna.

- Kate, jak możemy zacząć eksperyment, jeśli nie chcesz się nawet odwrócić? - wyszeptał kusząco. Nie poruszyła się ani nie dała żadnego znaku, że usłyszała. Mistral pochylił się i musnął jej kark ustami. Kate kurczowo zacisnęła dłonie na framudze. Uśmiechnął się lekko i czubkiem języka dotknął miejsca, gdzie jej wystrzyżone włosy zbiegały się w szpic, a potem powoli przeciągnął językiem wzdłuż delikatnego zarysu kręgosłupa aż do linii łopatek. Tam przywarł wargami do skóry i dmuchał delikatnie, cierpliwie, bez żadnego dodatkowego ruchu, dopóki nie opuściła rąk i nie odwróciła się do niego, blada i drżąca.

- Nigdy nie całowałeś mnie, Julien. Nigdy mnie nawet nie pocałowałeś.

- Błąd, Kate... jeden z nielicznych, do których się przyznaję - powiedział unosząc jej podbródek ku sobie. Jej wargi były chłodne i zaciśnięte tak mocno, tak opornie, że cofnął się, zdumiony. - Kate, nie musisz tego robić - nie narzucam się niechętnym kobietom.

- Nie, nie, Julien, chcę - zaprotestowała, choć nieśmiałość jej głosu zaprzeczała słowom. Rzuciła się ku niemu, zarzucając mu ręce na szyję i przyciskając swe usta do jego warg szybkimi, krótkimi pocałunkami

przypominającymi dziobanie. Przez chwilę rozbawiony Mistral pozwalał na ten atak, lecz wkrótce przytrzymał ją na odległość ramienia.

- Nie tak szybko i wściekle, Ratę.

- Jezu! Czy nigdy nie przestaniesz ze mnie żartować?

W odpowiedzi podniósł ją i zaniósł do łóżka. Ciągłe trzymając ją w ramionach położył się obok niej. - Przyznam się do jeszcze jednego błędu... Zapomniałem, jaka jesteś niecierpliwa... Zamierzam nauczyć cię cierpliwości, Kate, bo bardzo ci jej brak - bardzo.

- Przesunął delikatnie dłońmi wzdłuż jej sztywnego ciała. Wzdrygnęła się, lecz nie zaprotestowała. - Nie mam zamiaru cię rozbierać, Kate, jeszcze przez długi czas - mruknął Julien pochylając się nad jej wargami. - Leż spokojnie - rozkazał i pocałował ją w zamknięte usta, skupiając całą swą ciekawość, całą potrzebę - bo nie kochał się z żadną kobietą od tygodni - na jej delikatnie wykrojonych ustach, aż zrobiły się ciepłe, nabrzmiące i w końcu rozchyliły się, by wpuścić jego język. Mistral pohamował się, dotykając delikatnie tylko wewnętrznej strony jej warg, powoli wodząc językiem od jednego kącika ust do drugiego, opierając się, gdy Kate chciała uwięzić go i wciągnąć głębiej do ust po to, by w chwilę później na moment jej na to pozwolić, zanim wysunął go całkowicie i przykrył całe jej usta swoimi wargami, które zawsze wyglądały tak surowo, zanim stawały się gorące i czułe w miłości. Igrając z nią, wsuwając i wysuwając język spomiędzy jej warg, napierając do przodu przez najmniejszy ułamek sekundy czuł, jak wszystkie mięśnie jej ciała zaczynają się rozluźniać, aż ułożyła się odprężona, już nie spięta w niespokojnym oczekiwaniu, całkowicie skupiona na jego ustach i tym, co z nią robią. Wkrótce ten bezwolny stan przeminął i Mistral wyczuł

stopniowe napinanie się mięśni rąk, nóg i bioder Kate, bo same pocałunki już jej nie wystarczały, lecz nadal ograniczał się tylko do ust, śmiejąc się w duchu na myśl o lekcji, do jakiej ją zmuszał. Jęczała i zgrzytała zębami w rozkosznej udreće. Będziesz mnie o to błagać, obiecał sobie, będziesz musiała o to błagać, ty zimna amerykańska suko, czując jednocześnie własne narastające do niemożliwości podniecenie.

- Julien... - wydyszała Kate. - Rozbierz mnie.

- Nie, Kate.

- Julien... proszę.

- Jeśli mnie chcesz... to rozbierz mnie sama - zażądał rzucając się na plecy na kołdrę, zrzucił buty i leżał w bezruchu. Kate spojrzała na tego wspaniałego mężczyznę, który oddawał się jej w tak irytujący sposób i powodowana zdecydowaną, nagłą furia, niepomna na swe skrepowanie, rzuciła się drżącymi palcami na guziki jego koszuli niemal ją rozrywając. Pomógł jej wysunąć ręce z rękawów. Pożądliwie przesunęła rękoma po jego torsie w dół i bez chwili przerwy zaatakowała sprzączkę u paska. Wtedy jednak dosięgnęła guzików spodni i zdała sobie sprawę z ogromnego, twardego zarysu penisa prężącego się pod materiałem. Owładnęła nią nagła niezdolność kontynuowania dzieła i opuściła ręce. - Sam... Julien... sam to zrób - poprosiła.

- Straciłaś zimną krew, Kate? - spytał drwiąco, przyglądając się jej uważnie, mimo że jego ciało domagało się każdym nerwem, aby rzucił ją na łóżko i posiadł ją tak jak jest, z włosami u nasady wilgotnymi z pożądania, zgniecionymi wargami, zaciśniętymi pięściami.

- Nie! Do diabła z tobą! - odparła gwałtownie i wzięła głęboki oddech jak przed trudnym zadaniem. Rozpięła mu spodnie, odsłaniając

jego prężącą się nagość, bo pod sztruksowymi spodniami nic na sobie nie miał. Mistral oddychał równie szybko jak ona, gdy zmuszała się do rozpinania każdego guzika. Kiedy doszła do ostatniego, zdarł z siebie spodnie jednym szybkim ruchem i rzucił ją na łóżko. - Dobrze, Kate, dobrze... byłaś cierpliwa... - mruknął i począł rozbierać ją doświadczonymi palcami, przekonując się, czego się spodziewał, że piersi i biodra ma małe, talię szczupłą, a jasne włosy łonowe tak delikatne jak młoda dziewczyna.

Wkrótce oboje byli zupełnie nadszy i Kate leżała na łóżku w pozycji takiej skromności powstrzymywanej samą siłą woli, że Mistral z trudem opanował śmiech. - Śliczna Kate - mruknął i objął jej szczupłe ciało, przykrywając je sobą prawie zupełnie. Trzymał ją w uścisku spokojnie gryząc ją własną nagością aż poczuł, że znów się odpręża. Gdyby to była inna kobieta, już by się z nią kochał, ale Kate, ta pozbawiona zmysłowości, niedoświadczona dziewczyna, przedstawiała sobą wyzwanie, którego nie chciał odrzucić. Chciała go, o tak, ale chciała z tym jak najszybciej skończyć nie zapominając się, a na coś takiego nie miał zamiaru pozwolić.

W końcu, gdy jej ciało zrobiło się równie ciepłe jak jego, zaczął wodzić czubkami palców po jej kręgosłupie, nie wypuszczając jej z uścisku. Dotknął gwałtownym ruchem jej prawie chłopięcych pośladków, a gdy natychmiast zeszywniała, mruknął: - Cierpliwości, cierpliwości, Kate - i cofnął palce na jej krzyż. Za każdym powrotem dłoni na pośladki zostawiał ją tam o sekundę dłużej, aż w końcu poczuł, jak dziewczyna przyciska je nagłą do jego rąk. - Cierpliwości... cierpliwości - powtórzył, znajdując całkowicie nową przyjemność w leniwym narastaniu podniecenia, on, który nigdy nie zawracał sobie głowy tak staranną oceną

gotowości żadnej kobiety, on, który nigdy nie zaznał rozkosznego, samemu sobie zadawanego bólu powstrzymywania się, gdy spełnienie było tuż. Jedną ręką trzymał Kate, a drugą w końcu sięgnął jej między pośladki stwierdzając, że jest zdumiewająco gotowa, choć gdy rozchyłał palce, szarpnęła się w niezdecydowanym proteście. Teraz stawał się bezlitosny, wsuwając długie palce głębiej między szczupłe uda. Znalazł miejsce, którego szukał. Jego palec środkowy ponawiał ataki z ruchliwością i delikatnością czubka języka, to naciskając delikatnie i poruszając się powoli, to znów szybko i zdecydowanie. Całe jego pożądanie skupiło się w czubku tego jednego palca i ciele, które budził z takim znawstwem.

- Julien... mój Boże... przestań! - wykrzyknęła Kate, lecz odpowiedział tylko: - Cierpliwości - i wkrótce poczuł, że Kate zbiera się w sobie tym niedwuznacznym naprężeniem mięśni bioder. Jego palec poruszał się coraz gwałtowniej, aż w końcu poczuł, jak Kate drży i rzuca się konwulsyjnie, wciskając krzyk spełnienia w jego szyję. Nie wysunął palców dopóki nie skończył się ostatni paroksyzm. Opadła na plecy, wyczerpana, ale z szeroko otwartymi oczyma. - Widzisz, co daje cierpliwość, Kate? - szepnął Mistral, lecz nie skinęła głową ani się nie uśmiechnęła, tylko spojrzała na niego poważnie.

- Nie zdarzyło mi się to nigdy przedtem - wyszeptała.

- Zatem nasz eksperyment powiódł się w połowie - teraz moja kolej, Kate - odparł Julien i gwałtownie zawładnął jej chętnym, otwartym, uległym ciałem.

Później Kate zaczęła pokrywać jego ręce drżącymi pocałunkami wdzięczności, jak ktoś budzący się z transu. Długa chwila upłynęła, zanim

zorientowała się, że Mistral głęboko śpi.

Kate Browning cierpiała katusze. Co noc przez następny tydzień, gdy Mistral odsuwał się od niej i zapadał w sen, ona leżała nie śpiąc, a jej gładkie ciało pulsowało napiętnością, o której istnieniu nie miała dotąd pojęcia, bo zawsze była zbyt ostrożna. Myśli o przyjemnościach, jakich Mistral nauczył ją tak szybko, przeszywały jej wnętrzości niczym nasmarowane miodem strzały, których nigdy by nie chciała z siebie wyrwać. Przykładała palce do miejsca między nogami, do tego wrażliwego miejsca tak obcego w dotyku. Jeszcze żyło, nadal gotowe zadrzeć. Przez cały dzień czuła, że jest nabrzmiałe i płonie pożądaniem jego dłoni i ust. Podczas posiłków obserwowała, jak te dłonie rwą chleb i krają mięso i ku swemu upokarzającemu zdumieniu przekonywała się, że pociera o siebie pod stołem uda. Jęczała głośno na widok jego ust, teraz tak zaciętych, a wkrótce tak rozpalonych i miękkich na jej skórze. Sutki miała podrażnione, a jednak ocierała się nimi ukradkiem o rękę Mistrala.

Perspektywa jej życia zmieniła się i Kate czuła ciężar nieuniknionego. Jej umysł nie dawał jej spokoju, drażąc wewnętrzną niedostępność Mistrala. Jak mogła odważyć się pływać, po prostu unosić się z prądem w tym bezrozumnym upojeniu, skoro mężczyzna ten do niej nie należy? Kate była pewna, że Julien poświęca jej swą pełną uwagę jedynie podczas samego aktu miłosnego. Lecz nawet w tych chwilach nigdy chociaż raz nie oddał się jej całkowicie, nigdy chociaż raz nie zdradził się, że jej potrzebuje, nigdy chociaż raz nie powiedział, że ją kocha. Zastanawiała się, czy powstrzymuje się celowo, tak jak kiedyś ona, czy może po prostu traktuje ją jak kolejne kobiece ciało w łóżku?

- *Je t'aime bien*, Kate - powiedział, używając tego niedbałego

wrażenia z owym dopowiedzeniem, owym *bien* zmieniającym słowo „kocham” w „lubie”. Rozpaczliwie pragnęła usłyszeć od niego proste, konieczne słowa *Je t'aime*, ale dopóki tak się nie stanie, ona nie wypowie ich pierwsza. Lecz codziennie zdawała sobie sprawę, że jest w nim coraz bardziej zakochana. Mistral stał się jedyną nagrodą, jaką mógł jej zaoferować szeroki świat. Jej uczucia stanowiły nienasyconą, bezlitosną pełnię zawierającą w sobie wszystko, co o nim wiedziała; wszystkie sprawiane przez niego trudności; wszystkie jego oczywiste wady; kobiety, jakie miał, zanim go poznała. Wszystko to nie liczyło się.

Nie liczyło się nic poza chciwą, nałogową obsesją, która zaakceptuje tylko posiadanie. Kate była kobietą o ogromnej sile, dumną, przebiegłą i wyrafinowaną, a jednak nerwy miała tak napięte od ukrywania swych emocji, że rozplakała się, leżąc u boku wspaniałego mężczyzny, który spał bez jednej myśli o niej. Lecz kiedy przestała szlochać, nie zasnęła i dokonała przeglądu sytuacji z zimną, dalekowzroczną inteligencją, której nie potrafił zniszczyć żaden ogień.

Rozczarowanie było obce najgłębszej naturze Kate. Wierzyła, że może mieć wszystko, jeśli naprawdę tego zechce.

* * *

W drugim tygodniu pobytu w Prowansji Mistral postanowił pojechać na zachód do Nimes, pokrytego patyną wieków miasta, które od czasów panowania Hadriana podupadało z zachwycającym spokojem. Tam spacerował po parku z Kate, wchodząc po wielu kamiennych stopniach prowadzących w końcu do podstawy Tour Magne, ruin rzymskiej strażnicy, skąd rozciągał się rozległy widok. Leżeli na trawie przyjemnie zmęczeni, obserwując nielicznych mieszkańców Nimes, którzy także

wybrali to wyniosłe, chłodne miejsce. Przed niemal dwoma tysiącami lat rzymscy legioniści widzieli stąd wszystko w promieniu stu kilometrów. Mistral odezwał się po długim milczeniu.

- Nie potrafiłbym, nie zacząłbym albo nawet nie marzyłbym o zaczęciu malowania tego widoku. Jest zbyt skończony, ogromny, odpowiada na każde pytanie, jakie mógłbym mu zadać, nie potrzebuje człowieka.

- Nie znalazłeś w Prowansji niczego... niczego, co miałbyś ochotę namalować? - spytała ostrożnie Kate. Od wyjazdu z Paryża dopiero teraz po raz pierwszy wspomniał o malowaniu. Do tej pory stosowała się do niepisanej umowy milczenia na ten temat.

- Nie - odparł. Nie, pomyślał, nie chciałem malować - to przeraża mnie najbardziej. Nie chcieć, nie potrzebować malowania - nigdy nie zaznałem takiej pustki! Tam młoda para na ławce, ich dłonie prawie się stykają - nie widzą tego widoku, prawdopodobnie na nim się wychowali, pewnie matki przywoziły ich tu latami, żeby mogli się bawić - a dzisiaj zdali sobie sprawę, że to drugie to ktoś inny, tajemnica, ta najdziwniejsza rzecz ze wszystkiego, inna ludzka istota. Kiedyś... kiedyś mógłbym namalować ich prawie dotykające się ręce, mógłbym je namalować dziesięć razy, sto razy, i nigdy nie przybliżyć się do uczucia, jakie we mnie budzą, te cztery ręce, które niezupełnie się stykają, które jeszcze nie śmieją się dotknąć, które wreszcie się zetkną - i może - kto wie? - zmienią świat. Ale ja nie chcę malować tych rąk... nie muszę ich malować. A skoro nie jestem malarzem, to dlaczego żyję?

- Przypuszczam, że ten krajobraz był malowany zbyt często - odważyła się Kate. - Wszystko jest takie malownicze... że już cię nie

interesuje?

- Coś w tym jest, tak - odparł krótko Mistral. Ostatnim razem, kiedy tu byłem, pomyślał, nie ruszyłbym się za róg bez szkicownika, szalałem z podniecenia, wszystko wyglądało, jakby nie spoczął na tym jeszcze niczyj wzrok, a co dopiero, jakby ktoś to już malował - wołała mnie cała Prowansja, aż myślałem, że oszaleję jak van Gogh. „Malownicze”, rzeczywiście! Ty nie zrozumiesz, Kate, a ja nie potrafię wyjaśnić. Określenie „malownicze” jest wyjaśnieniem dobrym jak każde inne, ale faktem jest, że coś straciłem, i nawet Prowansja nie pomogła mi tego odzyskać.

- Chodź, Kate - powiedział nagle i wstał. - Trawa jest jeszcze wilgotna.

* * *

Coraz częściej w ciągu następnego tygodnia Mistral kierował samochód w stronę Félice, wioski leżącej na północnym stoku Luberon, na wschód od Menerbes i na zachód od Lacoste. Félice oferowało coś, co fascynowało go tym bardziej, że nie wracało pragnienie malowania: grę w *boules*.

W jednej z kawiarni miasteczka, wieczorem i w południe zbierali się na *pastis* wszyscy mężczyźni potrafiący chodzić i należący do wioski. Teraz, jesienią, ich szeregi powiększyli rolnicy wykorzystujący ten krótki, wolny od pracy czas po zbiorach i przed rozpoczęciem sezonu polowań. Po kilku kolejkach wszyscy wychodzili na równy, zacieniony placzyk za kawiarnią i bez końca grali w *boules*, grę podobną do kręgli, która na całym południu Francji jest odpowiednikiem piłki nożnej, wyścigów kolarskich i bilardu razem wziętych, i która jest tak skomplikowana, że jej

zasady zajmują trzy strony gęstego druku.

Jeden z gospodarzy, młody Josephe Bernard, przyjrzał się dokładnie Mistralowi, gdy ten po raz drugi pojawił się z Kate w kawiarni.

- Grasz w *boules!* - spytał w końcu.

- Jestem tylko turystą - odparł Mistral, żeby się wymówić.

- Nie szkodzi. Chciałbyś spróbować?

Mimo swych reguł gra jest zasadniczo prosta, tak że przy minimum instruktażu Mistralowi udało się wyjść z próby z honorem. Koordynację ruchów i oko miał tak wyrobione, że chociaż nigdy przedtem nie miał w ręku stalowej kuli, to w ciągu godziny zaczął sobie nieźle radzić i pierwszego dnia udało mu się zbić *boule* innego gracza z zajmowanego przez nią miejsca blisko celu, radując tym swego protektora, który zaprosił go do gry, ile razy Mistral będzie w sąsiedztwie.

Mistral często wracał, oczarowany dramaturgią gry wymagającą nie kończących się sprzeczek przepelnionych dowcipem, wzajemnymi docinkami, śmiechem i przebiegłością, oraz niezawodną przyjemnością z rzucania kuli, którą to umiejętnością lubią się popisywać wszyscy mężczyźni.

Kate obserwowała z boku, zdumiona zdolnością Mistrała do zapamiętania się w niezwykle nudnej, według niej, grze. Lecz kiedy grał, mogła na niego patrzeć zupełnie otwarcie. Pomyślała, że bardzo łatwo przyswoił sobie zachowanie graczy w *boules*. Wyrzucał ramię w powietrze tak samo szerokim gestem, sprzeczał się równie zajadle, śmiał się tak samo głośno, grał nie zauważając upływu czasu i z każdym dniem coraz lepiej sobie radził ze swoją *boule*.

- Pewien jesteś, że nie pochodzisz stąd? - spytał Josephe Bernard

swego nowego przyjaciela. - Musisz mieć Prowansję we krwi... i w nazwisku. Po prowansalsku mistral to „wielki wiatr”. Mam pod Merindol, na południowej stronie góry, kilku kuzynów o nazwisku Mistral... może jesteśmy spokrewnieni?

- Możliwe, ale nie potrafię tego udowodnić. Nie wiem, skąd pochodzą moi pradziadkowie. Szkoda, ale wszyscy z mojej rodziny umarli, a kiedy żyli, nigdy nie słuchałem, co mówią, nigdy nie chciało mi się zapytać.

- W większości obcy, którzy próbują rzucić kulą, robią z siebie głupców. To tylko wygląda łatwo. Gdybyś poćwiczył jeszcze kilka tygodni, mógłbym cię przyjąć do mojej drużyny. W ostatnią sobotę listopada jest turniej.

Mistral objął ramieniem młodego gospodarza i zamówił kolejkę dla wszystkich w kawiarni. Wiedział, ile znaczy taka propozycja u człowieka, dla którego każdy turniej *boules* stanowił temat do rozmów przez następne kilka lat.

- Chciałbym, Josephe, ale muszę zarabiać na życie. - Ale jak, zastanawiał się Mistral, mam wrócić do pracy? *Boules* pozwalały mu na kilka godzin zapomnieć, *boules* pozwalały mu przestać szukać winnego wygaśnięcia ognia: Avigdora, ponieważ jest handlarzem i chce tylko towaru na sprzedaż; Kate, bo doprowadziła do wystawy, a przed wystawą malowanie przychodziło mu z łatwością oddychania; Maggy, ponieważ jest głupim dzieckiem i jedyną kobietą, która go opuściła; samą wystawę, bo otworzyła mu oczy na chciwość kolekcjonerów w minutę kupujących efekt wielomiesięcznego wysiłku twórczego, kolekcjonerów, którzy nie szanują, nie rozumieją, tylko otwierają portfele i kupują sobie kawałek

niego - zdawał sobie sprawę, że nie można było winić nikogo z nich, ale ciągle o nich myślał, usiłując znaleźć winowajcę.

- My też musimy pracować - odparł Josephe - ale na *boules* zawsze jest czas - jeśli nie, to po co pracować?

* * *

Félice miało jeszcze jedną atrakcję oprócz kawiarni i gry. Poniżej wioski, w dolinie położonej niedaleko głównej drogi, Mistral odkrył opuszczony *mas*. Pewnego dnia, gnany próżną ciekawością, wjechał na zrytą głębokimi koleinami dróżkę wijącą się pod górę niskiego wzniesienia porośniętego zagajnikiem cennych dębów, jedynych drzew, wśród których korzeni rosną trufle. Cień zagajnika nachodził na aleję rozchwianych, ostro zakończonych, zielonoczarnych cyprysów, za którą stał wysoki mur otaczający *mas*.

Mistral zaparkował talbota na skrawku łąki między cyprysami i murem, słonecznym, suchym kawałku ziemi porośniętym małymi żółtymi ostami i różnymi gatunkami trawy. Wysoka, szeroka, podwójna brama nie pozwalała im zajrzeć do środka. Panowała cisza, jak zwykle podszyta głosem cykad, suchym, lecz przyjemnym szelestem będącym tak bardzo częścią krajobrazu, że stanowił część samej ciszy. Spoza murów otaczających budynki nie dochodziły żadne swojskie odgłosy gospodarstwa, nie szczekały psy, nie słychać było krzątania się w kuchni ani nawoływania się dzieci. Gęste kapryfolium opadające aż na drugą stronę muru wionęło słodyczą tak dotykającą, jakby można było ją zobaczyć: nad łąką wisiała jak chiński latawiec chmura czerwonych i pomarańczowych motyli, a senne brzęczenie wskazywało, że to raj dla pszczół.

Mistral i Kate obeszli *mas* próbując zajrzeć do środka, ale podstawa muru tonęła w kolczastych zaroślach, a wici kapryfolium wznosiły się w powietrze tuż nad głową Mistrala.

W pewnym miejscu ściana zaokrągląa się w podnóże okazałej wieży z dwoma wysoko umieszczonymi oknami nie zasłoniętymi okiennicami, ale ktokolwiek opuścił *mas*, zabezpieczył się przed niepowołanymi gośćmi nie zostawiając nigdzie żadnej przerwy w murze. Obchodząc posiadłość widzieli pięć spadzistych dachów o różnej wysokości i górne części kilku framug okiennych. Ogrodzony *mas* stanowił oś koła składającego się z pól w kształcie klina, oddzielonych od siebie chroniącymi je od wiatrów wysokimi cyprysami lub trzcina. Jeden kawałek koła stanowił zagajnik oliwek, drugi - nie uprawiona połać czerwonej ziemi; dalej winnica obwieszona nie zebranymi winogronami; obok niej leżał sad morel owy pełen gnijących owoców; potem jeszcze jedna winnica i kolejne skrawki nie obsianych pól ze zbitą ziemią, jakby nigdy nie zaznały pługa.

- To nie do wiary! - wybuchnął Mistral. - Tutaj, w kraju, gdzie wykorzystuje się każdy milimetr dobrej ziemi - nie mogę uwierzyć w taki skandal! Spójrz na te winogrona, spójrz na oliwki! I morele! Urosły, dojrzały i nikt ich nie zebrał. To hańba!

- Pewnie jest na sprzedaż - odważyła się Kate.

- Nie ma tabliczki. Zauważyłem tylko nazwę na skrzynce na listy. La Tourello - prowansalskie słowo - pewnie oznacza wieżę - wieżyczkę, czy coś takiego - powiedział z gniewem. - To pewnie część jakiejś większej posiadłości, o którą kłóca się spadkobiercy. To często się zdarza. Jeśli nie zgadzają się podzielić pracy na ziemi, to muszą ją sprzedać na aukcji.

- No to może się czegoś dowiemy? Muszą wiedzieć w Félice - zaproponowała Kate. - Jeśli jest na sprzedaż, moglibyśmy przynajmniej poprosić, żeby nam pokazano posiadłość.

- Nie, chyba nie. Nie chcę wchodzić do środka. - Mistral wydał się czymś zakłopotany.

- Ty? Byłeś w środku każdego *mas* od Maubec do Bonnieux.

- Nie potrafię tego wyjaśnić. Mam takie dziwne uczucie. - Bronił się. Intuicja mówiła mu, że nigdy nie zapomni widoku tego bezpiecznie zamkniętego, cennego, ogrodzonego majątku. Choć widział tylko zarys lekkiego spadku dachów wewnątrz, ich prosta geometria była tak doskonała, że zapadła mu w serce. *Mas* na pagórku był w doskonałej jedności z przyrodą i Mistral wolał nie widzieć więcej niż jego zewnątrz, bo był pusty, a zatem dostępny.

Mistral nigdy nie był właścicielem domu i pragnienie posiadania go, jakie odczuwa większość rasy ludzkiej, nigdy nie było jego udziałem. Zadowalał się oglądaniem prowansalskich gospodarstw rozumiejąc, że są jedynymi budowlami doskonale dopasowanymi do tej cudownej krainy. Była to radość estetyczna, nie splamiona pragnieniem posiadania, lecz jeden krok poza bramę tego *mas* zmieniłby go na zawsze.

- Dobrze - powiedziała Kate, respektując jego życzenie. Byli bardzo do siebie podobni w ograniczeniach nakładanych na rzeczy, o których nie chcieli wiedzieć.

W ciągu następnego tygodnia cztery razy wracali do opuszczonego *mas* i Kate ani razu nie ponowiła swej sugestii, choć jego zafascynowanie tym miejscem złościło ją niemal do granic wytrzymałości. Zaleca się do tych starych zabudowań, myślała z zazdrością, nadskakuje jak jakiejś

kobiecie, łażąc naokoło ścian jak zakochany podrostek. Między odwiedzinami w kawiarni, grą w *boules* i wałęsaniem się wokół gospodarstwa potrafi spędzić cały dzień nic nie robiąc. Kiedy znowu zacznie malować?

* * *

Kilka dni później w kawiarni w Félice Josephe Bernard zagadnął Mistrala:

- Mówisz, że jesteś malarzem, tak, Julien? Od lat widzimy jak tacy tu przyjeżdżają i wyjeżdżają - zawsze mamy tu jakiegoś malarza. Ale nigdy nie widziałem, żeby któryś malował coś oprócz krajobrazów. Uważam, że prawdziwy malarz powinien umieć namalować obraz innego człowieka dokładnie tak, jak on wygląda. Co ty na to?

- Nie każdy malarz maluje portrety, Josephe, i nie każdy portret wygląda jak jego model albo tak, jak model sobie wyobraża, że wygląda, co nigdy nie jest tym samym.

- Bałem się, że wyjedziesz z takimi wzniosłymi bzdurami - odparł Josephe z wyraźnym rozczarowaniem widocznym na otwartej twarzy. - Więc nie potrafiłbyś namalować mnie tak, jak wyglądam w lustrze, co?

- Może tak, a może nie, ale potrafię narysować coś, co cię rozbawi, przyjacielu. - Mistral wziął z baru ołówek i narysował coś szybko na odwrocie skrawka papieru używanego do gry w lotto.

- Co o tym sądzisz? - posunął papier do Bernarda. Kilkoma oszczędnymi kreskami, w czasie krótszym niż minuta, wykorzystując talent, który miał od dzieciństwa, a nad którym nigdy się nie zastanawiał, ujął w karykaturze istotne cechy Josephe Bernarda.

- Niech mnie diabli, jeśli to nie ja! Duży nos i w ogóle! - Bernard

ryczał ze śmiechu. - A teraz narysuj Henriego - ten to ma gębę!

- Chwycił starego gospodarza, postawił go przed Mistralem i popchnął ku niemu kawałek papieru. Wkrótce Mistral był otoczony mężczyznami domagającymi się swoich karykatur, spierając się o kolejność jak uczniacy. Rysował ich z łatwością zdumiewającą tłum.

To jest coś, mówili między sobą, wizerunek tak podobny do ciebie, że nie mógłby to być nikt inny na świecie, i narysowany tak szybko, że wyglądało to na magię. Każdy wpatrywał się w swoją karykaturę - jak ten malarz to zrobił? Ci, co mieszkali w pobliżu kawiarni, popędzili do domów przyprowadzić żony i dzieci, żeby ustawiły się w kolejce po jeden z tych zadziwiających kawałków papieru. To lepsze niż gra w *belotte*. Wkrótce Mistral musiał wziąć inny ołówek, a potem jeszcze jeden w miarę zużywania się grafitu, lecz nic nie mogło powstrzymać podobnych do cięć ruchów jego zręcznej ręki. Wreszcie w Félice nie został już nikt bez swojej karykatury, kto nie wziął ze sobą do domu paska papieru do lotto, żeby się mu przyjrzeć przy kolacji i porównać z niejednym przyjaznym docinkiem.

* * *

Było już późno, prawie siódma, gdy Mistral i Kate w końcu opuścili Félice, żeby pojechać do Villeneuve. Serce miał tak przepelnione wdzięcznością, że nie chciał rozmawiać. Karykatury, prosta sztuczka towarzyska, o której kompletnie zapomniał, karykatury, na wszystkich świętych w niebie, obudziły w nim demona tworzenia. Palce go świerzbily, żeby poczuć pędzel, nos tęsknił za wonią farb olejnych i terpentyny, a całe jestestwo tętniło obrazami, które musi rzucić na płótno - a wszystko dlatego, że bezmyślnie ujął ołówek i zaczął rysować głupstwa ku rozrywce tych prostych ludzi, których tak bardzo polubił.

Odpowiedzieli tak serdecznym uznaniem, karykatury przechodziły bezpośrednio spod jego ręki do ich rąk. Tylko taką nagrodę mógł przyjąć swobodnie, nie czując się odrywany od swego dzieła.

Po raz pierwszy Mistral cieszył się tym uczuciem tryumfu, którego nie potrafił wchłonąć w wieczór wernisażu. Każdy mięsień, każdy nerw i ścięgno jego ciała narodziło się na nowo tak pełne mocy, jak nigdy dotąd. Mistral ledwo potrafił powstrzymać podniecenie. Jak uda mu się doczekać do rana?

Po kolacji Mistral wybrał się samotnie na spacer. Czuł dziką energię zbyt wielką, by ją utrzymać pod dachem i za jedyne go towarzysza wystarczyło mu uniesienie. Szedł wzdłuż brzegów Rodanu, z przyjemnością czując chłód powietrza na skórze, ciesząc się swobodnym szelestem liści i pluskiem wody. Podczas spaceru zrozumiał z tak wyraźnym przekonaniem, że dziwił się, iż nie pojawiło się ono wcześniej, że nie wolno mu wyjechać z Prowansji.

Już nigdy, pomyślał, już nigdy samotności miast. Nigdy więcej mrowiska Montparnasse, gdzie zbyt wielu ludzi mówi zbyt wieloma językami w zbyt wielu kawiarniach i wygłasza za dużo bzdur o rządzie, religii i szkołach malarstwa. Nigdy więcej zimnej paryskiej zimy z ponurym deszczem zabijającym światło. Nigdy więcej ani jednego dnia bez widoku horyzontu.

Wymieniając sobie przyczyny niewracania wiedział, że ich nie potrzebuje, że są one jedynie zewnętrznym wyrazem wewnętrznego uczucia, jakie nim oładnęło. Nie wolno mu wyjechać z Prowansji, bo tu może pracować. Zupełnie jakby doznał objawienia, jakby miał wizję, było to silniejsze od wszystkich przesądów i jaśniejsze niż jakakolwiek logika.

* * *

Obudził Kate o świcie.

- Koniec wakacji, Kate. Wracam do pracy.

Kate z ulgą zamrugła oczyma. - Daj mi pół godziny - ubiorę się i spakuję jak najszybciej.

- Nie, nie śpiesz się, nie ma potrzeby. Możesz tu trochę zostać, jeśli chcesz.

- Ale właśnie powiedziałeś, że wracasz do pracy. O czym ty mówisz?

- Zostaję tutaj, Kate.

- Co?

- Właśnie tutaj. Madame Ble działa cały rok, co rozwiązuje jeden problem, a w Villeneuve jest pełno pustych domów do wynajęcia na pracownię. Jak tylko otworzy się sklep, zadzwonię do starego Lefebvre'a i poproszę, żeby przysłał wszystko, co mi jest potrzebne następnym pociągiem, a rachunek wysłał Avigdorowi - nic prostszego. Wszystko zaplanowałem.

- Przypuszczam, że robisz to wszystko, żeby się dostać do tej cholерnej drużyny - rzekła Kate zjadliwie.

- To nie byłby zły powód, ale nie, mam lepszy. - Mistral chodził niespokojnie po pokoju, nie widząc twarzy Kate, poblądłej z wrażenia. - To jest to miejsce, Kate, to miejsce.

- Nie wiedział, jak jej wyjaśnić swoje przekonanie, i jak zdał sobie sprawę, nie musiał tego robić. - To tutejsze światło, nie rozumiesz?

- Rozumiem doskonale - powiedziała bezbarwnym tonem. Dalsza dyskusja do niczego nie doprowadzi. Jedną rzeczą, co do której Kate nigdy się nie myliła, była pozycja drugiej strony, a Mistral miał siłę

nieobrobionego marmuru. - Zostanę więc jakiś dzień czy dwa.

- Nie musisz śpieszyć się z powrotem - zostań tak długo, jak chcesz, chyba że będziesz się nudzić, kiedy zacznę pracować cały dzień. Bardzo by mi było miło mieć cię tutaj, Kate.

- Zobaczymy. - Czy on sądzi, że będę się płatać jak domowy kot? pomyślała z wściekłością. Kate zdała sobie sprawę, że jego oświadczenie wyrwało ją z letargu. Miłość ukrywana z takim trudem sprawiła, że stała się nieuważna. Śniła na jawie całymi dniami, niebezpiecznie zwiedziona własnym ciałem. - Skoro zostajesz, to chyba nie pójde dzisiaj zwiedzać okolicy, Julien. Spędzę w tym samochodzie wystarczająco dużo czasu w drodze do Paryża. Muszę zebrać kilka rzeczy - i muszę pojechać do Awinionu kupić parę grubych swetrów na podróż albo porządny płaszcz, jeśli mają tam coś takiego. Wezmę taksówkę do miasta.

- Nie, możesz wziąć samochód. Chcę się przejść i zobaczyć, co można wynająć. - Nie usiłował ukrywać zapału.

Kate nie było cały dzień, nie wróciła na lunch. Kiedy w końcu pojawiła się późnym popołudniem, Mistral był zniecierpliwiony. Do Félice było dobrych czterdzieści pięć minut, a chciał jak najszybciej oznajmić swą decyzję przyjaciołom w kawiarni.

Po przejechaniu tysiąca metrów wąską drogą prowadzącą do Félice, Kate położyła dłoń na ręce Mistrala. - Skręć w lewo - powiedziała.

- Dlaczego? Spóźnimy się na grę. Mogę teraz odwiedzać La Tourello kiedy tylko zechcę.

- Chcę ci coś pokazać. Nie potrwa to długo. Proszę. Skręcił na dróżkę i jak zwykle zaparkował na skrawku łąki.

- Ostatnie spojrzenie? - spytał. - Nie wiedziałem, że tak bardzo ci się

podoba.

Kate wysunęła się z fotela, podeszła do wielkiej drewnianej bramy w murze i wyjęła z kieszeni klucz. Włożyła do zamka i przekręciła z trudem. Na oczach zdumionego Mistrała pchnęła jedno skrzydło szeroko je otwierając. Kiwnęła na niego.

- Chodź!

- Co ty robisz? Skąd masz ten klucz? - zawołał nie ruszając się z miejsca kierowcy. Nie miał zamiaru wchodzić.

Kate podeszła do samochodu i wyciągnęła klucz do Mistrała.

- Weź go. Jest mój. A raczej twój. Ściśle mówiąc to mój posag.

Parsknął ze zdumienia. Ależ ona potrafi zaskakiwać. I na jaką skalę! Niczego nie robiła połowicznie i jakoś, z czego zdał sobie sprawę zaglądając w jej poważne i pełne nadziei oczy, nigdy nie była nedorzeczna, nawet teraz. Pełna godności, poważna i przejęta, sprawiała, że jej niezwykła propozycja nabierała cech prawdopodobieństwa przez samo tylko założenie, że może zostać przyjęta.

- Czy ożenisz się ze mną, Julien? - zapytała Kate.

Milczał. Wiedział, że ma jeszcze więcej do powiedzenia i bardzo go to interesowało.

- Kocham cię, a ty potrzebujesz żony. Potrzebujesz domu, odwiedziłam dzisiaj notariusza w Félice i kupiłam to gospodarstwo. Były właściciel zmarł zostawiając tylko wnuczkę, która bardzo chciała je sprzedać. W przyszłym tygodniu do lewego skrzydła wprowadzi się młody gospodarz z żoną i zacznie najmować ludzi, którzy doprowadzą ziemię do poprzedniego stanu, zagajniki, sady, winnice. - Przerwała, ale nadal nic nie mówił, więc ciągnęła roztaczając przed nim perspektywy rozkosznego

życia tak jasno, tak wyraźnie, jak gdyby rozścieliła na trawie kolorowy obrus, ustawiła na nim wielkie talerze znakomitego jadła i butelki wina i zaprosiła go na ucztę. - Szukam architekta, który zaprojektowałby ci pracownię. Wynajęłam już mistrza murarskiego w Awinionie. Jutro się tu ze mną spotyka. Przyjedzie z nim hydraulik i elektryk - trzeba mnóstwo zrobić zanim dom...

- Czy mogłabyś tu mieszkać - na wsi - w La Tourello? - przerwał jej w końcu.

- Wydaje się, że nie potrafię wyobrazić sobie szczęśliwego życia tam, gdzie ty nie byłbyś szczęśliwy. Bóg mi świadkiem. Myślę, że jakoś nie potrafiłabym wrócić do Paryża i zostawić cię tutaj na zimę, a potem przyjechać w lutym z wizytą udając, że chcę zobaczyć kwitnące drzewa migdałowe.

- Ale ja nigdy nie myślałem o małżeństwie - powiedział Mistral.

- Więc pomyśl o nim teraz - rzekła Kate z przebłyskiem humoru.

- Czas zacząć nasze życie. Czas wziąć się do prawdziwej pracy. Zacząłeś dobrze, więc tę część masz za sobą, ale teraz nadchodzi trudniejsze... iść naprzód, rozrastać się, wzmacniać, zdobywać nowe tereny i przejmować je na własność... lata pracy, która zabierze ci wszystkie siły. Czyż Flaubert nie mówił artystom, żeby życie osobiste mieli uregulowane i zwykłe, aby mogli być gwałtowni i oryginalni w sztuce?

- Nie czytałem Flauberta - rzekł Mistral. Pomyślał, że ważne jedynie jest to, iż znów chce malować i nie może opuścić tego miejsca.

- Julien, wyobraź sobie pracownię tutaj, z widokiem na Félice.

Nie pokazała ręką. Mówił za nią hojny dar leżący przed jego oczyma.

Jej miłość nie potrzebowała żadnej innej ozdoby, żeby się ujawnić. Rozejrzał się i zobaczył przyszłość pełną porządku, spokoju i dostatku, zobaczył, że jest możliwa.

- Pomyśl - dodała rozedrganym z nerwów głosem, bo Mistral nadal milczał - pomyśl o turniejach *boules*, wielu turniejach *boules*, rok w rok.

- Usiłujesz mnie przekupić, Kate.

- Oczywiście. - Nie ustępowała, ciągle trzymając klucz w wyciągniętej ręce, z rozwianymi włosami i poważnymi, szarymi oczyma ożywionymi nie skrywanym już uczuciem. Wyraz jej twarzy mówił o ślepej wierze w niego i wrażliwości.

- Usiłuję wymyślić jeden powód... żeby powiedzieć nie - rzekł powoli Mistral.

- I... ?

Wyskoczył z samochodu i wziął od niej klucz. Mocno go ścisnął, czując jak ciężkie, gładkie żelazo wpija mu się w dłoń. Spłynęło na niego oświecenie. Ten kawałek ziemi, ta kobieta... to jego przyszłość. Roześmieli się razem śmiechem współników, i to nie po raz pierwszy. Tak było od pierwszego dnia, kiedy się poznali.

- Jakie dziwne jest życie! - zawołał w zdumieniu.

- „Obyś kochał mnie mało, by na dłużej wystarczało” - mruknęła po angielsku.

- Co to znaczy, moja sprytna, apodyktyczna Amerykanko? - spytał biorąc ją w ramiona.

- Dawny poeta... kiedyś ci powiem... kiedyś zrozumiesz.

- Nie, zdecydowanie nie! To niemożliwe, absolutnie niemożliwe! Nie ma mowy - oznajmiła Paula wyglądając na bardziej zgorzowaną niż według Maggy było to możliwe w wypadku kobiety, która, jak sama twierdziła, widziała już wszystko.

- Ale dlaczego? - jęknęła Maggy.

- Z dwóch katastrofalnych powodów: twojej bielizny i bucików. One się po prostu do niczego nie nadają! Och, Maggy, tylko spójrz na to! Zaraz się rozpłaczę. - Paula machnęła niecierpliwie ręką w kierunku niewielkiej sterty bielizny, jaką wyjęła z szafy Maggy i rozłożyła na łóżku, i podniosła trzy koszulki tak oskarżycielskim gestem, jakby to były ściereczką do kurzu.

- Ta jest połatana, ta wystrzępiona, a tej brakuje połowy wstążek, o ile potrafię stwierdzić. Nie masz jednego całego kompletu bielizny w odpowiednim stanie - ciągnęła zapalając się do tematu - a gdzie, jeśli wolno zapytać, są twoje kombinacje i *soutien gorges*? Widzę tu tylko źle podobierane podwiązki, pocerowane pończochy, majtki, które pewnie przywiozłaś z domu i te kompromitujące koszulki. Owszem, są czyste, ale poza tym! - Wyrzuciła ręce w górę.

Maggy zdmuchnęła sobie włosy w oczu. - Och, dlaczego zachowujesz się jak jakaś księżna? Chyba nie myślisz, że zawracałam sobie tym wszystkim głowę, co? Przecież do pracy ich nie potrzebuję. Albo na tańce. Wręcz przeciwnie! A co do moich koszulek, to będą zupełnie dobre, jak się je zaszyje tu i ówdzie... Madame Poulard w mig je naprawi.

Paula usiadła na łóżku ze stanowczą miną.

- Maggy, ty chyba oszalałaś. Jak mają cię traktować z szacunkiem u Patou czy Molyneux, jeśli zobaczą cię w tych szmatach? Co na taką żebraczkę powiedziałyby mademoiselle Chanel? Nie obchodzi mnie, ile pieniędzy będziesz musiała wydać, ale żaden krawiec, żadna *vendeuse* i żaden pomocnik dokonujący poprawek nigdy nie weźmie cię poważnie bez odpowiedniej bielizny, bucików i kapelusza.

- No to tyle, jeśli chodzi o moją wspaniałą karierę utrzymanki. Skończona jeszcze przed jej rozpoczęciem. Nie mam odpowiednich ubrań, żeby pójść kupić odpowiednie ubrania, więc jak mogę wprowadzić się do apartamentu u Lottiego? Może mogłabym powiedzieć monsieur Patou, że straciłam wszystko w katastrofie morskiej? Albo przekonać mademoiselle Chanel, że ukradli mnie Cyganie, którzy zabrali moje ubrania i zwrócili mnie nietkniętą? Jak udaje się ludziom kupić ubrania na miarę, jeśli nie robili tego nigdy przedtem? To gorsze niż chińska układanka.

Maggy rzuciła się na podłogę, skrzyżowała gołe nogi i pochyliła się buntowniczo do przodu z podbródkiem opartym na rękach.

- Rano wszystko wydawało się takie proste, a teraz tak to skomplikowałaś, że nawet nie chcę o tym myśleć. Przed rokiem uczyłaś mnie, jak wyskakiwać z majtek, a teraz chcesz mnie wsadzić w gorset! Po prostu powiem Perry'emu, że będziemy musieli zostać tutaj i do diabła z jego lokajem i pracą. Jeśli nie spodobam się mu taka, jaka jestem, to trudno. Do diabła z gorsetami.

- No, no - rzekła Paula pośpiesznie - jakieś wyjście się znajdzie. Uspokój się, maleńka. Trzeba to tylko przemyśleć i zaplanować, jak wszystkie ważne wydarzenia w życiu. Z bielizną zaczniemy od początku. Wszystko musi być nowe. Jest taki sklep tuż przy rue St. Honore,

prowadzony przez trzy rosyjskie emigrantki, wszystkie z tytułami. Są to niezwykle dyskretne i roztropne, a co ważniejsze, obowiązkowe damy. Specjalizują się w przypadkach takich jak twój...

- Co! Teraz jestem „prypadkiem”, tak? - zawołała Maggy z oburzeniem.

- W tej szczególnej kwestii tak. - Paula ciągnęła niewzruszenie.

- Jeśli dostaną zamówienie dziś po południu, a ja wyjaśnię im, skąd nasz pośpiech, w ciągu tygodnia powinnaś mieć gotową piękną bieliznę. Jeśli chodzi o buciki, niedaleko od nich jest wspaniały, mały włoski *bottier*, którego znam osobiście. Rue St. Florentin, na pierwszym piętrze, bardzo pewny adres. Dla niego nie musimy się martwić o bieliznę, więc możemy tam pójść dzisiaj.

- Mogłabym po prostu wyskoczyć do Raoula...

- Do Raoula? Do tego okropnego sklepiku w podcieniach, gdzie po osiemdziesiąt franków sprzedaje się buciki, które zniszczyły ci nogi? - Paula była niemal upokorzona.

- Noszę je cały czas i nigdy przedtem nie miałaś nic przeciwko temu.

- Zapomnij o tym, co znosiłaś dotąd. Nie chcesz, żeby Perry był z ciebie dumny?

- Już jest. - Maggy zamyśliła się, prawie zupełnie zasłaniając twarz delikatną marchewkową chmurą włosów. W konfrontacji z praktycznością Pauli jej romantyczny obraz życia utrzymanki szybko się rozpadł w kawałki. Wyglądało to jak praca, i to praca najnudniejszego rodzaju: nie kończące się przymiarki, całe dni stracone na bieganiu od jednego specjalistycznego krawca do drugiego, gorsety, a wszystko po to, żeby mogła wywrzeć wrażenie na sprzedawczyni, która i tak pewnie ją przejrzy.

Pomyślała z przygnębieniem, że już nienawidzi tej sprzedawczyni.

Nagle przyszło jej na myśl wspomnienie wyglądu Kate Browning, gdy po raz pierwszy przyszła do pracowni Mistrala, Kate Browning tak pewnej siebie w chłodnym, białym jedwabiu, na pewno uszytym całkowicie ręcznie, Kate Browning w nieskazitelnych białych rękawiczkach, która zawsze wyglądała tak sztywnie, tak pewna siebie i opanowana, że niepodobieństwem było wątpić, iż z łona matki wyszła delikatnie na paluszkach, ubrana w maleńkie doskonałe buciki i cudowny kapelusz od Rosę Descat.

Zelektryzowana tym wspomnieniem Maggy podskoczyła z gwałtownością, która zaskoczyła Paulę. - A co z rękawiczkami? - Chwyliła Paulę za ramiona i potrząsnęła nią. - Głupia kobieto, czy od tak dawna siedzisz w tej swojej kuchni, że nie wiesz, iż bez rękawiczek żadna dama nie może pokazać się na ulicy? Pleciesz bzdury o gorsetach, a zapomniałaś o rękawiczkach. Jak mogę zacząć nowe życie bez co najmniej sześciu tuzinów par rękawiczek, bo nie zamierzam włożyć żadnej pary więcej niż raz, jeden raz, słyszysz?

Puściła Paulę i zatańczyła wokół pokoju, podnosząc to tu, to tam po jednej pończosze, sprawdzając, czy nie są pocerowane i w końcu wybierając dwie nietknięte. Wszystkie inne zgarnęła do kosza na śmieci. - Dwanaście tuzinów par jedwabnych pończoch przed obiadem! A potem do tych rosyjskich arystokratek - ja łaknę bielizny: cała z jedwabnego szyfonu i ogromne ilości koronkowych aplikacji; brzoskwiniowy krepdeszyn, pasy do pończoch, koszulki, *soutien* - *gorges* spłaszczające mi biust, jasnozielone, lawendowe i kawowe rozszerzane majtki, czerwone koszule nocne z szyfonu... co jeszcze? Chińskie piżamy! Ale żadnych gorsetów! -

Maggy przerwała płasy po pokoju przed wiszącym nad umywalką lustrem. Przyjrzała się sobie uważnie, potrząsając włosami. Zebrała je za uszami, a potem uniosła je obiema rękoma i zwinęła na czubku głowy. Powoli, z niezadowolaniem, potrząsnęła głową.

- Muszę obciąć włosy.

- Oczywiście. Z tymi włosami nie możesz nosić kapeluszy, a bez odpowiednich kapeluszy...

- Nie mów - wiem. Bez odpowiednich kapeluszy żadna szanująca się *vendeuse* nawet mnie nie wpuści do salonu. Powiedz mi tylko jedno, Paula. Czy muszę ściąć sobie włosy zanim pójde się ostrzyc do Antoine'a, czy też Antoine raczy mnie ostrzyc w obecnym żałośnie niemodnym stanie?

Paula otworzyła szeroko oczy. Antoine był najsłynniejszym fryzjerem na świecie. Przed dwudziestu laty wynalazł fryzurę na pazia, gdy wielka aktorka, Eve Lavalliere, poświęciła włosy pod jego nożyczkami, które to przeżycie tak mu odebrało odwagę, że nie powtórzył tego wyczynu przez sześć lat. Teraz panował niepodzielnie w salonie przy rue Didier, który otworzył balem dla tysiąca czterystu gości z paniami ubranymi na biało. Każda istota płci żeńskiej we Francji marzyła o zaprezentowaniu swej głowy przed mistrzem.

- Antoine - westchnęła Paula z szacunkiem.

- Ależ oczywiście - rzekła Maggy. - Gdy tylko na mnie spojrzy, pozna, że jestem warta jego nożyczek mimo mojego ubóstwa i dorywczego wyskakiwania z majtek.

- Jak się z nim umówisz?

- Po prostu pójde do niego. Czy będzie się mógł oprzeć szansie

obcięcia takich włosów?

- Nie wiem, jak - powiedziała szczerze Paula. Antoine był tak impulsywny, że ostatnio na dobroczynnej aukcji wylicytował za pięć tysięcy franków pojedynczą rękawiczkę ofiarowaną przez poetkę wicehrabinę Marie - Laure de Noailles.

- A więc wstawaj, moja *coco*. Chyba nie sądzisz, że pójdę bez ciebie?

- Nie puściłabym cię samej - co by było, gdybyś w pół drogi zmieniła zdanie?

- To samo sobie pomyślałam. - Maggy pieszczotliwie dotknęła swoich włosów. Musi je ściąć, to jasne, ale nie podchodziła do sprawy z taką odwagą, na jaką wyglądało. Właściwie serce biło jej tak, że chciała leciutko pojękiwać w udręce, ale narzuciła najlepsze dzienne ubranie i zapakowała Paulę do taksówki, zanim miała szansę zmienić decyzję.

Nigdy kobiecie nie było trudniej być piękną niż w latach dwudziestych. Moda nikomu nie schlebiała, kobiecość we wszystkich przejawach była okrojona, schowana, zniekształcona. Kapelusze kryły czoło i oczy; brwi nienaturalnie wyskubywano, ciała bezlitośnie formowano w nietwarzowe chłopięce kształty i źle używano kosmetyków. Istniały tylko trzy kolory szminek, a fryzury były tak brzydkie, że mogły je przewyciężyć tylko autentyczne piękności.

W owych czasach fryzura mogła kobietę stworzyć lub zniszczyć. Kobiety, które zaledwie dziesięć lat temu uważano za śliczne w edwardiańskich fałdzistych sukniach i z unoszącymi się nad głowami chmurami starannie ułożonych włosów, teraz były obnażone i wystawione na okrutne światło dnia bez odrobiny uroku - a wszystko w imię mody. Kobiety, które niegdyś były panującymi pięknościami, teraz okazywały się

strachami na wróble z ogolonymi głowami jak kule, osadzonymi nad niemodnie pulchnymi ramionami. Źle uformowana czaszka mogła zniszczyć przyszłość młodej kobiety.

Maggy siedziała na fotelu przed lustrem u Antoine'a, a fryzjer krążył za nią w otoczeniu uczniów i pomocników. Paula siedziała ponuro z boku.

- Mój Boże... pani linia włosów - rzekł w podnieceniu po francusku z polskim akcentem.

- Co w niej złego? - spytała Maggy gotowa wybuchnąć. Każdy pretekst był dobry, jeśli tylko pozwoliłby jej wyjść z godnością. Teraz, zanim jeszcze zaczął. Rozejrzała się w panice. Ściany salonu były wykonane z wielkich szklanych tafli, same schody skonstruowano ze szkła, fotele, stoliki, ozdoby i oświetlenie salonu też były zrobione ze szkła, żeby zadowolić tego wysokiego, bladego Polaka, który mieszkał w kryształowej siedzibie nad salonem, a spał w szklanej trumnie, która, jak twierdził, chroniła go przed niebezpiecznym promieniowaniem nocnego powietrza.

- Jak pani mogła chować ją tak długo? - spytał z wyrzutem. - Elegancja zaczyna się od linii włosów, madame, a pani linia to poemat. To - rzekł przesuwając długim szczupłym palcem wysoko po jej czole - jest zasadniczy kształt, bez którego żadna inna elegancja nie ma znaczenia, bez którego nie może się zacząć żadna prawdziwa elegancja. Trzeba go odsłonić.

- Jak pan uważa - mruknęła Maggy i zamknęła oczy, widząc, że fryzjer ujmuje nożyczki. Śmigając wśród jej włosów, wydawały straszliwy, cicho piszczący odgłos. Każde pasmo, nim zdążyło upaść na podłogę, było zręcznie chwytnie przez pomocnika, który miał za zadanie

przechowywać długie włosy i robić z nich warkocze i koki, aby ostrzyżona klientka mogła je przypinać wieczorem. Maggy otworzyła jedno oko i zobaczyła, że głowę ma wtuloną w ramiona, a sama kuli się w fotelu.

Wyprostowała się odważnie, bo było już zdecydowanie za późno ujawniać tchórzostwo i zmusiła się do uśmiechu. Czy to jej szyja, ta nieskończenie długa, blada rzecz? Czy to jej uszy, te biedne, małe, różowe wyrostki? Teraz Antoine zmoczył jej głowę, wziął do ręki nieubłaganie błyszczącą brzytwę i zaczął formować jej włosy w lśniąca czapkę, krótko jak u angielskiego ucznia ostrzyżonego w radykalnym stylu Eton. Tylko najpiękniejsze kobiety mogły nosić taką fryzurę. Włosy były zaczesane do tyłu, starannie przedzielone z jednej strony, a przed każdym odsłoniętym uchem czapka zwężała się w gładki szpic na policzku. Na karku włosy były tak obcięte, że wyraźnie ukazywały delikatny kształt całej głowy. Wielkie żółtozielone oczy Maggy, rozstawione tak szeroko, wydawały się dwa razy większe, a jej ostre, śmiało zarysowane kości policzkowe miały teraz konkurencję w całkowicie odsłoniętej, długiej, giętkiej kolumnie szyi.

Odrzuciła fartuch i wstała wpatrując się w lustro, obracając się w różne strony tak, żeby obejrzeć się z każdego boku i od tyłu. Tłum obserwował ją w napiętej ciszy. Nawet sam Antoine nic nie mówił, gdy Maggy z niepokojem przyglądała się nowej osobie patrzącej na nią z luster.

Było jej słabo. Wydawało się, że głowę ma zupełnie oddzieloną od ramion, jakby ją odłączono i za chwilę miała wzlecieć do góry jak balon. Kobieta w lustrze była zuchwała; kobieta w lustrze była starsza od Maggy i bardzo opanowana; kobieta w lustrze była niesamowicie szykowna,

mimo kostiumiku Maggy i jej pożałowania godnych bućków. Jej głowa, ta gładka, świetnie ostrzyżona głowa, tak jaskrawa, że wyglądała jak namalowana, jak wspaniały znak przestankowy, stanowiła centrum salonu.

Maggy stała nie zdradzając żadnych uczuć. Paula wstrzymała oddech. Maggy coraz bardziej zbliżała się do lustra nie odrywając od niego oczu. Odbicie urosło do ogromnych rozmiarów; patrzyła na nie pytająco aż jej oczy zlały się w jedno, a nosem dotknęła lustra. Została w tej pozycji przez sekundę, pokrywając szklaną powierzchnię mgiełką oddechu, po czym zdecydowanym ruchem ucałowała lustro dużymi, rozkosznymi ustami.

- Ach! - wszyscy obserwujący odetchnęli z ulgą.

- Madame jest zadowolona - oznajmił Antoine z miną właściciela.

- Madame jest oczarowana! - Maggy chwyciła zdumionego Polaka, mocno go uściśnęła i wycisnęła mu na ucho pocałunek. - Odtąd należy się do madame zwracać per „monsieur”. - Wzięła do ręki goździk przypięty do zakietu i włożyła go Antoine'owi za ucho. - Od jednego monsieur dla drugiego, kocham cię - powiedziała.

* * *

Perry Kilkullen nie miał żadnego pojęcia o utrzymywaniu kobiety. Wszystko wyglądało tak prosto, wyrażenie to spływało tak swobodnie z ust; Perry uspokajał się, że mężczyźni przecież utrzymują kobiety od tysięcy lat. Starożytni Grecy i Rzymianie utrzymywali kobiety albo młodych chłopców, zależnie od upodobań. A może i jedne, i drugich jednocześnie? Kto wie? Historię każdego państwa wypełniały legendarne utrzymanki, a szeregi arystokracji w końcu napełniały się ich dziećmi. Jak robili to różni Ludwikowie - XIV, XV i XVI? Jak, do diabła, wszystko

organizowali?

Czuąc się bardziej Amerykaninem niż kiedykolwiek przedtem podczas długich lat w Paryżu, trochę speszony, lecz nieskończenie stanowczy, poszedł do pośrednika handlu nieruchomościami. Dla Kilkullena, tak jak dla Ludwika, pierwszym krokiem musiało być mieszkanie. Czy może oni po prostu wpuszczali damę do wolnych pokojów w pałacu?

- W jakiej dzielnicy monsieur pragnie mieszkać? De salonów monsieur potrzebuje? Ile sypialni? I jak liczna będzie służba? Czy monsieur życzy sobie dom czy mieszkanie?

- Niech pan posłucha, nie będę wiedział, dopóki nie zobaczę. Proszę mi po prostu pokazać, co pan ma najlepszego.

* * *

Obejrzał tuzin domów i mieszkań w modnych częściach Prawego Brzegu i wszystkie odrzucił dla jakiejś przyczyny. Nie brał na te wyprawy Maggy, bo chciał jej zrobić niespodziankę. W końcu przy avenue Velasquez wszedł do ogromnego mieszkania na drugim piętrze, wychodzącego bezpośrednio na szlachetny, zielony, krzywy prostokąt Parć Monceau. Jak gdyby miał słuch doskonały i usłyszał właściwy akord, Perry poczuł się w pustych pokojach jak u siebie w domu.

Przyprowadził ją tam tego samego wieczora o zmierzchu i pokazał mieszkanie. Oniemiała, gdy z dumą pokazywał jej pomieszczenie za pomieszczeniem.

- O mój Boże! - wybuchnęła w końcu.

- Nie podoba ci się? - zapytał Perry z niepokojem.

- Policzyłeś pokoje? - spytała nieco histerycznie.

- Nie, niedokładnie. Wydawało mi się wszystko w porządku.

- Jest jedenaście pokoi i przynajmniej dwa tuziny mniejszych pomieszczeń. Bóg jeden wie, ile łazienek, a nie liczyłam kuchni, spiżarni, pralni i pokojów dla służby, które, mówiłeś, są na poddaszu - rzekła z drżeniem w głosie.

- Takie duże? - mimowolnie wyglądał na strapionego.

- Jeśli o mnie chodzi, to wszystko mające więcej niż dwa pokoje jest za duże. A w jednym z nich powinna być balia.

- Ale... ale powiedziałaś, że marzysz o byciu utrzymanką w wielkim stylu.

- Och, Perry - wykrzyknęła mocno się do niego przytulając - tak się boję! Wiem, co powiedziałam, ale to było fantazjowanie, a to jest rzeczywistość. Chcę wrócić na Lewy Brzeg, znaleźć jakiś pokój w małym hoteliku, położyć się do łóżka, naciągnąć kołdrę na głowę i nie wychodzić! Nigdy!

Perry przyciągnął ją do siebie i głaskał ją mocno i delikatnie jakby była dużym, przerażonym zwierzęciem. Zdał sobie wtedy sprawę, że wyrósł wśród bogatych nowojorskich kobiet, które zawsze spodziewały się, że pewnego dnia będą rządzić wielkimi domami; kobiet, które całe życie uczyły się poruszać bez wysiłku, ze spokojną władzą, po pokojach o wiele większych i liczniejszych niż te przy Parc Monceau. Lecz cóż o takich rzeczach wiedziała Maggy, jego cudowna dziewczyna, jego pierwsza, jedyna miłość? Przez to, że przerażało ją jedenastopokojowe mieszkanie, stawała się dla niego jeszcze cenniejsza, ta dziewczyna, która miała odwagę uciec z domu w wieku siedemnastu lat, która podejmowanie ryzyka miała we krwi, która w głębi serca nadal była łobuziakiem.

- Posłuchaj - szepnął, jakby mówił do dziecka - jeśli chcesz, będziemy mieszkać w hotelach, nie martw się. Ale może dajmy temu mieszkaniu szansę? Nie musisz się wprowadzać jutro, kochanie. Umeblowanie go zajmie dużo czasu, a potem, gdy będzie gotowe, a ty będziesz miała choćby cień wątpliwości, jeśli nadal będziesz uważała, że jest za duże, po prostu się go pozbędę. Co ty na to? - Mówiąc to wiedział, jak rozpaczliwie chce stworzyć Maggy prawdziwy dom, nie w hotelu, ale tutaj, w tym ślicznym miejscu, gdzie mogli być stale razem, tylko we dwoje.

Głos Maggy był stłumiony, bo głowę przyciskała do jego kamizelki.

- Ile miesięcy to potrwa? - spytała podejrzliwie.

- Och, długo - zapewniał ją Perry - bardzo długo. - Zastanawiał się, jak w gruncie rzeczy ludzie meblują mieszkania. Jego żona, teściowa i matka przez jakiś czas przed ślubem, dawno temu, znajdowały się w kobiecym szale, i przypuszczał, że załatwiały sprawy związane z wyposażeniem mieszkania, ale wtedy nie zwracał na to uwagi. Dla mężczyzn jego pokolenia mieszkania były już umeblowane, oczywiście nowymi sprzętami, ale od razu w guście właściciela. Wszystko to było jakoś załatwiane - czy to jedna z rzeczy, na jakich kobiety spędzają swój czas?

* * *

Przez następne pół roku wydawało się Maggy, że codziennie uczy się zdumiewająco wielu nowych rzeczy. Najpierw był angielski. Postanowiła nauczyć się angielskiego bo, jak się wydawało, to nie było sprawiedliwe, żeby Perry zawsze był w niekorzystnej sytuacji, gdy rozmawiali, a w każdym razie, gdziekolwiek by poszli, czy to na Bal Tabarin oglądać

kankana, czy na kolację do Maxima albo do Fredericka na kaczkę, wszędzie wokół słyszała angielski i złościło ją, że nie rozumie żartów.

Siła nabywcza dolara amerykańskiego była tak wielka, że Paryż był pełen emigrantów dobrze żyjących za piętnaście dolarów tygodniowo. Intrygowali Maggy swą lekkomyślnością, hałaśliwą radością, tym jak bez żadnego szacunku rzucali się na Paryż, jakby to był największy kojec świata. Kto oprócz Amerykanów grałby w tenisa papierowymi piłkami i raketami w nocnym klubie Josephiny Baker? Kto oprócz Amerykanów potrafiłby siedzieć u Bricktopa razem z muzykami i grać taki dziki jazz, jakiego nigdy przedtem nie słyszała? Nie mówić po angielsku w 1926 roku w Paryżu oznaczało nie uczestniczyć w najlepszym przyjęciu w całej historii.

Co ranka, tuż po śniadaniu, Maggy brała lekcję angielskiego u poważnej bostonki, żony pewnego amerykańskiego pisarza, który jakoś nie mógł skończyć swej powieści. Jednym z pierwszych wyrażen, jakich nauczyła się Maggy, było „blokada pisarska” i do końca życia, ile razy słyszała te słowa, zawsze kojarzyły się jej z kosztownie udrapowanym bladobłękitną satyną salonem jej apartamentu u Lottiego.

Perry wynajął Jeana Michela Franka, najgłośniejszego ówczesnego architekta wnętrz - przywódcę artystów uprawiających *Les Arts Decoratifs* - do pracy nad mieszkaniem i gdy on zajmował się swoją pracą, Maggy zajmowała się swoją.

- Czy masz pojęcie, Paula - spytała kłótliwie - jak ciężko musi pracować utrzymanka? To półtorej posady. Przecież nie można wyjść rano z domu, jeśli nie ma się na sobie kostiumu od O'Rosena czy Chanel, nie ma mowy o pokazaniu się po południu w czymś innym niż Patou, koktajlu

nie można po prostu wypić, trzeba się na niego ubrać w coś od Molyneux z wąskimi ramiączkami i dołem wyciętym w trójkąty...

- Mam nadzieję, że nie narzekasz - powiedziała Paula surowo. - Każde *metier* ma swoją cenę.

- Bycie utrzymanka sprowadza się chyba do spędzania jednego procentu czasu nago w łóżku, a pozostałych dziewięćdziesięciu dziewięciu na przebieraniu się - rzekła Maggy w zamyśleniu. - Czy nie ma żadnych *metiers*, gdzie można by nosić to samo od rana do wieczora? I te kapelusze, Paula - inny do każdego stroju i przy każdym trzy przymiarki, całe to zamieszanie o nachylenie runda czy szerokość wstążki - kto by się tego domyślał?

- Mogłabym cię ostrzec - powiedziała Paula chytrze - ale bałam się, że wycofasz się ze wszystkiego, póki jeszcze był czas.

- Teraz już za późno - stwierdziła Maggy, znów w świetnym humorze.

* * *

- Przeprowadzić rozmowę z głównym lokajem?

- Mieszkanie zostanie umeblowane za miesiąc - odparł rozsądnie Perry. - Musimy mieć służbę, a służba oznacza szefa służby - on ci pomoże w rozmowach z resztą.

- Skąd mam wiedzieć, o co go pytać? - obruszyła się Maggy. - Cóż ja wiem o opiece nad cygarami i ich karmieniu, o życiu intymnym skrzynek wina, o protokole oznajmiania kolacji albo właściwym sposobie czyszczenia srebra? I o niewłaściwym sposobie, skoro już przy tym jesteśmy? Jeśli chcesz mieć głównego lokaja, musisz znaleźć go sam i to samo dotyczy reszty „służby”. Wcale nie jestem pewna, czy w ogóle się

wprowadzę.

- Nie byłaś tam nawet zobaczyć, co się dzieje - nie jesteś ciekawa?

- Nie - skłamała Maggy. Zastanawiała się codziennie w różnych momentach, co też porabia monsieur Frank, ale nie chciała się w to wciągać, bo w chwili gdy wybrałaby coś lub zaakceptowała, zgodziłaby się zamieszkać w tym ogromnym, głęboko niepokojącym, przygniatająco wspaniałym mieszkaniu, które kupił Perry. Życie hotelowe, nawet w wielkim stylu Lottiego, miało w sobie coś czarująco lekkomyślnego. Windy pełne były zakochanych par, które nie mogły się pobrać, westybul rozbrzmiewał muzyką i śmiechem, pokojówki zawsze były gotowe zamienić kilka słów, a jeśli chodzi o pełnych gotowości recepcjonistów, to codziennie pochylali się z nią nad kuponami wyścigowymi.

- Dobrze więc, ja to zrobię - rzekł Perry z rezygnacją.

- Wiem - poprośmy Paulę. To jedna z rzeczy, które robi najlepiej. Potrafi przejrzeć charakter, nie można jej oszukać. Przynajmniej ja nigdy nie potrafiłam. I nie zapomnij o jej ostatnim *shiddach*.

- Shiddach!

- Zapoznanie - tak jak ciebie ze mną - tylko w luźnym znaczeniu. Właściwie to umówione małżeństwo, jak to, jakie dla mnie szykowała ciotka Estera. Pochodzi od hebrajskiego słowa shidukh - wyjaśniła uczenie Maggy.

- A ta mądrość pochodzi, jak przypuszczam, od rabiego Taradasha?

- Perry był oczarowany rzadkim używaniem żydowskich wyrażeń przez Maggy. Wydawały mu się tak pikantne i żywe jak czerwony goździk w jej butonierce.

- Nie przypominaj mi o moim biednym, kochanym rabbim.

Utrzymanka żyjąca w grzechu z katolikiem? Och, nie potrafię nawet pomyśleć, co by na to powiedział.

- Wybuchłby?

- Wybuchłby gniewem, pękł ze zdenerwowania, rozpadł się w cierpieniu - wybieraj. Ale nie zrozumiałby lepiej niż twój ksiądz, gdybyś go miał. Jednakże ani myślę czuć się winna! Talmud mówi: „Gdy człowiek stanie przed swym Stwórcą, będzie musiał odpowiedzieć za przyjemności życia, których nie udało mu się doświadczyć”. To jedyna część Talmudu, jaką znam i jedyna, z jaką całkowicie się zgadzam. Prawdopodobnie zaprzecza się temu gdzie indziej - właściwie nie mam pojęcia o religii i jeśli o nas chodzi, nie widzę tu żadnego znaczenia.

- Czy to jedyna przyczyna, dla której nie czujesz się winna z mojego powodu? - spytał z nagłą powagą.

- Och nie, kochany, nie. Nie czuję się winna, bo tak bardzo cię kocham. - Pomyślała, że nie ma sposobu, żeby mu szczerze powiedzieć, jakie żywi do niego uczucie.

Była to miłość bez mistyfikacji, wolna od niespodzianek czy zgrzytów, miłość, która nigdy nie mogła jej zranić. Ramiona Perry'ego stanowiły bastion chroniący ją od wszelkich ran. Była z nim całkowicie bezpieczna, a teraz знаła już wartość bezpieczeństwa.

Zdarzały się chwile, do czego przyznawała się sama przed sobą, gdy ogarniały ją wspomnienia Julienu Mistrała, gdy znów czuła, jak surowa linia jego ust staje się tak zdumiewająco czuła pod jego wargami. Odwracała się wtedy rozmyślnie od niepożądanego wspomnienia i liczyła plusy. Co by było, gdyby całymi latami żyła z Mistralem? Gdyby przesiąknęła nim i pozwoliła na wylot poplamić swoje serce człowiekowi

opętanemu farbami, którego nikt nie obchodzi. Ileż miała szczęścia. Krótkie miesiące z Mistralem pozostawiły po sobie przykre ślady, ale wierzyła, że ma w sobie miejsce, którego nawet nie tknął. Pochyliła głowę do grzbietu dłoni Perry'ego i otarła się o nią policzkiem tak lekko, że czuła na skórze delikatne łaskotanie jasnych włosków. - A z tym szefem służby... - wymruczała.

- Zajmę się tym.

- Wiedziałam, że tak zrobisz.

* * *

- Zamknij mocno oczy i obiecaj, że nie będziesz podglądać. Zaprowadzę cię do salonu - chcę, żebyś zobaczyła go najpierw - powiedział Perry do Maggy stojąc przed frontowym wejściem do mieszkania przy Parc Monceau. Był kwiecień 1927 roku.

- Ale to takie niemądre. Ale właściwie czemu nie? To wszystko jest śmieszne. - Maggy zacisnęła powieki i ujęła ramię Perry'ego. Wydawało jej się, że idą już bardzo długo, gdy powiedział głosem ściśniętym z emocji: - Możesz spojrzeć.

Otworzyła oczy w jednym z pierwszych prawdziwie nowoczesnych wnętrz dwudziestego wieku. Poczowała się, jak gdyby orzeźwiająca bryza przywiała ją do nowego świata, złocistego, beżowego, kremowego i białego świata, w którym największy luksus wyrażał się najczystsza formą. Wszystko wyglądało inaczej. Ponure ściany, które jak pamiętała, pokrywała ciemna boazeria, zostały odsłonięte od podłogi do sufitu i wyłożone setkami kwadratowych kawałków pergaminu, z których każdy różnił się nieco od wszystkich innych. Nie zakłócone ani jednym obrazem tworzyły w swej masie zamierzone, mistrzowskie dzieło sztuki

promieniejące bladym złotem w świetle białych gipsowych lamp o śmiałych kształtach.

Pokój, który wydawał się jej niemożliwie duży, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, teraz ogarnął ją swą nieoczekiwaną odświętnością. Obchodząc go po białych dywanach zdała sobie sprawę, że porusza się w nowym gatunku przestrzeni, przestrzeni, w której nie wyobrażała sobie mieszkających ludzi, przestrzeni zabarwionej świeżością i otwartością natychmiast powodującymi, że wszystkie inne wnętrza wydawały się zagracone, przeładowane ozdobami i staromodne. Maggy wodziła palcami po oparciach prostych foteli pokrytych najskromniejszym, najgrubszym kremowym jedwabiem, jaki można było sobie wyobrazić, pieściła blaty niskich, polakierowanych na złoto stolików, a potem opadła w oszołomieniu na jedną z szerokich sof. Wyciągnęła się na miękkiej, naturalnie beżowej skórze i z półprzymkniętymi oczyma przyglądała się podstawowym kształtom wszystkich przedmiotów w pokoju.

- Co o tym sądzisz? Czy to nie wspaniałe? - zapytał Perry z niepokojem, szybko wyrzucając z siebie słowa. - Lampy projektował Giacometti, na stolikach jest czterdzieści warstw złotego lakieru, dywany zostały ręcznie utkane w Grasse...

- Nie nudź mnie szczegółami, kochanie - odparła Maggy. - Połóż się tu ze mną, zupełnie jakby się człowiek unosił na wodzie.

Wprowadzili się trzy dni później. Jean Michel Frank, zachwycony swym amerykańskim klientem, ponieważ zamożny, hojny, samotny mężczyzna - a szczególnie zakochany - jest dla każdego artysty najbardziej pożądanym klientem, zaprzęgnął swój wielki talent do pełnego ucieleśnienia w mieszkaniu przy Parc Monceau swej rewolucyjnej wizji, wizji, która po

upływie pół wieku nadal będzie świeża i znacząca.

Pierwszej nocy w nowym mieszkaniu Maggy nie mogła spać. Cicho wstała z łóżka i otuliła się szlafrokiem. Chodząc po mieszkaniu miała nieodparte uczucie, że czegoś brakuje, że coś jest nie w porządku. A jednak monsieur Frank nie zaniedbał żadnego szczegółu.

Przechodząc obok szafek z obrusami i srebrem Maggy pomyślała, że nigdy nie śniło się jej, iż można posiadać tyle przedmiotów. Upłyną całe tygodnie, zanim zapozna się z zawartością szafek. Niczego, co mogło uczynić życie niezwykle wygodnym, nie brakowało, a wszędzie panowała wielka czystość, czystość, w porównaniu z którą obite satyną luksusy jej apartamentu u Lottiego wydawały się sfatygowane, a nawet brudne.

Maggy weszła do salonu i stanęła przy drzwiach balkonowych wychodzących na park. Z drugiego piętra widziała spory fragment tego najfiglarniejszego z paryskich parków, klasycystyczną kolumnadę, owalny staw i piramidę, którą sprowadził tu w 1778 roku książę orleański. Pomyślała, że pusty teraz park, otoczony ozdobnym żeliwnym ogrodzeniem zwieńczonym pozłacanymi strzałami jest jak dekoracja teatralna czekająca na wystawienie jakiejś maski czy na inną podobnie archaiczną rozrywkę. Wyglądał, jakby czekał na procesję bogiń w greckich szatach lub grupki fantastycznych elfów zrodzonych w poetyckiej wyobraźni. Lecz wiedziała, że w zamkniętym parku nic się nie będzie działo, dopóki nie przybędą do niego rano z niańkami dzieci, te dobrze wychowane dzieci w eleganckiej dzielnicy. Chodziła niespokojnie po pokojach, ale wbrew rosnącemu poczuciu, że czegoś tu brakuje, nie potrafiła znaleźć ani jednej ludzkiej potrzeby, która nie byłaby wzięta pod uwagę. W końcu Maggy wróciła do łóżka i odpłynęła w niespokojny sen

wypełniony fragmentami marzeń.

* * *

Pod wieczór następnego dnia Maggy weszła do mieszkania, otworzywszy po raz pierwszy drzwi swoim nowym kluczem. Zarumieniona od chłodu kwietniowego wieczoru, nie zdjęła nawet płaszcza, przeszła przez przedpokój i prawie wbiegła długim korytarzem do jadalni. Pod pachą miała duży, nieporęczny pakunek owinięty gazetą.

Popołudnie spędziła na szperaniu w pewnych sklepach przy rue des Rosiers i pakunek zawierał przedmiot, na którego poszukiwanie się wybrała, jedyną rzecz, której brakowało w mieszkaniu, z czego zdała sobie sprawę budząc się późno rano. Maggy stanęła przed pokrytym welinem kredensem. Stały na nim dwa ciężkie kandelabry ze srebra i lapis - lazuli, zaprojektowane przez słynnego złotnika Jeana Puiforcata specjalnie do tego pokoju. Stanowiły komplet z dużą misą ze srebra i lapisu stojącą na stole. Maggy przeniosła kandelabry z kredensu na stół, ustawiając je po obu stronach misy. A potem bardzo ostrożnie rozpakowała z gazety duży, dosyć poobijany mosiężny świecznik o siedmiu ramionach.

- No! Tak lepiej - powiedziała na głos ustawiając menorę na honorowym miejscu w swoim domu.

Perry Mackay Kilkullen miał w nosie. Miał w nosie pełne oburzenia listy od matki, sióstr i braci. Miał w nosie to, co kościół już powiedział, będzie mówił nadal i co mówi teraz. Miał w nosie milczącą dezaprobatę swych współników i pełne podniecenia plotki ich żon. Miał w nosie rosnącą falę szeptów w „Turf and Field”, „Piping Rock” czy Jachtklubie Nowojorskim. Miał w nosie zdanie każdego, kogo kiedykolwiek znał, lubił albo nawet kochał przed poznaniem Maggy. Był kompletnie obojętny na te niewyraźne postacie, które niegdyś wydawały się ważne, i na to, co myślą o sprawie tak bardzo jego własnej. Miał czterdzieści dwa lata, przeżył ponad połowę czasu, jakiego człowiek może oczekiwać na ziemi, i dopiero teraz zrozumiał, co to znaczy żyć. Maggy. Bez niej byłby tylko namiastką człowieka i nawet by o tym nie wiedział.

Nadal z precyzją wykonywał swe bankierskie obowiązki. Nikt nie mógł go oskarżyć o zaniedbanie firmy, ale poza tym z rozmysłem i skutecznie odciął się od poprzedniego życia. Nie przyjmował już zaproszeń na kolację od przyjaciół z kręgu paryskiej społeczności bankierskiej, a gdy jego koledzy z Yale odwiedzali z żonami Paryż, unikał ich. Starannie układał swoje sprawy służbowe tak, żeby nie musiał przyjeżdżać do Nowego Jorku, gdzie jego żona, przyodziana w swą godność i przekonania religijne, czekała z pozornym spokojem, aby wyrósł z tego okresu w życiu, przez który, jak zapewniała ją matka, przeszło wielu innych wspaniałych mężczyzn. Mary Jane McDonnell Kilkullen była zbyt dumna, by w jakimkolwiek stopniu ujawnić swe uczucia co do jawnego skandalu, jakim było utrzymywanie francuskiej kochanki przez Perry'ego. Nadal oddawała się pracy dobroczynnej.

Szczupła, ozdobiona biżuterią, miłosierna kobieta, która swym energicznym, lecz łagodnym zachowaniem nikomu nie pozwalała się nad nią rozczułać. Nic nie zmusi jej do znizenia się do poziomu ordynarnego odgrywania oburzonej i oszukiwanej żony.

Na jesieni 1927 roku Maggy skończyła dwadzieścia lat. Wyglądała jak zawsze na osobę bardziej światową, niż pozwalał się tego domyślać jej wiek, przez swoje wytworne powieki i zuchwałe usta, dzięki którym w każdej grupie kobiet była tą najbardziej fascynującą, nawet jeśli nie stanowiła ideału piękna danych czasów. Nigdy nie była „tą młodą” o ujmująco ładnej buzi, ani nie pasowała do modnie dziecinnego, kruchego typu podlotka. W ciągu minionych kilku miesięcy, kiedy mogła zaspokajać swój gust, osiągnęła ponadczasową, enigmatyczną elegancję.

Aby uczcić jej urodziny, Perry zaprosił ją do Mariusa i Jeanette, gdzie po raz pierwszy zjedli razem kolację, a potem poszli do ich ulubionego klubu nocnego na Montmartre, Chez Josephine, w którym niedorzeczność kozy i prosiaka, dziwacznych ulubieńców Josephiny Baker, biegających po lokalu i rozpieszczanych przez koronowane głowy z dziesięciu krajów europejskich, zawsze znakomicie bawiła Maggy.

Tego wieczora czuła się jednak dziwnie zamyślona. Dwadzieścia lat bardzo się różni od dziewiętnastu. To wiek kobiety, nie dziewczyny. Maggy pomyślała, że nie jest już dziewczyną i nie wiedziała, czy ma być przygnębiona, czy zachwycona. Westchnęła i okręciła wokół palca podwójny sznur pereł, które dał jej na urodziny Perry.

- Czy coś się stało, kochanie? - zapytał.

- Nigdy już nie będę młoda - naprawdę młoda. I nie waż mi się mówić, że jestem głupia.

- Czy bycie „naprawdę młodą” było rzeczywiście tak wspaniałe? Potrząsnęła głową nad jego niezrozumieniem tego, co chciała powiedzieć.

- To oznaczało, że wszystko mam przed sobą. Że nie muszę myśleć o przyszłości, bo jest taka odległa. Jakoś moje decyzje nigdy naprawdę się nie liczyły. Nic nie było ostateczne, bo wszystko i tak miało się zmienić. Ale teraz, teraz czuję się tak... tak - wykonała nieokreślony ruch ręką i potrząsnęła głową, bo słowa znikwały, gdy tylko próbowała je odnaleźć.

- Jak gdybyś musiała podejmować jakieś decyzje - powiedział czule.

- Prawie tak. Jak gdybym znajdowała się w mojej przyszłości - jakby moje życie powinno dokądś zmierzać. - Uśmiechnęła się w zadumie i wzruszyła ramionami z dziwnie, jak na nią, bezradną miną.

- Ale ty dokądś zmierzasz. Zmierzasz do ślubu ze mną. Maggy wyrzuciła w górę z niedowierzaniem ręce.

- Nie mów tak! Wiesz, że to niemożliwe! Jak możesz tak mówić, nawet w żartach? Nigdy o tym nie myślałam!

- Wiem, że ty nie, ale ja pomyślałem. Myślałem tylko o tym prawie od dnia, gdy cię poznałem - o teoretycznie niesłychanym planie otrzymania rozwodu, ożenienia się z tobą i wspólnego życia do śmierci. Wszystko inne jest nienaturalne, niewłaściwe i nieprawdziwe. Należymy do siebie.

- Jesteś katolikiem i masz żonę! - zaprotestowała Maggy w dzikim osłupieniu. Zgodziła się na wszystko to, co dla niej robił, rozumiejąc, że nic ponad to nigdy nie będzie możliwe. Dzieliły ich wszystkie bariery, a prawdopodobieństwo, że ją poślubi, było tak małe, jakby był księciem Walii, a Maggy kochała go na tyle, by tę sytuację zaakceptować.

- Moja żona i ja jesteśmy właściwie od lat w separacji - wiesz o tym.

Nie mamy dzieci, które by nas łączyły...

- Och, dlaczego musiałeś poruszyć ten temat? - zawołała Maggy.

- Wiesz, że nie możesz dostać rozwodu.

- To samo mówiono Henrykowi VIII. - Perry uśmiechnął się do niej.

To prawda, katolicy nie powinni się rozwodzić. Ale to nie znaczy, że nie rozwodzili się w rzadkich przypadkach przy udziale niezwyklej siły woli, cierpliwości, wielkich pieniędzy i wpływów. Oczywiście tacy katolicy nie byli dobrymi katolikami w rozumieniu jego rodziny i znajomych. On sam nie uważałby rozwiedzionego katolika za dobrego katolika.

Lecz aby poślubić Maggy, Perry Kilkullen gotów był stać się złym katolikiem. Odkrył, że jego wiara nie jest aż tak silna jak jego miłość. Kiedy zaczęły obracać się tryby jego wyobraźni, kiedy zobaczył swe życie pustym, a małżeństwo jako wyłącznie jałowe przedłużanie czegoś, co dawno umarło, jako społeczny i teologiczny konwenans, stracił cierpliwość do praw kościelnych. Czy zasady, które wymagają od niego dogłębnego fałszu, mogą być słuszne? Czy musi poświęcać wszystkie dobre męskie lata, jakie mu zostały z życia, na ołtarzu nakazów i zakazów wydawanych przez Rzym? Za każdym razem, gdy kochał się z Maggy, według wyuczonych dogmatów popełniał grzech. A jednak gdy ją wypełniał, czuł się uświęcony. Jej piersi, brzuch, uda, były błogosławieństwem. Nic tak pięknego nie mogło nie być pobłogosławione.

- Och, jak możesz się tak uśmiechać? Czy nie wiesz, co mówisz?

- Zawołała Maggy, głęboko poruszona. - Oszalałeś.

- Czy nie chciałabyś wyjść za mnie, gdyby to było możliwe? - W końcu jej reakcja dotarła z całą mocą do Peny'ego. Spodziewał się zdziwienia, oszołomienia, ale nie tej odmowy szczęścia.

- Nie chcę być dla ciebie przyczyną kłopotów - powiedziała Maggy z uporem.

- Byłem jak wysuszony, zanim cię poznałem! - rzekł Perry gwałtownie. - Umierałem z pragnienia, a ty mnie uratowałaś. Mogłem tak żyć latami i skończyć jak zwiędły, suchy, spalony słońcem, pozbawiony soków kawałek drewna wyrzucony na brzeg.

- Ale czy to nie wywoła kłopotów? Potężnych kłopotów? - upierała się Maggy.

- Potężne, wielkie, straszliwe kłopoty. - Uśmiechnął się z ulgą. Tylko to ją martwi. - Prawie najgorsze kłopoty, jakie można sobie wyobrazić. Ale warte każdej swojej minuty, jeśli zechcesz mnie poślubić, jeśli powiesz, że zawsze będziesz mnie kochać bez względu na to, jak długo będzie to trwało.

- Wiesz, że będę - powiedziała powoli. Jego skrajna potrzeba rozwiała jej strach.

- Nawet choć nie jesteś już naprawdę młoda? Czy jesteś pewna, że nie jesteś za stara, żeby podjąć taką decyzję? Przecież może to trwać kilka lat, a nie chciałabyś ryzykować zostania starą panną.

- Może i dochodzę do dojrzałości - rzekła Maggy - ale nie jestem jeszcze za stara, żeby spróbować.

- A zatem ustalone? - spytał z entuzjazmem.

- Między nami, tak, tak, kochanie. Ale co do innych...

- Pojadę do Nowego Jorku następnym statkiem... - obiecał Perry.

- Ale teraz, kiedy jeszcze jestem wystarczająco młoda, zatańczmy.

* * *

Nim upłynęło dziesięć dni od dwudziestych urodzin Maggy, Perry

Kilkullen stanął naprzeciw swej żony w bibliotece ich mieszkania przy Park Avenue. Od dwóch lat Mary Jane ani razu nie podniosła głosu w gniewie, a z jej ust nie wymknęło się nieuważne słowo. Nie przerywając mu wysłuchiwała spokojnie wszystkiego, co miał jej do powiedzenia, siedząc ze zgrabnymi nogami elegancko skrzyżowanymi w kostkach, z ładną twarzą niemal bez wyrazu i rękoma spokojnie leżącymi na kolanach. Nie bawiła się nawet ani jednym z licznych pierścionków. Wylewając wszystkie swe argumenty, wszystkie przyczyny, cały ból spowodowany tym, co musi im zrobić, Perry pomyślał, że ona nie robi mu trudności. Wydawało się, że słucha, że naprawdę słucha tego, co do niej mówi. Może ona też chce stworzyć sobie prawdziwe życie. Może przez ten czas, kiedy go nie było, znalazła sobie kogoś, kto potrafił ją kochać, jak powinna być kochana każda kobieta. W końcu przerwał, ochrypli od mówienia. Teraz wie już wszystko, wszystko jej wyznał i spróbował wyjaśnić.

Zapadła cisza i trwała tak długo, że nieomal zaczął od początku, powtarzając się, ale przemówiła, łagodnie i tak cicho, że ledwo ją słyszał.

- Rozwód? Nie mogłabym ci tego zrobić, Perry.

- Ale ty nie zrobiłabyś mi nic. Wina leży całkowicie po mojej stronie.

- Nie mogłabym cię porzucić, Perry. Jak mogłeś spodziewać się, że będę tak okrutna? - rzekła ze współczuciem.

- Mary Jane, przestań wszystko przekreślać. Nie opuściłabyś mnie, to ja opuściłem ciebie.

- Nie zrobiłeś niczego, czego nie można by naprawić, Perry - powiedziała tak łagodnie, jakby pocieszała przestraszone dziecko. - Zrobiłeś - och, ludzie pewnie powiedzieliby, że „złądziłeś” - przekonałam się, że ludzie uwielbiają mówić takie rzeczy - ale jak ja to

widzę, ty po prostu popełniłeś błąd. Jest poważny, ale bynajmniej nie tak, żeby nie dało się go naprawić. Na szczęście Kościół zrozumie, Kościół przygarnie cię z powrotem, kiedy to wszystko się skończy.

- Cholera, myślałem, że mnie słuchasz!

- Słuchałam. Słyszałam każde słowo. Ale Perry, biedny Perry, zdaje się, że zapominasz, że masz nieśmiertelną duszę.

- Mary Jane, jestem dorosłym człowiekiem. Mam czterdzieści dwa lata - pozwól mi samemu martwić się o moją duszę.

- Prosisz o niemożliwe, Perry. Czy do mnie należy decyzja o odebraniu ci przyszłego życia? Gdybym się zgodziła, gdybyś potrafił uzyskać rozwód i poślubił tę dziewczynę za mojego życia, zostałbyś ekskomunikowany. I moja wina byłaby wtedy taka sama jak twoja.

- Chętnie podejmę to ryzyko, Mary Jane.

- Ale ja nie podejmę ryzyka potępienia cię. A ty wiesz, że nie masz prawa mnie o to prosić.

Spojrzał na nią uważnie. Czy nie dostrzega najdrobniejszej oznaki, że bawi się z nim, ukrywając się pod osłoną pobożności? Lecz na twarzy Mary Jane zobaczył jedynie przekonanie, stanowczość i spokój, rozstrzygający spokój, który powiedział mu, że nie ma nadziei. Istniała w świecie równoległym i nie można było przerzucić między nimi mostu słów. Jej wiara zaprzeczała istnieniu jego namiętności. Maggy i jego dla niej miłość nie były dla Mary Jane rzeczywiste. Stanowiły jedynie abstrakcyjny „stan grzechu”, od którego mógł się wybawić przez spowiedź, pokutę i powrót do niej. Wiedział, że przegrał, nadal ją przekonując, argumentując, prosząc.

W końcu Perry wyszedł, pokonany. Mary Jane spojrzała na zegarek i

zmarszczyła brwi. Opuściła spotkanie Bractwa Dzieciątka - Zbawiciela, któremu miała przewodniczyć. Nic jednak nie mogło być ważniejsze od przekonania Perry'ego, że w żadnym przypadku nie osłabnie i nie skaże go na wieczność bez zbawienia.

Podnosząc słuchawkę telefonu, by zadzwonić i przeprosić za nieobecność, powiedziała sobie, że mogłaby prawie za niego zapłakać z powodu jego żalostnej ułudy, iż mógł mieć nadzieje na spędzenie choć jednego szczęśliwego dnia poza łonem Kościoła. Biedny, łudzący się, zepsuty, zhańbiony Perry, tak się zapomniał, że rzeczywiście wyobrażał sobie, iż Mary Jane McDonnell kiedykolwiek pozwoli, aby miała zostać pierwszą kobietą w długiej historii jej klanu, z którą rozwiódł się mąż. To, rozmyślała, słuchając sygnału w słuchawce, dowodzi, bardziej niż cokolwiek innego, jak głęboko pograżył się w błędzie.

* * *

Perry został w Nowym Jorku kilka tygodni, usiłując przekonać członków swojej rodziny mających wpływ na jego żonę, by się za nim wstawili. Poniósł zupełne fiasko. Kilkullenowie i Mackayowie w kwestii rozvodu byli nieugięci. Gdy spróbował opowiedzieć o Maggy, chciała go słuchać tylko jedna jego siostra, największa plotkarka z nich wszystkich, niezdolna do pohamowania ciekawości. Odwrócił się od niej, z łatwością wyobrażając sobie, co powtórzy pełnym przerażenia i zachwyty szeptem najpierw jednemu, a potem innym krewnym. - Dwudziestoletnia modelka, kochana - wiesz, co to znaczy.

Jak mógł przekazać im czystą naturę Maggy? Jak mógł mieć nadzieję, że ich przekona, że rozumieją? Kilku krewniaków okazało mu współczucie w tej trudnej sprawie, o ile ograniczał ją do szaleństwa na

punkcie jakiejś dziewczyny, która nie jest jego żoną. Im też się zdarzało coś takiego. Właściwie większości z nich. Lecz nigdy nie prowadziło to do rozwodu, nawet do myśli o rozwodzie. Kilku proponowało, aby zostawił sprawy samym sobie. Wielu katolików miało dziewczynę na boku, dlaczego, do diabła, on musi wzniecać niepokój?

* * *

Minęło prawie osiem tygodni, zanim Perry mógł wypłatać się z obowiązków nałożonych na niego przez współników, skoro znalazł się w Nowym Jorku. Pisał do Maggy, że kupuje czas. Upłynie przynajmniej cały rok, zanim będzie musiał wrócić do Stanów Zjednoczonych - a może dłużej.

Ustalił ze swoim paryskim prawnikiem, *maître* Jacques Hulotem, że zajmie się on prowadzeniem domu, tak że Maggy nie będzie musiała zaprzętać sobie tym głowy. Hulot płacił służbie, sprawdzał i regulował wszelkie rachunki oraz zajmował się osobistymi rachunkami Maggy. Ponieważ żadna Francuzka nie mogła posiadać konta bankowego na swoje imię, jeden z urzędników prawnika co tydzień dostarczał Maggy gotówkę. Perry pisał, że nie wie, na co mogłaby chcieć wydać gotówkę, ale chce, żeby zawsze miała pełną portmonetkę i mogła zaspokoić każde szaleństwo, każdy kaprys. Jediną sprawą, o jakiej nie pisał w codziennych listach do swej ukochanej, był wynik spotkania z żoną, a Maggy nie dopytywała się o szczegóły.

Zapewniała go, że jest w wyśmienitym humorze, często widuje się z Paulą, zamówiła sobolowe futro, na co tak nalegał przed odjazdem, wróciła do lekcji angielskiego i zaczyna mówić naprawdę płynnie; tak, bardzo za nim tęskni, ale ponieważ nie istnieje nikt, z kim naprawdę

chciałaby być oprócz niego, nie jest to takie samo uczucie jak samotność, to nie tak, jakby nie wracał jak najszybciej.

Czytając po kilka razy listy Maggy w swoim pokoju w Yale Club, Perry Kilkullen dziękował Bogu, że jest bogaty. Tak bardzo, bardzo bogaty, że nigdy nie będzie się musiał martwić o akceptację reszty świata. Jego rodzina mogła zamknąć przed nimi drzwi towarzysko, lecz nie mogła przeszkodzić mu w stworzeniu z Maggy własnego świata, słodkiego, szerokiego, śmiałego świata, w którym można spełnić każde pragnienie oprócz legalnego małżeństwa. Będzie to stały układ w rodzaju, który Francuzi umieją zrozumieć. Maggy nigdy nie będzie czuła, że jest on dla niej kimś mniej niż prawdziwym mężem bez względu na to, czy dostanie rozwód. Oczywiście dozna gorzkiego rozczarowania, kiedy w końcu będzie musiał jej powiedzieć, ale jest Francuzką, więc zaakceptuje rzeczywistość.

A co do życia wiecznego i duszy nieśmiertelnej, czym Mary Jane tak cholernie się przejmowała, to kiedy pomyślał o Maggy, Perry Kilkullen wiedział, że jest niezniszczalny. Jego dusza nieśmiertelna może się troszczyć o siebie sama.

* * *

Maggy wyjechała po Perry'ego do Cherbourga. Czekając, aż celnicy przepuszczą jego bagaż, zobaczył ją po drugiej stronie barierki z twarzą napiętą, niemal ściągniętą z podniecenia. Tę chwilę wyczarowywał sobie bez końca w wyobraźni podczas drugich dni na wzburzonym oceanie. A teraz, nagle, już za kilka sekund skończą się pełne bólu tygodnie rozłąki, lecz pragnąc niecierpliwie wziąć ją w ramiona, jednocześnie żałował, że przyjechała samochodem do Cherbourga nie pozwalając mu w ten sposób

przyjechać do Paryża pociągiem. Ta podróż pociągiem, cztery nudne godziny spokojnego posuwania się do przodu, na pewno pomogłyby mu znaleźć właściwe słowa do odmalowania Maggy przyszłości w jak najlepszym świetle. Mimo jego usilnych starań odmowa Mary Jane nadal nie układała mu się we właściwy, optymistyczny, choć ostateczny ciąg wyjaśnień.

Nagle Maggy prześliznęła się pod barierką i podbiegła ku niemu, rzuciła mu się w ramiona i zaczęła okrywać jego twarz pocałunkami. Do oponującego celnika Maggy powiedziała coś tak szybką gwarą potoczną, że Perry nie zrozumiał jej, ale celnik zachichotał, poczerwieniał i zrobił się nieoczekiwanie życzliwy.

- Och, kochany, mam taką wiadomość! Nie może czekać, już naprawdę nie może! Wstałam o czwartej rano, żeby na pewno przyjechać na czas... och, Perry! - Nagle przerwała i zamilkła.

Prawie nie rozumiał jej słów, pogrążając się od momentu, w którym ją zobaczył, w kręgu stwarzanego przez nią czaru. Automatycznie wpadł w ich przekorny styl, jak gdyby kończyli dopiero co przerwana rozmowę, trzymając jej głowę w obu rękach, czule pieszcząc policzki Maggy.

- Skoro nie może czekać, to może mi powiesz?

- Wstydzę się - powiedziała unosząc twarz z wysokiego kołnierza jej puszystego, jedwabistego, ciemnego futra, jak bukiet białych fiołków.

- Od kiedy to jesteś wstydliva? - zapytał. Zapomniał, jak młoda jest w dotyku jej skóra pod jego palcami.

- Zawsze byłam strasznie wstydliva. Tylko tego nie pokazuję. Ludzie tego nie rozumieją, bo nie wyglądam na wstydlivą, jestem za wysoka - powiedziała Maggy szybko, nerwowo.

- Czy wstałaś tak wcześnie rano właśnie po to, żeby mi o tym powiedzieć? Twój wzrost to fascynujący temat, ale żeby tracić z jego powodu pół nocy...

- Zgadnij - rozkazała cofając się nieco i kładąc mu palec na ustach.

- Zwolniłaś kucharza?

- Bądź poważny - poprosiła.

- Kochanie, nie widziałem cię prawie dwa miesiące, a w twoich listach nie było wzmianki o najmniejszej nawet tajemnicy. Czekał - mam! Znalazłaś wczoraj u Pruniera perłę w swojej ostrydze i kazałaś z niej zrobić szpilkę do krawata dla mnie?

- Ciepło, bardzo ciepło - mruknęła.

- Odkryłaś wspaniałą nową modystkę, o której nie wie jeszcze ani jedna kobieta w Paryżu, zaproponowano ci rolę w filmie z Valentino i rzucasz mnie, żeby wyjechać do Hollywood, znalazłaś na wsi zameczek, który możemy kupić na weekendy, nauczyłaś się jeździć na łyżwach, wygrałaś konkurs tanga... muszę wyliczać dalej, czy mogę cię po prostu jeszcze raz pocałować?

Maggy zaczerpnęła głęboko powietrza i przerzuciła się z francuskiego na angielski. - Będę miała dziecko. Nie, my będziemy mieli dziecko.

- To niemożliwe!

- Mam już poranne mdłości - odparła z nieśmiałą dumą.

- Maggy, ty nie możesz być w ciąży... Nigdy nie byłem zdolny spłodzić dziecka...

- Gdy zmieniłeś swoją kobietę, zmieniłeś i tę możliwość.

Jej usta uśmiechały się, lecz oczy miała pełne straszego niepokoju.

- Po prostu nie potrafię w to uwierzyć - rzekł w odrętwieniu.

- A więc nie jesteś szczęśliwy? Och, tak się bałam, że nie będziesz się cieszył, och, Perry, tak mi przykro...

- Nie! Mój Boże, nie! Nie mów tak... to najbardziej niewiarygodna, naj... och, kochanie, Maggy, nawet nie wiesz, jak bardzo zawsze pragnąłem dziecka. Porzuciłem nadzieję tak dawno temu... to najwspanialsza wiadomość... słodki Jezu, nawet nie potrafię ci powiedzieć... - łzy radości wypełniły mu oczy i spłynęły po policzkach. Gdy Maggy to ujrzała, na jej pobladłą twarz wróciło nieco koloru.

Całymi tygodniami Maggy miotła się między przerażeniem i uniesieniem, między dzikim podnieceniem i milionem obaw. Czyż jednak nie ma być jego żoną? Zaczęła się zastanawiać, czy nie jest w ciąży dopiero wtedy, gdy Perry wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Jakoś nie miała odwagi mu o tym napisać. A co, jeśli to prawda? A jeśli nie? Zwlekąca z wizytą u lekarza do ostatnich tygodni, jak gdyby brak pewności mógł zlikwidować cały problem. Jednak teraz, o ile potrafiła ocenić razem z lekarzem, była w trzecim miesiącu ciąży.

- Dziękuj niebiosom, że nie stało się to wcześniej - powiedziała Paula, gdy usłyszała wiadomość. - Gdyby Mistral, Boże broń, obdarzył cię dzieckiem, moja droga, poradziłabym ci, żebyś się go pozbyła, a nie myśl, że nie znam z tuzina takich lekarzy, którzy by się tym zajęli. Ale Perry to mężczyzna, któremu można zaufać, uczciwy, dobry człowiek, jeśli w ogóle takiego poznałam. Owszem, ta sprawa z rozwodem jest niewygodna, ale wszystko bez wątpienia prędzej czy później się ułoży - Amerykanie rozwodzą się na prawo i lewo, dniem i nocą, o ile się na tym znam. A potem, pomyśl, Maggy, dobry mąż i dziecko, ach... dziecko to jedyna

dobra rzecz, jakiej mi brakowało w życiu, jedyna rzecz, jakiej żałuję. Ale ty, moja mała, ty będziesz miała wszystko - i w jakim stylu! Muszę przyznać, że ci zazdroszczę.

Maggy kurczowo trzymała się słów Pauli pragnąc, by się sprawdziły. Teraz złożyła głowę na ramieniu Perry'ego.

- Obejmij mnie, obejmij, nawet nie wiesz, jak bardzo cię potrzebowałam.

- Dopiero gdy szofer wprowadził wielkiego voisina spokojnie na drogę do Paryża, zdobyła się na pozornie lekko zadane pytanie:

- I co się stało z twoją żoną?

- Wszystko będzie w doskonałym porządku, kochanie - odpowiedział natychmiast. - To tylko kwestia czasu, to nasz jedyny problem.

- Przypuszczam, że nie można przekonać Watykanu, żeby się pośpieszyć? Może jakaś drobna zachęta?

- Pytasz, czy dostanę rozwód jeszcze przed narodzinami dziecka?

- Chyba... miałam na to nadzieję - przyznała.

Zawahał się. - Obawiam się, że to będzie niemożliwe. Ale, Maggy nie ma żadnego, absolutnie żadnego powodu do zmartwienia - przysięgam, obiecuję. Zanim nasze dziecko dorośnie na tyle, żeby wiedzieć, jaka w tym różnica, będzie to zamierzchła historia - będziemy jeszcze jednym starym małżeństwem. Najważniejsze jest to, żeby się tobą zaopiekować, żeby nic nie poszło źle.

- Źle?

- Maggy, ja tak bardzo chcę tego dziecka.

* * *

W maju 1928 roku urodziła się Theodora Lunel. Imię to oznacza po

grecku „Dar Boga” i oboje uznali je za doskonałe. Od pierwszego swego dnia na świecie była mądrym dzieckiem, dzieckiem rzadko płaczącym, dobrze jedzącym, śpiącym z przyjemnością i głęboko i budzącym się bez chwili kapryśnienia, i była niezwykle piękna. Ludzie, którzy uważali, że wszystkie niemowlęta są piękne, powinni tylko przejść się po oddziale położniczym w szpitalu i przekonać się, że choć wszystkie noworodki mogą być urocze w swej maleńkości i bezradności, prawie żadne nie jest piękne. Teddy, której rysy już ułożyły się w klasyczny wzór doskonałości, której jasnorude włoski kręciły się zachwycająco, stanowiła obiekt podziwu wszystkich pielęgniarek.

Perry Kilkullen czuł się cudownie usprawiedliwiony. Ta niezaprzeczalna, atawistyczna potrzeba przedłużenia własnej egzystencji, którą tłumił tak długo, wybuchła z siłą tak wielką, jak żadne znane mu uczucie sprzed poznania Maggy. Głęboko ludzka magia dziecka, jego dziecka, pochłonęła go tak całkowicie, że Maggy, przykuta do łóżka na dwa tygodnie, co uważano za konieczność dla młodej matki, czuła się prawie zazdrosna, a potem wstydziła się sama za siebie, gdy uświadomiła sobie źródło swej irytacji.

Najbardziej lubiła chwile w środku nocy, kiedy zostawiano ją samą, by przez dwadzieścia minut karmiła małą.

- Ty bękarcie - przemawiała do dziecka cichym, przepelnionym miłością szeptem - ty śliczny bękarcie, jak możesz wyglądać na tak zamyśloną? Masz taką godność, taki wyraz medytacji na swojej twarzyćce gdy wysysasz moją pierś, że można by pomyśleć, że jesteś dziedziczką tronu. Ach, ale ty traktujesz siebie bardzo poważnie, prawda? Ani jednej myśli nie poświęcasz biednej, starej matce. Jesteś bękartem, i

córką bękarta - ty mały podwójny bękarcie - powinnaś zwracać na mnie większą uwagę. Zobacz tylko, ile kłopotu sprawiło sprowadzenie cię na ten świat. Żądam trochę szacunku. Ale co ciebie to obchodzi? Ja nie miałam matki, która by mnie wykarmiła, a jednak przeżyłam. Pod każdym względem masz więcej szczęścia, ale... mimo wszystko bękart.

Gdy Maggy i Perry byli razem, nigdy nie rozmawiali o tym, że dziecko nosi nazwisko Maggy. Wszystko to, jak stale zapewniał ją Perry, zostanie zmienione tuż po ślubie. Jednak dziwnie nękało to Maggy. Od czasu, gdy na zawsze zostawiła za sobą Tours i wszystkich, którzy znali jej historię, nieczęsto myślała o swym nieślubnym pochodzeniu, ale urodzenie dziecka przypomniało jej o nim, jakby ciągle znajdowała się na szkolnym dziedzińcu i biła się z każdym, kto się z niej naigrawał z taką zajadłością, że nawet najsilniejsi nauczyli się jej nie zaczepiać. Wydawało się jej, że jeśli będzie nazywała Teddy bękartem, nie będzie tego robił nikt inny... likwidowała truciznę, zanim mogła się dostać do krwiobiegu niemowlęcia.

Jedyną osobą, przed którą odkrywała swe obawy, była Paula. Wkrótce po przywiezieniu dziecka do domu, Paula, która często odwiedzała ją w szpitalu, przyszła na herbatę i porządnie zbesztła Maggy.

- Jak na Francuzkę, jesteś zupełnie głupia, moja droga, martwiąc się o coś, co z całą pewnością zostanie uregulowane prawnie. Uregulowane, mówię ci! My, Francuzi, mamy narodowy talent do regulowania. Rozejrzyj się wokół - co mogłoby być solidniejsze i bardziej luksusowe, lepiej zorganizowane, bardziej *comme il faut* pod każdym względem niż to, czym dysponujesz? Ja w każdym razie nie potrafię znaleźć najmniejszej skazy - od angielskiej niańki małej Theodory, Butterfield, do tych wspaniałych pereł, które nosisz na szyi z taką swobodą. Rozejrzyj się,

Maggy. Jesteś otoczona wszystkim, czego mogłaby zapragnąć kobieta, by czuć się bezpiecznie, wszelkimi dowodami, że Perry chce cię uczynić swoją żoną. Powinnaś się wstydzić pomyśleć słowo „bękart” o tym pięknym niemowlęciu. Wszystkie szczegóły prawne zostaną we właściwym czasie załatwione w mgnieniu oka. Jesteś nerwowa przez to swoje nieszczęsne dzieciństwo, to wszystko. - Sięgnęła po kolejnego miniaturowego czekoladowego ptysia. - Przecież nawet masz specjalnego, niezrównanego kucharza do ciast we własnej kuchni, ty niewdzięczna dziewczyno.

- Ależ z ciebie materialistka, Paula - zaprotestowała ze śmiechem Maggy.

- Oczywiście. I co w tym złego? No dobrze, gdzie chowasz to rozkoszne *infant*? Chcę jeden mały kąsek. Chociaż tyle mi się od ciebie należy.

Teddy urodziła się w znakomitym roku, w roku podpisania w Paryżu przez piętnaście państw antywojennego paktu Branda-Kellogga, który na zawsze wyjął wojnę spod prawa. Sensacją dorocznej wystawy malarstwa w 1928 roku był naturalnej wielkości akt Josephiny Baker. Publiczność francuska tłumnie chodziła na filmy z Mary Pickford, Charlie Chaplinem i Głorią Swanson, dom Hermes stworzył pierwszą wygodną torebkę dla kobiet, a Coco Chanel została kochanką księcia Westminsteru, najbogatszego człowieka w Anglii. Jean Patou, który wpadł na pomysł sprowadzenia ładnych młodych Amerykanek do prezentowania jego strojów, odniósł wielki sukces rozwijając krój ukośny, a kolorem najelegantszych kobiet został nowy neutralny kolor zwany „szażowym”.

Był to tak łagodny, owocny rok, że Maggy zapomniała o swych

niepokojach i spokojnie pogrążyła się w absorbujące i wesołe życie rozpieszczanej młodej matki. Wydawało się, że wydarzenia wielkiego świata jej nie dotyczą. Perry czytał jej głośno gazety, gdy leżała obserwując, jak Teddy dokonuje niewiarygodnego wyczynu siadania, a ona odpowiadała jakimś nieokreślonym dźwiękiem na fakt, że jakichś dwóch Amerykanów objechało świat parowcem i samolotem w rekordowym czasie dwudziestu trzech dni piętnastu godzin dwudziestu jeden minut i trzech sekund. Słuchając, jak Maggy śpiewa przy karmieniu dziecka w wolny dzień niańki, Perry stwierdził, że najwyraźniej porzuciła zainteresowanie szybkim rozwodem. Maggy mogła spokojnie na niego czekać, przekonana, że w Watykanie tryby kręcą się tajemniczo, lecz pewnie, lecz Perry nie łudził się na tyle, by dzielić z nią optymizm, za który był odpowiedzialny.

Rozwód był pierwszą jego myślą, gdy budził się co ranka i każdego dnia postanawiał podjąć jakieś kroki, lecz potem w ciągu dnia przypominał sobie nieugiętą odmowę, jaką Mary Jane odpowiedziała na jego propozycję, i dawał się pochłonać bezruchowi, ponieważ prowadził najszcześniejsze życie, na jakie mógłby mieć nadzieję mężczyzna.

Minęły pierwsze urodziny Teddy, a on nadal nic nie robił, pogrążony w transie spokoju. W lecie 1929 roku Perry i Maggy zabrali dziecko, niańkę i osobistą pokojówkę Maggy na sześć tygodni do niewielkiego nadmorskiego hotelu w Concarneau, gdzie według powszechnej opinii chłodne powietrze Bretanii tak dobrze robiło rosnącym dzieciom. Teddy zaczęła poruszać się o własnych siłach, i to nie chodząc na chwiejnych nóżkach, ale szybko biegając i pozostając w cudowny sposób wyprostowana dopóki nie osiągnęła celu rozkosznego ruchu.

Gdy pewnego dnia Perry potoczył ku niej piłkę na plaży, zauważył czteroosobową grupę siedzącą opodal na kocu, pod dużym parasolem. Rzucił okiem w ich kierunku, a oni w tej samej chwili odwrócili wzrok. Gdy Teddy podbiegła do niego z piłką i padła mu na kolana z roześmianym okrzykiem „Tata, tata!”, z serca odpłynęła mu krew. Na kocu siedziało dwóch jego współników z żonami. Znów na nich spojrzał i zauważył, że zręcznie się przesiedli, tak by nikt nie siedział przodem do niego. Mimo ich taktownych pleców Perry wiedział, że będą mogli myśleć jedynie o tym, że widzieli go z dzieckiem, i że gdy tylko zejną z plaży, będą rozmawiać jedynie o Perrym Kilkullenie i jego córce z nieprawego łóża.

Podniósł Teddy i zszedł z plaży trzymając ją w tak mocnym uścisku, że zaczęła się wiercić. Z goryczą, bezlitośnie zarzucił sobie tchórzostwo. Och, kupił sobie przecież szczęście na prawie dwa lata za cenę kłamania Maggy każdej minuty każdego dnia, chociaż ona o tym nie wiedziała. Tak, chciała z nim żyć, zanim jeszcze powstała kwestia małżeństwa. Lecz przypominanie sobie o tym pomagało mu poczuć się mniej podle. Maggy wykorzystała swe prawo wyboru. Ale jakie prawa miała Teddy? Jaka przyszłość? Jakimże jest ojcem dla swego dziecka, swego jedyne go dziecka, dziecka swego serca?

* * *

Przed powrotem do walki z Mary Jane w Nowym Jorku Perry zasięgnął porady prawnika *maître* Jacques Hulota. Jeśli istniała choćby najmniejsza szansa wykorzystania jakiegoś prawnego kruczka zostając obywatelem francuskim, był gotów zmienić narodowość. Hulot oznajmił z ważną miną, że nie może mu pomóc, że nie może dla jego wygody

naginać francuskiego prawa. Gdy Perry wstawał, żeby wyjść, prawnik pochylił się do przodu nad wielkim biurkiem.

- Chwileczkę, monsieur Kilkullen - rzekł unosząc rozkazująco rękę.

Przez dwa lata nadzorował płacenie ogromnych sum pieniędzy, które ten bogaty i uparty Amerykanin wydawał tak łatwo na utrzymanie z pewnością soczystej i utalentowanej kochanki. Nie podobało mu się, że używa się go do ułatwiania prywatnego życia temu człowiekowi, tak aby nikt z jego amerykańskiego świata nie wiedział, jak i z kim żyje. Jak Kilkullen, którego stać na trwonienie bez zastanowienia tak wielkich sum, śmie zastanawiać się nad przyjęciem obywatelstwa francuskiego? Dlaczego nie skorzysta z własnego Reno w Newadzie?

- Obaj jesteśmy ludźmi światowymi, nieprawda? - Hulot powiedział z zadowoleniem. - Nie trzeba tego przecież uważać za tragedię. Pewnie się panu wydaje, że wszystko sprzysięgło się przeciwko panu, by przeciwstawić się jego pragnieniu poślubienia mademoiselle Lunel. Czy jednak za dziesięć lat, a może nawet za pięć, nie będzie pan wdzięczny Kościołowi i państwu, które są mądrzejsze, niż panu się wydaje, za powstrzymanie pana od ucieczki w ten impulsywny związek? Gdy nadejdzie dzień, w którym znajdzie pan nową, inną... przyjaciółkę... czy nie będzie pan wdzięczny za te ograniczenia... ? - Przerwał, bo Perry obszedł biurko i za klapy marynarki wyciągnął go z fotela.

- Proszę nigdy, nigdy więcej nie mówić o mademoiselle Lunel! - Puścił prawnika. Dopóki nie wynajmie innego, będzie musiał korzystać z usług tego człowieka, niech go diabli. Hulot miał w swoich rękach wszystkie finansowe sprawy domu. Perry Kilkullen wybiegł z pokoju i z wściekłością ruszył ulicami Paryża. Zza każdego rogu wypływały nęcąco

wonne podmuchy powietrza. Pograżony w gniewnej rozpacz Perry pytał sam siebie, od kiedy to Francuzi o podłych umysłach i twardych sercach dotrzymują wszystkich obietnic, które kryją się w zgubnym pięknie ich nieba i swawolnym odurzeniu ich miastem? Jeśli kobieta i mężczyzna, którzy nie powinni się zakochać, zakochają się, do czego zachęcało ich wszystko, co francuskie, to niech Bóg ich ma w swojej opiece.

* * *

Najszybciej jak tylko można było po rozmowie z Hulotem, Perry jeszcze raz wyjechał do Nowego Jorku, zdecydowany wydrzeć od Mary Jane zgodę na rozwód. Zanim zgodziła się z nim spotkać, zrobiła się połowa października. Była chudsza niż kiedykolwiek i o wiele starsza niż usprawiedliwiał to upływ dwóch lat. Pomyślał ze zdumieniem, że jest siwiejącą kobietą w średnim wieku o przyćmionej urodzie, a ona patrzyła na niego bladoniebieskimi oczyma i zauważyła z przeszywającą goryczą, że wygląda zdecydowanie młodo. Widziała w nim zbyt wiele człowieka, którego poślubiła. Czas obszedł się z nim łaskawie. To nieuczciwe, och, nieuczciwe.

- Mary Jane, mam córkę.

- Chyba nie sądzisz, że to dla mnie nowina, Perry? Na całym świecie nie istnieje przyjaciółka, której nie udało by się przypadkiem zdradzić tej informacji. Czy spodziewasz się, że ci pogratuluję?

- Czy jej istnienie nie zmienia obrazu, na litość boską? To już nie jest kwestia twoich przekonań religijnych czy mojej ekskomuniki, tylko przyszłości mojego dziecka. Jeśli chcę zaryzykować ogień piekielny, wieczne potępienie, każdą i wszystkie kary, jakie obiecuje mi Kościół, to dlaczego ty nie chcesz się zgodzić?

- Nie czuję żadnej odpowiedzialności za jej przyszłość. Została poczęta i urodziła się w grzechu, więc dla mnie jest niczym. Lecz prawo boskie jest wyraźne i ja przynajmniej zamierzam go przestrzegać.

- Mary Jane, nie wierzę, że naprawdę tak myślisz. Nie jesteś twardą kobietą...

- Skąd wiesz? Skąd możesz wiedzieć, jaką kobietą się stałam? Ile lat temu odwróciłeś się ode mnie? Odejdź, Perry. Ty i twój bękart napawają mnie obrzydzeniem!

Zostawiła Perry'ego samego w bibliotece. Wyglądał na nieprzyjazny bruk Park Avenue dotykając trzymany w kieszeni fotografii Teddy, które przywiózł, aby zmiękczyć nimi serce tej kobiety, i które, z czego zdał sobie teraz sprawę, tylko by ją bardziej rozjątrzyły.

Cieszył się, że w końcu Mary Jane się rozzłościła. Teraz, gdy dała upust swym prawdziwym uczuciom, gdy porzuciła pozę świętej myślącej jedynie o jego zbawieniu, z pewnością znajdą jakieś wyjście. Wróci za tydzień, za dwa, będzie wracał co tydzień przez rok, jeśli będzie trzeba. Najważniejsze to się nie poddawać. W końcu ulegnie. Wrócił do Yale Club i spróbował zneutralizować zawód na korcie. Albo to, albo głośne wycie.

* * *

W dwa tygodnie później, 29 października 1929 roku, załamała się giełda. „Koniunktura Coolidge'a” zniknęła, gdy przy systematycznie spadających cenach sprzedano niemal siedemnaście milionów akcji. Przez kilka następnych gorączkowych tygodni Perry starał się zażegnać panikę inwestorów, których pieniędzmi obracał on i jego wspólnicy. Nie widział żadnej szansy na wyjechanie z Nowego Jorku w najbliższej przyszłości,

więc napisał do Maggy, żeby razem z Teddy przyjechała z Paryża do Stanów Zjednoczonych.

- Chwała Bogu, że nauczyłam się angielskiego - powiedziała Maggy do Pauli nadzorując pakowanie jednego z sześciu kufrów.

- Czy te amerykańskie kłopoty finansowe wpłyną na fortunę Perry'ego? - spytała Paula z troską. W ciągu kilku tygodni liczba amerykańskich gości szastających pieniędzmi w jej restauracji spadła prawie do zera.

- Nie wiem, ale chyba nie, on jest przecież taki zaradny. Nigdy nie rozmawiałam z nim o pieniądzach. To jak czarodziejski dywan - często nawet zapominam zapytać o cenę, gdy coś kupuję.

- Nie! - Paula była przerażona. Być utrzymywaną w książęcym stylu to jedno, ale nie pytać o cenę jest niefrancuskie.

- Ależ tak. - Maggy zachichotała. - Jak jedna z tych amerykańskich turystek. Tak się cieszę, że w końcu cię zaszokowałam. Wiedziałam, że musi być coś takiego.

Paula pociągnęła lekceważąco nosem. Tak naprawdę nie wierzyła Maggy... to zbyt duża przesada, żeby mogło być prawdą, pomyślała, patrząc na Maggy trzymającą naręczę strojów, rzekę przejrzystego, przelewającego się przez jej palce bogactwa, jedwabów, aksamitów i metalicznego lśnienia szeleszczących i błyszczących sukien powoli spływających z jej rąk.

Maggy rzuciła ubrania na łóżko, pobiegła do Pauli i uścisnęła ją.

- Może pojechałabyś ze mną? Zapraszam cię. - nigdy nie wyjeżdżałaś z Paryża, kochana myszko kanalizacyjna.

- Dziękuję, ale nie. Jestem za stara, żeby się gdzieś ruszać. Dlaczego

miałabym podróżować, żeby zobaczyć drapacze chmur, skoro udało mi się odeprzeć pokusę oglądania Mont St. Michel? Paryż zawsze będzie mi wystarczał. Ale kiedy wracasz?

- Nie jestem pewna - jak tylko wszystko się uspokoi.

- Mam nadzieję, że nastąpi to szybko - mruknęła Paula. - Te bzdury na giełdzie nie są dobre dla interesów.

* * *

W dziewięć dni potem Maggy wysiadła na brzeg w Nowym Jorku. Zeszła po trapie mocno trzymając Teddy za rękę, usiłując opanować własne podniecenie i radosne oczekiwanie. Za nią szła niania Butterfield, miła Angielka, nadal opiekująca się Teddy. Podróż upłynęła spokojnie i bez wydarzeń, statek był zatłoczony wyciszonymi, zmartwionymi pasażerami, z których wielu żyło poza granicami kraju, a teraz wracało, by sprawdzić, co się stało z inwestycjami, które umożliwiały im życie w Europie. Perry miał je spotkać na molo i od razu zawieźć do wynajętego umeblowanego mieszkania.

Maggy stała pod ogromną literą „L” w długim, ciemnym baraku celnym, rozglądając się szeroko otwartymi, uśmiechniętymi oczyma. Tak starannie się ubrała na to spotkanie. Skromna woalka zielonego, satynowego kapelusika dosięgała akurat czubka jej nosa. Szczupły, zielony płaszcz z sobolowym kołnierzem miał krótką pelerynę, ozdobioną szerokim pasem z ciemnych soboli - pomyślała, że nic nie mogło być bardziej romantyczne, ale mimowolnie drżała na nowojorskim wietrze, chłodnym, wirującym, brudnym wietrze o tak nieznanym zapachu. Po chwili uśmiech znikł z jej twarzy, gdy gorliwy celnik kazał jej otworzyć każdy kufer i walizkę. Teddy popłakiwała, a niańka Butterfield chciała ją

jak najszybciej nakarmić. Gdzie jest Perry? Dlaczego go nie ma, żeby wziąć wszystko w swe ręce? Wszędzie wokół ludzie wydawali polecenia bagażowym, którzy umieszczali właśnie walizy na wózkach. Zanim Maggy skończyła odprawę, ponury barak prawie opustoszał. Trzech bagażowych załadowało jej rzeczy, a jeden z nich zapytał:

- Dokąd, proszę pani? Czeka na panią samochód czy potrzebuje pani taksówki? Trzeba co najmniej dwóch, żeby zabrać to wszystko.

- Muszę zadzwonić - powiedziała Maggy z roztargnieniem, rozglądając się wokół za wysoką postacią Perry'ego.

- Telefon jest tam.

Znalazła się w budce nim zdała sobie sprawę, że nie ma w torebce amerykańskich pieniędzy. Jak Perry może się tak spóźnić? To niewybaczalne. Maggy wróciła do bagażowego.

- Czy mógłby mi pan pożyczyć drobne na telefon? I proszę mi także pokazać, jak on działa.

- Jasne, proszę pani. Pierwsza wizyta, co? Proszę za mną.

- Włożył piątkę do szczeliny i podał telefonistce numer, jaki podała mu Maggy, numer do biura Perry'ego na Wall Street. Potem zamknął drzwi budki i czekał na zewnątrz, zastanawiając się, co dostanie jako napiwek.

- Czy mogę mówić z panem Perrym Kilkullenem?

- Och. Połączę panią z jego sekretarką. Kogo mam zapowiedzieć?

- Pannę Lunel.

- Chwileczkę.

Gdy odezwał się drugi kobiecy głos, Maggy powiedziała niecierpliwie: - Mówi panna Lunel. Czy może mi pani powiedzieć, gdzie

jest pan Kilkullen? Miał po mnie wyjechać kilka godzin temu.

- Czy jest pani klientką pana Kilkullena? - spytała kobieta z wyraźną niepewnością i ostrożnością w głosie.

- Oczywiście, że nie - odparła Maggy z rosnącym gniewem.

- Czy jest pani jego przyjaciółką, panno Lunel?

- Tak, oczywiście - warknęła Maggy. - Czy mogę z nim porozmawiać? To absurdalne!

- Pani nie wie - rzekł głos bez wyrazu. Nie było to pytanie, ale i nie stwierdzenie.

- Nie wiem... o czym?

- Przykro mi, że to ja... to bardzo... wszyscy są bardzo zmartwieni... pan Kilkullen miał atak serca na korcie cztery dni temu. Obawiam się... nie przeżył.

- Pan Perry Kilkullen? - Maggy powiedziała mechanicznie. To musi być jeden z jego krewnych, jakiś inny Kilkullen. Mikrofon telefonu ział na nią otworem jak ważny narząd przecięty na pół. Zaraz wytryśnie z niego krew.

- Tak. Tak mi przykro. Pogrzeb był wczoraj, wszystko było w gazetach. Czy nie ma tu u nas nikogo, z kim chciałaby pani porozmawiać? Czy mogę coś dla pani zrobić?

- Nie, nie, nie.

Gdy Maggy znów mogła logicznie myśleć, zapytała siebie, jak przeżyłaby następne minuty, godziny, dni, gdyby nie niańka Butterfield? Rozsądna Angielka wzięła wszystko w swoje ręce, rozwiązując wszystkie bieżące problemy, podczas gdy Maggy, oniemiała, otepiała i niemal sparaliżowana pełną niedowierzania rozpaczą, cierpiała przeszywający ból rozdzierający jej ciało i kości jak metalowe szczęki pułapki zastawionej na niczego nie spodziewające się zwierzę.

Niańka Butterfield odszukała płatnika ze statku i wymieniła franki Maggy na dolary, poprosiła go o polecenie jakiegoś hotelu, umieściła wszystkie trzy w dwóch sąsiednich pokojach w hotelu Dorset i z pomocą hotelowego lekarza położyła Maggy do łóżka.

Przez kilka następnych dni traktowała zdruzgotaną kobietę, jakby była w wieku Teddy, namawiając ją do zjedzenia paru kęsów i siedząc przy niej, dopóki nie zasnęła po zażyciu środków uspokajających.

Gdy Maggy budziła się rano, budziła się do przeszywającego bólu, tak brutalnego, że nie potrafiła znieść leżenia w pościeli z powodu atakujących ją tam myśli. Trzęsąc się z zimna bez względu na to, jak ciepły był jej szlafrok, stała przed lustrem w łazience obawiając się spojrzeć na swoje odbicie, ze łzami spływającymi do umywalki przez długą chwilę zanim udało się jej zmusić swe ciało do wykonania niezbędnych ruchów przy myciu zębów i twarzy. Każdy etap toalety był jak lodowy szczyt, na który musiała wciągnąć ciężar swego obolałego jestestwa.

Ubranie się było niemożliwe. Maggy spędziła cały tydzień w nocnej koszuli i szlafroku, chodząc po przegrzanym pokoju i obsesyjnie wpatrując

się w ściany, jakby ich obojętna kremowa powierzchnia mogła przesłonić to, czego nie można znieść. Całymi godzinami Maggy chodziła tam i z powrotem przy starannie zaciągniętych zasłonach i lampach palących się cały dzień, drżąc, ze zgarbionymi plecami, jakby mogła umrzeć od cierpianych katuszy, gdyby odważyła się przerwać nieustający ruch. Bała się położyć do łóżka, dopóki nie padała na nie z wyczerpania.

Niańka przynosiła Teddy, by Maggy przez minutę tuliła ją w ramionach dopiero wtedy, gdy zupełnie opadała z sił. Maggy trzymała dziecko pogrążona w pełnej znużenia pustce, aż Teddy, pełna życia i szybko się nudząca, wyslizgiwała się z jej objęć i odbiegała do zabawy. Wolno pracujący mózg Maggy podsuwał jej myśl, że jej dziecko to jedyna ciepła rzecz na całym świecie. Ręce miała zlodowaciałe nawet wtedy, gdy wsuwała je dla rozgrzania pod pachy. Było jej zimno w stopy, chociaż chodziła w przytulnych pantoflach wyłożonych futrem. Była jak ktoś, kto śmiało i zręcznie jeździł na łyżwach po skąpanym w słońcu srebrzystym jeziorze, aż w jednej chwili wpadł przez lód w śmiertelny chłód arktycznej wody. Utonęła... utonęła. Ale Teddy była ciepła. Nie może utonąć, nie wolno jej utonąć, bo Teddy jest jeszcze ciepła.

- Czy mamy wrócić do Paryża, madame? - spytała niańka Butterfield wiedząc, że Maggy jest gotowa stawić czoła przyszłości.

- Ile mi zostało pieniędzy?

- Około trzystu dolarów, madame.

- Muszę poprosić telegraficznie *maître* Hulota o więcej - to nie wystarczy na bilety - powiedziała Maggy bezbarwnym głosem.

Nazajutrz przyszła odpowiedź.

WYRAZY GŁĘBOKIEGO WSPÓŁCZUCIA Z POWODU

STRATY. PAN PERRY KILKULLEN NIE ZOSTAWIŁ ŻADNYCH INSTRUKCJI CO DO WYPŁATY PIENIĘDZY POZA MIESIĘCZNYM OPŁACANIEM RACHUNKÓW DOMOWYCH I OSOBISTYCH. WSZYSTKIE ZOSTAŁY UREGULOWANE. NIE ZOSTANĄ WYPŁACONE ŻADNE DALSZE SUMY. WSZYSTKIE SPRAWY NIERUCHOMOŚCI PRZEKAZAŁEM JEGO NOWOJORSKIEMU PRAWNIKOWI PANU LOUISOWI FAIRCHILDOWI, BROADWAY 45, RADZĘ SIĘ Z NIM SKONTAKTOWAĆ CO DO DALSZEJ POMOCY. MAÎTRE JACQUES HULOT

- Proszę na to spojrzeć - rzekła Maggy podając telegram niańce Butterfield, zbyt oszołomiona, by się oburzyć.

- Umywa ręce - skwitowała Angielka bez ogródek.

- Chyba powinnam pójść do pana Fairchilda - powiedziała apatycznie.

- Owszem, i to szybko... - spojrzała na Maggy, śmiertelnie bladą, stojącą bezradnie, z oczyma podrażnionymi i w czerwonych obwódkach, z twarzą spuchniętą od nie kończących się, daremnych łez. - Proszę do niego napisać i umówić się. I, madame, doprawdy powinna się pani dzisiaj ubrać i pójść z nami na spacer. W parku jest bardzo przyjemnie, a odmiana dobrze pani robi. Mają tu śliczną, rześką pogodę.

- Och, nie, nianiu, nie mogłabym.

- Przeciwnie, musi pani - rzekła z łagodną stanowczością, której nigdy nie przeciwstawiało się żadne dziecko, a tylko nieliczni dorośli.

* * *

W trzy dni później Maggy stanęła przed Louistem Fairchildem w jego biurze. Codziennie spędzała całe godziny w parku z Teddy, a tego ranka

uczesala się w salonie Richarda Błocka, gdzie fryzjerowi udało się ułożyć jej włosy niemal tak dobrze, jak zrobił to Antoine w innym życiu. Maggy umalowała sobie na to spotkanie usta najodważniejszą czerwoną szminką.

- Dziękuję za znalezienie dla mnie czasu - powiedziała do zmartwionego, siwowłosego mężczyzny.

- Nie ma za co. Muszę powiedzieć, że zdumiałem się, otrzymawszy list pani...

- Ale wie pan, kim jestem? - spytała z niepokojem.

- Oczywiście, ale biedny Perry nie powiedział mi, że przyjeżdża pani do Nowego Jorku. Chciałbym powiedzieć, że jest mi strasznie, strasznie przykro. Był bardzo dobrym przyjacielem, serdecznym przyjacielem. Nadal nie potrafię w to uwierzyć... taki młody mężczyzna i bez żadnych poprzednich...

- Panie Fairchild - powiedziała Maggy błagalnie - proszę przestać. Nie potrafię o tym mówić. Przyszłam do pana po radę. Czy mógłby pan przeczytać ten telegram i powiedzieć mi, co mam zrobić?

Przyglądał się telegramowi uważnie przez kilka drugich minut, a potem potrząsnął głową. - Mówiłem Perry'emu, żeby sporządził testament! Dziesiątki razy, ale jakoś nigdy się do tego nie zabrał. Jak większość mężczyzn w jego wieku myślał, że ma mnóstwo czasu.

- Nie rozumiem... proszę mi tylko powiedzieć, jaka jest moja sytuacja.

- Sytuacja? Obawiam się, że... żadna.

- Ale on się rozwodził! Mieliśmy się pobrać! - wykrzyknęła.

- Umarł jako żonaty mężczyzna, panno Lunel. Zgodnie z prawem nie może pani wysuwać żadnych roszczeń. Niestety, nic nie istnieje na

papierze.

- Ale Teddy, nasza córka! Co z nią będzie? Czy ona nie ma żadnych praw? - głos Maggy przepełniało niedowierzanie.

- Przykro mi, ale nie. - Louis Fairchild pomyślał, że gdyby Mary Jane Kilkullen nie była tak rozgoryczona, może mógłby namówić ją, by dała coś dziecku, cokolwiek. Ale ona upierała się, że jej mąż umarł w stanie grzechu śmiertelnego właśnie z powodu tego bękarta, tej Francuzki i bękarta.

- Ale obiecał... - Maggy przerwała. Od chwili przybycia do Nowego Jorku miała poczucie tylko straty, bezgranicznej straty. Teraz za gardło chwyciła ją wściekłość. Zobaczyła siebie tak, jak musi wyglądać siedząc i jęcząc „obiecał”, jak miliony innych kobiet od zarania dziejów. Głupie kobiety, kobiety jak dzieci, kobiety - ofiary, głupie, niewybaczalnie, zbrodniczo głupie kobiety, które wierzyły swoim mężczyznom, tym lekkomyślnym mężczyznom, biorącym co chcieli, tym kochającym mężczyznom, którym nie udało się zapewnić w najprostszym zakresie bytu kobietom, które powinni ochraniać. Mężczyznom, którzy kłamali, kłamali, kłamali. Julien Mistral i Perry Kilkullen. Wyprostowała się w fotelu i spojrzała na przygnębionego prawnika.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, panie Fairchild, co właściwie jest moją własnością?

- Pani rzeczy osobiste, takie jak biżuteria, futra i wszystkie prezenty, jakie mógł pani dać pan Kilkullen, może samochód?

- Nasze mieszkanie w Paryżu?

- Zostanie sprzedane z całą zawartością przed ustaleniem masy spadkowej.

- Sprzedane - rzekła Maggy głosem spokojnym z furii. - Mam nadzieję, że pamiętano o zapłaceniu służbie.

- *Maître* Hulot jest ze mną w kontakcie w tej sprawie.

- Ufam, że otrzymają jakąś rekompensatę za nagłe wyrzucenie z pracy? Na szczęście dla siebie stracili tylko posady. *Tiens*, powinnam była brać lekcje robienia czegoś pożytecznego.

- Co zamierza pani zrobić? - spytał Louis Fairchild. Tak naprawdę to nie chciał wiedzieć, nie chciał tu siedzieć i zastanawiać się nad przyszłością tej oszałamiającej, ale zupełnie pozbawionej środków do życia kobiety. Jednak zwyczajna przyzwoitość nakazywała, by zaoferował pomoc.

- Och, będę się musiała nad tym poważnie zastanowić. - Maggy otuliła się srebrnymi lisami i zaczęła wkładać długie, szare rękawiczki.

- Jeśli chciałaby pani jakiejś porady...

- Może mógłby mi pan dać nazwisko ucziwego jubilera. Myślę, że byłoby rozsądne pozbyć się niektórych mniejszych klejnotów, których nigdy jakoś nie mam czasu nosić - powiedziała Maggy tak niedbale, jak tylko potrafiła. Pod koniec tygodnia znów trzeba będzie zapłacić rachunek w hotelu.

Fairchild napisał na swojej wizytówce jakieś nazwisko.

- To jest gość, do którego zawsze chodzę przed urodzinami żony. Proszę mu powiedzieć, że jest pani moją znajomą. Może... - zawahał się, skrepowany chęcią zaproponowania pożyczki najbardziej godnej pożądania kobiecie, jaką widział w życiu - jeśli potrzebuje pani gotówki, chętnie służę...

- Dziękuję, to bardzo uprzejme z pańskiej strony, ale niekonieczne -

odparła Maggy z odruchową dumą. Jest parę rzeczy, których nie potrafi zrobić. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Louis Fairchild odprowadził ją do windy i wrócił zgnębiony za biurko. Co za piekielna sprawa. Przypuszczał, że wróci do Paryża i znajdzie sobie męża. Takie dziewczyny zawsze znajdują sobie mężów. A gdyby miał być ze sobą szczery, to tak naprawdę nie winił Kilkullena. Gdyby sam miał szansę z taką dziewczyną, też by jej nie przepuścił. Tylko, że miałby na tyle rozsądku, by sporządzić testament. Przynajmniej miał taką nadzieję. Przez taką dziewczynę można było zapomnieć o wielu koniecznych rzeczach.

* * *

Tego wieczora Maggy po raz pierwszy od przybycia do Stanów Zjednoczonych otworzyła szkatułkę z biżuterią. Ładne, błyszczące przedmioty wyglądały jak dawno zapomniane zabawki z dzieciństwa. Z rozmysłem ułożyła prawdziwe klejnoty na stosik. W drugim, o wiele większym, ułożyła ozdoby, które podobały jej się o wiele bardziej ze względu na ich pomysłowość: szpilki do wpinania w kłapy i naszyjniki od Chanel, która nakazywała: „Noś wszystko, co ci się podoba, o ile tylko wygląda jak śmieć”.

Pomyślała, że jednak powinno im to wystarczyć na wygodne życie przez długi, długi czas. Perry uwielbiał zabierać ją do jubilera bez najmniejszej przyczyny, gdy spacerowali w pobliżu Place Vendôme, i kazał jej coś sobie wybierać dla uczczenia czystej radości danej chwili. - Dla uczczenia czwartego ząbka Teddy - oznajmiał, lub - bo masz najbardziej różowe sutki w całym Paryżu.

Zdecydowanym ruchem wyjęła wszystkie prawdziwe klejnoty - z

wyjątkiem pereł (kobieta musi mieć perły) i ulubionej bransoletki - z aksamitnych pudełek i włożyła je do torebki. Nie mogła sobie pozwolić na sentymentalizm, a poza tym skończyła, nieodwołalnie skończyła z porywami duszy, z uczuciem, które prędzej czy później prowadziło do śmiertelnej słabości.

Maggy nie mogła sobie wybaczyć. Zrobiła z siebie *poire*, klasyczne francuskie pośmiewisko, głupią naiwną, cel niewybrednych żartów, osobę, która aż się prosi, by ją wykorzystać. Od rozmowy z Louistem Fairchildem Maggy czuła się, jakby nabrała mądrości i twardości, jakiej nabywa się przez stulecia. W głębi duszy wiedziała, że nigdy już nie uwierzy mężczyźnie i wiedza ta rozgrzewała ją, wzmacniała i dziwnie pobudzała. Nie było rzeczą przyjemną przekonać się w wieku dwudziestu dwóch lat, że nie można wierzyć żadnemu mężczyźnie, bez względu na to, czy szczerze kocha, czy nie. Była to jednak jasna świadomość bez możliwości znaków zapytania i wyjątków. Brudna, lodowata woda, w której się szamotała, cofnęła się, zostawiając ją na suchym lądzie, może jałowym i nieprzyjaznym, ale o tyle mniej przerażającym, że w końcu zrozumiała, że może polegać tylko na sobie. Znajdowała się już przedtem w takiej sytuacji i przeżyła... był to znany jej teren.

Maggy wyprostowała się na całą wysokość i surowo spojrzała na siebie w lustrze. Nie masz innej drogi jak prosto przed siebie, powiedziała sobie w duchu i energicznie zabrała się do planowania najlepszego stroju, w którym sprzeda biżuterię. Najpierw czarna, skromna sukienka od Vionneta. Na to czarny płaszcz od Schiaparellego, stanowiący kompletne zaprzeczenie minionego sezonu: dwurzędowy, z szerokimi, wywatowanymi ramionami, o linii drewnianego żołnierzyka. Wyglądał tak

wojskowo, jak chciała się czuć, surowo, dziarsko i przede wszystkim, był absolutnie nowy. Włoży do niego prosty, czarny, filcowy kapelusz o wyraźnej, kanciastej linii od Caroline Reboux. Czy wygląda na wdowę? Z pewnością taki efekt wywoływała ta cała czerń - lecz nie wyglądała jak żałosna wdowa, którą można wprowadzić w błąd.

Nazajutrz, odziana w swą wyzywającą zbroję, Maggy spokojnie wkroczyła do Tiffany'ego w poszukiwaniu sprzedawcy, którego nazwisko podał jej Louis Fairchild. Kiedy mu się przedstawiła, rozjaśnił twarz w uśmiechu.

- Mam trochę klejnotów, które już mi nie odpowiadają - rzekła Maggy swobodnie. - Pan Louis Fairchild powiedział, że mógłby mi pan pomóc ich się pozbyć.

Twarz sprzedawcy wydłużyła się.

- To znaczy odkupić je od pani?

- Nie zostały kupione tutaj - wykonano je w Paryżu.

- Ależ, madame, nigdy nie odkupujemy nawet naszej własnej biżuterii, takie są zasady działania naszej firmy.

- Czy inni amerykańscy jubilerzy mają takie same zasady? - spytała Maggy niedbale, pozwalając sobie na ton lekkiego zdumienia.

- O ile wiem, tak. Szczególnie w ostatnich czasach, madame. Jest tyle dam, które stwierdzają, że mają więcej biżuterii, niż potrzebują.

- Istotnie. Ach - cóż za - niedogodność. - Zawahała się, westchnęła i posłała mu błyskawiczne spojrzenie spod oka, wyraźnie konspiracyjne i figlarne.

Odchrząknął dyskretnie. - Proszę posłuchać, będzie miała pani więcej szczęścia w mniejszym sklepie. Ci drobni jubilerzy są bardziej

elastyczni. Muszą polegać sami na sobie, więc zawsze rozglądają się za dobrym nabytkiem.

- Czy może pan polecić mi któregoś z nich? - spytała Maggy z figlarną, wzruszającą nutą w głosie, która sprawiła, że sprzedawca zapragnął zabić dla niej jakiegoś smoka.

- Polecić? Nie, żałuję, ale nie mogę posunąć się tak daleko. Ale za rogiem, na Madison, dwie przecznice dalej, jest niewielki, przyjemny sklep - prowadzi go Harry C. Klein. Ale to tylko sugestia, pani rozumie, nie rekomendacja.

- Oczywiście, jestem panu wdzięczna. Jest pan bardzo uprzejmy.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jest pani od rana pierwszą osobą, z którą mogłem porozmawiać. Ale ta panika na Wall Street nie może trwać długo. Kiedy już wróci pani na rynek, proszę mnie odwiedzić. Firma Tiffany'ego będzie tu nadal. - Odprowadził Maggy wzrokiem pełnym tęsknego pożądania. Oddałby prawie wszystko, by zobaczyć na niej ten nowy naszyjnik z brylantami i rubinami oraz kolczyki do kompletu. I nic więcej, nie, nawet pantofli na wysokim obcasie.

* * *

Harry C. Klein miał zły poranek. Przyszła dawna klientka, żeby oprawił jej na nowo szafir z pierścionka, który sprzedał jej kilka lat temu. Uparła się, żeby „siedzieć przy kamieniu” podczas roboty, żeby nie można było go zamienić na inny, mniej wartościowy. Paranoja! Wszyscy wariowali: Prawie jej powiedział, żeby wyszła i znalazła sobie jubilera, któremu może zaufać, ale przy tak małym ruchu w interesie zgodził się na jej warunek. Chłopcy z pracowni będą wściekli. A teraz ta młoda kobieta właśnie wysypała mu na ladę garść błyskotek. Co ona sobie myśli, że jest

Świętym Mikołajem? Nikogo przy zdrowych zmysłach nie interesowało powiększanie inwentarza. Obrzucił taksującym okiem zapinki, kolczyki i bransoletki.

- Widzę, że z całą pewnością nie jest pani poszukiwaczką złota - rzekł wzdychając. - Fatalnie. To tylko *melée*.

- *Melée* - ależ po francusku oznacza to bójkę, walkę w tłumie - powiedziała ze zdumieniem.

- Dla jubilera oznacza to tylko dużo drobnych kamieni. - Odwrócił posepnie parę dużych zapinek gęsto wyłożonych brylancikami. - Widzi pani, żadnych dużych kamieni.

- Ale duże kamienie są nieciekawe! - zawołała Maggy. - Chciałam nosić tylko to, co zabawne, dowcipne - duże kamienie są dla starych księżnych do opery albo dla Dolly Sisters - dla mnie są za poważne.

- Duże kamienie nadają się do sprzedania - rzekł, kiwając jej pod nosem poważnie palcem.

- Nigdy nie myślałam o biżuterii jako lokacie kapitału - powiedziała cicho. Odrzuciła myśl o wesołych posiłkach w ogrodzie Ritza kończących się beztruskimi poszukiwaniami błyskotek na wystawie u jubilera. A więc nawet w tym była *poire* - Perry dałby jej wszystko, czego zapragnęła; całe akry tych grubych brylantowych bransoletek, którymi gardziła jako „paskami u munduru”.

- Ach, czy nie wie pani, że biżuteria stanowi lokatę jedynie wtedy, gdy planuje się ją mieć przez pięćdziesiąt lat? A nawet wtedy to tylko śmiecie. Zawsze można zaszyć ją pod podszewkę i uciec z kraju. Ale dokąd by się pani udała? Ja mówię o odsprzedaży, nie o lokacie. Mówię o uzyskaniu ceny podobnej do tej, za jaką się klejnoty kupiło. Odsprzedaż

oznacza duże kamienie, a nawet wtedy tylko te dobrej jakości, czyste. Lepszy dwukaratowy rubin z właściwym truskawkowym błyskiem niż pięciokaratowy, ale trochę mętny.

- Ale niech pan spojrzy na te wzory, na wykonanie! - wykrzyknęła Maggy z gniewem. Czy wszystkie jej skarby mogą być bezwartościowe? Ten człowiek chce ją chyba okraść.

- To nie ma znaczenia. Jeśli chce pani sprzedać *melée*, liczy się tylko waga kamieni i wartość metalu oprawy. Niech pani posłucha, mam na górze cały sejf luźnych kamieni, takich małych jak te, może nie tak ładnych, ale niezłych. Kupiłem je hurtowo. Mógłbym pani zaoferować znacznie mniej niż cenę hurtową, bo przy tych fikuśnych, zabawnych błyskotkach trzeba się sporo napracować, żeby wyjąć z nich kamienie. W każdym razie nie mogę ich kupić, bo mój sklep działa ściśle według zasad popytu i podaży, a od krachu popyt znikł. - Spojrzał na jej perły i skinął z żalem głową. - Kosztowały majątek, prawda? Założę się, że birmańskie? Potem Japończycy nauczyli się je hodować, a teraz... - Westchnął żałośnie na widok lśniących, niegdyś budzących pożądanie przedmiotów, których, co wiedziała nawet Maggy, nie można było sprzedać.

- A więc - westchnęła Maggy w odpowiedzi na jego nastrój i dotknęła swych ślicznych, zdewaluowanych marzeń - *Bobkes*... nic.

- *Bobkes*? - powiedział z zaskoczeniem. - Jesteś Żydówką?

- Ależ oczywiście. Czy to zmienia moje *melée* w wartościowy rubin?

- Niestety. Ale co taka piękna Żydówka robi bez swego podstawowego dużego diamentu? - Harry C. Klein zapytał surowo. Jak to się stało, że nie dostałaś przynajmniej dużego szafiru, pięknego rubinu? Sprytna to ty nie byłaś.

- Sprytna nie byłam - zgodziła się Maggy z naciskiem, mimowolnie uśmiechając się na jego oburzenie. Rozpięła rząd dużych, mosiężnych uchwyków do zasłon, których Schiaparelli używał zamiast guzików i wysunęła ręce z wąskich rękawów płaszcza. Sklepek pana Kleina był przegrzany, a przyszło jej do głowy, że w czarnej sukni wygląda nawet bardziej na wdowę niż w płaszczu. Może ten miły człowiek ma miękkie serce dla owdowiałych Żydówek? Warto by było spróbować sprzedać to *melée* nawet za bezcen.

- Chwileczkę - co to takiego? - chwycił jej rękę i przyjrzał się bransoletce, którą postanowiła zatrzymać.

- Chyba jeszcze trochę *melée* plus kilka szmaragdów.

- Te szmaragdy wyglądają ciekawie. Zdejmij je, chcę się im przyjrzeć - przy twoim szczęściu może być z nimi coś nie tak. - Obejrzał bransoletkę przez swoje szkło powiększające, przyglądając się każdemu szmaragdowi po kolei. W końcu oddał ją Maggy z pomrukiem zadowolenia. - Dobrze, bardzo dobre. Dla tych szmaragdów chętnie zrobię wyjątek. A gdybym ich nie sprzedał przez dłuższy czas?

- To znaczy, że chce pan kupić tę bransoletkę?

- Zdecydowanie tak, i dam ci najlepszą cenę. Jeśli wolisz, oddaj ją najpierw do wyceny.

- Ale, panie Klein - rzekła ostro Maggy - ja nie chcę sprzedać tylko tej bransoletki, ja chcę sprzedać wszystko. Osoba, która ją kupi, musi wziąć całą resztę.

Tak zupełnie tępa to ona nie jest, pomyślał Harry C. Klein z mieszaniną zadowolenia i przygnębienia. Szanse tak drobnego jubilera jak on na kupienie czterech doskonale dopasowanych, dwukaratowych

szmaragdów, były nikłe. Jakiś duży jubiler mógłby długo czekać, zanim taki komplet wpadłby mu w ręce. Można by z nich zrobić dwie pary wspaniałych kolczyków albo nawet naszyjnik - nie, dwa naszyjniki, każdy z dwoma szmaragdami w otoczeniu brylantów. Jeśli takie kamienie kiedykolwiek straciłyby swą wartość, nic, co wykopano do czasów Kopalni Króla Salomona, nie było warte funta kłaków. Nawet jeśli musiałyby siedzieć na tych szmaragdach całymi latami, nie może z nich zrezygnować.

Maggy włożyła bransoletkę i sięgnęła po płaszcz.

- Dokąd idziesz?

- Poszukać kogoś, kto kupi wszystko.

- Dobrze, dobrze. Nie zacznij chodzić po jubilerach, bo ci się pomiesza w głowie. Dobijemy targu... nie śpiesz się tak.

Spojrzała na niego podejrzliwie i odprężyła się. Nie musiał jej mówić, że te szmaragdy są niezłe... ale najpierw oddaje do wyceny.

Zanim Maggy sfinalizowała sprzedaż biżuterii Harry'emu C. Kleinowi, zostali serdecznymi przyjaciółmi. Poznał jej smutną historię: jej mąż, przystojny Francuz David Lunel, który tak niemądrze zainwestował w Stanach Zjednoczonych, zginął w wypadku samochodowym, gdy w Nowym Jorku szacował wielkość strat, zostawiając ją z maleńką córeczką i bez środków do życia. Usłyszał o rabbim Taradashu, o babce Maggy, a nawet o jej sekretnym przepisie na *pot-au-feu*, ale nie wiedział nic o gorączce nocy na Montparnasse, o malarzu nazwiskiem Mistral ani o śmiesznej, beztroskiej dziewczynie, która obojętnie zrzucała z nagiego ciała zielone jedwabne kimono przed każdym, kto zapłacił, żeby ją malować. Gdy nadszedł czas zapłaty dwunastu tysięcy dolarów, które w

końcu uzyskały klejnoty Maggy i których lwią część stanowiła wartość szmaragdów, Harry C. Klein zainteresował się jej przyszłością.

- Przypuszczam, że razem z dziewczynką wrócisz do domu? Może założysz jakiś niewielki interes? Z taką gotówką można teraz wiele zrobić.

- Jeszcze się nie zdecydowałam.

Maggy szła powoli wzdłuż Madison Avenue, pogrążona w myślach, z czekiem bezpiecznie schowanym za biustonoszem. Ma zaczątek majątku, wystarczający na umiarkowane wygodne życie dla siebie i Teddy przez jakieś cztery czy pięć lat, jeśli znajdzie małe mieszkanie w niemodnej części Paryża. Ale co zrobi, gdy skończą się pieniądze? Jaki interes mogłaby założyć nie mając żadnego przygotowania? A co, jeśli się jej nie powiedzie i straci wszystko? Może mogłaby dostać pracę jako *vendeuse* w jednym z tych sklepów, w których wydawała pieniądze Perry'ego nie pytając o ceny?

Rozejrzała się i głęboko odetchnęła. Do Bożego Narodzenia zostało tylko kilka tygodni. Jasny, błękitny dzień trzepotał wokół niej jak flaga. Nowy Jork zaskakująco tętnił obietnicami, nieodpartym pędem życia, co powodowało, że Paryż wydawał się staromodny, obciążony tradycją, nie zachęcający. A może zerwać ze wszystkim? Może raczej zostać tutaj, gdzie jest panią Lunel, wdową i nie wracać do kraju, gdzie zbyt wielu ludzi wie o niej za dużo? Zawróciła w podnieceniu i prawie pobiegła z powrotem do odległego o parę przecznic sklepu jubilera.

- Za późno, by zmieniać decyzję. Umówiliśmy się na uczciwą cenę rynkową - powiedział pan Klein podnosząc na nią wzrok, gdy wpadła do sklepu z płonącymi policzkami.

- Muszę znaleźć pracę! Tutaj, w Nowym Jorku! Nie wracam do

Francji, właśnie się zdecydowałam...

- Co chcesz robić?

- Nie wiem. Masz jakiś pomysł?

- Dziewczyna, która nie przepracowała w swym życiu ani jednego dnia - chyba żartujesz?

- No, przez jakiś czas byłam modelką.

- Jaką modelką?

- Dla... projektantów mody.

- Ach. - Przyjrzał się jej uważnie. Nic nie wiedział o modelkach, ale potrafił rozróżnić oszałamiającą urodę. - Mam przyjaciela, który zajmuje się modą, gram z nim dwa razy w miesiącu w pokera, to Włoch. Powiodło mu się - chłopak z sąsiedztwa, ale dzisiaj nie do poznania. Alberto Bianchi - kiedyś graliśmy w podwórkowego baseballa, a teraz zrobił się dość wykwinny. Zadzwoń do niego, zobaczę, czy coś da się zrobić. - Wszedł do biura na tyłach i po chwili wrócił rozpromieniony. - Może przyda im się dziewczyna - może. Jedna z ich stałych modelek uciekła z mężem najlepszej klientki. Facet postanowił dla odmiany zrobić prezent gwiazdkowy sobie. Idź tam szybko - teraz wolne posady nie czekają długo. Tu masz adres - rzekł całując Maggy w policzek - a tu pocałunek na szczęście.

Podchodząc do drzwi Bianchiego Maggy drżała ze zdenerwowania jak osika. Szklane drzwi przy Wschodniej Pięćdziesiątej Piątej Ulicy były przydymione i nie było przy nich okien wystawowych, tylko dyskretne cegły unowocześnionej miejskiej kamienicy.

Weszła i po raz pierwszy od przybycia do Nowego Jorku poczuła się natychmiast jak u siebie w domu. Zaskoczona, stała nieruchomo i głęboko

oddychała. Wszędzie wokół tętno firmy biło rytmem tak znajomym, że odzywał się w jej krwi, rytmem *maison de couture*. Słyszała znajome dźwięki. Zza drzwi przymierzalni dobiegały głosy sprzedawczyń, pełne szacunku i niewzruszone, oraz klientek - wysokie, niezdecydowane i rozkapryśzone. Te same były zapachy: perfumy setki bogatych kobiet zmieszane unosiły się w powietrzu razem z dymem ich papierosów, a w tle wyczuwało się ostrą woń nowych tkanin i futer.

Serce jej zabiło żywiej, gdy chłonęła tę atmosferę, ten szczególny destylat, który uderza kobietom do głowy z intensywnością iskry elektrycznej, złożony z miliona marzeń przynoszonych do tego miejsca, marzeń o wyglądzie kobiety, gdy znajdzie się jedyną, doskonałą suknię, marzeń o tym, jak ta doskonała suknia ją zmieni, marzeń, które promieniowały większą wiarą w moc stroju niż strój mógł jej dochować.

Maggy pomyślała, że to Lourdes próżności. Przychodziły tu nie po to, żeby ozdrowieć, ale by zmienić się w marzenia o sobie, by stać się młodszymi, piękniejszymi, szczuplejszymi, bardziej pociągającymi. Skoncentrowana siła tych marzeń wydawała się na tyle silna, że mogła rozsadzić ściany domu mody, a jednak w wyłożonym szarym aksamitem i lustrami saloniku emanowało opanowanie i spokój.

Patricia Falkland, nienagannie ubrana ciemnowłosa kobieta w średnim wieku, siedziała za wypolerowanym biurkiem, na którym stał kulisty wazon z pojedynczą, białą różą. Od lat pracowała dla Alberta Bianchiego nadzorując sprzedawców i spełniając absolutnie niezbędną rolę pośrednika między sprzedawczyniami i klientami. Sama nigdy nie wykonywała obowiązków sprzedawczynie, ale była odpowiedzialna za doradzanie niezdecydowanym klientkom i za kontakty z personelem.

Specjalizowała się w ocenie nowych klientek.

Panna Falkland potrafiła w niegustownie ubranej kobiecie w średnim wieku rozpoznać żonę wielkiego wytwórcy opakowań do mięsa z Chicago, która wyda tysiące dolarów, równie łatwo, jak zwrócić uwagę na młodą kobietę z towarzystwa ubraną w najmodniejsze stroje i otoczoną zbytkiem, która nigdy nie uiszcza swych rachunków. Znała każdą zamożną kobietę w Nowym Jorku, która wolała przychodzić do Bianchiego po wspaniałe podrobione kopie Chanel, Vionneta i Lanvin, niż jeździć po stroje do Paryża. Przez całe lata dwudzieste, choć modę dyktował Paryż, było wiele Amerykanek, które nie chciały poświęcać kilku miesięcy z przeładowanego roku na podróż do Francji i z powrotem oraz poddawanie się wyczerpującym przeglądom kolekcji i przymiarkom.

Gdy weszła Maggy, Patricia Falkland zacisnęła wargi w bezdźwięcznym, niezauważalnym gwizdnięciu, gwizdnięciu bezwarunkowego podziwu, jakie wywoływało u niej niewiele kobiet. Maggy była wcieleniem ideału, czego nie można było kupić za żadne pieniądze. Powiódłszy jak zwykle szybko wzrokiem po wszystkich szczegółach stroju Maggy, od ślicznych, doskonale wypastowanych pantofli do zrecznie wymodelowanego kapelusza, Patricia Falkland wiedziała, że patrzy na kogoś ubranego w oryginały ubrań, jakie Alberto Bianchi powielał dla swych klientek, kogoś ubranego w prawdziwą, nieuchwytną esencję Paryża, której nie dawało się odtworzyć bez względu na dokładność kopiowania materiału, szwów, guzików. Jak, u diabła, te łajdaki to robią. Zawsze zadawała sobie to pytanie na widok najlepszych przykładów paryskiego krawiectwa i nadal było to jedyne pytanie, na jakie nie znajdowała odpowiedzi.

Przez chwilę żadna z kobiet się nie odzywała. Maggy stała rozglądając się po saloniku z nieuchwytną miną przyszłej klientki, którą wywołała u niej atmosfera pomieszczenia, w postawie nabytej w ciągu dwóch lat luksusu i mówiącej, że starannie wszystko ocenia, ale jest pewna miłego przywitania. Takiej postawy nie można było osiągnąć żadnymi ćwiczeniami, nie mógł jej przyjąć nikt nie przyzwyczajony do wydawania wielkich pieniędzy. Brała się z wewnętrznego, nieświadomego podejścia do ubrań. Mówiła prawie na głos:

- Mogę kupić wszystko, co macie na sprzedaż, jeśli mi się spodoba. Ale czy w ogóle coś kupię? To wy musicie mnie skusić. A nawet wtedy mogę mieć taki przesyt, że nie dam się znęcić. Pokażcie mi, co macie najlepszego. Jeśli zechcę, to kupię. Albo nie - decyzja należy do mnie.

Chwila milczenia minęła, gdy Patricia Falkland wstała z szacunkiem i podeszła do Maggy. - Czy mogę czymś służyć, madame? - spytała tonem zarezerwowanym dla najlepszych klientek.

- Mam nadzieję - odparła Maggy.

- Jeśli zechce pani usiąść, natychmiast poproszę sprzedawczynię. - Panna Falkland uśmiechnęła się, jakby przepaszając, że sprzedawczyni nie zmaterializowała się z powietrza na widok Maggy.

- Nie, proszę sobie nie robić kłopotu. Chciałabym z kimś porozmawiać na temat pracy modelki.

- Pracy? - powtórzyła ze znikającym uśmiechem.

- Dano mi do zrozumienia, że potrzebna jest tu modelka. Chciałabym starać się o tę posadę.

- To absolutnie niemożliwe - powiedziała ostro panna Falkland z wyraźną nutą gniewu w głosie. Jak ta kobieta śmie pojawiać się w salonie

zadzierając nosa i udając klientkę, skoro szuka pracy? To oburzające. Niewybaczalne. Niesłychane.

Serce panny Falkland zamknęło się dla Maggy, przez którą popełniła błąd w ocenie, z której niezawodności była tak dumna. Rozwścieczyło ją to, że przybrała swą najuprzejmiejszą pozę dla zwykłej poszukiwaczki pracy.

- Mój przyjaciel, pan Harry Klein poinformował mnie, że dom Bianchiego potrzebuje modelki. Pan Klein rozmawiał osobiście z panem Bianchim nie więcej niż przed kwadransiem, więc przyszedłem natychmiast.

- Pan Bianchi poszukuje zawodowej modelki, pracującej dziewczyny, a nie amatorki. Płacimy trzydzieści pięć dolarów tygodniowo, co nie wystarczyłoby na jeden pani pantofel, i nasze dziewczęta pracują za te pieniądze jak konie, albo nie wytrzymują tygodnia. Nigdy nie wzięlibyśmy pod uwagę kogoś bez doświadczenia.

- Proszę mnie wypróbować - Maggy nie rezygnowała. Ta kobieta się mnie nie pozbędzie, pomyślała. Nie jestem już smarkulą, która krępuje się zdjąć majtki. - Pan Bianchi powiedział panu Kleinowi, że potrzebuje...

Patricia Falkland usłyszała determinację i upór w głosie Maggy. Od lat bolała nad męską skłonnością kazającą jej pracodawcy podtrzymywać znajomość z grającymi w pokera przyjaciółmi z przeszłości, ale doskonale wiedziała, jak bardzo jest pod tym względem sentymentalny. Schyliła czoła przed faktem, że nie będzie mogła pozbyć się Maggy bez narażenia się Bianchiemu.

- Proszę za mną - rzekła szorstko - ale zmarnuje pani tylko czas. - Pokazała drogę w górę po schodach do pustego w tej chwili pokoju, gdzie francuskie oryginały wisiały na długich stojakach obok stołów używanych

przez modelki przy makijażu. Wybrała suknię wieczorową z białego atłasu o skomplikowanym kroju ze skosu, i z tak dużymi dekolami z przodu i z tyłu, że trudno było powiedzieć, które jest które. Przy układającej się jak peplum, przymarszczonej falbanie wystającej między biodrami i kolanami, była to chyba najmniej twarzowa suknia, jaką kiedykolwiek stworzyła madame Jeanne Lanvin. Panna Falkland podała ją Maggy bez słowa i wróciła do swego biurka.

Niech ją diabli, wściekła się. Wie wystarczająco dużo, żeby wymachiwać nazwiskiem Kleina jak mieczem, ale nie ma na tyle rozsądku, żeby zdać sobie sprawę, że jest zupełnie nieodpowiednia do demonstrowania strojów. Najgorszą rzeczą, jaką może zrobić modelka, to sprawiać wrażenie rywalki klientki. Bez względu na to, jak byłaby piękna, nie wolno jej wzbudzić ani cienia zazdrości w klientce i nigdy nie wolno jej wyglądać, jakby była na tym samym poziomie towarzyskim czy finansowym co klientka. Klientki muszą się czuć lepsze od modelek. Zasada ta tkwiła w szpiku wszystkich ludzi zajmujących się sprzedawaniem ubrań.

Była nadal zatopiona w gniewnych myślach, gdy Maggy pojawiła się u szczytu schodów, okryta peleryną z soboli zdjętą z innego wieszaka w pokoju modelek. Jej odkryta głowa ujawniła włosy przypominające starannie utrzymywane ognisko, ciągle jeszcze przedzielone z boku, tak jak ułożył je Antoine, lecz teraz dłuższe i ciasno skręcone nad uszami. Jak żywy posąg zbliżyła się drobnym krokiem ani wolnym, ani szybkim, krokiem umożliwiającym widzowi z łatwością zauważyć szczegóły jej stroju, lecz jej oczy, wpatrzone spokojnie w jakiś nieodległy punkt, nie zezwalały na kontakt osobisty. Zniknęło, jakby nigdy nie istniało,

nieświadome wyzwanie, z jakim Maggy weszła do saloniku, a na jego miejsce pojawiło się zachowanie jasno wskazujące, że Maggy istnieje tylko i wyłącznie po to, by sprawiać przyjemność i służyć innym.

Wydawało się, że mówi: nie patrz na mnie, ale na to, co mam na sobie, bo jeśli cię skusi, to może być twoje. Jestem tylko pośredniczką pokazującą ci, jak możesz zrealizować swoje marzenia. Ja jestem niczym, a ten strój wszystkim i czyż nie jest on piękny? Jestem dumna, że mogę go przez kilka chwil mieć na sobie. Nie należy on jednak do mnie. Pomyśl, jak cudownie mogłabyś w nim wyglądać ty.

Maggy dotarła do ostatniego stopnia i przecięła salonik. Panna Falkland obserwująca ją nieprzyjaznym, beznamiętnym wzrokiem, zauważyła, że Maggy znalazła parę białych atłasowych pantofelków w skrytce którejś z modelek. Ale każdy, nawet urodzona wyfiokowana damulka, mogła owinać się sobolami i stworzyć pewien efekt. Nie było u Bianchiego modelki, która nie walczyła o demonstrowanie tej narzutki, i wszystkie wyglądały w niej dobrze. Próba została sprowadzona na boczne tory i panna Falkland pozostała niewzruszona.

Maggy zawróciła przed biurkiem i podeszła do schodów. Tam powoli, gestem przepojonym wszystkim, czego kiedykolwiek nauczyła się o sztuce uwodzenia, gestem mówiącym wszystko o obchodzeniu się z futrami, odrzuciła pelerynę do tyłu tak łatwo, jak gdyby uszyto ją z organdy i trzymała ją w opuszczonej ręce, pokazując się w białej sukni, która przez sam fakt włożenia jej przez Maggy stała się całkowicie godna pożądania.

Jedna z dwóch zapinek z imitacji brylantów, jakie Maggy znalazła u Chanel, ozdabiała najniższy punkt dekoltu na przodzie, a gdy znów się

odwróciła, druga była przypięta do wycięcia na plecach w sposób nie oglądany dotąd w Nowym Jorku. Obeszła pokój z sobolami szeleszczącymi po dywanie, a jej twarz ogrzewał teraz delikatny, marzycielski uśmiech, akurat wystarczający, by wciągnąć widza w zmysłową przyjemność noszenia takiej sukni, uśmiech gwarantujący pokusę. Idąc nie patrzyła na Patricię Falkland aby sprawdzić, czy ją akceptuje, lecz gdyby to uczyniła, zobaczyłaby mocno zaciśnięte wargi kobiety.

- Kto to jest? - zapytał władczo męski głos. Panna Falkland podskoczyła, ale Maggy stała niewzruszenie i czekała całkowicie się oferując, nie tracąc jednak dystansu.

- Ktoś ubiegający się o pracę modelki, panie Bianchi - odpowiedziała panna Falkland. - Nie sędzę, żeby się nadawała.

- Może powinnaś iść do okulisty, Patsy. Jak się pani nazywa, panienko? - Neutralny, uprzejmy wygląd Maggy zniknął, zastąpiony jej nieodpartym czarem.

- Magali Lunel, ale w środowisku jestem znana po prostu jako Maggy.

- Ty jesteś tą dziewczyną, w której sprawie dzwonił Harry - nie spodziewałem się... kiedy możesz zacząć?

- Kiedy pan chce. Jutro, jeśli można.

- A dzisiaj? Patsy, dzwoniła właśnie pani Townsend. Zmieniła zdanie co do wyjazdu do Palm Beach, więc gwałtownie potrzebuje strojów na przyjęcie gwiazdkowe w Tuxedo Park, a nam brakuje personelu.

- Dzisiaj jest nawet lepiej niż jutro - powiedziała Maggy. Spodobał jej się pan Bianchi, który kiedyś był chłopcem ze starego sąsiedztwa

Harry'ego Kleina. Miał wspaniale zadbane wygląd, doskonałą lnianą koszulę, połysk włosów i ogólną gładkość, która była bardziej europejska niż amerykańska. Był pulchny, miał oczy jasne jak u chłopca i sprawiał wrażenie mistrza w swym zawodzie. Rozumiała takiego mężczyznę. Jeśli go zawiedzie, będzie diabłem, jeśli potrafi zaoferować mu perfekcję, jakiej się spodziewa, okaże się uprzejmy, a nawet hojny.

W kilka godzin później, po zademonstrowaniu pani Townsend dziesiątków sukni, kostiumów i płaszczy, Maggy wyszła z Domu Alberta Bianchiego mając pracę płatną trzydzieści pięć dolarów tygodniowo. Serce jej biło żywiej z radości, gdy pomyślała, że jednak umie robić coś pożytecznego. Lata jak najszybszego rozbierania się dla malarzy połączone z latami oglądania pokazów mody - oraz umiejętność naśladowania najlepszych modelek w Paryżu - zsumowały się w poszukiwany towar. Będzie zarabiać wystarczająco dużo pieniędzy, by płacić niańce Butterfield i jeszcze zaoszczędzić piętnaście dolarów.

Maggy doszła do rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy i stanęła, by rozejrzeć się wokół, wchłonąć niemal dotykalaną obietnicę czynioną przez długą, jasno oświetloną w zimowym zmierzchu arterię. Wydawało się, że podchodzi do niej inna Maggy, siedemnastoletnia dziewczyna, która stała kiedyś na środku wiosennego Montparnasse czekając niecierpliwie, by zaczęło się jej życie, staje u jej boku i mówi: - Odwagi. - Jak niewiele wtedy wiedziałaś, szepnęła do siebie Maggy. Jak niewiele wiem teraz. Jak dużo, jak bardzo dużo się nauczę. Zastanawiała się, gdzie znajdzie kwiaciarnię. Musi sobie kupić do butonierki czerwony goździk.

Gdzie leżał sekret władzy Lavinii Longbridge nad młodszymi członkami nowojorskiej socjety? Nawet majątne wdowy grające w brydża w Southampton Beach Club rozbudzały się na tyle, by nawzajem o to pytać. Pani Conde Nast zadała to pytanie wdowie po Williamie de Rahmie, a podczas jednej ze swych częstych wizyt w Nowym Jorku Cecil Beaton zdał sobie sprawę z władzy Lavinii Longbridge na tyle, by zapytać panią Herbertową Weston, czy rozumie jej przyczynę.

Pewien cynik powiedział, że w całej przyrodzie istnieje tylko czternaście różnych grup, w jakie układają się obiekty od kryształów po ananasy, ale że na szczycie każdej grupy zawsze znajduje się Lally Longbridge. Było to jednak spostrzeżenie zbyt uproszczone, chociaż uczyniono je po raz pierwszy wtedy, gdy jako Lavinia Pendennis została najbardziej fetowaną debiutantką roku, a jej spektakularne wejście do towarzystwa zostawiło następną rywalkę tak daleko w tyle, że wydawało się, iż wszystkie inne dziewczęta tworzą jedną nie zróżnicowaną grupę.

Gdy poślubiła Cornwallisa Longbridge'a, można się było spodziewać, że wejdzie w tradycyjną rolę zamożnej młodej żony, lecz nie uczyniła tego i w epoce par zachowała własną, indywidualną tożsamość, a Cornie Longbridge został jeszcze jednym, choć najbardziej uprzywilejowanym, jej poddanym.

Lally była równie piękna co malutka, o czarnych oczach i czarnych włosach otaczających jej bladą delikatną twarz jak wieniec nad najbliższymi ramionami, rękoma i plecami w Nowym Jorku oraz najczerwieńszymi ustami, stanowiącymi jedyny akcent kolorystyczny, na jaki sobie pozwalała. Lecz w towarzystwie było wiele innych pięknych

dziewcząt: Mary Taylor, Isabel Henry, Helen Kellogg, Justine Allen i Alice Doubleday. Wszystkie one miały swych rycerzy gotowych kruszyć kopie o tytuł królowej piękności dla damy swego serca.

Nie, do jej ogromnego wpływu nie przyczyniły się tylko jej popularność i uroda - to zasługa hojności, z jaką poświęciła swe życie dobrej zabawie. Bowiem Lally mogła się dobrze bawić tylko wówczas, gdy robiła to z innymi.

W osobie Lally Longbridge beztroska radość wielkiego przyjęcia, jakim były lata dwudzieste, wkroczyła tanecznym krokiem w pierwszy przerażający rok lat trzydziestych. Majątkowi Corniego Longbridge'a nic nie groziło, więc poświęciła swe życie z całą powagą na niepoważne rozrywki. Jej dom przypominał ciepłe ognisko, przy którym mogli się ogrzać wszyscy przebywający w jego pobliżu. Lally uważano za najlepszą barmankę w mieście, a ona z pewnością знаła najlepszych przemytników alkoholu. Wynalazła przyjęcia z zimnym bufetem, jedzenie w jej domu zawsze miało urok pikniku, a jej upodobanie do różnych ludzi stanowiło przyprawę, dzięki której jej przyjęcia odnosiły ogromne sukcesy. Lally zapraszała muzyków jazzowych, reporterów, zawodowych bokserów, stepistów z teatrów na Broadwayu i tekściarzy z Tin Pan Alley oraz, jak szeptały inne zazdrosne gospodynie, nawet gangsterów, co jedynie sprawiało, że jej przyjęcia były najbardziej ekscytujące. Swym śmiechem i życzliwością stapiała wszystkich w kolorową całość.

Często po rozpoczęciu przyjęcia Lally wycofywała się w cień alkowy i całymi minutami obserwowała nowe i nieoczekiwane grupki utworzone z jej poduszczenia, czując się jak jakiś słynny reżyser teatralny. Jej przyjęcia odbywały się równie często co spontanicznie. Nie planowała ich wcześniej

niż tydzień czy dwa naprzód wiedząc, że organizacja jej domu jest nastawiona na gościnność, a służba dobrana ze względu na umiejętność obsługi dużych grup tak dobrze, jakby była żoną ambasadora.

Od czasów swego debiutu Lally Longbridge szyła suknie u Bianchiego. Była jedną z tych niezwykle rzadko zdarzających się niskich kobiet, które mają dar takiego ubierania się, że wyglądają na wysokie. Sedno sprawy leżało w fakcie, że Lally nigdy nie uważała się za małą - czuła, że wszyscy inni są po prostu za duzi. Dopóki Maggy nie zaczęła pracować u Bianchiego, nie znała modelki, która by to zrozumiała i chętnie pokazywałaby jej sukienki, które teoretycznie mogły nosić tylko wysokie kobiety.

W ciągu ostatniego półtora roku Maggy zaczęła ją coraz bardziej interesować. Najwyraźniej pani Lunel nie jest zwykłą modelką, ale w czym leży tajemnica tej owdowiałej Francuzki, której nie można wyciągnąć na zwierzenia? Każdy, kim się interesowała, musiał Lally opowiedzieć o sobie wszystko - to doprawdy jest bardzo dziwne, prawie irytujące.

Pewnego dnia na wiosnę 1931 roku zaskoczyła Maggy zapraszając ją na przyjęcie mające się odbyć następnego dnia.

- A więc przyjdiesz, Maggy, proszę! Po kolacji robimy polowanie śmieciarzy i dla zwycięskiej drużyny będzie fantastyczna nagroda - to świetna zabawa.

Maggy zawahała się. Modelki nigdy nie zadawały się z klientkami. Oddzielała je od nich społeczna przepaść, którą uznawali wszyscy.

- Zostaw te przestarzałe poglądy. Wiem, o czym myślisz i jest to zbyt głupie, by to wypowiedzieć. Wiele kobiet ostatnio pracuje - robi się to

modne. Co wcale nie znaczy, że nie wolno ci się dobrze bawić.

- Bardzo chętnie - powiedziała Maggy zdecydowanie. Jest sobie winna jakąś przyjemność. Przez ostatnie półtora roku prowadziła życie pracowite i zdyscyplinowane, będąc na każde zawołanie Bianchiego i jego klientek nawet i po dziesięć godzin dziennie, rzadko odpoczywając dłużej niż dziesięć minut za jednym razem.

Ale to ta uzdrawiająca praca nie pozwalała jej myśleć o przeszłości, ta wyczerpująca praca pozwalała jej mocno spać i budzić się tylko czasami do marzeń o Perrym Kilkullenie, od których płakała, oraz zbyt często do marzeń o Julenie Mistralu, które wzbudzały jej wściekłość. Jak może jeszcze śnić o mężczyźnie, którego nienawidzi? Zadawała sobie to niewygodne pytanie ze złością, usiłując zaprzeczyć dogłębnemu, przetaczającemu się przez nią orgazmowi, który ją obudził. W takie poranki ze szczególnym zadowoleniem biegła do pracy, w której nie miała czasu na niewygodne rozważania.

Maggy była teraz czołową modelką u Alfreda Bianchiego, a pozostałe dziewięć dziewcząt wzorowało się na niej. Nawet Patricia Falkland musiała przyznać, choćby tylko sama przed sobą, że nikt nie potrafi tak pokazać i sprzedać sukni jak Maggy. W rzadkich chwilach, gdy modelki zbierały się razem w swojej przebieralni, dziewczęta pytały Maggy o radę w wielu sprawach, a ona w każdej wyrażała stanowczą, natychmiastową aprobatę lub dezaprobatę, od linii nowego uczesania po odcień pończoch. Okazało się, że Maggy uspokaja zdenerwowane koleżanki lub wysłuchuje skarg i uśmierza sprzeczki. Słuchała opowieści o ich licznych romansach i serwowała zasadnicze, lecz pełne współczucia rady, w których mieszała się jej własna, z trudem zdobyta mądrość i

fragmenty dobrze zapamiętanych przestróg Pauli. Czasami nawet zdarzało się, że strofowała dziewczęta, które przytyły parę kilogramów i radziła im, jak nakładać róż i cienie do powiek.

Nowy Jork oszalał na punkcie pokazów mody na cele dobroczynne i Dom Bianchiego stale był zapraszany do udziału w nich. Wkrótce okazało się, że organizatorzy, sami nowicjusze w tej dziedzinie, nie mogą się obejść bez Maggy. Potrafiła dyrygować modelkami, z których większość stanowiły rozdygotane, nerwowe, niezręczne damy z towarzystwa, nigdy dotąd nie mające okazji wyjść na wybieg.

Z powodu tej dodatkowej pracy pensja Maggy wzrosła do pięćdziesięciu dolarów tygodniowo. Żeby umeblować małe mieszkanie tuż obok Central Park West, przy Sześćdziesiątej Trzeciej Ulicy, które wynajęła dla swej małej rodziny, musiała sięgnąć do swego cennego kapitału.

Niemniej jednak pensja Maggy wystarczała akurat na utrzymanie Teddy i niańki Butterfield. Na siebie wydawała bardzo mało; jej paryskie stroje były jeszcze modne, jako że wybierała je z awangardowych kolekcji zawierających pomysły nadal nowe dla amerykańskiego oka... ale właściwie to nie ma znaczenia, pomyślała Maggy, ponieważ nie ma okazji, żeby tak naprawdę się dobrze ubrać.

Na początku jej pracy u Bianchiego inne modelki zapraszały ją do tajnych barów i nocnych klubów - zawsze było pełno chcących ją poznać młodych mężczyzn. Jednak odmawiała raz za razem i w końcu dziewczęta przestały ją zapraszać. W listach do Pauli nigdy nie wspominała o swej samotności z wyboru, bo wiedziała, że przyjaciółka by ją zganiała. Co wieczór po zakończeniu pracy Maggy pędziła do domu, żeby zjeść

wczesną kolację z Teddy i wymoczyć nogi.

Teraz zaś, reagując na pochlebną niespodziankę, jaką zrobiła jej swym zaproszeniem Lally Longbridge, poczuła, że dłużej już nie wytrzyma bez jednego wolnego wieczoru, jednego wieczoru czystej zabawy. Depresja zabiła Wiek Jazzu, lecz niepokonana zuchwałość Maggy mówiła jej, jak bardzo nadal tęskni za dźwiękami saksofonu i brzdąkaniem na gitarze. Zanuciła zapomnianą od sześciu lat melodię „Sweet Georgia Brown”. Ubierając się na przyjęcie zdała sobie sprawę, że w majowy wieczór nawet Nowy Jork, to samotne, pełne napięcia miasto metalu i betonu, może przybrać różową barwę oczekiwania.

Gdy skończyło się impulsywne zapraszanie gości, Lally Longbridge przez godzinę zastanawiała się nad składem drużyn do polowania śmieciarzy. Nie miało sensu dobieranie razem tego samego typu ludzi, ludzi, którzy się już znają - polowanie śmieciarzy dostarczało tyle rozrywki, na ile było stać członków drużyn.

Pomyślała, że Maggy Lunel jest tak bystra, że powinna być w drużynie z Gay Barnes, w której blond główce rodziły się same bzdury. Gay była kiedyś najśłynniejszą tancerką w „Vanities” Earla Carrola, ale poślubiła Henry'ego Olivera Barnes, starszego od niej chyba o trzydzieści pięć lat. Lally, którą zawsze interesowało, jak inni prezentują swoją osobowość, zdała sobie sprawę, że Gay udało się podbić znudzone nowojorskie towarzystwo dwoma prostymi sposobami: była zdumiewająco dekoracyjna i miała niezwykle zabawny dar jakby nieorientowania się, kiedy mężczyzna robi ryzykowną uwagę, a uwagi takie najwyraźniej prowokowała.

Którzy dwaj mężczyźni z tymi kobietami? Ugryzła się w zadumie w

kciuk. A może Jerry Holt? Kolumnę rozrywkową, którą miał w „World”, czytali wszyscy w mieście, a był tak dowcipny, jak wątpliwą miał reputację. I... tak... dobrze mu tak za to, że tak trudno go rozszyfrować; drugim mężczyzną będzie Darcy, Jason Darcy, do którego wszyscy zwracali się po nazwisku.

Jak zabawnie będzie się złościł ten raczej zbyt zadowolony z siebie dwudziestodziewięcioletni wydawniczy *wunderkind*, gdy znajdzie się w jednej drużynie z byłą tancerką rewiiową, modelką z domu mody i, prawdopodobnie, dziennikarzem pederastą. Taka właśnie drużyna dostarczy Lally szczególnie dobrej zabawy. Na każdym przyjęciu tworzyła przynajmniej jedną tak źle dobraną grupę dla własnej, głęboko skrywanej, satysfakcji.

* * *

W kilka godzin później, po kolacji, dziesięć drużyn zebrało się w modnie sterylnym chromowo - szklanym salonie Lally, pełnym białych tulipanów. Gdy rozdała im listy, rozległy się jęki protestu.

Jedna debiutantka tego sezonu, liczą się tylko piękne

Jeden bucik panny Ethel Barrymore

Jeden pies, musi być czysto biały

Jeden program „Smiles”, podpisany przez Adele i Freda Astaire'ów

Jeden obrus z restauracji Colony

Jeden angielski kamerdyner - żadnych falsyfikatów

Jeden nowiutki egzemplarz „Pożegnania z bronią”

Jedna żółta rękawiczka

Jedna czapka nowojorskiego policjanta

Jedna marynarka kelnera z „U Jacka i Charliego”

- To po prostu diabelstwo - jęczała Gay Barnes. - Nigdy nie wygramy, nigdy.

- Ile mamy czasu? - zapytała Maggy.

- Dwie godziny - wyjaśnił Jerry Holt. - Wygrywa ta drużyna, która przyniesie najwięcej fantów przed upływem terminu.

- Mam pomysł! - ogłosiła Gay Barnes. - Nigdzie nie jest powiedziane, że nie możemy się rozdzielić, prawda? Jaki sens, żebyśmy wszyscy czworo szukali tych samych rzeczy? Myślę, że Jerry i ja powinniśmy wziąć pierwsze pięć, a wy dwoje resztę. Zgoda?

- Wiem tylko tyle, że muszę gdzieś mieć żółtą rękawiczkę, bo jestem kobietą o licznych rękawiczkach - rzekła Maggy, zastanawiając się, dlaczego ta blondynka, skoro zabiega o to, by zostać sam na sam z mężczyzną, wybrała *pede*.

- Jak chcecie - zgodził się Darcy. - Ale chodźmy już - straciliśmy pięć minut.

* * *

Na dole, na Park Avenue, Darcy wpuścił Maggy do długiej limuzyny. - Wschodnia Pięćdziesiąta Pierwsza Ulica 21 - powiedział do szofera siedzącego w odkrytej części samochodu.

- Podejrzewałem, że Lally urządzi kolejne polowanie śmieciarzy, więc kazałem kierowcy poczekać - wyjaśnił Maggy.

Ogromny granatowy packard, który wydawałby się odpowiedni dla samego J. P. Morgana, był tylko jednym ze sposobów, dzięki którym Jason Darcy odróżniał się od innych młodych mężczyzn w jego wieku. Był jedynym synem jednego z zamożnych właścicieli firmy ubezpieczeniowej w Hartford i uważano go za jednego z najbłyskotliwszych studentów

swego rocznika na Uniwersytecie Harvarda, który ukończył w wieku osiemnastu lat. Pożyczył następnie rodzinne pieniądze, by założyć trzy czasopisma, z których każde odnosiło ogromny sukces w tej epoce prosperity.

Po zwróceniu pożyczki Darcy wydawał swe wielkie dochody na życie tak wystawne, jakby był paszą uprawnionych do noszenia trzech buńczuków. Miał romanse ze zdumiewającą liczbą wszystkich najładniejszych kobiet w Nowym Jorku. Zadał sobie trud podzielenia ich na dwie tylko podstawowe kategorie, traktując damy z towarzystwa jak chórzystki, a chórzystki jak damy z towarzystwa, co w dziwny sposób wszystkim sprawiało przyjemność. Żadnej kobiecie nie udało się go złapać i coraz bardziej rosnąca grupa jego zawiedzionych, tymczasowych flam skłaniała się do pozwalającego im zachować twarz wniosku, że Darcy wziął ślub ze swą pracą.

Jason Darcy był człowiekiem posiadającym prawdziwe wpływy, który zaryzykował zostanie zarozumialcem. Nieszczęśliwie dla swego charakteru nigdy nie chciał niczego, czego nie udało mu się zdobyć, nawet podziwu równych sobie i poczucia własnej wartości. W tej chwili błyskotką, którą postanowił zdobyć była Maggy. Dwa razy podczas kolacji napotkał jej wzrok, choć siedzieli przy różnych stolikach. Gay Barnes, mimo że jest kretynką, wykazała się niezwykle dogodnym poczuciem czasu rozbijając drużynę, choć w razie braku usprawiedliwienia w postaci polowania śmieciarzy przedsięwzięłaby po prostu bardziej bezpośrednie kroki.

Gdy Maggy zapadła w miękkie obicie packarda, wstrząsnęło nią wspomnienie gołębioszarego voisina Perry'ego. Zapomniała już, jakie

uczucia wywoływał w niej taki samochód: wrażenie bycia rozpieszczaną, bycia jakimś rzadkim przedmiotem zrobionym z kosztownych materiałów, umieszczonym w aksamitnym futerale. Nic, żadne znane jej perfumy nie pachniały tak zmysłowo jak wnętrze limuzyny.

Spojrzała na Darcy'ego z lekkim zainteresowaniem. Miał długą, szczupłą, niezwykle wyrazistą twarz, twarz naukowca czy filozofa, pomyślała, mimo jego młodości. Była to twarz zaostrzona chłodną ciekawością, a jednak wyglądał, jakby nic nie potrafiło go zaskoczyć. Poruszał się oszczędnie i z wdziękiem; miał bezpośrednie, szare spojrzenie, w którym, jak podejrzewała, musi się kryć nieco humoru, oraz proste, twarde usta, sprawiające wrażenie, że są zdolne do wielkiej pogardy. Jego ciemne włosy przylegały mu do głowy i był wyższy od Maggy o dobrych kilka centymetrów. Mężczyzna jak klinga, pomyślała, i przestała zaprzętać sobie nim głowę. Limuzyna stanowiła o wiele mocniejsze źródło podniecenia niż jakikolwiek zwykły mężczyzna.

Była zawiedziona, gdy jazda skończyła się zbyt szybko. Weszli w atmosferę permanentnej zabawy trwającej w „U Jacka i Charliego”, najdroższym i najbardziej podobnym do klubu tajnym barze w Nowym Jorku, jakim była ta wyłożona boazerią jaskinia rozbrzmiewająca jowialnymi pokrzykiwaniami i pełna szczerego nieposłuszeństwa wobec Aktu Volsteda, otwierająca się w porze lunchu i zamykająca podwoje dopiero o świcie. Była to codzienna melina wesołej mieszanki studentów najlepszych uniwersytetów, sprawozdawców sportowych i maklerów giełdowych, rozbrzmiewająca złożonym, pełnym podniecenia hałasem, jaki może tylko wywoływać duża grupa rozbawionych ludzi, którzy piją, jedzą, śmieją się i flirtują w zatłoczonym pomieszczeniu.

Szybko dostali stół i Darcy zamówił szampana, odbywając krótką konferencję z kelnerem. Maggy siedziała niespokojnie, pragnąc wrócić do limuzyny, dopóki kelner nie nalał wina.

- Czy to nie strata czasu? - spytała. - Nie możemy wypić całej butelki - niech pan tylko spojrzy na tę listę - angielski kamerdyner, czapka policjanta... która godzina? - Budził się w niej duch współzawodnictwa. Nie jest to najwłaściwszy moment na leniwe siedzenie i pociąganie przemyconego alkoholu bez względu na to, jak autentycznie francuski by on był.

Darcy obdarzył ją zadowolonym z siebie i nieco zbyt wyniosłym spojrzeniem. - Właśnie załatwiłem wynajęcie marynarki naszego kelnera. Zadzwoń do domu i powiem mojemu kamerdynerowi, żeby spotkał się z nami przed domem Lally z moim egzemplarzem Hemingwaya pod pachą - Clarkson pracował kiedyś u księcia Sutherlanda - a w drodze powrotnej możemy wstąpić po tę pani żółtą rękawiczkę.

- Czy to pańska wizja sportowego postępowania? - Maggy zmarszczyła brwi. Ten człowiek pozbawia wszystko całej radości swoim zadowoleniem z siebie i popisywaniem się.

- Nazywam to zasadniczą mądrością. Nie złożyliśmy przypieczętowanej krwią przysięgi, że wygramy - mamy tylko grać. A w każdym razie czy nie jest już pani śmiertelnie znudzona polowaniami śmieciarzy?

- Z pewnością nie! Nigdy nie brałam udziału w czymś takim. Jakim prawem zmienia pan ten wieczór w szampana dla dwojga? - warknęła. Jakże ona ich nienawidzi, tych mężczyzn, którzy myślą, że mogą panować nad kobietami.

Nie odpowiedział, lecz wypił swoje wino i spojrzał uważnie w świat jej gniewnych, wyzywających, zielonych oczu. Czuł, że reaguje na jej klasę, charakter, który wydawał mu się nieujarzmiony w najgłębszym znaczeniu tego słowa, a jednak utrzymany pod ścisłą kontrolą. Nic o niej nie wiedział, ale ona nigdy nie będzie anonimowa.

- Gdzie Lally panią odkryła? - zapytał. - I dlaczego jeszcze się dotąd nie spotkaliśmy?

- Pracuję u Alberta Bianchiego - odparła krótko.

- Co pani tam robi? - A więc jeszcze jedna kobieta, która nigdy przedtem nie pracowała i która przyjęła „taką małą posadę”, żeby pokazać, że Depresja wcale jej nie przeraża.

- Demonstruję na sobie sukienki... kupują je inne kobiety.

- Raczej w to wątpię.

- To prawda.

- To znaczy, że jest pani prawdziwą ofiarą Krachu, że pracuje pani, aby się utrzymać?

- Za pięćdziesiąt dolarów tygodniowo. Przypadkiem powodzi mi się całkiem nieźle.

- Proszę mi wszystko opowiedzieć - zaproponował przekonany, że o niczym innym nie marzy. No bo która kobieta taka nie była?

- Wszystko? Jest pan cholernie źle wychowany, wie pan o tym? Dlaczego w ogóle miałabym panu cokolwiek opowiadać? Chyba nie dosłyszałam nawet pańskiego nazwiska, jakiegokolwiek by ono było. Zepsuł mi pan polowanie śmieciarzy, a teraz jest pan absolutnie arogancki. Co więcej, nawet nie zapytał pan, czy lubię szampana, zanim pan go zamówił.

- Ma pani całkowicie rację - powiedział z zaskoczeniem.

- Najmocniej przepraszam. Czy chciałaby się pani napić czegoś innego?

- To w zupełności wystarczy, dziękuję - rzekła Maggy. Rozejrzała się wokoło, nie zwracając na niego uwagi.

- Pani Lunel, nazywam się Jason Darcy, mam dwadzieścia dziewięć lat i urodziłem się w Hartford w Connecticut w porządnej rodzinie. Nigdy nie byłem w więzieniu, nie oszukuję w pokera, kocham zwierzęta, moja matka ma o mnie bardzo dobre mniemanie i zwykle zachowuję się o wiele taktowniej, niż dałem pani powód przypuszczać.

- Czy to rzeczywiście „wszystko”? - spytała Maggy, obdarzając go lekkim uśmiechem.

- Jestem wydawcą „Mode”, „Women's Journal” i „City and Country Life”.

- *Tiens, tiens*, trzy czasopisma na jednego człowieka - rzekła.

- A co dokładnie robi wydawca? Poza byciem nieznośnie ciekawskim wobec nieznanym dam?

- Dokładnie? Jestem szefem.

- Cóż za nic nie wyjaśniające wyjaśnienie. Komu pan szefuje i dlaczego? Proszę o większą precyzję, jeśli łaska.

Spojrzał na nią i dostrzegł w jej oczach ledwo ukrywane szyderstwo.

- Czy nie mogłaby pani być pod trochę większym wrażeniem?

- A powinnam? Nie mam pojęcia, co robi wydawca.

- Wymyśliłem te czasopisma, zdecydowałem, jak mają wyglądać, określiłem swoich czytelników, ustaliłem kryteria, formaty. Odpowiadają przede mną redaktorzy, a także wszyscy, którzy fizycznie wytwarzają czasopisma.

- Czy to imperium wydawnicze? - spytała Maggy. - Jak na przykład imperium pana Hearsta?

- Moje przypomina bardziej królestwo niż imperium - przyznał Darcy.

- Jak skromnie, panie Darcy.

- Nie jest pani szczególnie zachwycona pić szampana z dość ważnym wydawcą?

- Jestem o wiele za dorosła i za mądra na pełen zdumienia zachwyt, panie Darcy.

- Darcy.

- Darcy. To niewiele, co widziałam ze świata, pozostawiło mnie zblazowaną, steraną, zepsutą i, co najgorsze, głodną.

- Tak szybko po kolacji?

- Kolacja jest posiłkiem, po którym nieuchronnie czuje się głód.

- Co więc powiesz na trochę siekanego kurczaka? To tutejsza specjalność.

- Resztki, jakie to po dziecinnemu barbarzyńskie. - Od czasu przybycia do Stanów Zjednoczonych Maggy nie czuła się tak impulsywnie, tak zawadiacko, tak oszałamiająco, cudownie lekkomyślnie. Ach, ale to tak zabawnie robić kompletnego durnia z mężczyzny, pomyślała. Mężczyźni zostali wynalezieni po to, żeby robić z nich durniów - tylko do tego się nadają, do niczego innego. Paula tak powiedziała, a Paula miała rację.

Jason Darcy nie mógł oderwać oczu od Maggy. Strzelało z niej więcej ognia niż z czarnego opalu. Patrzył na jej złocistozielonkawe oczy i marchewkowe włosy, układające się gładkim lśnieniem wokół jej głowy i

załamujące się w miękkie fale tuż pod podbródkiem - jaśniała jak zarumienione dziecko biegające po pierwszym śniegu. Kim, do diabła, jest Maggy Lunel? Na pewno ani chórzystką, ani damą do towarzystwa. A jednak był pewien, że zna wszystkie najpiękniejsze dziewczyny w mieście.

- Mam! Jesteś nową dziewczyną od Powersa.

- A cóż to takiego? - spytała Maggy z ciekawością. Ostatnio coraz częściej słyszała to wyrażenie, ale zawsze brakowało jej czasu lub zainteresowania, by zapytać o ten dziwny amerykańizm.

- Modelka fotograficzna z agencji Johna Roberta Powersa - no, przestań wyglądać, jakbyś nie wiedziała.

- Naprawdę, nie jestem związana z tym światem. Ja jedynie demonstruję na sobie kopie paryskich oryginałów i pomagam prowadzić towarzyskie pokazy mody. Dom Bianchiego nigdy nie zatrudniał żadnej dziewczyny od Powersa.

- No, to tylko kwestia czasu, bo Powers staje się coraz potężniejszy. Zajmuje się tym od paru lat, od czasu gdy wszystkie agencje reklamowe i czasopisma zaczęły stosować fotografie zamiast rysunków.

- A ile zarabiają te dziewczyny od Powersa?

- O ile pamiętam, na początku zaczynały od pięciu dolarów za godzinę, ale teraz najlepsze dziewczyny dostają piętnaście.

- Piętnaście za godzinę! To majątek! - Maggy była oszołomiona.

- Święta racja, szczególnie, jeżeli dziewczyna dużo pracuje, a mimo Depresji wszystkie są coraz bardziej zajęte. Dzisiaj firma musi albo się reklamować, albo pada, a nic tak nie pomaga sprzedać produktu, jak ładna dziewczyna.

- A pan John Robert Powers, ile on zarabia?

- Dziesięć procent tego, co dostają modelki.

- A ile modelek pracuje dla niego? - nie ustawała w dociekaniach Maggy.

- Nie jestem pewny... chyba około setki, włączając mężczyzn i dzieci. Jeśli rzeczywiście jesteś tylko modelką w domu mody za pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, to powinnaś pracować dla niego.

- Dziękuję - powiedziała Maggy z roztargnieniem.

Jason Darcy w dalszym ciągu był przekonany, że Maggy Lunel jest kimś więcej, aniżeli się do tego przyznaje i to nie dlatego, że brzmiało to nieprawdopodobnie, ale ponieważ było w niej coś tak szczególnego, że stał się podejrzliwy.

Maggy Lunel nie zachowywała się normalnie. W jej zachowaniu, oczach czy słowach nie było nic, co wskazywałoby, że próbuje go uwieść, a w to Darcy nie potrafił uwierzyć. Wiedział równie dobrze - albo lepiej - jak wszyscy inni, że stanowi jedną z najlepszych partii w Stanach Zjednoczonych. Ma wszystko, a co najważniejsze, w wieku zaledwie dwudziestu dziewięciu lat zdobył wystarczające wpływy, by stać się dobrą partią, nawet gdyby był karłem. W dodatku nie miał zobowiązań osobistych i był zamożny, co uczyniłoby z niego dobrą partię, nawet gdyby był wilkołakiem. Nie był jednak ani karłem, ani wilkołakiem, lecz mężczyzną, który za każdym razem, kiedy spojrział w lustro, przyznawał, że jest przystojny, niewątpliwie przez genetyczny przypadek, lecz przypadek nie do pogardzenia.

Dlaczego więc, jakim sposobem ta kobieta może siedzieć pijąc jego szampana i przepytować go o Powers Agency, jakby był tylko jakimś przekąźnikiem informacji i niczym więcej?

Może jest zakochana? To jedynie rozsądne wyjaśnienie. A jednak na przyjęcie przyszła sama. Ogarnęła go wściekła chęć dowiedzenia się o Maggy czegoś więcej. Wydawało się, że wymownymi ruchami rąk graweruje w powietrzu jakiś wzór. - No i gdzie ten słynny siekany kurczak? - spytała nagle - I dlaczego mój kieliszek jest pusty? Pójdziemy zatańczyć? - Zachowywała się praktycznie, nie prowokująco - co zauważył z nowym zdziwieniem - lecz z niezwykłą żywością.

- Ale co z polowaniem śmieciarzy Lally?

- Ależ to śmieszny i nudny amerykański zwyczaj - przecież tak uważasz, prawda?

- Dokąd chciałabyś pójść? Do St. Regis Roof, Embassy, Cotton Club?

- Le Jockey - mruknęła Maggy.

- Jockey? - powiedział w zdumieniu.

- Tak powiedziałam? Nieważne, od lat jest zamknięty. Chodźmy do Harlemu.

* * *

Adrien Avigdor był pewien swego. Od czasu gdy dwa lata temu Julien Mistral zamieszkał w Félice, od czasu tego nieprawdopodobnego ślubu z Kate Browning, miał w Paryżu trzy indywidualne wystawy, a każda odnosiła większy sukces niż poprzednia. Wszystkie obrazy sprzedawane były na pniu.

Teraz, wiosną 1931 roku, nadszedł czas wystawy w Nowym Jorku. Produkował niewiele, albo raczej malował dużo, ale mało wystawiał. Mistral w pełni wykorzystywał prawną sytuację każdego francuskiego malarza umożliwiającą mu, przez napisanie na odwrocie obrazu prostych

słów - *ne pas a vendre* - uzyskać prawo wycofania ze sprzedaży każdego płótna lub nawet zakazania wystawienia go, choć wiązał go z Avigdorem kontrakt na wszystko, co zgodzi się sprzedać.

Co roku, na cztery miesiące przed zaplanowaną wystawą, Avigdor jechał samochodem do Prowansji i spędzał wyczerpujący, trudny tydzień mieszkając w La Tourello i sprzecząc się z Mistralem o jego nowe prace. Avigdor wspominał posepnie, jak kiedyś w 1928 roku Mistral nie był zadowolony z ani jednego obrazu i jesienią owego roku wystawa się nie odbyła. Mistral niszczył prace, które mu się nie podobały, w dorocznym ognisku, tańcząc wokół ognia i wrzucając do niego obraz po obrazie jak diabeł z Hieronima Boscha. Radośnie i bez serca zapraszał Avigdora, by patrzył, jak setki tysięcy franków we wspaniałych obrazach zmieniają się w oleisty dym.

- To na wypadek, gdybym padł trupem, Adrien, żebyś nie dostał w ręce rzeczy, których nikomu nie wolno zobaczyć - kto dopilnowałby, żebyś ich nie sprzedał, co? Był tak podejrzliwy jak chłopci, wśród których żył i nie wierzył nikomu oprócz Kate. A i jej ufał tylko do pewnego stopnia. Najwyraźniej nie na tyle, by wierzyć, iż będzie respektować zakazy pisane dużymi literami na odwrocie setek obrazów.

Avigdor cierpiał patrząc na ogromne ogniska Mistrala, lecz czerpał odrobinę satysfakcji z faktu, że podczas gdy po wystawie nie miał ani jednego wolnego Mistrala na sprzedaż, to żaden inny handlarz w Paryżu nigdy nie miał w ogóle żadnego Mistrala. O ile Avigdor się orientował, nikt z kolekcjonerów nigdy nie odsprzedał raz kupionego Mistrala. Sam Mistral zachowywał swoje ulubione obrazy dla siebie.

Z powodu niewielkiej ilości dostępnych prac Mistrala, ich ceny

przekroczyły wszystko, co planował Avigdor. Ale przecież, myślał, jest tylko trzydzieści sześć Vermeerów, więc może Mistral wie, co robi?

W każdym razie artystom nie powinno się pozwalać żenić się z bogatymi kobietami, bo dawało im to zbyt wiele swobody. Nieważne; Mistral zgodził się w końcu na nowojorską wystawę nowych prac i wyboru pozostałych dzieł od 1926 roku. Różni kolekcjonerzy amerykańscy pożyczali swoje płótna, więc wystawa będzie duża. Wielu krytyków sztuki z amerykańskich gazet już nawiązało aktywny kontakt z Avigdorem. „Vanity Fair” zamówiło długi artykuł o nim, a Man Ray pojechał do Félice, by sfotografować Mistrala w jego pracowni. Mark Nathen, który miał jedną z najlepszych galerii w mieście, planował *vernissage*, który przyciągnie cały artystyczny i towarzyski Nowy Jork. Wystawa będzie jednym z głównych wydarzeń wiosny 1931 roku, ponieważ wszyscy w małym, spokrewnionym ze sobą świecie sztuki byli niezwykle ciekawi zobaczyć prace tego człowieka, który mieszkał jak pustelnik zagrzebany w swoim Luberon, obojętny na swą rosnącą legendę.

* * *

- Myślałem, że moglibyśmy przed kolacją wpaść na otwarcie tej nowej wystawy u Nathena - zaproponował Darcy przez telefon.

- Jakiej wystawy? - spytała Maggy leniwie. Nie miała czasu nadążać za bogatym życiem kulturalnym miasta.

- Mistrala - tego francuskiego malarza - musiałaś o nim słyszeć.

Trzymała słuchawkę w jednej ręce, a drugą oparła się o kominek, by nie upaść. W piersiach czuła okrutne uderzenia serca. Wstrząs na dźwięk nazwiska Mistrala, wypowiedzianego tak nieoczekiwanie, zmroził jej umysł. Żołądek skurczył jej się ze strachu. Dlaczego ze strachu?

zastanawiała się. Powiedziała mechanicznie: - Tak, wiem kto to jest, ale nie bardzo mam ochotę wychodzić dziś wieczorem.

- Maggy, o co chodzi?

- Jestem po prostu tak zmęczona, że nie mogę się ruszyć, zbyt zmęczona, żeby się ubrać... Chyba się przeziębiam.

- Jestem bardzo, bardzo zawiedziony - powiedział poważnie.

- Ja też.

W ciągu trzech tygodni od poznania Maggy Darcy zapraszał ją w różne miejsca o wiele częściej, niż miała ochotę iść. Za każdym razem, kiedy się z nią spotykał, coraz bardziej zbijała go z tropu jej głęboka powściągliwość, jej łagodna, lecz uparta odmowa mówienia o sobie. Wydawało się, że powiedziała mu wszystko, co kiedykolwiek zamierzała mu o sobie powiedzieć w wieczór polowania śmieciarzy. Zawsze nalegała, żeby spotykali się w tajnym barze czy restauracji. Nigdy nie zaprosiła go do siebie, a gdy zegnał się z nią przy windzie w jej domu - nie zapraszała go na górę - Maggy krótko potrząsała jego ręką nie zbliżając się do niego nawet na tyle, żeby mógł zaryzykować pocałunek.

W limuzynie siedziała daleko od niego z rękoma mocno splecionymi na kolanach, a tańczyła z ciałem tak napiętym, że wymuszała delikatną, lecz natarczywą sztywność zachowania, która piosenkę jak „Ta noc jest stworzona dla miłości” zmieniała w satyrę. Czy była oziębła, przerażona, a może cierpiała na jakąś cholerną francuską neurozę, o której nie słyszał? Czy ma to jakiś związek z jej wdowieństwem?

Darcy myślał o niej z obsesyjną ciekawością, bo jej status i istnienie Teddy było jedynymi nowymi szczegółami z jej życia, jakie ujawniła. Analizował te nieliczne informacje, jakie o niej posiadał z taką fascynacją,

jak gdyby był to fragment mapy pozwalający dotrzeć do zakopanego skarbu, lecz ona zachowywała rezerwę, pozostawała zgryźliwa i spokojnie oraz tajemniczo niepoznawalna. I co gorsza, niech to wszyscy diabli, była nietykalna jak księżniczka z wieży. Czasami, kiedy z nią rozmawiał, miał nieomal nieznośne podejrzenie, że coś, co właśnie powiedział, wywołało u niej atak grzecznie tłumionego śmiechu, ale nigdy jej właściwie na tym nie przyłapał. Ależ ona potrafi nad sobą panować!

- Posłuchaj, zadzwonię jutro, ale uważaj na siebie, nie rozchoruj się. Położysz się wcześniej? - spytał z niepokojem.

- Tak - odparła bezbarwnym tonem. - Obiecuję.

Gdy niepocieszony Jason Darcy wchodził do Nathen Gallery, cały czas zapewniał sam siebie, że Maggy Lunel musi przynajmniej go lubić. Darcy, poszukiwany, trudno dostępny, potężny, dumny Darcy zaczął rozważać swe zalety w charakterze przeciwwagi do faktu, że nigdy nie pozwoliła mu się zbliżyć do swoich warg. A potem szybko, jak człowiek dotykający krawata, by upewnić się, że jest dobrze zawiązany, powiedział sobie, jak nedorzecznie się zachowuje, gromadząc ziemskie aktywa, wyliczając swe czasopisma, swój dom pełen służby, ukończenie Harvardu z wyróżnieniem, swą młodość, zdrowie, biurko zavalone zaproszeniami i prośbami z każdego zakątka świata, gdzie docierały jego wydawnictwa, jakby chciał udowodnić, że jest wystarczająco wiele wart, by zostać wpuszczony do ukrytego ogrodu osobistego, strzeżonego świata Maggy Lunel.

Przyjrzał się tłumowi w Nathen Gallery, zdumiony szerokim przekrojem Nowego Jorku, jaki tu ujrzał. Widział wielu znajomych i słuchając przesyconego zamożnością szumu rozmów pomyślał, że

wygląda to bardziej na antrakt w Metropolitan Opera niż na wydarzenie artystyczne. Przypuszczał, że damy z towarzystwa, które rozpoznał i witał, stawiały się tak tłumnie dlatego, że dochód z wystawy został przeznaczony na Szpital Dziecięcy. Widok Whitneyów, Ochsów, Kilkullenów, Gimbelów, Jayów, Rutherfordów i Vanderbiltów przemieszanych z najsztywniejszymi twarzami Greenwich Village i Southampton był rzadkością.

Gdy jednak Darcy zaczął oglądać obrazy, jego łagodne zainteresowanie składem tłumu zniknęło natychmiast. Doznał nagłego wrażenia, że ujmuje go para wielkich, silnych dłoni i stawia przed nowym horyzontem. Każdy obraz był krokiem na ścieżce do innego świata, świata alternatywnego, lepszego. Myślenie, rozwaga, logika, czas i przestrzeń rozplynęły się w nieokreślony blask, przepych żywej, oddychającej farby.

A właściwie, zapytał oszołomiony Darcy samego siebie, co takiego maluje ten człowiek? Kawiarniany stół i krzesła pod pomarańczową markizą, grupę topoli drgających w upale, koszyk na zakupy wypełniony chlebem, rzodkiewkami i bukietem dalii, kobietę pochyloną rano w ogrodzie - najprostsze tematy, nic, czego nie malowało tysiąc malarzy przed Mistralem.

A jednak uczucia, jakich doznawał malarz patrząc na te obiekty, tak stopiły się z tym, co przelewał na płótno, że powstał most przerzucony ze świata, w którym czuł Mistral, do świata, w którym żył widz, tak że przez chwilę Darcy widział oczyma Mistrala, wszedł w jego wizję.

Darcy chodził po galerii zdumiony, zadziwiony, uniesiony rozkwitem własnych zmysłów, mając wrażenie, jakby przeniósł się z Nowego Jorku w otwartą, pełną słońca, cętkowaną cieniami chmur krainę,

i znalazłszy się w ostatniej sali nie zauważył, że jest szczególnie zatłoczona i rozbrzmiewająca gwarem rozmów.

Maggy! Zadrzał gwałtownie, a na karku zjeżyły się mu włoski, gdy na każdej ścianie ujrzał wielkie obrazy z Maggy, nagą i tak żywiołowo wystawiającą wspaniałość swego ciała, odsłoniętą, bezwstydną, szczęśliwszą niż kiedykolwiek marzył, dostępną dla każdego oka, Maggy, bardziej erotyczną, gwałtowniej i hojniej zmysłową niż jakakolwiek kobieta, którą widział na obrazie lub w naturze.

Pożądanie, dotykalne jak dym, ostre, drapieżne, nagie pożądanie drżało na płótnach z Maggy leżącej na nieposłanym łóżku z szeroko rozrzuconymi nogami i jedną ręką zwisającą nad podłogą; Maggy z wilgotnymi włosami myjącą się między nogami namydloną ściereczką; z roześmianą Maggy rzuconą na stertę zielonych poduszek, z rozpalonymi, wrażliwymi sutkami i włosami łonowymi skąpanymi w smudze światła tak, że każde rude włókienko pulsowało oddzielnym życiem.

Darcy stał nieruchomo, skamieniały, nie potrafiąc odwrócić wzroku od obrazów. Dobiegały go pojedyncze słowa unoszące się z szumu rozmów. W gwarze wyczuwało się pełne zachwyty, wysokie nuty ledwo skrywanego podniecenia, jakim wita się każdy niezaprzeczalny skandal.

- Modelka od Bianchiego, moja kochana, ta Francuzka... kochanka... Perry Kilkullen, oczywiście... co za skóra... widziałam ich razem u Maxima... jak mówisz, Bianchi?... wdowa, akurat... niewiarygodne piersi... czy oni nie mieli dziecka?... spotkałam ją u Lally, tak, jestem pewna... z pewnością dziecko... nigdy nie zrozumieć, jak zarząd szpitala może... Kilkullenowie dostaną... szokujące... nie bądź taki drobnomieszczański... szokujące... mówisz, że kiedy malowane?... modelka Bianchiego... biedna

Mary Jane... Perry'ego...

Dlaczego, do cholery, nie namalował ich spermą? Darcy pomyślał sobie, że może by tak po prostu przelecieć te płótna? Zatrząsał się od nieopanowanego śmiechu. Jeszcze nigdy życie nie zaatakowało go tak nieoczekiwanie. Ta nieskazitelna dama, ta opanowana i wymykająca się księżniczka - och, jak pięknie wystrychnęła go na dudka! Podziw dla Maggy rósł w nim jak wielka fala zduszonego śmiechu. Obserwował twarze wszystkich mężczyzn w sali pożerających wzrokiem obrazy - założy się, że połowa z nich usiłowała opanować sztywniejące ptaki - tak jak on. Och, Maggy, kochana Maggy, a więc „słyszałaś” o Mistralu, tak? - a jak często przerywał malowanie, żeby cię przelecieć? Jak w ogóle potrafił skupić się na farbach i pędzlach? Facet musiał mieć opanowanie noża do diamentu, żeby w takich warunkach pracować - och, Maggy, żadna kobieta nigdy mnie tak nie zaskoczyła - znów czuję się jak niewinny piętnastolatek. Brawo!

* * *

Zanim minęło popołudnie następnego dnia, Maggy była bez pracy. Nie miała do Bianchiego pretensji; jej użyteczność dla niego wyraźnie się skończyła. Nim wezwał ją do siebie, otrzymał z tuzin pełnych oburzenia telefonów i jeśli w żadnym z nich nie padło sformułowanie „nierządnicą”, to tylko dlatego, że było staroświeckie. Oczywiście Maggy nie mogłaby już zorganizować żadnego towarzyskiego pokazu mody, a jeśli chodzi o demonstrowanie strojów dla firmy, jej rozgłos szkodziłby sukniom. Ludzie przychodziliby zobaczyć bohaterkę skandalu, ale nie pomyśleliby nawet o zamówieniu strojów, które nosiła. Dyskwalifikowałyby sukienkę samym jej włożeniem na siebie.

Żegnając się z Maggy czekiem z dwutygodniową wypłatą Alberto Bianchi doznawał dwóch uczuć: smutku z utraty tej cennej modelki i palącej niecierpliwości, by pobiec do Nathen Gallery i samemu zobaczyć, jak wygląda Maggy zupełnie naga. - Bóg jeden wie, ile stracił czasu zastanawiając się nad tym.

Darcy próbował skontaktować się z Maggy u Bianchiego gdy tylko wyszedł z wystawy, ale bez powodzenia. Niańka Butterfield powiedziała mu, że poszła do łóżka. Dzwonił kilka razy do domu, ale Maggy nie odbierała telefonów, nawet od Lally, która też dzwoniła kilka razy. Poprosiła niańkę, żeby odbierała telefony i mówiła, że wyjechała z miasta i przez jakiś czas jej nie będzie.

Kiedy Darcy nie mógł się dodzwonić, poszedł do jej mieszkania, ale odźwierny miał surowo przykazane wpuszczać na górę tylko dostawców. Dwa razy dziennie posyłał jej kwiaty z karteczkami, błagając o telefon do biura lub do domu, lecz bez skutku. Godzinami wystawał niecierpliwie na ulicy przed jej domem, ale nie wychodziła. Zrobił prawie wszystko poza przebraniem się za dostawcę. Trudno mu było uwierzyć we własne zachowanie, ale nie potrafił siedzieć beczynnym.

* * *

Cztery dni po otwarciu wystawy Mistrala Darcy zadzwonił jeszcze raz późnym popołudniem w nadziei, że może Maggy jest już gotowa wyjść z izolacji. Gdy zadzwonił telefon, Maggy była w łazience, niańka Butterfield robiła Teddy kolację, więc sama Teddy odważyła się podnieść słuchawkę, czego nie wolno było jej robić.

Miała trzy lata, a więc była w najlepszym wieku małych dziewczynek. Teddy już się przyzwyczaiła do okrzyków wydawanych w

parku przez nieznanym, którzy po raz pierwszy widzieli jej urodę, i nauczyła się, że pewne prawa może łamać nie narażając się na reprimendę tylko z powodu swego wyglądu. Jednak prawa te nadal obowiązywały w domu; niańka i Maggy próbowały być stanowcze, łączyło je bowiem przekonanie, że niewybaczalnie łatwo byłoby ją zepsuć. Dzwoniący telefon od dawna był dla Teddy obiektem czci. Podniosła słuchawkę z pełną winy radością i stłumionym głosem powiedziała:

- Halo?

- Kto mówi? - spytał Darcy, myśląc, że to pomyłka.

- Teddy Lunel. Kim pan jest?

- Przyjacielem twojej mamy. Dzień dobry, Teddy.

- Dzień dobry, dzień dobry, dzień dobry. - Zachichotała i wyciągnęła szyję. - Mam nowe czerwone buciki.

- Teddy, czy jest mamusia?

- Tak, ale nie chcesz rozmawiać ze mną? Jak się nazywasz?

- Darcy.

- Dzień dobry, Darcy, dzień dobry, Darcy. Ile masz lat?

- Dzień dobry, Teddy, mam... och, nieważne... czy jest mamusia?

- W łazience... nie, jest już tutaj... mamusiu, telefon do ciebie. Teddy pośpiesznie wyciągnęła słuchawkę do Maggy, która rozejrzała się dziko za niańką Butterfield, prawie odłożyła słuchawkę, lecz w końcu strzeliła palcami i powiedziała krótko: - Tak?

- Maggy, dzięki Bogu, myślałem, że nigdy nie wyjdiesz z ukrycia.

- Nie ukrywam się! - powiedziała z furją.

- No więc zapadłaś w sen. Twoja córeczka jest czarująca, o wiele miłsza od ciebie. Co powiesz na wspólną kolację?

- Nie ma mowy. Nigdzie nie wychodzę.

- Ależ wszyscy w Nowym Jorku piją twoje zdrowie.

- Darcy, nigdy przedtem nie byłeś złośliwy.

- Mówię prawdę. - Galeria jest oblegana przez tłumy, które słyszały, jaka jesteś soczysta. Uważają cię za piękność dekady.

- *Succes de scandale* - uważasz, że tego pragnę?

- To Nowy Jork, Maggy, każdy sukces jest sukcesem, nikogo nie obchodzi, na czym jest oparty, dopóki trwa rozgłos - powiedział, bardzo starając się sprawić w jedyny sobie znany sposób, by Maggy poczuła się lepiej.

- Gdyby tak było nadal miałabym pracę - odparła Maggy, zraniona jego praktycznym podejściem. Czy nie rozumie, jak jest skrepowana, upokorzona?

- To co innego, Bianchi musiał ugłaskać klientki, ale one nie liczą się w mieście... och, tak uważają, ale liczą się tylko w swoim własnym świecie.

- Niemniej jednak, Darcy, zarabiałam w tym świecie na życie.

- Maggy, pamiętaj, że myślałem, że jesteś dziewczyną od Powersa... może pójdziesz do niego?

- Nie! - zawołała ostro Maggy. - Nigdy, z żadnego powodu, nie będę już modelką. Byłam modelką malarzy i modelką w domu mody - kiedy zaczynałam, miałam siedemnaście lat, a teraz mam dwadzieścia trzy i jestem bez pracy - i nigdy nie zarabiałam więcej niż pięćdziesiąt dolarów tygodniowo - nie, dziękuję, to nie dla mnie, niewiele z tego mam, prawda? Z drugiej strony... no... to chyba głupio z mojej strony... - przerwała nie chcąc mówić dalej.

- Powiedz mi, Maggy, mów.

- To głupi pomysł. Nie, nie - może nie tak zupełnie głupi... pamiętasz, jak powiedziałeś mi, że dla Powersa pracuje sto modelek i że oddają mu dziesięć procent zarobków?

- Jasne. I co z tego?

- Potrafię mówić modelkom co i jak robić. U Bianchiego wszystkie dziewczęta przychodziły do mnie po rady - ja to chyba mam w zakończeniach nerwów. Nie mam pojęcia, czego od dziewczyny wymagają fotografowie, ale nie może się to tak bardzo różnić od tego, czego chcą malarze, no więc... pomyślałam, że mogłabym... spróbować... sama otworzyć agencję! - zakończyła w przyływie odwagi.

- Konkurować z Johnem Robertem Powersem? - zapytał z powątpiewaniem.

- A dlaczegoż by nie? Co takiego robi jakiś mężczyzna, czego ja nie mogłabym zrobić? I to może lepiej? To tylko inny rodzaj handlarza, a ja ich znałam dziesiątki - wierz mi, nie mają w sobie żadnej magii. - Mówiła pośpiesznie dalej, reagując na jego powątpiewanie. - Tak się składa, Darcy, że mogę zaryzykować pewien kapitał.

- Maggy, jesteś cholernie cudowna! Chcesz trochę zamówień od „Mode”, „Women's Journal” i „City and Country Life”?

- Oczywiście, że tak! Och, Darcy, to mogłoby się stać, naprawdę mogłoby się stać, prawda?

- Już się stało! - Jak mu brakowało jej śmiechu! Świat od niego tańczył. - Maggy, pójdźmy gdzieś wieczorem to uczcić. Szampan na chrzciny nowej agencji?

- Pod jednym warunkiem - musisz pozwolić mi zapłacić.

- Dlaczego, na litość boską?

- Lunel Agency pragnie zaprosić swego pierwszego klienta na szampana.

O, cholera, pomyślał, cholera! Za późno, o wiele za późno zdał sobie sprawę, że uwielbia tę niemożliwą kobietę, której praktycznie pomógł założyć interes. - Masz rację, Maggy - powiedział ponuro. - Właściwie nie masz już wiele do nauczenia się.

Dziewczęta Maggy, jak wszyscy nazywali modelki z Lunel Agency, najpierw stanowiły doborową garstkę, lecz wkrótce ich szeregi urosły do kilkudziesięciu; śliczne dziewczęta, dziewczę - ta - motyle, o wiele bardziej olśniewające i tak wyraźnie bardziej wyrafinowane od swych jedynych rywalek, „Długonogich Amerykańskich Piękności” Powersa, często karmionych kukurydzą.

Dziewczęta Maggy przetańczyły lata trzydzieste, jakby nie istniała Wielka Depresja. Ubrane w szerokie suknie balowe bez ramiączek, z wielkimi lawendowymi orchideami przypiętymi do staników, odpędzały rzeczywistość, tańcząc w Stork Club czy El Morocco, eskortowane przez przynajmniej dwóch mężczyzn u każdego boku. Ucieleśniały marzenia milionów Amerykanów tłoczących się w kinach na filmach o bogatych ludziach, w których życiu wszystkie telefony są białe. Tak jak poważne doniesienie „Vogue'a”, że zabawne nowe kapelusze „zagłuszyły wiadomości o giełdzie i rosnącym znaczeniu pana Hitlera”, Dziewczęta Maggy zaspokajały, choćby tylko zastępczo, gorącą potrzebę zabawy drzemiącą w ludziach. Gazeta „New York Daily News” zapytała w ankiecie swe czytelniczki, czy wolałyby zostać gwiazdą filmową, debiutantką czy jedną z modelek Lunel i czterdzieści dwa procent zdecydowało, że wolałaby pracować dla Maggy.

* * *

Podczas gdy Maggy prosperowała w Nowym Jorku, Julien Mistral z gorączkową energią malował w Félice. Wszedł w swój „Okres Średni”, który miał trwać przez następne dwadzieścia lat. Już nie malował, tak jak w latach dwudziestych, przypadkowych scen czy przedmiotów, które

czymś go zainteresowały. Teraz poświęcał się przez dwa czy trzy lata jednemu tematowi i z całej jego koncentracji, z tysięcy studiów i szkiców roboczych, które w końcu niszczył, wyłaniał się cykl obrazów, od tuzina do trzydziestu pięciu.

„*Defense d’Afficher*”, seria obrazów przedstawiających ściany pokryte warstwami odklejających się plakatów, była pierwszym z tych historycznych cykli. Potem był „*Vendredi Matin*”, zapis bogactwa cotygodniowego targu odbywającego się w Apt. „*Stella Artois*”, cykl nazywany od ulubionego gatunku piwa Mistrala, ukazywał w niespotykany dotąd sposób bogate życie wewnętrzne wieśniaków spędzających wieczory w kawiarni w Félice na picciu, grach i rozmowach. „*Jours de Fete*”, najważniejszy cykl Okresu Średniego, był zainspirowany uroczystościami obchodzonymi w każdej wiosce regionu Luberon w dzień jej świętego patrona, w dzień całych gór cukrowej waty, rozbawionych dzieci na drewnianych koniach, procesji, ogniu sztucznych, dzikiego podniecenia i rozkwitających wiejskich namiętności.

Mistral spędzał w pracowni każdy dzień od śniadania do kolacji. Przynoszono mu na tacy zimne mięso, chleb i butelkę wina, a on pożerał wszystko stojąc przed sztalugami, nie zdając sobie sprawy ze smaku potraw. Kate wykorzystała okazję stworzoną przez brak zainteresowania jej męża czymkolwiek, co nie było jego pracą i przejmowała coraz większą kontrolę nad jego interesami. Ona zajmowała się wszystkimi kontraktami z Avigdorem, ona prowadziła korespondencję z galeriami w wielu krajach chcącymi wystawić prace Mistrala, i ona podejmowała decyzje związane z prowadzeniem gospodarstwa.

Raz do roku, podczas żniw, Mistral wychodził z pracowni i pracował

w polu ze swymi ludźmi, lecz poza tym żył w zupełnie własnym świecie. Nie miał czasu na gazety. Zmieniające się w Europie prądy polityczne nie interesowały go bardziej niż tren z kogucich piór przy najnowszej paryskiej sukni wieczorowej. Owszem, turniej *boules* w Félice nadal coś dla niego znaczył, ale już spalenie Reichstagu było dla niego wydarzeniem bez znaczenia. Jeśli stwierdził, że skończyła mu się dziesiąta tubka surowej umbry, wpadał we wściekłość, ale katastrofa, o której przypadkiem usłyszał od gospodarzy w kawiarni, nie poruszyła go na tyle, by mruknąć choć słowo współczucia dla ofiar. Równie mało interesował się włoską agresją w Etiopii, co „Amos'n'Andy”.

Julien Mistral był u szczytu swych możliwości twórczych, wreszcie pogodzony z sobą, a jego wrodzony egoizm jedynie potęgowała świadomość, że nigdy nie malował tak dobrze. Jak cokolwiek, co działo się na świecie, mogło mieć najmniejsze znaczenie, skoro co ranka budził się z nieprzepartą, płonąca ogniem w każdej komórce jego ciała, potrzebą stanięcia przed sztalugami. Jak długo wiedział, że nic nie może przeszkodzić mu w spędzeniu całego dnia w pracowni, nie miał na niego wpływu los żadnego człowieka ani żaden powiew historii.

* * *

Natomiast Kate Mistral nigdy nie straciła kontaktu z życiem toczącym się poza Félice. Kilka razy do roku jeździła do Paryża, by odnowić znajomości w świecie sztuki i kupić sobie ubrania, bowiem mimo mieszkania na wsi nadal zawsze dobrze się ubierała. Blisko współpracowała z Avigdorem nad wystawami Mistrala, tak samo jak nad pierwszą, i reprezentowała męża na wernisażach, na których nigdy nie bywał. Czasami zostawiała go na miesiąc i wracała do Nowego Jorku

odwiedzić rodzinę. Prawie nie zauważał jej nieobecności.

Po krachu na giełdzie, Kate nie była już bogata. Patrząc wstecz stwierdziła, że miała szczęście wydając tak dużo swoich pieniędzy na kupno posiadłości La Tourello. Chociaż spełniła obietnicę daną Mistralowi, by go zdobyć, i dała mu w posagu tytuł własności ziemi, była to doskonała inwestycja. Jej mąż nie miał pojęcia, jak bogaci się stawali. Liczne żyzne hektary otaczające *mas* były starannie uprawiane i słodkie od owoców i warzyw przeznaczonych dla hurtowników w Apt. Mieli piękne świnie, stada kurcząt i kaczek, kilka koni, najnowsze maszyny rolnicze i wiele rąk do pracy na roli. Gdy tylko na rynku pojawiał się nowy kawałek ziemi przylegający do ich gospodarstwa, Kate go natychmiast kupowała. Samo gospodarstwo pozwalało im na wygodne życie, myślała z zadowoleniem, licząc po kilka razy wciąż rosnące sumy ze sprzedaży obrazów deponowane przez nią w banku w Awinionie.

Choć rachunek bankowy był, oczywiście, na nazwisko Mistrała, finansowe umiejętności Kate w wielu przypadkach rekompensowały jej brak łączności duchowej w życiu z Mistralem, z którego zawsze zdawała sobie sprawę. Rzadko rozmawiał z nią o swej pracy, nigdy nie prosił, by mu pozowała, z powodu, jak to wyjaśniał, „matowego” kolorytu jej skóry, który nie pozwalał wnikać w nią światłu, i prawie nigdy nie zapraszał jej do pracowni. Kate stała się za to słynną gospodynią. *Mas* był wspaniale wygodny i wszyscy, których Kate i Mistral znali w Paryżu, byli w końcu zapraszani na długie weekendy. Kate była dumna ze swego domu i umiała się popisywać La Tourello.

W czasie tych okresów w roku, gdy gracze w *boules* gromadzili się za kawiarnią, Mistral prawie zawsze przyłączał się do nich, gdy kończył

malowanie, i przychodził do domu na kolację dopiero po zakończeniu ostatniej partii. W zimie, kiedy było za zimno na *boules*, pracował cały dzień i kładł się wcześniej, jak wyczerpany gospodarz. Miała jednak jego ciało, to zawsze głodne, potężnie namiętne ciało, a szorstka, bezpośrednia zachłanność, z którą często zwracał się do niej, by zaspokoić swą potrzebę, zawsze wystarczyła, by doprowadzić ją do ekstazy, bowiem Kate stale znajdowała się w stanie gotowości spowodowanej przebywaniem w zasięgu niezawodnie ogarniającej ją zmysłowości, ilekroć pomyślała o mężu. Wystarczyło tylko, że mruknął: - Cierpliwości, Kate, cierpliwości - a stawała się gotowa na wszystko.

Siedząc samotnie na dole przy wielkim kominku po tym, jak Mistral poszedł spać, Kate zdała sobie sprawę, że obecnie Julien Mistral jest dla niej jak narkotyk w takim samym stopniu co dawniej. Nie żałowała niczego ze światowego życia, jakie prowadziła przed poznaniem Mistrala, a z którego musiała teraz zrezygnować. Ta niewielka część Julienu Mistrala, która nie należała do jego pracy, należała, tego była pewna, całkowicie do niej. Uśmiechnęła się do popiołu, bezpieczna za grubymi murami La Tourello, a na dworze wirowały jesienne liście i nad zamarzniętymi, nagimi polami i ogołoconą z liści winoroślą wschodził czerwony księżyc.

* * *

W 1936 roku Kate zbagatelizowała wojnę domową w Hiszpanii jak tylko potrafiła - mówiła: Hiszpanie przeciwko Hiszpanom - strzegąc spokoju swego ducha, bowiem, w przeciwieństwie do Julienu, czytała gazety. 29 września 1938 roku podpisano porozumienie w Monachium i miliony Francuzów, Anglików i Niemców powiedziały sobie z ulgą, że nie

będzie wojny.

Latem 1939 roku Kate, która nie widziała się z rodziną od dwóch lat, pojechała w odwiedziny do Nowego Jorku. Miasto jej urodzin było szczególnie wesołe z powodu targów światowych pod hasłem „Świat jutra”.

Dwa miesiące wcześniej Hitler napadł na Czechosłowację, ale codziennie dwadzieścia osiem tysięcy ludzi, dla których to odległe wydarzenie nie miało szczególnego znaczenia, ustawiało się w kolejce do „Futuramy”, w której firma General Motors raczyła ich cudownie przekonującą wizją roku 1960. Miała to być era, w której samochody z silnikiem Diesla kosztujące dwieście dolarów i o kształcie kropli będą pędzić po absolutnie bezpiecznych autostradach; będzie lekarstwo na raka; prawa federalne będą chronić wszystkie lasy, jeziora i doliny; każdy będzie miał co roku dwa miesiące wakacji, a kobiety w wieku siedemdziesięciu pięciu lat będą miały doskonałą cerę.

* * *

- Kate, koniecznie musisz wrócić do domu - powiedział Maxwell Woodson Browning, ukochany wuj Kate, który przed przejściem na emeryturę robił karierę w dyplomacji. - Niebezpiecznie jest zostać w Europie.

- Dlaczego jesteś takim pesymistą, wujku? A co z paktem monachijskim? Przecież Hitler dostał, czego chciał? A nie może być tak głupi, żeby próbować wystąpić przeciw Francji - mamy linię Maginota, a żołnierze Hitlera to biedny „zły wyposażony motłoch” - wszyscy o tym wiedzą. Niemcy nie mają broni, nawet ich mundury nie są uszyte z prawdziwej wełny.

- To propaganda! Nie wierz w to, co słyszysz.

- Jakie to niemądre! Dlaczego francuskie gazety i radio miałyby być pełne propagandy? Czy nie wolno im drukować tego, w co wierzą?

- Kate, sytuacja jest śmiertelnie poważna. Jestem w kontakcie z pewnymi ludźmi, którzy są przekonani tak jak ja, że jest tylko kwestią czasu, kiedy Hitler spróbuje zaatakować resztę Europy. Podczas wojny nie mogłabyś się stamtąd wydostać.

- Ależ wujku, nikt nie chce wojny, nikt nie chce znów walczyć, czy nie wszczynasz niepotrzebnie alarmu?

- Kate, zrobiłaś się głupia! - Na takie słowa z ust człowieka, którego zawsze podziwiała i szanowała, Kate Mistral zaczęła słuchać uważnie tego, co próbował jej powiedzieć. Zanim skończył się wieczór, była na tyle przekonana, że natychmiast napisała do Julienu, by przyjeżdżał do Stanów Zjednoczonych.

* * *

Gdy Mistral dostał pierwszy list, odłożył go nie czytając powtórnie. Takie bzdury nie są warte znaczka, który nakleiła na list. Był zajęty pomysłem nowej serii obrazów gajów oliwkowych. W takich chwilach szczególnie zajadle ochraniał swe procesy myślowe. Nic nie może przeszkodzić tej wolnej, miarowej fermentacji. Jej kolejne dwa listy, coraz bardziej histeryczne, zmusiły go w końcu do odpowiedzi. Napisał jej krótko i ze złością, że nikt we wsi nie wierzy w wojnę. Hitler nie ma odwagi, by przeciwstawić się armii francuskiej. Czy krewni Kate nie są świadomi, że choć raz w swej historii Anglicy rozwiązali problem z zaskakującym rozsądkiem?

Kate wzięła teraz sprawy w swoje ręce i zaczęła szukać farmy na

północ od Danbury, na której Mistral mógłby być szczęśliwy. Była pewna, że gdy wydarzenia przybiorą groźniejszy obrót, zobaczy, że Kate ma rację, jak zawsze podczas całego ich wspólnego życia. Znając Julię rozumiała, że zanim będzie mogła liczyć na jego przeprowadzkę, musi znaleźć mu wygodną pracownię. Wtedy jednak podąży za nią, jak czynił to zawsze, oporny do końca. Wróci do Félice, żeby go stamtąd wyciągnąć jak tylko urządzi tu pracownię.

1 września 1939 roku Niemcy zaatakowały Polskę, a w dwa dni później Anglia i Francja związane układem w sprawie obrony Polaków z niechęcią wypowiedziały Niemcom wojnę.

Julien Mistral miał jeszcze czas na opuszczenie Francji, gdyby rzeczywiście chciał to zrobić, jak postąpiły tysiące Francuzów, ale właśnie zaczął na poważnie malować cykl zwany później „*Les Oliviers*”. Światło przybrało ten przezroczysty, głęboko złoty kolor oznaczający, że minęło lato, a wiatr, ten ostry, lodowaty, ożywczy mistral, który tak uwielbiał, zwiął cały blask z zagajników drzew oliwkowych i Mistral pogrążył się w bezlitosnej, ślepej koncentracji. Mistral mógł spakować się i wyprowadzić się z Félice z równą łatwością, co kobieta w ostatnim stadium porodu.

Przez całą zimę Mistral malował w swojej pracowni oliwki lata, te dziwne, mityczne drzewa, hermafrodyty o wiekowych męskich pniach, poskręcanych, brutalnych, niemal brzydkich, nad którymi strzelały żeńskie gałęzie i liście, srebrzyste wiotkie, złączone w nieustającym dialogu ze słońcem.

Gdy Mistral odwiedzał Félice, nastrój w kawiarni był pełen spokoju. Po upadku Polski żadna ze stron nie podejmowała działań zaczepnych i wszyscy się zgadzali, że poza samą walką na pewno jest jakieś wyjście z

tej *drôle de guerre*, którą sami Niemcy nazywali *Sitzkrieg*. Lecz gdy Mistral myślał wyłącznie o swoich oliwkach, wypoczęci Niemcy pokonali Europę. 17 czerwca 1940 roku, Petain, stary marszałek armii francuskiej, a obecny premier Francji, poprosił o zawieszenie broni lub rozejm, lub przyjęcie kapitulacji, lub przerwanie ognia, zależnie od przekonań politycznych różnych ludzi. Pułapka się zatrzasnęła.

Dlaczego teraz, wściekał się Mistral, przeklinając swego pecha. Dlaczego teraz, kiedy ma tyle do zrobienia! Dlaczego teraz, kiedy nie ma wolnej sekundy, dlaczego teraz, kiedy maluje, jak nigdy przedtem, dlaczego teraz ta śmierdząca, okropna przerwa? A co, jeśli nie będę już mógł otrzymywać materiałów z Paryża? W Awinionie nadal nie ma przyzwoitego sklepu z farbami. I co, do diabła, mam zrobić w sprawie nowych płócien?

Miotał się jak szalony po pracowni, składając na stos puste płótna i ponuro licząc te kilka, które jeszcze zostały. Od miesiący nie było przesyłek z Paryża. Jak wszyscy malarze, gromadził farby, ale kto może wiedzieć, kiedy zaczniesz potrzebować nowych? A jakby jeszcze tego było mało, jakby nie miał wystarczająco dużo przeklętych, nie w porę wyklutych zmartwień, była jeszcze sprawa *mas*. Od czasu wyjazdu Kate do Nowego Jorku gospodarstwo systematycznie podupadało.

Jean Pollison, młody gospodarz, którego Kate zatrudniła jeszcze przed ślubem do uprawy roli, zawsze wynajmował dodatkowych robotników do pomocy podczas ciężkich robót na wiosnę i jesieni, lecz od ostatniej wiosny nie można było nikogo wynająć; ludzie albo zostali powołani do wojska i siedzieli teraz w niemieckich obozach, albo byli potrzebni we własnych gospodarstwach do zastąpienia powołanych.

Pollison starał się jak mógł przy pomocy maszyn rolniczych kupionych przez Kate, których tak mu zazdrościli inni rolnicy, ale ostatnio przyszedł do Mistrala - właściwie przerwał mu pracę, pomyślał Mistral z niedowierzaniem - i powiedział mu, że obawia się braku benzyny do kultywatorów. Nowy rząd z Vichy zaczynał wszystko wydzielać na kartki.

- Merde, Pollison! Czy to moja sprawa? - ryknął.

- Przykro mi, monsieur Mistral, ale pomyślałem, że skoro nie ma madame, muszę panu o tym powiedzieć.

- Pollison, rób, co możesz, ale nigdy więcej nie przeszkadzaj mi w pracowni, rozumiesz?

- Ale monsieur Mistral...

- Pollison - krzyknął - dosyć! Sam to rozwiąż, po to tu jesteś.

Wycofując się pośpiesznie z pracowni Jean Pollison pomyślał, że bez względu na to, jak monsieur Mistral starał się odgrywać rolę jednego z nich, bez względu na to, że jest mistrzem *boules* regionu i ilekolwiek by postawił kolejek dla wszystkich w kawiarni, nadal jest obcym z Paryża i nic tego nigdy nie zmieni.

* * *

Pięć dni po zawieszeniu broni z 17 czerwca, późnym popołudniem Marte Pollison zastukała nieśmiało do drzwi pracowni Mistrala. Zwykle po prostu zostawiała tacę z lunchem pod drzwiami, ale dzisiaj miała tak ważną sprawę, że przezwyciężyła swój strach przed gniewem malarza.

- O co chodzi? - warknął.

- Monsieur Mistral, muszę z panem porozmawiać.

- Proszę wejść, do diabła! O co chodzi, do cholery?

- W samochodzie wyładowanym bagażami przyjechali jacyś ludzie

prosząc o przenocowanie. To monsieur i madame Behrman z trojgiem dzieci. Kazałam im zaczekać na zewnątrz, dopóki nie porozmawiam z panem. Jadą do granicy, chcą przedostać się do Hiszpanii. Monsieur Behrman powiedział, że we Francji zrobiło się niebezpiecznie dla Żydów.

Mistral z wściekłością uderzył wielką pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki. Charles Behrman i jego żona Toupette byli starymi przyjaciółmi. Znał rzeźbiarza Behrmana jeszcze z czasów Montparnasse. Wynajęli pracownię obok niego na boulevard Arago i często karmili Mistrala, gdy był bez grosza. Lecz teraz mieli troje dzieci i kiedy Kate przed kilku laty zaprosiła ich na weekend, Mistral przekonał się, że są one denerwująco hałaśliwe. Myślał szybko. To nie do zniesienia, że Behrman sądzi, że może tak po prostu wpadać z całą swą irytującą rodziną, spodziewając się jedzenia i dachu nad głową. A kto wie, jak długo mogą zostać, skoro poczują się wygodnie? Jeśli postanowił uciekać do Hiszpanii, ponieważ jest Żydem, to jego problem. Przecież wojna się skończyła po wprowadzeniu zawieszenia broni na terenie całej Francji.

- Czy powiedziała mu pani, że jestem tutaj? - spytał madame Pollison.

- Właściwie nie, tylko tyle, że będę musiała pana zapytać, czy mogę ich wpuścić.

- Proszę wrócić i powiedzieć im, że nie może mnie pani znaleźć, że wyszedłem i nie wiadomo, kiedy wrócę. Proszę im powiedzieć, że nie może im pani pozwolić zostać na noc bez mojej zgody. Proszę się ich jakoś pozbyć. Nie wpuściła ich pani za bramę?

- Nie, była zamknięta.

- Dobrze. Proszę sprawdzić, czy odjechali i wyglądać za nimi, aż

miną dębinię.

- Tak, monsieur Mistral.

* * *

Nazajutrz po odprawieniu Behrmanów z La Tourello Mistral poszedł do kawiarni w Fe lice i postawił przyjaciółom kolejkę *pastis*. Z niezwykłą uwagą przysłuchiwał się rozmowom przy barze. Po raz pierwszy od czasu, kiedy ich poznał, zaczęła ich dzielić uraza i rozgoryczenie. Ludzie, którzy od lat prowadzili z przyjemnością życzliwe i długie polityczne dysputy, teraz podzielili się na dwa gniewne obozy: tych, którzy uważali, że rozejm Petaina uratował Francję i tych, którzy uważali go za zdrajcę.

Wydawało się, że wszyscy są zgodni w jednej tylko sprawie: irytującej inwazji przeklętych ludzi z północy, ludzi, którzy uciekali na południe ze strefy okupowanej przed zamknięciem linii demarkacyjnej i tych innych, zdumiewająco licznych, którym ciągle udawało się przenikać przez nią nielegalnie. Obcy byli wszędzie, źle przygotowani, często spanikowani, desperacko poszukujący nieosiągalnej żywności i benzyny, zalewali swą obecnością miejscowe władze i jak szarańcza obsiadali wioski i pojedyncze gospodarstwa.

Odczuwano wielką niechęć do tych hord, które nie mogły spokojnie usiedzieć na swoim miejscu.

Mistral wrócił do domu zamyślony. Znał zbyt wielu ludzi w Paryżu. Znał zbyt wielu Żydów. Z powodu Kate i jej nieustającej gościnności, całych lat demonstrowania ich zadowolenia z *mas*, zbyt wielu przyjaciół poznało drogę do La Tourello. Wiedzieli, ile tam jest dodatkowych sypialni, jak bogate są otaczające pola, jak samowystarczalna stała się ta posiadłość. Na pewno będzie więcej nieoczekiwanych gości jak

Behrmanowie i w żaden sposób nie można przewidzieć, kiedy się pojawią albo z jakimi potrzebami.

Zawołał do kuchni Marte i Jean Pollisonów.

- Pollison - rzekł do mężczyzny - chcę, abyś w miejscu, gdzie droga do *mas* odchodzi od drogi do Félice, wybudował wysoki płot. Nie chcę, żeby ktokolwiek tu przyjeżdżał i przeszkadzał mi w pracy - cała okolica roi się od ludzi, którzy będą chcieli mnie wykorzystać, a ja nie mogę zawracać sobie nimi głowy.

- Tak, monsieur Mistral.

- Madame Pollison, nie chcę żadnych przeszkód w mojej pracy. Jeśli ktoś pominie bramę na drodze i przyjdzie przez las, nie chcę o tym wiedzieć. Proszę mówić, że nie ma mnie tu od pewnego czasu i że nie może pani nikogo przyjąć. Proszę w żadnym wypadku nikomu nie otwierać bramy i używać tylko okienka dla listonosza. Nikomu. Czy pani zrozumiała?

- Tak, monsieur.

W ciągu następnych dwóch lat kilkunastu starych przyjaciół i znajomych Mistrala, którzy znali go od lat, miało odbyć niebezpieczną, trudną, pełną przerażenia drogę do La Tourello, czasami z pomocą Francuzów i Francuzek ryzykujących dla nich życie. Wszyscy mieli tylko nadzieję na nocne schronienie przed tymi, którzy polowali na nich tak skutecznie i bezlitośnie. Wielu z tych zrozpaczonych i ściganych uciekinierów zlekceważyło mocny płot i dotarło do *mas*, lecz wielka drewniana brama była zawsze starannie zamknięta, a posępna Marte Pollison nie odpowiadała na gorączkowe dzwonienie rozlegające się w kuchni.

Większość z przybywających do La Tourello była Żydami i tylko nieliczni z nich przeżyli wojnę.

* * *

W czerwcu 1942 roku, idąc w małym kondukcie pogrzebowym matki, Adrien Avigdor zdał sobie sprawę, że teraz jest wolny i może opuścić Paryż... jeśli w takich czasach w ogóle można było użyć słowa „wolny”. Pilnował, żeby na jego marynarce wyraźnie było widać dużą jak jego dłoń żółtą gwiazdę Dawida z czarną obwódką i napisem *Juif* w środku. W całym Paryżu wyłapywano kobiety za noszenie torebek w taki sposób, że zasłaniały gwiazdę;

tylko wczoraj aresztowano mężczyznę za noszenie gwiazdy nie dość mocno przyszytej; w zeszłym tygodniu została zaaresztowana starsza pani mieszkająca obok niego, gdy wyszła do skrzynki na listy w szlafroku zapominając, że nie ma na nim gwiazdy. Rozkaz z 29 maja 1942 roku ustanawiał trzy gwiazdy dla każdego Żyda i Adrien został zmuszony do oddania za każdą z nich odcinka z kartki na materiały.

Nie przewidział tego, nikt tego nie przewidział, gdy Avigdor zdecydował się zostać w Paryżu. Artretyzm zbyt dokuczał jego matce, by mogła się przeprowadzić, więc w te czerwcowe, gorące tygodnie przed dwoma laty razem oglądali exodus zza zamkniętych okiennic mieszkania Avigdora na boulevard St. - Germain.

Dniem i nocą obserwowali przerażony tłum idący w milczeniu na południe. Większość Paryża, całe wioski na północ i na wschód, setki kilometrów ziemi zostawiano wrogom. Ludność wylegała na drogi we wszelkiego rodzaju pojazdach tylko po to, by porzucić je, gdy skończyła się benzyna i iść dalej pieszo, niosąc przestraszone dzieci, parasole i

niedzielne kapelusze, pchając przed sobą dziecinne wózki wypełnione żalonymi, bezużytecznymi domowymi skarbami; rolnicy taszczyli w klatkach kurczaki i poganiali ryczące z pragnienia krowy.

- Idź, Adrien, idź! - błagała go madame Avigdor. - Ja jestem starą kobietą. Nie wolno ci zostawać ze mną... Madame Blanchet z przeciwka zaofiarowała się, że przyjmie mnie do siebie, kiedy tylko zechcę. Odejdź teraz, Adrien, póki jeszcze możesz!

- *Mamon*, nie bądź nierozsądna. Spójrz tylko na tych ludzi - zszarganych, zahipnotyzowanych, to motłoch - zapewniam cię, że nie mam najmniejszego zamiaru przyłączyć się do nich. Jak mogę opuścić moich malarzy, jak mogę zostawić galerię?

Nie powiedział jej, że nie ufa obietnicom sąsiadki, że nie potrafiłby jej zostawić, by sama stawiała czoła Niemcom. I naprawdę był zajęty ratowaniem setek obrazów powierzonych mu przez wielu uciekinierów. Były to najlepsze prace malarzy, których reprezentował i do niego należało bezpieczne ich schowanie. Kto wie, co zrobią Niemcy po wkroczeniu do miasta? Hitler nie znosił sztuki współczesnej. W oczach hitlerowców nawet stary Picasso był „degeneratem”. Ktoś musiał zostać.

* * *

Teraz, po dwóch latach, mógł się tylko ponuro uśmiechać na swą zuchwałość, lecz dzisiaj podjąłby taką samą decyzję. Udało mu się uczynić ostatnie lata życia matki znośnymi i cieszył się, że nie żyła długo po ogłoszeniu dekretu nakazującego każdemu francuskiemu Żydowi w wieku powyżej sześciu lat noszenie gwiazdy Dawida.

Żyła jednak wystarczająco długo, żeby trzeba jej było pomóc stać na powykręcanych nogach w kolejce do rejestracji jako Żydówka w

prefekturze policji; wystarczająco długo, żeby ujrzała słowo *Juif* wpisane dużymi literami w jej dowodzie, wystarczająco długo, żeby się dowiedzieć, iż wszystkich niefrancuskich Żydów wyłapywano i gdzieś wysyłano.

Dzięki Bogu, że nie dożyła chwili, kiedy wszystkim francuskim Żydom, nawet tym, którzy mieszkali we Francji od wieków, nie wolno było uprawiać żadnego wolnego zawodu, prowadzić żadnego interesu, używać telefonu, kupować znaczków, chodzić do restauracji, kawiarni, bibliotek i kin. Nawet siedzieć na publicznych skwerach. Niemniej jednak zachowaliśmy jedno prawo, powiedział sobie Avigdor z wisielczym humorem, wolno nam codziennie kupować żywność w ciągu jednej godziny, od trzeciej do czwartej - gdy większość sklepów jest zamknięta.

Od czasu do czasu jeździły jeszcze pociągi i cywile podróżowali, ale tylko z *ausweisem*, czyli niemieckim zezwoleniem. Rozważając swoje możliwości Avigdor zdał sobie sprawę, że w całej Francji miliony ludzi jeżdżą na śluby, pogrzeby i chrzciny, odwiedzają chorych krewnych albo przenoszą się do innej części kraju ze względu na zdrowie lub interesy. Życie pod okupacją niemiecką dla większości Francuzów toczyło się w najpodlejszych warunkach pod względem wyżywienia, ogrzewania, racjonowania wszystkiego i wszelkich ograniczeń, ale przynajmniej wolno im było próbować przetrwać.

Wiedział, że Soutine znalazł schronienie w Touraine, Max Jacob w St.-Benoit-sur-Loire, Braque był w l'Isle sur la Sorgue, jego przyjaciel, wielki handlarz dzieł sztuki Kahnweiler, mieszkał w Limousin pod nazwiskiem Kersaint, a Picasso nadal pracował w Paryżu, tak jak kolaboranci Vlaminck i Cocteau.

Galerię Avigdora skonfiskowano i na rozkaz Niemców przekazano aryjskiemu handlarzowi, który robił dobre interesy sprzedając wrogowi bohomy dziesięciorzędnych malarzy. W ciągu ostatnich miesięcy Avigdor zbierał informacje na temat najlepszego sposobu ucieczki z Paryża, chociaż to wielkie źródło wszelkich wartościowych plotek, Paula Deslandes, zmarła kilka miesięcy temu na atak serca i La Pomme d'Or zamknięto na dobre.

Od pierwszych dni oporu Paula pomagała zagrożonym ludziom. - Przygotowywałam się do tego całe życie - powiedziała Avigdorowi wesoło. - Wiedziałam, że jest wiele powodów, żeby nigdy nie wyjeżdżać z Paryża i teraz znalazłam najlepszy z nich - ja tu zostaję i szukam sposobów, by wysłać innych.

Większość paryżan wkrótce wróciła do swego miasta po pierwszej fali strachu; ładne kobiety nosiły nowe kapelusze, a co zamożniejsze mogły otwarcie jeść w czarnorynkowych restauracjach bez poczucia winy, bo dziesięć procent ich rachunku szło na ogólnonarodowy cel dobroczynny. W kawiarniach nadal rozmawiali intelektualiści; ludzie nadal zakochiwali się i chodzili do kościoła, a kobiety rodziły dzieci. Nie było nikogo, czyje życie nie zostałoby dogłębnie zmienione.

Każdy Francuz i Francuzka reagował inaczej na obecność Niemców i Avigdor, który swe zrozumienie innych ludzi wykorzystywał niegdyś do sprzedawania im antyków i obrazów, teraz za pomocą swego wyostrzonego instynktu decydował, do kogo jest bezpiecznie zwrócić się o fałszywy dowód i *ausweis*. Zdobyć można było wszystko, każdy rodzaj fałszywego dowodu, łącznie z „prawdziwym” fałszywym dowodem pochodzącym od policji, aż do najżałośniejszych i oczywistych podróbek.

Opiekując się niedomagającą matką, Adrien Avigdor obserwował ruchy sąsiadów. Jak prawie każdy Francuz, Avigdor potrafił uniknąć śmierci głodowej uciekając się do *Mar che Paral-lele*, instytucji, którą można było nazwać czarnym rynkiem, gdyby nie fakt, że kupował na nim każdy, kogo było na to stać. Racje wydzielane przez Niemców nie wystarczały do utrzymania się przy życiu, a i tak były rzadko osiągalne.

Och, miał swoje źródła, przyjaciół, których przez długi czas chował na taką ewentualność. Dzięki Bogu miał pieniądze, żeby zapłacić za ucieczkę z więzienia, jakim stał się Paryż.

* * *

Więcej niż w dwa tygodnie później, uzbrojony w dowód bez słowa *Juif*, niezbędne kartki na żywność i ubranie oraz ważny *ausweis*, Adrien Avigdor ubrany w błękitny strój robotnika rolnego i przyciskający do siebie bezcenny rower, znalazł się w zatłoczonym pociągu jadącym na południe. Podróżował już od wielu dni, większość czasu spędzając na oczekiwaniu pociągu na różnych brudnych, przepelnionych stacjach pełnych ludzi, których wypadłe z rozkładu pociągi jeszcze nie przyjechały i którzy cierpliwie czekali, wyczerpani, siedząc całą noc na tobołkach i pakunkach. Po wybiciu dziewiątej, godzina policyjna więziła ich na stacjach do rana.

Kilka razy Niemcy przeciskający się przez pociąg metodycznie sprawdzali jego papiery, porównując jego twarz ze zdjęciem. Jego otwarta, dobrodusznna, szczerą i niezbyt inteligentną twarz zwykłego gospodarza nigdy nie wzbudziła najlżejszego podejrzenia, jego nowe dokumenty, zręcznie „postarzone”, co kosztowało go tyle co wiejska posiadłość, były bez zarzutu. Avigdor jechał skontaktować się z dużym ośrodkiem oporu w

górach koło Aix-en-Provence, ale postanowił najpierw zobaczyć się z Mistralem.

Kto wie, czy jeszcze kiedyś ujrzy malarza? Musi się upewnić, czy jest bezpieczny. A co, jeśli jak wielu innych wysłano go do Niemiec na roboty przymusowe? Od upadku Francji nie kontaktowali się ze sobą. A co, jeśli deportowano Kate, która zachowała swe amerykańskie obywatelstwo? Avigdor starał się dowiadywać, co się stało z większością jego malarzy pod okupacją - wiadomości jakoś zawsze się przedostawały - ale bardzo martwił go brak jakichkolwiek informacji o Mistralu.

* * *

Od stacji w Awinionie do Félice droga na rowerze była długa i męcząca, ale Adrienowi Avigdorowi sprawiała przyjemność. Pobyt na otwartej przestrzeni po latach spędzonych w ciasnym mieście był czystą radością. Pedalując pod górę z wioski Beaumettes zdał sobie sprawę, że będzie miał dużo szczęścia, jeśli dotrze do La Tourelle przed godziną policyjną. Wszędzie widział pola leżące odłogiem, zaniedbane winnice. Reżim Vichy, który od zawieszenia broni robił w wolnej strefie za Niemców ich robotę, zabrał ze wszystkich zakątków Francji wielu silnych mężczyzn do pracy w niemieckich fabrykach, gdzie zastępowali niemieckich żołnierzy. Jednak produkcja żywności była konieczna i Avigdor nadal widział na polach wielu ludzi, zarówno kobiety i dzieci, jak i mężczyzn w jego wieku, starców i chłopców.

Wyczerpany, wprowadził rower pod górę drogą prowadzącą do *mas*, potem przez las dębów, przeciął łąkę i zastukał do wysokich wrót, które znał tak dobrze. Po długim oczekiwaniu madame Pollison otworzyła małe drewniane okienko i wyjrzała z odpychającą miną.

Avigdor uśmiechnął się na widok znajomej twarzy, którą tak dobrze poznał w ciągu wizyt w minionych latach. - Myśli pani, że zobaczyła pani ducha, tak? Cudownie znowu panią widzieć, madame Pollison, absolutnie cudownie! Mam nadzieję, że została jeszcze w piwnicy jakaś butelka wina dla mnie? No, niech pani otwiera - gdzie jest monsieur Mistral?

- Nie może pan wejść do środka, monsieur Avigdor - odparła kobieta.

- Czy coś się stało? - zapytał, nagle zaniepokojony wyrazem jej twarzy.

- Nikomu nie wolno tu wchodzić, monsieur.

- O czym pani mówi? Przyjechałem na rowerze z samego Awinionu. Czy pani się czegoś boi, madame Pollison?

- Nie, monsieur, ale takie mam polecenie. Nikogo nie możemy przyjmować.

- Ale ja muszę się zobaczyć z monsieur Mistralem!

- Wyjechał.

- Ależ, madame Pollison, pani mnie zna! Ile razy na litość boską, zatrzymałem się tutaj! Jestem przyjacielem - czymś więcej niż przyjacielem. No, niech pani mnie wpuści - co się z panią dzieje?

- To było przedtem. Monsieur Mistrala nie ma, a ja nie mogę pana wpuścić.

- Gdzie on jest? Czy zabrano go na roboty? Gdzie jest madame?

- Powiedziałałam panu, monsieur wyjechał. Madame została w swoim kraju. *Au revoir*, monsieur Avigdor. - Gospodyni cofnęła się od bramy i zamknęła mu drewniane okienko przed nosem.

Avigdor stał z niedowierzaniem. *Mas* był zamknięty tak szczelnie,

jak średniowieczna wioska otoczona murem. Ta wstrętna baba! Nigdy jej nie lubił, ale to niewiarygodne, że go mile nie powitała. Doskonale wie, jak blisko jest z rodziną Mistrala. Dokąd on mógł pojechać? Co jej zrobi, jak się dowie, że odprawiła go z kwitkiem? Znów zaczął walić do bramy, ale najpierw spojrzał na niebo. Było jeszcze jasno, ale wkrótce nadejdzie zmrok i godzina policyjna. Czasu było akurat tyle, by wrócić do jedynej wiejskiej gospody w Beaumettes.

Wściekły, klnąc, Avigdor skierował rower w dół wzgórza, lecz zanim pogrążył się w dębinie, zatrzymał się, odwrócił i po raz ostatni obejrzał się z niedowierzaniem na *mas*.

W wysokim oknie *pigeonnier* tkwiła wielka, łatwa do rozpoznania głowa. Julien Mistral stał i patrzył, jak Avigdor odjeżdża. Swoim ostrym wzrokiem Avigdor nawet widział zacięty, stanowczy wyraz twarzy malarza. Zatrzymał się tak gwałtownie, jakby został postrzelony i z ulgą głośno krzyknął. Na długą chwilę ich oczy się zetknęły. Mistral cofnął się od okna. Avigdor pośpieszył z bijącym sercem do bramy i czekał, aż Mistral zejdzie i ją otworzy. To wszystko wina tej niedorozwiniętej umysłowo gospodyni. Działała samowolnie w ogóle nie pytając Mistrala.

W ciszy zmierzchu mijały minuty, długie minuty, podczas których twardniała cisza *mas*, i dopiero po dłuższym czasie Adrien Avigdor w końcu zrozumiał i wsiał na rower. Nie płakał, gdy Niemcy maszerowali po Champs Elysees, nie płakał naszywając sobie żółtą gwiazdę, nie płakał po śmierci matki, ale teraz zapłakał.

* * *

W pięć miesięcy po tym, jak Avigdor zaczął współpracować z Ruchem Oporu, alianci wylądowali w Afryce Północnej, a Niemcy zajęli

całą Francję. Wolna strefa już nie istniała, w Awinionie umieszczono duży niemiecki garnizon z nieuniknioną placówką gestapo, a w Nôtre Dame-des-Lumieres, pięć kilometrów od Félice, rozmieszczono żołnierzy.

Julien Mistral pracował w polu od ponad dwóch lat. Nawet on został zmuszony do zaakceptowania faktu, że jeśli nie będzie oficjalnie pracował przy produkcji żywności, tak jak wszyscy w Prowansji, to ryzykuje wywiezienie na roboty przymusowe. W każdym razie jeśli chciał jeść, musiał uprawiać ziemię. W sklepikach Félice nie można było kupić żywności za żadną cenę. Tym, który teraz jadł, był gospodarz, choć może jeśli nie do syta, to przynajmniej lepiej niż ludzie w dużych miastach, którzy codziennie umierali z głodu, a francuskie zboża, masło, mleko i mięso trafiały do Niemców.

Mistral ofiarował pracę dnia za obietnicę malowania po nocy przy mocno zamkniętych okiennicach pracowni, tak żeby nie wydostawało się na zewnątrz łagodne oświetlenie, które udało mu się stworzyć za pomocą świec zgromadzonych przed wojną przez Kate, która miała tak wielkie zaufanie do wypchanej spizarni, jak każda francuska *chatelaine*, przewidującą Kate, która gromadziła kostki mydła, jakby były sztab kami złotą; która, ku pogardzie Mistrala, wypełniała szafy kocami i tuzinami grubych, ręcznie tkanych, lnianych, nowiutkich prześcieradeł.

Teraz te prześcieradła, nasycone czymś w rodzaju kleju z rozgotowanych na miękko króliczych kości, służyły mu za płótno do obrazów. Były bezcenne, były jego największym skarbem. Gorzko żałował ognisk minionych lat. Czegóż by nie oddał, żeby odzyskać te obrazy i móc je zamalować? Z rosnącą rozpaczą widział, jak zmniejsza się jego zapas farb, choć wydzielał je sobie jak najoszczędniej. Jednak czasem

podczas pracy zapominał się i pogrążony w twórczym transie używał farby jak zawsze. A potem, gdy świece się dopalały, ogarniała go najczarniejsza rozpacz na widok na wpół opróżnionych tubek, które jeszcze kilka godzin temu były prawie pełne.

* * *

W kilka tygodni po przybyciu Niemców do Awinionu przed bramą do *mas* Mistrala zatrzymał się czarny citroen. Wsiadł z niego niemiecki oficer w zielonym mundurze, a za nim dwaj żołnierze z odbezpieczonymi karabinami maszynowymi. Marte Pollison, zeszywniała i pobladła, pośpiesznie otworzyła przed nimi bramę.

- Czy to jest dom Julienu Mistrala? - zapytał oficer znośną francuszczyzną.

- Tak, proszę pana.

- Przyrowadź go.

Żaden Francuz nie stawiał się na wezwanie niemieckiego oficera bez strachu, nawet Mistral, który nie miał ukrytego radia nastawionego na częstotliwość BBC, nie brał udziału w żadnej akcji Ruchu Oporu i był całkowicie *en regle* z władzami Vichy.

Kapitan przedstawił się szumnie. - *Kapitan* Schmitt. - Wyciągnął rękę i Mistral nią potrząsnął. Niemiec machnął ręką na swych żołnierzy, którzy opuścili broń.

- To wielki zaszczyt pana poznać, monsieur Mistral - rzekł Schmitt. - Od lat podziwiam pańskie prace. Właściwie sam też jestem trochę malarzem - oczywiście tylko amatorem, ale żywię wielką miłość do całej sztuki.

- Dziękuję - odparł Mistral. Ten człowiek wygląda na jednego z

dziesiątków bazgraczy, których tak starannie unikał w przeszłości. Jego mundur zupełnie nie pasował do życzliwych słów.

- Do niedawna stacjonowałem w Paryżu i miałem przyjemność odwiedzić Picassa w jego pracowni. Miałem nadzieję, że jeśli nie będzie to kłopotliwe, pozwoli mi pan może obejrzeć pańską pracownię - tyle o niej czytałem.

- Oczywiście - odpowiedział Mistral. Poprowadził oficera do skrzydła *mas*, w którym malował. Schmitt uważnie przyglądał się obrazom ustawionym pod ścianami. Jego okrzyki zachwytu wykazywały jego spostrzegawczość i inteligencję oraz dokładną znajomość wszystkich prac Mistrala. Stając się coraz bardziej rozmowny, wyjaśnił, że przed wojną co roku odwiedzał jesienią Paryż, by obejrzeć nowe wystawy i obejść muzea. W swoim domu pod Frankfurtem miał własną niewielką pracownię, a nawet teraz, w Awinionie, kiedy tylko ma czas, pracuje z przenośnymi sztalugami. - Nie mogę oprzeć się malowaniu, to moja słabość. Przez dwa lata w Paryżu malowałem co weekend. Pan rozumie, jak to jest.

- Doskonale.

Kapitan wydał żołnierzom jakiś rozkaz. Jeden z nich wybiegł do czarnego samochodu i po minucie wrócił z butelką koniaku.

- Pomyślałem sobie... - rzekł oficer z odrobiną nieśmiałości, podając butelkę Mistralowi - proszę mi pozwolić - będę zaszczycony.

Mistral spojrzał surowo na tego grzecznego, pełnego entuzjazmu, kulturalnego mężczyznę, który był jedynym człowiekiem, jaki od dwóch i pół roku widział jego nowe obrazy. Obrazy będące jego ciałem, biciem serca, oddechem, każdą życiową funkcją. Żołnierze zniknęli.

- Proszę usiąść - rzekł Mistral - przyniosę kieliszki. Napijemy się.

Kapitan Schmitt stał się stałym gościem, wpadającym co dwa, trzy tygodnie. Podczas pierwszej wizyty zaproponował, że przywiezie Mistralowi farby i malarz zgodził się ochoczo.

Pod koniec roku, gdy Organizacja Todt szybko stająca się największym pracodawcą we Francji przeczesła Luberon powołując tysiące gospodarzy do budowy okrętów podwodnych, blokhauzów i lotnisk, Schmitt wziął dossier Mistrała i tak je oznaczył, że malarz został zwolniony od pracy, która zmusiłaby go do opuszczenia pracowni.

Jeśli jego sąsiedzi zajmowali się jego przyjaźnią - bo w nią przerodziła się ta znajomość - z niemieckim oficerem, Mistral nic o tym nie wiedział, nie chodził już bowiem do kawiarni w Félice. Panowała tam ponura i podejrzliwa atmosfera, nie było już nic do picia i tylko paru starców i chłopaków wychodziło, żeby grać w *boules*.

Pewnego dnia, kiedy późno wrócił od pracy przy kapuście, Mistral zastał madame Pollison krzyczącą ze złości.

- Przyszli i zabrali wszystko! Wszystko. Ostatniego kurczaka, rzepe, dzem, kartki - przeszukali dom, ci młodzi bandyci, przeszukali nawet mnie! Och, monsieur Mistral, gdyby tylko pan tu był...

- Kto przyszedł? - zapytał szorstko Mistral.

- Nie wiem, nigdy ich przedtem nie widziałam, to nikt z okolicy - młode dzikusy, gangsterzy, kryminaliści - poszli przez las w kierunku Lacoste...

- Weszli do pracowni?

- Wchodzili wszędzie, nie było drzwi, których by nie otworzyli...

Mistral pobiegł do pracowni i szybko się rozejrzał. Wyszedł krzycząc: - Gdzie są moje prześcieradła?

- Je także zabrali, tak samo jak inne z domu, i wszystkie koce...

- Wszystkie prześcieradła?

- Co mogłam zrobić, monsieur Mistral? Pytam pana? - zawołała z oburzeniem zmieszonym z wściekłością. - Powiedziałam, że to bandyci.

Kiedy następnego dnia przyjechał ze zwykłą wizytą *Kapitan* Schmitt przywożąc jak zawsze Mistralowi do oceny właśnie skończony obraz, zastał malarza w oplakanyim stanie.

- Co się stało? Czy coś jest nie w porządku?

- Zostałem obrabowany - odparł ponuro Mistral.

- Czy to byli Niemcy? Jeśli tak, zajmę się tym, zapewniam cię.

- Nie, nie wiem, kto to był - moja gosposia mówi, że jacyś młodzi bandyci. Banda zbirów.

- Maguis?

- Wiem tylko, że to obcy, nigdy ich przedtem nie widziała.

- Co zabrali? - spytał Schmitt zaniepokojony maską rozpaczony, w jaką zmieniła się twarz Mistrala.

- Dużo nic nieznaczących rzeczy, niech ich na wieczność piekło pochłonie, ale dlaczego zabrali moje prześcieradła? Jak mam pracować? Nie mam ani jednego płótna. Mógłbym ich zabić! Bydło! Męty!

- Dokąd poszli?

- Nie wiem - madame Pollison powiedziała, że w kierunku Lacoste, leśną drogą. Ale teraz mogą być wszędzie.

- Zobaczę, co się da zrobić, żeby dostarczyć ci kilka płócien - to nie jest proste, nigdzie prawie nic nie ma, ale spróbuję.

Po dwóch dniach Schmitt wrócił z samochodem pełnym szerokich, lnianych prześcieradeł.

- Nie mam prawdziwego płótna - ale przywiozłem twoje prześcieradła - powiedział z szerokim uśmiechem.

- Jak... ?

- Znaleźliśmy złodziei w lesie, blisko miejsca, dokąd jak mówiłeś poszli - całe gniazdo... byli obładowani różnymi rzeczami - zdaje się, że „rekwirowali” wszędzie. *Maquis*.

- To nie byli *Maquis*!

- Ależ tak, Julien, *Maquis*. Dwudziestu. Nie martw się, te świnie już nigdy nikomu nie zaszkodzą.

Niski wzrost, Teddy Lunel pomyślała z pełną smutku, beznadziejną tęsknotą, rozglądając się po klasie, odpowiedzią jest niski wzrost. Musi być.

W ciągu minionych siedmiu lat w Elm School, niewielkiej, prywatnej szkole tuż przy Central Park West, Teddy tyle już razy dochodziła do wniosku, że jej brak popularności musi się brać z czegoś, co ją wyróżnia z grona rówieśniczek.

Nie miała, jak wszystkie inne dziewczęta, ojca albo rodziny. Jej matka, w przeciwieństwie do innych matek, pracowała cały dzień. Przeskoczyła trzecią klasę i była o rok młodsza od koleżanek. W końcu Teddy wymyśliła, że jej wzrost jest przyczyną spychania jej na margines, który dzieliła z kilkoma innymi dziewczynkami traktowanymi jak niedotykalne przez potężną grupę dziewczynek miłych, decydujących z taką powagą, jakby wybierały papieża, która z nich jest najpopularniejsza, która jest druga na liście aż do tej nieszczęsnej kreski na zawsze wykluczającej Teddy z towarzystwa.

Nie zapraszano jej na żadne urodziny, chyba że któraś matka demokratycznie zapraszała całą klasę; podczas przerwy na lunch żadna grupa nigdy nie trzymała dla niej miejsca w samoobsługowym barze; gdy podczas przerw tworzyły się grupki dziewcząt, by pochichotać z sekretów, nikt nie wołał Teddy, by przyłączyła się do tej bezcennej zażyłości.

To wykluczenie sięgało jakby do pierwszego dnia w pierwszej klasie, nie można było go zmienić żadną apelacją, nie istniał nikt, kogo mogłaby poprosić o wyjaśnienie - po prostu trwało z tajemniczą nieodwołalnością.

Nie było nikogo mądrego w sprawach małych dziewczynek, kto

mógłby powiedzieć Teddy, że w jej wieku prześladowającym ją nieszczęściem była jej nadzwyczajna uroda; nikogo, kto by jej powiedział, że rówieśniczki nie potrafiły dać sobie rady z pięknem tak bezkompromisowym i nieuchronnym, że wydawało się, że Teddy należy do innego gatunku istot. Gdy dorośli obdarzali ją komplementami, a niewielu potrafiło się oprzeć takiej chęci, zupełnie lekceważyła ich słowa, bo nie wiedzieli, że bez względu na to, jak wygląda, nikt jej nie lubi.

Tak jak Teddy nie potrafiła zobaczyć się w lustrze i stwierdzić, że jest już klasyczną piękną, tak samo nie mogła zdystansować się od sytuacji i zrozumieć szkolnych zwyczajów. Jak trzynastoletnia dziewczynka mogła filozoficznie podchodzić do drzemającej w dzieciach, jak w każdej innej grupie społecznej, potrzeby tworzenia warstw i klik oraz do faktu, że aby którakolwiek z nich wydawała się w końcu atrakcyjna, zawsze musi istnieć grupka nie należąca do żadnej?

To samo zjawisko funkcjonuje w koloniach trędowatych, wśród prostytutek, w więzieniach i na chodnikach Kalkuty. Żadna z tych informacji nie podniosłaby na duchu Teddy Lunel, która w wieku trzynastu lat osiągnęła swój pełny wzrost 179 centymetrów, przerastając pana Simona, jej nauczyciela w ósmej klasie, o 7, 5 centymetra.

Maggy nie wiedziała, że Teddy jest jednym z pariasów klasy. Teddy nigdy nie potrafiła się do tego przyznać matce, która kochała ją tak dumną miłością, miłością zawierającą w sobie żądanie, by Teddy była szczęśliwa, nadzwyczajna i była wszystkim tym, o czym kiedykolwiek marzyła Maggy. Teddy przerażała możliwość narażenia swej pozycji jako radości życia swej matki, gdyby rozcieńczyła tę miłość rzeczywistością swego samotnego smutku i dezorientacji. Ukrywała swe rany przed Maggy, jakby

rzeczywiście uczyniła coś tak strasznego, że na nie zasłużyła. Bardzo wcześnie w życiu nauczyła się oszukiwać i szybko odkryła, że potrafi stworzyć iluzję beztroskiego dnia, w którą Maggy wierzyła i która ją uspokajała.

* * *

Maggy często myślała, że Teddy brakuje zwykłej próżności. Ale może to i dobrze, biorąc pod uwagę, jak młoda jest jej córka, rozmyślała Maggy, czując się mądra i ostrożna, bo dla niej, zajmującej się zawodowo kobiecą urodą, Teddy wyglądała na stworzoną przez czary. Była istotą romantycznych kontrastów: wijące się pasma jej ciemnorudych włosów zawierały chaos kolorów od prawie brązowego do niemal złocistego, jej skóra była tak blada, że gdy się rumieniła, sprawiała wrażenie, że na moment ogarnia ją gorączka, i miała tak delikatne, ruchliwe usta o tak zdecydowanym zarysie i tak naturalnie różowe, że wyglądała, jakby umalowała je szminką. Pod cudownie wygiętymi jakby w zdumieniu brwiami miała oczy ojca, na zmianę to błękitne, to zielone, to znów szare, lecz tak szeroko rozstawione, jak oczy Maggy. Jej nos był wspaniały, prawdziwy nos, myślała z dumą Maggy, piękny, kształtny, mocny nos, który nadawał Teddy lekko wyniosły wygląd. Nos, owszem, zbyt ważny w twarzy bez makijażu, w twarzy dziecka, ale czas to zmieni. Maggy właściwie nigdy nie postrzegала Teddy jako dziecka wśród innych dzieci, bo jej wyćwiczone oko wyczulone na piękno widziało w niej przyszłą kobietę, a nie za wysoką, zbyt dumną i odmiennie wyglądającą dziewczynkę, jaką była.

Choć Maggy nie miała pojęcia, że Teddy z radością zamieniłaby swą urodę na niski wzrost i śliczną buzię, zawsze martwiła się, że Teddy nie

ma ani jednego krewnego, żadnej rodziny oprócz niej samej.

* * *

W najwcześniejszych dniach Lunel Agency, gdy Maggy pracowała jeszcze w domu, z wdzięcznością widziała, jak jej pierwsze modelki traktują Teddy jak swą maleńką siostrzyczkę. Wkrótce, gdy Maggy przeprowadziła się do biur w budynku Carnegie Hall, co roku dodając więcej linii telefonicznych, asystentek i pomieszczeń, poprosiła niańkę Butterfield, a potem mademoiselle Gallirand, która ją zastąpiła, żeby kilka razy w tygodniu przyprowadzały Teddy na kilka godzin po szkole do biura, żeby się tam bawiła.

Później, gdy Teddy musiała już odrabiać lekcje, stało dla niej w spokojnym kącie biurko i dziewczęta Lunel, których teraz było sto dwadzieścia, zaglądały do „biura” Teddy, by ją przytulić, pokazać jej swoje nowe zdjęcia, poskarżyć się na bolące nogi lub poprosić o jabłko z pełnego koszyka ustawionego na jej biurku przez Maggy. To cudowna grupa honorowych krewnych, myślała wyzywająco Maggy robiąc w sobotę, gdy biuro było zamknięte, zakupy u Saksa i De Pinny. Szukała jeszcze jednego pastelowego sweterka, jeszcze jednej kosztownej, importowanej spódnicy z tweedu lub flaneli dla Teddy do szkoły.

* * *

Elm School znajdowała się o parę kroków od dużego, wysokiego mieszkania z widokiem na park, jakie Maggy wynajęła w eleganckim budynku San Remo przy Siedemdziesiątej Czwartej i Central Park West. Wieżowce na Piątej Alei wznosiły się na wprost mieszkania, oddzielone od niego całą szerokością parku i właśnie z powodu tej odległości Maggy zdecydowała się na to właśnie mieszkanie, chociaż z łatwością mogłaby

sobie pozwolić na życie w najelegantszych domach ulic o numerach od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu i na posyłanie córki do jakiejś bardziej znanej, modniejszej szkoły. Lecz po Wschodniej Stronie Teddy znajdowałyby się w stałym niebezpieczeństwie natknięcia się na jakiegoś Kilkullena, McDonnella, Murraya czy Buckleya: Wschodnia Strona była *quartier* wszechpotężnych katolików, a po utracie posady u Bianchiego, po skandalu z wystawą Mistrała, Maggy starała się trzymać dziecko z dala od tych ludzi. W każdym mieście jest śmiesznie łatwo wypaść z małego kręgu modnego sąsiedztwa i szkół. Szczególnie, pomyślała Maggy, jeśli nigdy się do niego nie należało.

Teddy wędrowała po San Remo jak po własnym lennie. Nie było takiego czarnego windziarza, którego historii by nie znała, była ulubienicą portierów, którzy zawsze byli gotowi pożyczyć jej kawałek kredy do gry w klasy, w której dzięki swoim długim nogom była urodzoną mistrzynią. Poza szkołą była wesołą, rozgadaną dziewczynką, zawsze w ruchu czy to na wrotkach, na rowerze, czy w zimie zjeżdżając na brzuchu na sankach zgórek w parku. Często podążał za nią, jak za Piotrusiem Panem, rząd rozdokazywanych dzieci o wiele młodszych od niej, a gdy męczyły się zabawą, Teddy opowiadała im skomplikowane historie o puszcach tropikalnych i wycieczkach tratwami po Amazonce.

Były też inne dni, zwykłe na wiosnę, gdy padał cichy deszcz, a pierwsze forsycje rozsiewały żółtą obietnicę po szarym parku, gdy Teddy chroniła się samotnie w Ogrodzie Anne Hathaway u stóp starej, kamiennej wieży. Tam, z rozpaloną wyobraźnią, tańczącą nadzieją i mocno bijącym sercem śniła na jawie wspaniałe, srebrzyste sny o miłości i zastanawiała się, kiedy, ach, kiedy spotka ją na swej drodze.

* * *

Kiedy Teddy w wieku trzynastu lat skończyła ósmą klasę, na uroczystość rozdania dyplomów weszła do audytorium pierwsza. Decyzję tę podjęli nauczyciele po półgodzinnej kłótni na temat czy jej wzrost będzie mniej widoczny, gdy wejdzie na początku klasy czy na końcu, bo ustawienie jej w środku było oczywiście nie do pomyślenia.

Kiedy szła przez scenę w białej sukience po swój dyplom, na widowni wybuchły oklaski. Na uroczystość ukończenia przez Teddy szkoły podstawowej Maggy zaprosiła Darcy'ego, Longbridge'ów, Gay i Olivera Barnesów oraz tuzin swych ulubionych modelek. Dwanaście najlepszych dziewczyn z okładek roku 1941, wystrojonych w swe najlepsze kapelusze, krzyczało, wiwatowało i gwizdało patrząc, jak Teddy idzie ze spuszczonego wzrokiem, żeby się nie potknąć, i z tą gracją, jakiej niektóre z nich nigdy nie będą potrafiły się nauczyć. - Mój Boże, Doe - rzekła modelka, która właśnie obchodziła dwudzieste czwarte urodziny - czy nie byłoby cudownie znów być młodą? - Ja nadal jestem, kochanie - odparła Doe, lecz na jej sercu spoczął nagły cień z wątpienia. Ona też ma dwadzieścia cztery lata.

* * *

W szkole średniej Teddy rozsądnie zawarła sojusz z kilkoma niepopularnymi dziewczętami. Sally była mołem książkowym w okularach i za bardzo się pocila; Harriet jąkała się i nosiła obuwie ortopedyczne, a Mary - Ann była ulubienicą nauczycielki i zawsze siedziała w pierwszej ławce, gotowa tryumfalnie machnąć ręką, gdy inne nie znały odpowiedzi, ale wszystkie trzy zostały najlepszymi przyjaciółkami Teddy.

Teddy przestała chodzić po szkole do parku albo do Lunel Agency

na rzecz wspólnego odrabiania lekcji z nowymi sojuszniczkami. Zbierały się we czwórkę u jednej z nich i jak najszybciej kończyły lekcje, żeby przystąpić do realizacji właściwego celu tych popołudniowych zebrań, a mianowicie omawiania w niezmiennie fascynujących szczegółach swoich romantycznych marzeń. Nie miały na myśli żadnego konkretnego chłopca, a jedynie jakieś niejasne pojęcie kogoś płci męskiej w odległej przyszłości. Najbardziej palącym problemem była noc poślubna. Jak można nosić takie koszule nocne, jakie mają ich matki? Przecież można było przez te koszule widzieć - wszystkie zaglądały do matczynych szuflad, trzymały w rękach te ładne, wymyślne szmatki i upewniały się co do tego niezrozumiałego, przerażająco dziwnego faktu. Jak można było przejść z łazienki do łóżka mając na sobie prawie przezroczystą koszulę nocną? Jak można było w ogóle zdjąć szlafrok, zakładając oczywiście, że włożyło się go na koszulę? Czy weszłoby się do łóżka? A może tylko położyłoby się na wierzchu? I co potem? W tym miejscu chichoty przerywały rozmowę i dziewczęta szły do kuchni po ciasteczka i coca - colę.

Pewnego dnia Teddy spróbowała im powiedzieć, co działo się dalej. - Ojciec wyciąga penisa i wkłada go matce do pochwy, a nasienie wypływa... - tu przerwał jej chór pełnych oburzenia okrzyków i pisków. Przyjaciółki nie chciały słuchać o takich obrzydliwych szczegółach i nie mogły uwierzyć, że matka Teddy - nawet jeśli rzeczywiście pracuje - naprawdę usiadła z nią i powiedziała jej takie okropne rzeczy. Mając zaledwie czternaście lat nie odzyskały jeszcze spokoju ducha po wstrząsie pierwszych menstruacji, a to co Maggy nazywała „faktami życia”, było zbyt nieromantyczne i kliniczne, by mogły to spokojnie znieść.

A co pomyślałyby, zastanawiała się Teddy, gdyby znały całą prawdę

o niej? Jeśli nie mogą nawet słuchać, jak robi się dziecko, co powiedziałyby, gdyby wiedziały, że jest bękartem? Och, mama oczywiście użyła innego słowa, ale nie zmieniało to prawdy.

Nie pamiętała, ile miała lat, gdy Maggy powiedziała jej po francusku, bo łatwiej jej było znaleźć odpowiednie sformułowanie w języku, którym rozmawiały między sobą niż angielskim, używanym w kontaktach z wszystkimi innymi, że jest „*une enfante naturelle*” - ale to było tak dawno temu, że musiała dorosnąć do tej wiedzy, stopniowo dochodząc do właściwego znaczenia długo po usłyszeniu tych słów po raz pierwszy. Jak Maggy dała jej do zrozumienia, że nie wolno jej szperać w przeszłości? Jak ją nauczyła mówić w sposób ucinający wszelkie dalsze pytania, że jej ojciec nie żyje? Nie potrafiła tego wyjaśnić nawet sama sobie, ale było to tak dawno temu i całkowicie się z tym pogodziła.

Jak jakiś Melanezyjczyk, któremu podano talerz świętego jedzenia przeznaczonego wyłącznie dla kapłanów, Teddy natychmiast wycofała się w samoobronie z zakazanego tematu. Zakaz był tak silny, tak całkowity, że nie śmiała pytać Maggy o niego. To tabu tkwiące w samym środku jej życia nie pozwalało Teddy zbliżyć się do przyjaciółek. Żadna z nich nie miała prawdziwych tajemnic. W istocie głównym celem ich przyjaźni było dzielenie się sekretami, zwierzanie się, wzajemne pocieszanie, bycie sobie nawzajem towarzyszkami w trudnym dziele dojrzewania.

* * *

Maggy niewiele opowiadała Teddy o jej ojcu. Kiedy uznała, że Teddy jest już na tyle mądra, że zrozumie, powiedziała, że był irlandzkim katolikiem, któremu prawa jego kościoła zabraniały ją poślubić, a potem umarł na atak serca. Zachowywała się przy tych kilku opornych słowach z

napięciem i takim posepnym smutkiem, że zniechęciłaby każdego do zadawania dalszych pytań, nawet gdyby Teddy ośmieliła się to uczynić.

Teddy uwielbiała matkę, ale trochę się jej obawiała. Obawiało się jej wielu ludzi.

Nawyk rządzenia, całkowitej odpowiedzialności za rozwijającą się, kwitnącą firmę, nadał groźny wymiar charakterowi Maggy, wymiar jakiego brakowało prawie wszystkim kobietom w latach czterdziestych. Z trudem pozwalał o niej myśleć jako o matce, za to z łatwością pozwalał nazywać ją „szefową”, co robiły wszystkie jej dziewczęta, chyba że była zła. Wtedy szeptały między sobą, że „Maria Antonina” szaleje. W takie dni każda dziewczyna, która przytyła więcej niż o pół kilograma, wynajdywała preteksty, żeby nie przychodzić do agencji, każda modelka, która poprzedniego wieczora zabawiła zbyt długo w Stork czy El Morocco szczególnie starannie robiła makijaż, a żadna z nich, absolutnie żadna, nie spóźniała się na zdjęcia ani o minutę.

W wieku trzydziestu czterech lat Maggy posiadała autentycznie dumny, brawurowy blask uznanej wielkiej piękności. Gdy miała siedemnaście lat, wyglądała na wiele więcej; teraz wyglądała młodziej od swoich rówieśniczek. Czas uwydatnił jedynie śmiałą linię kości pod jej napiętą, świetlistą skórą. Dojrzała do pewności ruchów, a błyski w jej oczach koloru pernoda ożywiały dowcip i doświadczenie.

W biurze Maggy ubierała się w czarne i szare, a latem białe kostiumy, uszyte z niemal nieludzką perfekcją kroju przez Hattie Carnegie. Na szyi zawsze miała birmańskie perły otrzymane na dwudzieste urodziny, a w klapie świeży, czerwony goździk. Titania od Saksa na Piątej Alei projektowała czarujące kapelusze, które nosiła nawet

siedząc przy biurku, tak jak większość najlepszych redaktorek od spraw mody w owych czasach. Maggy była zaprzyjaźniona z nimi wszystkimi; często jadła lunch z którąś z nich w Pavillon, gdzie Henri Soule codziennie rezerwował dla niej jeden ze swoich najlepszych stolików. Jeśli przypadkiem nie planowała tam iść, kazała sekretarce telefonicznie go zwalniać.

* * *

A nocą zawsze był Jason Darcy, jej najlepszy przyjaciel, wieloletni kochanek i współkonspirator, człowiek, którego nigdy nie poślubi. Było to coś, czego nawet nie potrafiła wytłumaczyć swej najlepszej przyjaciółce Lally Longdbridge. Próbowwała, Bóg świadkiem, kiedy Lally przyparła ją przed laty do muru. - Czy zupełnie oszalałaś, Maggy Lunel? Darcy aż się pali, żeby cię poślubić. Co, do diabła, nie pozwala ci powiedzieć „tak”?

- Och, Lally, Lally, nigdy nie wolno mi polegać na mężczyźnie. Gdybyśmy się pobrali, to wiem, co by się stało. Powoli, w nieunikniony sposób, musiałabym coraz mniej czasu spędzać w pracy, aż wreszcie pewnego dnia rzuciłabym firmę i zostałabym hostessą Darcy'ego, podróżowałabym z nim i martwiłabym się o nasze domy, służbę i przyjęcia - a może nawet o nasze dzieci. Znalazłabym się w jego mocy, Lally, a nie chcę do czegoś takiego dopuścić. W sprawach utrzymania nie mogę być zależna od żadnego mężczyzny. - Maggy odstawiła kieliszek i niemal potrząsnęła Lally, by zrozumiała.

- A co by się stało, gdybyśmy odkryli, że nie potrafimy być razem szczęśliwi i rozwiedlibyśmy się? Powiedz mi, proszę, gdzie bym wtedy była? Nie można zbudować takiej firmy jak moja, a potem ją porzucić i spodziewać się, że będzie na mnie czekać, gdy zechcę wrócić... to

niemożliwe. O wiele lepiej dalej robić tak jak dotąd - Darcy wie, że mnie ma, nie istnieje żaden inny mężczyzna, na którym mi zależy. Jeśli mu to nie wystarcza, to przykro mi, ale inaczej być nie może.

- A ja miałam zamiar wyprawić wam wesele - powiedziała Lally tonem przesadnego rozczarowania, ale w skrytości ducha przeraziły ją ponure poglądy Maggy na małżeństwo. Boże, zmiłuj się, jeżeli każda kobieta myślałaby o rozwodzie z taką jasnością jeszcze przed ślubem, to rodzaj ludzki wymarłby w ciągu jednego pokolenia.

Maggy wiedziała, że Teddy musi zastanawiać się nad charakterem jej stosunków z Darcym, ale jeśli nie potrafiła ich skutecznie wyjaśnić kobiecie tak wyrafinowanej jak Lally Longbridge, na pewno nie spróbuje porozmawiać o nich z nastolatką. Och, jest tyle rzeczy, które nie bardzo może wyjaśnić Teddy, pomyślała ze znajomym, pełnym winy strachem. Nigdy nie powiedziała Teddy, że ona sama jest nieprawym dzieckiem. Zamiast tego wymyśliła historyjkę o wczesnym osieroceniu jej przez rodziców. Teddy, która zaczytywała się w „Wichrowych Wzgórzach”, której biblią stało się „Przeminęło z wiatrem” i która widziała „Filadelfijską opowieść” tuzin razy, była zbyt zamroczonej wielkimi romansami, by szczegółowo wypytywać matkę.

* * *

Był jeszcze jeden problem - Teddy nie wyznawała żadnej określonej religii. Żydowska tożsamość Maggy nigdy nie zależała od przestrzegania przez nią praktyk religijnych, chociaż w dzieciństwie mieszkała w społeczności żydowskiej, a rabbi Taradash był dla niej przykładem godności i mądrości judaizmu. Od czasu gdy uciekła z domu, nie odczuwała osobistej potrzeby zachowania tradycji, które wydawały się jej

nieistotne. Czula, że jest Żydówką, lecz nie miała zobowiązań, by przestrzegać praktyk religijnych.

Nigdy nie kazała sobie przysłać menory pozostawionej w Paryżu, a nie miała serca, by ją zastąpić.

O wiele za późno, żeby miało to coś dać, wysłała Teddy do szkółki niedzielnej przy hiszpańskiej i portugalskiej synagodze przy Central Park West. Teddy spędziła tam cały poranek ze zdumieniem odkrywając, że wszyscy czują się jak u siebie w domu, wiedzą, czego się uczą i robią to z przyjemnością. Postanowiła, że nic nie zmusi ją do powrotu do miejsca, przy którym nawet hierarchia Elm School wydawała się przyjemna. Jak tylko podrosła na tyle, żeby samej jeździć autobusem, wyprawiła się do katedry św. Patryka, usiadła na ławce z boku i rozejrzała się z pełną przestrawą ciekawością.

Jaki ma z nią związek ten ogrom kamienia, ta cicho rozbręczana grotka błękitnych, czerwonych i złotych świateł, te rzędy świec, poważni, skupieni ludzie tak pewnie zajmujący się swoimi sprawami? Pomyślała, że nie większy niż szkoła synagoga. Nie była bardziej katoliczką niż Żydówką - nie bardziej i nie mniej. Matce oznajmiła, że chyba jest panteistką albo może poganką, zależnie od tego, kto bardziej kocha kwitnące jabłonie, siostry Bronte, wierzby płaczące, koty syjamskie, hot dogi na plaży i prom na Staten Island.

* * *

- Patsy Berg dotykała chłopakowi! - powiedziała Sally z pełnym fascynacji niedowierzaniem.

- Nie wierzę ci! - odparła wstrząśnięta Mary - Anne.

- Jeśli to zrobiła, to pewnie ją do tego zmusił - rzekła Harriet z miną

kogoś, kto dużo wie.

Teddy nic nie powiedziała. Oddałaby prawie wszystko, żeby choć to zobaczyć. Dotknięcie nie mieściło się nawet w jej marzeniach. Przemierzała korytarze Metropolitan Museum daremnie szukając posągu z penisem, który nie byłby tylko marmurowym zakrętasem, tak znikomym jak przybranie tortu urodzinowego. Zwykle były odłamane jak nosy greckich posągów. Wiedziała, że w tej tajemnicy jest coś więcej, niż widać w muzeum.

Miała jednak prawie szesnaście lat i jak dotąd tylko jeden chłopak umówił się z nią na randkę, daleki kuzyn Harriet, Melvin Allenberg. Melvin był niski prawie jak karzełek i nosił grube okulary, ale był na ostatnim roku w Collegiate i kiedy się uśmiechał, wmawiała sobie, że coś w tym uśmiechu przez ułamek sekundy przypomina jej Vala Johnsona, tylko że Melvin nie był wysokim, przystojnym blondynem. Z drugiej strony nie miał jeszcze pryszczycy. Następnym razem, kiedy mały Melvin Allenberg zaprosił Teddy do kina, zgodziła się.

Od chwili gdy Melvin ujrzał Teddy po raz pierwszy, jego rozszalała wyobraźnia oplotła ją pierścieniem, w którym szacunek mieszał się z tęsknotą. Jej wzrost wydawał się jeszcze jedną cudownie wyjątkową zaletą. Marzył o życiu na wyspie zaludnionej wyłącznie przez wysokie, piękne kobiety, które spełniałyby wszystkie jego życzenia.

Przed randką Teddy jako pierwsza wśród jej przyjaciółek zgolila delikatne, złociste włoski na nogach. Dziewczęta przyglądały się jej z ponurym przygnębieniem. - Włoski ci odrosną jak zarost u mężczyzny - twarde i drapiące - ostrzegła Mary - Annę. - Teraz będziesz musiała robić to co tydzień do końca życia - powiedziała ze złośliwą satysfakcją Sally. -

Nie mogę uwierzyć, że robisz to dla mojego nieciekawego kuzyna, nawet jeśli ma osiemnaście lat - ty zwariowałaś, Teddy Lunel - rzekła Harriet, najbardziej zdegustowana z nich wszystkich. - Wiesz, co powiedziała o nim jego matka mojej matce? Że jest dziwny. Niby ma fantastyczne IQ, ale mówi, że nie chce iść na uniwersytet, nie interesuje się żadnym sportem, nie obchodzi go nic oprócz jego głupiego aparatu fotograficznego i ciemni, którą urządził sobie w szafie - ciocia Ethel nie może utrzymać przyzwoitej pokojówki, bo Melvin męczy je, żeby dla niego pozowały - pokojówka, na litość boską - to dziwaczne, Teddy. Moja ciotka znalazła w jego pokoju setki nieprzyzwoitych czasopism. Lepiej z nim uważaj. Może ci sięgać tylko do ramienia, ale kto wie, co się dzieje w jego głowie?

Teddy uśmiechnęła się do Harriet i wzięła się do lewej nogi. Pomyślała, że wszystkie jej zazdroszczą. Żadna z nich nie miała jeszcze randki.

Siedziała patrząc na ekran i nie ośmielając się spojrzeć Melwinowi w oczy, ale zdawała sobie sprawę z tego, że od czasu do czasu wpatruje się w jej profil, pochylając w zamyśleniu i z powagą swoją okrągłą, kędzierzawą głowę.

Po kinie, kiedy jedli gofry, Melvin stwierdził uroczyście:

- Jesteś najpiękniejszą dziewczyną na świecie, Teddy Lunel.

- Naprawdę? - zapytała bez tchu.

- Bez wątpienia. Jego okulary załśniły. - Jestem uznanym koneserem damskich wdzięków. Zapytaj kogo chcesz w Collegiate.

- Nie wierzę ci!

- To w co wierzysz, nie ma znaczenia. To nie ma nic do rzeczy.

Teddy zarumieniła się, szumiało jej w uszach i bała się, że zaraz się

rozplącze. Żaden z komplementów, które prawili jej dorośli nie miał znaczenia, tylko ten! Nie sposób było nie zauważyć, że Melvin mówi szczerze. Powiedział to tak, jakby wygłaszał naukowy referat poparty faktami. W jego głosie znać było ton oceny i widziała, że jego oczy, ukryte za okularami, są jasne, bystre, ogromne, barwy czystego błękitu. Na jego zabawnej, drobnej twarzy malował się wyraz głębokiego przekonania.

- Postanowiłem, że będę nazywał cię Ruda - mówił dalej. - Każda piękna kobieta musi mieć jakieś przezwisko, żeby zanadto nie onieśmielać innych, a Teddy kojarzy mi się z Theodore Rooseveltem. Kiedy facet na ciebie patrzy, Ruda, widzi coś, w czego istnienie wcale nie wierzył, chyba że na ekranie filmowym. Dlatego boi się, że nie będzie miał ci nic ciekawego do powiedzenia. Będziesz miała problem, żeby skłonić ludzi do traktowania cię normalnie... do nawiązania z tobą zwyczajnego ludzkiego kontaktu... to będzie prawie niemożliwe. Większość pięknych kobiet cierpi z tego właśnie powodu. Tylko mężczyzna szczególnego rodzaju potrafi je zrozumieć.

- Melvinie Allenberg, jesteś wariatem. - Teddy poddała się serdecznym, pochlebnym słowom, które mówił jej spokojnie, z takim przekonaniem.

- Pomyśl o tym, Ruda, tylko pomyśl - powiedział cicho.

- Pewnego dnia, kiedy oboje będziemy bogaci i sławni, przyznasz mi rację.

Teddy nie zdobyła się na odpowiedź. Jego słowa, to niedbałe - „pewnego dnia” podziały na nią jak promień światła wskazujący drogę ku przyszłości, rozświetlający niesłychane widoki, tak jakby Teddy Lunel była zupełnie inną osobą, wkraczającą lekko w świat, w którym

niemożliwe staje się możliwe. Teddy spuściła wzrok i widelcem kreśliła wolno linie w klonowym syropie. Pierwszy raz w życiu, w sposób z pełnym wyrachowaniem wyzywająco zapytała: - Co to jest pornos, Melvin?

- Och, więc Harriet ci powiedziała. Nie mogę nawet zbierać artystycznych zdjęć, żeby moja rodzina nie uznała mnie zaraz za sprośnego staruszka. Ruda, czy wyglądam na sprośnego staruszka?

- Harriet wcale nie powiedziała, że jesteś sprośnym staruszkiem - powiedziała pospiesznie Teddy, chcąc obronić przyjaciółkę.

- Wcale o tobie nie mówiła, dopóki nie zaprosiłeś mnie do kina.

- Tak, o tobie też nigdy nie wspominała, więc dobrze. Nie widzimy się wcale - nasze matki postanowiły, że będą się unikać.

- Czy Harriet nie opowiadała ci o mojej rodzinie... o moim ojcu?

- Nie. Czy powinna?

- Hm... był w Brygadzie Abrahama Lincolna... zginął, walcząc z faszystami w Hiszpanii... był wielkim bohaterem.

Melvin zamrugnął z przejęcia oczami.

- Boże, na pewno jesteś z niego dumna!

- Tak. Moja matka... Tak naprawdę nigdy się z tym nie pogodziła. Szuka zapomnienia w pracy. Wiesz, ona jest Francuzką wysokiego rodu. W rodzinie był markiz, którego ścięto podczas Rewolucji Francuskiej... potem pozbawiono ich całego majątku i pieniędzy... ale nie dumy. Mama jest ostatnia z rodu... czy raczej ja... - powiedziała Teddy rozmarzonym głosem.

Melvin w przerażeniu trzykrotnie przełknął ślinę. Nic dziwnego, że Ruda była inna niż wszystkie dziewczyny, które znał do tej pory.

- Często chodzisz na randki? - ośmielił się zapytać po chwili milczenia, która wydała się odpowiednim hołdem dla nieszczęsnego markiza.

- Mama jest bardzo surowa. Pozwala mi tylko na dwie randki w tygodniu, w piątek i w sobotę. W niedzielę każe mi chodzić wcześnie spać z powodu szkoły.

Przypomniawszy sobie o czasie, Melvin spojrział na zegarek.

- Chodź, Ruda. Mama powiedziała, że masz być w domu o wpół do dwunastej. Nie chcę wpakować cię w tarapaty.

Przy drzwiach mieszkania Teddy Melvin Allenberg podniósł oczy na nią, dziwnie milczącą w drodze do domu.

- Czy widziałaś już „Jane Eyre”? - zapytał. Może i był niski, może i wyglądał śmiesznie, ale uważał, że zawsze należy prosić o to, czego się chce, niezależnie od szans powodzenia.

- Nie - odpowiedziała Teddy, która obejrzała już film trzy razy.

- Chciałabyś się wybrać w przyszłą sobotę? Jeżeli nie jesteś już umówiona.

- Hm... a może w piątek? W sobotę, niestety, nie mogę.

- Jesteśmy umówieni - rozpromienił się. Raz jeszcze jego bezpośredni sposób bycia, obcy większości osiemnastoletnich chłopców, pozwolił mu dopiąć celu.

- Dziękuję za cudowny wieczór - powiedziała Teddy, wyuczona tego rytualnego zwrotu przez trzy zazdrosne przyjaciółki.

Melvin, któremu konwencjonalna formułka przywróciła pewność siebie, uśmiechnął się w sposób nie całkiem przypominający Van Johnsona.

- Mam nadzieję, że bawiłaś się tak dobrze jak ja. Słuchaj, od razu widać, że nie jesteś dziewczyną, która pozwala facetowi pocałować się na dobranoc przed trzecią randką, ale czy nie sądzisz, że poczułabyś się lepiej na duszy, gdybyś raz zrobiła wyjątek?

Teddy nie zawahała się. Zdjęła mu okulary i przycisnęła go do siebie mocno smukłymi ramionami, wciskając jego twarz w swój obojczyk z wylewną wdzięcznością. Wyrwał się. - Nie tak, Ruda! Chodź tu, schyl się i stój spokojnie. - Złożył na jej ustach niewinny pocałunek. - Tak! Nie pozwól na to nikomu innemu. Obiecujesz? - Obiecuję - wyszeptała Teddy. Usta mężczyzny różniły się w dotyku od ust kobiety. Były szorstkie. Kto by powiedział? Z pierwszym świadomie zalotnym uśmiechem pochyliła się i musnęła go ustami zanim oddała mu okulary. - Tylko nikomu nie mów - mruknęła. - Zaszкодziłoby to mojej reputacji.

- Co mu powiedziałaś? - zdumiała się Bunny Abbot, która dzieliła z Teddy pokój w Wellesley. Właśnie wtedy, kiedy wydawało jej się, że przywykła już do fantastycznych wyskoków, dzięki którym Teddy stała się legendarną postacią wśród studentów pierwszego roku, rozpoczynających wraz z nią naukę w college'u jesienią 1945, pojawił się nowy kaprys.

- Trochę go okłamałam i powiedziałam, że mam metr osiemdziesiąt wzrostu - powtórzyła spokojnie Teddy, wracając z budki telefonicznej w korytarzu. - Zawsze kiedy im to mówię, tracą zainteresowanie, chyba że sami mają metr osiemdziesiąt pięć albo dziewięćdziesiąt. W ten sposób eliminuje się liliputy.

- Ciągłe jeszcze zależy ci na randkach w ciemno? - zapytała Bunny. - Przecież nie masz już miejsca w kalendarzu, żeby je wpisać.

- Och, to mnie po prostu bawi... jest jak otwieranie prezentów gwiazdkowych.

Teddy starała się nadać swojemu głosowi niedbały ton, ponieważ wiedziała, że nie potrafi wytłumaczyć w żaden sposób uczucia żenująco gwałtownej miłości, którą czuła do wszystkiego, co łączyło się z jej nowym życiem w college'u, począwszy od randek w ciemno po każdą z dziewczyn ze swojego akademika. Od dnia, w którym przybyła do Wellesley, doznała zauroczenia tak nieoczekiwanego, że nocą leżała z otwartymi oczyma próbując uchwycić i w pełni zrozumieć głębię niepowstrzymanej radości, która ją ogarnęła.

Życie Teddy stało się pasmem sukcesów. Każdego popołudnia w akademiku proszono ją do telefonu co najmniej tuzin razy, a dziewczyna dyżurująca przy telefonie wychodziła na korytarz i wzywała „Lunel” z

ironiczną rezygnacją, lecz bez najmniejszej oznaki zniecierpliwienia. W Wellesley Teddy znalazła nareszcie cudowne miejsce, w którym inność dawała się zaakceptować.

W jej grupie były bystre dziewczyny, które uczyły się po nocach. Były i takie, którym zależało na tym, by uczestniczyć w zawodach wioślarskich przeciwko Radcliffe. Znalazły się tam i takie dziewczyny, które wstępując do college'u walczyły o tytuł przewodniczącej roku, dziewczyny, które interesowały się tylko sztuką, muzyką lub filozofią i inne jeszcze, które całymi popołudniami grały w brydża, robiąc przy tym na drutach wymyślnym ściegiem kolorowe skarpety. Kogo obchodziło to, że Teddy Lunel interesuje się wyłącznie chłopcami, jeśli nie oblewa przy tym egzaminów? Była na tyle bystra, że przyjęto ją do Wellesley, więc automatycznie była jedną z nich. Jej tożsamość określało przede wszystkim to, że należała do rocznika 1949.

Campus Wellesley stał się imponującą widownią epidemii randek, która wybuchła zaraz po tym, jak rozdano małe czerwone informatory dla studentek pierwszego roku, w których zamieszczono zdjęcie każdej z nich wraz z nazwiskiem i miejscem pochodzenia. Informator wydrukowano po to, by studentki mogły się lepiej poznać, ale w dwadzieścia cztery godziny po jego ukazaniu się, część egzemplarzy trafiła na wszystkie campusy dla mężczyzn w Nowej Anglii, na których tłoczyli się teraz weterani powracający z II wojny światowej i zwyczajni studenci pierwszych lat.

Już w drugim tygodniu pierwszego roku studiów Teddy miała zaproszenia na wszystkie główne rozgrywki futbolowe Ivy League podczas weekendów, aż do Świąt Bożego Narodzenia. Mogła wybierać spośród dziewięciu partnerów na karnawał zimowy w Dartmouth i gdyby

pozwalają jej na to studia, co wieczór jadłaby kolację z innym studentem pobliskiego Uniwersytetu Harvarda.

Tego roku, kiedy Teddy przyjechała do domu na wakacje podczas świąt Bożego Narodzenia, Maggy zdała sobie sprawę, że to wyrosnięte dziecko stało się młodą kobietą, która zwracała powszechną uwagę i kusiła, nawet gdy stała bez ruchu. W lodówce chłodziły się stroiki do sukien z pęków orchidei, listy miłosne przychodziły pocztą każdego ranka. Teddy wychodziła co wieczór i sypiała do południa. Ale, lepiej być gwiazdą sezonu, zdecydowała Maggy i jak zauważyła, bezwzględna podrywaczką bez serca niż dziewczyną, którą mężczyzna mógłby wykorzystać, bo wyobrazi sobie ona, że się w niej zakochał.

Przez pierwsze lata college'u, pamiętne jak pierwszy pocałunek i jak on równie niepowtarzalne, kochliwa, kapryśna i próżna Teddy przebiegła w radosnych podskokach. Ze zmiennością przyływów rzucała się z romansu w romans i, uprawiając sztukę pozorów, czuła, jak jej siła wzrasta. Zaczęła nabierać swoistej wyuczonej pewności siebie, która dawała o sobie znać czarującą aurą szczęścia, tak jakby nic na świecie nie mogło wzbudzić w niej uczucia niepokoju, wzburzenia czy zmieszania. Zawsze wchodziła do pokoju z pogodnym przeświadczeniem, że zostanie powitana z radością. Przyjmowała każdą zmianę tak, jakby zaplanowano ją dla jej przyjemności. Wydawało się, że w jej świecie nie ma miejsca na rozczarowania, na konieczność poprzestawania na małym.

Nie wierzę, że to zdarza się właśnie mnie, powtarzała sobie szeptem raz po raz, ale nigdy nie powiedziała tego głośno, bo za wszystkimi jej sukcesami nieustannie czaił się strach, że nagle może znowu znaleźć się na uboczu, równie niespodziewanie jak niespodziewanie spełniły się jej

marzenia o popularności.

Rzeczywistość nigdy nie wystarczała Teddy. W pewnym sensie rzeczywistości nigdy nie udało się przeniknąć do jej podświadomości w taki sposób, by mogła stać się opoką doświadczenia dla jej uczuć. Była dzieckiem, zaledwie szesnastoletnim, kiedy, opowiadając Maggy o dniach spędzonych w szkole, przyswoiła sobie zwyczaj przemieniania rzeczywistości w coś doskonalszego. Teraz rzeczywistość stała się tak barwna, jak tylko mogła sobie wymarzyć, a jednak w dalszym ciągu nie była z niej zadowolona. Zewnętrzny sukces nie mógł, nie dawał się nigdy całkowicie przełożyć na wewnętrzny obraz własnej osoby, który pozwoliłby jej osiągnąć spokój. Fantazja, która skłoniła Teddy do wymyślenia sobie ojca poległego w Hiszpanii i arystokratycznego francuskiego pochodzenia, stopniowo rosła i rozkwitała.

Podczas rozgrywek Harvard - Yale, Teddy powiedziała towarzyszącemu jej chłopcu: - Wiesz, mój ojciec studiował na Harvardzie. Zanim umarł, zabierał mnie na wszystkie mecze, które Harvard rozgrywał w pobliżu Nowego Jorku. Zginął w Tybecie, podczas wspinaczki, ale udało mu się ocalić życie pozostałym członkom wyprawy. - W Princeton w towarzystwie, które omawiało plany na lato, rozmarzyła się: - Kiedy byłam mała, spędzałam każde lato w rodzowym zamku w Dordogne - Lunelowie żyli w Dordogne od niepamiętnych czasów - zamek miał sto komnat, połowa z nich była zrujnowana - nie byłam tam od śmierci dziadka. - Podczas zimowego karnawału w Dartmouth zwierzała się partnerowi: - Czy będziesz miał coś przeciwko temu, jeśli nie pójde z tobą oglądać skoków narciarskich? Widzisz, mój ojciec zginął na oczach mojej matki, na skoczni w Alpach, trenował do olimpiady... nigdy się z tym nie

pogodziła. - Kiedy rozmowa zeszała na wakacje świąteczne, Teddy oddała się wspomnieniom: - Jeździliśmy do mojej praprababki do Quebec. Na Boże Narodzenie jej drzewko było zawsze najwyższe - żywa sosna, wysoka na co najmniej sto metrów - tańczyłam wokół niej z moimi małymi kuzynami - były ich ze dwa tuziny - nie, teraz już się z nimi nie widuję - po śmierci ojca moja matka pokłóciła się z jego rodziną. Obwiniali ją o to, że pozwoliła mu wstąpić do Wolnej Francji po inwazji niemieckiej. Zestrzelono jego samolot i zginął - leciał w tajnej misji zleconej mu przez generała de Gaulle'a... do dziś nie wiadomo, o co w niej chodziło.

Nikt nigdy nie wątpił w prawdziwość jej opowieści. W życiu dziewczyny o tak niezwykłym wyglądzie z pewnością musiała kryć się jakaś tragedia albo romans, a Teddy rozmawiała w ten sposób tylko z tymi chłopcami, z którymi nie zamierzała spotykać się w Nowym Jorku, gdzie składając jej wizytę, mogliby natrafić na Maggy.

Maggy postawiła sobie za cel lustrację partnerów Teddy tak często, jak tylko mogła. Uspokajała się, widząc paradę nieustannie zmieniających się, odzianych w koszulki polo młodzieńców o świeżych twarzach, pełnych szacunku i całkowicie niewinnych. To tylko dzieci, myślała, zupełnie nieszkodliwe.

- Bez wątpienia, im więcej tym lepiej - powiedziała do Lally Longbridge. - Jestem bardziej zadowolona, kiedy Teddy spotyka się z dziesiątkami chłopców, niż gdyby spotykała się tylko z jednym czy dwoma. I wszystkich traktuje tak źle... Już jej nie rozumiem... jeśli kiedykolwiek ją rozumiałam. Wiem, że teraz, kiedy wyjechała na studia, jest już za późno, ale źle mi z tym, zupełnie jakbym straciła z nią kontakt...

jakby czegoś brakowało... ciągle myślę, że powinnam była zrobić coś, żebyśmy były sobie bliższe, żebym znała ją lepiej. Ona jest dla mnie zagadką, Lally, a przecież dałam jej wszystko, co mogłam. Tak ją kocham, ma przytulny dom, zawsze bardzo o nią dbałam, kupowałam jej najlepsze ubrania... och, po prostu nic nie rozumiem...

- Połowa matek, które znam, mówi to samo o swoich córkach - pocieszała ją Lally, przemawiając z niewzruszonej twierdzy swojej bezdziejności, której prawie wcale nie żałowała, dającej jej prawo pouczania wszystkich przyjaciółek, jak należy wychowywać potomstwo. - Kiedy idą do college'u, stają się obcymi ludźmi. Jesteś pewna, że w życiu Teddy nie ma nikogo na poważnie? Wkrótce skończy dwadzieścia lat. Zastanawiam się, co ty robiłaś w jej wieku?

- Całymi dniami przymierzałam stroje - i żyłam jak kobieta - powiedziała Maggy w zamyśleniu. We Francji dorasta się znacznie szybciej. A może to te lata dwudzieste - nie wiem, ale wydaje mi się, że wszyscy jej chłopcy to takie żółtodzioby. Ciągle jeszcze wykluwają się ze skorupki. Teddy zapewnia mnie, że ci chłopcy nie oczekują wcale, że będzie się z nimi kochać i nawet tego nie próbują. Czy myślisz, że to prawda?

- Oczywiście! O czym ty w ogóle mówisz, Maggy Lunel? Sympatyczni chłopcy nie spodziewają się takiej miłości od sympatycznych dziewczyn.

Wszystko zależy od tego, co to znaczy - sympatyczni, pomyślała Maggy wspominając, jak szaleńcza muzyka gitar hawajskich dźwięczała w jej krwi, przypominając sobie dzikie czerwone niebo nad Montparnasse, pamiętając jawajską melodię, której moc sprawiała, że siedemnastoletnia

dziewczyna wstydziła się swego dziewictwa i sięgając myślą do tej wiosennej nocy, kiedy pięciuset ludzi ryknęło z zachwytu na widok jej nagiego ciała.

* * *

Lally Longbridge miała jednak rację, przynajmniej w tym, co dotyczyło wysoce konserwatywnego okresu drugiej połowy lat czterdziestych. Znaczna większość dziewcząt z rocznika 1949 w Wellesley pozostawała dziewicami aż do dnia ślubu i w tej epoce niezaspokojonych pragnień, Teddy Lunel ponosiła większą odpowiedzialność za cierpienia spowodowane wstrzemięźliwością niż każda inna dziewczyna w Bostonie i jego okolicach. Głęboka podejrzliwość Maggy w stosunku do mężczyzn udzieliła się jej córce bardziej niż sądziła.

Kilku chłopcom, których darzyła szczególnymi łaskami, pozwoliła całować się godzinami i ocierać się w zapamiętaniu o siebie na tylnych siedzeniach samochodów, albo na kanapach w ciemnych pokojach klubów i korporacji studenckich, w pragnieniu osiągnięcia orgazmu mimo warstwy ubrania, która dzieliła ich ciała, bowiem Teddy nigdy nie pozwoliła na to, by któryś z nich rozpiął spodnie albo włożył jej rękę pod spódnicę. Odnosiła zwycięstwo nad ich pożądaniem, odmawiając mu wszelkiego zaspokojenia, poza tym, które zdołali osiągnąć pozornie niezauważalnie dla niej. Żaden z nich nie zachowywał się przy tym na tyle spokojnie, by domyślić się, że i Teddy zawsze miała orgazm, bez trudu, bez dźwięku czy ruchu, który mógłby go zdradzić, wywołany w magiczny sposób przez samo dotknięcie sztywnego członka prężącego się w spodniach, ukryty orgazm zdolny przydarzyć się nawet podczas tańca. Zawsze odmawiała chłopcom bliskości, która mogłaby się wytworzyć,

gdyby o tym wiedzieli i w swoim okrucieństwie przyjmowała ich hołdy w postaci oświadczeń.

Teddy nie była obojętna w stosunku do mężczyzn, którzy ją kochali, ale w głębi duszy zupełnie nie przejmowała się ich cierpieniami. Była tak zafascynowana swoim powodzeniem, że nigdy nie zakochała się w żadnym mężczyźnie. Ta nieprzystępna, nonszalancka, pełna dystansu zmysłowość była niczym kilka kropel wody dla mężczyzn, którzy pragnęli napić się do syta; doprowadzała ich do szaleństwa bardziej, niż gdyby odmawiała im pocałunków, którymi szafowała tak hojnie. Czuć przez suknię jej sutki, chłonąć jej oszalamiający zapach z tak bliska, sprawić, by jej usta obrzmiewały od nadmiaru pocałunków i jakby za sprawą niezłomnej woli, musieć na tym poprzestać...

- Mam tylko nadzieję, Teddy Lunel - powiedział jeden z nich w gniewie - że pewnego dnia będziesz cierpieć przez kogoś tak, jak ja cierpię przez ciebie.

Wydawało się, że jest jej przykro, ale wiedziała, że to się nigdy nie zdarzy.

* * *

O ile przy końcu lat czterdziestych seks przedmałżeński był rzadkością na uniwersytetach Ivy League, picie było regułą. Na stadionie Harvardu, już na pierwszym meczu futbolowym, na który przyszła Teddy, przywitano ją papierowym kubkiem mocnego rumowego ponczu, przeschmuglowanego na widownię w czerwonych wiadrach należących do wyposażenia przeciwpożarowego, stojących zwykle w korytarzach Eliot House. Wiadra były przeznaczone do tego, by napełnić je piaskiem i gasić płonące kosze pełne papierów, ale najczęściej służyły one jako shakery do

koktajli albo wazy do ponczu.

Po rozgrywkach wszyscy wędrowali z przyjęcia na przyjęcie, próbując rozmaitych zabójczych owocowych mikstur sporządzanych na najtańszym dżinie, serwowanym w każdym z pokoi akademika. We wszystkich uczelniach Ivy League upicie się stanowiło zwykły sposób zakończenia sobotniego wieczoru, ale na kampusie Wellesley obowiązywała ścisła abstynencja. Kiedyś pojawiły się plotki o przyjęciu w Munger, na którym raczono się piwem, ale nikt w nie nie wierzył, bo ryzyko było zbyt wielkie: picie alkoholu na terenie należącym do college'u groziło natychmiastowym wydaleniem ze studiów.

Teddy lubiła pić. Niemal żadne inne uczucie nie mogło się równać ze zmianą percepcji, którą był w stanie wywołać tylko trunek, z nagłym przeświadczeniem, że świat jest wreszcie zrozumiały, że leży w zasięgu rąk. Teddy uczyła się, bo tak należało, chodziła na randki i piła przez trzy lata pobytu w college'u, a każdy rok był bardziej pamiętny od poprzedniego.

* * *

Kiedy Teddy zaczęła ostatni rok studiów, wczesną jesienią, w niedzielne popołudnie pięciu członków zespołu wokalnego Dunster Funsters z Harvardu przyjechało do Wellesley, żeby ją odwiedzić. Szaleli na słynnym z urody kampusie i kiedy postanowili, że nie będą spacerować wokół jeziora, Teddy pokazała im mało uczęszczany, niemal ukryty ogród botaniczny z kolekcją rzadkich drzew, znajdujący się na tyłach gmachu nauk ścisłych. W jednej części ogrodu gęsto rosną sosny o cudownym zapachu, a ziemia pokryta grubą warstwą igliwia jest śliska i miękka pod stopami. Instynktownie zniżyli głosy i zwolnili kroku. Wydawało im się,

że przybyli do miejsca, które nie należało już do Wellesley, nie miało związku z gotyckimi wieżami i wysoce praktycznym duchem, który panuje na cudownym kampusie nawet w wolny dzień.

- Napijesz się, Teodoro? - zapytał jeden z chłopców, wyciągając z kieszeni butelkę i sadowiać się pod drzewem.

- Oszalałeś, Harry?!

- Nie ma nic lepszego niż sznaps na świeżym powietrzu - uspokój się, przecież nie ma tu nikogo oprócz nas i wiesz, że jesteśmy, niestety, całkiem niegroźni.

- Przestańcie natychmiast! - wykrzyknęła, ale chłopcy już podawali sobie butelkę. Kiedy po raz pierwszy zaproponowali ją Teddy, odmówiła, ale wkrótce, pod wpływem kojącego zapachu sosnowych igieł i niezwykłego o tej porze roku ciepłego październikowego powietrza, odważyła się wypić jeden mały łyk. Potem drugi, potem trzeci. Harry miał rację. Picie w plenerze wyostrzało zmysły, które nie pracowały dobrze, jeśli nie było się częścią natury. I, och, jak błogo, doprawdy jak błogo jest stać się częścią natury, myślała, pociągając potężny łyk szkockiej whiskey z drugiej butelki.

- Dżin paskudnie pachnie, bourbon jest za mocny, wódka jest zupełnie okropna, ale ten, kto wynalazł szkocką whiskey był dobrym i uczciwym człowiekiem - oznajmiła. Wydawało jej się, że dokonała ważnego odkrycia.

- Robert Graves wytrzymał w okopach pierwszej wojny światowej, bo wypijał codziennie całą butelkę szkockiej - powiedział jej Luther, który dzielił pokój z Harrym. - Wypijam mniej niż połowę tego i jakoś sobie radzę.

- I nie umiesz nawet pisać - powiedział Harry.

- Ale umiem śpiewać, czyż nie, Harry?

- Luther, umiesz śpiewać, wszyscy umiemy śpiewać cholernie dobrze, wszyscy powinniśmy cholernie dobrze zaśpiewać!

I zaśpiewali, najpierw cicho, słodko łącząc głosy w starych balladach, tak cicho, że nie zagłuszali nawet śpiewu ptaków. Teddy ułożyła się na plecach i słuchała w rozkosznym oszołomieniu. Jakże to było piękne! Zaśpiewali wszystkie szlagiery Funsterów, jeden po drugim. Tak naprawdę, pomyślała, kiedy ci chłopcy skończą studia, Harvard powinien i mnie dać dyplom - uczestniczę przecież na równi z nimi w ich zajęciach. Kiedy zaczęli śpiewać piosenki kibiców futbolowych, żaden z nich nie zauważył nawet, że ich głosy zadzwoniły teraz donośnie nad małym sosnowym laskiem. „Szkarłatna flaga powiewa zwycięsko... „ Teddy przyłączyła się do nich, ale głosy chłopców zagłuszały jej śpiew, więc podniosła się z sosnowych igieł i odtańczyła dziki, błazeński taniec. Pięciu Funsterów wyprawiło jej szaleńczą owację.

- Jeszcze, Teddy, jeszcze!

- Zaśpiewajcie hymn Yale, wtedy zatańczę.

- Nigdy.

- Zdrajczyni. Zdradzasz Szkarłatnych, Teodoro.

- Zaśpiewajcie hymn Notre Dame - upierała się Teddy, figlarnie płasząc.

- Co, u diabła - nie bawimy się przecież w Irlandczyków - no, dobra, młoda dama dostanie swój hymn - dalej, Teddy, ruszaj! Zaśpiewali głośno hymn kibiców Notre Dame, zaś Teddy szalała niczym filmowa gwiazda, zniewalający wamp w bermudach, tak urocza, aż zapierało dech i

kompletnie, kompletnie pijana.

Kiedy wykonywała na bis swój bachiczny taniec w takt grzmiącego finału pieśni marynarki, „Wroga zwyciężymy, zwyciężymy go!”, profesor filozofii, który uczył Teddy, odbywający z żoną właśnie popołudniową przechadzkę, wkroczył do sosnowego lasu, zwabiony hałasem.

* * *

Dwa dni później Teddy opuściła Wellesley na dobre. Jej przypadek zbadano i rozstrzygnięto z odpowiednimi zasadami, ale nie było najmniejszej wątpliwości, jaki będzie skutek. Grzech był zbyt ciężki.

Na stacji Back Bay Teddy po raz ostatni pomachała ręką na pożegnanie wszystkim zrozpaczonym i skruszonym Funsterom, którzy przyszli na dworzec, żeby ją pożegnać. Jednak kiedy pociąg rozpędził się na przedmieściach Bostonu, oparła na rękach swoją zbolałą, rozpaloną głowę i pomyślała, głupia dziwka, głupia dziwka, GŁUPIA DZIWKI! Moja wina, od początku do końca moja wina, dobrze wiem! Czy sądziłam, że wszystko mi wolno? Czy uważałam, że nic mi nie mogą zrobić? Idiotka, idiotka, cholerna, cholerna idiotka! Straciłam wszystko, wszystko przepadło, wszystko minęło, wygnano mnie z raju kopniakiem, na dobre, na zawsze. Nie będę już nigdy szczęśliwa. Rozpaczałaby na głos, ale siedziała w wagonie klubowym, pełnym pasażerów. Nigdy jeszcze nie doznała tak paraliżującego uczucia beznadziei. Wszystkie obawy, które zawsze ją prześladowały, wszystkie przeczucia, że życie jest zbyt piękne, by było prawdziwe, że cud nie może trwać wiecznie złączyły się teraz w jeden pęczniejący kłęb, który rozsadzał jej pierś i podchodził do gardła.

Teddy przybita rozpaczą, pogrążona w wyrzutach sumienia, siedziała cicho, podczas gdy pociąg przemierzał drogę, którą jeździła kiedyś

triumfalnie do Brown, Yale i Princeton. Przez cały odcinek do Hartford patrzyła niewidzącym wzrokiem przez brudną szybę. Wreszcie pozbierała się na tyle, by zamówić kanapkę i kawę. Jedząc, rozejrzała się po klubowym wagonie po raz pierwszy, odkąd się w nim znalazła.

Na początku patrzyła obojętnym, bezmyślnym wzrokiem. Jej umysł nie ogarniał tego, co widziały oczy, ale po kilku minutach skoncentrowała się i skupiła wzrok. Wagon klubowy był pełen biznesmenów i gdziekolwiek spojrzęła, widziała oznaki aprobaty. Więcej niż aprobaty. To było silne zainteresowanie, otwarte zaproszenie, fascynacja. Po raz pierwszy Teddy poczuła, że ból, który przepęłniał ją od chwili, kiedy profesor Tompkins stanął jak osłupiały w sosnowym zagajniku i nie dowierzając własnym oczom, powiedział: - Panno Lunel! - nieco zelżał. Wiedziona jakimś instynktem Teddy wstała i przeszła przez wagon klubowy do niewielkiej toalety. Niecierpliwie pchnęła drzwi i spojrzęła w pęknięte lustro nad umywalką. Niezależnie od tego co czuła, wyglądała tak samo jak przed dwoma dniami. Przyłgnęła do ściany, kołysząc się w rytm pociągu, który z każdą milą przybliżał się do Nowego Jorku i spotkania z Maggy. Bała się go tak bardzo, że nie była nawet w stanie o nim myśleć.

Musisz coś z tym zrobić, powiedziała do siebie ponuro, patrząc w lustro. Nie możesz zjawić się tak po prostu i powiedzieć, że te trzy lata trzeba wyrzucić na śmietnik. Musisz mieć jakiś pomysł na przyszłość, jakieś pojęcie o tym, jak ułożysz sobie życie. Trzy lata nauki po to, żeby dostać dyplom z historii są zupełnie bezużyteczne na rynku pracy, ale nie mogę zjawić się w domu bez planu. Została mi tylko moja twarz, tylko tyle. Czyż nie mam racji?

Teddy rozważała w myślach wszystkie uwagi, zasłyszane od Maggy

ślęczącej wieczorami w domu nad fotografiami modelek. Odkąd Teddy spędzała wiele czasu w agencji matki, minęło już siedem lat, siedem lat, które poświęciła własnym sprawom. Przez tych siedem lat zakończyło karierę całe pokolenie modelek, a ich miejsce zajęły nowe twarze, zaś ona sama z rzadka tylko zaglądała do magazynów mody, z wyjątkiem tych, które co roku zamieszczały modę szkolną. A jednak pamiętała dobrze, jakie niezbędne cechy powinna posiadać twarz modelki. Jakże często słyszała, jak Maggy powtarza je wszystkie, odrzucając zdjęcie za zdjęciem.

Wpatrując się z desperacją w brudne lustro przypominała sobie tę listę, a jej serce biło coraz szybciej. Wydatne kości policzkowe, szeroko rozstawione oczy, nos o zdecydowanym kształcie, ale nie za duży i nie za mały, włosy, z którymi można zrobić wszystko, dobra cera, doskonale zęby, długa, długa szyja, niewielki, wyraźnie zarysowany podbródek, szerokie kości szczękowe, wysokie czoło, linia włosów o ładnym kształcie, twarz, w której wszystko jest na swoim miejscu... tak, och, tak, miała wszystkie cechy. Wiedziała, że jest aż nadto wysoka, zawsze była bardzo szczupła... ale czy jest fotogeniczna?

Teddy wiedziała, że o tym może zdecydować tylko aparat fotograficzny. Zasadniczy problem, czy suma wszystkich elementów, niezależnie od ich doskonałości, złoży się na twarz, która liczy się w dwóch tylko wymiarach, bez trzeciego wymiaru głębi i bez pomocy koloru, nie może być nigdy rozstrzygnięty przez samo oko. Maggy nigdy nie wpadała w nadmierny entuzjazm w związku z możliwościami danej modelki, dopóki nie obejrzała zdjęć próbnych, ponieważ tak wiele dziewczyn nie wyglądało na zdjęciach równie dobrze jak w

rzeczywistości, podobnie jak liczne modelki okazywały się zadziwiająco nieatrakcyjne w naturze.

Nie, nie mogę być pewna, pomyślała Teddy, wracając na miejsce, ale można przynajmniej spróbować wymyślić coś, co Matka mogłaby zaakceptować... och, ty cholernie głupia dziwko, kogo chcesz nabrać? Gdyby chciała, żebym była modelką, dlaczego miałaby mi o tym nie powiedzieć? Po co posyłałaby mnie do Wellesley? Ale lepsza ta odrobina nadziei niż nic.

Maggy, najpierw rozczarowana i zagniewana, zadała sobie nagle pytanie. Dlaczego jej córkę ukarano w sposób tak hańbiący za picie na kampusie, kiedy ona sama, będąc w wieku Teddy, żyła w grzechu z żonatym mężczyzną i urodziła nieślubne dziecko? Aż się prosi o trochę historycznej perspektywy, powiedziała ponuro do siebie. To, że Teddy nie dostanie dyplomu, nie zagraża jej życiu. Od tego, jak zwykł mawiać rabbi Taradash, dzieci nie umierają. A próbując swoich sił w zawodzie modelki, dostanie niezłą szkołę.

Dziewczęta w agencji były niczym oddział piechoty. Pracowały ciężko, z poświęceniem, nie były zepsute. Patrząc na zdjęcia i reklamy mody, do których pozowały, nikt nie domyślał się nawet, jak ogromnego wysiłku, energii i woli trzeba, by znosić niewygody, skrywane ze swobodą widoczną na zdjęciach.

Poza kilkoma kapryśnymi wyjątkami, każda modelka, która odnosiła sukcesy, szła do łóżka wcześnie, by odespać osiem godzin i stawić czoło trudom następnego dnia. Rozsądnie, tak jak do zwykłej pracy, tak pogodnie, jak się dało, wstawiała rano, by przygotować się punktualnie na pierwsze z umówionych spotkań. Punktualność była sprawą wielkiej wagi

dla wydawców, klientów i fotografów, spodziewających się ujrzeć modelkę, która przybywa w makijażu, gotowa do pracy, wraz z uderzeniem zegara. Siostrzaną cnotą punktualności była niezawodność; żadna modelka nie odwołałaby spotkania, chyba że znalazłaby się w szpitalu i, nawet gdyby między zdjęciami ślaniała się ze zmęczenia, nie pozwoliłaby sobie na okazanie swojego stanu podczas zdjęcia. Musiała zaakceptować zmęczenie jako część wynagrodzenia, które wynosiło teraz czterdzieści dolarów za godzinę dla najbardziej wziętych modelek.

Czterdzieści dolarów za godzinę. Ta suma ciągle jeszcze zdumiewała Maggy, mimo iż sama walczyła o jej podwyższenie. Kiedy przybyła na Montparnasse, przeciętna modelka artysty pracowała za sumę odpowiadającą sześćdziesięciu centom za trzy godziny pozowania. Oczywiście, kiedy Paula wzięła ją pod swoje skrzydła, zarabiała dwa razy tyle, czterdzieści centów za stanie nago w nieogrzewanej paryskiej pracowni w środku zimy. Potrafiła się za to utrzymać, nawet opłacić czynsz, kupić sobie ubrania, nosić codziennie we włosach świeży goździk - nawet wspomagać Julię Mistrala pewnej niezapomnianej wiosny. Maggy zastanowiła się i spróbowała ze wszystkich sił wyobrazić sobie siebie jako dziewczynę z tamtych lat. O czym wtedy myślała, co czuła? Jedne wspomnienia były żywe, - inne odeszły w niepamięć.

Wstrząsnął nią dreszcz. Na pewno są jeszcze modelki pozujące artystom, biedaczki, choć jej własne dziewczęta, które pozowały do reklam bielizny zarabiały dwukrotnie więcej niż te, które reklamowały tylko stroje, drogo za to płaciły utratą pozycji. Jej najlepsze modelki nie godziły się nawet na pozowanie w nocnych koszulach i peniuarach. Przynajmniej żaden z początkujących fotografów w stylu Julię Mistrala

nie będzie mógł nigdy rozkazać Teddy, żeby zdjęła majtki. To była pewna pociecha.

* * *

Maggy rozważała kwestię, do którego fotografa należy posłać Teddy na zdjęcia próbne. Zwykle nie zajmowała się już decyzjami tego rodzaju. Zatrudniała dwudziestu dwóch pracowników, a sześciu spośród nich mogło załatwić sprawę za pomocą jednej rozmowy telefonicznej. Rzecz jasna, Maggy zdawała sobie sprawę z tego, że ucieka się do protekcji, ale te zdjęcia miały zasadnicze znaczenie. Jeśli wypadną słabo, nie ma co marzyć o przyszłości Teddy jako modelki. Jeżeli będą dobre, zostaną wykorzystane do pierwszej „kompozycji” Teddy, kolażu błyszczących zdjęć wielkości 8 x 10, służącego jej jako dokument, paszport, karta identyfikacyjna, dopóki w ciągu długich miesięcy nie stworzy sobie mozolnie portfolio z wielu różnych zdjęć, swojej „książki”, którą będzie nosić przy sobie, by pokazywać je wydawcom pism, agencjom reklamowym i fotografom.

Nagle Maggy, która stawała się coraz bardziej nieczuła wobec ambicji, nadziei i marzeń tysiąca dziewczyn każdego roku, Maggy, która nigdy nie starała się postawić w sytuacji modelki, dopóki nie obejrzała zdjęć, przemawiających lepiej niż ludzki głos, stwierdziła, że pragnie, by zdjęcia wypadły dobrze, tak jakby to ona sama rozpoczynała karierę w zawodzie. Wyobrażała sobie, że przegląda zdjęcia próbne Teddy, wyobrażała sobie, że zastanawia się nad zaletami Teddy, porównując je z - och, powiedzmy, z zaletami wspaniałej modelki Sunny Harnett, która miała zbyt wydatny nos i podbródek, by uchodzić za piękność, a jej usta były stanowczo za szerokie, ale jej uśmiech natychmiast przykuwał wzrok,

uśmiech radości tak niezmaconej, że udzielała się każdemu czytelnikowi. Sunny Harnett, która uosabiała jasnowłose powiew szyku Southampton, która wyglądała tak, jakby cały dzień przebywała na powietrzu uganiając się za tenisową piłką, nawet wtedy, kiedy pozowała siedząc. Czy Teddy ma choć cząstkę tej energii? Jako ekspert, Maggy stwierdziła, że jedyne, co może zrobić, by pomóc Teddy w konkretny sposób, to nauczyć ją podstaw makijażu. Ten, który był dobry w college'u, zupełnie nie nadawał się do fotografii.

Coffin, Toni Frisell, Horst, Bill Helburn, Milton Greene, Jimmy Abbe, Roger Prigent - mogła poprosić o przysługę każdego z najslawniejszych fotografów, ale przebiegając te nazwiska w myślach, Maggy zdała sobie sprawę, że nie oprze się pokusie zwrócenia się do jednego z trzech, których uważała za najbardziej utalentowanych na świecie: do Avedona, Falka albo Penna. Był to jednak okres pokazów mody w Paryżu i właśnie w tym sezonie Avedon, którego gwiazda weszła tak szybko w ciągu ostatnich lat, pracował tam dla „Bazaar”, zaś Penn robił w Paryżu zdjęcia dla „Vogue”. Zatem to będzie Falk, bo Maggy nie mogła znieść dłużej tego napięcia, nawet jeśli mogła je znieść Teddy.

* * *

Czuję się tak, jakby mnie wieźli dwukółką na gilotynę, myślała Teddy, albo tak, jakbym stała na krawędzi trampoliny i musiała skoczyć do wody przez płonące koło. Skrepowana własną nieśmiałością zatrzymała się na skrzyżowaniu Lexington z Trzecią Aleją przed budynkiem wozowni, który Falk przerobił na własne studio. Było po piątej. W piątkowy wieczór na ulicach kłębił się tłum ludzi wychodzących z pracy i żegnających się przed weekendem.

Pogoda dobra na mecz, stwierdziła Teddy, drząc na chłodnym wietrze. Powinna być setki mil stąd i ubierać się na randkę - och, Dunster, Leverett, Winthrop i Eliot! Mruczała do siebie litanie nazw osławionych domów studenckich Harvardu na brzegu Charles River - to tam powinna być! Tymczasem była wystrojona i wyfiokowana, uczesana i umalowana, w nowych ubraniach i cudzej skórze, od stóp do głów. Matka zrobiła wszystko, co się dało, by osiągnąć doskonały efekt. Teddy zdawała sobie sprawę, że wygląda tak dobrze jak nigdy, ale ta wiedza nie przydawała się na nic.

Jej rzęsy pokrywała obca warstwa tuszu, skórę - umiejętnie nałożony puder, podkład i róż. Fryzurę przygotował salon Elizabeth Arden. Maggy nadała Teddy nieskazitelną, dojrzałą elegancję diorowskiego „New Look”, wybierając dla niej dopasowany dwurzędowy kostium z szarej flaneli, z czarnymi aksamitnymi wyłogami. Żakiet był mocno wcięty w pasie, spódnica z podszewką przesadnie podkreślała biodra, zwężała się ku dołowi i kończyła kilka centymetrów nad kostką. Teddy miała na nogach czarne pantofle z miękkiej skórki na wysokich obcasach, na głowie mały czarny kapelusik z woalką sięgającą jej za nos, a na rękach jasnoszare gienzowe rękawiczki. Ze zdenerwowania pociła się pod nową kosztowną bluzką, mimo dezodorantu, którym obficie spryskała się od rana już trzykrotnie. Zadzwoiła do drzwi. Może przestanie się pocić, kiedy zacznie działać.

Falk zgodził się zrobić zdjęcia próbne nowej dziewczynie z Agencji Lunel, pod warunkiem że przyjdzie do niego, kiedy sam skończy zdjęcia na ten tydzień. Gdyby Dora Mazlin, główna sekretarka Maggy, nie zadzwoniła do niego, by osobiście prosić go o ten zaszczyt, nie zawracałby

sobie tym głowy, ale jego własna sekretarka miała wobec Dory dług wdzięczności za dawne przysługi. Każdy fotograf, nawet klasy Falka, potrzebował od czasu do czasu najlepszej modelki na ostatnią chwilę i w takich wypadkach właśnie Dora była pośrednikiem. Na dzwonek Teddy drzwi otworzyła niewysoka pogodna kobieta.

- Jesteś nową dziewczyną z Lunel? Proszę, wejdz.

Teddy rozejrzała się po pokoju. Panowała w nim atmosfera niewymuszonego komfortu, ale nie było w nim nic wyjątkowego, oprócz fotografii na ścianach. - Mogę obejrzeć? - zwróciła się do sekretarki, zbyt zdenerwowana, by siedzieć spokojnie.

- Oczywiście, proszę bardzo.

Teddy spacerowała od zdjęcia do zdjęcia, czując rosnące napięcie. Zawsze zwracała nieco większą uwagę na fotografie mody niż inne dziewczęta w jej wieku, ale te zdjęcia były niczym sny, z których wyłania się świat podobny do rzeczywistego, ale tajemniczo wzniosły, obdarzony większym znaczeniem, nasycony magiczną mocą. Rozpoznawała wiele twarzy. Większość modelek pochodziła z Agencji Lunel, ale żadna z dziewczyn, które znała, nie była w rzeczywistości aż tak interesująca. Obiektyw aparatu zarejestrował tu ten ułamek sekundy, w którym objawia się osobowość. Poza pięknymi rysami twarzy, Teddy wyczuwała najskrytszą naturę każdej modelki. Nie były to tylko zdjęcia mody, lecz w pełni świadome portrety kobiet pogrążonych w najbardziej osobistych rozmyślaniach.

- Posłuchaj - powiedziała nagle sekretarka. - Jeżeli zostaną tu dłużej, spóźnię się na randkę. Telefon nie będzie już dzisiaj dzwonił, więc wychodzę. Powiesz mu, że zjawię się tu w poniedziałek skoro świt? -

Chwyciła płaszcz i skinąwszy ręką szybko wybiegła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Teddy siedziała w pustym pokoju na krawędzi krzesła. Przez otwarte drzwi widziała fragment jasno oświetlonego studia. Przez dwadzieścia minut, które dłużyły się nieznośnie, nie zdarzyło się nic. W domu panowała ta szczególna cisza piątkowego popołudnia, obwieszczająca wyraźnie, że praca w tym tygodniu skończona. Może to jakaś pomyłka? Może jest tu całkiem sama? Teddy zastanowiła się.

Wreszcie z wahaniem podniosła się ciężko i powoli weszła do studia, zatrzymując się po kilku krokach. Czowała, że obcisłe rękawiczki niemal przykleiły jej się do rąk. Próbowwała je zdjąć. W pokoju nie było miejsca, na którym można by usiąść, nie było w nim nic oprócz mocnego, oślepiającego blasku światła, aparatu na trójnogu i płachty papieru nieskalanej białości, rozciągającej się wzdłuż jednej ze ścian i na podłodze. Pot, tak, coraz więcej potu zbiera się pod nowym obciskającym talię gorsetem, pomyślała w przerażeniu. Zdała sobie sprawę, że nie może oddychać i dwa razy głęboko wciągnęła powietrze.

- Czy ktoś tu jest? - zapytała drżącym, słabym głosem. Nie było odpowiedzi. Nagle drzwi do ciemni otworzyły się i wyjrzał zza nich mężczyzna, wpatrzony w kartkę papieru, którą trzymał w ręku. Obrzucił Teddy szybkim spojrzeniem. - Zaraz przyjdę - powiedział, zerkając na papier z niezadowoloną miną. Potem znów podniósł oczy i upuścił mokre zdjęcie. Spojrzał na nią przez morze białego papieru.

- Ruda?

Teddy podskoczyła i wyteńczyła wzrok, ale nie widziała go dość wyraźnie.

- Ruda!

Twarz Teddy zmieniła się i przybrała wyraz takiego zmieszania, jak pogoda przed wiosenną burzą. Zdecydowanym krokiem weszła na nieskalany papier, zbliżyła się i osłoniła ręką oczy.

- Tylko jeden jedyny człowiek mówił do mnie Ruda, pewien cholerny drań, który zabrał mnie siedem razy do kina, nauczył francuskich pocałunków i porzucił bez słowa wyjaśnień.

- Ruda... mogę to wytłumaczyć.

- Aha! - W ożywieniu zapominając o zdenerwowaniu i niepokoju, Teddy postąpiła szybko pięć kroków naprzód i złapała go za koszulę. - Wypłakałam przez ciebie oczy, ty bydlaku! Całymi miesiącami myślałam, że nie nadaję się do niczego. Udawałam przed matką, że mam cię dość. Powiedziałam twojej kuzynce, że za bardzo się do mnie kleiłeś... Dlaczego nawet nie zadzwoniłeś, Melvinie Allenberg?

- Naprawdę było ci przykro? - zapytał.

- Och, co z ciebie za gówniarz! Chcesz się teraz upajać tym, że było mi przykro. To świństwo! W każdym razie, skąd się tu wzięłeś?

- Pracuję do późna.

- Ach, więc udało ci się w końcu wcisnąć do studia fotograficznego... czarna owco rodu Allenbergów... Założę się, że matka nie jest z tego zadowolona?

- Przyzwyczała się.

- Gdzie jest Falk? Siedzę tu już od pół godziny - powiedziała wyniośle Teddy.

- Falk to ja.

- Bzdura.

- Widzisz tu kogoś poza mną?

- Udowodnij to.

Melvin Allenberg roześmiał się. - Och, Ruda, wcale się nie zmieniłaś. - Teddy zwolniła nieco uścisk, puszczając koszulę i próbowała nim z całej siły potrząsnąć, ale nawet nie drgnął. Potężny jak niedźwiadek, zanosił się od śmiechu, widząc jej wysiłki i rozzłościł ją tak, że łzy napłynęły jej do oczu. Wreszcie wyswobodził się, złapał ją za ręce, zmusił ją, by opuściła je wzdłuż boków i przytrzymał je przez chwilę.

- Chodź na górę... Mieszkam nad pracownią. Przedstawię ci wszystkie dowody, jakie tylko zechcesz.

Wypuścił Teddy z uścisku i szybko wyszedł ze studia do poczekalni. Poszła za nim. Patrząc, jak się porusza, zaczynała mu wierzyć. W niedbalej pewności jego kroków był bezbłędny rytm, zdradzający w nim właściciela, a kiedy wspięła się za nim po schodach i zobaczyła ogromny pokój, zajmujący niemal całe piętro budynku, zrozumiała natychmiast, że to jego własny dom. Pokój pasował do Melvina Allenberg. Był zagracony, przytulny, zavalony ogromnymi powiększeniami zdjęć pięknych kobiet. Zdjęcia wisiały na ścianach, leżały na podłodze, piętrzyły się w kątach. Wszędzie walały się dziesiątki otwartych książek, na biurku leżał metrowej wysokości stos ilustrowanych pism, a wielkie niskie kanapy i fotele przykryte były ciemnozieloną pikowaną skórą.

- Drinka? - zapytał, podchodząc do tacy pełnej butelek i szklanek, stojącej na pokrywie starego kufra okrętowego.

- Szkocka z lodem, ale to ci nic nie pomoże, Melvinie Allenberg.

- Melvinie Falk Allenberg.

Teddy zmrużyła oczy powstrzymując się od komentarza, by dać mu

w ten sposób do zrozumienia, że poddaje go surowej próbie. Nalał dwa drinki i usadowił się na krześle obok kanapy, pochylając się i opierając łokcie na kolanach, zaś podbródek na rękach. Przez chwilę przyglądał się spokojnie Teddy. - Zdejmij kapelusz - rzekł wreszcie.

- Co? - poczuła się dotknięta.

- Zdejmij kapelusz... Nie podoba mi się ta woalka, nie mogę ci się dobrze przyjrzeć.

- Nie wiem nawet, czy chcę tu zostać - powiedziała, mając nadzieję, że uśmiecha się przy tym całkowicie obojętnie, uśmiechem, jaki nigdy jeszcze nie pojawił się na jej twarzy i nie pojawi się już nigdy w przyszłości. Wróciła jej wspaniała brawura, którą przyswoiła sobie w ciągu trzech lat, bałamucąc bez przeszkód serca mężczyzn. - Nie wiem nawet, czy pozwolę ci zrobić sobie zdjęcia próbne. Wszystko zależy od tego, dlaczego wcale się do mnie nie odezwałeś. Nic mnie to nie obchodzi, że jesteś bogaty i sławny, ty bydlaku, tak jak to sobie przepowiedziałeś.

- Przepowiadałem to nam obojgu - odpowiedział.

- Pamiętasz to? Po pięciu latach?

- Pamiętam wszystko. Kiedy się spotkaliśmy, wchodziłaś właśnie w swoją fazę destrukcyjną. Choć miałem wtedy tylko dziewiętnaście lat, wiedziałem, że się zaczyna, tak niezawodnie jak wschód słońca. Nie chciałem być twoją pierwszą ofiarą... już samo to, że byłem twoją pierwszą zdobyczą było dość trudne. Więc zmyłem się, kiedy zrozumiałem, że następna randka, następna sesja szaleńczych pocałunków załatwiłyby mnie, pewnie na całe życie. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał - Oczywiście, myliłem się. I tak było za późno, żeby się bronić.

- Hmm - deklarację tego rodzaju Teddy słyszała już wcześniej, we

wszystkich możliwych wariantach, ale w jego oświadczeniu brzmiała niewzruszona cierpliwość i spokojne pogodzenie się z sytuacją, bardziej przekonujące niż najbardziej płomienne frazy. Nadal przyglądał jej się z uwagą, kiedy ostrożnie zdejmowała kapelusz i z wprawą przeczesywała włosy palcami, rozdzielając starannie ułożone fale, aż wreszcie światło lampy załśniło w oszłamiająco rudych splotach.

Teddy sączyła szkocką, której smak na zawsze skojarzył się jej z niebezpieczeństwem, i odpowiadała Melwinowi spokojnym spojrzeniem. Melvin Allenberg wyrósł na interesującego mężczyznę. Jego haczykowaty nos i wielkie okulary sprawiały, że wyglądem nadal przypominał ptaka, ale jego wielkie jasne oczy nadawały twarzy wyraz inteligencji połączonej z tym rodzajem energii, który stanowi istotę wdzięku. Była to twarz w pełni ukształtowana, której rysy - zdecydowany podbródek, szerokie brwi, aureola czarnych kędzierzawych włosów - z wiekiem tylko się umocnia. Nigdy nie zapomniała jego ust, pierwszych ust, które całowała. Żywość umysłu i fantazja wyraźnie dawały o sobie znać w ładnym zarysie warg, zupełnie tak, jakby był czarownikiem.

- Wydaje mi się... - zaczęła, a kąciki jej ust drżały wskazując, że jest gotowa mu wybaczyć. Przerwała, dotknięta nagłym wspomnieniem. - Na następnym spotkaniu chciałam zaprosić cię na pierwszy studencki bal. Och! Kiedy się nie odezwałeś, uniosłam się dumą i nie zadzwoniłam.

- A inni chłopcy, z którymi chodziłaś na randki?

- Postanowiłam nie zapraszać żadnego z nich... i nie poszłam na bal.

Przepadło - odpowiedziała ze smutkiem.

Porwał się nagle z miejsca, przemierzył dzielącą ich przestrzeń, usiadł na kanapie, wziął ją mocno w ramiona i pocałował w usta.

- Och, moja słodka Ruda, moje biedne maleństwo. Tak mi przykro... Powinienem był zadzwonić, ale co bym ci powiedział? Wtedy nie można było niczego wytłumaczyć... Byłem za głupi, by znaleźć właściwe słowa. - Z czułością wytarł szminkę z jej warg swoją chusteczką do nosa i pocałował ją jeszcze raz. Przez ostatnie lata jej usta były całowane tysiące razy, ale pamięć zmysłów wskrzesiła ten szczególny dotyk, smak i ciepło jego warg. A jednak zmienił się, był inny w sposób, który pojęła nagle w przyływie radości. Był mężczyzną i całował jak mężczyzna, nie chłopiec. Teddy zrzuciła z nóg pantofle i wyciągnęła się na kanapie. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła na sufit, różowy o zmierzchu jak na obrazach Tiepola. Westchnęła rozkosznie i pozwoliła, by odgarnął jej włosy z karku i całował ją za uszami. Nigdy przedtem nie całowali się na siedząco, pomyślała. Dziecinnie, swawolnie wymknęła mu się i energicznie potarła nosem o jego nos.

- Przyjaciele? - zapytał z niepokojem.

- Wybaczam ci. Tylko przez wzgląd na dawne czasy - mruknęła pieszczotliwie Teddy. Powiódł rękami po jej eleganckim zakiecie, stroju tak sztywnym i wymodelowanym, że mógłby stać prosto o własnych siłach. - Tyle guzików - narzekał Melvin, rozpinając je ostrożnie - między mną i moją dziewczyną.

Próba rozpięcia choćby jednego guzika działała na Teddy jak nagły sygnał alarmowy, ale przystała na to, bo bluzka pod żakietem chroniła ją jeszcze jednym podwójnym rzędem małych guziczków z tafty. Już po chwili leżała na kanapie w wymyślnej bluzce i nowej spódnicy, unosząc się, prężąc i rozplywając pod naporem jego pocałunków. Z trudem chwyciła oddech. Ten nagły poryw, pośpiech, brak preludium,

świadomość, że nie znajduje się w salonie studenckiej korporacji, w otoczeniu dziesiątek całujących się par, lecz jest z nim w domu sama, była niezwykle groźna, dopóki nie spojrzała na twarz Melvina i nie uspokoiła się. Zdjął okulary i wyglądał tak cudownie, tak kojąco, że poddała się znowu powodzi jego pieszczot, radując się upajającym poczuciem władzy, które odczuwała zawsze, gdy rosło podniecenie całującego mężczyzny, gdy wzbierały fale jego namiętności, a serce biło mu coraz szybszym rytmem. Ale Melvin zrobił coś, co nie przydarzyło jej się jeszcze nigdy przez trzy lata namiętnych pieszczot. Uniósł ją z kanapy, bez żadnych uprzednich ostrzeżeń i z łatwością przeniósł przez wielki pokój i drzwi, których przedtem nie zauważyła, prowadzące do jego małej sypialni.

- Melvin! - protestowała, wyrywając się wściekle. - Przestań! Co ty wyprawiasz? Nigdy nie kładę się z chłopcami do łóżka!

- Kiedyś musi być pierwszy raz, a ja nie jestem chłopcem - powiedział głosem stłumionym miłością, ale zdecydowanym. Teddy szarpnęła się, usiłując podnieść się z posłania, ale był tak silny, że przypominało to walkę ze wzburzonym morzem. Przez cały ten czas całował ją gdzie tylko mógł: czubki jej palców, jej podbródek, linię włosów, oczy, niczym wprawny podpalacz rozniecający setki małych płomieni. Wiele minut później, kiedy płonęła od stóp do głów, zaczął rozpinać guziki jej bluzki. Protestowała słabo. Jej niezawodna żelazna kurtyna, przez którą nie udało się przedostać żadnemu mężczyźnie, zdawała się rozpadać i Teddy poczuła, że jest bezbronna.

To wszystko nieprawda, myślała, kiedy zdjął jej bluzkę, rozpiął pasek spódnicy i ściągnął ją z jej nóg. Kiedy jego ciepłe dłonie zręcznie poradziły sobie ze sprzączkami gorsetu i oswobodziły jej piersi, kiedy jego

ciepłe usta pochyliły się ku jej sutkom, nietkniętej jeszcze nagości jej dziewiczych sutków, znowu pomyślała, że to nie dzieje się naprawdę, ale kiedy stwardniały w olśniewającym doznaniu pod jego wargami, pomyślała, że może to wszystko dzieje się jednak rzeczywiście. Kiedy poczuła, że Melvin Allenberg jest nagi, że każdy cal jego mocnego ciała przylega do jej nagości, kiedy poczuła dotyk jego członka, rzucającego się jak ryba na jej podbrzuszu, zrozumiała wreszcie, że wszystko to dzieje się naprawdę i choć to niewiarygodne, że tego pragnie. Leżąc, pasowali do siebie tak, jakby byli tego samego wzrostu. Melvin nie spieszył się wcale, drżał panując nad sobą, poruszał się z niezwykłą cierpliwością, ale nieustępliwie. Posiadł ją cal po calu, wziął Teddy Lunel całą, niweczając jej nawyk skrytości, wziął ją w pełni, nie oszczędzając żadnego z jej sekretów. I wreszcie, wolna od brzemienia cnoty, leżała u jego boku, zadowolona i wdzięczna.

To musiało być w 1933, sto pięćdziesiąt wiosennych sukien Molyneux, do każdej para rękawiczek w odpowiednim kolorze. To dziwne, jakie drobiazgi przychodzą mi do głowy, kiedy jestem zdenerwowana - myślała Marietta Norton, gdy samolot Lockheed Constellation przedarł się przez warstwę chmur i załśniło słońce.

Główna redaktorka „Mode” odetchnęła z ulgą, kiedy przestało kołysać samolotem. Nigdy nie przyznała się nikomu, że boi się latać, a tego wietrznego poranka 1952 start z Idlewild nie był gładki. Pomyślała tęsknie o dniach, kiedy wydawanie magazynu mody odbywało się jeszcze w sposób cywilizowany, o tych latach, kiedy wsiadało się na pokład Normandie i płynęło do Francji: kabiny pierwszej klasy, pięć dni pasztetów, kawioru i szampana, i okazja, by odzyskać werwę. Teraz oczekiwano od niej, że będzie się trzęsła i telepała po koszmarnym niebie, jakby to była zwyczajna rzecz.

Na przykład ta podróż do Francji z kolekcją strojów wakacyjnych na przyszły rok, którą pokaże się na dwunastu stronach styczniowego numeru - równie dobrze można by to zrobić w Hamptons, w każdym razie takie jest jej zdanie, stroje projektowali przecież Amerykanie, ale nie, Darcy zażądał, by ruszyć pełną parą. - Marietto - powiedział tym swoim wielkopańskim tonem, który zawsze wyprowadzał ją z równowagi - ciągle jesteśmy lepsi niż „Vogue” i „Bazaar”, bo nie boimy się iść na całość. Słyszałem, że „Vogue” robi zdjęcia kolekcji w Portugalii, a ty jedziesz do Francji dla „Mode” - nie ma o czym dyskutować. - Marietta Norton wzdrygnęła się. Zawsze się o to kłócili i zawsze przegrywała.

Wiedziała jednak, że jest najbardziej doświadczoną redaktorką w

całym świecie mody i Darcy doceniał ją w jedyny sposób, na jakim jej zależało - płacąc jej szczerze tam, gdzie pensje były zwykle niskie. Bóg jeden wie, że po trzydziestu latach zajmowania się modą pracowała tylko dla pieniędzy, dzięki którym posłała swoje cztery córki do najlepszych szkół, a nie dla przyjemności. Dla niej nie liczył się już blichtr, przeminął tak jak wieczorowy żakiet Lanvin z narzutką ze srebrnych lisów, jak lunch dla dwóch osób wart dziesięć dolarów w eleganckiej restauracji, jak długie do ziemi suknie noszone na popołudniowych wyścigach, jak pani Harrison Williams w krynolinach Winterhalter, przebrana za księżną Wellington na balu w Operze Chicagowskiej.

Po prostu było już zbyt wiele paryskich kolekcji, zbyt wiele zdjęć peniuarów, które robiło się w czerwcu, by mogły ukazać się na Boże Narodzenie, zbyt wiele jazd rozklekotanymi taksówkami na Siódmą Ulicę, zbyt wiele tuczających lunchów z przedsiębiorcami, którzy reklamowali się w „Mode”, zbyt wiele dni, zbyt wiele słów obwieszczających, że oto w modzie nastąpił kolejny przewrót, że kobiety powinny odrzucić to, co stare i iść z duchem czasu, podczas gdy sama Marietta Norton nie przywiązywała najmniejszej wagi do tego, co ma na sobie, a co gorsza, to było widać i Marietta zdawała sobie z tego sprawę.

Jak wielu najlepszych redaktorów działów mody, Marietta Norton była bezwstydnie zaniedbana. Spędziła większą część swojego życia przyglądając się krytycznie wszystkim możliwym strojom zachodniego świata i dokonując wyboru najlepszych. Gdyby jej umiejętność wyboru posiadała młoda, smukła i bardzo bogata kobieta, zapewniłoby to jej miejsce na liście najlepiej ubranych pań, ale Marietta Norton nigdy nie marnowała czasu, zainteresowań i energii, by wybrać coś dla siebie. Co

gorsza - myślała - była niska i pulchna. O takiej kobiecie Anglicy mówią zwykle, że „wygląda jak kucharka”, choć w dzisiejszych czasach nawet Anglicy nie miewają już kucharek.

A jednak liczyła na to, że ta podróż zaowocuje zdjęciami kolekcji, które zaćmią wyczyny „Vogue” w Portugalii, jeśli po drodze nie zdarzy się jakaś wpadka.

Smukły, szybki fotograf, Bill Hatfield, był jej zdaniem, jednym z chłopaków obdarzonych najlepszym gustem w świecie mody. Jej asystentka, Berry Banning, pracowała dotąd bez zarzutu, choć wysiłki Berry będzie można docenić dopiero wtedy, kiedy wrócą bez żadnego potknięcia do Nowego Jorku. Dziewczynom, które wywodziły się z bogatej Locust Valley, z Bar Harbor, Spence-Chapin często brakowało tego, co trzeba, by zrobić karierę w świecie magazynów mody.

Jednym szczegółem, który nie został dopracowany tak, by całkowicie zadowolić Mariettę, była fryzura modelki. Niechętnym spojrzeniem obrzuciła tył głowy Teddy. Niezrównana panna Lunel, niech лихо weźmie jej piękne oczy, twardo odmówiła zgody, by nadać jej fryzurze modny kształt płatków chryzantemy. Marietta była przekonana, że to strzyżenie to przebój dziesięciolecia, ale od kiedy Teddy Lunel robiła coś, na co nie miała ochoty?

Odkąd zaczęła pracować cztery lata temu, od pierwszego dnia nigdy nie musiała godzić się na kompromisy. Tak jak Norman Norell i Mainbocher, dwaj czołowi projektanci, którzy mieli tak mocną pozycję, że godzili się na zamieszczanie zdjęć swoich strojów tylko wtedy, gdy każdy z nich miał cztery strony wyłącznie dla siebie, Teddy Lunel była jedyną modelką na świecie, której nie fotografowano w towarzystwie innej

modelki. Może to i lepiej, myślała Marietta, wybacząc Teddy upór w sprawie włosów, bo nawet najwspanialsza z modelek wyglądała przy Teddy - no, powiedzmy - „blado”.

Już po raz szósty Marietta wzięła Teddy do Europy. Nawet zeszłej wiosny byli razem w Paryżu w związku z jesienną kolekcją i jeśli znalazłby się ktoś, kto wyglądałby tak nadzwyczajnie, tak olśniewająco pięknie jak Teddy w kapeluszu Balenciagi z tiulu i róż, tiulu ciągnącego się z tyłu niczym ciagutka, powinna się o tym dowiedzieć, bo byłby to istny cud. I gdzie - myślała - podziła się stewardessa z martini? Osiemnastogodzinny lot z Nowego Jorku do Paryża, z przerwą na tankowanie w Gander na Islandii, gdzie diabeł mówi dobranoc, a potem w Shannon, to razem osiem kieliszków martini... gdyby jej nie powiedzieli, że najbardziej niebezpieczny jest start i lądowanie, może wystarczyłyby dwa albo trzy kieliszki.

* * *

Billowi Hatfieldowi nie był potrzebny drink, choć i tak go sobie zamówił. W czasie wojny był lotnikiem marynarki. Potrafił wsiąść do każdego samolotu pasażerskiego, zasnąć przed startem i obudzić się na samo lądowanie - jeśli tylko miał przy sobie swoje trzy amulety, dzięki którym samolot unosił się w powietrzu. Cieszył się, że Marietta, sprytne stare babsko, wzięła go w tę podróż. Źle się działo ostatnio w studio. Ann wyprowadziła się w końcu i jeśli dotrzymała słowa, umawiała teraz swojego prawnika z jego prawnikiem w sprawie rozwodu. No i bardzo dobrze. Ale zamierzała się wprowadzić Monique. I Elsa. Czy naprawdę proponował to im obu? Chyba tak myślały. Jediną złą stroną zawodu fotografa mody były modelki. Wspaniałe dziewczyny, podobały mu się

wszystkie i na tym polegał cały problem. W każdym razie w tej podróży nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo - z Teddy Lunel odtańczył już swojego walca.

Kątem oka przyglądał się jej, pochylonej nad książką. To było sześć najcudowniejszych miesięcy jego życia, wtedy kiedy przestała być dziewczyną Falka, ale zerwanie z Teddy oznaczało pieprzony koniec, wszystko martwe jak zimny głaz, żadnych stygnących namiętności, żadnych wspomnień. Była z tych, co nie oglądają się wstecz. Zastanawiał się, ilu kochanków miała po nim. Tajemnica seksualnej rozwiązłości była niczym aksamitna peleryna. Okrywała się nią z uśmiechem, za którym mężczyzna poszedłby do samego piekła. Ale przeżył to... z trudem.

Myślał o innych modelkach, które można by wysłać w tę podróż z ekipą „Mode”. Była wśród nich Jean Patchett, o brwiach nakreślonych przez mistrza kaligrafii, której mały czarny pieprzyk nad prawym okiem był najsłynniejszym pieprzykiem w historii fotografii. Uroda Patchett była wyrafinowana w najwyższym stopniu - nie nadawała się do zdjęć, które zamierzał zrobić. Dovima o namiętnej twarzy, czarnych włosach i niebieskich oczach byłaby dobra do sukni balowych, ale nie wyobrażał jej sobie w strojach na wakacje. Lisa Fonsegrieves o księżycowym uroku, porcelanowej twarzy księżniczki, zgrabnym zadartym nosku i blond lokach - tak, byłaby cudowna... ale nie tak doskonała jak Teddy. Jedyna możliwość to Suzy Parker. Można by pomyśleć, że nigdy nie narodziła się na tym świecie dziewczyna piękniejsza niż Suzy... dopóki nie spojrzano się na Teddy.

To zadziwiające, jak piękno dawało się stopniować. W Nowym Jorku było sto pięćdziesiąt modelek, wybranych spośród najpiękniejszych

dziewczyn Ameryki, a wśród tych stu pięćdziesięciu było pół tuzina takich, które wyróżniały się w tej grupie i były zjawiskiem same w sobie. Każda z nich obdarzona niepowtarzalną urodą, zajmowała najwyższą pozycję, a jeszcze wyżej, Teddy Lunel. Nigdy nie słyszał niczego, co opisałoby ją lepiej niż to, co czytał w college'u: „O, piękniejsza jesteś niż powiew wieczorny, w piękno tysiąca gwiazd przystrojona”, wers z poezji Marlowe'a, który zapamiętał on, zawodowy koneser piękna, jeszcze zanim został fotografem. Można by oszacować każdą część, ale nie sposób było jednak wyrazić tajemniczej harmonii jej piękna bez uciekania się do poezji.

Bill Hatfield cieszył się na myśl o tym, że będzie z nią pracować, choć nie będzie między nimi nic z ukrytego seksualnego napięcia, które z pewnością dałoby o sobie znać, gdyby pracował z modelką, z którą jeszcze nie spał.

Teddy miała talent, który sprawiał, że nigdy nie wyglądała tak samo. Dzięki temu jego praca była dla nich obojga twórczą przygodą, a nie procesem technicznym. Z każdą zmianą stroju Teddy żyła życiem innej kobiety, kobiety, która pewnego dnia kupi właśnie tę suknię i włożywszy ją, spotka mężczyznę, który stanie się wielką miłością jej życia, kobiety, która do śmierci zapamięta, co miała na sobie w tej wyjątkowej chwili. Nigdy nie pojął jak, u diabła, to robiła. Przed obiektywem Teddy tworzyła wrażenie ni mniej, ni więcej, tylko autentycznego istnienia. W końcu za to właśnie dostawała siedemdziesiąt dolarów za godzinę, więcej niż jakakolwiek modelka na świecie. I była tego warta, co do grosza.

Gdzie, zastanawiał się, podzielała się stewardessa z jego martini? Dobrą stroną podróży służbowych było to, że nie trzeba się było troszczyć

o koordynację. Lądowanie na lotniskowcu, kiedy miało się alkohol we krwi, nie było zalecane... choć tak się robiło, i jak się dobrze zastanowić, robił to przecież i on.

Berry Banning była zbyt podekscytowana, by zwrócić uwagę na wstrząsy podczas startu. To było jej najważniejsze zadanie, odkąd trzy lata temu zaczęła pracować dla „Mode”. Nigdy jeszcze nie była w podróży służbowej do Europy, a spoczywała na niej przerażająca odpowiedzialność. Oczywiście, o strojach decydowała Marietta. Teddy przymierzała je wszystkie przed wyjazdem, ale od tej chwili każdym szczegółem miała zajmować się wyłącznie Berry.

Do niej należało skomplikowane pakowanie dwunastu waliz według specjalnego systemu, tak by każdy strój podróżował z butami, torebkami, biżuterią, szalami, kapeluszami, nylonowymi pończochami i okularami w szerokim wyborze, których Marietta zażyczyła sobie podczas zebrania poświęconego kolekcji.

Tak jak Diana Vreeland z „Bazaar” i Babs Rawlings z „Vogue”, Marietta Norton traktowała każde zdjęcie, jakby było dziełem sztuki. Nawet wtedy, gdy zamierzała sfotografować jeden kapelusz, chciała mieć pewność, że perfumy modelki odpowiadały nastrojowi kapelusza, że buty były doskonale dobrane, rękawiczki nieskazitelnie białe, a pończochy nowe. Potrafiła udrapować szal tak, by wyrażał setki rodzajów stylu, jednym ruchem ręki przeistaczała modelkę z apasza w damę z obrazów Gainsborough. Grała dodatkami niczym kostiumolog teatralny, lecz jeśli nie miała w czym wybierać, wówczas - Boże, miej w opiece jej asystentkę. Niech zginie choć jedna walizka... jedno takie potknięcie, nieistotne czy z winy bagażowego, i straci do Berry całe zaufanie. Ubóstwiana przez nią

Marietta Norton na pewno potrafiłaby coś zaimprovizować, bo wszystkie sesje wyjazdowe Marietty Norton były uwieńczone sukcesem, ale jej własna kariera skończyłaby się zanim zdążyła się narodzić, a nie było w życiu nic, czego Berry pragnęłaby więcej niż przyszłości w świecie mody.

Odkąd była małą dziewczynką, Berry Banning zbierała wszystkie numery „Vogue”, „Mode” i „Bazaar”, a ostatnio także „Charm”, „Glamour” i „Mademoiselle”. Przeglądała ich strony tak, jakby były jej jedyną książką do nabożeństwa, a ona sama zakonnica, pędzącą klasztorny żywot.

Nigdy nie przeszło jej przez myśl, że to jak ubiera się kobieta, może stanowić prawdziwy wyraz jej własnej osobowości, zależnej od poglądów na życie. Dla Berry moda była prawem i najszcześniejszymi istotami były te, które jak ona sama, były dość bogate, by żyć zgodnie z tym prawem, te, które mogły poświęcać się dostosowaniu do każdej subtelnej przemiany cudownie zmiennego dyktatu mody. Nigdy nie szczędziła wysiłków, by nadać za modą. Spędzała długie godziny, wpatrując się z nieszczęśliwą miną w lustro obejmujące całą jej postać i bezskutecznie ćwicząc chłodny i nieodparcie tajemniczy wyraz samouwielbienia, widoczny na stronach żurnali, tak jakby modelki zadawały sobie pytanie - „Czy się nadaję?” i dawały same sobie sekretną odpowiedź - „Oczywiście”. Każda jej sukienka wyglądała tak, jak te zalecane w „Mode” - tryumf architektury, skonstruowana starannie niczym most, nieodparcie kobieca, tworząca linię o wąskiej talii, blisko ciała i szeroką dołem, o tyle naturalną, o ile nie stawała się pułapką.

Ale Berry Banning miała, niestety, włosy bogatej dziewczyny, jednolicie brązowe, nie dające się układać, takie włosy, które wyglądają

dobrze tylko wtedy, gdy są zaczesane do tyłu i przystrojone diademem. Co gorsza, miała ciało bogatej dziewczyny, uformowane przez pokolenia atletycznych Banningów. Była zbudowana zbyt mocno, by pasować do niemal wiktoriańskiej subtelnej elegancji New Look. Najgorsze zaś było to, że miała rysy bogatej dziewczyny, ładne ale pospolite, dość przyjemne dla oka, lecz zbyt banalne, by można je było zmienić za pomocą kosmetyków.

Zawsze wyglądam tak samo - myślała Berry ze zwykłą desperacją - niezależnie od wszystkich wysiłków. Starła się nie patrzeć na Teddy, która siedziała jeden rząd przed nią. Wystarczy, że będzie musiała na nią patrzeć przez dziesięć dni pracy. Już przedtem często pracowała z Teddy, choć zwykle tylko przez jeden dzień, w różnych nowojorskich studiach i dobrze знаła ten ohydny ból głowy, który napadał ją zawsze po takim dniu, kiedy wracała do domu i patrzyła w lustro na własną twarz.

Przecież nie w tym rzecz - powtarzała sobie z pedanterią - że zazdrości Teddy, lub jest o nią zazdrosna. Właściwie naprawdę ją lubiła, ale to po prostu było niesprawiedliwe, żeby dwie dziewczyny w tym samym wieku miały na twarzy to samo - oczy, nosy, usta - z tak bardzo różnym efektem. To było tak, jakby Teddy była tworem zupełnie innej formy życia. Jak to jest, kiedy wstaje rano i widzi w lustrze odbicie, odbicie takiej twarzy i wie, że to jej twarz? Och, gdzie podziewa się stewardessa z martini?

Sam Newman, asystent Billa Hatfielda, spoglądał ukradkiem na Berry Banning. Chryste, uwielbiał takie kobiety, jak ona! Ładne, pełne piersi, wspaniałe długie nogi, śmiech, w którym brzmiała wrodzona pewność siebie, śmiech tak bogaty jak ona sama. Według jego znacznych

doświadczeń, nikt nie pieprzył się tak cudownie jak bogate dziewczyny - wydawało się, że lubią to bardziej niż inne może dlatego, że nie liczyło się dla nich, czy robią to z asystentem fotografa czy z samym fotografem, więc szły na całość i dobrze się bawiły. Miewał już bogate dziewczyny z personelu każdej agencji mody, z każdej redakcji mody wszystkich pism dla kobiet i zawsze wolał je od modelek. Modelek też miał wiele, choć nigdy takiej jak Teddy Lunel.

Przede wszystkim, bogate dziewczyny nie były tak nerwowe jak modelki, nie dbały tak bardzo o to, by iść spać o właściwej porze, często płaciły rachunki, bo dobrze wiedziały, jak mało zarabia i wszystkie czuły się winne, bo nie musiały utrzymywać się tylko ze swojej pensji. Och, jakże lubił ich świeżutką bieliznę, ich drogie buty, czyste, gładko zaczesane włosy i mocne, napięte ciała, ukształtowane przez lata lekcji pływania, lekcji jazdy na nartach i lekcji konnej jazdy. Pewnego dnia będzie miał swoje własne studio i ożeni się z miłą, zwyczajną, bogatą dziewczyną, która będzie mu za to wdzięczna, i będzie miał kupę bogatych dzieciaków. Tymczasem gdzie, do cholery, jest stewardessa z jego martini?

* * *

Teddy odłożyła książkę i zamknęła oczy. Pozwoliła, by jej głowę nappełnił głośny huk samolotu, znajome hałaśliwe wibracje, które nadal budziły w niej imponujące uczucie wolności, mimo iż odkąd została modelką, miała już za sobą pół tuzina lotów do Europy. Równocześnie czuła się tak, jakby nadal pracowała w Nowym Jorku. Jej umysł wypełniały dryfujące swobodnie wspomnienia drobiazgów, z których składało się jej życie. Myślała o taksówkach, o dziesięciu lub dwunastu

taksówkach dziennie. Połowa taksówkarzy na Manhattanie znała ją jako wielkiego podróżnika. Rozpoznawali jej sylwetkę, kiedy wybiegała z budynku i przystawała przy krawężniku, zawsze w szaleńczym pośpiechu, objuczona ogromną torbą od Lederera. Zatrzymywali się natychmiast, kiedy jej gwizd przeszywał ruch uliczny.

W taksówce, ściskając mocno kolanami powiększające lusterko, zmieniała makijaż albo przyklejała sztuczne rzęsy w drodze z jednej pracy do drugiej. Kiedy miała wolną chwilę, próbowała zrobić porządek w torbie, której zawdzięczała swoje utrzymanie. Torba czyniła cuda, nie dawała tylko mleka, wypchana pękającą w szwach kosmetyczką, przyborami do włosów, trzema różnymi biustonoszami, kolekcją majteczek dobraną do różnych rodzajów sukien, własnym zestawem szalów, rękawiczek, biżuterii na te sesje reklamowe, przy których nie było specjalisty od dodatków, trzema parami butów o różnych fasonach i wysokości obcasów, na wypadek gdyby nikt nie pomyślał o przygotowaniu dla niej butów w odpowiednim rozmiarze.

Oczywiście, podczas wyprawy takiej jak ta, mogła podróżować we własnym ubraniu, tylko ze szminką na ustach, ponieważ Marietta i Berry dbały o wszystko, ale w zwykłym dniu pracy zawsze zdarzała się jakaś nieprzewidziana sytuacja. Kiedy słońce padające przez szybę samolotu oświetliło jej twarz, Teddy przypomniała sobie podróż do Nassau z Micheline Swift, czołową szwajcarską modelką oraz Johnem Rawlingsem, fotografem. Założył się z nimi, że wręczy każdej z nich sto dolarów gotówką, jeśli uda im się wymienić wszystkie rzeczy, które mieszczą ich torby. Dał im fory i pozwolił każdej z nich pomylić się o trzydzieści rzeczy. Obie przegrały z kretesem.

Westchnęła, starając się zapomnieć o codziennej rutynie, ale słońce przeświecające przez powieki kazało jej myśleć o światłach studia. Zawsze spoglądała w lustro jedynie po to, by dokonać rutynowej inspekcji przydatności materiału. Jej twarz była tylko maszyną, która stanowiła jej własność, maszynę o ograniczonej wytrzymałości. Czyżby wczoraj wieczorem tańczyła zbyt długo w St. Regis Roof? Jeśli tak, dzisiaj powinna być w łóżku o dziewiątej, niezależnie od wszystkich planów. Nikt nie będzie płacił Teddy Lunel siedemdziesięciu dolarów za godzinę, jeśli pod jej oczyma będzie choćby najlżejszy cień zmęczenia.

Czy ten, kto zazdrościł zawodowej piękności, myślał kiedykolwiek o kosztach utrzymania fasady, o godzinach poświęconych konserwacji, o dzwonku budzika o szóstej trzydzieści każdego poranka, o zimnych hamburgerach zjadanych w pośpiechu, dzięki którym mogła utrzymać się na zmęczonych nogach przez dziesięć godzin dziennie? Wreszcie dopadało cię wyczerpanie, wyczerpanie, które sprawia, że bez zbytnich obaw czeka się na tę pierwszą zmarszczkę. Nawet jeśli zmarł ojciec modelki, jeśli rozwodziła się, jeśli właśnie stwierdziła, że jest w ciąży, całą swoją istotą musiała tkwić tam, przed obiektywem aparatu. Czy ktokolwiek był w stanie w pełni to zrozumieć, poza inną modelką, że na narcyzm nie może być miejsca w sytuacji, która wymaga całkowitego skupienia na tym, czego żąda fotograf, połączonego z całkowitym wyzbyciem się samoświadomości, tak by zapomnieć o sobie na długie godziny i oddać tę świadomość do dyspozycji fotografa, być w nieustannym ruchu i emanować czystą energią? Kiedy wszystko szło dobrze, było niemal jak taniec, ale - dobry Boże w niebiosach - to było bezgranicznie nudne.

Ale można było za to kupić sobie wolność. Od kilku lat jej cotygodniowy czek opiewał na sumę blisko trzech tysięcy dolarów. Wyprowadziła się z małego mieszkanca, w którym schroniła się najpierw przed czujnym wzrokiem Maggy, do eleganckich pokoi na Wschodniej Sześćdziesiątej Trzeciej Ulicy, a jeśli utrzyma formę, nie ma powodu, dla którego nie miałyby popracować za tę sumę jeszcze trzy lub cztery lata, a może i więcej, zależnie od tego, w jakim stanie będzie jej twarz.

Czy jednak tego właśnie pragnęła? Odkąd to pisała się na coś takiego? Zeszłej wiosny Teddy obchodziła dwudzieste czwarte urodziny i o ile było jej wiadomo, wszystkie dziewczęta, z którymi była w college'u, powychodziły za mąż i każda miała co najmniej jedno dziecko. Teddy pomyślała, że nie tego pragnie, może nie całkiem tego, nie gromadki dzieciaków w domku na przedmieściach. Ale nie chce też skończyć jak matka, która padła ofiarą interesów i zaczynała się czuć jak płotka, zagrożona przez nowe agencje, takie jak Fordowie, Frances Gili i Plaza 5, pootwierane w latach czterdziestych.

Kiedy hałas silników zmienił się i przycichł, Teddy zapragnęła odbyć tę długą podróż samotnie. Wydawało jej się, że ostatnio nie ma nawet czasu, by usiąść, spojrzeć w niebo i pomarzyć. Dzień gonił dzień, wszystkie były wypełnione do ostatniej minuty, zapchane obowiązkami i spotkaniami. Wieczorem, po powrocie do domu z ostatniej sesji, dzwoniła do agencji, by dowiedzieć się, jak zaplanowano dla niej każdą godzinę następnego dnia.

Potem, jeśli nie była tak zmęczona, że musiała iść wcześniej spać, kąpała się, ubierała w pośpiechu i szła do Stork Club, do „21”, do L'Aiglon albo do Voisin na kolację z jednym z dwudziestu mężczyzn, z którym

umawiała się w ostatniej chwili. Nie miała ochoty kochać się z żadnym z nich od, och, od dwóch albo i więcej miesięcy. Myślała o tym z przerażeniem. Dlaczego wszyscy mężczyźni byli tak do siebie podobni?

Tego lata spędzała każdy weekend w Connecticut albo na Long Island, gdzie wszystkie przyjęcia niczym się w rezultacie nie różniły. Teddy nie chciała spędzać gorących letnich weekendów w mieście, choć i one mogły mieć swój specyficzny urok - ach, ale tylko wtedy, kiedy było się zakochanym i można było myśleć, że miasto pustoszeje właśnie dla ciebie. Albo tylko wtedy, kiedy sądziło się, że się jest zakochanym - pomyślała ze smutkiem Teddy. Kilka razy w życiu niemal uwierzyła w to, że jest zakochana, ale nie okazało się to nigdy prawdą, nawet z Melvinem, jej najdroższym Melvinem, w którym nadal była zakochana, ale nigdy go nie kochała, niezależnie od tego, jak bardzo się o to starała.

Trwało to cały rok i nie było przyjaciela bliższego od Melvina, ani czulszego kochanka, ale Melvin nigdy nie odpowiadał jej marzeniom, choć był im bliski aż do bólu. Tak bliski, że gdy zrozumiał, że jego miłość do niej i jej miłość do niego nigdy się do siebie nie dopasują, poczuł się bardzo nieszczęśliwy i musieli się rozstać.

Za każdym razem, kiedy angażowała się poważnie w związek z mężczyzną, myślała Teddy, przychodziła taka chwila, w której uświadamiała sobie, że jest niczym cudzoziemiec w obcym kraju, próbujący płacić obcą walutą. Monety jej uczuć, za które zamierzała żyć, okazywały się bezwartościowe. Mogła szukać po kieszeniach, opróżnić portfel jak w złym śnie, ale wydawało się, że nigdy nie znajduje odpowiedniej ilości tego... och, czego było trzeba, by kochać naprawdę szczerze.

Najbardziej wymyślne marzenia Teddy spełniły się wielokrotnie. Miała wszystko, co mógł jej dać świat wielkiej mody, więcej pochlebstw i uwagi przez osiem godzin zwykłej pracy niż doświadcza panna młoda w dzień ślubu. Jednak coraz częściej czuła, że dochodzi w niej do głosu porzucone na długo i spragnione uczuć dziecko, nieśmiała mała dziewczynka, pragnąca, by ktoś o nią dbał, tęskniąca za nieokreślonym lecz wszechmocnym mężczyzną, na którym mogłaby polegać. Zarabiała więcej pieniędzy niż niemal wszyscy mężczyźni, których znała... ale ostatnio wszystkie jej dni wydawały się jednym długim, ponurym, niedzielnym późnym popołudniem.

* * *

Poderwała się z miejsca, wygładzając biały skórzany zakiet o kroju męskiej koszuli, wyrzucony na spodnie z szarej flaneli. Popatrzyła przed siebie na rzędy foteli w kabinie pierwszej klasy constellation i skinęła gniewnie głową w stronę współtowarzyszy podróży. - Przypuszczam, że nic was to nie obchodzi - powiedziała - ale chciałabym wiedzieć, co, do cholery, dzieje się z moim martini? Idę poszukać stewardessy. Czy ktoś czegoś chce, skoro już jestem na nogach?

Julien Mistral szykował się do skoku z trampoliny. Jego potężne opalone ciało przecinał tylko cienki pasek wąskich elastycznych spodenek bikini, które mężczyźni w Europie zaczęli nosić cztery lata temu. Miał pięćdziesiąt dwa lata, ale wspaniałe proporcje jego ciała należały do trzydziestolatka. Miał mięśnie malarza, mocne, silne nogi człowieka, który spędza czas stojąc przed obrazem lub chodząc po pracowni, i dobrze rozwinięte barki i plecy mężczyzny, który pracuje za pomocą narzędzi, czy to pędzla, czy łopaty.

Wygląd dżentelmena, nawykłego do rycerskiej fanfaronady, który w młodości obnosił tak wyniośle, nie zmienił się przez lata ciągle rosnącej sławy i coraz większego mistrzostwa. Ale arogancji, z którą nosił głowę i aury zdobywcy, nie uważano teraz za arogancję, lecz za zewnętrzną oznakę uznanego geniuszu. Jego szyja pogrubiała nieco, wokół oczu rysowały się głębokie zmarszczki, a inne jeszcze biegły od wydatnego nosa ku ustom, ale cudowny błysk błękitu uwieczony w jego oczach nie stracił nic ze swojej stałości i mocy. Jego gęste ciemnorude włosy były krótko obcięte i na skroniach przybrały niemal barwę piasku, a usta miały nadal władczy, bezkompromisowy wyraz. Mistral miał twarz przywódcy.

Zawahał się chwilę przed skokiem do basenu, który wybudowano dwa lata temu i rozejrzał się z rękami wspartymi na biodrach. Zawahał się i wydawał się zapomnieć, jak kusząca jest woda w ten gorący wrześnieowy dzień 1952. Nasłuchiwał. Brzęcząca cisza, raj pszczół, który otaczał niegdyś La Tourello zniknął dawno temu, niemal tego samego dnia, kiedy Kate kupiła farmę i sprowadziła batalion murarzy, hydraulików i elektryków.

Teraz powietrze Prowansji wypełniały inne dźwięki. O pół mili stąd drogą do Apt przejeżdżały często samochody, które niegdyś stanowiły tu rzadkość. Na odległym polu, które ludzie uprawiali niegdyś własnymi rękami, terkotał i huczał traktor. Od czasu do czasu nad głową przelatywał samolot z Paryża do Nicei. W kuchni domostwa głosy trójki służących podnosiły się w gwałtownej kłótni podczas przygotowań do przyjęcia, które Kate zaplanowała na wieczór. Z drugiej strony domu dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi nowego citroena Kate, która zamknęła je energicznie i ruszyła z piskiem opon, wskazującym, jak zwykle przed przyjęciem, że

odkryła jakąś usterkę i w ostatniej chwili wyruszyła w podróż, by ją naprawić. Stojąc Mistral skupił zmysły na wszystkich dźwiękach, które zakłócały spokój jego wsi i nie dosłyszał lekkich kroków, skradających się po trampolinie.

- Papa! - zdumiony Mistral podskoczył, poślizgnął się, stracił równowagę i wpadł do basenu.

* * *

Kiedy Kate Mistral wróciła po wojnie, po trzech miesiącach stwierdziła, że jest w ciąży. W czasie małżeństwa miała kilka poronień, ale Mistral nie był szczególnie rozczarowany. Nigdy nie pragnął dziecka, tak jak inni mężczyźni. - Dzieci - powiedziałby zapewne, gdyby się nad tym w ogóle zastanowił - wszystko niszczy, zabierają czas, są prawdopodobnie przyczyną rozczarowań, a z pewnością niewybaczalnych przerw w pracy.

Głęboko żałował, że trzeba się troszczyć o nową ciążę Kate w śmiesznym wieku czterdziestu trzech lat. Chciał, by całą uwagę poświęcała temu, by dom znowu normalnie funkcjonował. Nigdy więcej nie zamierzał zajmować się praktycznymi sprawami i odetchnął z ulgą, kiedy Kate przyjechała latem 1945 z dwiema walizkami wypchanymi mydłem Ivory, chusteczkami higienicznymi, papierem toaletowym, kawą instant, igłami, nićmi, żarówkami, białym cukrem - tym, co od pięciu lat stanowiło we Francji niewyobrażalny luksus. Chciał tylko zniknąć w swojej pracowni przy pierwszej sposobności i zapomnieć o dręczących codziennych kłopotach. Dziecko skomplikuje mu życie, ale Kate na pewno znów poroni. Zwyczajni mężczyźni pragnęli synów, by udowodnić sobie, że istnieją i że coś po sobie pozostawiana tej ziemi. Julien Mistral wiedział, że jest nieśmiertelny, i że syn w niczym nie zmieni jego miejsca

w historii sztuki.

A jednak, kiedy w lutym 1946 Kate urodziła chudą, poważną dziewczynkę o nieco skwaszonej buzi, była tak dumna, że nawet Mistral odczuwał w pewien sposób swój współudział w tym szczęściu. Kate nazwała dziewczynkę Nadine i uspokoiła Mistrala, szybko przechodząc na karmienie małej butelką i wracając do sił już po kilku tygodniach.

Przez następne lata zdolności organizacyjne Kate osiągnęły swój szczyt. Jean Pollison wrócił z Niemiec bez zębów, wychudły z głodu niczym szkielet, ale szybko wrócił do zdrowia i La Tourelle było pierwszą farmą w Luberon, która znowu rozkwitła dzięki pieniądzom Mistrala, wydawanym hojnie przez Kate na wszystko, co można było kupić zaraz po wojnie. Ze Szwajcarii sprowadzono niańkę, żeby troszczyła się o Nadine, zaś Kate zajęła się nowym wybuchem zainteresowania twórczego.

Już w 1946 we Francji zaroilo się od amerykańskich dealerów chcących zobaczyć obrazy powstałe podczas wojny, a w pracowni Mistrala było więcej płócien, które uznał za warte sprzedania, niż kiedykolwiek: wszystkie obrazy, które namalował przez pięć lat od czasu ukończenia *Les Oliviers*.

- Czy miałeś już jakieś wieści od Avigdora? - zapytała Kate Mistrala zaraz po powrocie.

- Nie, postanowiłem zmienić dealerów - odpowiedział Mistral. - Ten człowiek zawsze interesował się bardziej odkrywaniem nowych talentów niż dbaniem o najwyższe ceny dla artystów, którym zawdzięcza swój sukces. Dlaczego nigdy nie otworzył filii w Ameryce, pytam cię? Już wiele przez to straciłem. Moja umowa wygasła w czasie wojny. Wykorzystaj to.

Mistral wiedział, że Kate posłucha go i nie będzie zadawać dalszych pytań. Od początku ich małżeństwa wyliczył sobie, że będzie zadowolona tak długo, jak długo pozwoli jej czuć, że to ona rządzi pewnymi sprawami. Wszyscy dealerzy musieli zwracać się do Kate, zanim mogli zbliżyć się do Mistrala. Kiedy pozwalał Kate wybierać nową galerię, nie wyzbywał się autorytetu, który chciał zachować, ponieważ był to niezbędny interes, znienawidzony przez niego tak samo, jak załatwianie spraw z farmerami z sąsiedztwa, zastanawiającymi się nad utworzeniem spółki, skupującej od nich wszystkich winogrona. Artysta, który wybiera sobie dealera - mówił Kate - jest niczym słoń, który wybiera sobie ulubioną wesz. Dealer, wybrany wreszcie przez Kate, Etienne Delage z Nowego Jorku, Paryża i Londynu, szybko odkrył, że Mistral jest wyjątkiem od reguły, w myśl której większość malarzy bogaci się dopiero po śmierci.

Kiedy w 1948 w Muzeum Sztuki Współczesnej w Sao Paulo odbywała się jego główna wystawa, Mistral nie zadał sobie trudu, by na nią pojechać, choć Kate była tam kilka tygodni naprzód, nadzorując ekspozycję płócien. Rok później pojechała do Nowego Jorku na otwarcie wielkiej retrospektywnej wystawy Mistrala w Muzeum Sztuki Współczesnej, ale i tym razem Mistral wolał zostać w domu. W 1950 i 1951 dał się wreszcie przekonać i był obecny na ważnej wystawie w Muzeum Stedelijk w Amsterdamie, w Kunsthaus w Zurychu, w Palazzo Reale w Mediolanie, oraz na trwających dwa miesiące obchodach dwudziestej piątej rocznicy jego pierwszego wernisażu, którą uczczono wystawą zajmującą całą Maison de la Pensee Francaise w Paryżu.

Kiedy było już po wszystkim, Mistral oświadczył, że nigdy nie pojawi się na żadnym wernisażu w muzeum, niezależnie od jego

znaczenia. Nie znosił tych wszystkich spotkań i ceremonii przy takich okazjach, nienawidził tłumu obcych ludzi, którym wydawało się, że uwielbienie dla jego dzieł daje im prawo do rozmowy z nim o ich reakcjach na dany obraz. - Niech sobie Picasso, ten hochsztapler, ten jarmark wszelkich rodzajów sztuki, nie wyłączając garnków i patelni, wabi swoich wielbicieli. Ja mam coś lepszego do roboty, niż zachowywać się jak cyrkowiec.

Trwał przy swoim postanowieniu, a mimo to, z każdą wystawą i z każdą ważniejszą aukcją sztuki, ceny na jego dzieła znacznie rosły. Etienne Delage, tak jak przedtem Adrien Avigdor, odkrył, że rzadkość obrazów Mistrała czyni je niezwykle cennymi. Kiedy sprzedane zostały jego obrazy z czasów wojny, zaczął zatrzymywać dla siebie większość swoich nowych prac, których nie przeznaczył na doroczne ognisko, ale w samym tylko 1951 roku zarobił równowartość ćwierć miliona dolarów amerykańskich, bez konieczności rozstawania się z więcej niż pół tuzinem płócien.

Pod koniec lat czterdziestych i we wczesnych latach pięćdziesiątych coraz więcej dziennikarzy docierało do Félice i wśród wielu, którym odmówiono wstępu do La Tourelle, zawsze znalazło się kilku tak ważnych, że Kate przekonywała w końcu Mistrała, by udzielił paru skąpych wywiadów. Z drugiej strony, broniła go przed historykami sztuki, którzy pisali o nim książki, przed turystami, którzy chcieli się z nim sfotografować, przed studentkami, które chciały mieć jego autograf, przed naukowcami, którzy opracowywali jego monografie, przed kolekcjonerami, którzy chcieli go nakłonić do sprzedaży obrazów, kiedy Delage nie miał nic do zaoferowania. Nic nie było jednak tak dokuczliwe,

nic go tak nie rozpraszało, jak wzmożone zainteresowanie rolą pani domu, które przejawiała Kate.

Może to basen, zbudowany przez specjalną firmę z Cannes dodał jej animuszu, myślał Mistral, ale przez ostatnie dwa lata stała się królową okolicznego towarzystwa. Arystokraci z Anglii kupili zameczek nieopodal Uzès, wielki amerykański ekspert od Cezanne'a osiedlił się w Menerbes, Gimpelowie, dealerzy sztuki od wielu pokoleń, kupili inny zameczek niedaleko od Félice. Teraz oni wszyscy i inni ludzie ich pokroju zabawiali siebie nawzajem i byli przyjmowani przez Kate.

Wkrótce po narodzinach Nadine, Mistral przestał interesować się jej ciałem. Gdyby nie to, powstrzymałby ją, cóż go obchodziły spotkania z obcymi ludźmi, obojętne - sławnymi czy nie, cóż mogło go obchodzić słuchanie ich bzdur, ich ożywionej paplaniny o nowych, tak zwanych abstrakcyjnych ekspresjonistach, ścieku wypełnionym pianą beznadziejnych zaślinionych idiotów, jeden w drugiego, którzy, pozbawieni talentu, rzygali tym, co ostatnio zjedli i nazywali to sztuką, tak jakby jabłko mogło być abstrakcją, księżycem w pełni albo nagą kobietą... po co tracić więcej czasu na rozmowy o nich, tak samo jak na złośliwe opowiadki o tym *pauvre con*, Picassie i jego nedorzecznym związku z komunistami, którzy wykorzystali go, by malował propagandowe portrety Stalina, ale wcale nie rozumieli, na czym polega jego sztuka... nigdy zresztą nie osiągnął w niej szczytów.

Nie, zgadzał się z Picassem tylko w sprawie Dubuffeta. Picasso nienawidził go równie mocno jak Mistral. A z Dubuffetem zgadzał się tylko na temat Moneta - obaj go lubili. Degas trafił w sedno, pomyślał Mistral. Kiedy czuł, że umiera, powiedział do swojego przyjaciela artysty

Foraina, że nie życzy sobie mowy pogrzebowej, tylko „Jeżeli trzeba będzie coś powiedzieć, wstaniesz ty, Forain, i powiesz - Kochał rysować. Tak jak ja. - A potem idź do domu”. To był człowiek!

Ale Degas nie miał żony Amerykanki, z którą kochał się coraz rzadziej. Związane z tym poczucie winy było na tyle silne, przyznawał to przed sobą, by czuć, że Kate należy się przyjemność, jaką sprawia jej kolacja z Charlie Chaplinem i księżną Windsoru.

Tak, kiedy ciało kobiety odmawia się współżycia, dochodzi w niej do głosu ambicja, zamyślił się. Oczywiście, nadal miewał kobiety w Awinionie. Uczciwie mówiąc, jedną młodą dziewczynę po drugiej. Nie liczyły się bardziej niż para sznurowadeł, ale były równie niezbędne jak sznurowadła, kiedy może ich zabraknąć.

Jednak Kate wydawała się zadowolona z wydłużającej się nieustannie listy gości i z Nadine, która z każdym dniem rosła i gadała jak nakręcona. Raz czy dwa, próbował się zgodzić, by Nadine posiedziała cichutko w kącie pracowni, ponieważ błagała go o to, żeby zobaczyć go przy pracy, ale to dziecko nigdy nie nauczyło się zachowywać należytej ciszy.

- Dlaczego używasz tyle czerwonego koloru, tatku? Czy to coś dużego i żółtego to słońce, tatku? Czy potrafisz namalować ptaka, tatusiu? Namaluj mi psa! - A nawet, pożał się, Boże - Dlaczego stoisz tak spokojnie, tatku... czy to dlatego, że myślisz? - Nie! Tego było już za wiele. Zabronił jej wstępu do pracowni, mimo iż jej mała bródka drżała, mimo iż dąsała się w sposób, który zachwycał służbę i szarpała w złości swoje wyblakłe jasne włosy.

Już jako sześciolatka Nadine posługiwała się różnymi sztuczkami, by

dostać to, czego chciała. Mistralowi zdarzało się często przyłapać ją na kłamstwie, zwłaszcza gdy chodziło o służbę. Kiedy domagał się, by ukarać Nadine, Kate wpadała w gniew. - Ona ma po prostu wyobraźnię, jest bardzo wrażliwa, od dziecka w jej wieku nie można oczekiwać, by rozumiała tę różnicę. Nie bądź takim moralistą, Julien. - Mistral był innego zdania. Jak wszyscy dorośli, wiedział, że kłamstwo przychodzi łatwo i to, że tak małe dziecko nauczyło się tak dobrze kłamać wydawało mu się bardzo niepokojące. Ale Marte Pollison, która nie miała własnych dzieci, sprzymierzyła się z Kate, by psuć Nadine, wbrew dyscyplinie, którą na próżno starała się narzucić niania. Kiedy Mistral rozmawiał o tym z Kate, śmiała się i mówiła, że to typowe dla Francuzów, by wymagać od dziecka zachowania dorosłego człowieka. Czy zdawał sobie sprawę z tego, że jego córka nie jest zwyczajnym dzieckiem? Była wyjątkowa i miała cudownie dociekliwy rozumek.

Kiedy po upadku do basenu Mistral płynął pod wodą, myślał ponuro, że mimo tego dociekliwego rozumku, nauczy ją by nie skradała się za jego plecami po trampolinie, ale kiedy wynurzył się na powierzchnię, Nadine przezornie zniknęła. Spryciara. Urodziła się sprytna i skłonna do manipulacji, powiedział do siebie i przestał zaprzętać sobie nią głowę.

Unosząc się na wodzie basenu, Mistral myślał o swojej pracy. Już od sześciu miesięcy zmierzał do tego, by rozpocząć cykl obrazów inspirowanych widokiem winnic w zimie. Podłoga pracowni usłana była szkicami i studiami, ale tylko on wiedział, że budząc się co rano nie czuje już tej palącej potrzeby wyskoczenia z łóżka i malowania aż do zmierzchu. Tylko on wiedział, że leży w łóżku, pod kołdrą, ze smakiem strachu w ustach, z burczeniem w brzuchu, z żalonym i godnym pogardy

pragnieniem, by znowu zasnąć i nie musieć stawić czoła faktowi, że jego ogień pali się coraz słabszym płomieniem. Mimo to Mistral szkicował codziennie, spacerując po swoich winnicach i winnicach sąsiadów, a każde pociągnięcie węglem było podszyte strachem przed śmiercią. Pracował, by oddalić od siebie śmierć, a każdy ruch jego palców był jałowym sprzeciwem wobec samej tylko myśli o śmierci.

Ta myśl stała się jego obsesją, odkąd skończył pięćdziesiąt lat. Co było najpierw? - rozważał. Myśl o śmierci, czy o utracie pasji malowania, która była tym samym co śmierć? Mistrala nie obchodziły nigdy losy i poglądy innych artystów, ale stwierdził, że zastanawia się nad tym, czy którykolwiek z nich przemierzył jałową przestrzeń piasku i skał, w której znalazł się teraz on sam.

Nie w tym rzecz, że nie mógł malować... Osiągnął taką techniczną doskonałość, że mógłby malować, póki starczy życia, ale z jego twórczości coś zniknęło i nie mógł temu zaprzeczyć sam przed sobą, nawet jeśli można było oszukać publiczność - któż nie potrafiłby nabrać tych łatwowiernych kretynów?

Nieustannie szukał przyczyny. Jego zmysł wzroku był jak zawsze wyostrzony. Widział za pośrednictwem wizji, która władała nim odkąd pamiętał... ale brakowało mu impulsu, by zapisać to, co widział, impulsu innego niż strach, że umrze, jeśli przestanie malować. Na czym polegała porażka, zastanawiał się, na czym polegał brak związku... nie, nie... nie brak związku, ale brak pragnienia. Tak, to właśnie to, właśnie to.

Julien Mistral poczuł dreszcz, mimo iż woda, na której się unosił była ciepła, bo wiedział, że w życiu jest wiele rzeczy, których można się nauczyć, wiele rzeczy, które można osiągnąć dzięki ciężkiej pracy, ale

pragnienie wynika z wnętrza człowieka i dochodzi do głosu bez świadomego wysiłku. Tak jak żaden mądry lekarz nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego po dziewięciu miesiącach macica zaczyna pracować, by wyrzucić z siebie dziecko, nikt nie wie, skąd bierze się żądza artysty, nikt nie potrafi powiedzieć, jakiej trzeba pokusy, by skłonić go do zaspokajania tej żądzy, dzień po dniu. Jeśli pragnienie zawiedzie... jeśli pragnienie wygaśnie... Gdyby Julien Mistral wierzył w Boga, zacząłby się modlić.

- To przedziwne - zwróciła się Marietta Norton do Billa Hatfielda - ale wydaje mi się, że chyba czuję pewien lęk. Nie bałam się od czasu, kiedy dowiedziałam się o Pearl Harbor.

- Pewien lęk, do diabła, ja jestem przerażony... Ostatni trzech faceci, którzy próbowali zrobić zdjęcie Mistralowi wrócili do domu z niczym - udało im się sfotografować tylko tył jego głowy. Ale oni nie mieli takiej ukrytej broni jak nasza La Belle Theodora.

Redaktorka działu mody i fotograf oparli się o siedzenia taksówki, starego renault wypchanego walizkami, którym jechali do La Tourello z Le Prieure - hotelu w Villeneuve-les-Avignon, który był niegdyś pensjonatem Madame Ble. Spędzili w nim poprzednią noc. Za nimi, drugą taksówką jechali Berry, Sam i Teddy. Byli we Francji już blisko dziesięć dni i tego popołudnia, po skończonej pracy, mogli wyruszyć w drogę powrotną do Paryża, a dzień później odlecieć do Nowego Jorku, osiągnąwszy swoje cele. Marietta Norton zamierzała sfotografować modę wakacyjną w pracowniach trzech największych żyjących francuskich malarzy - Picassa, Matisse'a i Mistrala - i dzięki koneksjom Darcy'ego w świecie sztuki, uzyskała zgodę od wszystkich trzech.

W ciągu jednego dnia w Vallauris Bill Hatfield zrobił piętnaście rolek filmu z Picassem i Teddy. Tam, na Chemin du Furnas, Picasso wynajmował dwie ogromne pracownie w budynku i podzielił każde z pomieszczeń na dwie części, przeznaczając jedną na rzeźbę, drugą - na malarstwo i grafikę.

W pracowni rzeźbiarskiej Berry wtłoczyła Teddy w suknię bez ramiączek z czarnej jedwabnej organdy z wzorem w ogromne białe łuki.

Balansując lekko na cienkich wysokich obcasach czarnych sandałków, Teddy stanęła wśród metalowych części, które Picasso zbierał do swojej rzeźby - wśród rowerowych łańcuchów i kierownic, różnej wielkości kół i krążków, przedziwnych metalowych odpadów, znalezionych na wysypisku. Niektóre z nich miały ulec przemianie w głowy zwierząt, kobiece kształty i ogromną Kozę, zaś Picasso, starzejący się bożek Pan; rozkosznie flirtował z Teddy w kotłowni, podczas gdy ona starała się nie zaciągnąć cienkich pończoch o gwoździe i drut kolczasty. Teddy szybko przebrała się w jedwab o wzorze w chabry i całą scenerię zmieniono na pracownię malarską, w której Picasso, wyglądając zza pękatego pieca, z dumą wskazywał na ogromne pajęczyny, którym pozwalał zwieszać się wszędzie w wysokim na 12 metrów pomieszczeniu. Bill Hatfield oszalał z podniecenia, starając się uchwycić wyraz twarzy Picassa podczas rozmowy z Teddy. Ośmieliwszy się fotografował raz po raz samą nieporządną, zagraconą pracownię, zapelnioną naczyniami z farbą i narzędziami, starymi puszkami i różnorodnymi przedmiotami, z których sączyła się czarodziejska moc.

Z Vallauris pojechali do Nicei, by odszukać Matisse'a, złożonego chorobą w jasnym pokoju hotelu Regina, żyjącego we wspaniałym otoczeniu roślin, śpiewających ptaków, gruchających gołębi i olśniewającej fantazji wycinanek z kolorowego papieru, które tworzył teraz, kiedy nie mógł już malować.

Matisse przyjął ich ze swoją słynną słodyczą, oczarowany widokiem Teddy w jasnej haremowej sukni z jaskraworóżowego szantungu w pomarańczowe wzory, z cudownymi obnażonymi ramionami, ułożonymi w arabeskę, z którą jak powiedział, nie mogła się równać żadna z jego

odalisek. Teddy zmieniała stroje tak często, że nowymi wiosennymi wzorami można było zapełnić osiem stron „Mode”. Teraz w królestwie Mistrala, Marietta Horton zamierzała zrobić zdjęcia strojów podróżnych na przyszłą zimę. W sumie - cztery dodatkowe strony.

W drugiej taksówce Teddy siedziała z przodu, obok kierowcy. Z radością zostawiła tylne siedzenie Berry i Samowi. Zawiązało się między nimi coś interesującego, sądząc po stanie, w jakim poprzedniej nocy słaba i oszołomiona Berry weszła niepewnym krokiem do pokoju, który dzieliła z Teddy. Szczęśliwa Berry, pomyślała Teddy, zazdroścę ci. To jest kraj dla kochanków.

Kiedy taksówka jechała przez L'Isle sur la Sorgue, gdzie stare koła wodne nadal napełniały kanały otaczające miasto, Teddy spojrzała na mapę. Jeszcze co najmniej pół godziny do Félice, pomyślała i poczuła, że żołądek skręca jej się ze zdenerwowania. Czy oni wiedzą, że jej matka pozowała Mistralowi? - zamyśliła się raz jeszcze. Od wystawy w Nowym Jorku w 1931, siedmiu obrazów tworzących cykl Rouquinne nigdy nie pokazywano publicznie, ale każdy, kto miał jakieś pojęcie o historii sztuki współczesnej znał je na pewno z niezliczonych reprodukcji. A jednak, ilu ludzi w 1952 łączyło te obrazy z osobą Maggy?

Teddy była w college'u, na zdjęciach z historii sztuki w zaciemnionym audytorium wydziału artystycznego, kiedy na ekranie pojawił się slajd jednego z obrazów cyklu. Nigdy przedtem nie przyglądała się uważnie temu obrazowi, ale wtedy, kiedy wykładowca mówił o Mistralu, spojrzała badawczo na twarz modelki i zrozumiała w gorącym przeblasku pewności, że ta zepsuta rudowłosa dziewczyna, która obnażała się z tak dojrzałą zmysłowością, ma te same rysy, co jej

wyniosła, zajęta interesami, nienagannie uczesana i doskonale ubrana matka.

Podczas następnych wakacji Teddy zdobyła się na odwagę i ośmieliła się zapytać Maggy o obraz, ale w odpowiedzi usłyszała tylko parę niedbale rzuconych słów. - Kiedy byłam bardzo młoda, przez krótki czas pozowałam artystom - to było tak dawno temu, że nie pamiętam szczegółów. Oczywiście, wszystkie pozowałyśmy nago - zdawało mi się, że wiesz o tym - powiedziała Maggy w sposób, który jasno dawał do zrozumienia, że nie zamierza rozwodzić się nad żadnymi szczegółami swojego życia w Paryżu. Teddy była zbyt onieśmielona, by pytać o więcej. Życie jej matki przed przyjazdem do Stanów Zjednoczonych było niemal takim samym tabu, jak tajemnica jej własnych narodzin, jak pytanie o ojca, o którego nie należało nigdy pytać.

Czy Maggy miała jakiegokolwiek pojęcie o zmieszaniu, zażenowaniu i bolesnym cierpieniu, którego Teddy doznawała od tak dawna? A może, uczciwie rzecz biorąc - mówiła do siebie Teddy - sama jestem tchórzem? Dlaczego nie potrafiła zadać tych pytań Maggy i domagać się odpowiedzi, niezależnie od tego, jak bardzo mogłyby one zawstydzić matkę? Och, to stary dylemat, dwie strony dyskusji, którą toczyła sama ze sobą przez wszystkie te lata, kiedy dorastała.

Przez ostatnie cztery lata, żyjąc na własny rachunek, finansowo niezależna od Maggy, niemal zapomniała o bolesnych, skomplikowanych zmartwieniach dzieciństwa. Kiedy jej życie wypełniło się i skupiło wokół niej samej, wydawały się one coraz mniej ważne. Teraz znowu przepełniały ją myśli, tylko dlatego, że wkrótce znajdzie się w obecności Mistrala. A jednak, czy ta podróż nie jest swego rodzaju poszukiwaniem?

Maggy walczyła o to, by Teddy nie przyjęła zamówienia od „Mode” od chwili, kiedy dowiedziała się na czym ono polega, ale Teddy uparła się. Chciała zobaczyć, czy Maggy postawi sprawę jasno i powie, dlaczego nie chce, by Teddy jechała do Prowansji, ale Maggy przedstawiła tysiące powodów, które nie miały nic wspólnego z Mistralem, zaś Teddy w odpowiedzi odpychała wszystkie jej argumenty.

Czego obawiała się Maggy? - zastanawiała się Teddy, a jej serce zabiło szybciej, kiedy taksówka skręciła drogą do Apt. Jaką miała tajemnicę, którą po tylu latach mogłaby kogoś zaskoczyć? Czyżby była tak naiwna, by wyobrażać sobie, że jej światową córkę przerazi fakt, że pozowała kiedyś nago malarzowi, który teraz jest już pewnie starcem?

- Berry - powiedziała łagodnie - jesteśmy prawie na miejscu. Lepiej umaluj sobie usta, zanim Marietta cię zobaczy.

* * *

- Przepraszam, że musicie czekać - tłumaczyła Kate Mistral Mariette Norton - ale Julien jeszcze pracuje i nie śmiem zawiadomić go o waszym przybyciu.

- Mam nadzieję, że światło będzie jeszcze dobre - zaniepokoił się Bill Hatfield.

- Proszę się nie martwić. Przyrzekł mi, że skończy o piątej po południu, przypomniałam mu o tym raz jeszcze przy śniadaniu - niechętnie godzi się na takie rzeczy, sami rozumiecie, ale kiedy uda mi się go skłonić, by powiedział „tak” - zwykle dotrzymuje słowa.

- Jesteśmy pani ogromnie wdzięczni - powiedziała Marietta modląc się, by ten kolejny wyraz wdzięczności przyspieszył pojawienie się Mistrala. Picasso przeznaczył dla nich cały dzień, ale Mistral zgodził się

tylko na późne popołudnie.

- To drobiazg. Jestem stałą czytelniczką „Mode”. Przysyłają mi tu pismo pocztą - powiedziała Kate uśmiechnięta, czarująca, prawdziwa żona wielkiego malarza. Powiodła ich przez domostwo, przez niezliczone wysokie, tynkowane na biało, zaciemnione pokoje, wytwornie i oszczędnie umeblowane, o lśniących podłogach z sześciokątnych terakotowych płytek. Tu i ówdzie stały kosze suszonej lawendy i antyczne wiejskie przedmioty. Z tyłu, naprzeciw siebie, stały dwa wielkie skrzydła domu wzniesione ze starych kamieni i połączone wysokim kamiennym murem, chroniącym je od wiatrów, zaś między nimi, pośrodku trawnika, znajdował się basen. W jednym ze skrzydeł mieściła się pracownia Mistrała. Drzwi do niej były zamknięte. Drugie skrzydło stanowił pawilon kąpielowy, w którym jedno pomieszczenie przeznaczono na przebieralnię Teddy. Wszyscy czekali blisko godzinę w cieniu altany porosłej winoroślą, pijąc z wysokich szklanek lemoniadę o smaku czarnych porzeczek.

Kate Mistral zajmowała się wyłącznie Marietta Norton. Miała bezbłędną zdolność wyławiania najważniejszej osoby w każdym gronie i w jej przekonaniu, jedyną osobą w tym towarzystwie, z którą warto było rozmawiać, była redaktorka działu mody. Mogła dowiedzieć się od niej nie tylko najświeższych plotek o ludziach nadających ton w Nowym Jorku, o których przyjaźń pieczołowicie zabiegała. Starła się także stworzyć podstawy związku z Marietta, a to mogło się kiedyś do czegoś przydać.

Kate patrzyła z niesmakiem, jak świat sztuki kieruje swą uwagę ku nowym malarzom, zwłaszcza tym ze szkoły nowojorskiej i choć nie obawiała się o sławę Mistrała, stale rosnącą od 1926 roku była na tyle

bystra, by zauważyć, że Picasso, mocno dzierżący prym na równi z Mistralem, był traktowany jak ktoś, kto nie ma żadnego znaczenia dla twórczości nowego pokolenia malarzy i jest atakowany ze wszystkich stron przez młode pokolenia krytyków sztuki.

Kate nie wystarczało, że najważniejsze muzea ubiegają się o wystawy Mistrała, że interesują się nim bardzo poważnie historycy sztuki, że sprzedają każdy obraz, który zgodzi się wystawić. Chciała nieustannego rozgłosu, zwłaszcza w najmodniejszych publikacjach, który zapobiegałby choćby najmniejszemu spadkowi zainteresowania publiczności Mistralem.

Wiedziała, że Mistrała zupełnie nie obchodzi to, czy jego twórczość jest modna. Nie ośmieliłaby się nigdy użyć przy nim tego określenia, chyba że tylko w stosunku do sukienki, ale ona sama - Madame Julienowa Mistral, nie zamierzała nigdy znaleźć się w sytuacji żony malarza, którym wielki świat przestał się interesować. Impresjoniści zlekceważyli wielkiego Delacroix i publiczność poszła w ich ślady. Nowym abstrakcjonistom nie może nawet przejść przez myśl, by lekceważyć Mistrała. Te strony w „Mode” przydadzą się - przyda się rozgłos w najwyższych sferach, choć „rozgłos” był słowem, którego bałaby się użyć w obecności Mistrała jeszcze bardziej niż słowa „modny”.

Kiedy Kate rozprawiała wylewnie z Marietta na wiklinowej sofie, pozostali członkowie ekipy „Mode” siedzieli w pewnej odległości. Tylko Teddy stała cały czas w swojej sukni bez rękawów, z białego dżerseju, projektowanej przez Annę Fogarty. Góra sukni była ściśle dopasowana i misternie plisowana, wycięta nad linią piersi w głęboki drapowany dekolt.

Dołem przechodziła w obszerną spódnicę typu ballerina, kończącą się mniej niż dwadzieścia pięć centymetrów od ziemi.

Aby podkreślić złudzenie, że Teddy należy do niewidocznego *cors-de-ballet*, Marietta dodała do sukni pas wąski niczym złota obręcz, złote balerinki od Capezio i złotą opaskę, która przytrzymała nad czołem burzę rudych włosów Teddy. Teddy wyglądała tak zwiewnie, jak opalizująca mydlana bańka, w sukni, która teoretycznie nie powinna się gnieść. Jednak Berry nie śmiała ryzykować i nie pozwoliła Teddy usiąść, bo lekką materię podtrzymywało od spodu osiem sztywno wykrochmalonych halek. Teddy pochyliła się i pociągnęła łyk ze szklanki, którą trzymała Berry. Tylko tego brakowało, by wylała różową lemoniadę na suknię, pomyślała. To śmieszne, jak trzęsły się jej ręce. Dlaczego, u diabła, jeszcze się nie pokazał?

- Trema sceniczna - mruknęła ze współczuciem Berry. Widok wyraźnie zdenerwowanej Teddy był czymś niezwykłym. Picassa i Matisse'a potraktowała tak, jakby byli jej dawnymi adoratorami ze szkolnych lat.

- Jak wyglądają moje brwi? - zapytała Teddy. Moda 1952 roku wymagała ciężkich, wygiętych w łuk i mocno zarysowanych brwi, znajdujących się w połowie czoła, nad miejscem, w którym zwykle są. Teddy nie pozwoliła zgolić sobie, ani wyskubać swoich własnych jasnorudych brwi. Przykryła je makijażem i narysowała nad nimi ołówkiem sztuczne. Był to delikatny, wymagający skupienia zabieg i potrzebowała co najmniej pół godziny, by go dobrze przeprowadzić.

- Nadal na swoim miejscu - uspokoiła ją Berry.

- Mam okropne uczucie, że się rozmazują.

- Nie przejmuj się. Powiedziałabym ci, gdyby tak było.

Wysokie drzwi pracowni otworzyły się i Julien Mistral zaczął iść

wolno w ich kierunku wzdłuż krawędzi basenu, wycierając ręce wysmarowaną farbami szmatą, którą wepchnął następnie do kieszeni swoich sztruksowych spodni. Kate przedstawiła go Marie-Icie Norton i poprosiła, by Mariettą zaprezentowała mu swoich kolegów. Mariettą, speszona wojowniczym wyglądem Mistrala, wyglądem nieomylnie zdradzającym człowieka, który wolałby być gdzie indziej, dokonała prezentacji tak szybko, jak się dało, wymieniając tylko imiona. Ujmując dłoń Teddy, Mistral przyjrzał jej się uważniej.

- Wejdźcie do pracowni - powiedział po francusku.

Zrozumieli go. Berry władała szkolnym francuskim, Mariettą - francuskim paryskich pokazów mody, Teddy - francuskim swojej matki, zaś Bill - francuskim fotografa.

Kiedy znaleźli się w ogromnym pomieszczeniu, zamilkli. Królował tu swoisty, wysublimowany nieporządek, przy którym bałagan pracowni Picassa wydawał się niemal banalny.

Ruszał się tylko Bill, przeklinając pod nosem konieczność wyboru między oglądaniem obrazów i zrobieniem zdjęć zanim zajdzie słońce. Pozostali trwali nieruchomo, zawstydzeni niczym uczniaki, nie ośmielając się wykrztusić słowa, bo żadne słowo nie wydawało się właściwe, kiedy patrzyli na jedno płótno po drugim. Każde z nich było wyrazem świata, w którym to co pospolite przeistaczało się w cud, każde było wyrazem ludzkiej wizji, która przedstawiała to co zwykle tak, jakby było widziane po raz pierwszy.

Bill wybrał wreszcie miejsce. - Chodź, Teddy - powiedział, chwytając ją za ramię. - Podejź do niego, stań obok i staraj się wyglądać jakbyś się dobrze bawiła. - Mistral czekał niecierpliwie przy sztaludze, na

której stało puste płótno.

Wykorzystując swoje wysokie zawodowe umiejętności Teddy podeszła do niego, a spódnice jej sukni Królowej Łabędzi kołysały się, kiedy kroczyła lekko w swoich balerinkach. Był tak wysoki, że musiała wyprostować łuk giętkiej białej szyi na całą długość, by na niego spojrzeć. - Nigdy nie czułam się tak mała w obecności żadnego mężczyzny, myślała Teddy, unosząc wysoko podbródek o pięknym kształcie i odrzucając do tyłu głowę pod ciężarem włosów. Jej oczy o zmiennym wyrazie miały nieokreśloną barwę, w której zamknął się czar tysiąca zmierzchów. Jej uśmiech był wyzwaniem.

Mistral ujął ją pod brodę i bez słowa odwrócił jej twarz w jedną, a potem w drugą stronę. Jego błękitne oczy, dwa oślepiające płomienie, patrzyły na nią badawczo. Wyciągnął z kieszeni szmatę, którą przedtem wycierał ręce. Pachnie terpentyną, zdążyła pomyśleć Teddy, zanim zdała sobie sprawę z tego, że Mistral jedną ręką przytrzymuje mocno jej głowę, zaś drugą wyciera namalowane brwi. W tej chwili Marietta jęknęła, Berry wrzasnęła, Bill zaklął, a Sam zagwizdał.

- Tak jest lepiej. Używasz za dużo farby - powiedział Mistral tak cicho, że tylko Teddy mogła go usłyszeć. - Zupełnie jak twoja matka. - Uśmiechnął się po raz pierwszy. - Ale jesteś od niej tysiąc razy piękniejsza.

Kiedy ucichł gwar, cała ekipa „Mode” powróciła do pokoju, w którym przebierała się Teddy, zaś Marietta Norton przyjrzała się zniszczeniom. Kazała wszystkim czekać. Sama poszła, by przywrócić porządek. Odnalazła Kate w towarzystwie kucharki.

- Madame Mistral, mamy kłopot - powiedziała poważnym tonem.

- Och, nie, czy mogę w czymś pomóc?

- Niestety, pan Mistral usunął brwi mojej modelki.

- Co?!

- Były narysowane i starł je. Starł jej chyba podkład na czole.

Dopasowanie górnej części twarzy do dolnej zajmuje jej co najmniej godzinę, a wtedy światło będzie już zbyt słabe na kolorowe zdjęcia.

- Ale, co, u licha... ? Kate była na niego wściekła. Jak mógł okazać się takim gburem - i to wtedy, kiedy wszystko tak starannie przygotowała.

- Nie mam pojęcia. To niewątpliwie decyzja artystyczna, ale stawia nas w trudnej sytuacji. Musimy wypełnić cztery strony i nie mamy czym.

- Nie wyobraża sobie pani, jak mi przykro. Nie pojmuję, dlaczego tak zrobił. Proszę posłuchać, nie chciałabym rozczarować państwa po tym, jak jechaliście taki kawał drogi. Pójdę i porozmawiam z nim. Czy to załatwi sprawę, jeśli zechce poświęcić wam trochę czasu jutro rano? Czy musicie być wtedy gdzie indziej?

- Nigdzie się nie wybieramy - powiedziała Marietta.

- Dam pani ginu z tonikiem i spróbuję to załatwić.

- Bez toniku, jeśli można - powiedziała Marietta z westchnieniem ulgi. Znała kobiety pokroju Kate Mistral. Obie były profesjonalistkami. Będzie miała te cztery strony i tylko to się liczy.

* * *

Następnego dnia po śniadaniu, kiedy znów jechali do La Tourello, Teddy była tak zmieszana, jak nigdy w życiu. Ta chwila, kiedy Julien Mistral ujął jej podbródek w swoją dłoń zapadła jej w pamięć, jakby ktoś strzelił jej między oczy i pocisk zatrzymał się w głowie. Nie powiedział jej więcej ani słowa - wszystko zagłuszyła wrzawa - ale, odkąd to się stało,

nie myślała o niczym innym. To tak, jakby jej życie było niczym film i kiedy Julien Mistral dotknął jej, reżyser wrzasnął - „Cięcie!”. Dopóki nie zobaczy go znowu, pusty ekran musi czekać.

Kiedy Teddy zobaczyła Mistrala, zżymającego się niecierpliwie na najazd na swoją pracownię, dokonany przez ich ekipę, zrozumiała, że czekał na nią równie niecierpliwie jak ona na niego. W tak żarliwą pewność nie można było wątpić. Wstrzymując oddech, podeszła do sztalugi. Wyciągnął dłoń, ujęła ją i ich ręce złączyły się w uścisku. Przez dłuższą chwilę trwali tak w bezruchu, dopóki nie uświadomili sobie oboje, że powinni przywitać się tak, jak to jest zwyczajem we Francji.

- Bonjour, Mademoiselle Lunel. Czy dobrze pani spała?

- Bonjour, Monsieur Mistral. Nie spałam.

- Ja też nie.

- Teddy - powiedział Bill Hatfield - odwróć się trochę. Nie widać sukni.

Muszę dotknąć jego twarzy, myślała Teddy, przesuając się kilka centymetrów w prawo. Muszę ująć jego głowę w obie ręce i poczuć to miejsce na skroniach, tuż przy linii włosów, gdzie skóra wydaje się taka gładka.

- Pochyl trochę głowę - krzyknął Bill - tak jakbyś patrzyła na płótno.

Chcę całować jego oczy. Chcę dotknąć wargami jego powiek, myślała Teddy, wpatrując się nieprzytomnie w obraz.

- Teddy, trochę więcej życia, dobrze? - poprosił Bill.

Chcę dotknąć ustami jego piersi, w tym miejscu; gdzie ma odpięty kołnierzyk koszuli. Chcę rozpiąć mu koszulę i położyć głowę na jego piersi, a potem zapiąć guzik z powrotem, tak żeby znaleźć się tam w

środku. Chcę oddychać jego oddechem. Chcę, żeby moje serce było razem z jego sercem.

- Teddy, odwróć się do mnie plecami. Fotografuję tył sukni jeszcze raz.

Chcę, by poczuł w ustach słodycz. Chcę, żeby śmiał się pod dotykiem moich warg. Chcę błagać go o pocałunki. Chcę, żeby błagał mnie o pocałunki.

- Teddy, do cholery! - Bill był nie tyle zniecierpliwiony, ile zaskoczony. Nigdy dotąd nie trzeba było ustawiać Teddy w ten sposób.

- Twój fotograf jest niezadowolony - powiedział cicho Mistral.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Ale nie skończy, dopóki nie zrobi takich zdjęć, na jakich mu zależy.

- Tak, masz rację.

- A im szybciej skończy, tym szybciej będziemy mogli porozmawiać.

- O czym będziemy rozmawiać?

- Teddy, na Boga! Wiesz, że nie mogę zrobić żadnego zdjęcia, kiedy ruszasz ustami.

- O czym będziemy rozmawiać? - powtórzyła.

- O naszym wspólnym życiu.

- Jutro wyjeżdżam do Nowego Jorku.

- Zostaniesz tu ze mną.

- Naprawdę?

- Wiesz, że tak.

- Słuchajcie, ludzie. To znaczy, panie Mistral. Nic z tego nie będzie. Może podejdziecie oboje do stołu na środku pokoju i pokaże pan Teddy swoją paletę? - powiedział Bill z wymuszonym spokojem.

- Gdzie możemy porozmawiać? - zapytała.

- W restauracji Hiely w Awinionie, o wpół do dziewiątej, dziś wieczorem. Dobrze?

- Dobrze.

Teddy posłała Billowi taki uśmiech, że przez resztę życia żałował, iż nie zdążył go sfotografować. Zaczęła pozować bez namysłu, jak doskonale wytresowane zwierzę, z głową uniesioną w taki sposób, by patrzeć na Julię Mistrala, unikając jednocześnie jego wzroku. Gdyby spojrzała mu w oczy, nie mogłaby utrzymać się na nogach.

Wszystkie te lata, myślała, wszystkie te lata marzeń, marzeń i snów, wiodących ją do tego miejsca, do tej chwili. Nic nie było tak rzeczywiste nigdy dotąd. Nic nie będzie tak rzeczywiste już nigdy.

* * *

Gdy tylko Teddy zabrała się porządnie do pracy, Bill Hatfield szybko zrobił swoje zdjęcia. Kate Mistral, która wróciła z Félice w chwili, kiedy już kończyli, zapraszała ich na lunch, ale Marietta musiała odmówić. Bała się, że przegapią popołudniowy pociąg do Paryża, a wszystkie bagaże trzeba było jeszcze zabrać z Le Prieure.

- Spakowaliście się? - rzuciła Berry przez ramię. Teddy leżała na łóżku w ich wspólnym, przytulnym pokoju o ścianach pokrytych bladożółtym materiałem w drobny prowansalski kwiatowy deseń.

- Zostaję.

- Proszę cię, Teddy. Kiedy w grę wchodzi umowy i terminy, nie mam poczucia humoru, przecież wiesz.

- Nie wracam z wami.

- Nie widziałaś mojej listy? Wszystkie walizki są, ale, o Boże, nie

mogę znaleźć listy. Dlaczego tak leżysz?

- Nie słuchasz mnie. Zostaję w Prowansji... na jakiś czas. Jeszcze nigdy żadne miejsce nie podobało mi się tak bardzo.

- Nie możesz tak po prostu zostać!

- Dlaczego nie? - Teddy mówiła spokojnym głosem, w którym brzmiał jednak pewien gorączkowy upór, a jej policzki różowiły się lekko. Berry popatrzyła na nią z niepokojem.

- Źle się czujesz? Nie czujesz się na tyle dobrze, by podróżować?

- Ależ nie. To kaprys... Czy nigdy nie miewasz kaprysów, Berry?

- Jasne, że nie. I jeszcze przez wiele lat nie będę mogła sobie na nie pozwolić. Dobrze, w porządku, więc zostań... Znalazłam tę listę, dzięki Bogu. To twój bilet powrotny. Pójdzie na rachunek biura. Mogłaś nas o tym uprzedzić. To wszystko.

- Wcześniej nie wiedziałam - odparła Teddy głosem jak ze snu. - Wyślę telegram do agencji. Dowiedzą się o tym, zanim wrócisz.

- A twoja matka? Nie będzie chyba zadowolona?

- Och, zrozumie to - powiedziała wolno Teddy. - Wydaje mi się, że ona zrozumie mnie najlepiej.

* * *

We francuskim mieście średniej wielkości najlepsza restauracja wyróżnia się często prostotą wystroju wnętrza, która wyraźnie daje znać o tym, że liczy się tu przede wszystkim dobra kuchnia.

Restauracja Hiely w Awinionie mieściła się w wielkiej prostokątnej sali o skromnym wyglądzie, wyłożonej zwyczajną boazerią. Wygodne obszerne stoły przykryto zwyczajnymi żółtymi obrusami, a zwyczajna drewniana podłoga lśniła od pasty. Na stole pośrodku stała cała wędzona

szynka, otoczona misami pełnymi świeżych owoców, tacami z gotowanymi homarami i butelkami wina ułożonymi w osobnych koszykach. Był to wszakże jedyny przejaw zbytku. W oknach brakowało zasłon, na stołach nie było kwiatów, a nie wyściełane drewniane krzesła stały wokół stołu z godnością i umiarem, wskazującym że w tym miejscu obowiązuje filozofia pełnego zaangażowania w sprawy gastronomii, którym zostało poświęcone.

Kiedy Julien Mistral i Teddy Lunel siedzieli naprzeciw siebie przy cichym stoliku w okiennej niszy, Teddy zastanawiała się, dlaczego nikt jej dotąd nie ostrzegł, że miłość od pierwszego wejrzenia odbierze jej mowę. Weterance tysięcy pierwszych kolacji nigdy jeszcze w ten sposób nie zabrakło słów. Już tyle sobie powiedzieli w obecności innych ludzi, a choć nikt ich nie słyszał, to że nie byli sami chroniło ich przed konsekwencjami tej rozmowy. Teraz, gdy wokół nie było nikogo, nie potrafiła wykrztusić z siebie nic, oprócz kilku banałów na temat jedzenia.

Julien Mistral, który nigdy nie wahał się mówić tego, co myśli, człowiek, któremu stan onieśmienia był zupełnie obcy, był niemal tak milczący jak Teddy. - Żałosne widowisko, mówił sobie. Wszystko to co chciał powiedzieć - uwięzło mu w gardle i ledwie starczało mu sił, by zająć się zawartością talerza. Jak tu zacząć? Nie od początku, bo wszystko stało się tak dawno temu. Wczoraj wydawało się zupełnie inną epoką jego życia. Nie mógł zacząć od środka, ponieważ ta dziwnie poważna, niezwykła kolacja była środkiem. Nie znali się przecież, a jednak nie potrafił wyobrazić sobie przyszłości, która nie byłaby dalszym ciągiem. Nikt i nigdy nie może pozbawić go koniecznej obecności tej kobiety.

Teddy próbowała udawać, że je i wydawało jej się, że rozświetlające

salę zwyczajne światło lampy drży tak bardzo jak jej ręce. Zauważyła, że wcale nie ma ochoty posłużyć się żadną ze swoich uwodzicielskich sztuczek, które przychodziły jej tak łatwo. Chciała tylko dotknąć Mistrała, przytulić go. Nie miała ochoty flirtować, bo na flirt nie było już miejsca od chwili, kiedy powiedzieli sobie, że żadne z nich nie spało tej nocy.

Twarz Mistrała, ta sławna twarz, znacznie piękniejsza niż sobie kiedykolwiek wyobrażała, była poważna. Nie próbował żartować, wydawał się zamyślony, a błahе uwagi, które mogłaby wygłosić, by przerwać tę ciszę, zamierały na jej wargach. Pytania, które chciała mu zadać były albo zbyt ważne, albo zbyt nieistotne. Nie było trzeciego wyjścia. Teddy musiała dowiedzieć się wszystkiego o Julenie Mistrału od dnia jego narodzin - jego życie było bogate, skomplikowane, obce - a jednak, coś mówiło jej, że tylko najcieńsza zasłona dzieli ich od tego, by wiedzieli o sobie więcej niż o innych ludziach, których znali do tej pory.

Kiedy kolacja dobiegała już końca, Teddy podniosła wzrok nad kieliszka wina i napotkała spojrzenie Mistrała, porzucając wszelką myśl o rozmowie. Jedna jedyna łza, wywołana uczuciem, którego nie odważyła się nazwać, spłynęła wolno po jej policzku. Dotknął tej łzy, pozwolił, by wchłonęła ją jego skóra i wtedy ogarnęła ich pajęcza sieć niejasnej, niepewnej radości, tak delikatnej i tak gwałtownej, że mógł wreszcie przemówić.

- W zeszłym tygodniu byłem pewny, że już nigdy nie poczuję się młody. Patrzyłem na niebo, które niegdyś kochałem. Światło słońca przenikało przez cienką warstwę chmur i w tym mdłym świetle wszystko wydawało się zupełnie beznadziejne. Powtarzałem sobie, że taki jest los człowieka, a cały mój problem polega na tym, że nie dopuszczałem do

siebie myśli o tym, że ludzki los dotyczy także mnie.

- A teraz? - zapytała poważnie Teddy.

- Teraz wydaje mi się, że nigdy dotąd nie byłem młody, nie wiedziałem, co to znaczy, jakbym spędził lata młodości w jakiejś pustce. Myślałem, że na tym polega życie, bo nie potrafiłem wyobrazić sobie niczego innego. Nie byłem nieszczęśliwy - pracowałem i żyłem jak inni i nie zadawałem sobie pytań, ponieważ malowałem i zawsze wierzyłem, że jest to jedyna rzecz, której pragnę. Nie mogę ci powiedzieć, że już wtedy tęskniłem za tobą, bo nie wiedziałem, że istniejesz. Dopiero teraz rozumiem, jak wiele mi brakowało.

- Przecież nie istniałam przez połowę twojego życia. Kiedy to mówiła, uśmiechała się łagodnie.

- Czy to wydaje ci się możliwe? Wiem, że to prawda, ale wcale tego nie czuję.

- Powinniśmy byli urodzić się tego samego dnia - wykrzyknęła żarliwie Teddy. - Powinniśmy wychowywać się razem! Wtedy mógłbyś być zawsze przy mnie - och, czekałam na ciebie od zawsze. Te godziny, kiedy byłam nieszczęśliwa i nie czułam się w pełni sobą - och, tyle godzin - to dlatego, że nie było ciebie. Bałam się, że to się nigdy nie zdarzy - powiedziała, ogarnięta wielką falą radości. - Nie przypuszczałam, że będę taką dziewczyną.

- A ja - rzekł Julien Mistral z niedowierzaniem - nigdy nie sądziłem, że będę takim mężczyzną... to jest takie... wszechogarniające... rozumiem teraz innych mężczyzn, mężczyzn, którzy porzucają wszystko dla kobiety, mężczyzn, którymi tak dotąd gardziłem. Czuję się... człowiekiem, takim jak wszyscy.

- Czy to wielki cios? - zapytała Teddy, śmiejąc się obiecująco.

- To byłby cios jeszcze wczoraj. Teraz to taka nadzwyczajna ulga. Mówiąc to - słuchał własnych słów i dziwił się. Nigdy jeszcze nie przemawiał w ten sposób do żadnej kobiety, nigdy nie przypuszczał nawet, że to możliwe, nie wiedział, że potrafi wypowiadać takie słowa, nie wyobrażał sobie nawet, że mogłoby ogarnąć go takie uczucie, które w sposób oczywisty jawiło się jako najważniejsze wśród tych, których kiedykolwiek doświadczył. Uniesienie.

- Nie będę żył dłużej niż ty.

W jego głosie brzmiało zdziwienie i pewność.

- Nie musisz.

- Nie opuścisz mnie. Nie była to prośba, lecz dumny rozkaz.

- Czy mogłabym? - zapytała Teddy. Jej twarz rozświetliła się wyznaniem miłości tak bezgranicznej, że to co czuło jej serce znalazło wyraz w jej oczach, tak by mógł się o tym przekonać.

- Nie mogłabyś.

Śmiali się razem jak pogańscy bogowie. W pięciu zdaniach zgodzili się, by odrzucić świat, który ich otaczał. Odsunęli od siebie wszystkie problemy, którym trzeba było stawić czoło. Podjęli decyzję, choć zdawali sobie sprawę z jej konsekwencji. Żadne z nich nie było przecież tak naiwne, by wyobrażać sobie, że uda im się uciec, że nic ich nie powstrzyma. Zgodzili się na chaos, a szaleństwo - ta *folie'a deux*, która ogarnia kochanków - miało być ich chlebem powszednim.

- Teraz chodź ze mną - powiedział Mistral.

- Dokąd?

Przez chwilę Mistral wydawał się zakłopotany. Myślał o hotelu

Europa, niegdyś wspaniałej szesnastowiecznej rezydencji szlacheckiej, wznoszącej się wokół dziedzińca z szemrzącymi fontannami. W ubiegłym wieku zamieniono ją na hotel. O tej porze roku będą wolne pokoje. Jutro znajdzie coś na stałe, ale dziś wieczorem Europa udzieli im schronienia, tak jak wielu innym kochankom w tym głęboko zmysłowym mieście, w którym dwór papieski oglądał niejednego skorego do uciech grzesznika.

- Po prostu chodź - rzekł do Teddy. - Zajmę się tobą, przecież wiesz.

Ogarnęło ją nieznane dotąd szczęście. Żaden z mężczyzn w jej życiu nie domyślał się nawet, że chciała, by ktoś mówił jej, co ma robić, tak, nawet rozkazywał, co ma robić. Może jeden Melvin trochę to rozumiał... wspomnienie o nim przemknęło jej przez myśl, by po chwili całkowicie zatrzeć się w pamięci.

Podniosła się z miejsca i przeszła z nim przez salę restauracji, nie zauważywszy nawet, że dziesiątki Francuzów oddają jej najwyższy hołd, przerywając jedzenie i picie, by patrzeć na nią bez przeszkód.

* * *

Nieodwracalne. To słowo utkwilo jej w myślach, kiedy Julien Mistral kochał ją po raz pierwszy. Nieodwracalne. Kiedy znaleźli się w hotelowym pokoju, upadli razem na łóżko bez chwili wahania. W szaleńcze pożądania nie było czasu na żadne konwencjonalne, rytualne zabiegi. Niemal całkowicie ubrani, kochali się niezręcznie, ze skrajną, konieczną gwałtownością. Trzeba było zrobić to szybko, by tym aktem przypieczętować ich przymierze.

Dopiero wtedy, kiedy to już się stało, rozebrał ją i zdjął z siebie ubranie, układając ją tak, by leżała spokojnie na poduszkach. Dotykał jej lekko swoimi smukłymi dłońmi, gładził ją niespiesznie, delikatnie i z

rozmysłem, jakby był niewidomy i mógł poznać ją tylko za pomocą dotyku.

Teddy rozkoszowała się własną uległością. Doznawała niezwyklej przyjemności, nie poruszając się, ani nie wzdychając, tak jakby nakazał jej spokój i oczekiwanie. Teraz, kiedy już należała do niego, mieli przed sobą całą wieczność. Pozwoliła, by przesuwiał dłońmi po jej ciele z nieskończoną czułością, nie sięgając delikatnego miejsca między jej nogami, dopóki nie poczuła, że nie zniesie dłużej ognia, który ją ogarnął. Uniosła się i przykryła go swoim ciałem, a on odpowiedział jej niemal chłopięcą żarliwością.

Nieodwracalne. Poruszał się w niej z mocą i napełniał jej ciało tak jak nikt nigdy dotąd. Objęła go głębokim uściskiem, każdy z jej zmysłów nabrzmiewał, dopóki nie poczuła, że przekracza własne granice, że rozpływają się oboje, tworząc jedną istotę. Na zawsze, pomyślała. Na zawsze.

Nastrój niezwyklej radości panuje w Awinionie nawet w środku zimy. Ciepłe ubranie chroniło Teddy przed rzeźkim chłodem południa Francji, kiedy spieszyła do fryzjera ulicą Josepha Vernet. Radosne słońce na czystym niebie oświetlało stare mury miasta, mury koloru srebra, brązowego cukru, złocistego szampana, mury barwy rózu i subtelnego wyblakłego fioletu. Ulica Josepha Vernet, kręta i wąska, dorównywała elegancją małej uliczce Paryża. Na parterach wznoszących się przy niej rezydencji mieściły się *salons de coiffeurs*, kwaciarnie, sklepy z antykami i eleganckie butiki. Teddy zamówiła wizytę u fryzjera w piątkowy poranek i był to jedyny konkretny termin w ciągu ostatnich tygodni, bo wspólne życie Teddy Lunel i Julienu Mistrala przebiegało poza zwykłym czasem.

Od pierwszej wspólnie spędzonej nocy nie rozstali się ani razu. Mistral nigdy nie wrócił do La Tourello. Porzucił to miejsce, tak jakby jego dom, jego pracownia, jego żona i jego dziecko były znoszoną skarpetą bez pary. Żyli teraz razem, dziwiąc się własnemu szczęściu, które oddzieliło ich od kłopotów codzienności. Nie obchodziły ich zwykłe troski - byli niczym żaglowiec pchany przychylnym, stałym wiatrem, zmierzający bez końca ku szczęśliwym wyspom.

Po kilku dniach spędzonych w Hotelu Europa wynajęli duże mieszkanie wśród średniowiecznych murów tego królewskiego miasta, skapanego w tokańskim świetle. Miasta z setką dzwonnicy, historią parad i tryumfów, sięgającą czasów, kiedy siedmiu papieży miało tu swoje bogate dwory i brało pod swoje skrzydła - za pieniądze - tych, którzy nie czuli się bezpiecznie poza jego granicami: Żydów, przemytników, zbiegłych więźniów i - jak wyobrażała sobie Teddy - kochanków takich jak oni sami.

W Awinionie, ruchliwym, kwitnącym, śmiejącym się złotymi murami, było wszystko, co nadawało życiu rozkoszny smak - myślała Teddy, odchylając się i poddając wprawnym rękóm pomocnika fryzjera, czeszącego jej umyte włosy.

Ich mieszkanie zajmowało całe drugie piętro osiemnastowiecznego pałacu w modnej dzielnicy Prefecture, należącego niegdyś do bogatego kupca. Wysokie okna wychodziły na klomby i trawniki, po których dumnie stapały pawie z Muzeum Calvet. Mistral zamienił największy z pokoi w pracownię, a obok, w sypialni, ustawili ogromne łóżce z baldachimem, o błękitnych aksamitnych zasłonach, haftowanych od wewnątrz w sceny z polowania na jelenie. W chłodne noce można było je zaciągnąć i osłonić łóżce ze wszystkich stron.

W mieszkaniu nie było centralnego ogrzewania. We wszystkich pokojach były kominki, w których już od pierwszych dni listopada płonęło dzień i noc wonne eukaliptusowe i sosnowe drewno. W pracowni było cieplej niż w pozostałych pomieszczeniach. Ogrzewał ją barokowy wiedeński piec z białej porcelany, wyglądał jak góra bitej śmietany i był wyższy od Mistrala, który nie chcąc, by pozującej mu niemal każdego popołudnia Teddy było zimno, kupił go u handlarza antyków.

Nigdy przedtem, mówił Teddy, nie kładł się spać tak późno jak teraz, gdy siadywał tuląc ją w ramionach sypialni, przed kominkiem. Rozmawiali i śmiali się tak długo w noc, łuskając orzechy, piekąc kasztany i pociągając z dużych butelek o smukłych szyjkach czyste, destylowane z różnych owoców wódki, które kupowała, nie mogąc oprzeć się ich nazwom: *prunelle de buissons*, *mure sauvage*, *eglantine* i *myrtille des bois*. Nigdy też nie wstawał tak późno. Teraz, kiedy budził się, leżał i

patrzył na śpiącą Teddy, dopóki nie otworzyła oczu. Potem kochali się często, rozkosznie niepomni istnienia czasu, a nawet przestrzeni. Później, patrząc na haftowany las, rozpedzonych myśliwych, skaczące psy i drobne leśne kwiaty, Teddy stwierdziła, że ztracała się tak, iż przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje.

- Czy Madame życzy sobie, żebym umył jej włosy jeszcze raz? - zapytał pomocnik fryzjera. Teddy przyzwalająco skinęła głową i odprężyła się jeszcze bardziej, kontemplując wydarzenia swojego nowego życia. Żyli jak królowie, bezpieczni w wirze miłości, szczęśliwi, że mogą całować się i patrzeć na siebie, wiedząc że się nie pomylili.

Codziennie, przed lunchem, szli na aperitif do Cafe du Palais, skąd bez znużenia podziwiali zawsze widok Place de l'Horloge, rozległego, otwartego placu, otoczonego sędziwymi platanami o łaciatych pstrych pniach i koronach, na których przysiadają stada gołębi. Na placu krzątali się mieszkańcy Awinionu, którzy spacerowali tu codziennie w południe i napelniali liczne kafejki. O zmierzchu wspinali się często na szczyt Rocher des Doms, gdzie odkryli różany ogród, kwitnący aż do Bożego Narodzenia. Czasem szli do jednego z miejscowych kin na film z Gerardem Philippe, Jeanem Gabin albo Michele Morgan, a w przerwie, kiedy lodziarze obnosili swój towar między rzędami, Teddy zjadała dwa, zaś Mistral cztery lody w czekoladowej polewie.

Choć Teddy zauważała czasem, że ludzie przyglądają się im na ulicy czy w restauracji, wydawało jej się, że nikt w Awinionie nie zawraca sobie nimi głowy. Mistral był postacią, do której przywykli już od lat, widując go tu i tam, a jeśli pokazywał się teraz z młodą kobietą, byłoby niedyskretnie i nieuprzejmie gapić się na niego zbyt natarczywie.

Nie mieli przyjaciół, oprócz doktora i jego żony, którzy zajmowali *rez-de-chaussee* tuż pod nimi. Dwoje przyjaciół wystarczyło im w zupełności, bo Mistral wiedział, czym są prostackie uczucia, które zadają ból. Chciał chronić przed nimi Teddy i nigdy nie spuszczać z niej wzroku. Skrywał swoje cierpienie za każdym razem, kiedy wychodziła z domu po sprawunki, budził się w nocy, wsłuchując się w jej oddech. Kiedy patrzyli na nią mężczyźni, warczałby na nich, gdyby mógł. To była jego kobieta, jego panna młoda, jego dziecko, czasami czuła jak matka lub rozbawiona jak siostra, której nigdy nie miał, jego największy skarb, o którym nie wiedział nikt, tylko on.

* * *

Na wspomnienie listu, który przyszedł dziś od Maggy twarz Teddy wykrzywiła się pod turbanem mydlanej piany. List utrzymany był w pojednawczym tonie. Różnił się od okrutnych, pełnych złości listów, które pisała Maggy na początku, po tym jak Teddy zawiadomiła ją o swoim nowym życiu z Julienem. Teraz, pisała Maggy, obchodziła ją tylko przyszłość Teddy. Obawiała się, że historia może się powtórzyć, że starania Juliana o rozwód będą równie nieskuteczne jak niegdyś starania ojca Teddy.

Jak można było porównywać te sytuacje? Teddy zastanawiała się nad tym. Kate Mistral była protestantką, nie katoliczką i nie miała z Julienem ślubu kościelnego, tylko cywilny. Teddy usiłowała pogodzić obraz takiej Kate Mistral, jaką opisywała jej matka, kobiety, której Maggy, jak mówiła, bała się od chwili pierwszego spotkania, kobiety obdarzonej według niej siłą woli przewyższającą siłę samego Mistrala, z kobietą, którą poznała sama: bezbarwną, dość wątłą, niemłodą, która niemal łąsiła się do Marietty

Norton.

Nie - dodawała sobie ducha Teddy, poddając się delikatnemu masażowi głowy. Matka myliła się. To była przeszłość. Czasy się zmieniły. Dzisiaj żadna kobieta na pewno nie będzie trzymać się kurczowo mężczyzny, którego utraciła na dobre.

Suszenie i szczotkowanie włosów, o których układanie Teddy już nie dbała, zajęło fryzjerowi sporo czasu. Teddy przestała się także malować. Używała tylko tuszu do rzęs. Wyglądała młodziej niż wtedy, kiedy pracowała jako modelka, a jej twarz poróżowiała dzięki temu, że wiele czasu spędzali z Julienem na świeżym powietrzu. Całe to jedzenie i picie, wszystkie leniwie upływające dni, kiedy jedynym jej zajęciem było pozowanie przez trzy lub cztery godziny dziennie i wylegiwanie się w ciepłe wiedeńskiego pieca sprawiły, że przybrała na wadze. Spódnice, które kupiła, kiedy postanowiła zostać w Prowansji stawały się za ciasne, a spodnie, w których przyleciała z Nowego Jorku dopinały się z trudem.

- Dziś nie mogłabym już pracować dla „Mode” - myślała Teddy, idąc do Cafe du Palais na spotkanie z Mistralem. Marietta Norton zemdlałaby, gdyby mnie teraz zobaczyła. Zatrzymała się na targu, żeby kupić słoik lawendowego miodu z Mont Ventoux, ciepłą jeszcze bagietkę, gomółkę kredowobiałego koziego sera i pół kilo bladożółtego wiejskiego masła. Jedynym posiłkiem, który przygotowywała było śniadanie, pozostałe jedli w restauracjach lub kupowali w *charcuterie* i robili sobie piknik w jadalni, w której jedynymi meblami były dwie szerokie, głębokie berzery, pokryte spłowiałym żółtym brokatem i stary, misternie inkrustowany stolik do kart z czterema różnymi ciężkimi, srebrnymi świecznikami. Po nieskazitelnym, dobrze utrzymanym domu Kate, Mistral rozkoszował się tą namiastką

cygańskiego życia.

Teddy spojrzała na zegarek i pospieszyła w kierunku Place de l'Horloge. Wymachując siatką z zakupami, dostrzegła Mistrala, który szybkim krokiem szedł jej na spotkanie. Czubek jego głowy, okrytej wijącymi się rudymi włosami, górującej nad tłumem i jak zawsze swobodnie pochylonej, widać było z daleka. Płosząc swoim zapalem gołębie, Teddy zaczęła biec.

* * *

Kate Mistral stała w zamyśleniu, w pozbawionym okien i zabezpieczonym przed pożarem pomieszczeniu pracowni Mistrala, w którym zainstalowano metalowe stelaże, służące do przechowywania jego płócien. Tu, w rzędach osłonięte od światła dziennego i od kurzu, rozpięte na blejtramach, oznaczone datami i zawerniksowane, ale nie podpisane i nie oprawione stały prace gromadzone przez ponad ćwierć wieku. Mistral nigdy nie sprzedawał tych płócien, które uważał za najlepsze w danym roku. W niektórych latach zatrzymywał pół tuzina prac, w innych tylko jedno lub dwa, czasami nawet dwadzieścia. Kate знаła każde z tych płócien na pamięć, wiedziała, na którym stelażu się znajduje, znała niemal co do grosza jego wartość, którą miałyby, gdyby Etienne Delage otrzymał pozwolenie wystawienia go na sprzedaż. Włączyła wszystkie światła i przeszła między stelażami przejściem utworzonym tak, by umożliwić dostęp do każdej z prac. Wysunęła stelaż znajdujący się na samym końcu magazynu. Stał na nim obraz Maggy, spoczywającej nago na zielonych poduszkach, najsłynniejszy z serii Rouquinne. Kate nie oglądała go od 1931 roku, kiedy wrócił z wystawy w Nowym Jorku, ale nigdy nie zapomniała o tym, że tu jest, tak jak i sześć pozostałych, promieniujących

niczym śmiertelnie radioaktywna substancja w metalowym pojemniku, niewidoczna ale żywa.

Och, tak - myślała - łatwo to zrozumieć. Który mężczyzna postąpiłby inaczej, który mógłby się oprzeć? Młode ciało. Wszyscy go pragną w jego wieku, a gdyby wszyscy mogli sobie na nie pozwolić, ustawiliby się w ogonku, jak na targu, i kupowali je na funty. Julien niczym się od nich nie różni, a nawet jest na to bardziej podatny niż inni. - Zawsze wiedziałam, że najważniejsze dla niego jest właśnie to, jak coś wygląda, to co może zobaczyć, powierzchnia, nic, tylko to, co z wierzchu. Ale co z niego za głupiec, jaki kolosalny, dziecinny głupiec w średnim wieku. Przecież z tym się człowiek nie żeni, nie porzuca życia dla ciała!

- De czasu potrzebował, żeby to zrozumieć, kiedy miał do czynienia z jej matką? Paru miesięcy. Jakże jej nienawidziałam, tej nadętej Żydóweczki, w której nie było nic oprócz odętych warg i bujnego ciała, tej dziewczuchy, która nie rozumiała, czego geniusz taki jak Julien oczekuje od kobiety. Na wspomnienie Maggy usta Kate wykrzywiły się kwaśno z niesmakiem. Nienasycona mała puszczalska musiała mieć wielu kochanków po Julienie, bo przecież ta Amerykanka jest bękartem. W przeciwnym razie nie nosiłaby nazwiska matki.

Czy to możliwe, żeby Julien zobaczył w córce matkę? Czy sądzi, że może cofnąć czas i znowu stać się młody, dotykając raz jeszcze młodego jędrnego ciała? - Zaciskała kurczowo ręce, starając się ze wszystkich sił, by nie podrzeć płótna, by nie rzucić się na nie z jednym z ostrych narzędzi, które poniewierały się w pracowni w odległości zaledwie kilku stóp.

Gwałtownym ruchem wepchnęła obraz na swoje miejsce. Po wojnie, w ciągu siedmiu lat, siedem płócien Rouquinne, najwspanialszych

przykładów wczesnej twórczości Mistrala, potroilo swoją cenę. - To była jej najwspanialsza inwestycja - pomyślała ponuro - i sprzedałaby je jutro, gdyby nie była pewna, że za następne dziesięć lat będą warte trzy, a nawet cztery razy więcej. Nic nie zyska, rozstając się z nimi teraz, nawet za dobrą cenę. Gdyby jednak chciała je sprzedać, gdyby w końcu zdecydowała, że nie jest w stanie znieść ich obecności na swoim terenie ani chwili dłużej, chciałaby, żeby Adrien Avigdor pośredniczył w transakcji. Jeśli już musi robić interesy z Żydami - a w świecie sztuki nie da się tego uniknąć - lepiej mieć do czynienia z najsprytniejszymi wśród nich.

* * *

Kate wspominała swoją podróż do Paryża po wojnie i swoją ostatnią rozmowę z Avigdorem. Trzeba się było z nim zobaczyć, bo miał u siebie wiele obrazów Mistrala, które przyjął jeszcze przed okupacją. Bała się, że nadal będzie obstawał przy tym, że to on powinien je sprzedać, mimo iż jego umowa z Mistralem dawno już wygasła, ale on nie pragnął niczego więcej, tylko przekazać je Delage'owi.

Nie mogła tego pojąć, dopóki nie wytłumaczył jej, dlaczego nie chce robić interesów z Mistralem. Wyrzucono go z La Tourelle? No i co z tego? Każdy Francuz, który ukrywał Żydów, ryzykował życiem, czy Avigdor tego nie rozumiał? I co z tego, że dowiedział się, że to samo spotkało innych Żydów, którzy przyszli do Julienu po pomoc? Nic ją to nie obchodziło, czy był to tuzin, setka czy tylko jeden Żyd.

- Jakim prawem wystawiali Julienu na niebezpieczeństwo? - pytała Avigdora, tkwiącego surowo za biurkiem w swojej okazałej galerii na prawym brzegu Sekwany, z wstążką Legii Honorowej w klapie, którą

nadano mu, o czym nie omieszkał jej powiedzieć, za działalność w Ruchu Oporu. Zapytała go gniewnie, czy sądzi, że taki geniusz jak jej mąż powinien żyć zgodnie z zasadami, które wyznaje Avigdor. Czyżby tak mało wiedział o artystach, mimo tylu lat doświadczeń, by sądzić, że polityka może siał się dla nich czymś więcej niż tylko tematem obrazu? Avigdor także jest głupcem - mówiła sobie. Zapomni o nim. Nie jest jej już potrzebny.

Kate przechadzała się między stelażami na chybił trafił i zatrzymała się, by wyciągnąć wielkie płótno, przedstawiające kwitnącą jabłoń. Ukryty głos obrazu mówił o powietrzu tak nasyconym wiosną, że Kate mogłaby dosłyszeć wzbierające w gałęziach soki, gdyby poświęciła obrazowi choć trochę uwagi. Ale Kate patrzyła nie widząc. Wspominała swoją rozmowę z notariuszem z Nicei, przeprowadzoną przed niespełna tygodniem. Do jej nielicznych przyjaciół w Félice należała także żona notariusza. Podejrzewając, że mogłaby usłyszeć to i owo od swojego męża, Kate odbyła długą podróż poza Górną Prowansję, do dużego miasta, w którym spodziewała się znaleźć notariusza, który nie będzie miał pojęcia o tym, z kim rozmawia.

Sama wizyta nie trwała długo, a odpowiedzi, które otrzymała na swoje pytania były proste. Notariusz zapewnił ją, że instytucję ślubu cywilnego respektowano we Francji, podobnie jak w kilku innych krajach świata. Od 1866 roku rozwód był możliwy tylko *pour faute*. Wyczekująco zagłębił się w fotelu wiedząc, że nie zarobił jeszcze swojego honorarium. - *Pour faute?* - zapytała, zręcznie ukrywając niepokój.

- Po przedstawieniu faktów, które stanowią poważne i powtarzające się pogwałcenie, moja droga Madame, powinności i zobowiązań

mażeńskich, uniemożliwiając całkowicie dalsze życie małżeńskie. - Widać było, że delektuje się dźwięcznym rytmem przytaczanych przez siebie słów.

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam - powiedziała. - Czy to znaczy, że mogę rozwieść się z mężem, jeśli to on jest winny, jeśli mój mąż dostarczył mi powodów do rozwodu?

- Istotnie, tak, Madame. To tylko kwestia czasu i dowodów.

- A jeżeli nie chcę się z nim rozwieść, mimo jego winy?

- Wówczas rozwód nie jest możliwy - odpowiedział.

- W żadnym wypadku? Nawet kiedy to on chce rozwodu?

- Nigdy, Madame. To zupełnie niemożliwe. - Podziękowała notariuszowi, zapłaciła mu i ruszyła z powrotem do Félice długą, krętą drogą, pnącą się z wolna wśród nagich zimowych łąk. Nie musiała się martwić, nie musiała działać, nie musiała reagować. Chroniła ją powaga ponad stuletniego francuskiego prawa.

Czy ten podły imbecyl, jej mąż, zdawał sobie z tego sprawę? Czy dowiedział się już prawdy od innego notariusza? Nie miała zamiaru powiadamiać go o tym. Niech dowie się sam, niech pozna fakty i zacznie powoli rozumieć - bo na początku nie będzie im wierzył, będzie się wściekał i wrzeszczał, i oświadczał, że nic nie przeszkodzi mu, by miał to, czego chce - niech zrozumie, że jest całkowicie bezradny, bezsilny po raz pierwszy w życiu. Gdyby zechciała, mogłaby go nawet żałować. Ale nie chciała. Chyba zapomniał już, że jest bardzo cierpliwa, już nie pamięta, że ona nie poddaje się nigdy.

- Nie pozwoliłam ci odejść, kiedy byłam młoda - myślała Kate - kiedy mogłam mieć każdego mężczyznę, na którego miałam ochotę, kiedy

mogłam prowadzić takie życie, jakie tylko chciałam, kiedy mogłam pokierować swoją przyszłością w dowolnym kierunku, wybrałam ciebie, Julien. Czy to możliwe, żebym pozwoliła ci odejść teraz, kiedy poświęciłam życie robieniu twojej kariery? O, nie, ty godny pogardy człowieku, dlaczego nie zadałeś sobie nawet trudu, by napisać do mnie i poprosić? Jak śmiesz wyobrażać sobie, że oddam cię tej podstępnej złodziejce, która przyszła i zabrała mi ciebie? Czy naprawdę tak mało o mnie wiesz? Należysz do mnie. Jesteś moją własnością, tak samo jak te obrazy. Zapłaciłam za nie. Ciągle jeszcze mam na nie rachunek. Są moje. I ty też, czy ci się podoba, czy nie.

* * *

Mistral odłożył nagle pędzle i stał bardzo spokojnie. Teddy ciągle jeszcze spoglądała sennie na sztukaterie zdobiące sufit pracowni, wodząc niemal nieprzytomnym wzrokiem po girlandach kwiatów, zdobieniach i amorkach, które pozując poznała tak dobrze. Przecież to jeszcze nie pora na przerwę. Wydawało się jej, że dopiero przed chwilą ułożyła się na podeście, może dlatego, że zdrzemnęła się, co zdarzało się czasem, zwłaszcza po bardzo obfitym lunchu. Podszedł do niej i stał tak, patrząc na nią w zamyśleniu.

- Co się stało, kochanie? - zapytała. - Tylko mi nie mów, że chrapałam. Przykucnął obok, wyciągnął rękę i powiodł nią po jej ciele, od piersi do brzucha..

- Nie, nie chrapałaś... nigdy nie chrapiesz, ale przybierasz na wadze.

- Wiem. To ten wspaniały tryb życia. Pewnego dnia stanę się kobietą Rubensa. Ale tak naprawdę wcale się tym nie martwię... a ty?

- Nie... nie... wcale nie. W jego głosie brzmiał cień niepewności.

Może tak naprawdę wolałby, żeby była tak szczupła jak wtedy, kiedy była modelką. Może jej nowa rozkoszna okrągłość, która sprawiała jej taką przyjemność, była w pewien sposób mniej malarska? Francuzi zawsze bardzo dbali o *la ligne* - w każdym razie Francuzki. Mistral ujął jej piersi w swoje duże dłonie i gładził je w zamyśleniu. Potem opasał dłońmi jej talię, łącząc kciuki i mierząc obwód swoimi długimi palcami. Wyglądał tak, jakby się czemuś przysłuchiwał.

- Hej, o co chodzi? - zaśmiała się Teddy. - Masz zimne ręce.

- Jesteś w ciąży - powiedział głosem pełnym nieopisanej radości.

- Och, nie. Wcale nie! - Usiadła, w przerażeniu otwierając szeroko oczy.

- Tak, jesteś. To nie jest tłuszcz, inaczej się układa. Wierz mi, wiem, na czym polega różnica. Wtulił twarz w jej brzuch i ucałował jej skórę w szaleńczym podnieceniu. - Mój Boże, mój Boże, nie wyobrażasz sobie, jak bardzo jestem szczęśliwy.

- Ty! Ty! - wybuchnęła Teddy. - Och, Julien, przerażasz mnie - skąd, do licha, możesz wiedzieć?

- Czy to niemożliwe? Pomyśl, Teddy.

- Nie!... tak... chyba... och, nie! To jest możliwe. O, cholera, nie, to niemożliwe!

- Mam rację - rzekł tryumfująco. - Wiedziałem.

- Co ja teraz zrobię! - Teddy chwyciła szal i okryła się nim z wściekłością.

- Co zrobisz? Dlaczego miałabyś coś zrobić?

- Julien! Przecież nawet nie masz rozwodu, na Boga...

- Teddy, będę go miał. Przysięgłem ci na moje życie, na moją miłość

do ciebie, na moją pracę, na wszystko, co jest dla ciebie święte. Będę go miał! Zwłaszcza teraz, kiedy jesteś w ciąży. Kiedy Kate dowie się o dziecku, zrozumie, że trzymanie się mnie dłużej nie ma żadnego sensu. Wiem, w jaki sposób myślisz, znam ją na tyle dobrze, by móc powiedzieć ci, co sobie teraz myślisz. Ale nie pojmuję jeszcze tego, co jest między nami. I nie zrozumie, że jesteś jedyną kobietą - jedynym człowiekiem, którego kiedykolwiek w życiu kochałem.

Podniósł się i spojrzał na Teddy owiniętą w szal. - To ciągle jeszcze zdumiewa mnie samego. Błogosławię każdy dzień, w którym znajduję cię w łóżku obok siebie! A kiedy stworzymy rodzinę, kiedy uznam dziecko w ratuszu i wszystkim o tym powiem, kiedy wszyscy się dowiedzą, duma nie pozwoli Kate czekać bezczynnie. A może nawet i przedtem, może wtedy, kiedy Kate dowie się, że dziecko jest w drodze, zaczniesz działać, po cichu, rozsądnie... z uwagi na Nadine, ze względu na swoje nazwisko, żeby zamknąć ludziom usta. Tak, tak będzie na pewno, jestem o tym przekonany.

- Wiesz, co mi to wszystko przypomina? - zapytała wściekle Teddy. - Te opowieści, które czytywałam w National Geographic, o różnych plemionach, w których mężczyźni uważają, że kobieta nie istnieje jako żona, dopóki nie zajdzie w ciążę i nie udowodni, że nie jest bezpłodna. - Głos Teddy podniósł się gwałtownie. - Julien, mówisz o mnie, o Teddy Lunel, rodzącej nieślubne dziecko! „Uznanie dziecka” - ni mniej ni więcej, tylko w ratuszu - to barbarzyństwo! Jestem mieszkanką Nowego Jorku, a nie wiejską dziewczyną. Zarabiam siedemdziesiąt dolarów na godzinę! Zarabiam trzy tysiące dolarów tygodniowo!... Och, Julien, niczego nie rozumiesz... - Jej głos załamał się, przestała mówić i wybuchnęła

gwałtownym płaczem, chwytając się go jak dziecko, czując, że obejmuje ją ramionami, przytula i przygarnia mocno do siebie.

Płacząc zrozumiała, że nie jest już Teddy Lunel, która zarabia siedemdziesiąt dolarów w ciągu godziny - tą Teddy Lunel, która przechodząc Pięćdziesiątą Siódmą Ulicą niemal zatrzymywała ruch uliczny - stała się kimś innym, kobietą, która kocha mężczyznę, kobietą, która nosi w sobie dziecko tego mężczyzny, kobietą, która stała się częścią jego historii.

Czuła w głowie zamęt, kiedy myślała, czy łatwo byłoby przerwać ciążę. W Nowym Jorku były dziesiątki modelek, do których mogłaby zadzwonić i otrzymać parę dobrze znanych adresów w Szwecji. Dwie godziny lotu z lotniska w Marsylii, weekend w sterylnej klinice w Sztokholmie i z powrotem we wtorek lub w środę. Mimo iż myślała o tym, wiedziała, że tego nie zrobi. Julien zrozumiałby ją, gdyby tak postąpiła. Do tego, by byli w pełni szczęśliwi, nie trzeba było dziecka.

Nie, to było coś innego. Emocja, której przedtem doznała tylko raz, rosnące w niej uczucie, że tego nie można uniknąć. Czuła, że teraz się zmieniła, że jest naprawdę kobietą, a nie dziewczyną. To było to samo uczucie, które ogarnęło ją pierwszej nocy w Hotelu Europa... to było nieodwracalne, tak nieodwracalne jak jej miłość do Mistrala i dlatego musiało być dobre.

Miesiąc po miesiącu Teddy przebrnęła przez zimę i wiosnę 1953 roku. Zbliżał się termin rozwiązania. Jak powiedział jej lekarz, dziecko miało urodzić się w czerwcu i od chwili kiedy zaakceptowała je, żyła w zaklętym kręgu harmonii. Wiedziała, że Mistral czyni wszelkie starania, by otrzymać rozwód, ale postanowiła nie zamartwiać się przebiegiem tych

negocjacji, które jak przypuszczała, przebiegały w bardzo nieprzyjemnej atmosferze. Nic złego nie mogło jej teraz dotknąć. Aby mieć pewność, że Maggy nie wsiądzie zniechcąca w samolot i nie przyleci z awanturą, postanowiła po prostu nie pisać jej o dziecku w listach, które co miesiąc wysyłała do Nowego Jorku. Będzie jeszcze czas, by obwieścić ten fakt wówczas, kiedy będzie ją mogła zawiadomić także o ślubie.

Ponieważ Julien nalegał, żeby najęli służbę, która mogłaby zamieszkać w pustych pokojach, Teddy wybrała młode małżeństwo, nie dlatego, że on był wykwalifikowanym służącym, a ona kucharką, ale dlatego, że byli w sobie tak zakochani. Teddy była posłuszna. Poddawała się opiece Mistrala, pozwalała nawet, by towarzyszył jej podczas comiesięcznej wizyty u lekarza, chociaż nigdy w życiu nie cieszyła się równie dobrym zdrowiem. Była piekielnie zdrowym stworzeniem, zachwycała się sama sobą i podziwiała swój wygląd tak jak nigdy przedtem, kiedy siadywała przed lustrem w studiach najlepszych fotografów świata. Narzekała tylko, że wieczorami zasypia nad swoją *eau-de-vie* i Julien musi ją wtedy z czułością zanosić do łóżka, podnosząc ją delikatnie i bez trudu pomimo jej okazałego brzuszka.

Rano chodzili na długie spacerunki, a po południu Teddy nadal pozowała. Żaden inny temat nie pociągał Mistrala tak bardzo, jak jej rozkwitające ciało. Jego prace nie były nigdy niezrozumiałe, ani tajemnicze. Zawsze upajała go niema rapsodia formy i koloru, ale teraz, kiedy malował Teddy, której ciało rosło wraz z dzieckiem, zaczął interpretować, poszukiwać, myśleć farbami, zgłębiać płaszczyznę tak, jak nigdy dotąd. Nigdy przedtem macierzyństwo nie interesowało go jako temat obrazu. Kiedy Kate była w ciąży, czuł niejasną odrazę na widok jej

brzucha, który wydawał się sterczeć bez związku z resztą jej drobnej postury, tak jakby był naroślą, a nie organiczną częścią jej ciała. Cięża wysała z jej twarzy żywość i kolor, i choć zносиła ją bez skargi, dziecko w jej łonie było mu zupełnie obce.

Ale Teddy rozkwitała tak upajająco: jej piersi, kiedyś małe, modne, wzbierały niepohamowaną bujnością. Pod przezroczystą białością jej skóry wyraźnie przeświecały błękitne żyłki. Sutki powiększyły się, poróżwiały, stały się miękkie. Ramiona i nogi utraciły ostrość, zaokrąglając się delikatnie. Jej ciało było cudem piękności, a w jego powiększających się rozmiarach Mistral czuł taką siłę natury, jakiej nie miał nigdy żaden pejzaż. Tak nie poruszała go nigdy ani burza, ani niebo, ani gwiazdzista noc, ani dojrzałe sady, ani ciężkie od gron winnice. To był temat niewyczerpany. Malarz nie mógł malować niczego oprócz tajemniczej siły wspaniałej wygiętej linii jej brzucha, zmieniającej się każdego dnia. Często wystarczał mu tydzień, żeby skończyć obraz i wkrótce pracownia wypełniła się płótnami opartymi o ścianę, płótnami, których było więcej niż kiedykolwiek, odkąd po raz pierwszy namalował Maggy.

W połowie czerwca Teddy zaczęła rodzić. Mistral zawiózł ją do pobliskiego szpitala położniczego i zgodnie z wielowiekową w Prowansji tradycją, mógł pozostać przy Teddy w czasie porodu. Teddy mocno ścisnęła jego rękę, ale poród trwał tylko sześć godzin. Zniosła go łatwo i dzielnie. Kiedy dziecko przyszło na świat, doktor musiał dać mu kilka mocnych klapsów, zanim zaczęło krzyczeć, ale kiedy już zaczęło, ryczało z wściekłością. Pielęgniarka zawinęła je szybko w jeden z różowych kocyków, przeznaczonych specjalnie dla noworodków i pokazała je

Mistralowi.

- Dziewczynka, Monsieur - powiedziała z taką dumą, jakby to ona je urodziła. Mistral, oszołomiony, przejęty, patrzył na niezwykle zawiniątko. Wyzierała z niego purpurowa twarzyczka, wykrzywiona energicznymi wrzaskami złości i jasnorude włosy, omotane materiałem koloru jaskrawego różu. Przyjrzał się swojej córeczce i uwaga i wrzasnął ze szczęścia.

- *Fauve*, mój Boże. Kochanie, urodziłaś małą dziką bestię. Tak ją nazwiemy, co? *Fauve*? Podoba ci się to imię?

Teddy skinęła głową na znak zgody, ale sprzeciwiła się pielęgniarce.

- Panie Mistral, to nie jest imię świętej... nie postąpi pan według zwyczaju?

- Imię świętej? Tak, do cholery! *Fauve* jest córką malarza!

- Maman - Nadine zanosila się płaczem - Arlette powiedziała, że mam małą siostrzyczkę. A ja jej powiedziałam, że jest kłamczucha. Nie będę się z nią bawić już nigdy. Jest podła. Nienawidzę jej.

- Dlaczego tak powiedziała? - Chodź, Nadine, opamiętaj się.

- Powiedziała, że jej matka usłyszała o tym od swojej siostry, która pracuje w szpitalu w Awinionie.

- Kiedy ci o tym powiedziała?

- Dzisiaj, w Félice, kiedy poszłam z panem Pollison, żeby odebrać paczkę z poczty Arlette wszystkim powiedziała.

- Kłamała, Nadine. Nie masz żadnej małej siostrzyczki i nigdy nie będziesz miała siostrzyczki. Ale twój ojciec ma bękarta. Powiedz tak Arlette następnym razem, kiedy będzie coś mówić.

Nadine otworzyła szeroko oczy i szarpnęła swoje loki obiema rękami. Wiedziała, co znaczy to słowo, każdy siedmiolatek w okolicy wiedział, co to znaczy, bo nieślubne dzieci nie były w Félice rzadkością, a dzieciaki z miasteczka wychowywały się, słuchając opowieści dorosłych, odkąd podrosły na tyle, by można było trzymać je na kolanach podczas posiłków.

- Nie rozumiem, Maman.

- Pamiętasz, od jak dawna twojego ojca tu nie ma? Odkąd odszedł, jest ze złą kobietą i ta kobieta urodziła teraz dziecko. To dziecko jest bękartem.

- Kiedy tatuś wróci?

- Dobrze wiesz, że nie mogę dokładnie powiedzieć, ale jeżeli będziesz cierpliwa, wróci do domu wcześniej czy później.

- Czy przyprowadzi ze sobą złą kobietę?

- Teraz opowiadasz zwyczajne głupstwa, Nadine.

- Czy przyprowadzi bękarta? - zapytała zazdrośnie Nadine, ośmielając się wymówić to słowo, ponieważ użyła go jej matka. Odkąd Mistral zniknął, wszyscy w domu rozpieszczali ją tak bardzo, że niemal przestała myśleć o ojcu. Zawsze potrafił przejrzeć jej sztuczki - przerażał ją. Kiedy odszedł, nikt nie zwracał uwagi na jej zachowanie przy stole, ani nie kazał jej przestać gadać przy jedzeniu. Ale jej koledzy w szkole mieli młodsze rodzeństwo i wiedziała, że kiedy rodzi się dziecko, zajmuje ono w uczuciach rodziców miejsce starszego rodzeństwa.

- Skądże, Nadine! Nie opowiadaj głupstw! - Kate zerwała się i zostawiła córkę, która uderzyła w szloch, nie próbując jej nawet pocieszyć. Pobiegła do swego pokoju, zamknęła drzwi na klucz, usiadła w ulubionym fotelu i patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Spodziewała się tej wiadomości lada dzień, ale nigdy nie przypuszczała, że dowie się o tym od własnego dziecka. Jakie plotki mogła jeszcze słyszeć Nadine? O jakich nigdy jej nie mówiła?

Rzecz jasna, plotki, którymi żywili się mieszkańcy Félice, mający w większości znajomych i krewnych w każdej wiosce i każdym mieście w promieniu pięćdziesięciu mil, działały znacznie lepiej niż jej własny prawnik w Awinionie. Już sześć miesięcy temu dowiedziała się od Mistrala o ciąży tej Lunel. Dopełniła nawet formalności, spotykając się ze swoim prawnikiem i raz na zawsze określając swoje stanowisko w tej sprawie. Jej mąż padł ofiarą fanaberii, złudzenia, chwilowego szaleństwa, które dotyka milionów mężczyzn w jego wieku. Tak powiedziała prawnikowi. Jej stanowisko było niewzruszone.

Ale Mistral nie pogodził się z tym nigdy. Ciągłe wysyłał do niej ponagląjące, bałamutne, zwariowane listy, próbując przekonać ją, że zgadzając się na rozwód nie ma nic do stracenia, bo i tak nigdy już nie będzie jej mężem.

Nic do stracenia? Gardziła nim tak bardzo, że miała ochotę roześmiać się. Ona, Madame Julienowa Mistral, której wszyscy w międzynarodowym świecie sztuki okazywali najgłębszy szacunek, której siła była legendą, ponieważ to ona miała władzę nad Mistralem. Ona, do której przychodzili z błaganiem kustosze muzeów. Ona, dzięki której każda galeria mogła zyskać rozgłos, gdyby zgodziła się wypożyczyć obrazy Mistrala. Ona, od której wyłącznie zależało wydanie pozwolenia lub odmowy reprodukcji jednego z dzieł Mistrala. Ona, o której względy zabiegał każdy uczony i reporter, zanim mógł zbliżyć się do Mistrala. Ona, która rządziła niepodzielnie jego skomplikowanymi interesami - ona nie miała nic do stracenia?

A gdyby nigdy nie pokazywała jego prac Avigdorowi? Przy całej nienawiści, którą żywił do marszandów, Mistral nie miałby może nigdy swojej pierwszej wystawy. Ilu malarzy nie dożyło chwili, kiedy ich prace zostały docenione? Niezliczenie wielu. To ona dała mu tę jedyną szansę. To za jej pieniądze kupili La Tourello. A potem, to jej czujna uwaga umożliwiła mu pracę przez ostatnie ćwierć wieku w poczuciu całkowitej wolności od trosk, o jakiej żaden inny artysta nie mógł nawet marzyć. O, nie, nie zamierza abdykować, rzucać wszystkiego po to, by jakaś mała dziwkowata modelka zajęła jej miejsce. Mistral zawdzięcza jej życie.

Kate wydała nieartykułowany odgłos wściekłości i zaczęła chodzić od okna do okna. Jakim cudem ten człowiek może myśleć, że jedna kropla

jego nasienia złożona w ciele tej suki, tej Lunel, sprawi, że porzuci wszystko, nad czym tyle pracowała? Jakże mało ją zna. Nic nie mogło skłonić jej bardziej do obrony należnych jej praw niż narodziny tego bękarta. W swoich listach Julien oddawał jej wszystko - La Tourello, które kiedyś wniosła mu w posagu, wszystkie obrazy, pieniądze na kontach w bankach, tak jakby zmiana jej stanowiska była tylko kwestią znalezienia właściwej ceny. Jest Madame Julienowa Mistral. Nigdy nie pozwoli na to, by zmienić ten stan rzeczy.

Kate przygładziła włosy i otworzyła drzwi. Źle postąpiła z Nadine. Jeżeli dziecko powtórzy jej słowa, sytuacja może się pogorszyć. Skandal dostarczył ludziom z miasteczka niewątpliwie najlepszej rozrywki od lat. Żyli po to, żeby obgadywać sąsiadów, a tych, którzy tak naprawdę nie należeli do społeczności miasteczka, obgadywali ze szczególną złośliwością.

Kate odnalazła Nadine, siedzącą posepnie w kuchni, podczas gdy Marte Pollison dyrygowała kucharką i pomocnicą, zajętymi przygotowaniem obfitego posiłku, który pod koniec dnia spodziewali się zastać ludzie pracujący w polu.

Zaprowadziła dziecko do pokoju i wzięła je na kolana..

- Nadine, kochanie, to, co ci powiedziałam, nie było mądre. Nie zwracaj na to uwagi. Mama zachowała się głupio... Wiesz, mamusie zachowują się czasami jak głuptasy, tak jak wszyscy. Nie chcę, żebyś mówiła Arlette cokolwiek, jeżeli zapyta cię o tatę, albo o mnie - wszystko będzie dobrze, tatuś wróci do nas, ale nie trzeba o tym mówić ludziom. Wszystko zawsze popłaczą, a poza tym, to nie ich sprawa. To ich nie dotyczy. Chciałabym, żebyś nie chodziła do Félice przez jakiś czas.

- Ale, Maman, szkoła kończy się dopiero w czerwcu.

- Wiem, kochanie. Porozmawiam z twoją nauczycielką. Na pewno to zrozumie. Radzisz sobie w szkole tak dobrze, że to nie będzie miało żadnego znaczenia. Będziemy się razem dobrze bawić, jeździć na wycieczki wielkim samochodem mamusi. Będziesz mogła jadać w restauracjach i oglądać nowe rzeczy, a codziennie zrobię ci specjalną niespodziankę, kupię coś bardzo ładnego. Czy to nie wspaniale?

Nadine nie wydawała się przekonana. Gdybym tylko mogła zabrać ją do Paryża, albo do Nowego Jorku - myślała Kate. Gdybym tylko mogła zabrać ją z tej przeklętej doliny, w której wszyscy wszystko wiedzą. Ale nie mogę ruszyć się stąd na dłużej niż parę godzin. Gdyby Julien dowiedział się, że wyjechałyśmy - a dowiedziałby się tego samego dnia - myślałby, że się poddałam. Nie, muszę zachowywać się tak, jakby nic się nie stało, jakbym o niczym nie wiedziała, jakby nie było nic, o czym trzeba wiedzieć. Nie wolno mi reagować, muszę żyć tak jak zwykle. Nie mogę dać się sprowokować do żadnego działania. Pewnego dnia to się skończy, ta stara poplątana, nieważna historia. Ale teraz nie pozwolę, żeby ktokolwiek, ktokolwiek litował się nade mną.

- O czym myślisz, Maman? - zapytała Nadine.

- Zastanawiam się, w co się ubrać dziś wieczorem. Gimselowie wydają dzisiaj wielkie przyjęcie. Jak myślisz, kochanie, czy włożyć biały kostium, czy tę niebieską sukienkę, którą tak bardzo lubisz?

* * *

Teddy i Mistral siedzieli na tarasie restauracji Sennequier w St. Tropez, popijając pastis przed obiadem. Rok temu „Vogue” odkrył „szczęśliwy żywot, niewymuszoną swobodę, błogi spokój” tej małej

rybackiej osady, która nie straciła jeszcze swojego naturalnego uroku. Kiedy Fauve skończyła dwa tygodnie, zapakowali ją razem z niańką do samochodu i ruszyli w dół wybrzeża, zatrzymując się na lato w apartamentach Hotelu l'Aioli.

- Niepokoję się, Julien - powiedziała markotnie Teddy.

- Wiem, kochanie. Czuję to przez skórę. Czyżbym grał za długo w kule dzisiaj po południu? Przepraszam - chodzi o to, że ci miejscowi faceci fantastycznie grają. Zastanawiam się, dlaczego nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, żeby tu przyjechać? To wspaniałe wakacje.

- A czemu nie? - wykrzyknęła Teddy w nagłym wybuchu złości. Nawet jeśli Fauve nie potrafi długo usiedzieć spokojnie na miejscu, ona i ja jesteśmy najlepszymi modelkami, jakie można sobie wymarzyć. Kochanka artysty i jego nieślubna córka - klasyczny temat, prawda? Z obrazów, które nam namalowałeś można będzie już chyba ułożyć ze trzy cykle.

- Teddy!

- Wiem, wiem, to nie twoja wina. O nic cię nie oskarżam, na Boga, ale ile to jeszcze potrwa? Nienawidzę tej sytuacji, Julien!

- Kochanie, bądź rozsądna. Fauve ma dopiero dwa miesiące. Nie wyobrażasz sobie chyba, że Kate będzie trwać w swoim postanowieniu przez całe wieki? Pewnego dnia zrozumie, że zachowuje się jak pies ogrodnika, że to beznadziejne - musimy tylko być cierpliwi.

- Brzmi to w twoich ustach jak odwrót Napoleona spod Moskwy. Co mnie czeka, Julien? Posłuchaj! W zeszłym roku hormony sprawiły, że byłam bierna - siedziałam beczynn timer, ukryta w takim samym apartamencie jak ten, jadłam, spałam i śniłam całymimer miesiącami, jak

mama - niedźwiedzica. To taka sztuczka natury, ale teraz wszystko wróciło do normy i nie mogę znieść myśli, że nie mam pojęcia, czego się spodziewać.

- Znowu dostałaś list od matki - jęknął.

- Właśnie tak. I zaczynam się zastanawiać, czy matka nie ma przypadkiem racji. A jeżeli historia może się potworzyć? Matce nie udało się nigdy wyjść za mąż, a wszyscy zgodzą się, że jest o niebo przystojniejsza niż ja.

Mistral ujął jej obie ręce w swoje dłonie i przycisnął je do ust.

- Nie mów tak, kochanie. To tylko pogarsza sprawę...

- Teddy! Teddy Lunel! To nie do wiary! - zapiszczał dziewczęcy głos. Zaskoczona Teddy uwolniła dłonie i rozejrzała się. Na chodniku przed kawiarnią stali dwaj mężczyźni i dwie kobiety. Peggy Arnold, która rozpoznała Teddy, była od dwóch lat gwiazdą wśród modelek Agencji Lunel. Teddy poderwała się z miejsca i uściskała ją serdecznie. Była zdumiona, że tak bardzo uszczęśliwił ją widok znajomej twarzy. Nagle wydało jej się, że Peggy Arnold to jej najlepsza przyjaciółka.

- A więc to tu się ukryłaś! Wszyscy zastanawiali się, gdzie się podziałaś i myśleli, że przepadłaś na dobre. Twoja matka mówiła, że zakochałaś się we Francji, ale... dobry Boże! Teddy, to Ginny Maxwell - pracuje w agencji - a to Billy Clark i Chase Talbot - przyjechaliśmy tu na weekend.

Mistral wstał i zbliżył się do nich.

- To Julien Mistral - powiedziała Teddy głosem, w którym znać było wyraźnie, że Mistral należy do niej. Kiedy patrzyła, jak Julien ścisną dłonie czwórce ubranych na biało, zaskoczonych Amerykanów, którzy

nagle znieruchomieli onieśmieleni, pełni podziwu i szacunku, wydało jej się, że nakrapiany słońcem taras kawiarni Sennequier zamienia się w scenę teatru. Przypomniała sobie ten dzień sprzed wielu miesięcy, kiedy po raz pierwszy ujrzała Mistrala i patrząc na niego teraz, poczuła nowy przyływ wzruszenia na widok jego wspaniałej głowy, jego imponującego wzrostu i niezwyklej siły jego spojrzenia. Była dumna i zadowolona, że ktoś, kto należał do jej dawnego życia, zobaczył ich wreszcie razem i, na Boga, chciała się nim pochwalić.

- Och, Peggy, chciałam cię zapytać o miliony rzeczy! - wykrzyknęła Teddy. - Słuchaj, może wasza czwórka zje kolację ze mną i z Julienem dziś wieczorem?

- Nie możemy, kochanie, obiecaliśmy, że wpadniemy do znajomych na przyjęcie, ale słuchaj, Charles ma łódź czy jacht, czy coś takiego, co ma siedemdziesiąt stóp długości i stoi tu w porcie na kotwicy. Może przyjdziecie do nas jutro pożeglować i zjeść lunch na pokładzie?

- Z wielką rozkoszą, prawda, Julien?

- Z największą przyjemnością - powiedział Mistral do Peggy Arnold. W tej chwili myśl o jakiegokolwiek rozrywce przyjmował z zadowoleniem. Był pewny, że Kate w końcu się podda, ale zaczynał zdawać sobie sprawę, że potrwa to dłużej niż sądził, a nie ośmielił się podzielić swoimi podejrzeniami z Teddy. Z każdym dniem było coraz trudniej rozproszyć jej wątpliwości.

* * *

Następnego dnia o dziesiątej rano Teddy i Mistral weszli na pokład „Barona”, jachtu, który wypożyczył Chase Talbot. Na wakacyjny rejs od portu do portu wzdłuż wybrzeży Francji i Włoch wynajęto czteroosobową

załogę, w tym kucharza.

Kiedy „Baron” wypłynął łagodnie z portu w St. Tropez na Morze Śródziemne, szóstka pasażerów odpoczywała w słońcu na poduszkach na dziobie jachtu. Teddy gawędziła z Ginny i Peggy, rozkoszując się wieściami ze świata, który porzuciła nie oglądając się wstecz, a jej dłoń muskała od niechcenia ramię Mistrala.

Rozmawiając z nimi zrozumiała, jak bardzo tęskniła za przyjaciółmi podobnymi do niej samej. Z Julienem żyli w odosobnieniu z wyboru, lecz przyjemnie było wrócić choćby na chwilę do atmosfery, w której między Benem Zuckermanem i Normanem Norellem była istotna, jeśli nie zasadnicza różnica, do świata poglądów i skojarzeń niegdyś tak dla niej ważnych i nadal ważnych dla jej przyjaciół.

Kiedy ochoczo rozprawiali, jej palec pieścił mięśnie przedramienia Juliana. Wystarczył ten lekki dotyk, by pojęła, że jej minione życie dawało jej tylko pozorną namiastkę istnienia. Porzuciła rozmowę i przymknęła oczy. Rzeczywistość to Julien Mistral, mężczyzna, który wypełnił jej życie, mężczyzna, który z dziewczyny pełnej obaw, że nie pokocha nigdy, uczynił kobietę, która wiedziała, że pokochała na zawsze. Rzeczywistość to Fauve, córeczka, z którą wiązało ją uczucie o tkance i mocy tak odmiennej od tego, co dotąd uważała za miłość. Kiedy Teddy wzięła w ramiona dziecko, otulone tylko pieluszką, i przytuliła Fauve, czując jak jedwabiste, pulchne, delikatne i niezwykle silne ciało odpręży się przy niej z ufnością, doznała uczucia, którego nie potrafiłaby wyrazić słowami.

Rzeczywistość to Julien i Fauve. Rzeczywistość to koniec wakacji i powrót do Awinionu. Rzeczywistość to osiedlenie się na jesień i zimę w mieście koloru szampana, to przeczesywanie sklepów z antykami w

poszukiwaniu mebli do wielkiego mieszkania, to spacerzy z Fauve po parkowych alejach, kupowanie wielkich zapasów drewna do kominków, wyprawy na targ - och, rzeczywistość była pełna cudownych rzeczy, które można było robić, jeść, pić, wachać i dotykać. A jeśli w tej rzeczywistości znajdzie się jeszcze jedno dziecko, Kate będzie musiała uznać swoją porażkę. Teddy uśmiechnęła się do siebie. Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? To był wspaniały pomysł.

- Zarzućmy hak na lunch - zaproponował Bill.

- Jaki hak? - zapytała Teddy, wyrwana z marzeń.

- To mała kotwica, Danforth. Korzystamy z niej, kiedy chcemy zatrzymać się na godzinę, popływać i coś przekąsić. Z drugą kotwicą, Pługiem, jest za dużo roboty, chyba że trzeba zatrzymać się na noc. Jest wielka i ciężka jak cholera. Nie wyciągam jej spod dziobu, dopóki naprawdę nie muszę. Jestem zwyczajnym leniwym marynarzem.

- Och. Z letnich wakacji w Hamptons Teddy zapamiętała, że żeglarze zawsze mówią więcej niż trzeba.

- Chcemy pływać, pić, czy jedno i drugie? - Chase Talbot zwrócił się z pytaniem do wszystkich.

- Jaka woda? - zapytała Ginny.

- Wspaniała. To najlepsza pora, żeby popływać.

Jacht zatrzymał się na spokojnych wodach kilka mil od brzegu. Na pokładzie prażyło słońce i wszyscy postanowili popływać, zanim się napiją. Przez pół godziny nurkowali skacząc z umieszczonej nad dziobem chromowanej platformy w kształcie litery U, z której zwisały dwie liny ratunkowe. Pokład „Barona” był na tyle wysoko nad poziomem morza, że platforma, która wznosiła się o dodatkowe trzy i pół stopy nad dziobem,

stanowiła wspaniałą trampolinę.

Teddy od dwóch lat nie miała okazji nurkować w głębokiej wodzie, ale po kilku próbach jej mięśnie wróciły do formy, kiedy wspinała się przy pomocy lin i fachowo stawiała stopy na krawędzi platformy, by wreszcie odbić się i zanurzyć w falach.

- Dżin z tonikiem dla wszystkich - Peggy zawołała Teddy, która zajęła miejsce na dziobie. Teddy obejrzała się. Cała czwórka jej amerykańskich przyjaciół opadła na poduszki na pokładzie, gromadząc się wokół zastawionej szklankami tacy, którą przyniósł ktoś z załogi. Spojrzała na morze. W odległości mniej więcej dwudziestu pięciu stóp Julien machał do niej ręką z wody.

- Jeszcze tylko raz, szybko - odkrzyknęła im. Popłynie do Juliana, obejmie ramionami jego barki, uniesie ich woda, a ona będzie go całować i wyszeptać mu do ucha swój nowy cudowny pomysł.

Wielka łódź rybacka, której nie zauważyli w hałaśliwym rozbawieniu, przemknęła przed chwilą za rufą „Barona”. Właśnie wtedy, gdy Teddy stanęła na krawędzi, z gracją szykując się do skoku, potężny kilwater łodzi zakołysał jachtem. Teddy straciła równowagę, przez ułamek sekundy zahaściła się w powietrzu i wykonała dziwaczne salto. Z wielkiej kotwicy Pługa, zamocowanej tuż pod dziobem, sterczały dwie ostre stalowe łapy, długie na dziewięć cali. Upadając Teddy uderzyła głową o jedną z okrutnie zaostzonych łap. Kiedy Mistral spostrzegł uderzenie, zanurkował natychmiast. Znalazł ją od razu, bez trudu ujął pod ramię i wyniósł na powierzchnię wody potężnym ruchem wolnej ręki. Chase i Bill pomogli mu wyciągnąć Teddy na pokład. Nie utonęła. Nie było na to czasu. Teddy była martwa, zanim wpadła do wody.

* * *

Trzy dni później pochowano Teddy na amerykańskim cmentarzu w Nicei. Na pogrzebie byli tylko Maggy i Julien Mistral. Mistral nie pozwolił czwórce Amerykanów z jachtu, by przyszli, a jego rozpacz przerażała ich tak bardzo, że bali się sprzeciwić zakazowi.

Maggy nie mogła się zmusić do tego, by spojrzeć na Mistrala. Czuła do niego tak bezgraniczną nienawiść, że nie była w stanie wypowiedzieć nawet kilku niezbędnych słów. Wiedziała, że musi zachować spokój i przekonać go, że powinien oddać jej wnuczkę. Przecież zabił jej córkę.

- Chcę wziąć ze sobą Fauve - powiedziała wreszcie.

- Oczywiście - wymamrotał.

- Czy rozumiałeś, co do ciebie mówię? - Na pewno nie rozumiał.

Na pewno nie słuchał.

- Naturalnie. Musisz ją zabrać. Nie mam nikogo. Nie mogę stworzyć jej domu. Nigdy nie wrócę do Awinionu. Nie chcę już nigdy oglądać La Tourello - wyjeżdżam, nie wiem, dokąd, nie wiem, na jak długo...

- Jeżeli wezmę ją ze sobą, jeśli pozwolisz, nie będziesz mógł zmienić decyzji - powiedziała gniewnie.

Mistral uniósł się ruchem ślepcy, z wahaniem, po omacku. Jego potężne ciało było bezwładne, ręce trzęsły się niezdarnie. Jego policzki pokrywał siwy zarost - przez trzy dni, które minęły od wypadku nie golił się, nie spał i nie jadł. Nie miał zaczerwienionych oczu, bo nie potrafił płakać, ale błękitny ognik, który zawsze ożywiał jego spojrzenie zniknął na zawsze. Był starym człowiekiem o martwym spojrzeniu.

- Wracaj do domu, Maggy. Nie mogę powiedzieć nic więcej. Wyjeżdż. - Niepewnym krokiem opuścił hotelowy hall i chwilę później

Maggy usłyszała, jak odjeżdża samochodem.

Przez moment siedziała bez ruchu, bojąc się, że usłyszy jak samochód zawraca. Potem z ożywieniem podeszła do lady recepcji, zarezerwowała lot do Paryża najbliższym samolotem, zamówiła taksówkę i wróciła do pokoju, żeby spakować rzeczy.

- Madame? - Niańka weszła do pokoju na palcach.

- Zapakuj walizkę z rzeczami dziecka. Czym ją karmicie?

- Pije zwyczajne mleko, Madame, od dwóch tygodni. Ale proszę pamiętać o podgrzaniu butelki.

- Dziękuję, Mademoiselle, tyle jeszcze pamiętam.

* * *

Następnego dnia, w towarzystwie młodszego recepcjonisty wysłanego przez Ritza, żeby towarzyszył jej do chwili odlotu, Maggy czekała na lotnisku Orły w Paryżu na samolot do Nowego Jorku. W ramionach trzymała Fauve. Kiedy mijała kiosk z gazetami, zatrzymała się nagle, przyciskając dziecko tak mocno, że zaczęło płakać. Na ladzie wyłożono stertę najświeższego wydania „Paris Matcha”. Na okładce widniała fotografia zrobiona na pokładzie „Barona”. Na zdjęciu Teddy i Mistral stali patrząc sobie w oczy. Śmiali się beztrosko w poczuciu szczęścia, całkowicie sobie oddani. Pukiel mokrych włosów Teddy kładł się na muskularnym ramieniu Mistrala, który zaborczym gestem przytulał dziewczynę - ramionami do swojej nagiej piersi.

Maggy zadawała sobie pytanie, ile minut życia miała wtedy przed sobą Teddy. Czowała się tak, jakby ktoś wyrwał jej serce z piersi.

- Co się stało, Madame? - zapytał z niepokojem młodszy recepcjonista, kiedy spojrzał jej w twarz.

- Proszę kupić mi Matcha - powiedziała zwięźle Maggy. Musi przeczytać ten artykuł. Nie może udawać, że go nie ma, podczas gdy cały świat dowie się o wszystkim w tej, czy innej wersji.

Maggy siedziała w poczekalni pierwszej klasy, kołysząc Fauve na jednym ramieniu i przeglądając gazetę. Ręce trzęsły się jej tak, że z trudem przewracała śliskie kartki. Na pierwszej stronie tytuł obwieszczał „La Mort de la Compagne de Mistral” - przynajmniej nazwali Teddy jego towarzyszką życia, a nie kochanką - pomyślała w odrętwieniu Maggy.

Było to najwyraźniej wydarzenie tygodnia, przynajmniej dla bystrych wydawców francuskiej gazety, którzy poświęcili mu dwanaście stron zdjęć opatrzonych tekstem.

Bez zaskoczenia, jak jej się wydawało, ale nie bez rozpacz, Maggy przewracała kartki. Znalazły się na nich trzy zdumiewające zdjęcia Teddy i Mistrala, które Bill Hatfield zrobił w pracowni. Nie te, opublikowane w „Mode”, ale te, na których rozmawiali, nie zwracając uwagi na fotografa, już pogrążeni w zachwycie, już zauroczeni. Były tam także strony z fotografiami z La Tourello, zaledwie sprzed dwóch lat, z Mistralem, Kate i Nadine. Artysta i jego kochająca rodzina. Wśród wspaniałych zdjęć Teddy z okresu, kiedy była modelką, był także pełen dostojeństwa portret Maggy w otoczeniu jej najślynniejszych modelek, sporządzony dla Life'a trzy lata temu i, tak, tego mogła się spodziewać, reprodukcje najślynniejszego obrazu z serii Rouquinne, Maggy we własnej osobie, na tych cholernych poduszkach rozrzuconych w pełnej gamie kolorów na dwóch sąsiednich stronach. Nie musiała czytać podpisu pod zdjęciem, żeby wiedzieć, jaki był komentarz. Match prawie zawsze trafiał w sedno.

Przeglądała tekst artykułu, wstrzymując oddech, pełna niepokoju i

strachu. W prasie nie było dotąd przecieków o istnieniu Fauve. Sama Maggy dowiedziała się o narodzinach Fauve w trzy tygodnie po fakcie. Teddy zwlekała z listem do niej do czasu, kiedy wszyscy znaleźli się w St. Tropez. Jej zdumienie i gniew były wówczas zbyt wielkie, by mogła zdobyć się na odpowiedź. Teraz to już niepotrzebne. Zdała sobie z tego sprawę w rozpaczy tak głębokiej, że dała jej ona desperacką siłę, która pozwoliła jej powrócić do artykułu w Matchu.

Tam, w drugim akapicie, przedstawiono wyniki poszukiwań w rejestrze urodzin znajdującym się w awiniońskim ratuszu. Oficjalny status jej wnuczki Fauve Lunel określono jako *enfant adulterine*. Niemowlę było dzieckiem z nieprawego łoża, którego, według francuskiego prawa, nie można było uznać. Status całkowicie odmienny od *enfant naturelle*, po prostu nieślubnego dziecka, którego rodzice mogli się pobrać, jeśli tylko chcieli, którego ojciec mógł dać mu swoje nazwisko, nawet jeśli nie ożenił się z jego matką.

Teddy otrzymała obywatelstwo amerykańskie już dawno temu, wtedy kiedy otrzymała je sama Maggy, ale Maggy wiedziała, że jeśli reporterom uda się odnaleźć właściwy rejestr w Paryżu, natrafią na inny jeszcze fakt: metrykę urodzenia Teodory Lunel - *enfant adulterine*.. Ale osławiona dokładność Matcha nie była tym razem dość skuteczna. Tego przynajmniej nie udało im się wykryć.

Maggy złożyła gazetę, nie kończąc artykułu. Poza tym, jaka to różnica? Jakie znaczenie może mieć taki drobiazg teraz, kiedy nie ma już Teddy? Teddy odeszła, jej cudowna, rozmarzona, nieostrożna, słodka córeczka i wszystkie obawy z nią związane były tylko cieniem rzeczywistości.

Dziecko w ramionach Maggy obudziło się. Jego wzrok, delikatna przejrzysta szarość dymu, był nieskończenie głęboki. Spojrzało prosto w oczy Maggy, z bystrością zdumiewającą u tak maleńkiej istotki. Zamrugało dwa razy pod marchewkową czupryną i nie doczekawszy się odpowiedzi, cicho, ale wyraźnie dało znać, że jest głodne. Kiedy grzebała w torbie, szukając butelki, przypomniała sobie powiedzonko, które każde francuskie dziecko powtarza, kiedy dwa razy zdarzy się przypadkiem coś niespodziewanego: kiedy z dwóch butelek wyleje się atrament, kiedy ktoś potknie się dwa razy na szkolnym dziedzińcu, kiedy w palec wejdą dwie drzazgi. „*Jamais deux sans trois*”. Jeśli dwa, to i trzy. Magali Lunel. Teodora Lunel. A teraz - Fauve Lunel.

Dziecko wrzeszczało tak głośno, że wszyscy pasażerowie w poczekalni zwrócili spojrzenia na Maggy. Odpowiedziała im wzrokiem. Czy nie mają nic lepszego do roboty? Czy spodziewają się, że poda swojej wnuczce zimne mleko? - Posłuchaj, mały wstręciuchu - wyszeptała do Fauve - siedź cicho, zaraz dostaniesz jeść. - Dziecko natychmiast przestało wrzeszczeć. - Wolisz słuchać, niż jeść? To przynajmniej oznaka inteligencji. Może ta trzecia będzie szczęśliwa. - Kiedy skinęła na obsługę poczekalni, chcąc zlecić podgrzanie butelki, przytuliła dziecko i, tak łagodnie jak umiała, śpiewała mu kołysankę, w której brakowało połowy słów. Skąd wzięła się ta piosenka? Miała francuskie słowa i Maggy nie wiedziała, skąd ją zna. Nie pamięta, żeby kiedykolwiek śpiewała ją Teddy. - To kołysanka mojej własnej babki - pomyślała Maggy. Jej dobrej babki, Cecile Lunel.

- Czy uważasz - zapytała Maggy Darcy'ego - że dziecko, które nie umie jeszcze chodzić, będzie bawiło się pandą dwa razy większą niż ono?

- Nie mogłem się oprzeć. Przechodziłem koło sklepu Schwartza i zobaczyłem ją na wystawie...

- Spryciarze. Na pewno sprzedają co najmniej pół tuzina takich zabawek co sobotę.

- Nie, to jedyny egzemplarz. W całym sklepie nie było większej - powiedział z dumą. – Sprawdziłem.

- Tak, włożyłam pandę do kojca małej i od tego czasu w jej pokoju panuje cisza, więc na pewno jej się spodobała. Mamy przynajmniej pół godziny spokoju na cały dzień. Cieszymy się nim, póki czas.

Minął rok odkąd Maggy powróciła z Francji razem z Fauve. Siedziała teraz z Darcym w obszernym salonie nowego wspaniałego mieszkania przy Piątej Alei, celowo urządzonego tak, by wydawało się, że roztacza się z niego widok na rozległy prywatny park należący do szlacheckiej rezydencji w samym sercu hrabstwa Devon. Zajmowało ono wszakże powierzchnię większą niż pagórkowate przestrzenie Anglii - całe półpiętro niewątpliwie najbardziej eleganckiego domu na Manhattanie, domu na East Side, którego najwyższy standard w sposób oczywisty świadczył o klasie jego mieszkańców.

Maggy chcąc właściwie wychować dziecko, którego nieprawe i nieślubne pochodzenie udokumentowała tak starannie światowa prasa, postanowiła, że musi tego dokonać w najlepszym stylu, w sposób najbardziej okazały i ostentacyjny. Wszystkie odruchy, które sprawiły, że chowała Teddy w niezbyt modnym rejonie West Side i posyłała ją do mało

znanej Elm School uległy skrajnej przemianie w przypadku Fauve. Zadbała o jej los od samego początku. Wszyscy wiedzą o niej wszystko. I dobrze! Niech to, że jest córką Mistrala stanie się jej atutem. Córka jednego z największych artystów świata, wnuczka i jedyna spadkobierczyni Maggy Lunel, właścicielki Agencji Lunel. Fauve będzie kimś, nawet w kołysce.

Często przychodziło jej na myśl, że mogłaby darować sobie te wysiłki. Może i była zwariowana na punkcie wnuczki bardziej, niż była skłonna przyznać, ale wydawało się, że Fauve to dziecko, które mogłoby wychować się samo. Kiedy wymachiwała rączkami i śmiała się swoim zaskakująco niskim głosem, działy się przedziwne rzeczy - wszyscy biegli do niej i nawet obcy słuchali jej rozkazów. Nie lubiła, by tulić ją zbyt długo, jej mocne ciało wyrywało się z objęć Maggy, by poznawać bez końca otaczający świat. Największą radość sprawiała jej pochylona nad nią obca twarz albo nieznany przedmiot, każdy nieznany przedmiot. Gdyby stanęła oko w oko w potężnym wężem albo wielkim groźnym psem, rzuciłaby się prosto na niego z okrzykiem radości.

Była całkowicie pozbawiona uczucia strachu i nie znosiła ograniczeń. Kiedy miała czternaście miesięcy, często wpadała we wściekłość, ponieważ upadała, kiedy próbowała chodzić, a utrudnione poruszanie się stanowiło najcięższą przeszkodę. Potrząsała szczebelkami kojca jak mały rozjuszony goryl, wykrzykując wszystkie znane sobie słowa ze swojego bogatego słownika. Kiedy znalazła się na podłodze, raczkowała z zadziwiającą szybkością i całkowitym brakiem rozeznania, przewracając stoły, lampy, wazony i popielniczki, a powstały w ten sposób hałas kwitowała serdecznym śmiechem. Nawet wtedy, kiedy uderzył ją

spadający przedmiot, płakała tylko przez chwilę. Życie było zbyt zajmujące, by płakać, chyba że płakała ze złości, ale i wówczas tylko dopóty, dopóki nie natrafiła na nowy, fascynujący przedmiot.

Fauve miała niańkę. Fauve miała wiele nianiek, które odchodziły, jedna po drugiej, nie mogąc sprostać jej energii. Kochały dziecko, jak tłumaczyły Maggy, naprawdę je uwielbiały, ale były po prostu niesamowicie zmęczone. Maggy współczuła im i zatrudniała kolejną niańkę.

Starła się nie popełnić tym razem błędu, który jak sądziła, popełniła w stosunku do Teddy. By spędzać z Fauve wiele czasu, zreorganizowała Agencję Lunel. Wynajęła trzy wysoko wykwalifikowane osoby i powierzyła im pieczę nad sprawami, których zgodnie ze swoimi zasadami doglądała niegdyś osobiście. Agencja prosperowała i rozkwitała jak nigdy dotąd.

Co sobotę, tak jak dziś, niańka miała wychodne. Maggy i Darcy zwykle zabierali wtedy Fauve w wózek na spacer po parku. W „21” niechętnie widziano dzieci, nawet te, które miały coś wspólnego z Darcym, szanowanym klientem jeszcze z czasów prohibicji, więc wybrali się do rosyjskiej herbaciarni na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Tam mogli zasiąść na drinka w jednym z przytulnych, wyłożonych czerwoną skórą, kącików naprzeciwko baru, podczas gdy Fauve łykała łąpczywie świeży pomarańczowy sok. Wszyscy kelnerzy w czerwonych rubaszkach, wszystkie troskliwe wiekowe rosyjskie kelnerki prześcigały się, by podać szklankę soku temu zachwycającemu dziecku, które potrafiło nazwać pół tuzina z nich po imieniu. - Katia! Rosa! Gregor! - wołało rozkazującym tonem. Najczęściej domagało się, by przyszedł do niej Sidney Kaye,

właściciel herbaciarni, który opowiadał jej historyjki pełne żydowskiego humoru. Fauve słuchała ich z uwagą, patrząc na niego ze swego wózeczka szarymi, szeroko otwartymi z zachwytu oczami, unosiła rude brwi i zaśmiewała się, kiedy opowiadka dobiegała końca, tak jakby w tajemniczy sposób rozumiała wszystko.

* * *

- Czy wyglądam na babkę? - Maggy zapytała nagle Darcy'ego, kiedy siedzieli, delektując się rzadką chwilą ciszy.

Maggy miała czterdzieści sześć lat. Między czterdziestym i czterdziestym pierwszym rokiem życia, w ciągu tego pamiętnego tygodnia czy miesiąca, straciła swój młodzińczy wygląd, który udawało jej się zachować po trzydziestce. Pewnego dnia obudziła się i odkryła w lustrze kobietę w wieku, od którego nie ma już odwrotu. *Certain age*, jak elegancko lecz przygnębiająco określają to Francuzki.

- Trzymam się nad wyraz dobrze - mówiła sobie Maggy. Wyrażenie „dobrze się trzymać” oznacza jednak, że coś nie jest pierwszej świeżości. To różnica, myślała Maggy, między suknią balową, którą włożyła wieczorem na swój pierwszy bal rozpromieniona wiktoriańska dziewczica i tą samą suknią, doskonale zachowaną, wystawioną w gablocie muzeum ubioru.

Dla kogoś, kto jak Maggy obdarzony był krytycznym, bezlitosnym spojrzeniem, zmiany, które zaszły w ciągu ostatnich sześciu lat były stopniowe, ale wyraźne. Nie była nigdy jedną z tych kobiet, które patrząc w lustro, widzą tylko swoje zalety, nieświadomie i bardzo roztropnie unikając tego, co świadczy o ich wieku. Maggy dokładnie wiedziała, jak często musi farbować swoje rude włosy, by ukryć siwiznę na skroniach.

Patrzyła na swoje usta, ów jeszcze pełny i wydatny kwiat, i widziała wyraźnie kilka delikatnych pionowych zmarszczek nad górną wargą. Linia podbródka opadła i nie była już taka wyrazista. Och, była kobietą w średnim wieku i ani dobry nocny sen, ani wakacje, ani operacja kosmetyczna nie mogły już przywrócić jej tej naturalnej świeżości, tej otoczki nowości, która znamionuje młodość. To było nieuniknione i narzekanie było w tym wypadku równie nieskuteczne, jak uskarżanie się na wschód słońca lub na to, że nie zjedzona morela traci po pewnym czasie apetyczny wygląd.

Nie zauważyła jednak innych zmian, które dokonały się w niej po śmierci Teddy. Maggy była ciągle jeszcze niezwykle piękna i doskonale zadbana, ale zaczęła niekiedy sprawiać wrażenie istoty kruchej i słabej. Nie wiedziała, że rozpacz, którą odczuwa daje o sobie znać w wyrazie gorzkiego żalu, który przyćmiewa jej wzrok, kiedy, nieobecna duchem, zdaje się wpatrywać w odległą i przerażającą przestrzeń.

W interesach zawsze była wymagająca, ale teraz stała się bardziej zasadnicza i niecierpliwa niż kiedykolwiek. Jej nowi asystenci wiedzieli, że szefowa nie bywa nigdy niesprawiedliwa ani nierozsądna, ale na poparcie każdej decyzji lepiej było mieć zawsze mocny i niezbity argument. Jej obecność po prostu paraliżowała modelki z agencji. Maggy zdawała sobie z tego sprawę. Gniewało ją to czasem, czasem bawiło, ale najczęściej dochodziła do wniosku, że to im dobrze zrobi. Lepiej niż nadmierna pobłażliwość.

- Czy wyglądam na babkę? - powtórzyła.

- Nigdy nie będziesz wyglądać jak babcia - odpowiedział Darcy. Nie obchodziło go to, że się zmienia - nie dostrzegał tych zmian. Zawsze

pozostanie pod wrażeniem złotozielonych oczu Maggy, które tak go kiedyś zachwyciły. Była nadal wspaniałą kobietą, której nigdy nie udało mu się całkowicie osiąść, od chwili kiedy zobaczył ją po raz pierwszy na przyjęciu u Lally Longbridge. W sposób, który stopniowo zaczął doceniać, zamiast z nim walczyć, udawało jej się zachować swoją wewnętrzną tajemnicę: zagadki, łamigłówki, sprawy jej życia, z których nigdy mu się nie zwierzała, niezależnie od tego, jak byli sobie bliscy, bliżsi z każdym rokiem. W końcu Darcy był nawet zadowolony, że zaprzestał wszelkich domysłów. Chociaż Maggy nigdy nie będzie jego żoną, jest jego kochanką i najlepszym przyjacielem, a to powinno wystarczyć.

Wiedział, że ich długi romans drażni wielu ludzi. Jeżeli Maggy i Darcy chcą być razem i są tak cholernie wierni, tak sobie oddani, powiadali, dlaczego po prostu nie wezmą ślubu tak jak wszyscy? Ponieważ nie jesteśmy tacy jak wszyscy, odpowiadał im Darcy, kiedy ośmielali się zwrócić z tym pytaniem wprost do niego. Nie był właściwie pewny, co chce przez to powiedzieć, ale wiedział, że nie posiadał Maggy bardziej niż jakikolwiek inny mężczyzna. Chyba że poznałby ją zanim spotkała Julię Mistrala. Pozostawiła w tamtym związku coś ważnego, coś, co pozostało tylko na płótnie, a może w jej pamięci, ale Darcy starał się nie myśleć o takiej możliwości i prawie mu się to udało.

Maggy obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Tak, mówił to, co naprawdę myślał. Odpowiedział na jej pytanie ostrym błyskiem szarych oczu, zdecydowanym wyrazem twarzy, który niegdyś tak jej się spodobał. Z wiekiem jego pociągła twarz nabrała wyrazu, włosy mocno mu posiwiały, ale badawcze spojrzenie filozofa, zamiast z czasem złagodnieć, nabrało jeszcze większej przenikliwości, zaś wyraz bezwzględności

zdecydowania przylgnął jeszcze bardziej do jego warg. Z czułością wyciągnęła do niego rękę. Jakże słuszna była decyzja, by nie wychodzić za niego za mąż.

Za ich plecami rozległa się długa seria głośnych uderzeń. Kaskada książek spadła na podłogę. Poderwali się z miejsc i spojrzeli dokoła. Fauve dreptała ku nim na swoich małych pulchnych nóżkach, tak niepewnie, jakby tańczyła na bańkach mydlanych, z ramionami szeroko otwartymi, by utrzymać równowagę i uśmiechem niebywałego tryumfu na twarzy. - Panda - wrzeszczał zadowolony z siebie mały piechur, kierując się ku Darcy'emu, który podsunął mu pomysł ucieczki z więzienia. - Wdrapałam się na pandę!

* * *

Wenecja, Londyn, Aleksandria, Oslo, Budapeszt - miasta były do niczego. Poza miastami też nie było dobrze: Alpy Szwajcarskie, Toskania, Gwatemala. I wyspy były nie do wytrzymania: Ischia, greckie Cyklady, Fidzi - na żadnej z nich nie było tego, czego Mistral szukał. Zrozumiał wreszcie, że równie dobrze może wrócić do domu.

Przez ostatnie trzy lata niczego nie namalował. Wypijał natomiast ogromne ilości najmocniejszego alkoholu, jaki udało mu się znaleźć w każdym miejscu, w którym zatrzymywał się na tydzień, na miesiąc albo na jeden dzień. Czasami wprowadzał się do hotelu i wyprowadzał po godzinie, bez żadnego powodu. Czasami zostawał znacznie dłużej niż by należało w mieście, które straciło już dla niego wszelki urok nowości, tkwiąc w apatii równie głębokiej jak jego niepokój. Teraz był tak zmęczony, że mógł tylko wrócić. Félice było miejscem lepszym niż wszystkie inne, w których się znalazł.

Kiedy Mistral zajechał pod La Tourello, bramy były zamknięte. Wjechał od strony łąki i zaparkował, nie dając sygnału klaksonem, ani nie korzystając z dzwonka, który słychać było w kuchni. Była pora lunchu i wszyscy zgromadzili się w domu, a chciał uniknąć nieuchronnej chwili powitania. Poszedł ścieżką, teraz niemal zarośniętą, która wiodła wzdłuż wysokich murów broniących dostępu do domostwa i skręcając prowadziła aż do niewielkich tylnych drzwi jego pracowni. Do tych drzwi pasował tylko jeden klucz, który nadal spoczywał w jego kieszeni. Oprócz ubrania na grzbiecie i samochodu, była to jedyna rzecz, którą wziął ze sobą we wrześniowy wieczór cztery lata temu, kiedy udał się na spotkanie z Teddy Lunel w restauracji Hiely w Awinionie.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. W pracowni było ciemno. Tylko parę zabłąkanych promieni słońca przeświecało przez szczeliny rolet. Mistral pociągnął za sznury, odsuwając ciężkie płótno, które zakrywało szyby i w jednej chwili pracownię wypełnił blask południowego słońca. Odkąd odszedł, wszystko tkwiło na swoim miejscu. Puste płótno, przy którym pozował do zdjęć razem z Teddy, stało nadal na sztaludze. Na stole, zastawionym różnymi przedmiotami, leżała paleta, którą wtedy trzymał, pokryta zaschniętą farbą.

Powoli Mistral powiódł wzrokiem po ścianach. Tak gęsto, że ich rogi niemal zachodziły na siebie, wisały na nich te obrazy, których widok nakazał milczenie gościom z „Mode”. Długo wpatrywał się w jeden obraz po drugim, nie zbliżając się do żadnego z nich ani o krok. Jak daleko sięgał pamięcią, odkąd zaczął świadomie myśleć o akcie malowania, uważał, że stara się przelać na płótno to, co widzi, w sposób najbardziej bezpośredni, nie dopuszczając do tego, by między oko i płótno wkroczył

proces myślowy. Teraz, we wzbierającym przypiływie świadomości, zrozumiał, że malował to, co czuł w czasie, kiedy patrzył. Obrazy były wzrokowym odpowiednikiem jego emocji. Zapisał na nich nie działania umysłu, lecz porywy serca.

Ta świadomość dostarczyła mu pierwszej pociechy, na którą sobie pozwolił od czasu, kiedy klęcząc na pokładzie „Barona” zrozumiał, że ciało, które trzyma tak mocno w ramionach jest martwe, że Teddy go opuściła. Obrazy były dowodem, że Julien Mistral żył niegdyś, niegdyś doznawał wzruszeń, niegdyś czuł. Zachwiał się, ogarnięty zmęczeniem, pod wpływem szoku wywołanego uczuciem, na które sobie pozwolił. Przez ostatnie trzy lata Mistral w sposób tak absolutny koncentrował się, by unikać uczuć, że każda emocja, nawet dobra, budziła w nim nieprzytomny strach. Bał się, że nastąpi po niej ból tak straszliwy, że będzie chciał się zabić, by przed nim uciec.

W rogu pracowni stał stary mahoniowy fotel wyściełany skórą. Dawno temu wykonano go dla plantatora tytoniu z Martyniki. Fotel rozkładał się w sposób tak pomysłowy, że można było się na nim wyciągnąć. Mistral usiadł i wydał głośne westchnienie ulgi. Po kilku minutach zapadł w sen.

Parę godzin później Kate poszła na basen, by jak zwykle popływać po południu i dostrzegła słońce przeświecające prosto przez szklany dach pracowni. Przez cztery lata pracownia była zamknięta, a wszystkie szyby szczelnie zasłonięte. Może spadły rolety, a może wandal lub złodziej włamał się przez drzwi z tyłu domu. Poruszając się bezszelestnie przeszła wzdłuż basenu i zbliżyła się do pracowni. Jedna z ciężkich drewnianych okiennic wygięła się nieco przy zawiasach i przez maleńki otwór można

było zajrzeć do środka. Kate dostrzegła fragment zwisającej bez ruchu męskiej dłoni. Natychmiast odwróciła się, cicho weszła do domu i wkroczyła do kuchni.

- Marte, powiedz kucharce, żeby poszła i zabiła jeszcze jednego kurczaka na obiad - rozkazała. - Wyślij ogrodnika po więcej sałaty, pomidorów i winogron. Sama zaś otwórz pokój pana i połóż na łóżku czystą pościel. Dopilnuj, żeby nie było kurzu. W łazience mają być czyste ręczniki, przy umywalce i prysznicu świeża kostka mydła. Dlaczego tak stoisz?

- Nie mówiła mi pani, że spodziewa się gości - odparła z godnością Marte Pollison. Nie znosiła pospiesznych przygotowań w ostatniej chwili.

- Pan wrócił.

- Och, Madame!

- Nie ma się czemu dziwić - powiedziała Kate. Odwróciła się szybko, żeby Marta nie dostrzegła jej cichego tryumfującego uśmiešku. - Spodziewałam się tego.

* * *

Cztery lata później, w 1961, późnym letnim popołudniem Maggy przebierała się do kolacji, kiedy Fauve wpadła do jej pokoju bez pukania. Maggy odwróciła wzrok od lustra, ale zamierzone wymówki zamarły jej na wargach, kiedy zobaczyła, jak jej wspaniała wnuczka przeskakuje jasny dywan.

Fauve miała prawie osiem lat. Jak zwykle po wyprawie do parku miała ubranie w strzępach, obtarte kolana i zakurzone buty. Z bawełnianej spódnicy z kieszenią zwisającą na jednej nitce wyłaziła jej rozdarta koszula. Dziś przynajmniej nie ma podbitego oka, pomyślała Maggy, ani

nie leci jej krew z nosa. Fauve, jak narzekali wszyscy chłopcy z jej klasy, „nie biła się jak dziewczyna”. Nie było wśród nich ani jednego, któremu nie przyłożyłaby pięścią od czasu do czasu, a jednak nie dawali jej spokoju. Nieodparcie nią zafascynowani, wyrażali swój zachwyt na sposób ośmiolatków - naprzykrzaniem się i ukradkowymi psikusami. Gdyby nosiła warkoczyki, zanurzaliby je w kałamarzu.

Miała niepokojący zuchwały urok, wynikający po części ze skłonności do uniesień tak wielkich, że dorośli bali się łez, które taki nastrój mogłoby wywołać u zwyczajnego dziecka. Ale Fauve płakała tylko wtedy, kiedy - jak wyjaśniła to Maggy pewnego dnia - przeczytana książka lub obejrzany film miały szczęśliwe zakończenie. Nie wiedziała jednak, dlaczego płacze, więc starała się ukryć te łzy.

Wyglądała olśniewająco. Czupryna barwy marchewki, z którą przyszła na świat, pociemniała i nabrała rudego koloru, który nie miał właściwej nazwy, ponieważ składały się nań wszystkie odcienie rudości. Rozczochrana gęstwina włosów przykuwała wzrok elektryzującą energią i mieniącymi się barwami, które przy pewnym oświetleniu zdawały się układać we wzór w odcieniu bliższym różu niż brązu, w innym zaś świetle były bardziej miedziane niż złote. Jasnoszare tęczęwki oczu obrysowane były najciemniejszą szarością. Kiedy Fauve była poważna, poważne i spokojne było także jej spojrzenie i Maggy wydawało się, że patrzy na gęstą mgłę, która rozwiewa się tylko po to, by ukazać kolejny woal mgły, za którym jest jeszcze następny. Ale dziś oczy Fauve błyszczały tak jasno, że Maggy pomyślała, iż dziecko jest niemal bliskie hysterii.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała z niepokojem. Niesforna, żywsza niż inne dzieci, dociekliwa, niepokorna i obdarzona silną wolą Fauve.

Maggy często tłumaczyła sobie, że takie właśnie cechy mają dzieci wyjątkowe. Nie było jednak żadnego sposobu, żeby przewidzieć, co za chwilę zrobi.

Fauve psotnie schowała jedną rękę za siebie.

- Mam niespodziankę, najcudowniejszą niespodziankę, najwspanialszą niespodziankę na świecie, Magali, Magali! - głos Fauve załamywał się z wysiłku, by nie powiedzieć wszystkiego od razu. Maggy nie godziła się na to, by nazywano ją babką lub którymś z wariantów tej nazwy. Ponieważ jednak „Maggy” wydawało się zbyt poufale, Fauve zwracała się do niej jej pierwszym prawdziwym imieniem, którym nie posługiwał się nikt od czasu, gdy umarła jej babka. Maggy chciała złapać za ukrytą rękę, ale Fauve cofnęła się.

- To nie zwierzak? - zapytała Maggy. Zawsze toczyły o to wojnę.

- Przecież obiecałam.

- Warzywa czy kamienie?

- Też nie - wykrzyknęła śpiewnym głosem, pragnąc podzielić się wiadomością.

- Poddaję się.

- Mój ojciec! - wybuchnęła Fauve, wyciągając zamaszystym ruchem kawałek rysunkowego papieru i wciskając go Maggy w rękę. Widniał na nim bezbłędny szkic Fauve, siedzącej na ławce w parku z podbródkiem wspartym na ręku.

Kiedy Maggy patrzyła na szkic w niemym osłupieniu, Fauve wyrzucała z siebie słowa tak szybko, że z trudem można było za nimi nadążyć. - Bawiliśmy się wszyscy w parku i podszedł do nas starszy pan z brodą. Przedstawił się pani Bailey i pani Summer - bardzo się zdziwiły i

ożywiły - a potem podszedł do mnie i powiedział, że Fauve Lunel to na pewno ja, powiedziałam, że tak, a wtedy zapytał... zapytał, czy wiem, kto jest moim ojcem. Powiedziałam, że jestem córką Mistrala, rzecz jasna, że wszyscy o tym wiedzą, a wtedy, Magali, on powiedział, że jest moim ojcem, że Julien Mistral to on! Przez chwilę nie chciałam mu wierzyć, bo na zdjęciu, które mam jest dużo młodszy i nie ma brody, ale potem już wiedziałam, czułam to i uściskałam go mocno, Magali, najmocniej, tak mocno jak tylko potrafię. A on powiedział, że wyglądam właśnie tak, jak to sobie wyobrażał i wziął mnie za ręce i ucałował je i wydawało się, że nie wie, co jeszcze chce powiedzieć... Wtedy właśnie pani Bailey i pani Summers podeszły, żeby z nim porozmawiać, ale on nie chciał z nimi rozmawiać. Poprosił mnie, żebym posiedziała spokojnie przez chwilę, by mógł mnie narysować. Zrobił to tak szybko, nawet szybciej niż ja, a potem napisał do ciebie list i kazał mi obiecać, że go tobie dam. Mój ojciec! Och, Magali, jestem taka szczęśliwa! Chciałam, żeby przyszedł ze mną do domu, ale powiedział, że nie może... och, tu jest list. - Wyjęła z jedynej ocalałej kieszeni koszuli złożoną kartkę papieru rysunkowego.

- Fauve, idź teraz do swojego pokoju, umyj ręce i twarz, i włóż na siebie coś czystego - powiedziała łagodnie Maggy.

- Ale chcę zobaczyć, jak czytasz list.

- Idź, kochanie i wróć za dziesięć minut. Pamiętaj, dzisiaj jest Szabas i wkrótce zapalę świece. Nie możesz wyglądać nieporządnie w takiej chwili.

Stało się, pomyślała Maggy, nie rozwijając kartki papieru. Czy w ciągu ostatnich ośmiu lat był choć jeden dzień, w którym nie spodziewała się nadejścia tej chwili? Na początku mówiła sobie, że to tylko kwestia

czasu, kiedy się tu zjawi, nie bacząc na to, co przyrzekł. Potem, kiedy Fauve była coraz starsza, niemal nabrała przekonania, że się pomyliła; może ten człowiek, który za nic miał wszelkie zasady, oprócz swoich własnych, postanowił zapomnieć o niewygodnym dziecku. Ale teraz nie była zaskoczona. Rozwinęła kartkę.

Droga Maggy,

Pomyślałem, że może mógłbym spojrzeć na nią tylko raz i odejść. Musiałem przyjechać do Nowego Jorku i skoro już tu jestem, nie mogłem się oprzeć. Muszę się z tobą zobaczyć i porozmawiać. Zadzwoń jutro do twojego biura, albo do domu, jeśli biuro będzie zamknięte. Wybacz mi, ale wiem, że to zrozumiesz.

Julien.

Wybaczyć mu? Wybaczyć mu było równą niemożliwością jak odmówić mu zrozumienia, mówiła sobie Maggy. Dobrze o tym wiedział.

Mistralowi nigdy nie przyszło do głowy, że o tym, by Maggy pozwoliła Fauve spędzić lato w La Tourello nie zdecydował żaden z jego racjonalnych argumentów. Nigdy nie dowiedział się, że mógłby sobie oszczędzić rozmowy z Maggy.

Przez całe lata po śmierci Teddy nieustannie powtarzała w myślach całą historię w nachodzącym ją co rusz rozpaczliwym i bezsensownym monologu. Czy życie Teddy ułożyłoby się inaczej, gdyby miała przy sobie ojca? Mistral był o wiele starszy od Teddy - czy to nie potrzeba ojca pchnęła ją ku niemu? A gdyby Maggy była w stanie opowiedzieć jej o Perrym Kilkullenie? Czy wówczas Teddy czułaby, że ma ojca, bardziej rzeczywistego niż tych kilka wspomnień z dzieciństwa podobnych okrucinom piękne snu? Co gorsza, gdyby Teddy wiedziała wszystko o

związku Maggy z Mistralem, gdyby wiedziała, jak bezdusznie pozbawił ją wszystkiego, co mogła z siebie dać, jej dziewictwa, jej serca, nawet jej pieniędzy, a potem porzucił ją bez chwili zastanowienia, bez skrępowania dla bogatej Amerykanki - czy wówczas Teddy nienawidziłaby go od kołyski? Jak wiele straciła okazji, by nadać inny bieg wypadkom? Jaką ponosiła winę?

W końcu Maggy przerywała tę dręczącą litanię błędów i zajmowała się konkretnymi sprawami, gwarantującymi niezależnie od rozwoju wypadków, że od strony praktycznej życie Fauve będzie inne niż życie Teddy. Postanowiła, że Fauve musi obcować z tradycją. Kupiła więc menorę, która zajęła miejsce tej zniszczonej, mosiężnej, pozostawionej niegdyś w Paryżu. Odkąd Fauve sięgała pamięcią, miała przed oczyma obraz Maggy zapalającej szabasowe świece. Był to pierwszy ogień, który zobaczyła jako dziecko i domagała się go krzykiem, zafascynowana jego czarem. Każdy z ośmiu chanukowych dni czczony był darem ognia i zapaleniem pierwszej świecy, a potem następnych w każdy kolejny świąteczny wieczór. Kiedy Fauve nie potrafiła jeszcze czytać, ale była na tyle duża, by je zapamiętać, zawsze zadawała cztery pytania podczas uroczystej kolacji Paschy. Maggy wydawała ją teraz co roku, upewniając się, że nie będzie przy stole dzieci młodszych od Fauve, którym ten przywilej mógłby przypaść w udziale.

Codziennie spędzała z Fauve wiele czasu i na długo przedtem, zanim dziewczynka mogła zrozumieć, co to znaczy, tłumaczyła jej, że jest jej najukochańszą nieślubną wnuczką, w taki sposób, jak rodzice adoptowanych dzieci posługują się słowem „adoptowany”, by pomóc dziecku zaakceptować ten fakt od najwcześniejszych lat. Kiedy Fauve

podrosła na tyle, by to zrozumieć, Maggy opowiedziała jej historię własnej rodziny, od bogato ubarwionych fragmentów dziejów Żydów w Prowansji, które przekazała jej babka Cecile, aż po tragedię Teddy i Juliena Mistrala. Zanim Fauve skończyła cztery lata, usłyszała o Maggy i Perrym Kilkullenie i poznała smutną opowieść o ojcu Maggy, dziarskim Dawidzie Astruc i jej matce, która umarła w połogu.

Fauve poznała także nauki rabiego Taradasha. Czasami Maggy zastanawiała się, czy dobrze robi, napełniając wiedzą o żydowskim rodzie głowę dziecka, które miało tylko jedną żydowską babkę w całej rodzinie. A jednak, cóż innego mogła dać Fauve? Nie wiedziała nic o Kilkullenach, ani o Mistralu, lecz w sprawach kobiet Lunelów była, niestety, swego rodzaju specjalistką.

- Dlaczego ojciec nigdy nie przyjedzie, żeby się ze mną zobaczyć? - pytała Fauve i było to jedyne pytanie, na które Maggy nie umiała dać zadowalającej odpowiedzi. - Jest żonaty... mieszka daleko, daleko stąd, ciężko pracuje, nigdy nie podróżuje... Cóż to były za odpowiedzi? Zastanawiała się nawet, czy nie napisać do Mistrala i nie przypomnieć mu o istnieniu Fauve, ale nigdy się na to nie zdecydowała uznawszy, że Fauve jest dzieckiem tak szczęśliwym, że tę jedną przykrość będzie musiało jakoś znieść. Ale teraz, kiedy Mistral zobaczył się wreszcie z Fauve, Maggy zacisnęła zęby i przystała na to, by Fauve spędziła lato w Prowansji. Niepokoila ją tylko myśl o Kate Mistral.

- Maggy, zapewniam cię, że Kate chce tego, czego ja chcę - powiedział Julien w zniecierpliwieniu. - Zawsze bierze mnie takiego, jakim jestem. Ośmioletnie dziecko nie stanowi dla niej zagrożenia. Pomyśl, Maggy, mam sześćdziesiąt jeden lat, ona - prawie sześćdziesiąt.

Jesteśmy małżeństwem od trzydziestu czterech lat. Nie sądzisz chyba, że będzie zazdrosna o małą dziewczynkę?

- Sądzę, że byłaby zazdrosna nawet o kanarka, gdybyś chciał go mieć.

- Maggy, nigdy nie myślałaś rozsądnie, kiedy chodziło o Kate.

- Kate nie jest osobą, o której mogę myśleć rozsądnie. Gdyby zgodziła się na rozwód, mógłbyś ożenić się z Teddy...

- Tak czy inaczej, mogliśmy płynąć tą łodzią, Maggy. Któż potrafi spojrzeć w przeszłość i stwierdzić, jaki układ okoliczności kusi los?

- Nigdy nie przypuszczałam, że będziesz powoływał się na los.

- To jedyne wytłumaczenie, które jestem w stanie znieść.

- Nie budzisz się w nocy i nie zadajesz sobie pytania, jaki był twój udział w tym, że sprawy ułożyły się źle? Nie obwiniasz siebie?

- Zawsze będę czuł się winny. Żyję w poczuciu winy, ale czy to pomoże? Nawet drobna zmiana w przebiegu zdarzeń mogłaby odwrócić nieszczęście. Gdyby łódź rybacka przepłynęła minutę później, gdybym nie skinął na Teddy, gdyby nie straciła równowagi, gdyby Amerykanie nie przyjechali do St. Tropez, gdybyśmy nie siedzieli u Sennequiera, gdyby... tym przypuszczeniom nie ma końca. Wszystko, na co mnie stać to malowanie, Maggy. To przynajmniej jest coś, ale poczucie winy nie jest nic warte. Czy nie mam racji?

- Masz - Maggy zamilkła. Było ryzykiem powierzyć Fauve Julienowi nawet na krótkie letnie miesiące. Ryzykiem było powierzyć mu kogokolwiek. Ale czy naprawdę miała jakiś wybór? - Masz - powtórzyła głośno, ale nie mówiła tego do Mistrala. Jeszcze większym ryzykiem byłoby pozbawić Fauve ojca.

Pewnego czerwcowego dnia 1969 roku, na Gare du Lyon, Julien Mistral i jego szesnastoletnia córka Fauve wsiedli do superekspresu jadącego z Paryża do Marsylii. Przez ostatnich osiem lat, zawsze w czerwcu, Julien Mistral przybywał do Paryża z Félice, by zabrać Fauve z lotniska, spędzić z nią noc w Paryżu i następnego dnia wyruszyć do Prowansji na całe lato. Przez wszystkie te lata Fauve zawsze czuła się wzruszona tym, że pociąg nazywa się „Mistral”.

Kiedy podróżowała nim po raz pierwszy, myślała, że pociąg nazwano tak na cześć jej ojca i ciągle jeszcze miała wątpliwości, mimo iż dowiedziała się wreszcie, że pociąg nosi nazwę wiatru, który wieje często w Prowansji. Mistral, piekielny, zimny i suchy wiatr wieje tylko wtedy, kiedy niebo ma barwę najjaśniejszego błękitu, a słońce świeci oślepiającym blaskiem, albo - zależnie od tego, z kim się o tym rozmawia - sprawia, że chowa się słońce, a niebo staje się białe. Ten wiatr, znów zależnie od opinii, wieje nieprzerwanie przez trzy, sześć albo dziewięć dni. To wiatr, który pochyła każde drzewo Prowansji w stronę południa, przez który domy buduje się tak, by nie miały okien na północy. Wiatr, który czai się cicho jak smok, dopóki wszyscy o nim nie zapomną i wtedy zrywa się, pędząc od Alp do Morza Śródziemnego z prędkością pięćdziesięciu mil, wpadając do najszczelniej zamkniętych pomieszczeń i dostarczając mieszkańcom Prowansji usprawiedliwienia każdej przypadłości - od bólu głowy po morderstwo.

Fauve kochała mistral. To był jej własny, osobisty wiatr i żyła z nim w bliskiej przyjaźni. Nazywała go jego prowansalskimi imionami - Le Mistrau albo Le Vent Terrau. Odczuwała ogromną radość i uniesienie,

kiedy słyszała jak łagodnie wyl i szumiał w gałęziach drzew wokół La Tourello. Dla Fauve był duchem ziemi.

W „Mistralu” wagony pierwszej klasy dzielą się na przedziały. W każdym z nich są trzy miejsca po obu stronach. Fauve szybko zajęła dwa siedzenia przy oknie, pokryte materiałem w okropnym odcieniu zieleni mchu, podczas gdy jej ojciec rozmawiał z głównym kelnerem wagonu restauracyjnego, kupując różne bilety stanowiące dowód rezerwacji miejsc na lunch.

- Lyon, Dijon, Valence, Awinion - mówiła do siebie cicho Fauve, zastanawiając się jak zwykle, czy wystarczy jej cierpliwości, by znieść sześć godzin podróży, które mieli przed sobą. Najtrudniej było wytrzymać odcinek między Valence i Awinionem, ponieważ widziała, jak w miarę zbliżania się do końca podróży, całkowicie zmienia się krajobraz. Ach, jakże biło jej serce na upragniony widok rzędów ciemnych cyprysów o strzępiastych gałęziach! Jakże upajał ją widok pierwszych gajów oliwnych i długich, niskich rzędów winorośli.

- Fauve, masz ochotę na aperitif przed lunchem? - stojący przed nią Mistral przerwał jej rozmyślenia, kiedy pociąg gładko ruszył ze stacji. Podniosła się szybko i poszła za nim przez ciężkie drzwi, które otwierały się za pomocą fotokomórki, do wagonu restauracyjnego, gdzie kelnerzy w białych uniformach wyciągali już korki z butelek wina i podawali whiskey oraz perrier pasażerom pierwszej klasy. Ten drink przed lunchem należał do tradycji zapoczątkowanej podczas pierwszej podróży Fauve do Félice. Fauve zawsze wypijała dwie butelki słodkiego soku ananasowego i nie trzeba jej było długo namawiać, żeby wypić trzecią. To były naprawdę bardzo małe butelki.

- Proszę sherry - powiedziała Fauve.

- Och, więc pijesz już alkohol - Mistral ujął jej dłoń w swoją.

- Tylko przy specjalnych okazjach. Uśmiechnęła się do niego, rozkoszując się uczuciem miłości, które jego ręka przekazywała jej dłoni. Jak uznała, był mężczyzną, któremu uczucia rodzinne były bardziej obce niż komukolwiek na świecie, a jednak wiedziała, że wszystko co jej dotyczy, było dla niego najważniejsze w życiu.

- Sherry dla mojej córki, a dla mnie pastis - powiedział Mistral. Wpatrywał się w twarz Fauve, jak zwykle szukając w niej z bolesną mieszaniną nadziei i strachu śladów klasycznej, zniewalającej urody Teddy. Kiedy Fauve dorastała, wydawało mu się jednak, że jej własny czar nie ma nic wspólnego z urodą matki, oprócz wzrostu i koloru włosów. Była to, jak rozmyślał, szukając właściwego słowa, by opisać dziecko, które tak uwielbiał, inteligentna piękność. W twarzy Fauve był pewien fascynujący wyraz zamyślenia, coś, co sprawiało, że musiał długo zastanawiać się nad tym, o czym w tej chwili rozmyśla, coś, co nie pozwalało mu zadowolić się żadnym z portretów, które jej namalował. Jej szare oczy, których nie można było oddać za pomocą pędzla, były śmiałe i zastanawiająco tajemnicze. Jak namalowałby ją Leonardo? W kącikach jej fascynujących ust czaiła się powaga, a kiedy unosiły się ku górze, pojawiał się uśmiech czarodziejki.

Mistral nigdy nie potrafił na dłużej skupić spojrzenia na oczach lub ustach Fauve. Musiał ogarniać wzrokiem całość jej twarzy, która była dla niego jak krajobraz podczas zmiennej pogody. Żaden wyraz nie gościł na niej długo, każda chwila przynosiła nowe oczarowanie, nowy widok. Nie, nigdy nie udało mu się wyrazić jej na płótnie.

Sącząc sherry, Fauve zdawała sobie sprawę z uważnego spojrzenia Mistrala. Tak było zawsze w pierwszym tygodniu jej wizyty, kiedy zgłębiał zmiany, które zaszły w niej w ciągu roku. Poddała się jego badawczemu spojrzeniu z pogodną rezygnacją, której nauczyła się dorastając pod czujnym okiem Maggy. Czy jakakolwiek inna nastolatka poddaje się codziennie obserwacji kobiety, która jest ekspertem w dziedzinie kobiecych twarzy, a potem, podczas letnich wakacji, staje się obiektem szczegółowej uwagi ojca, który widzi wszystko?

- Tusz do rzęs - zauważył Mistral obojętnym tonem.

- Myślałam, że wcale nie zauważysz.

- Przypuszczam, że to ma coś wspólnego z pićm sherry.

- Dokładnie tak. Magali uważa, że to całkiem odpowiednie dla szesnastolatki, jeżeli zrobi się to dobrze. Sama mnie nauczyła, jak malować rzęsy. Podoba ci się?

- Nie nadzwyczajnie, ale z drugiej strony, wyglądasz całkiem ładnie i dlatego miałbym narzekać wiedząc, że to nic nie da? Przeżyłem cztery lata minispódniczek, które z każdym rokiem są coraz krótsze, przeżyłem epokę białych plastikowych butów po kolana, nie skrzywiłem się nawet, kiedy byłaś ostrzyżona pod linijkę - to Sasoon, prawda? - więc dlaczego miałbym się martwić odrobiną czarnego tuszu na rzęsach, który i tak zetrze się nim dzień dobiegnie końca?

- Cóż za cierpliwy filozof z mojego tatuśka!

- Zawsze stroiłaś sobie ze mnie żarty, nawet kiedy byłaś jeszcze małą dziewczynką. Czy wiesz, że jesteś jedyną osobą, która ze mnie kpi?

- To bardzo znamienne.

- Nikt nawet nie próbował.

- A moja mama? Na pewno widziała, jaki jesteś zabawny.

- Nie, nie... a może tak, ale nigdy ze mnie nie szydziła, nie była taka jak ty, Fauve. Nikt nie jest tak zuchwały jak ty.

- Chucpa, tatku. Tak nazywa to Magali. I nie jest to komplement. Po hebrajsku to znaczy - bezczelność.

- Cóż złego jest w bezczelności? Bez bezczelności daleko się nie zajędzie na tym świecie.

- Tak, to oznacza także bezwstydną bezczelność i skandaliczny tupet. Myślę, że Magali chciałaby, żeby moja śmiałość miała bardziej kobiecy charakter. Ale staram się poprawić. W tym roku nie brałam udziału w żadnej bójce na pięści i byłam na niezliczonych okropnych potańcówkach, w ładnych sukienkach i prowadziłam głupie rozmowy z wstrętnymi, przerażająco nudnymi chłopakami...

- Żaden nie wydał ci się interesujący? Ani jeden?

- Napisałabym ci o tym, przecież wiesz. Nie tatku, masz córkę, która uważa, że płeć męska jest znacznie mniej interesująca, niż się tego spodziewała.

- Przecież masz dopiero szesnaście lat! W tym wieku wcale nie muszą cię interesować. Będiesz miała mnóstwo czasu, kiedy dorośniesz.

- W wieku szesnastu lat jest się już dorosłym - powiedziała z powagą Fauve, ale Mistral tylko pokręcił przecząco głową. Szesnastolatka to dziecko. Szesnastolatka to maleństwo. Sam miał sześćdziesiąt dziewięć lat i nie pamiętał, jak to było, kiedy miał szesnaście lat, a na pewno nie chciał pamiętać, że babka Fauve była tylko o rok starsza, kiedy jego wzrok pierwszy raz spoczął na jej nagim ciele.

* * *

Starzał się wcale nie myśleć o Maggy. Chciał, żeby Fauve należała tylko do niego, żeby była tylko jego. Córką Mistrala i nikim innym. Ale była jeszcze Maggy, tak wielbiona przez Fauve Maggy, z którą był teraz związany na zawsze więzami krwi. Jego wnuki będą prawnukami Maggy i kto z nich w tej niewyobrażalnej przyszłości zauważy różnicę między pokoleniami? Gniewało go to, że Fauve wtrąca od czasu do czasu hebrajskie i żydowskie słowa, gniewało go, że przestrzega żydowskich świąt, o których pisała mu w listach. Gniewało go, że Maggy wprowadza Fauve w historię żydowskiej rodziny. Cóż ma z tym wspólnego Fauve? Przecież nie jest Żydówką!

Nie ośmielił się jednak krytykować Maggy, bo była to jedyna rzecz, która sprawiała, że Fauve rzucała się na niego ze złością. W zeszłym roku znalazła prowansalski wiersz poety Frederica Mistrala, właściwie piosenkę z neapolitańską melodią i nigdy nie powiedział jej, że śpiewając ją, doprowadza go do obłędu:

Mai, o Magali,

Douco Magali,

Gaio Magali.

Es tu que m'as fa trefouli.

- Niech no tylko ją usłyszysz - „Och, Magali, słodka Magali, radosna Magali, przez ciebie drzę ze szczęścia” - prawda, że to podniecające, tatusiu?

- Spodoba jej się - powiedział ostrożnie.

- Daruj sobie komplementy. Och, w porządku, może i fałszuję, ale przynajmniej uczę się prowansalskiego.

- Do czego jest ci potrzebny?

- Przynajmniej w Prowansji przydaje się bardziej niż inne języki, których mogłabym się nauczyć. Zamierzam się nim posłużyć, bo chcę namówić starego pana Hugonne i pana Piano, żeby pozwolili mi zorganizować żeńską drużynę gry w bile.

- Coś podobnego!

- Oni też tak mówią, zupełnie tak, jakbym chciała wparować do baru i pociągnąć pernod z butelki. Félice nie jest może wymarzonym miejscem dla żeńskich sportów drużynowych, ale nie zamierzam się poddać. Największy problem jest z dziewczynami - ciągle jeszcze wydają się zaskoczone, kiedy o tym mówię. Czy te kule z metalu są święte, czy co?

- Fauve nie próbuj zmieniać odwiecznych zwyczajów. Czy w Stanach Zjednoczonych dziewczęta grają w piłkę nożną?

- Tatuśku, w Stanach Zjednoczonych dziewczęta robią wszystko.

- Nie nazywaj mnie tatuśkiem - to była jedyna odpowiedź na jej szokujące stwierdzenie, na jaką mógł się zdobyć, myślał, pochylając się nad kartą dań, którą właśnie w tej chwili położył przed nim kelner.

W „Mistralu”, przy końcu wagonu restauracyjnego pierwszej klasy znajduje się kuchnia, w której dwaj kucharze w białych czapkach przygotowują zaskakująco dobre dania, na poziomie przyzwoitego bistro. Fauve i Mistral zamówili lotte, rybę, którą można dostać tylko we Francji, potrawkę z królika z młodymi ziemniakami i sałatę, wreszcie wyborne sery i bombę glacee, lodowy deser, na który Fauve czekała każdego roku.

- Co teraz malujesz? - zapytała. Wraz z upływem lat Mistral malował coraz wolniej. Stawał się coraz bardziej samokrytyczny. Kończył coraz mniej obrazów, a wśród tych, które skończył, coraz więcej niszczył.

- Nieważne. A czym ty się zajmujesz? Dalej chodzisz na zajęcia

plastyczne?

- Oczywiście. Och, tatku, tylu rzeczy trzeba się jeszcze nauczyć. Czy przychodzi kiedyś taki dzień, kiedy ma się uczucie, że wie się absolutnie wszystko o danej rzeczy, choćby tylko jednej, raz na zawsze?

- Nigdy mi się nic takiego nie zdarzyło, nie „raz na zawsze”, więc dlaczego miałyby się zdarzyć tobie? Każdy obraz musi prowadzić do nowego problemu, musisz budzić się co rano z myślą, jakie rzeczy, o których nie masz pojęcia rano, uda ci się poznać do wieczora... Ale, ile razy już ci to powtarzałem, moja Fauve? Czy kiedykolwiek mi uwierzysz?

- Ciągle mi się wydaje, że powinnam być lepsza - mruknęła Fauve. Malarstwo było jedyną dziedziną, w której czuła się coraz bardziej niepokorna, niezdolna do robienia postępów z powodu wzrastającej niepewności i braku wiary we własne siły.

Dzieciństwo wydawało się teraz niewinnym rajem. Kiedy była mała, nie brakowało jej odwagi, nie czuła żadnych ograniczeń, próbując rysować i malować. Ale z każdym rokiem fakt, że jest córką Mistrala stał się coraz cięższym brzemieniem. Czasami marzyła o tym, by wcale nie mieć talentu - gdyby nie chciała zajmować się tym samym co ojciec, życie stałoby się znacznie prostsze.

* * *

Jedząc rybę Fauve wspominała swoje pierwsze lato w La Tourelle, kiedy po jednym, a może dwóch dniach namysłu, Mistral pozwolił jej wejść do swojej pracowni, pod warunkiem że będzie siedziała cicho i nie przeszkodzi mu pracować. Dał jej kilka kawałków węgla, a po chwili zastanowienia, parę niemal pustych tub farby, kilka starych pędzli i płótno, robiąc jej miejsce w kącie pracowni.

Na początku przyglądała mu się tylko, ale przed każdym atakiem pędzla na płótno chodził tak długo po pracowni, że przestała się wreszcie interesować jego dziwacznym zachowaniem i zajęła się materiałami, które jej zostawił.

W domu, w Nowym Jorku, miała tylko ołówki, miękkie kredki i pastele, które łamały się natychmiast, i akwarele, którymi próbowała przez wiele lat kopiować ilustracje z ulubionych książek, ale nikomu nie przyszło do głowy, by dać jej do ręki farby olejne.

Zapach dobywający się z tubek odurzył ją natychmiast. Pamiętała wyraźnie tę chwilę, kiedy wzięła farbę na palec i powąchała z zachwytem. Potem, naśladowując to, co robił Mistral zanim przystąpił do pracy, wycisnęła nieco farby z każdej tuby, układając kolory w półkole na drewnianej desce, którą jej dał. Co dalej? - zastanawiała się, patrząc na pierwsze płótno w swoim życiu. Chciała zapytać ojca, ale nie śmiała mu przeszkodzić. Nie było wokół książek, w których można by znaleźć obrazki do kopiowania, ani kwiatów w wazonie, ani misy z owocami. Otaczające ją ze wszystkich stron ogromne obrazy na ścianach były zbyt skomplikowane, zbyt zawiłe, by mogła marzyć o ich skopiowaniu, więc Fauve zanurzyła wreszcie pędzel w najciemniejszej z farb, głębokim, bogatym błękicie i zaczęła malować zarys najważniejszego przedmiotu w pracowni - sztalugi ojca.

Zmarszczyła rude brwi tak, że utworzyły prostą kreskę i skupiła się swobodnie i śmiało na przedmiocie, obojętna na kwestię perspektywy, bo nie wiedziała, czym jest perspektywa. Widziała dokładnie to, co miała przed oczami. Pracowała bez ustanku i tak cicho, że Mistral przypomniał sobie o niej dopiero po godzinie. Była tak pochłonięta pracą, że nie

zauważyła, kiedy podszedł z tyłu i spojrzał na jej dzieło. Włosy na ramionach i karku zjeżyły mu się w szoku olśnienia. Ona widzi tak, jak widzi artysta, pomyślał, nie czując potrzeby tłumaczenia samemu sobie, co to znaczy. Tego dnia nie powiedział nic na temat jej pracy, ale następnego dał jej do namalowania źdźbła trawy w wazonie, a jeszcze następnego dnia jabłko.

- Regard! Regard, Fauve... wykorzystaj swój wzrok, moja maleńka, musisz nauczyć się patrzeć... widzieć to jabłko... wydaje się okrągłe, prawda? Ale kiedy popatrzysz - kiedy naprawdę się przyjrzysz - zobaczysz, że u góry, z lewej strony, jest nieco wyższe... wcale nie jest okrągłe, prawda? A dlaczego to jabłko nie toczy się jak piłka? Bo u dołu jest niemal płaskie - czy twoje oczy to widzą, malutka? A to małe pęknięcie na skórce jabłka... powiedz mi, w którym miejscu się zaczyna i w którym kończy? Jaki kolor ma to pęknięcie, Fauve? Czyż nie jest prawie białe? Regard! Czy widzisz, że czerwień jabłka ma domieszkę żółtej barwy? Czy widzisz, w którym miejscu kolor żółty staje się jaśniejszy, trochę z boku? Powiedz mi teraz, czy widzisz, w którym miejscu położyłaś te kolory, ten czerwony i żółty, na swojej palecie? Wszystko tu jest, Fauve. Trzeba tylko umieć patrzeć.

Potem, tak jak pragnął od pierwszego dnia, w chwili niezapomnianej dla nich obojga, sięgnął ręką i położył swoją dużą dłoń na dłoni Fauve, prowadząc ją mocnymi palcami tak, że jej pędzel poruszał się zgodnie z nadanym przez niego kierunkiem, a jego siła udzielała się jej własnym palcom. Rozluźniła dłoń, ale nadal trzymała pędzel w mocnym uścisku pozwalając, by jej nadgarstek, kości i ścięgna poddały się jego ruchom, w taki sposób jak dobra tancerka daje się prowadzić zdecydowanemu

partnerowi, niezbyt ulegle, ale i nie sztywno. Widząc i czując, jak jej pędzel wykonuje pociągnięcie za pociągnięciem, syciła tą wiedzą swoje mięśnie i umysł.

Tak właśnie powinno się czuć, mówiła do jej ręki jego dłoń, tak powinno być. Niezależnie od oryginalności, która obowiązuje artystę, Mistral wierzył, że w sztuce, tak jak w języku, jest podstawowa gramatyka, którą trzeba opanować, zanim będzie można naprawdę mówić i takiej właśnie gramatyki uczył Fauve.

* * *

Tego lata, kiedy ośmioletnia Fauve zaczęła lekcje malarstwa, Mistral wrócił do zwyczaju odwiedzania kafejki w Félice. Po dwudziestoletniej nieobecności zaczął chodzić tam razem z Fauve codziennie przed obiadem, tylko po to, by móc zamówić coś do picia „dla mojej córki, Fauve”. Z czasem mężczyźni z miasteczka, którzy od czasu wojny omijali go wzrokiem, zaczęli zbierać się wokół nich i podziwiać małą dziewczynkę, podczas gdy on stawiał im kolejkę w przyływie jowialnego humoru. Z początku przyjmowali te przyjazne gesty z ociąganiem i niechęcią, ale żywe, ciekawskie i towarzyskie dziecko podbiło ich serca.

* * *

Swojej córki Nadine Mistral nigdy nie zabierał do Félice. Nawet gdyby chciał, sprzeciwiłaby się temu Kate. Kiedy powrócił ze swojej włóczęgi w 1956, stwierdził bez żalu, że ośmioletnią Nadine wysłano do Anglii, do szkoły z internatem.

Mimo iż Nadine spędziła pierwsze cztery lata nauki w wiejskiej szkole, Kate zawsze uważała, że to nie do pomyślenia, by jej córka wychowywała się zbyt długo na wsi. Powinna stać się kobietą światową i

żyć w taki sposób, w jaki żyła Kate zanim poznała Mistrala.

Już w bardzo młodym wieku Nadine nauczyła się traktować Félice jak błahą i staroświecką osobliwość w swoim własnym ważnym życiu. Było swego rodzaju tłem, malowanym w kapryśnie naiwnym stylu, całkiem jak z obrazów Breughla, po to by zalety Mademoiselle Nadine Mistral uwydatniały się w korzystny sposób. Kate przystała na to, by jej córka uważała La Tourello za czarująco niekonwencjonalną siedzibę, którą obrał sobie ojciec tak sławny, że mógł pozwolić sobie na kaprysy i ekscentryczne zachowanie.

Kiedy Nadine podrosła, sama odkryła, że La Tourello może być bardzo przydatne w realizacji jej własnych planów. Było miejscem znanym na całym świecie i kiedy mówiła o nim swoim przyjaciołom, traktowali oni tę nazwę z takim szacunkiem, jakby chodziło o zamek. Popisywała się domem, demonstrując go od czasu do czasu przyjaciołom, którzy cieszyli się jej szczególną łaską, a potem wyruszała z nimi, by spędzić lato w bardziej cywilizowanym i modnym zakątku.

Nadine, subtelna Nadine o zimnych zielonych oczach koloru morskiej wody, prostych jasnych włosach do ramion i wiecznym uśmiešku, który nie był oznaką radości, lecz grymasem górnej wargi jej delikatnych różowych ust, przyjmowana była w Félice z wielką niechęcią.

Kiedy Mistral po raz pierwszy przyprowadził Fauve do kafejki latem 1961 roku, nikt nie martwił się szczególnie tym, co Mademoiselle Nadine powie na przyjazd swojej małej przyrodniej siostrzyczki, która zjawiała się nie wiadomo skąd, czy raczej w związku z głośnym skandalem, dobrze wszystkim znanym, bo pisały o nim wszystkie gazety i magazyny, a nie była to przecież historia, którą łatwo się zapomina.

Nikt nie zważał także na uczucia Kate w lawinie plotek, która spadła na Félice w związku z przyjazdem Fauve. Był to kolejny rozdział w życiu Mistrala i jego rodziny, który mieszkańcy miasteczka zgłębiali przez całe lata, całymi godzinami, delektując się nim z niezwykłym smakiem i rozkoszą. Kate Mistral robiła wszystkie zakupy w Apt albo w Awinionie, omijając sklepiki w miasteczku. U kogoś, kto żył w tej okolicy była to rzecz niewybaczalna i godna pogardy, taka, która wywoływała w mieszkańcach narastającą wrogość w stosunku do Kate. Kate ledwie raczyła zatrzymać się na stacji benzynowej w miasteczku, by napełnić bak swojego samochodu. Czegóż jednak można spodziewać się po kobiecie, która uważa się za lepszą od swoich sąsiadów?

Żadna z bogatych rodzin, które zakupiły domy w Luberon, nie stała się takim obiektem domysłów jak Mistral. Z innych domów korzystano tylko podczas letnich wakacji. Ich mieszkańcy byli tylko gośćmi i widać było, że nie mają związku z okolicą. Ale sytuacja Mistrala była niejednoznaczna od dnia, w którym w 1926 osiedlił się w Félice. Stał się niemal, ale nie całkiem, jednym z mieszkańców miasteczka, w latach, gdy był czołowym graczem drużyny gry w bile, w tych latach przed wojną, kiedy Kate cieszyła się względnie spokojnym życiem, korzystając co prawda często z rozrywek, ale w końcu była przecież Amerykanką.

Po wojnie nastrój w miasteczku zmienił się. Stracono ośmiu mężczyzn z Félice, dwunastu innych spędziło całe lata w Niemczech na przymusowych robotach, a wielu młodszych należało do oddziałów partyzantki.

W kafejce, w której niegdyś toczyły się ożywione spory na doniosły temat drużyn gry w kule z innych miasteczek, rozmawiało się teraz

poważnie o polityce, a dyskusje stawały się często nieprzyjemne: zwolennicy de Gaulle'a nie chcieli pić z ludźmi, którzy głosowali na komunistów. Mistral, który nienawidził polityki, omijał kafejkę, co potraktowano jako przejaw jego wywyższania się. To przekonanie zostało jasno potwierdzone, kiedy Kate zarządziła budowę basenu. Nic nie mogło usposobić do niej bardziej wrogo sąsiadów, których dochód był zależny, w najbardziej podstawowy sposób, od rocznych opadów deszczu.

Dystans, który Mistral i Kate utrzymywali wobec powojennego życia miasteczka nie przyczyniał się w niczym do położenia kresu plotkom na ich temat, bo przecież mieszkali tu nadal, tak jakby lekceważyli swoich sąsiadów.

Nie pomogło także i to, że Marte Pollison nie oparła się pokusie i wyszeptała na ucho kilka szczegółów z życia La Tourello swoim kuzynom, którzy mieli sklep z towarami żelaznymi w Félice. Wkrótce każda okoliczna gospodyni wiedziała dokładnie, ile Madame Mistral wydaje na szampana z okazji tych przyjęć, które u siebie urządza, ile kilogramów pasztetów i wędzonego łososa dostarczają z najlepszego sklepu spożywczego w Awinionie przed każdym wielkim bankietem, ilu dodatkowymi służącymi dyryguje Marte w wypełnionym zajęciami okresie lata.

Niczym nie jest w stanie ich zaskoczyć, powtarzali sobie, ta kobieta, która naprawdę zainstalowała pięć łazienek z gorącą wodą i wannami w La Tourello, kiedy przybyła, by tu zamieszkać, w czasie, gdy wielu najbogatszych farmerów w dolinie nie miało jeszcze w domach bieżącej wody. Co za kaprys! Czy Mistralowie nie zdawali sobie sprawy z tego, że inspektor podatkowy na pewno będzie miał ich na oku?

Nic by to nie zmieniło, gdyby mieszkańcy Félice wiedzieli, że w 1960, u Parke-Benneta w Nowym Jorku, wczesny obraz Mistrala sprzedano za pół miliona dolarów. Mieli dość kłopotów z tym, by dać wiarę pogłoskom o szczegółach wystroju pokoju, przygotowanego dla Fauve w ciągu sześciu tygodni, które upłynęły od chwili, kiedy Maggy wyraziła zgodę na jej odwiedziny w 1961, do dnia jej przyjazdu.

Murarz, którego zatrudniono w związku z planem odrestaurowania okrągłej górnej wieży i dokonania jej przeróbki na mansardę, wprowadził ich w osłupienie swoją opowieścią o tym wystroju.

- Ale, mówię wam, ściany są pokryte tkaniną, od podłogi do sufitu, układającą się w ogromne fałdy, jak zasłona, ale od jednego okna do drugiego, setki metrów tkaniny w lawendowe i białe kwiatki. Gospodyni powiedziała mi, że materiał pochodzi z fabryki pana Demary w Tarascon. - Przerwał, by upewnić się, czy wszyscy go słuchają. - A nad łóżkiem - ciągnął, zadowolony ze swoich słuchaczy - jest baldachim z tego samego materiału, a wezglowie jest rzeźbione tak samo jak te stare skrzynie w Hotel de Ville, zupełnie jak dla jakiejś księżniczki. Na podłodze płytki, to jasne, ale na nich biały dywan. Marte Pollison mówiła, że sprowadzony z Hiszpanii. I jeszcze biała klatka z papużkami. Tak, widziałem je na własne oczy. Słyszeliście o tej łazience, którą Mistral kazał hydraulikowi robić tak szybko? No więc, ściany łazienki są też pokryte tkaniną!

Ten ostatni szczegół sprawił, że większość gospodyń z Félice nie dała wiary jego opowieści, bo nawet Madame Mistral nie była aż tak głupia, żeby zrobić coś podobnego.

Nie myliły się. To nie Kate, lecz sam Mistral gorączkowo popędzał robotników. To on zdecydował o przeróbce gołębnika, bo wiedział, że

romantyczny pokój w wieży spodoba się małej dziewczynce. To on myślał o tym, jak wykorzystać tkaninę o tradycyjnym wzorze, by wiejący czasami chłodny letni mistral nie gwizdał w szczelinach starych murów, mimo tynku, którym zostały pokryte. To on osiągnął to, co nieosiągalne, skłaniając prowansalskich rzemieślników, by wykonali pracę w umówionym terminie, z solidnością nie spotykaną nigdzie na południu.

Kiedy pierwszego lata Fauve przybyła do La Tourello, pokochała swój pokój od chwili, gdy go ujrzała i z początkiem lata spędzała w nim wiele smutnych godzin, rozmyślając o przyczynach nienawiści, którą - jak wyczuwała - żywiły w stosunku do niej Nadine i Kate.

Czy to dlatego, zastanawiała się, że ojciec uczy ją malować, Nadine traktuje ją z tak wyniosłą wrogością, w sposób tak całkowicie odpychający, że nie potrafi tego pojąć, ani z tym walczyć? Czy jej przyrodnia siostra nienawidziłaby jej niezależnie od okoliczności?

Czy to dlatego, że jest bękartem, Kate patrzy na nią z taką niechęcią, wyczuwalną tylko dla Fauve, bo Kate była zbyt inteligentna, by nie zdawać sobie sprawy z tego, że każde niemiłe słowo i gest wobec tej małej dziewczynki będą kosztować ją więcej przykrości ze strony męża, niż były warte. Starła się być szczodra i hojna, ale jej nienawiść dawała o sobie znać w samym sposobie nakłaniania Fauve, by wzięła sobie więcej domowego dżemu z moreli, w goście, którym napelniała szklanę Fauve mlekiem, w uśmiechu, który towarzyszył jej uwadze, że Fauve chciałaby pewnie mieć rower, by jeździć do miasteczka. Wreszcie дума Fauve doszła do głosu. Jeśli Kate i Nadine nienawidzą jej, nie będzie zwracać na nie uwagi.

Będzie chodzić własnymi drogami. Poszuka w Félice dzieci w swoim

wieku i postara się z nimi zaprzyjaźnić.

Nie podejrzewała nawet, jak jednomyślna jest zwarta społeczność ośmioletnich dziewcząt w swojej nieufności wobec niej, wysokiej, dziwnie ubranej małej Amerykanki o rozpuszczonych rudych włosach, przyjeżdżającej do nich rowerem z *le château*, jak nazywały La Tourello; wobec dziewczynki, o której luksusowym pokoju tyle się już nasłuchały. Fauve, dziewczynka, która miała zupełnie zwariowane imię i nie miała nawet swojej świętej patronki, w której dniu mogłaby obchodzić swoje imieniny, mówiła do nich miejskim dialektem północnej Francji, ale popełniała tyle dziecinnych błędów gramatycznych, nie rozumiała, że musi podawać wszystkim rękę na powitanie, i że nie wolno jej grać w bilard z chłopakami.

Zazdrościły Fauve, że ojciec oprowadza ją po kafejce zupełnie tak, jakby była niemowlakiem, który stawia pierwsze kroki, a nie niezdarną dziewczynką w ich wieku. Zazdrościły jej błyszczącego nowego roweru i ładnych strojów. Jakim prawem zjawiała się w ich małej grupie i chciała się do niej wdrzeć?

Ale żadna z nich nie oparła się długo urokowi Fauve, żadna z nich nie mogła odwrócić się z pogardą od jej mocnego, otwartego, żarliwego pragnienia, by się z nimi zaprzyjaźnić. Służyła im pomocą przy ścinaniu trawy dla królików, które hodowały na sprzedaż i chętnie opiekowała się ich młodszym rodzeństwem, kiedy bawiły się w berka. Fauve nauczyła je grać w baseball i zapraszała je wszystkie do domu na wspaniałe *gouter*, podwieczorek złożony z chleba, brioszek, czekolady i trzech rodzajów dżemów - ulubiony posiłek francuskich dzieci. Potem zabierała je do swojego pokoju, by wyciągnąwszy się na jej niezwykłym łożu z

baldachimem, słuchały opowieści o jej szkole w Nowym Jorku, w której oczywiście nikt się tak naprawdę nie uczył, w porównaniu z tym, czego wymagano od nich w szkole w miasteczku. Potem, zimą, pisywała do nich wszystkich listy i dzięki temu jej przyjazd każdego lata był niczym powrót starego przyjaciela.

Wśród dziewczynek Fauve znalazła dwie najlepsze przyjaciółki, ciemnowłosą ładną Sophie Borel, którą nazwała Pomme, z powodu policzków rumianych jak jabłuszko, oraz Louise Gordin, zwaną Epinette, kolcem, z uwagi na jej porywcze usposobienie, tak dziwnie kontrastujące z jej małą twarzą aniołka. Tryskająca humorem Pomme, istny psotnik, była wspaniałym źródłem wszelkich wiadomości, ponieważ jej ojciec był miejscowym listonoszem. Zapalczywa Epinette była pierwszą orędowniczką Fauve. Niemal od początku broniła jej przed innymi dziewczynkami, które nie pogodziły się jeszcze z obecnością cudzoziemki w swojej małej szowinistycznej społeczności.

Nie mogę się doczekać, kiedy znów zobaczę Pomme i Epinette, myślała Fauve podczas lunchu, gdy kelnerzy, zręczni niczym akrobaci, balansowali talerzami pikantnego ragout z królika, obsługując gości w wagonie restauracyjnym szybkimi, pełnymi gracji ruchami, a pociąg, pędząc pełną parą kołysał nieustannie na zakrętach drogi.

Ani Pomme, ani Epinette nie lubiły pisać listów i z daleka od Félice Fauve zawsze martwiła się, że może stać się coś, co zmieni miasteczko, które tak kochała. Co to będzie, jak ktoś wybudował supermarket, albo sklep sieci Monoprix, albo kino?

Dla niej Félice było skończenie piękne. Było tak niezwykle, jak żadne inne miasto na świecie, chociaż niezwykle nie było dobrym

określeniem czegoś tak skromnego, tak naturalnego, o tak własnym charakterze - ludzkiej osady, która nie siliła się, by zachwycić przypadkowego gościa, prywatnego świata, w którym życie nie zmieniło się niemal od stuleci.

Fauve często myślała o tym, jak różnie przyjmowany jest fakt jej nieślubnego pochodzenia w Nowym Jorku i w Félice. Na Manhattanie, kiedy dorosła i zaczęła rzucać się w oczy, uświadamiała sobie często, że bywa przedmiotem nieprzyjaznej i złośliwej uwagi, ilekroć pokazuje się publicznie z Maggy i Darcym, lub z Melvinem Allenbergiem, który stał się jej przewodnikiem po świecie sztuki. Czuła pewien rodzaj uważnego, wścibskiego spojrzenia, którym obrzucano mimochodem jej twarz, nie pozostawiający wątpliwości ton głosów, dyskretnie przycichających przy sąsiednim stoliku w restauracji, nienaturalnie obojętny wzrok, mierzący ją całą od stóp do głów - wszystkie znaki rozpoznawcze, które nieomylnie mówiły jej, że ktoś właśnie szepnął do kogoś: - Popatrz, to ta dziewczyna, nieślubna córka Mistrała.

W takich chwilach Fauve, nie do końca świadoma tego co robi, wyciągała się na całą swoją wysokość jednego metra siedemdziesięciu pięciu centymetrów, prostowała smukłe plecy i szeroko, bez zmrużenia otwierała oczy, rzucając prosto w twarz ludziom, którzy ją zauważyli wyniosłe i dumne spojrzenie, godne swojego ojca, nakazujące ludziom milczenie.

- Nieślubna - zwróciła się kiedyś Fauve do Maggy - dlaczego ludzie nie wymyślą czegoś bardziej oryginalnego? Sprawdziłam w Thesaurusie Webstera - można by mnie nazwać na tyle innym sposobów - bękartem, bastardem, nullius fillius, dzieckiem z nieprawego łoża. Wolałabym już to

„nieprawe łoże”, a ty?

- Tak, doprawdy... szkoda, że ludzie mają takie ubogie słownictwo - odparła oschle Maggy.

Ale w Félice, oswojonym z efektami stosunków przedmażeńskich, panowało powszechne przekonanie, że wina tkwi tylko w tym, że rodzice nie byli dość ostrożni. Nikt nie wytykał nieślubnego dziecka palcami. W Félice Fauve czuła się naprawdę córką Mistrala, w sposób całkowicie przyziemny i naturalny. Akceptowano ją jako bezgrzeszny owoc grzesznej namiętności, ale akceptowano.

Spojrzała niecierpliwie przez okno pociągu. Lunch dobiegał końca, a nie dojechali jeszcze do Lyonu.

- Co nowego w miasteczku? - zapytała ojca. - Nie się nie wydarzyło od czasu twojego ostatniego listu?

- Co nowego? Nic, jeśli nie liczyć tej przekłętej hołoty pozbawionej gustu, tej nieprawdopodobnie wstrętnej bandy projektantów z Paryża, którzy wykupują stare domy w całej dolinie, malują je na zielono, cytrynowo, a nawet na różowo, na Boga! wbrew wszelkiej tradycji, remontują wnętrza i sprzedają cudzoziemcom albo śmierdzącym paryskim dekadentom za sumę dziesięciokrotnie wyższą od tej, za którą je kupili. To istna plaga! - zagrział Mistral.

- W Félice? - zapytała Fauve z niepokojem w głosie.

- W Félice bez zmian. Tylko niewielu ludziom z zewnątrz udało się tu trafić, ale w Gordes i Roussilon jest coraz gorzej. Miasteczka całkiem straciły swoją atmosferę. Przypominają pewnie wasz Disneyland. Są tak malownicze, że rzygać się chce, ze starymi damami wypindrzonymi jak kurwy na własnym ślubie i do tego stada setek cudzoziemców, Bóg jeden

wie, jakich barbarzyńców, którzy przyjeżdżają autokarami, żłopia coca - colę w kawiarniach, kupują pocztówki na tuziny, wsiadają z powrotem do autokarów i jadą w inne miejsce - jeden dzień na zwiedzanie całego Luberon!

Wygląda zupełnie jak waleczny bohaterski konkwistador, myślała Fauve, kiedy Mistral wygłaszał swoją tyradę. Im była starsza, tym wydawał jej się młodszy, może dlatego, że nauczyła się uważnie na niego patrzeć, może dlatego, że zgolił brodę, która niegdyś sprawiła, że nie rozpoznała go od razu. Jego wydatny nos wydawał się większy, a wargi, kiedy na nią nie patrzył, mocniej zaciśnięte, ale kształt jego mocnej, wyniosłej, śmiałej głowy nie zmienił się wcale. Jak zawsze, sprawiał wrażenie silniejszego, wyższego, znacznie potężniejszego od wszystkich mężczyzn, których widziała w życiu. Jest fantastyczny, pomyślała, posługując się swoim najnowszym określeniem. Mam fantastycznego ojca.

- Rozpustnica - wrzasnęła Pomme - zdeprawowana... zdemoralizowana... zepsuta! Jesteś wykolejona, Fauve Lunel! Właśnie tak!

- Dzicz... średniowiecze... - Fauve dusiła się, płacząc ze śmiechu, kiedy Pomme potrząsała głową z całej siły. - Jesteś niedzisiejsza, biedna dziewczyno. - Kiedy nastawiła płytę Three Dog Night, śpiewających Easy to Be Hard, wiedziała, że nie trafi ona do przekonania jej przyjaciółkom. Kiedyś próbowała je przekonać do Johnny'ego Casha i Engelberta Humperdincka, mimo że ich serca nadal należały do BeeGees. Ale nie mogła oprzeć się pokusie gorszenia ich. Cieszyły się z tego tak samo jak ona.

Prowansalskie nastolatki szalały na punkcie tańca, choć ich muzyczne upodobania pozostawały daleko w tyle za obowiązującymi w Nowym Jorku. W każdym miasteczku dwa razy do roku odbywały się tańce, więc niemal w każdy niedzielny wieczór w Luberon można było potańczyć w jakimś miejscu, do którego dojeżdżało się samochodem lub autobusem.

Kiedy Fauve miała czternaście, piętnaście lat, pozwolono jej wybrać się na tańce z grupą dziewcząt pod opieką ojca jednej z nich, ale teraz, kiedy miała już lat szesnaście, wszystkie osiągnęły ten wiek, kiedy mogły, a nawet powinny pojawić się na zabawie ze swoim chłopcem.

Pomme i Epinette z ociąganiem poszły do domu na obiad, zaś Fauve w zamyśleniu odłożyła płyty. Zauważyła, że od zeszłego lata jej przyjaciółki bardzo się zmieniły. Dziś nie rozmawiały o niczym innym, tylko o zabawie, zaplanowanej w Uzès w przyszłą niedzielę, na którą zostały zaproszone przez chłopców z sąsiedztwa. Zapewniały Fauve, że

może wybrać się na tańce razem z ich czwórką, samochodem ojca jednego z chłopców. Kiedy jednak będą już na miejscu - zadawała sobie pytanie Fauve - co wtedy?

W zeszłym roku wystawanie w „kąciku dziewcząt”, wśród rozchichotanych przyjaciółek i płasanie z jedną z nich, jeśli żaden chłopiec nie prosił do tańca nie było hańbą. Z powodu swojego wysokiego wzrostu była bardzo poszukiwanym partnerem. Ale zdawała sobie sprawę z tego, że w tym roku tańczenie z inną dziewczyną będzie swego rodzaju ujmą. Większość młodych istot płci żeńskiej z Félice wybierała się na tańce ze swoimi chłopcami, zgodnie z przekazaną przez Pomme informacją, która miała wagę drukowanego zawiadomienia.

Fauve rozmyślała ze smutkiem o prowansalskich zabawach. W Salle des Fetes, chłopcy i dziewczęta zaraz po wejściu rozbiegali się do oddzielnych kątów, zerkając na siebie ukradkiem, ale poza tym wcale się ze sobą nie porozumiewali, nawet jeśli przyszli razem. Zwykle najpierw ruszały do tańca pary, które nie przejmowały się tym, co sobie pomyślał inni: wesoły sklepikarz z pięcioletnią córeczką, dziesięcioletnia dziewczynka, która trzymała w mocnym uścisku sześciolatniego braciszka tak, żeby nie mógł się wyrwać, para kuzynów tworzących radosne przymierze, jedno lub dwa młode małżeństwa, popisujące się przed sąsiadami.

Wreszcie każdy chłopak znajdował swoją partnerkę, ale bez śladu radości czy przyjemności. Dlaczego wszyscy tak szaleją na punkcie tańca, skoro mają takie smętne miny, kiedy się do tego zabierają? W Prowansji ludzie tańczyli niczym marionetki. Ich nogi poruszały się niezależnie od sztywnych korpusów. Podczas tańca stosownym wyrazem twarzy była

czarna rozpacz. Między partnerami nie było mowy o wymianie zdań, czy choćby uśmiechu. Kiedy kończył się taniec, para rozdzielała się tak gwałtownie, jakby to był mecz bokserski i każde z nich wracało do swojego kąta na ringu, by tam wreszcie rozmawiać radośnie z przedstawicielami własnej płci. I to nazywali zabawą!

Dlaczego musi w tym uczestniczyć? W niedzielny wieczór mogłaby zostać w domu i nikt by tego nie komentował. Jacyś angielscy przyjaciele Kate przyjeżdżali na weekend i nikt w La Tourello nie wiedziałby o zabawie w Uzès, i nie zastanawiałby się, dlaczego na nią nie poszła. Przypomniała sobie jednak, że postanowiła należeć do miasteczka Félice i jej nieobecność na tańcach zostałaaby potraktowana, i słusznie, jako zerwanie z przyjaciółkami. Brak partnera nie był żadną wymówką. Każda dziewczyna z każdego miasteczka w promieniu kilku kilometrów, która znalazła jakiś środek transportu, pojawi się na tańcach, ponieważ tańce stanowiły jedyny sposób, by znaleźć sobie wreszcie partnera.

Och, gdyby to było zeszłe lato, pomyślała Fauve w przyływie tęsknoty, kiedy ta cała sprawa z łączeniem się w pary jeszcze się nie zaczęła! Pomme i Epinette, które niegdyś myślały tylko o tym, jak wyrwać się spod opieki matki i razem z nią płatać figle, tak bardzo przeżywały swoje randki w niedzielny wieczór.

W ciągu dwóch lat prawdopodobnie się zaręczą albo wyjdą za mąż, a potem, zanim się spostrzeże, zostaną młodymi matkami i będą chwalić się przed nią swoimi dziećmi. Wyrzekną się całkowicie wolności, wolności, o której prawie zapomną i pewnie nie będą jej nawet żałowały, może tylko w chwili wspomnień.

Tak naprawdę, Pomme i Epinette były już stracone na zawsze,

pomyślała i przeszył ją ostrzegawczy dreszcz. Jej wakacyjne przyjaźnie, które zeszłego lata wydawały się wieczne, teraz okazały się przelotne - zastąpił je, w ciągu jednej zimy, nieomylny i niepożądany cień końca młodości. Dlaczego młodość musi mieć swój kres?

W żarliwym odruchu niewinności, Fauve rzuciła się na łóżko. Komu potrzebni są chłopcy? Dlaczego Pomme i Epinette tak na nich zależy? Czy nie mogłyby poczekać choć jeden rok? Wiedziała jednak, że już jest za późno. Obie rozwinęły żagle na morzu romansów, sądząc po nutce niezwyklej czułości, która brzmiała w głosie Pomme, zwykle tryskającą ironią, kiedy mówiła o Raymondzie Binard, młodym elektryku z Apt. A gdzie podziała się zwykła rozkoszna szorstkość Epinette, kiedy oświadczyła z dumą, że Paul Alouette, jej „przyjaciół”, który jest na przepustce z wojska, pożyczyci od ojca nowego Citroena na tę okazję? Czy pożyczycie samochodu to taki wielki wyczyn?

W Nowym Jorku, w swojej klasie w Dalton School, Fauve należała do paczki chłopców i dziewcząt, którzy kiedyś chodzili razem na lekcje tańca, a teraz spotykali się na koncertach rockowych i prywatkach. Wiedziała, że w klasie, w której inni palili już trawkę i eksperymentowali z seksem, uważano ich za opóźnionych w rozwoju. Jednak żaden z jej przyjaciół nie czuł potrzeby angażowania się w skomplikowane męsko - damskie gry, w które grać zaczęli już wszyscy wokół.

Gdyby można było zatrzymać czas! Gdyby nic nie musiało się zmieniać!

Zaskoczona tym, że jest bliska łez, westchnęła głęboko. Nie wiedziała, że było to pierwsze westchnienie istoty dorosłej, westchnienie, które wynikało ze świadomości upływu czasu i gorzkiej bezużytecznej

wiedzy, że nie można temu zaradzić.

Powoli Fauve odnalazła pociechę w swoim pokoju. Mogła liczyć przynajmniej na to, że on nie zmieni się nigdy. Pokój w wieży czekał na jej przyjazd co roku, żył swoim własnym wewnętrznym życiem, które należało tylko do niej. Zanim zaczęto używać go jako gołębnika, był tu wiatrak. Mogła wyobrażać sobie jego wielkie śmigła zataczające kręgi wokół okien sto lat temu i niemal usłyszeć trzepot skrzydeł całych pokoleń gołębi, które niegdyś gnieździły się tam, gdzie stało teraz jej łóżko.

Przez ostatnich osiem lat w pokoju przybywało rzeczy Fauve, aż stał się swego rodzaju muzeum jej dorostania. Pokolenia lalek siedziały sztywne pod ścianami, na których wisiały fotografie Fauve i Mistrala z każdego roku, obok starych pocztówek wynajdywanych w okolicznych sklepach z antykami, suszonych przez nią kwiatów oprawionych w ramki i plakatów, zawiadamiających o jarmarkach w miasteczku, balach w remizie strażackiej i innych wydarzeniach drogich jej sercu. Nigdy nie wyrzucała żadnego przedmiotu z tej kolekcji pamiątek. Nigdy też nie zabrała ze sobą niczego z Félice do Nowego Jorku. Instynktownie starała się oddzielić od siebie te dwa światy, tak jak były od siebie oddzielone w rzeczywistości.

Kiedy Fauve leżała w półśnie, usłyszała nagle dobiegający z dziedzińca głos Kate. Jakże był podobny do głosu Nadine, Nadine, która Bogu dzięki, po ślubie z Phillipe Dalmas mieszkała w Paryżu i latem odwiedzała La Tourello raz, może dwa.

Czy Nadine doznała żalu choćby przez krótką chwilę, żalu, kiedy z zimnej, opanowanej, wyniosłej piętnastolatki przeistoczyła się w zrównoważoną, światową szesnastolatkę? Fauve wątpiła w to. Gdyby Nadine i ktoś z jej towarzystwa znalazł się kiedykolwiek na wiejskiej

zabawie, to tylko po to, by stać z boku i gapić się z wyraźnym rozbawieniem. Tak jakby był to niezwykle komiczny folklorystyczny pokaz. Gdyby raczyli zatańczyć, to tylko po to, by móc potem opowiadać dowcipne historyjki o dziwactwach wieśniaków.

Na wspomnienie swojej przyrodniej siostry, Fauve zacisnęła pięści i podniosła się z łóżka. Ponure myśli zniknęły pod wpływem wojowniczego nastroju, który zdolny jest sprawić, że każda istota płci żeńskiej zapomina nawet o problemach tak dręczących, jak krótkość młodości i przemijanie.

W co się ubrać?

* * *

Pięć dni później Fauve stała razem z innymi dziewczętami w kącie Salle des Fetes w Uzès, tętniącym życiem miasteczku targowym o licznych średniowiecznych basztach, w których mieściła się siedziba księcia d'Uzès pierwszego para Francji. W roku 1969 niezwykle trudno było zdecydować się na jakiś styl, ale moda na minispódniczki dotarła nawet do Luberon. Przez cały tydzień Fauve godzinami przymierzała i odrzucała jedną sukienkę po drugiej. We wszystkich, w jej nagle świadomych sobie oczach, wyglądała zbyt strojnie, tak jakby wybierała się na uroczystość znacznie większą niż prowincjonalna zabawa, albo zbyt niedbale, jakby nie zadała sobie trudu włożenia swojego najlepszego ubrania, co na pewno zrobią inne dziewczyny. Nadal stała niezdecydowana, tylko w jasnopomarańczowych rajstopach, kiedy Marte Pollison zastukała do drzwi, by powiedzieć, że jej przyjaciele czekają już pod domem w samochodzie.

W nagłym porywie buntu wskoczyła we wściekle różową sukienkę przeciętą geometrycznym wzorem fioletowej wstążki. Raz jeszcze

przyglądała szczotką rude włosy. Każde długie połyskliwe pasmo flirtowało z wiatrem. Wsunęła stopy w jasnozielone balerinki od Capezio i zbiegła po schodach swojej własnej wieży, nie wstępując nawet do salonu, by się pożegnać. Nawet jeśli Kate nie aprobowała jej wyczucia koloru, wcale się tym nie przejmowała. Nigdy - a już na pewno nie w tej chwili.

* * *

Kąt, w którym zgromadziły się dziewczęta huczał od gwaru głosów, ale Fauve nie przysłuchiwała się rozmowom. Widziała, że z kąta chłopców zmierza ku niej dwóch z nich. Każdy miał wyraźny zamiar zaproszenia jej do tańca. Jednym z nich był Lucien Gromet, którego nieświeży oddech pamiętała jeszcze z zeszłego roku. Drugi, Henn Savati, potrafił tylko maszerować w takt muzyki. W panice zastanawiała się, czy nie powinna poprosić do tańca którejś z młodszych dziewcząt i pozbyć się w ten sposób ich obu.

Dwaj chłopcy zbliżali się z jednakową prędkością. Żaden z nich nie chciał sprawiać wrażenia, że konkuruje z drugim. Już tylko kilka kroków dzieliło ich od Fauve, kiedy odsunął ich stanowczo trzeci młodzieniec i zatrzymał się tuż przed nią. Z galanterią zwrócił się do dwóch pozostałych: - Proszę tysiąckrotnie o wybaczenie, drodzy przyjaciele, ale Mademoiselle obiecała mi wszystkie tańce w swoim karneciku dzisiejszego wieczoru. - Na te słowa Luci en i Henri szeroko rozdziawili usta. Przyjęty sposób zapraszania dziewczyny do tańca polegał na mruknięciu czegoś do niej, wskazaniu kciukiem w kierunku parkietu, pokłusowaniu na jego środek, bez oglądania się, czy dziewczyna też idzie. Karnecik!

Fauve dwukrotnie zatrzepotała rzęsami. - Ach, Rolandzie, zastanawiałam się, gdzie się podziałeś - powiedziała i położyła mu dłoń na

ramieniu. - Pomyślałam sobie, że może musiałeś zatrzymać się po drodze i nakarmić słowiki.

- Nie, dzisiaj zatrzymały mnie pawie. Pawica jest w okresie godowym i wdały się w niesamowitą bójkę. Zatańczymy walca?

* * *

- O niczym innym nie marzę, ale orkiestra gra, niestety, coś innego.

- Zatem, przesiedzimy ten taniec?

- To dobra myśl, Rolandzie.

- Mam na imię Eric - powiedział. - Ale możesz mówić do mnie Roland, jeżeli z jakiegoś powodu bardziej ci to odpowiada.

- Nazywam się Fauve. - Słyszac po raz pierwszy jej imię, okoliczni chłopcy robili zwykle niemądre uwagi. Czekala, ale nie powiedzial nic, tylko wpatrywala sie w nia z wyrazem szczerego zachwytu. Pomyslala, ze nie przypomina sobie, by kiedykolwiek widziala mezczyzne - bo byl mezczyzna, nie chlopcem - ktory w sposob tak oczywisty czulby sie rownie swobodnie.

Eric mial dobrze ponad metr osiemdziesiat wzrostu i bylo w nim cos niezwyklego, czego Fauve byla doskonale swiadoma, ale nie potrafilo tego nazwac, kiedy na niego patrzyła. W gre nie wchodzil tylko wyglad, choc Eric byl niezwykle przystojny. Mial zdecydowane, wyraziste, ladne rysy, byl mocno opalony, a jego geste brazowe wlosy sterczaly niesfornymi kosmykami, opadajacymi na prawe oko i z dwuch stron na czolo. Dolna warg, pelna, z wglebieniem posrodku, przyciagal wzrok i nadawala jego twarzy wesoły, pogodny wyraz. Ale w czym tkwi to, zastanawiala sie Fauve, co uderzylo ja jako niezwykla i wazna cecha nieznajomego.

- Przyglądasz mi się - powiedział i uśmiechnął się.

- To ty mi się przyglądasz - odparła z oburzeniem.

- Może wolałabyś zatańczyć?

- Zatańczmy.

Orkiestra zaczęła właśnie grać „La Vie en Rose”, kiedy Eric wziął ją w ramiona. Fauve, która stała sztywno, przybierając przyjętą w tych stronach pozę do tańca, stwierdziła nagle, że przyciągnął ją do swojej piersi i powiódł bezbłędnym krokiem walca, a jej nogi natychmiast się do niego dostosowały. Może i orkiestra nie grała wymaganego raz, dwa, trzy, cztery, raz, dwa, trzy walca wiedeńskiego, ale mimo to tańczyli cudownie i z takim wdziękiem, że patrząc na nich, szef orkiestry dał znak muzykom, by zagrali „Nad pięknym, modrym Dunajem”. Kiedy skończył się walc, przystanęli nagle oboje, zaskoczeni, że znaleźli się pośrodku kręgu tańczących, którzy wpatrywali się w nich z taką ciekawością, jakby na sali objawili się Ginger Rogers i Fred Astaire we własnej osobie.

- Było cudownie - powiedzieli jednocześnie, a ich słowa spotkały się w pół zdania.

- Chodź, napijemy się czegoś zimnego. Dowiedziałem się o tobie trzech ważnych rzeczy i mam zamiar olśnić cię swoją inteligencją - powiedział Eric, wyprowadzając ją z kręgu. Przy Salle des Fetes była kafejka, w której dorośli towarzyszący młodym na tańce zbierali się, by pograć w karty. Fauve i Eric zajęli stolik i zamówili cokę.

- Po pierwsze - powiedział - jesteś cudzoziemką, po drugie - artystką, po trzecie - pachniesz piękniej niż wszystkie dziewczyny na świecie.

- Ale ja nie używam perfum - zaprotestowała Fauve.

- To właśnie miałem na myśli.

- Och - zastanowiła się nad tym przez chwilę i stwierdziła, że się

rumieni. Ten nieszczęsny rumieniec, kobiety Lunelów przekazywały sobie z pokolenia na pokolenie.

- Skąd wiesz, że jestem cudzoziemką? - zapytała pośpiesznie Fauve, szybko zmieniając akcent na południowy.

- Za późno na tę sztuczkę, a poradziłbym sobie mimo to. Tańczysz walca jak cudzoziemka - bosko, i mówiąc po prostu, jesteś jedyną dziewczyną w Prowansji, która mogłaby odbić Arcyksięcia Rudolfa Marii Vetserze. Nie nauczyłaś się tego tutaj.

- Och! - Fauve widziała wznowienie Mayerlingu w telewizji i jej rumieniec stał się jeszcze ciemniejszy.

- Skąd wiesz, że jestem artystką? - zapytała nerwowo.

- Ponieważ tylko artystka mogłaby umyślnie ubrać się w takie kolory. Już sama suknia i włosy rzucałyby się w oczy, ale dodać jeszcze do tego pomarańczowe rajstopy i te buty...

- Interesuję się sztuką - powiedziała wymijająco Fauve. Nigdy nie mówiła nikomu, że maluje. Tylko jej rodzina, Melvin Allenberg i kilku bliskich przyjaciół wiedziało, że maluje, ale nikt z nich nie miał naprawdę pojęcia, jak bardzo poważnie traktuje tę sprawę.

- Interesujesz się sztuką? - zapytał. - Tylko tyle?

- Często chodzę do galerii i do muzeów. W końcu Nowy Jork to światowa stolica sztuki.

- Tak się wydaje nowojorczykom - odparł Eric. - Żaden Francuz nie mógłby przyznać, że po wojnie centrum sztuki przeniosło się do Stanów Zjednoczonych.

- Och, przestań, przecież wiesz, że tak jest. Spacerując w sobotnie popołudnie po galeriach na Madison Avenue możesz zobaczyć więcej

nowych wystaw niż w całym Paryżu, nie mówiąc już o muzeach. Mój przyjaciel Melvin i ja chodzimy na wystawy dwa albo trzy razy w miesiącu - odrzekła Fauve.

- Twój przyjaciel Melvin? Czy to jakiś znawca? - najeżył się Eric.

- Melvin jest niesłychanie inteligentny! To zadziwiające, ile wie... i jest taki kochany.

- Ten wzór cnót jest też niewątpliwie przystojny?

- No, może nie jest to takie oczywiste, ale to zaskakujące, ile dziewczyn się w nim kocha. Najpierw są zafascynowane jego rozumem i talentem, a potem zaczynają dostrzegać, jak bardzo jest atrakcyjny i jaki uroczy. Czasami wydaje mi się, że z nikim na świecie nie mogę porozmawiać tak jak z MeMnem - to tak, jakby można było mu powiedzieć wszystko i być pewnym, że zrozumie.

- To brzmi tak, jakbyś sama była w nim zakochana - stwierdził ponuro Eric.

- Zakochana? Och, Eric, co za niesłychany pomysł! - zachichotała Fauve.

- Co w tym złego, do diabła? Myślę, że doskonale się bawisz, siedząc tu ze mną i gadając bez przerwy o inteligentnym, przystojnym, uroczym Melvinie, z którym spędzasz liczne artystyczne popołudnia.

- Wieczory też, Eric - są jeszcze przecież wszystkie wernisaże, wiesz, a moja babka pozwala mi chodzić z nim na te najważniejsze - powiedziała Fauve, uśmiechając się złośliwie.

- Och, tego już za wiele! - Eric wysączył swoją cokę i z hałasem odstawił szklanę. - Wracam na salę.

- Eric!

- Co? - warknął wściekle.

- Melvin jest stary, to staruszek, ma co najmniej czterdzieści trzy albo i cztery lata. To ktoś w rodzaju wujka, był przyjacielem mojej matki, zlituj się.

- Skoro o tym mowa, ile masz lat? - zapytał, siadając z powrotem na krześle i z trudem skrywając uczucie ulgi.

- Szesnaście - odpowiedziała Fauve. Szesnaście lat wydało jej się nagle absurdalnie młodym wiekiem. Jej tęsknota za czasami, kiedy miała lat piętnaście zniknęła, by nie powtórzyć się przez następne dziesięciolecia.

- Ja mam dwadzieścia.

Uśmiechnął się do siebie bez powodu i z wielu powodów. Fauve zrozumiała, że od pierwszej chwili, w której ujrzała Erica, uderzył ją wyraz jego twarzy. Ufała mu. Zaufała mu bezgranicznie, bez chwili wahania. To było dziwne, by w tej twarzy dostrzec tę właśnie cechę. Jak mogła zaufać obcemu człowiekowi od pierwszego wejrzenia? I do tego tak przystojnemu? Pomme i Epinette mówiły, że tacy mężczyźni są zepsuci i zarozumiali, i że należy ich bezwzględnie unikać. Ale Pomme i Epinette nie wiedziały pewnie wszystkiego tak dobrze, jak im się zdawało.

- Poza tym, że wiesz wszystko o sztuce, dzięki miłemu trzęsącemu się staruszkowi Melvinowi, domyślam się, że o architekturze też wszystko wiesz - rzekł Eric.

- Nic poza tym, co można zauważyć podczas spacerów. Naprawdę nie wiem nic.

- Boże, dzięki ci za to - powiedział uradowany Eric. - Jestem architektem, to znaczy - wkrótce będę... Studiuję w Beaux-Arts.

- Dlaczego tak się cieszysz, że nic nie wiem?

- Chciałbym, żeby było coś, czego mógłbym cię nauczyć - odparł.

- Dobra, zaczynaj.

- Nie w tej chwili. Myślę o jutrze, o pojutrze, o przyszłym tygodniu, o całym lecie... Czyżbyś nie miała romantycznego usposobienia?

- Nie wiem... To znaczy, skąd mam wiedzieć? - zapytała poważnie Fauve, marszcząc w skupieniu brwi.

- Zatem jesteś także analfabatką w sprawach romantyki? To jeszcze lepiej. Dalej, Fauve, chodźmy zatańczyć jeszcze walca, a potem - czy pozwolisz odwieźć się do domu? A może z kimś tu przyszłaś? Na tych zabawach trudno się zorientować - w jego głosie brzmiała niepewność.

- Przyjechałam z przyjaciółmi, ale nie będą mieć nic przeciwko temu, jeśli zabierzesz mnie do domu.

- Gdzie mieszkasz?

- Niedaleko Félice.

- To dość daleko - powiedział radosnym tonem.

- Około sześćdziesięciu kilometrów - rzekła przepraszająco.

- To właśnie mi się w tobie podoba. A teraz, Fauve, musisz przestać się rumienić, kiedy prawię ci komplementy. Zamierzam cię wytresować, jak psa. Komplement co dziesięć minut przez kilka godzin i zapomnisz o czerwienieniu się... nie, może to nie jest jednak dobry pomysł. Chyba mi się podoba twój rumieniec... Dodaje taki interesujący odcień do wszystkich tych odcieni różu.

* * *

W Prowansji tańce nigdy nie zaczynają się przed dziewiątą i rzadko kończą się przed drugą, ale Fauve nalegała, by wyruszyli zaraz po

północy, bo droga była długa, a ojciec zawsze czekał na jej bezpieczny powrót.

Niedaleko Remoulins, gdzie wjechali na autostradę numer 100, prowadzącą na wschód prosto do Félice, Eric usiłował przekonać Fauve, by choć na chwilę zboczyli z drogi i popatrzyli na Pont du Gard w świetle księżyca. - To jeden z największych cudów starożytności. Zachował się w nietkniętym stanie przez dwa tysiące lat. Nie można zrozumieć Rzymian, jeśli nie widziało się tego akweduktu... jest... Jesteś pewna, że nie chcesz? Naprawdę możesz przeżyć do jutra, nie zobaczywszy akweduktu? Dobrze... przyjedziemy tu innym razem.

W Villeneuve-les-Avignon miał kolejną propozycję. - Wpadnijmy do moich rodziców, żeby się przywitać. Nigdy nie śpią o tej porze, a z tarasu ich domu jest najlepszy widok na Fort St. Andre. To chyba najlepszy przykład fortyfikacji z podwójnymi basztami... To też nie? Nie masz ochoty na wspaniałą fortecę? Dobrze, dobrze... Przejadę przez rzekę, nie patrząc ani w lewo, ani w prawo, chociaż zrobisz błąd, jeśli w tę noc nie rzucisz okiem na Pałac Papieski. W świetle dnia nie wygląda tak dobrze.

- Do domu, Eric - nalegała Fauve, a kiedy minęli już Awinion i pędzili przez rozległą i żyzną dolinę, Eric wysuwał i odrzucał dziesiątki pomysłów na następny dzień. Czuł na sobie wielką odpowiedzialność za wprowadzenie Fauve w tajniki architektury. Ponieważ w okolicy były ruiny fenickiego miasta założonego w szóstym wieku przed naszą erą i sto innych cudów powstałych w następnych wiekach, od czego powinien zacząć? Jaki jest próg tolerancji Fauve, gdy w grę wchodzi ruiny?

Kiedy byli już niedaleko Félice, Fauve stwierdziła, że prawie go nie słucha. Zaniepokojona, pomyślała, że ojciec nie widział jej właściwie

dotąd z jednym wybranym chłopcem. Co sobie o niej pomyśli, kiedy zobaczy, że wybrała się wieczorem z grupą starych przyjaciół, a wraca do domu z nieznanym młodzieńcem, którego poznała na tańcach? Pewnie inne dziewczyny zawsze tak postępują. Powinien być dumny, że nie podierała ściany, pomyślała, wskazując Ericowi drogę do La Tourelle. Przecież powinien być zachwycony, że poznała kogoś, kto studiuje tak zajmujący przedmiot jak architektura.

Wielkie bramy La Tourelle były szeroko otwarte, a na odległym kraniec dziedzińca padało światło z salonu.

- Chodź, przedstawię cię ojcu - mruknęła Fauve i, zdenerwowana, poprowadziła go do salonu. Wiedziała, że ojciec siedzi tam nasłuchując, czy już wróciła.

Kiedy weszli do pokoju, Mistral podniósł się z krzesła przy kominku i zbliżył się do nich, mierząc to Fauve, to Erica zdziwionym spojrzeniem. Dziwi się, ale nie jest zły, pomyślała Fauve z ogromną ulgą.

- To mój ojciec - powiedziała, nie ośmielając się spojrzeć na Erica. Powinna była go uprzedzić, że jest córką Mistrala, wie, że powinna, ale nie było na to czasu, czy też chwila, w której zabrzmiałoby to naturalnie trwała tak krótko, że Fauve nie miała dość sprytu, by z niej skorzystać. Poza tym nie pytał jej o to i w ogóle, co z tego? Nie dlatego mu się spodobała, że była córką Mistrala, i nie dlatego zwrócił na nią uwagę, ale teraz, kiedy było już za późno, rozpaczliwie pragnęła, by nie dowiadywał się o tym w tak nieoczekiwany sposób. Eric mógłby pomyśleć, że zaplanowała to, żeby mu zaimponować.

- Tatusiu, to jest Eric - powiedziała słabym głosem.

- Rozumiem - rzekł Mistral, ściskając z uśmiechem dłoń Erica. - Ale

cóż to za dziwne obyczaje ludów pierwotnych panują wśród młodych, że nie przedstawiają się nazwiskiem? Jaki Eric, jeśli wolno zapytać?

- Dobry wieczór, Monsieur Mistral.

Dlaczego, zastanawiała się Fauve, głos Erica brzmi tak dziwnie? Czy naprawdę jest na nią zły?

- Na nazwisko - mówił dalej Eric - mam Avigdor. A moim ojcem, Monsieur Mistral, jest Adrien Avigdor.

- Przecież nie możesz zabronić Fauve spotykać się z tym młodym człowiekiem - powiedziała spokojnie Kate. - To nie ulega wątpliwości, Julien. W dzisiejszych czasach! Nie masz żadnego powodu, który mogłaby zrozumieć i zaakceptować. Skutek będzie taki, że skłonisz ją tylko do zadawania pytań, na które nie masz wielkiej ochoty odpowiadać, czyż nie? Na twoim miejscu pozostawiłabym sprawę własnemu biegowi - sama się rozwiąże, jeśli nie będziesz się wtrącał.

- Nie widziałas jego twarzy, Kate. Nie słyszałaś, jakim mówił tonem.

- Czy powiedział coś niestosownego?

- Nie, jeśli o to chodzi, zachowywał się jak należy, ale było w nim coś - wiem, że się nie mylę.

- Julien, na pewno wie tylko tyle, że jego ojciec był kiedyś twoim dealerem. Avigdor czuje się, rzecz jasna, dotknięty, że cię stracił. Każdy dealer czułby się tak samo. To niewątpliwie znana ponura historia rodzinna - jak papa Avigdor wylansował Julię Mistrala, który potem okazał się niewdzięcznikiem i zmienił dealera. Wiesz, że tacy ludzie rozmawiają tylko o interesach. To, że cię stracił było prawdopodobnie największym wydarzeniem w życiu Avigdora - poza tym, jak cię pozyskał.

- Nie chcę, żeby Fauve miała z nim do czynienia.

- To tylko dziecko. W wieku szesnastu lat jest za mała, żeby „mieć do czynienia” z chłopakiem. W każdym razie nie na serio. Co w tym złego? Poza tym, artyści mają prawo zmieniać dealerów. Przecież Fauve mówiła, że ten chłopak ma dopiero dwadzieścia lat. A ostatni raz widziałeś Avigdora przed wojną - ostatnio był tu chyba w 1938... może nawet w 1937 - nie pamiętam. To ponad trzydzieści lat temu! Bądź rozsądny. Myślę, że traktujesz sprawę zbyt poważnie, bo chodzi o Fauve. Nigdy nie przejmowałaś się w taki sposób tym, z kim spotyka się Nadine, a Bóg jeden wie, że w swoim czasie przyprowadzała do domu wielu młodych mężczyzn.

Już dawno temu Kate zrozumiała, że nie ma potrzeby, by Julien wiedział, iż Marte Pollison opowiedziała jej dokładnie o tym, co zaszło między nim i Avigdorem podczas wojny, i o innych sprawach. Przechowywała w pamięci wiele informacji o swoim mężu. Nigdy nie wiadomo, kiedy się przydadzą... Był to pewnego rodzaju kapitał, na swój sposób równie cenny jak obrazy przechowywane w magazynie.

Rozkoszowała się teraz wyrazem zaniepokojenia na twarzy Mistrała. W przeciwieństwie do niego miała tak niewielkie możliwości obrony. To dziwne. Kiedyś wydawało się, że Fauve jest jego kolejnym narzędziem walki, zagrażającym jej i Nadine. Teraz, kiedy Fauve była z każdym rokiem starsza i coraz droższa Mistralowi, droższa nade wszystko - bo Kate była zbyt bystra, by tego nie zauważyć - stała się bronią, którą ona sama mogłaby posłużyć się w jakiś sposób.

Kiedyś, za jakiś czas, Julien będzie musiał zapłacić za cierpienia, których jej przysporzył. Kate wierzyła w nieuchronność zemsty. Życie nie może, nie wolno mu, traktować jej niesprawiedliwie... nie na dłuższą metę,

nie, jeśli będzie cierpliwa. Jakie to interesujące, że Fauve poznała tego młodego Avigdora. - Jak on wygląda? - zapytała mimochodem. - Czy jest podobny do ojca? - Trochę... może... ale nie zwróciłem szczególnej uwagi. Jest dużo przystojniejszy, wyższy, nigdy bym się nie domyślił, że to jego syn.

- Chcesz powiedzieć, że nie wygląda na Żyda?

- Nie to chciałem powiedzieć! Avigdor też nie wygląda na Żyda, dobrze wiesz.

- Dobry Boże, Julien, nie ma powodu, żebyś napadał na mnie w taki sposób. Nie bądź taki przewrażliwiony. Za dwa tygodnie Fauve znudzi się zwiedzanie starych budowli z tym studentem i pojawi się dziesięciu innych chłopaków, o których będziesz się martwić. Więc jest bardziej przystojny? Dużo? W końcu Avigdor nie był ideałem męskiej urody.

- Dużo, dużo przystojniejszy. Za dużo.

- Spróbuj zasnąć, Julien - powiedziała Kate ze słodyczą w głosie.

- Masz przywidzenia.

* * *

- Eric, co ci przyszło do głowy, by zaczynać swój program kulturalny od zwiedzania Pałacu Papieskiego? - zapytała rozbawiona Beth Avigdor, z łagodnym oburzeniem. - Tak wielka, nieprzytulna przestrzeń, nie ma tam nawet mebli, za to pełno turystów. Nic dziwnego, że jest pani zmęczona, Mademoiselle Lunel. Od trzech lat staram się, by moja noga nie postąpiła w tym miejscu.

- Podobało mi się tam... przez pierwszą godzinę... a potem nie było już odwrotu - odparła Fauve, poruszając zbolętymi palcami stóp, wdzięczna, że parasol rzuca chłodny cień na nakryty do lunchu stół w

ogrodzie La Prieure.

Matka Erica to kobieta godna uwagi, myślała Fauve, bezpośrednia, przystojna, o pięknych ciemnych oczach i włosach przetykanych pojedynczymi nitkami siwizny. Wyglądała tak, jakby była co najmniej o dwadzieścia lat młodsza od ojca Erica, który siedział z nadzwyczajną swobodą i z uwagą studiował liczącą czternaście stron kartę win, przyozdobioną siedmioma stronami dowcipnych rysunków tuszem autorstwa Ronalda Searle. Adrien Avigdor nigdy nie wyglądał szczególnie młodo, nawet jako chłopak. Teraz był w przyjemny sposób łysy, krępy, pomarszczony, łagodny i jak zwykle, nie rzucał się w oczy. Jego twarz była tak prosta, tak pozbawiona charakterystycznych rysów. Dominował w niej wyraz szczerzej dobroci, któremu wiek przydał jeszcze uroku.

W 1945 poślubił piękną Beth Levi, która przez trzy lata walczyła u jego boku w Ruchu Oporu. Ich jedyny syn, Eric, który po matce odziedziczył urodę, zaś charakter po ojcu, urodził się w 1949. Avigdorowie tworzyli wspaniałą, harmonijny związek, a jego galeria na rue du Faubourg St. Honore była jedną z najlepiej prosperujących i najbardziej liczących się galerii we Francji.

Wiele lat temu, kiedy kupił letni dom w Prowansji, postanowił zamieszkać w modnym, eleganckim miasteczku Villeneuve-les-Avignon, różniącym się topografią i atmosferą od prymitywnych miasteczek wśród wzgórz Luberon, z którymi łączyły go niedobre wspomnienia. A teraz, na Boga, Eric pojawia się z córką Mistrala, rozmyślał Avigdor, starając się dokonać wyboru między nie najgorszymi zapewne winami Nuits-St. Georges i Cios de la Marechale a z pewnością doskonałym Romanee-St.-Vivant.

Nie można było przekonać Beth, w której entuzjazm Erica rozbudził macierzyńską ciekawość, by nie przygotowywała tego lunchu. Jego żona nie wiedziała nic więcej o Mistralu poza jednym prostym faktem, że jej mąż był niegdyś dealerem artysty. - Nie układało nam się dobrze, ale nie ma o czym dyskutować. To nieważne - oznajmił jej kilka lat temu. W zeszłym roku Eric był ciekaw przyczyn jego kłótni z malarzem, ale oparł się pokusie wyjaśnienia sprawy synowi. - Nazwijmy to obopólnym brakiem porozumienia - powiedział marszcząc brwi w niemal niedostrzegalny sposób, co tylko upewniło Erica, że musiało dojść między nimi do pewnego konfliktu.

Nic nie mogło zaniepokoić Avigdora bardziej niż fakt, że jego syn zainteresował się córką Mistrala, ale postanowił, że będzie dla niej miły, tak jak dla każdej innej dziewczyny. Wystarczyło na nią spojrzeć, by przekonać się, że nie mogło być inaczej.

Życie nauczyło Avigdora kilku rzeczy, a jedną z nich było to, że miał szczęście, bo przeżył, podczas gdy tylu innych zginęło. Uważał, że ważne jest, by czuć wdzięczność za to życie, by nie rozdrapywać starych ran. Pragnął tylko żyć godnie, uczciwie wobec innych, ale trudna lekcja przetrwania, którą odebrał podczas okupacji sprawiła, że odwracał się z niechęcią, kiedy ludzie zaczynali rozprawiać o polityce lub religii. Jakże słodkie mogłoby być życie, myślał często, gdyby wykluczyć te dwie siły, które tak gwałtownie i żarznie dzielą ludzi. Nie chciał już wracać do pewnych wspomnień, które, wbrew całej jego filozofii, wcale nie zbladły, a Fauve Mistral sprawiła, że ożyły znowu.

- Zatem, Mademoiselle - rzekł, zwracając się do Fauve z dobrotliwym uśmiechem - chodzi pani w Stanach Zjednoczonych do

szkoły?

- Och, proszę do mnie mówić Fauve. Tak, mieszkam w Nowym Jorku, ale każdego lata odwiedzam ojca.

- Tak, tak, to miłe. Ach, Jacques - Adrien Avigdor zwrócił się do Jacquesa Mille, dyrektora hotelu, syna właściciela La Prieure, który odkupił pensjonat od Madame Ble - jak, twoim zdaniem, wypada porównanie Nuits-St. Georges z Romance St. Vivant? Jakie jest twoje własne zdanie, tak między przyjaciółmi?

- Dla własnego podniebienia, Monsieur Avigdor, wybrałbym Beaune Vignes Franches, rocznik 1955. - Młody Jacques Mille, ubrany z niedbałym szykiem według angielskiej mody, ujmująco bezpośredni i szczery, wychowany na zarządcę wspaniałego hotelu i restauracji zawsze udzielał rad, na których można było polegać.

- Zatem, decyzja podjęta - ucieszył się Avigdor. Zamiast dobierać wino do potraw, wołał, żeby stanowiło główną atrakcję posiłku.

Jak zwykle, ogród La Prieure był pełen ucztujących gości: rodzin świętujących uroczystości i prawdziwych smakoszy, którzy siedzieli przy okrągłych stolikach, wsparci na jasnoniebieskich poduszkach pod czerwonymi parasolami. Kelnerzy i pomocnicy uwijali się pod czujnym spojrzeniem Marie - France Mille, żony Jacquesa, kobiety o słodkim głosie, będącej wcieleniem wyidealizowanej kruczowłosej prowansalskiej piękności, którą włoski poeta Petrarca unieśmiertelnił w osobie Laury.

Czy tę radosną scenę lunchu zrozumiałby duch pobożnego kardynała Arnaud de Via, bratanka papieża Jana XII, który w 1333 oddał swój pałac na klasztor dwunastu kanonikom? Co pomyślałby duch Madame Ble, która prowadziła zaciszny pensjonat z basenem o olimpijskich wymiarach i

dwóch niewidocznych dla biesiadników kortach tenisowych po drugiej stronie starego ogrodu różanego? Jakie wydawałaby z siebie okrzyki, gdyby mogła zobaczyć wspaniałą przybudówkę wzniesioną niedawno w doskonałej harmonii ze starymi budynkami, w której mieściły się klimatyzowane apartamenty z luksusowymi łazienkami? I co powiedziała by duch Teddy Lunel, gdyby mogła wyrzeć z okna pokoju, w którym rozstrzygnął się jej los i zobaczyć swoją wysoką, śliczną córkę, jedzącą lunch w towarzystwie Adriena Avigdora, człowieka, o którym Julien Mistral nigdy jej nie wspominał w czasie ich krótkiego wspólnego życia?

* * *

- Tak się cieszę, że pana poznałam, Monsieur Avigdor - powiedziała Fauve. - Babcia opowiadała mi o panu.

- Więc Maggy nie zapomniała o mnie? - zapytał Avigdor z zadowoleniem.

- Oczywiście, że nie. Magali opowiedziała mi dokładnie wszystko o swojej przeszłości. Uważa, że to istotne, by dzieci wiedziały jak najwięcej o swoich rodzicach i dziadkach, zwłaszcza gdy są nieślubne.

Fauve starannie dobierała słowa. Chciała, żeby rodzice Erica wiedzieli od samego początku, że niezależnie od tego, co sądzą o jej pochodzeniu, nie muszą traktować jej z przezornym taktem.

- Chciałabym, żeby opowiedział mi pan o młodości mojego ojca. Tak naprawdę znam go dopiero od ośmiu lat. Ojciec jest wspaniały, ale nie lubi wspomnień. A to przecież pan zorganizował jego pierwszą wystawę, więc zna go pan od - och! - od ponad czterdziestu lat. Jaki był wtedy? - Jej twarz płonęła ciekawością.

Mistral jako młody człowiek? Avigdor poszukał szybko w pamięci

przyjemnego wspomnienia. Nie może przecież powiedzieć tej kochającej córce, że jej ojciec był zawsze przeklętym, porywczym, aroganckim i samolubnym człowiekiem. Człowiekiem, który przyczynił się do śmierci niejednego Żyda. Ale coś musi powiedzieć.

- Tak, niech pomyślę... trudno go dokładnie opisać. Zawsze wywierał duże wrażenie, zawsze najbardziej rzucał się w oczy w towarzystwie. - Przerwał i po krótkim namyśle odzyskał natchnienie. - Nigdy nie zapomnę, nie, nigdy, naszego pierwszego spotkania. Kate Browning, to znaczy, twoja macocha, przyprowadziła mnie do małej pracowni twojego ojca na Montparnasse, w której mieszkał z twoją babką. Ciągle jeszcze mam przed oczyma widok Maggy, wychodzącej bosą z kuchni z winem i kieliszkami. To zadziwiające, jak dobrze ją pamiętam, ale była przecież tak oszałamiająco piękną, wspaniałą dziewczyną. I niewiele starszą od ciebie, Fauve... Myślę, że mogła mieć osiemnaście lat. Była tak zakochana, tak oddana...

- Oddana - powtórzyła cicho Fauve.

- Tak, właśnie oddana, przede wszystkim. Wiesz, bardzo ją podziwiałem. Utrzymywała twojego ojca, zanim zaczął sprzedawać obrazy. Ale to oczywiste. Kiedy kobieta jest naprawdę zakochana, poświęci wszystko, czyż nie? Byli niezwykłą parą, oboje wysocy, oboje rudzi - on ciemny, ona jasna, byli legendą *quartier*... ach, tak, Julien Mistral i Maggy, La Rouquinne. Byli ze sobą przez jakiś czas, dopóki nie poznał Kate. Przy okazji, jak się miewa Kate? Zupełnie straciłem ją z oczu.

- Dobrze... - powiedziała Fauve, tak zmieszana, że jej głos brzmiał niewyraźnie.

- Jak jej zdrowie? - zapytał Avigdor.

- Doskonale, o ile mi wiadomo - odparła Fauve, zmuszając się do uprzejmego uśmiechu. Adrien Avigdor mówił jeszcze przez chwilę, aż wreszcie podano solę z Dover i rozmowa zesłała na jedzenie. Ale Fauve nie słyszała ani słowa.

Jej ojciec i jej babka? Kochali się? Żyli razem? Ale to przecież jej matka i jej ojciec kochali się i żyli razem! Ogarnęło ją zmieszanie i zakłopotanie tak dotkliwe i mocne, że zastygła w bezruchu. Dopiero czując, że Eric niespokojnie ściska jej dłoń pod obrusem, oprzytomniała i wzięła widelec do ręki.

Adrien Avigdor za pomocą kilku słów wypowiedzianych w dobrej wierze pozbawił ją obrazu, który sobie stworzyła, by wytłumaczyć własne życie i zmienił go na zawsze, tak jakby ktoś zmienił wzór w kalejdoskopie. Znajome kontury zniknęły, zatarły się. Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś, Magali? Wiedziałam tylko, że pozowałam mojemu ojcu. Nic więcej. Jakim jest człowiekiem? Co naprawdę zaszło między wami? Jak mogę teraz uwierzyć w to wszystko, co mi opowiadałaś?

- Czy nie smakuje ci sola, Fauve? - zapytała łagodnie Beth Avigdor. Dałaby mężowi solidnego kopniaka, gdyby ktoś ją ostrzegł, że zamierza opowiadać takie głupstwa, ale prawdę mówiąc, Fauve sama do tego doprowadziła oświadczając, że babka opowiedziała jej „absolutnie wszystko”. Czy którykolwiek rodzic lub dziadek mówi młodym „wszystko”? To byłby pierwszy taki przypadek w historii. Niezależnie od przyczyny, dziewczyna popadła w zamyślenie. - Fauve - powtórzyła pytanie - nie smakuje ci ryba?

- Och, przeciwnie. Jest doskonała, Madame Avigdor.

- Fauve, obiecuję, że przez następne dwadzieścia cztery godziny nie będzie żadnej architektury - powiedział skruszony Eric. - Przez dwa dni... tydzień? Jak tylko zechcesz. Dziś po południu będziemy robić tylko to, na co ty masz ochotę.

- Wybierzmy się do Pont du Gard - odparła Fauve z rezolutnym uśmiechem.

- Oszalałaś. Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

- Czuję się doskonale i z całego serca pragnę dobrze zrozumieć Rzymian.

- Eric uważa, że nie można dobrze pojąć cywilizacji, jeżeli nie wie się nic o jej stosunku do wody - mruknął Adrien Avigdor. - Dlaczego do wody, a nie wina, pytam was? Nikt nie potrafi odpowiedzieć. Zawsze tak jest.

- Uczony talmudysta na pewno znalazłby odpowiedź - podchwyciła Fauve - jeśli jest ona panu naprawdę potrzebna.

- Och, przecież Biblia nie zajmuje się takimi sprawami - zaprotestował Eric.

- Biblia? - roześmiała się Fauve. - Co ma Biblia do dziesiątków tomów dysput i komentarzy Tory, Pięcioksiągu Mojżesza?

- Dziesiątków czego? - zapytał zdumiony Eric.

- Och, przestań stroić ze mnie żarty. Monsieur Avigdor, w Talmudzie powinny być co najmniej dwa różne zdania na ten temat, a może nawet i tuzin, więc pewnie nie znajdzie pan odpowiedzi, ale przynajmniej dobre argumenty. Tak powiedziałby pewnie rabbi Taradash, zgodnie z tym, co twierdzi moja babka.

Avigdor otworzył usta ze zdumienia.

- Napij się wina, kochanie - powiedziała pośpiesznie Beth Avigdor do swojego męża. Jej zdaniem była to bardzo rozsądna propozycja. Brzmiała może nieco staroświecko, zaskakująco i niezwykle w ustach tak młodej dziewczyny, ale to żaden powód, by rozdziawiać usta ze zdziwienia. Córka Mistrala, czy nie, ale czy Lunel to nie żydowskie nazwisko? I do tego bardzo stare. Co napadło tego człowieka?

* * *

Tego wieczoru, kiedy Fauve kładła się spać, osnuła rewelacje Avigdora ochronnym kokonem rozsądnych wyjaśnień. Nie czuła już, że babka ją oszukała. Teraz, kiedy mogła spokojnie przemyśleć to, co powiedział, fakt, że nie opowiedziała jej całej historii, że zataiła jej część, zaczynał nabierać głębokiego sensu. Nie potrafiłaby tego zrozumieć, kiedy była młodsza. Bóg jeden wie, że historia kobiet z rodu Lunelów i wszystkich ich prześladowanych przez los kochanków była bardzo skomplikowana. Była naprawdę romantyczna. Miłość w dwóch pokoleniach - myślała sennie, ale przyszło jej do głowy, że nie będzie pytać ojca o wspomnienia Monsieur Avigdora... zaczeka i po powrocie zapyta Magali. Nikt niczego przed nią nie ukrywał... nikt jej nie zawiódł... mogła im ufać... wszystko było takie jak zawsze... była tylko jedna tajemnica... nieważne... w tak odległej przeszłości... tak dawno.

* * *

- Fauve, pospiesz się i skończ śniadanie - powiedział Mistral.
- Czas na lekcję malarstwa.
- Obiecałam, że spędzę ten dzień z Ericem - odparła Fauve.
- Zabiera mnie do cyrku rzymskiego w Arles.
- Chyba sobie kpisz. Przeznaczyłem na to czas każdego

przedpołudnia.

- Nie, mówię poważnie.

- Ależ, Fauve, na oglądanie rzymskich cyrków masz całe życie. Co jest dla ciebie najważniejsze? Mając taki talent nie możesz marnować czasu na zwiedzanie. To po prostu niemożliwe! Ile dni liczy lato? Czy nie wiesz, jak wiele musisz się jeszcze nauczyć?

- Wiem, tatusiu. Ale obiecałam.

- Julien - wtrąciła Kate. - Czy na pewno masz rację? Dlaczego Fauve ma spędzać całe rano zamknięta z tobą w pracowni, zamiast wybrać się z tym uroczym młodym człowiekiem? Gdybym to ja była w jej wieku, na pewno wolałabym flirtować, a nie malować... Bądź wyrozumiały.

- Kate, nie mówię do ciebie. Chodź, Fauve. Kiedy ten chłopak się pokaże, powiedz mu, Kate, żeby zaczekał, aż Fauve skończy na dziś. Jeżeli rzeczywiście mu zależy, poczeka do południa.

- Nie, ojciec.

- Nie? Co to znaczy?

- Nie będę z tobą malować tego lata. Wcale nie. Już nie mogę.

- O czym ty mówisz? - Teraz Mistral był tak zaskoczony, że zapomniał o gniewie. - Nie możesz? Czego nie możesz? Nie chcesz chyba powiedzieć, że nie potrafisz malować? Ile razy powtarzałem ci, że masz prawdziwy, wrodzony talent? O co tu chodzi?

- Myślałam o tym przez całą zimę - głos Fauve drżał, ale opanowała się szybko. - Pamiętasz, zeszłego lata, kiedy chciałam trochę poeksperymentować, powiedziałaś, że zepsuła mnie wulgarność i blichtr wystaw, które widziałam w Nowym Jorku. Wróciliśmy do malowania postaci, pejzaży i martwych natur. Tak, chciałam ci wtedy powiedzieć, że

nie mogę dalej malować jak Mistral, że nie jestem Mistralem i nigdy nie będę Mistralem, i nie ma powodu, żebyś nadal spodziewał się, że będę taka jak ty - ale nie ośmieliłam się. Obiecałam sobie, że muszę znaleźć odwagę, by zrobić to tego lata... To wszystko, to dlatego nie pójdę z tobą do pracowni.

- Fauve - zwrócił się do niej Mistral, starając się opanować ze wszystkich sił. Żyjesz w samym centrum ścieku nieczystości całego świata sztuki, jeśli ta machina do robienia pieniędzy, ta totalna anarchia, która króluje w Nowym Jorku w ogóle zasługuje na miano sztuki. Rozumiem, że nie można całkowicie zapobiec zarażeniu się tym wszystkim. To coś w rodzaju szaleństwa dekoratora wewnątrz z Broadwayu czy Hollywood, to banda ekshibicjonistów bez talentu. Przecież ten, kto tworzy „sztukę” z neonowych rurek, szczebelków, pianki styropianowej, komiksów i przedmiotów znalezionych na śmietniku, nie traktuje ludzi poważnie. Jezu Chryste, Fauve, jeśli chcesz, by sztuka cię bawiła, przyjrzyj się Marcelowi Duchampowi. Ten przynajmniej robił to z klasą i jako pierwszy.

- Zwyczajnie nie rozumiesz tego, co mówię. Nie chcę zajmować się ani pop-artem, ani op-artem, ani minima-artem, ani żadnym innym kierunkiem. Nie chcę robić tego co wszyscy i nie mogę robić tego co ty. W ogóle nie chcę malować!

- Nie możesz po prostu nie chcieć malować, Fauve. Jesteś malarką, nie masz wyboru. - Głos Mistrała był łagodny, cierpliwy, tak jakby przemawiał do konia czystej krwi, który nagle odmówił posłuszeństwa. - Nigdy nie kazałem ci mnie naśladować, w każdym razie nie robiłem tego świadomie. Próbowałem tylko uchronić cię przed wirem tak zwanych nowych idei, które mogą jedynie wypaczyć i zepsuć twoje naturalne

zdolności. Wiesz, co zawsze mówiłem: nie można fruwać, dopóki nie rozwinie się skrzydeł tak mocno, by mogły oderwać cię od ziemi i unieść ku niebu. Musisz mieć wszystko to co niezbędne. Potem możesz robić, co chcesz. Przecież nawet Picasso, mimo iż jest wyczerpany i ogarnięty erotyczną obsesją, potrafi jeszcze rysować niczym tysiąc aniołów, jeśli tylko zechce. Musiał zdobyć klasyczne wykształcenie po to, by móc je później odrzucić. Powiadam ci tylko, że jeszcze nie opanowałaś - nie całkiem opanowałaś niezbędne podstawy, wszystkie te umiejętności. Fauve, chodźmy do pracowni. Dzisiaj będziesz robić to, co zechcesz. Żadnych lekcji. Pomalujemy sobie razem spokojnie. Żadnej krytyki. Żadnych uwag. Tylko malowanie.

- Nie, ojciec.

Mistral zacisnął wargi. Spojrzał na Fauve i zobaczył w jej twarzy coś, co kazało mu zastanowić się przez chwilę i zdecydować, że należy jej ustąpić. - Dobrze więc, jeśli czujesz, że musisz zwiedzać cyrk rzymski dziś rano, idź i baw się dobrze. Porozmawiamy o tym później, dobrze? Przecież to nie jest sprawa, którą musimy rozstrzygnąć natychmiast.

W kuchni zadzwonił dzwonek. - To Eric - powiedziała Fauve i odskoczyła od stołu. - Wrócę na obiad... a jeśli nie, to zadzwonię. - Pocałowała Mistrala w policzek. - Do zobaczenia. - Chwyciła torbę leżącą na krześle i szybko wybiegła z pokoju.

* * *

- Wiesz, Julien - powiedziała Kate w swój beznamiętny sposób - muszę powiedzieć, że jestem zaszokowana. Nie wiedziałam, że tak nie znosi twoich lekcji. Czy nie wie, jaki to zaszczyt być twoim uczniem?

- Nie pleć bzdur, Kate. Jest moją córką i zaszczyt nie ma tu nic do

rzeczy. To ten nowojorski świątek, w którym się obraca, w którym dawno już zniknęło wszelkie poczucie wartości. To ci ludzie, z którymi wolno jej, Bóg wie dlaczego, przestawać. Ten fotograf Falk, któremu pozwala się ciągać ją po tych ohydnych nowych galeriach. To plaga, to zaraza...

- Nie przyszło ci do głowy, Julien, że może przestało ją to interesować? Dlaczego spodziewasz się, że Fauve będzie inna niż wszystkie szesnastolatki? Pasjonują się jazdą konną, łyżwami, baletem i pewnego dnia spotykają chłopca - takiego jak syn Avigdora - i w ciągu jednej nocy tracą zainteresowanie tym, czemu do tej pory poświęcały całe lata. To powszechne zjawisko.

Kate wstała, trzymając w ręku listę zakupów. Potem, jakby przyszła jej do głowy nowa myśl, mówiła dalej. - Poza tym, ile jest kobiet, wielkich artystek? Ile razy sam mówiłeś, że ich energia wyczerpuje się w macierzyństwie? Ilu dzieciom sławnych ludzi udaje się osiągnąć coś ważnego w tej samej dziedzinie co rodzicom? Czy była choć jedna wielka - czy tylko znana - malarka, która była córką malarza twojego formatu? - Położyła dłoń na ramieniu Mistrała. - Nie przejmuj się tym tak bardzo... To musiało się stać, wcześniej czy później... młody Avigdor wykrzesał iskry, która wywołała eksplozję tej mieszanki... i muszę powiedzieć, że zrozumiałam dlaczego, kiedy go zobaczyłam. Cóż to za przystojny młodzieniec. I jacy gościnni byli wczoraj dla Fauve jego rodzice... Wydaje mi się, że im spieszo, by przyjąć ją na łono rodziny.

- Jak można wyciągać tak absurdalny wniosek na podstawie jednego lunchu - powiedział Mistral i poczerwieniał z gniewu.

Kate przybrała filozoficzny wyraz twarzy. - Tak to jest z dziećmi - rzekła, patrząc uważnie na Mistrała. - Martwisz się o nie całe życie i robisz

dla nich wszystko, co możesz, a potem, kiedy dojrzeją, umykają z pierwszą z brzegu osobą i zostawiają cię bez pożegnania. Czy narzekam, że Nadine prawie nigdy tu nie przyjeżdża? Odkąd wyszła za Phillipe'a, spędzają wszystkie wakacje na Sardynii, albo w Marakeszu, albo tam, gdzie ich przyjaciele. To całkiem normalne. Pogodziłeś się z tym w przypadku Nadine... To samo dzieje się z Fauve, mój drogi, to wszystko - z rezygnacją wzruszyła ramionami.

- Trudno w to uwierzyć, że byłaś kiedyś inteligentną kobietą, Kate - Mistral był tak wzburzony, że jego głos stracił wszelką barwę. Fauve i Nadine nie mają ze sobą nic wspólnego. Fauve jest utalentowana, bardzo utalentowana... jest urodzoną artystką. Przechodzi fazę buntu. Jutro albo pojutrze znowu zabierze się do pracy. - Wstał i bez słowa wyszedł z pokoju.

Kate siedziała samotnie przy śniadaniu, nasłuchując odgłosów wsi. Jej ładnie wykrojone wargi wykrzywił uśmiezek, kiedy przypomniała sobie smutny wyraz twarzy Juliana, jego wściekłość, którą starał się ukryć przed Fauve. - Ach, Julien - powiedziała do siebie - czy nie rozumiesz, że to dopiero początek? Zacząłeś ją tracić. Ty... ty, który byłeś kiedyś inteligentnym mężczyzną.

* * *

- Dlaczego Cavaillon? - zapytał Eric, prowadząc samochód. - Wiem, że rosną tam najlepsze melony we Francji, ale sądziłem, że wybieramy się do Arles. Cavaillon nie jest ciekawe pod względem architektonicznym.

- Bo rzymski cyrk zaczeka jeden dzień, a w Cavaillon jest coś, co chcę zobaczyć. Sam powiedziałeś wczoraj, że mogę robić co chcę. Przecież pojechałam z tobą do tego starego akweduktu i wysłuchałam

wszystkich twoich objaśnień.

- I wydawało mi się, że cię to naprawdę interesuje.

- Tak, to było niesamowicie fascynujące. Rzymskie wodociągi są pełne swoistego tajemniczego uroku - Fauve prowokacyjnie cedziła słówka.

- Chyba trzeba cię pocałować - stwierdził poważnie Eric.

- Och, nie!

- Och, tak. Właśnie tak. - Eric skręcił w małą boczną dróżkę i wyłączył silnik. Pochylił się i bez trudu przyciągnął do siebie Fauve, mimo jej oporu, ale gdy znalazła się w bezpiecznym schronieniu jego ramion, nie starał się unieść jej podbródka, który przyciskała mocno do szyi. Ucałował natychmiast rozgrzany, jedwabisty czubek jej głowy. Powolotku odprężyła się i siedzieli przytuleni, wsłuchując się w rytm swoich oddechów i bez słowa przekazując sobie sekret, który każde z nich znało w połowie. Mijały długie, słodkie, rozmarzone chwile i wreszcie Fauve powiedziała cichym głosem, nie podnosząc podbródka:

- Możesz mnie pocałować, jeśli chcesz.

- A ty nie chcesz? - zapytał Eric, rozczulony jej dziewczęcym urokiem.

- Jeśli o to pytasz... - Fauve uniosła głowę i położyła palec w zagłębieniu dolnej wargi. Pomrukując, przycisnął swoje usta do jej ust, a niewinność jej serdecznego pocałunku wstrząsnęła jego duszą. - Och! - wyszeptała z żarliwym zaskoczeniem. - Och! Jak miło!

- Rozłożyła szeroko ramiona i ciasno oplótła je wokół jego szyi. Przyłgnęli do siebie, obsypując się nawzajem pocałunkami. Każdy z nich stanowił pełnię, wiódł do następnego pocałunku, miniaturowego kosmosu,

w którym całkowicie zatracili poczucie istnienia jakiegokolwiek świata poza ich własnym. W pełnym uniesieniu Fauve była jednak świadoma nowego rytmu, dającego o sobie znać głęboko w jej piersi, który zabrzmiał po raz pierwszy niczym werbel obwieszczający narodziny tego, co czekało w niej samej, czekało na pocałunek tego właśnie mężczyzny.

Nagle małe auto zaczęło kołysać się z boku na bok. Fauve i Eric zamarli zaniepokojeni i rozejrzeli się dokoła. Okna samochodu przesłaniały do połowy tłuste, zakurzone, szare istoty. Obojętny strumień silnych, bezmyślnych ciał mocował się z renault, jakby to był krzak, który stanął im na drodze.

- Nawet nie usłyszałam, że nadchodzą owce - powiedziała zdumiona Fauve.

- Ja też nie... och, Fauve... moja ukochana Fauve... och, cholera, idą pasterze. Spójrz w lusterko. - Eric odsunął się od niej na przyzwoitą odległość.

- Pasterze? - zakpiła zdyszana Fauve, znajdując w szyderstwie ucieczkę od nowych dla niej wzruszeń. - Są oswojeni z naturą we wszystkich jej przejawach. Chodź do mnie natychmiast!

* * *

Cavaillon, położone około piętnastu kilometrów na południowy zachód od Félice, w kierunku na Awinion, jest spokojnym miasteczkiem targowym, liczącym osiemnaście tysięcy mieszkańców. Fauve i Eric siedzieli w kafejce, w której zjedli lunch i patrzyli na senny, nieciekawy plac, trzymając się za ręce. Wreszcie Eric powiedział: - Naprawdę nic mnie to nie obchodzi, że w Cavaillon nie ma nic do oglądania, chociaż nadal się zastanawiam, po co tu jesteśmy.

- Czekamy na przewodnika.

- Na przewodnika? Nie ma tu nic, do czego potrzebny byłby przewodnik. Tylko my i kelner. Nawet sklepy są zamknięte do czwartej.

- Poczekaj - powiedziała Fauve władcym tonem.

- Co tylko zechcesz, pastereczko.

- Mieli z nas uciechę, prawda?

- Nie przyszło mi do głowy, żeby ich zapytać, ale widywali już pewnie ludzi, którzy się całują.

- Och, Eric, widzę go! - Fauve podskoczyła i pobiegła przez plac ku schodom przed zwyczajnym, dwupiętrowym budynkiem, na których zatrzymał się właśnie młody człowiek w koszuli z krótkimi rękawami.

Podeszli do niego i nagle wydało im się, że zza rogów wszystkich ulic prowadzących na plac, z zaparkowanych samochodów, z drzwi, niemal jak spod ziemi wychodzą ludzie. Kiedy zbliżyli się do schodów, tworzyli już grupę około dwudziestu pięciu osób, które, ku zaskoczeniu Erica, zdawały się dobrze wiedzieć, dokąd idą. Starał się trzymać jak najbliżej Fauve, ale nie było to łatwe, bo wszyscy tłoczyli się żwawo, jakby chcieli jednocześnie wspiąć się na wąskie schody. U ich szczytu znajdował się balkon i wysokie, pięknie rzeźbione w drewnie, zamknięte drzwi, prowadzące do korytarza o masywnym sklepieniu.

- Co... ? - zaczął Eric, ale Fauve gestem nakazała milczenie. Tłum skupił się wreszcie wokół przewodnika i czekał w pełnej skupienia ciszy. Młodzieniec z uroczystą powagą otworzył drzwi.

- Witajcie w synagodze w Cavailon - powiedział.

- Spodziewałam się tego, sądząc po tym, jak wczoraj pomyliłeś Talmud z Biblią - odparła Fauve, rozkoszując się jego zdziwieniem.

Odkryłam to miejsce, kiedy zeszłej zimy czytałam zielony przewodnik Michelina po Prowansji. Wymieniają je w rozdziale „Inne osobliwości”! w Cavaillon, obok starej katedry i muzeum archeologicznego. Zamierzałam je zwiedzić, kiedy tu znowu przyjadę.

- Dobrze, co będziemy teraz robić? - zapytał Eric.

- Zwiedzimy synagogę. Nie chcesz?

- Tak... jasne... myślę... dlaczego nie?

- Zadziwiasz mnie. Naprawdę. To znaczy - przecież jesteś Żydem, prawda?

- Naturalnie. Moi rodzice są Żydami, więc i ja też. Ale co to ma do rzeczy? Nie są religijni, żadne z nich, i nigdy nie byłem na nabożeństwie. Och, czekaj, kiedy zenił się mój kuzyn, zabrali mnie na ślub w Paryżu, ale byłem wtedy bardzo mały i niewiele pamiętam. Dla mnie to, że się jest Żydem nie ma nic wspólnego z chodzeniem do synagogi. Chyba że się tego chce, a nigdy nie czułem potrzeby. A dlaczego tak się tym interesujesz? Czy to jakieś hobby?

- Wczoraj twój ojciec opowiadał o mojej babce, Magali, pamiętasz? Jest Żydówką, urodzoną we Francji, a jej córka, moja matka, była w połowie Żydówką, w połowie irlandzką katoliczką. Mój ojciec jest francuskim katolikiem, a więc jestem w jednej czwartej Żydówką - to więcej niż trzeba, żeby mnie to fascynowało, bo to część mojej historii, mojej własnej historii. I w dodatku jedyna część, o której coś wiem. Mój ojciec nie ma pojęcia o swoich przodkach. Wcale go to nie obchodzi i nie wie nawet, czy pochodzili z Prowansji, mimo nazwiska. O drugiej gałęzi mojej rodziny wiem tyle, że ojcem mojej matki był Amerykanin nazwiskiem Kilkullen - to tyle. A za dwa dolary można kupić sobie łyk

whiskey w dzień Świętego Patryka. Dlatego jestem ciekawa i chcę zwiedzić synagogę, rozumiesz?

- Wszystko, co zechcesz, mała wariatko. Nie do wiary, ilu turystów. Mówią chyba piętnastoma różnymi językami. Skąd się tu wzięli?

- Z piętnastu obcych krajów. To miejsce pielgrzymki, Eric. Co więcej, wewnątrz jest nawet system wodociągów, jak powiada przewodnik. Nawet jeśli nie dorównuje akweduktowi.

- Jaki system?

- Łaźnia rytualna - powiedziała Fauve z figlarnym błyskiem w oku, wyraźnie akcentując słowa.

- O, nie! To nie dla mnie.

- To tylko dla kobiet, niedouczony ośle. A poza tym nie korzysta się z niej już, bo synagoga jest zabytkiem. Popatrz, przewodnik sprzedaje książki. Kupmy jedną. Wtedy będziemy mogli obejrzeć wszystko sami, a nie z tym tłumem. Nie znoszę chodzić w stadzie.

* * *

Eric kupił bilety i zapłacił za niewielką książeczkę pióra Andre Dumoulin, konserwatora zabytków i kuratora muzeów Cavaillon. Zawierała krótką historię gminy żydowskiej w Cavaillon oraz zdjęcia i opis synagogi.

Fauve i Eric oddalili się od grupy turystów, zasłuchanych w słowa przewodnika i poszli sami do środkowej części świątyni.

Żadne z nich nie wiedziało, czego się spodziewać i kiedy przekroczyli próg, zatrzymali się nagle kompletnie zaskoczeni. Znaleźli się w prawie pustym pomieszczeniu, które mimo to wywierało natychmiast wrażenie najdoskonalszej duchowej harmonii. Mógłby to być idealny

niewielki salon opuszczonego pałacu, zbudowanego w stylu i epoce Wersalu. Synagogę wzniesiono w 1774 roku, na miejscu starej świątyni z roku 1499, zaś architekci i rzemieślnicy z Cavaillon, którzy wykonali jej wnętrze, doskonale opanowali sztukę niezrównanego, delikatnego stylu Ludwika XV.

Ściany wysokiego pokoju z galeryjkami były pomalowane na ciepły odcień bieli i belkowane drewnem. Każda złocona belka była rzeźbiona w motywy róż, girland palmowych liści, koszy kwiatów, muszli i instrumentów muzycznych - we wszystkie fantastyczne i wymyślne detale, tak bliskie smakowi Madame de Pompadour. Z wysokiego sufitu zwieszało się kilka świeczników. Jedne z nich wykonane z kruchych kryształków górskiego kwarcu, inne, mocniejsze, z wypolerowanej miedzi. W każdym z nich tkwiły pęki wysokich żółtych świec. Przez wysokie okna wpadało bladożółte przyćmione światło.

Fauve i Eric poczuli, jakby niepowstrzymana siła kazała im zatrzymać się przed balustradą wysoką prawie na półtora metra, wykonaną z misternie kutego żelaza. Broniła ona dostępu do wspaniale rzeźbionych i zdobionych drzwi, które ponad wszelką wątpliwość stanowiły centrum świątyni. Drzwi, które wyglądały tak, jakby otwierały się na ogromną przestrzeń, miały po obu stronach korynckie kolumny, wspierające szereg wyszukanych ozdób portyku, zwieńczonych koszem z obfitością różanych gałązek.

Fauve spojrzała do przewodnika i dowiedziała się, że stoją u drzwi, za którymi przechowywano zwoje Tory, hebrajskiej biblii, kiedy świątynia była jeszcze miejscem kultu. Stała przejęta i pełna zachwyty, próbując wyobrazić sobie, co mogłaby zobaczyć, gdyby wolno jej było pokonać

ogrodzenie i otworzyć zamknięte drzwi sanktuarium, ale nie potrafiła. To było ponad jej siły.

Eric usłyszał jej tęskne westchnienie i odciągnął ją łagodnie, prowadząc ku drugiemu krańcowi świątyni, gdzie wspięli się jednym z dwóch rzędów krętych schodów na wyłożoną drewnem i zdobioną girlandami galeryjkę, która zajmowała całą szerokość pomieszczenia.

Fauve przechyliła się ostrożnie przez balustradę, rzeźbioną delikatnie niczym koronka, i pomyślała, że z tego punktu obserwacyjnego, świątynia wygląda jak sala balowa, w której można sobie wyobrazić tańczące damy w pudrowanych perukach i kawalerów w kamizelkach z brokatu. Ale w przewodniku, do którego znów zajrzała, wyczytała, że stoi w miejscu, które było niegdyś kazalnica dla tego, kto odprawiał nabożeństwo. Jej wizja tancerzy rozwiała się, kiedy spojrzała w dół i spróbowała wyobrazić sobie bogato zdobioną świątynię wypełnioną ludźmi w strojach, które zwykle się nosić w Prowansji, w kostiumach, które teraz zakładali tylko ludowi pieśniarze na festiwalach.

Przeszłość zdawała się zamknięta, jakby oddzielona zasłoną światła. Cudowna atmosfera opuszczonego miejsca działała tak silnie, była tak wyczuwalna, że równie trudno było pojąć, że jest puste, jak i wyobrazić sobie jak wyglądało, kiedy jeszcze z niego korzystano. Tak jak wszystkie opuszczone miejsca kultu, w których niegdyś ludzie obnażali swoje najskrytsze uczucia, i ono promieniowało zwielokrotnioną energią i zmuszało do milczenia.

Kiedy do głównej nawy synagogi zaczęły wdzierać się hordy turystów, Fauve i Eric pośpiesznie zeszli ze schodów i dotarli do podziemi budynku, gdzie w dawnej piekarni gminy żydowskiej władze miejskie

Cavaillon i Departament Sztuk Pięknych utworzyły małe muzeum.

Tu, znowu sami, znaleźli się w długim nisko sklepionym pomieszczeniu o kamiennej podłodze. Dwie szklane gabloty, pełne fotografii i dokumentów, stały pośrodku sali, a przy ścianach po obu stronach, ustawiono podświetlane witryny z różnorodnymi przedmiotami rytualnymi, którymi posługiwano się podczas nabożeństwa. Były tam nawet drzwi sanktuarium ze świątyni z 1499, w stylu renesansowym, zdobne płaskorzeźbą przedstawiającą kiście owoców i kwiatów, malowane w hebrajskie znaki tablic, które Mojżesz przyniósł z Góry Synaj.

Fauve przyglądała się drzwiom, które przed blisko pięciuset laty były nowe, próbując przeniknąć przez zasłonę czasu, kiedy Eric pociągnął ją za sobą do następnej witryny. - Spójrz - wykrzyknął z ożywieniem. - To jest lampa oliwna z pierwszego wieku przed naszą erą. Widzisz te dwie menory na jej podstawie? W książce piszą, że jest to jedno z najstarszych przedstawień menory, jakie dotychczas znaleziono na francuskiej ziemi. Jest o sto lat starsze niż Pont du Gard.

Widok niepozornego, niewielkiego przedmiotu nieoczekiwanie wywarł na Fauve wielkie wrażenie. - Och, Eric, pomyśl o ziemi, pod którą to znaleziono. Tyle metrów pod ziemią - zbyt wiele historii - zbyt wiele lat temu - ile pokoleń zmienia się przez dwa tysiące lat, ile to narodzin, ile zgonów? Nie mogę znieść myśli o tym. Mam kłopoty z cofnięciem się myślą o dwieście lat, a co dopiero o dwa tysiące. - Z ulgą odwróciła się od witryny. Zdjęcia, choćby nie wiem jak stare, należały do współczesności.

Przechadzała się powoli, niemal znużona, z malejącym zainteresowaniem patrząc na stare listy i dokumenty. Nagle znieruchomiała przed fotografią z 1913, przedstawiającą dystyngowanego,

przystojnego starszego pana z siwymi przystrzyżonymi włosami, w czarnej dwurzędowej marynarce i czarnym kapeluszu z rondem podwiniętym w charakterystycznym prowansalskim stylu. Stał z jednej strony balustrady, otaczającej drzwi do sanktuarium w synagodze, znajdującego się nad ich głowami, a z drugiej strony stała ciemnooka, postawna kobieta w czarnej sukni opiętej w talii, z woalem na siwych włosach. - Eric - wykrzyknęła Fauve. - Chodź i spójrz na to. Spójrz, tylko spójrz! Tu jest napis, że było to dwoje ostatnich przedstawicieli społeczności żydowskiej w Cavaillon.

- Rzeczywiście, robią wielkie wrażenie - rzekł Eric, zdziwiony jej przyływem energii.

- Ich nazwisko! Monsieur i Madame Achille Astruc. Astruc - nazwisko mojego pradziadka! Och, Eric, nie opowiadałam ci o nim. David Astruc był ojcem Magali. Może ci ludzie byli moimi krewnymi? Kiedy Magali była małą dziewczynką, byli starzy. Mogli być kuzynami albo rodzeństwem prababki, albo, och, nie wiem... kimkolwiek. - Fauve, zamyślona nad fotografią pary pięknych pogodnych staruszków miała w oczach łzy. Eric stał cicho, obejmując ją ramionami w talii i kołysząc łagodnie, a ona wpatrywała się w zdjęcie, pogrążona w domysłach i zachwycie.

Minęło kilka minut i do muzeum zaczęli napływać inni turyści.

- Myślę, że mieliśmy szczęście - szepnął Eric, a Fauve przytaknęła pośpiesznie, rzucając ostatnie spojrzenie na fotografię, po czym poszła za nim po schodach do wyjścia.

- Mam ochotę na cokę... a ty? - zapytał Eric.

- Coś zimnego i bardzo słodkiego - zgodziła się Fauve. Wrócili do

kafejki i niemal osunęli się na krzesła, czując szczególne i pełne ekscytacji zmęczenie, znane tylko tym turystom, którym udało się nie tylko coś zobaczyć, ale i odbyć podróż w czasie.

Eric wziął przewodnik i z ciekawością przerzucił jego strony.

- Zastanawiam się, ilu Żydów mieszkało w Cavaillon. Spójrzmy... piszą tu, że zawsze było ich mało, nigdy nie więcej niż trzystu. To ciekawe, Fauve, archiwa miejskie wspominają o tym, że w Cavaillon już w jedenastym wieku był rabin, ale podczas rewolucji 1790 Żydzi zaczęli opuszczać Prowansję i rozproszyli się po całej Francji, a po 1793 nie ma nawet śladu istnienia gminy. Spójrz, tu jest lista nazwisk ostatnich jej członków - pochodzi z archiwum Cavaillon. Podzielono nazwiska na grupy, żeby wskazać pochodzenie każdego z nich. Fauve wzięła książkę. - Najwięcej jest nazwisk francuskich - powiedziała - wszystkie pochodzą od nazw różnych miejscowości, z których wywodzą się noszący je ludzie... Carcassonne, Cavaillon, oczywiście, i Digne, i Monreux... wszystko to nazwy miejsc... i... i Lunel.

- Lunel? - powtórzył.

- Lunel! Musi istnieć miejscowość o nazwie Lunel! Nic o tym nie wiedziałam! Nie przyszło mi nigdy do głowy, że to może być nazwa miejscowości. Och, Eric, musimy odszukać ją na mapie, jeżeli jeszcze istnieje! Eric, dokąd możemy pójść, żeby odszukać Lunel? - Zapomniawszy o zmęczeniu, Fauve wyglądała tak, jakby miała ochotę natychmiast wyruszyć na poszukiwanie. Eric uśmiechnął się, podziwiając jej żarliwą, szczerą, niecierpliwą urodę.

- To musi gdzieś być, Fauve, i wykopię dla ciebie to miejsce spod ziemi... miejscowości nie znikają tak po prostu. Ale nie dziś.

- Zabrał jej przewodnik i spojrzał na stronę, którą czytał.

- Są jeszcze inne nazwiska pochodzenia hebrajskiego, jak Cohen czy Jehuda, i kilka z łaciny - stąd bierze się twoje Astruc, kochanie, od astrum - to znaczy gwiazda. Ostatnia grupa to nazwiska ludzi z Cavaillon, którzy przybyli tu z obcych krajów... Lisbonne i Lubin... Polak... i

- I... ? - zapytała Fauve, zaskoczona jego nagłym milczeniem.

- Niech diabli porwą czas! Wszystko niszczy - mruknął. Ludzie, którzy nazywali się Astruc i Lunel należeli do tej świątyni, którą właśnie zwiedził, traktując ją tak, jakby była osobliwością z innej planety. Dręcząca, ulotna, niedosiężna przeszłość wymierzyła mu szybki cios w plecy i zadrżał z zachwytu. Gdyby wiedział wystarczająco wiele, gdyby były dokumenty, których nie było, dlaczego nie miałby odtworzyć rodu Fauve aż do czasów, zanim Rzymianie zbudowali Pont du Gard? Dlaczego zaprzepaszczono tak ogromną wiedzę? Jak do tego doszło, że uległa zapomnieniu?

- Ach, nie martw się - powiedziała Fauve, rozumiejąc jego uczucia. - To nie w porządku, że nie można się dowiedzieć, to takie przykre... Eric, jesteśmy oboje tak żałośnie niedouczeni, tak mało wiemy, prawda? To wstyd.

- To prawdziwy wstyd.

- Ale pomyśl... - mówiła dalej Fauve, a jej oczy, kiedy snuła swoje wizje, stały się jeszcze większe. - Tylko pomyśl... Lunelowie, Astrucowie, Lubinowie i Carcassonowie, chodzący wspólnie do świątyni... znający się... ich rodziny, które żyły setki lat... może jednym z nich był ten rabin z jedenastego wieku - wydaje mi się niemal, że ich widzę, a ty?

Eric nie mówił nic. Patrzył na jej śliczną, zamyśloną twarz, ożywioną

obrazami, które widziała. Nagle poczuł, że został wyrwany z przeszłości, że tkwi w teraźniejszości - całkowicie i cudownie.

- Nie jestem w stanie widzieć niczego, oprócz ciebie.

- Eric - powiedziała Fauve z naganą w głosie. - Co za brak wyobraźni!

- Bo cię kocham.

- Co?

- Kocham cię. A ty mnie kochasz? Kochasz, moja najdroższa?

- Nie wiem... Nigdy nie byłam zakochana - wykrztusiła.

- Spójrz na mnie - rozkazał. Powoli podniosła powieki i to co zobaczył w jej oczach było tak oczywiste, że niemal krzyknął z radości.

- Ale ja nie zamierzałam się zakochać - protestowała Fauve.

- Teraz jest już za późno - obwieścił tryumfującym głosem.

Pisarz, który narzeka na samotność w swojej pracy, artysta, który mówi ze smutkiem o odosobnieniu w swojej pracowni, kompozytor, który oświadcza, że jest skazany na odcięcie się od świata, by tworzyć muzykę w zamkniętym pokoju, mają jedną wspólną cechę: kłamią. Gdyby musieli wyznać niemodną prawdę, powiedzieliby, że niewiele jest miejsc, w których samotność dokucza mniej niż w tej uprzywilejowanej przestrzeni, w której umysł może swobodnie skupić się na pracy. Żadne zacisze nie jest bardziej zazdrośnie strzeżone przed intruzami.

Ogromna pracownia, w której w La Tourello tworzył Mistral była od czterdziestu lat jego prawdziwym domem. Kiedy otwierał drzwi, oddychał głęboko, rozkoszując się bukietem zapachów, na który składała się woń farb sporządzonych na oleju makowym, zagruntowanego płótna, suchej sosny przeznaczonej na blejtramy, leżących nieco zetlałych szmat zasmarowanych farbą. Wszystkie te wonie mieszały się niczym cierpki napar w czarodziejskim kotle. Witały tu Mistrala całe pokolenia obrazów - jedyne rzeczy, na których naprawdę mu zależało. W pracowni wyczerpywała się heroiczna siła Mistrala. Z każdym pociągnięciem pędzla destylował swoje własne życie, a uwalnianie się tej esencji w każdej godzinie pracy nawet w powietrzu zostawiało trwałe ślad. Wydawało mu się, że obrazy, które sprzedał przez te lata nadal są razem z nim jak te, które zatrzymał dla siebie, jakby nie chciały odejść. W swojej gęsto zapełnionej pracowni nie doświadczał samotności ani przez chwilę.

- Czym więc - zapytywał sam siebie z wściekłością - było to uczucie, które drażyło jego umysł tak wytrwale, że przez całą godzinę wpatrywał się nie widzącymi oczyma w nie dokończony obraz? Czym był ten

niepokój, ta irytacja, to poczucie, że czegoś nie osiągnął, nie dokończył?

Dopiero po miesiącu skłonny był przyznać, że to nieobecność Fauve, po miesiącu osiągnął punkt, w którym nie mógł już sobie powtarzać, że jutro tu wróci, po miesiącu potrafił wyodrębnić i uchwycić tę myśl, że w ciągu dwóch lat lekcji malarstwa, których udzielał jej co rano podczas letnich wakacji, jej obecność stała się dla niego niezbędna.

Potrzebował jej.

Po śmierci Teddy Julien Mistral postanowił, że nigdy nie będzie potrzebował żadnej ludzkiej istoty. Porzucił Fauve bez chwili wahania. Przez osiem lat trzymał się od niej z dala, bo bał się, że będzie mu przypominać Teddy. Doznał ulgi, kiedy nie dostrzegł w tej twarzy podobieństwa do matki. Żaden mężczyzna nie mógłby kochać dwa razy tak, jak on kochał Teddy - i przeżyć. Nie mógł obarczyć się raz jeszcze takim obowiązkiem. Dziewięć miesięcy, które Fauve spędzała w Nowym Jorku mijają stanowczo zbyt wolno - ale bez zbytniego bólu, dzięki pewności, że w czerwcu znów do niego przyjedzie i będą razem całe lato.

Nigdy nie uwierzyłby w to, że go porzuci. Podczas ostatniej podróży z Paryża, zaledwie pięć tygodni temu, nie było w niej śladu żadnej zasadniczej zmiany. Nowa dojrzałość, tak, to prawda, i lekkie niezadowolenie z własnej pracy, jeśli dobrze pomyśleć, ale który prawdziwy artysta jest naprawdę zadowolony? Nie, to nie miało nic wspólnego z dezaprobatą, którą wyraził w związku z jej wycieczkami w kierunku abstrakcji... Przecież Fauve musiała z pewnością wiedzieć, że gdyby naprawdę nalegała, mogłaby malować nie pędzlem, a szczotką, mogłaby malować tarcze strzelnicze albo układanki, robić babki z piasku albo gipsowe odlewy. Wszystko to było wygodną wymówką. Powodem,

dla którego porzuciła go, był Eric Avigdor. Fauve była jego córką do wieczoru, w którym poznała tego chłopaka.

Było to wytłumaczenie tak proste i oczywiste, że Mistral nie mógł pojąć, dlaczego wcześniej na to nie wpadł. Kate miała rację, zupełną rację - może gdyby nic nie powiedziała, zrozumiałby od razu, ale zawsze, gdy była mowa o Fauve, odrzucał każdą uwagę Kate.

Gdzie w końcu podziwiała się Fauve przez wszystkie te dni? W Arles, jak mówiła, w Cavaillon, w Nimes i Orange, w Carpentras i Tarascon, w St. Remy i w Aix-en-Provence. Och, cóż za turystyczny banał! O czym rozmawiała przez te wszystkie wieczory, kiedy zaszczyciała ich swoim towarzystwem przy kolacji? Mieszanka cudów architektury, zdolna doprowadzić człowieka do szału. Widok żadnego z tych miejsc, które przychodziły Mistralowi do głowy, nie mógł się równać z widokiem kwitnącej czereśni. A te odkrycia, których dokonywała stopniowo w tym najbardziej zagmatwanym z przedmiotów, jakim była historia prowansalskich Żydów...

Czyżby sądziła, że obchodzi go to choć na jotę? Nie miał nic przeciwko Żydom, po prostu nie interesowali go bardziej niż mahometanie czy Hindusi. Dlaczego tak ją fascynowała przeszłość, z którą nie miała nic wspólnego, która miała tak niewielkie znaczenie we współczesnym świecie? Czy miała choć pojęcie, jaki to odległy problem?

O ile pamiętał, Maggy, która była przecież Żydówką, nie przywiązywała do tego faktu żadnej wagi, a Teddy obchodziła tylko teraźniejszość, w której żyli razem, a tu jego własna córka myszkuje w synagogach w Awinionie, w Aix, w Carpentras. Synagogi!

Wreszcie wczoraj wieczorem, rozwścieczony ponad wszelką miarę,

zapytał, dlaczego, skoro przechodzi przez fazę religijności, a troje z czworga jej dziadków było katolikami, nie zwiedza katedr? - Do katedr łatwo się dostać - odpowiedziała, irytująco zadowolona z siebie. - Są wszędzie, nie ma miasta, w którym nie byłoby jednej, czy dwóch, są stare, ale nie ma w nich żadnej tajemnicy.

Mistral odłożył paletę i porzucił wszelką myśl o dalszej pracy. Chodził po pracowni w poczuciu narastającego strachu. Była prawie połowa lipca. Za sześć tygodni letnie odwiedziny Fauve dobiegną końca, a ona niemal wymyka mu się z rąk. Kiedy przyjedzie za rok, będzie miała siedemnaście lat, nie będzie już dzieckiem, a on - będzie miał siedemdziesiąt. Siedemdziesiąt, ba!

Ładny wiek. Ma w sobie teraz więcej siły, więcej energii niż wtedy, gdy miał lat pięćdziesiąt.

Martwiło go nie brzemień własnych lat, ale zachowanie jego nastoletniej córki. Kiedy zainteresował się nią pierwszy mężczyzna, który na nią spojrzął, zaczęła robić uniki, zrobiła się lekkomyślna, pełna przesadnego, słomianego zapału. Trzeba ściągnąć ją na ziemię, to wszystko.

W poprzednich latach Fauve zawsze pozowała do portretu, ale tego roku tak często włóczyła się poza domem, że nie miał okazji zabrać jej czasu. Wszystko, co zwykle robili wspólnie - lekcje malarstwa, pozowanie, wyprawy do kafejki w Félice - zmieniło się, kiedy ten obrzydliwy chłopak stanął na drodze Fauve.

Mistral zdjął płótno ze sztalugi i oparł je niedbale o ścianę. Poruszając się żwawo niczym młody chłopak, który wybiera się na randkę, podszedł do kąta, w którym stały zagruntowane płótna i wyciągnął

największe, jakie zdołał znaleźć. Tak! Obraz całej postaci, oda, hymn na cześć Fauve Lunel i jej minispódniczki. To powinno jej się spodobać.

* * *

Dowiedziałem się, dlaczego Avigdor znaczy „sędzia” - powiedział Eric. - Zdaje się, że to imię pojawia się dwa razy w Księdze Kronik, a według późniejszych interpretacji jest to jedno z imion Mojżesza. Powiedziałem o tym ojcu, na co stwierdził, że nie należy wyciągać stąd pochopnych wniosków - w rodzinie nie było żadnych prawników, tylko, jak sięga pamięcią, sami sprzedawcy antyków, a teraz początkujący architekt.

- To cudowne! - Fauve była dumna. Stali w antykwariacie w Awinionie, szukając książek, które mogłyby zaspokoić ich pragnienie wiedzy historycznej. Nie mieli dotychczas zbyt wiele szczęścia. Znajdowali w książkach tylko drobne uwagi, ale Eric nie zniechęcał się. - Jak się o tym dowiedziałeś?

- Przez telefon. To była gra w ciemno, ale domyśliłem się, że w mieście tak wielkim jak Marsylia musi być rabin, więc odszukałem jego numer w książce telefonicznej, zadzwoniłem i zapytałem. Powiedział, żebym zadzwonił za dwa dni, żeby dać mu czas na sprawdzenie i kiedy zadzwoniłem, wytłumaczył mi to. Nawet nie był zdziwiony, że go o to proszę. Może często dzwonią do niego w takich sprawach.

- Hmm... może - odparła, pograżając się we własnych rozmyślaniach.

- Fauve, co się stało?

- Mój ojciec.

- Co z nim? Słuchaj, wiem, że mnie nie lubi. Trudno mieć pretensje

do Julienu Mistrala o to, że nie jest dobrym aktorem. Jest u kresu wytrzymałości, kiedy po ciebie przyjeżdżam, ale uważam, że dopóki wpuszcza mnie do domu, wszystko jest w porządku.

- To nie ma związku z tobą. - Fauve przysiadła na schodach, prowadzących na piętro antykwariatu i oplotła ramionami długie nogi. Miała na sobie batystowy bezrękawnik z falbankami i niewielką baskinką. Ten ostatni krzyk mody wszystkich butików południowej Francji sznurowany był z przodu niczym gorset aktorki ze starego westernu. Włosy Fauve, które teraz w bladym świetle padającym na schody, wydawały się brązowe, opadały ciężkimi puklami na jej piersi. Gdyby miała na sobie dzinsy albo spódnicę wyglądałaby jak wiktoriańska dziewczyna udająca się na spoczynek. Patrząc na nią Eric pomyślał, że bogactwo myśli wywołanych jej urodą uczyniłoby poetę z najbardziej przyziemnego faceta.

- Każdego lata zawsze malował mój portret - ciągnęła Fauve. - Chcę, żebym mu od jutra pozowała. Eric, nie mogę odmówić. To niemożliwe. Czuliśmy się dotknięci. To nasza tradycja. I tak czuję się winna, że nie chciałam, by dawał mi lekcje malarstwa. Nie powiedział nic więcej na ten temat, ale kiedy spotykam go przy śniadaniu, wiem, o czym myśli. Wiem, że stara się opanować. O, Boże...

- Myślę, że to niezwykle, że miałaś taką siłę woli, by mu się przeciwstawić - rzekł Eric.

- Musiałam - powiedziała z prostotą Fauve. - To sprawa instynktu samozachowawczego. Ojciec nie uświadamia sobie, że chce, bym go naśladowała. To widać we wszystkim, co mi pokazuje, we wszystkim, co mówi, chociaż zaprzeczyłby temu i uważałby, że mówi prawdę. Widzisz,

ojciec sądzi, że jego droga to jedyna droga... Nie ma nic dobrego do powiedzenia o żadnym z żyjących malarzy... podziwia tylko tych, którzy już nie żyją. Ale jego twórczość bierze się z niego samego, wynika z tego, co jest w nim samym, a tego nie można nauczyć...

- Więc wszystkie te lata nauki... ? - zapytał Eric.

- Och, nie poszły na marne - mam pewną techniczną sprawność, nie zamierzam być przesadnie skromna - ale ma ją też wielu innych malarzy. Gdybym potrafiła coś więcej, mogłabym się o tym dowiedzieć tylko wtedy, gdybym zaczęła tworzyć w swoim własnym stylu, a nigdy nie znajdę tego stylu, jeśli będę się uczyć od niego.

- Dlaczego tak długo zwlekałaś z decyzją?

- Jeszcze w zeszłym roku byłam szczęśliwa, że maluję „małe Mistrale”. Chodzę do szkoły plastycznej w Nowym Jorku, a nauczyciele boją się robić mi uwagi, dlatego że wiedzą kim jestem i dlatego że pracuję jego metodami. On ich tak peszy, że nie są w stanie rozmawiać ze mną uczciwie. Minęło dużo czasu, zanim to zrozumiałam - myślę, że byłam głupia.

- Nie głupia, kochanie. Po prostu młoda - powiedział Eric.

- Ojciec zawsze zanadto mnie wychwalał - dodała Fauve w zamyśleniu. - Nie wiem, czy kiedykolwiek będę naprawdę dobra, ale cholernie dobrze wiem, że nie będę taka dobra, jak on mówi. Wiem, że robi to pewnie, żeby dodać mi otuchy, ale to przynosi odwrotny skutek. Wiem, że moja praca nie zasługuje na tak wielkie pochwały, więc zastanawiam się, czy w ogóle jest warta tego, by ją chwalić. Gdybym naprawdę nie potrafiła malować, powiedziałby mi o tym, ale ja jestem gdzieś pośrodku. Umieję malować, jak Mistral znacznie mniejszego

formatu, ale tego nie chcę! Jeżeli mam jeszcze kiedykolwiek zrobić coś własnego, dalsza praca pod jego kierunkiem byłaby klęską!

- Czy nie możesz powiedzieć mu o tym tak, żeby to zrozumiał?

- Nie wydaje mi się, żebym mogła powiedzieć więcej niż pół zdania.

Nigdy nie słyszałeś, jak przekonuje, czy raczej - wygłasza kazanie. Nawet jeśli wysłuchałby mnie i potrafił zrozumieć, co do niego mówię, nie mogłabym zrobić nic w tej pracowni. Rzuca taki urok, że trudno sobie wyobrazić, by można było widzieć cokolwiek inaczej niż on. Jest taka, że tłumi moją własną wyobraźnię. Ale muszę mu pozować. Nie ma wyjścia. Eric przysiadł u jej stóp.

- Ile trzeba na to czasu?

- Chciał pracować przez kilka godzin rano i kilka po południu, ale powiedziałam, że mogę mu pozować tylko rano. Odparł, że zostało nam tylko sześć tygodni, że same przedpołudnia nie wystarczą, ale uparłam się. Czuję się rozdarta na dwoje, Eric. Nigdy przedtem nie czułam, że jestem niełojalna, a teraz wydaje mi się, że sprzeniewierzam się wam obu.

- Tak nie jest. Jesteś wobec nas obu lojalna. Kochana, kochana Fauve, przestań się zadreczać. Wiem, ile zabieram ci czasu i nie mogę winić twojego ojca. Ciągle jeszcze zostają nam popołudnia. Spójrz, chciałem zatrzymać to na później, ale potrzebujesz pociechy. - Eric wyjął z plecaka starą książkę oprawną w skórę i podał ją Fauve.

- Wierz czy nie, ale właśnie wczoraj dała mi ją matka. Przypomniała sobie wreszcie, że gdzieś powinna być. Wydano ją w 1934 i kiedy zmarła moja babka, książkę znaleziono w jej domu. Widać nikt z rodziny nie zadał sobie nawet trudu, żeby ją przeczytać.

- *Histoire des Juifs d'Avignon et du Comtat Venaissin*, Armande

Mosse. - Fauve odczytała tytuł książki głosem, w którym wzbierało podniecenie. - To jest to! Tu powinno być wszystko! Księstwo obejmuje całą tę okolicę. Och jak wspaniale! Zacząłeś już czytać?

- Nie, pomyślałem, że przeczytamy ją wspólnie, ale teraz, kiedy nie mamy już tyle czasu, weź ją i czytaj, kiedy będziesz mogła. Może uda ci się poczytać podczas pozowania.

- Nie przy moim ojcu - żadnego rozpraszania uwagi, żadnego mrugnięcia okiem - niemal boję się oddychać. - Fauve pochyliła się, objęła książkę i przytuliła ją do piersi. - Będę o nią dbać. Przyrzekam. Zastanawiam się, jak daleko sięga w przeszłość?

- Zerknąłem na pierwszą stronę i wygląda na to, że Żydzi wygnani z Rzymu zaczęli przybywać do Francji, kiedy cesarzem był Tyberiusz - około dwudziestu lat po narodzeniu Chrystusa, więc jeśli szukasz czegoś na temat starożytności, znajdziesz to tutaj.

- Och, spodziewałam się czegoś bardziej współczesnego.

- Żydowskiego Przeminęło z wiatrem?

- A właściwie, dlaczego nie?

* * *

Fauve stała przy podeście w jaskraworóżowej sukience mini, którą miała na sobie tego wieczoru, kiedy w Uzès poznała Erica. Nie mogła być z nim podczas pozowania, ale mogła przynajmniej mieć na sobie to, co włożyła w dniu, kiedy zobaczyła go pierwszy raz. Czowała, że w każdej chwili dnia musi mieć z nim jakiś kontakt. Teraz, kiedy poświęcała ranne godziny na pozowanie, stwierdziła całkiem dla siebie nieoczekiwanie, że okazały się bardzo potrzebne. Miała czas, którego przedtem jej brakowało, by naprawdę pomyśleć o Ericu. Niemal każdy dzień lata spędzali razem i

kiedy wracała do domu, była zbyt oszołomiona powolnym, słodkim rytmem pocałunków, by mogły przyjść jej do głowy jakieś rozsądne myśli. Czuła tylko przyprawiające o zawrót głowy zdziwienie, że może istnieć takie szczęście. Jaki cudowny jest świat, w którym może istnieć taki Eric, chodzić po nim swobodnie tak jak inni ludzie, świat, w którym może ją kochać. Oczarowanie było tak wielkie, że aż niepojęte, zmieniało wszystko, przekształcało wszystkie jej minione lata w daleki ląd, z którego odpłynęła, nie oglądając się wstecz.

Myślała o tym, jak bardzo symetryczna wydaje się jego głowa pod dotykiem jej rąk, kiedy gładzi jego brązowe włosy, tak lśniące i gęste, że stawiają opór jej palcom. Opuszkami wyczuwała mocną krągłość kości. Stała teraz w swoich balerinkach, ze stopami ustawionymi pod kątem prostym, przerzuciwszy ciężar ciała na jedną nogę, ugiąwszy lekko drugą, ukazując wewnętrzną stronę ramion, swobodnie odgiętych do tyłu. Była to poza, którą wybrał Mistral w hołdzie Degasowi, twierdząc, że jej różowa szmatka, krótsza niż najkrótsza baletowa spódniczka, wywołałaby uśmiech na twarzy tego słynnego złośliwego starca.

Dla pozującej cierpliwie Fauve, wspomnienie trójkątnej blizny na twarzy Erica, pamiątki po tym, jak upadł mając pięć lat, było bardziej rzeczywiste niż odgłos kroków Mistrala odchodzącego od sztalugi. Na ustach czuła wspomnienie dotyku gładkiej, gorącej skóry, kiedy całowała brzeg ucha Erica, a potem, kierując usta nieco niżej, całowała za każdym razem lekko i delikatnie jego gładko wygolony policzek i brodę, aż wreszcie unosiła usta ku jego stęsknionym wargom.

Powiedział jej, że ma najbardziej delikatne usta na świecie, ale Fauve odparła, że ona nie może odwzajemnić mu się podobnym porównaniem,

bo żaden z mężczyzn, których całowała w życiu nie miał ust godnych zapamiętania. Uśmiechnęła się wspominając, jak zachnął się, kiedy to powiedziała i chciał wiedzieć, ilu mężczyzn całowała przed nim. Kilku, odparła, tylko kilku, zaledwie kilku, żałośnie, śmiesznie niewiele, wiedząc, że nic nie może go bardziej rozwścieczyć. Nie mogła odmówić sobie pokusy przyprawienia go o zazdrość. Był przecież o cztery lata od niej starszy i jak sądziła, na pewno doświadczony a ona nie.

Przejmował się tak piekielnie tymi jej szesnastoma latami, myślała Fauve, zżymając się, nieświadoma, że Mistral dostrzega każdą zmianę wyrazu jej twarzy. Teraz żałowała z całego serca, że nie okłamała Erica, kiedy zapytał, ile ma lat. Gdyby powiedziała, że osiemnaście! Przy jej wzroście na pewno by w to uwierzył, zwłaszcza że nie miałby okazji porównać jej z żadną amerykańską osiemnastolatką i odgadnąć prawdy. Ale wiedział, że dopiero niedawno przestała być piętnastolatką i powziął szlachetne, idealistyczne postanowienie, że jej nie wykorzysta.

Minionego wieczoru zjedli wczesną kolację w dobrej, drogiej włoskiej restauracji pod nazwą La Mamma w Villeneuve-les-Avignon, a potem buszowali po ogrodzie le Prieure, nie tym dobrze znanym ogrodzie różanym, obrośniętym santoliną i geranium w starożytnych wazach, ale w ukrytym ogrodzie, w którym rosły kwiaty, codziennie świeżo ścinane i ustawiane w pokojach gości.

Ponieważ cały personel hotelu zajmował się obsługą ludzi, tłumnie przybywających do restauracji, wkradli się niepostrzeżenie przez garaż i kotłownię hotelu i znaleźli się w opasanym murem ogrodzie, kwitnącym rajem, otoczonym małymi pustymi czarodziejskimi przedmiotami czerwonej barwy, zwanymi chińskimi lampionami.

Fauve i Eric byli całkiem sami, osłonięci przed obcym wzrokiem gałęziami drzew. Fauve rzuciła się na Erica, przytulając się i ocierając o niego. Nie zważała na to, czy zachowuje się dziwnie, niestosownie czy agresywnie. Jeżeli nie wie nic o kochaniu się, może się tego nauczyć, nauczy się, ale Eric odepchnął ją, najpierw łagodnie, potem zdecydowanie, przytrzymując ją na odległość ramion.

- Nie, powiedział, to zupełnie niemożliwe i powinna sama to zrozumieć. Jeżeli pozwoli jej na to, posuną się dalej i jeszcze dalej, a potem nie będą mogli się powstrzymać, czy tego nie pojmuje? Jest zbyt młoda, to nie byłoby w porządku, to nie byłoby uczciwe... Fauve westchnęła głęboko, zastanawiając się czy przyznać mu rację, podejrzewając, że może i ma słuszość, ale, och, tak bardzo go pragnęła.

- Fauve nie mogę pracować, kiedy robisz jedną minę za drugą! Czy postarasz się choć przez chwilę nie zmieniać wyrazu twarzy, czy skończymy?

Fauve zdmuchnęła włosy z czoła, z przesadą wydmuchując powietrze. - Nie robię min. Myślę. Czy chcesz namalować portret bezmyślnej lalki, czy kobiety myślącej?

- Ha! Wygrałaś, choć na to jeszcze za wcześnie. W porządku, zrobmy przerwę.

Fauve przerwała pozowanie, wyprężyła się niczym struna i przeciągnęła się. Podeszła do kolonialnego fotela, stojącego w kącie pracowni, usiadła, biorąc starą książkę, którą dał jej Eric i w ciągu kilku sekund pogrążyła się w lekturze.

* * *

Mistral znał tę książkę aż nadto dobrze. Kiedy zaczęli portret,

przyniosła ją ze sobą i sięgała po nią podczas każdej przerwy, zatrzymując się często po to, by przeczytać na głos wybrane fragmenty. Wreszcie, zniecierpliwiony, powiedział jej, że słuchanie utrudnia mu koncentrację. I tak wystarczającą trudność dla malarza stanowi konieczność robienia częstych przerw dla modelki, a co dopiero przymusowa lekcja historii.

- Dobrze - odpowiedziała łagodnie - w porządku, ale to niesłychana sprawa. Opowiem ci o tym później - i wróciła do swojej lektury. Jeszcze w zeszłym roku, kiedy przychodził czas na odpoczynek, rozmawiała z nim o malarstwie albo bawiła go historyjkami o swoich dwu przyjaciółkach, Pomme i Epinette, które choć brzmiało to nieprawdopodobnie, były wnuczkami dwóch członków jego pierwszej drużyny gry w bile z miejscowej kafejki.

Czasami, wspominał z goryczą, siadywali w słońcu przed pracownią i rozmawiali o karierze Union Sportif z Félice, wojowniczej drużyny piłki nożnej, która wdała się w długotrwałe walki z drużynami z sąsiednich miasteczek. Często poświęcał cenne minuty, by wytłumaczyć jej, dlaczego sztuka jest jedyną rzeczą, którą w tym pogmatwanym świecie warto się zajmować, jedyną rzeczą, która zdolna jest przetrwać. Historia, mówił jej, to tylko opowieści o tym, o czym ludzie sądzą, że się wydarzyło lub chcą, żeby wierzyć, że się wydarzyło. Historii nie można ufać.

A teraz, oto ona, bez pamięci pogrążona w historii, jakby to było objawienie wiecznej prawdy. Oddałby wszystko, żeby odzyskać swoją córkę Fauve z zeszłego roku w miejsce tej, jak to sama nazwała - „myślącej kobiety”. Prawie wszystko, pomyślał Mistral, prawie wszystko, ale cóż takiego miał, czego mogłaby chcieć szesnastoletnia dziewczyna?

- Wracamy do pracy? - zapytał.

- Och... oczywiście. Ale, tatusiu, czy byłbyś bardzo niezadowolony, gdybyśmy skończyli dzisiaj pół godziny wcześniej? Rodzice Erica wybrali się na kilka dni do Aix na festiwal muzyczny i zaprosili nas na lunch do Vendôme. Podróż trwa półtorej godziny, a nie chciałabym się spóźnić. Czy mogę, w drodze wyjątku?

Cóż mógł odpowiedzieć? Czy mógł nalegać, by została? Jutro będzie pozowała dłużej? To już nie pierwszy raz pracowali krócej z jakiegoś powodu. Tak naprawdę, mówił do siebie z goryczą, to już nie pierwszy raz zdawał sobie sprawę z tego, że z powodu pozwania, Fauve musi zrezygnować z wycieczki, którą łączyła z wczesnym wyjazdem i późnym powrotem. Kiedy malował ją przez te wszystkie lata, czas, który spędzali razem był pełen głębokiego zrozumienia, harmonii, którą docenił w pełni dopiero teraz, kiedy zniknęła, zastąpiona przez obowiązek i roztargnioną miłość.

- Oczywiście, Fauve. Idź. Możemy skończyć już teraz, jeśli chcesz.

- Och, tatusiu! Jesteś kochany! Dziękuję! - wyswobodzona uściskała go szybko i wypadła z pracowni, nie starając się nawet ukryć uczucia ulgi.

Zauważył jednak, zaciskając szczęki w ponurym, dojmującym gniewie, wyrazie bólu i zranionej dumy, że nie zapomniała wziąć ze sobą tej ohydnej książki.

* * *

Jeśli styl polega na tym, że obraz zewnętrzny odpowiada doskonale prawdziwej osobowości, że wygląda się na to, kim się jest, to Nadine jest niezwykle stylowa, myślała Fauve, kiedy w towarzystwie ojca, macochy i przyrodniej siostry uczestniczyła w jednej z nieczęstych rodzinnych kolacji. Nadine przyjechała właśnie z Paryża, by spędzić kilka dni w La

Tourello, pozostawiwszy męża zajętego szczegółami ważnego kontraktu. Mistral nie znosił człowieka, którego poślubiła i między Nadine a Kate istniała cicha umowa, że Mistralowi nie należy przypominać o istnieniu Phillipe'a Dalmasa częściej niż to konieczne.

Kiedy Fauve przyjechała do Prowansji na swoje pierwsze wakacje, Nadine miała dokładnie piętnaście i pół roku, dokładnie pół roku mniej niż miała teraz Fauve, ale nawet wówczas wydawała się bardziej wyrafinowana niż wszyscy ludzie, których знаła Fauve.

Czas potwierdził tylko słuszność tego pierwszego wrażenia. Dzisiaj, w wieku dwudziestu trzech lat, Nadine błyszczała zjadliwym dowcipem. Jej jasne włosy opadały dwoma lśniącymi łukami ku linii podbródka niczym krótki welon, długa grzywka przecinała czoło ostrą linią, a zielona konturówka podkreślała oczy wyraźną kreską z niemal egipską precyzją.

Niemal ostre wydawały się też kontury jej nosa, a zęby miała tak białe i równe, że przypominały Fauve o swoim pierwotnym przeznaczeniu, którym jest gryzienie. Miała ostro zarysowane kości szczęki, ale jej górna warga nieustannie wyginała się w niezmiennym uśmiechu. Jest pociągająca, przyznała Fauve. Nie można było nie patrzeć na Nadine. Gdziekolwiek się znalazła, zawsze była w centrum uwagi.

Nadine Mistral pokazywała swoje prawdziwe oblicze, nie czyniąc żadnego wysiłku, by ukryć wysokie mniemanie o własnej osobie. Wyższość przejawiała się w absolutnej doskonałości jej nieskazitelnie skrojonych białych lnianych spodni, w sztywnym, eleganckim kroju czarnej jedwabnej bluzki, omotanej i związanej wokół smukłej talii, we wspaniałej parze kolczyków z onyksów otoczonych błyszczącymi brylancikami, zwisających z płatków jej uszu.

Nie pozwalała sobie na żadną skazę. Żaden paznokciec nie mógł być krótszy niż pozostałe. Nikt nie wiedział, ilu godzin tygodniowo trzeba, żeby osiągnąć tak bezwzględnie olśniewający wygląd, ale Fauve była pewna, że są kobiety, które poświęciłyby życie, by bezskutecznie naśladować lodowatą i wyniosłą elegancję Nadine, bo w ostatniej chwili nie oparłyby się pokusie, by dodać sznur pereł, nadać włosom łagodniejszą linię czy przyozdobić szarfę kwiatem. Wyrażając siebie za pomocą jak najmniejszej liczby elementów Nadine była - na swój sposób - przedstawicielką minima-artu.

Postanowienie, by poświęcić się Julienowi Mistralowi, które powzięła Kate pierwszego dnia, kiedy zobaczyła go i jego obrazy, przeniosło się w znacznym stopniu na jej córkę Nadine. Okres czterech lat, kiedy Mistral porzucił ją dla Teddy, a potem, po jej śmierci błąkał się po świecie, zamknął Kate w kręgu macierzyńskiej pasji. Niezależnie od tego, jak istotny był i będzie dla niej fakt, że jest Madame Julienową Mistral, drugą ważną sprawą stało się dla niej szczęście jej córki i jej pozycja w świecie.

Od ślubu Nadine Kate żyła w poczuciu bezsilnej wściekłości wobec Mistrala, który stanął pomiędzy Nadine i należnym jej statusem jednej z największych dziedziczek Francji. Z czasem Nadine przejmie wszystko, co posiada Julien, złożony w magazynie skarb obrazów, bogatą, dochodową posiadłość La Tourello, ich konta bankowe, ich inwestycje. Cały ten majątek przypadnie jej zgodnie z francuskim prawem, ale zanim to nastąpi, Nadine musiała podjąć pracę, by żyć na odpowiednim poziomie.

Dwa lata temu wyszła za Phillipe'a Dalmasa, człowieka, którego dla ścisłości opisu prasa nazywała zawsze „inwestorem”. Zajmowano się nim

na stronach kronik towarzyskich i w rubrykach plotek różnych gazet na wiele lat przedtem, zanim poznał Nadine, z racji jego związku z wieloma głośnymi w owym czasie kobietami, za którymi wszyscy się wówczas uganiali. Phillipe'a nazywano często „najbardziej nieuchwytnym mężczyzną w Paryżu”, bo w wieku trzydziestu dziewięciu lat jeszcze się nie ożenił.

Był z zawodu pośrednikiem - umawiał ze sobą ludzi, którzy potrzebowali pieniędzy i tych, którzy je mieli i chcieli inwestować. W istocie niewiele z umów, które przygotowywał dochodziło do skutku, a jego dochody z tych, które udało mu się zrealizować wystarczały zaledwie na życie w wystawnym kawalerskim stylu.

Phillipe mógł sobie pozwolić na trzymanie służącego, miał dość pieniędzy, by zamawiać garnitury szyte na miarę u Larsena, gdzie mógł wybierać wśród siedmiuset bel wełen, ustawionych pod ścianami niczym drogocenne księgi, a jego kolekcja kaszmirowych szalików - nigdy nie nosił płaszcza - pochodziła ze znanej firmy Hilditch and Key. Miał niewielki apartament w eleganckim budynku w pobliżu Łuku Tryumfalnego, umeblowany ze smakiem kilkoma empirowymi antykami, ale jedynym kapitałem Phillipe'a był wdzięk.

Phillipe Dalmas był wszędzie mile widziany. Zabawny, przystojny, czuły na kobiece wdzięki był marzeniem każdej pani domu.

Kiedy Nadine poznała tego zmysłowego mężczyznę, oddanego uciechom, przez wszystkich obdarowywanego i mile widzianego, człowieka otoczonego niezwykłą aurą nieuchwytności, natychmiast postanowiła go usidlić. Phillipe natomiast wiedząc, że dobiega czterdziestki, zdecydował, że jest to właściwy moment, by pożegnać się ze

wspaniałym kawalerskim stanem. W dojrzałym wieku nie zamierzał spędzać czasu w cudzych domach, nawet jeśli spędzał go przyjemnie.

Nadine udało się go poślubić, choć nie udało się to tylu innym kobietom, w prosty i banalny sposób - ponieważ pojawiła się we właściwym momencie jego życia.

Jej błyszczące oczy dwudziestoletniej kobiety, jej olśniewająca nieskazitelność i rzecz jasna, niezrównane perspektywy jako córki Julienu Mistrala przesądziły o wyborze, bo mimo iż Phillipe Dalmas nigdy nie ożeniłby się tylko dla pieniędzy, z pewnością nie mógł sobie pozwolić na poślubienie kobiety, która ich nie ma.

Nadine Mistral i Phillipe'a Dalmasa łączył pewien rodzaj całkowitej wrodzonej powierzchowności, która może mieć pewien wyraz, jeśli zyska doskonałą oprawę. Głęboka uwaga, którą poświęcali pozorom, przydawała każdemu z nich poloru i wspólnie tworzyli niebywale dekoracyjną parę, niczym dwa rzadkie bibeloty wypolerowane do połysku tak, że budziły zazdrość. Kiedy paryskie panie domu pogodziły się z tym, że Phillipe utracił wolny stan, zaczęły rywalizować ze sobą, zapraszając pana i panią Dalmas, stanowiących małżeństwo, w którym mąż i żona razem wzięci mogą stać się jedną gwiazdą wieczoru.

Nie mogąc zaprzeczyć, że Nadine naprawdę uwielbia swojego męża, Kate pogodziłaby się z utratą ambicji wyższego lotu, które pielęgnowała z myślą o córce, gdyby nie Mistral. Spędził z Phillipe Dalmasem pół godziny i zawyrokował, że ten człowiek nie jest nic wart. Nie będzie żadnego posagu, oświadczył, dając nowożeńcom w prezencie ślubnym tylko średniej wielkości apartament na avenue Montaigne, co jak przekonała go Kate, było najmniejszą rzeczą, jaką wypadało dać, by

załatwić sprawę uczciwie.

Od tej pory pensja, którą bez trudu mógłby im wyznaczyć nie była wypłacana - i nie będzie, póki żyje - zapewnił Kate. Nie mogła nawet dawać im teraz kosztownych prezentów. Mistral, który przez długi okres ich małżeństwa pozwalał żonie podejmować wszelkie decyzje finansowe, nagle postanowił, że sam będzie prowadził korespondencję ze swoimi dealerami i bankierami.

Skutecznie uniemożliwił Kate dysponowanie w tajemnicy przed nim jakąkolwiek znaczącą sumą. Mogła tylko swobodnie zarządzać pieniędzmi przeznaczonymi na utrzymanie La Tourello. Stała się kimś niewiele ważniejszym od gospodyni czy zarządcy majątku, myślała ze złością. Ale Nadine pogodziła się z rozczarowaniem jak ktoś, kto ma blisko siedemdziesięcioletniego ojca.

Przecież to tylko chwilowe, a zanim wszystko się zmieni, całkiem szykowne i zabawne jest mówić, że sama zarabia na swoje utrzymanie, bardziej dowcipne niż gdyby była jeszcze jedną bogatą dziewczyną. Tym bardziej że nikt nie wątpił w jej przyszłe bogactwo.

Nadine sama wymyśliła dla siebie zajęcie, które dawało jej doskonałe pole do popisu. Pracowała dla Jean François Albina, jedyne go wielkiego francuskiego krawca, który osiągnął taką międzynarodową sławę jak Yves Saint Laurent.

Nie miała określonego stanowiska, a jej obowiązki trudno by uściślić. Nie kierowała działem prasowym, bo tę pracę, wraz ze wszystkimi sprawami dotyczącymi prasy światowej, wykonywała Lily de Mar, która uczyła się tego u Diora. Nie zajmowała się też samym projektowaniem strojów, ani ich sprzedażą, ani żadnymi interesami Domu

Mody Albina. Jednak, w sposób równie oczywisty co oficjalny, Nadine była zatrudniona jako Najlepsza Przyjaciółka Jean François Albina.

Była jedyną istotą na świecie, bez której po prostu nie mógł się obejść. Działała niczym bufor między nim i całym światem, który w jego oczach pełen był wrogów, a w najlepszym razie brutali, ludzi niewrażliwych. Wierzył, że tylko Nadine nigdy go nie okłamie. Był przekonany, że jest jedyną osobą, która nie chce niczego zyskać dzięki znajomości z nim, bo cóż może dać córce Mistrala znajomość z krawcem, choćby nie wiem jak sławnym?

Dla Albina Nadine Dalmas była uosobieniem ideału kobiety, dla której projektował stroje. Wyobrażał sobie, że ma niemal mistyczną siłę, by go pocieszać, inspirować i krzepić. W krytycznej chwili zawsze chciał ją mieć przy sobie. Henn Gros, solidny businessman, który był współnikiem Albina w domu mody, do którego spływały profity ze sprzedaży trzech gatunków perfum i licznych międzynarodowych umów licencyjnych, z rozkoszą płacił Nadine imponującą pensję za jej poświęcenie, niezależnie od tego, jak niejasna wydawała się jej rola. Delikatną maszynę do wytwarzania pomysłów, którą był Jean François Albin, należało za wszelką cenę żywić, pocieszać i rozumieć, tak aby nadal mogła wyrzucać z siebie dwie kolekcje rocznie.

* * *

Kiedy przy kolacji Nadine rozmawiała o swojej pracy z rodzicami i Fauve, jej wyniosła, chłodna, beztroska maniera, która była nie sztucznym, lecz naturalnym sposobem jej bycia wcale się nie zmieniała. Widać było jednak, że jest pochłonięta własnymi sprawami. Mówiła zwykłym, spokojnym i pewnym siebie tonem, nieco ciszej niż wszyscy, co

sprawiało, że ludzie przerywali własne rozmowy po to, by jej posłuchać.

- Wiesz, ojczu, Jean François był bliski załamania. Nowa kolekcja jest już zapięta na ostatni guzik, ale zadzwonił zrozpaczony w zeszłą środę w środku nocy, więc popędziłam do atelier i zastałam go w chwili, kiedy zamierzał pociąć wszystkie stroje na kawałki. Wyprowadziłam go łagodnie, jak szaleńca i powiedziałam mu, że pojedziemy do najlepszej kliniki w St. Cloud, gdzie będzie mógł poddać się kuracji snem aż do poniedziałku, i zostałam z nim tam, trzymając go za rękę tak długo, aż spokojnie zasnął. Kiedy wróci w poniedziałek, będzie jak nowo narodzony.

- Czy to się często zdarza? - zapytała Kate.

- W ostatnich miesiącach ma same kłopoty - wyjaśniła Nadine.

- Naszych pięć nowych czarnoskórych modelek odeszło do Givenchy'ego i zamartwia się do szaleństwa tym domem letniskowym na Sardynii, o którym ci mówiłam. Jean François słusznie nalega, by dekorator wnętrz wykorzystał najcenniejsze stare brokaty i udrapował je jak muślin i potraktował intarsjowane drewno tak, jakby to były surowe belki, ale można sądzić, że ten człowiek nie postępuje w myśl jego zaleceń.

- Jezu, litości! - wyszeptała do siebie Fauve.

- Na szczęście - mówiła dalej Nadine - mogę zająć się sama większością tych spraw, żeby mógł spokojnie skupić się na swojej sztuce, ale niezależnie od tego, co uda mi się zrobić, to on podejmuje w końcu zasadnicze decyzje, a to jest po prostu najgorszy rok. Przecież nie jest nieświadomy tego, że stał się obiektem kultu - nic nie czyni człowieka bardziej podatnym na ciosy niż fakt, że znalazł się na piedestale - ale co

może zrobić? Ciagle musi się narażać, musi ryzykować, musi zmieniać.

- Co zmieniać? - zapytał Mistral, odsuwając talerz.

- Długość, ojciec. Jean François uważa, że nadeszła epoka maxi - mini to przeżytek. Ale czy ta tępa publika ma w sobie tyle subtelności i odwagi, by go naśladować? Czy potrafią wznieść się do jego poziomu? Tak bardzo się boi kupców i prasy, że nie wiem, czy zdoła stawić im czoła na zakończenie pokazu.

- Czy musi to robić? - warknął Mistral.

- Jeżeli nie wyjdzie do nich, ojciec, znowu zaczną się plotki. Powiedzą, że umarł, zanarkotyzował się albo wylądował w domu wariatów - nie wyobrażam sobie jak to zniesie. Istnieje, oczywiście, pokusa kompromisu - wykreowanie długości, która nie będzie rewolucyjna, lecz tylko ewolucyjna, ale Jean François jest zbyt wielkim artystą, by sprzeniewierzyć się samemu sobie.

- Powiedz mi - zapytał Mistral - ile lat ma Jean François?

- Nikt dokładnie nie wie, nawet ja, ale myślę, że około czterdziestu.

- Wydaje się dziecinny. A jeśli żyje się w świecie dzieci, trzeba się zniżać do ich poziomu - powiedział pogardliwie Mistral.

- Dość rozmów o Jean François - powiedziała nagle Kate, wtrącając się zapobiegliwie do rozmowy. Zbyt dobrze знаła poglądy Mistrala na temat wartości *haute couture* i wiedziała też, jak krytyka Jean François zmrozi Nadine. - Nadine, musisz zapytać Fauve, jak spędza lato. To absolutna rewelacja.

Nadine spojrzała na matkę i dostrzegła w jej oku porozumiewawczy błysk. Zawsze rozumiały się bez słów. Wzruszyła lekko ramionami i zwróciła się do Fauve.

- Przyszło mi do głowy, że jesteś dzisiaj niezwykle cicha. Ale wydaje mi się, że słyszałam co nieco o tobie i pewnym przystojnym młodym architekcie. Czyżby mała Fauve raczyła wreszcie zaszczyścić rodzaj męski swoją uwagą? No, i jakąż jest ta pierwsza miłość, co?

Nadine mówiła z zimną ciekawością, tak wścibską, że Fauve niemal przeszył dreszcz. Instynktownie szukała sposobu, by odwrócić jej uwagę, bo Nadine, niczym kocur włóczęga trzymający w zębach małe zwierzątko, nie porzuci przedmiotu swojej uwagi, dopóki nie dopnie swego.

- Uważam, że rodzaj męski jest niezwykle przydatny, dziękuję. Jak mogłam spędzać tu wakacje, mając tylko rower jako jedyny środek transportu? Ten chłopak ma samochód, więc udało mi się go namówić na przejażdżki po okolicy. W ciągu tych sześciu tygodni zwiedziłam ten rejon lepiej niż przez ostatnich osiem lat.

- Ciekawi cię tylko turystyka? Fauve, chyba nie sądzisz, że ci uwierzę.

- Wierz, w co chcesz. Interesuję się historią Żydów w Prowansji.

- Dobry Boże, cóż za dziwactwo... myślałam, że wszyscy Żydzi są w Paryżu.

- Tak sądzi większość ludzi - odparła Fauve, śmiejąc się prawie ze swojego zwycięstwa w tej rozgrywce. Nadine nie zapytała nawet, jak Eric ma na imię. - Żydzi żyli tu od dwóch tysięcy lat.

- Dwa tysiące lat... jesteś pewna, Fauve? - wycedziła Nadine. W jej spojrzeniu, twardym niczym zielony malachit, znać było powątpiewanie.

- Całkowicie! I do czasu wypraw krzyżowych traktowano ich tak samo jak innych. Nawet Wandale, Wizygoci i Barbarowie zostawili ich w spokoju, kiedy napadli na te tereny. Dopiero w dwunastym wieku, kiedy

królowie Francji wyruszyli na wyprawę, by odzyskać Ziemię Świętą, prześladowania Żydów zaczęły się na dobre.

Fauve odłożyła widelec, podniecona perspektywą rozmowy o tym, co znajdowała codziennie w książce Armanda Mosse, do której zarówno Kate, jak i ojciec odnosili się z jednakową zatwardziałą obojętnością. Skwapliwie skorzystała z okazji, choć doskonale wiedziała, że nadarzyła się ona tylko dlatego, że Kate chciała zażegnać kłótnię.

Fauve sypała nazwiskami, datami i liczbami jak z rękawa. Czowała, że papieże Aleksander VI i Juliusz II, którzy zatrudniali żydowskich lekarzy, są jej bliskimi przyjaciółmi. Równie serdecznie nienawidziła Juliusza III, który nakazał spalić Talmud.

Była zbyt pochłonięta swoim przedmiotem, by zauważyć, że Nadine wymienia z Kate dyskretne pogardliwe spojrzenia, kiedy z coraz większym oburzeniem mówiła o okresie pięciuset lat, zakończonym dopiero Rewolucją Francuską, kiedy Żydzi z Prowansji, już od dziecka mieli obowiązek noszenia wyróżniających ich żółtych naszywek na ubraniach. Mistral nic nie mówiąc słuchał, jak opisywała koszmar dawnych gett, których bramy co wieczór zamykano, w których niezliczone pokolenia żyły w nędznych, zatłoczonych, dusznych ruderach, podczas gdy inni ludzie mogli żyć swobodnie w rozległej i bogatej dolinie Vaucluse. Wyliczenie reguł, okrutnych, ograniczających wolność i arbitralnych, narzuconych życiu Żydów we wszystkich jego przejawach zmieniło się w jeden długi gorączkowy monolog. Mistral przestał jeść, a jego usta zacisnęły się w gniewie, ale Fauve nie zwróciła na to uwagi. Nie wiedziała, że mówi już długo i zapamiętałe, dopóki Nadine nie skończyła jeść sera i nie powiedziała lekceważąco: - Czy nie zanadto się

roztkliwiasz, Fauve? Ci ludzie od dawna nie żyją. To nienormalne, by mówić o tym tak, jakby to jeszcze dzisiaj miało znaczenie. To naprawdę do ciebie niepodobne.

- Nie tak znowu niepodobne, Nadine. W książce Mosse co i rusz znajduję nazwisko Lunel i Astruc - moje rodowe nazwiska... A moje nazwisko to fakt.

- Czy nie nazbyt pochopne wnioski wyciągasz z tego, zapewne bardzo odległego związku?

- Nie, do licha. Wcale nie wydaje mi się to odległe... - odparła ze złością Fauve, lecz Mistral przerwał nagle swoje zamyślenie.

- Dość tego! Kiedy przyjechałaś z tego miejsca w Cavaillon, na podstawie twojego opisu przekonałem się, że miejscowi Żydzi byli zamożni i traktowano ich dobrze, a teraz każesz nam słuchać tej litanii nieszczęść. To się staje twoją obsesją!

- Byłam nie doinformowaną romantyczką, żyjącą złudzeniami, ojcze.
- Fauve mówiła śmiało, nie zrażona jego dezaprobatą. - Ten budynek nie ma nawet dwustu lat i byłam na tyle głupia, by wyobrażać sobie, że to oznacza sielankową przeszłość. Teraz wiem, że jest to jedna ze zwodniczych pamiątek z tych krótkich okresów, kiedy Żydom pozwolono żyć we względnym spokoju. I nawet wtedy świątynię otaczało okropne getto, które zostało zburzone. Są jeszcze ludzie, którzy w dobrej wierze szczytą się tym, że Prowansja była „żydowskim rajem”. Była nim istotnie, jeśli porównać ją z dziesiątkami innych miejsc we Francji, gdzie wszystkich Żydów spalono żywcem! Prowansja była rajem w najbardziej ograniczonym i ironicznym sensie tego słowa. To tak, jakby powiedzieć, że była najlepszym ze wszystkich więzień dla ludzi, którzy nie popełnili

żadnej zbrodni.

- Więzień? - zapytała Kate, patrząc jaki wyraz przybiera twarz Mistrala na widok zbuntowanej Fauve. Była jedyną osobą przy stole świadomą tego, jak bardzo gniewało go zainteresowanie Fauve tym co żydowskie. Jedyną osobą, którą cieszyła jego reakcja na każde słowo Fauve. - Dlaczego „więzieniem”, Fauve? Przecież nie my ponosimy odpowiedzialność za to, co stało się z tymi ludźmi, my nigdy nie byliśmy dla nich okrutni, my nigdy nie traktowaliśmy Żydów tak, jakby popełnili jakieś przestępstwo. Naprawdę, Fauve, dziwię się, że oskarżasz nas wszystkich o to, że posyłaliśmy ich do obozów koncentracyjnych.

Odkąd Kate Mistral знаła Julięna Mistrala, zawsze odgrywała przed nim jakieś role. Najbliższy poznania prawdy o tym, jaka jest w rzeczywistości był w chwili, kiedy poprosiła go, żeby się z nią ożenił. Teraz, po czterdziestu dwóch latach małżeństwa, ograniczyła się do roli, która zmieniała się przez lata, do roli, w której nigdy nie objawiała wszystkich swoich uczuć temu najbardziej niezbędnemu ze swoich wrogów. Kiedy podziwiała aktorkę na scenie lub na ekranie, nigdy nie przyszło jej do głowy, że we własnym życiu rodzinnym była od dawna niepoprawną i wytrawną aktorką. Wszystkie związki z ludźmi rozgrywała w swoim własnym teatrze, przyjmując, że inni też grają przez cały niemal czas. Chwile, w których mogła odrzucić teatralną maskę, należały do rzadkości. Czasami była bliska prawdy - i chwili szczerego wewnętrznego kontaktu - z Nadine. Z mężem - nigdy.

Kate siedziała spokojnie przy toalecie, zdejmując perły, podczas gdy Mistral stał gniewnie w drzwiach jej sypialni. Nie miał ochoty wejść i usiąść, ale nie był też w stanie pójść do swego pokoju i postarać się zasnąć.

- Dlaczego tak się denerwujesz, Julien? - zapytała łagodnie.

- Zgoda, to irytujące, że Fauve uparła się, by nas zanudzać przy kolacji, ale po co robić z tego wielki problem? Wszystkie dziewczyny przechodzą przez trudne chwile, kiedy mają po kilkanaście lat.

- Celowo ją do tego zachęcałaś.

- Nonsens. Ostatnio nie można powiedzieć Fauve dobrego słowa, żeby nie pofolgowała z miejsca swojej obsesji. Sam dobrze wiesz, że wystarczy tylko powiedzieć dzień dobry, żeby narazić się na wykład o

tysiącleciu pod Ścianą Płaczu. Nie można jej powstrzymać. Ilekroć jest z nami przy stole, boję się, że znów zacznie. Chyba że całkowicie jej tego zabronisz.

- Nie można zabronić Fauve mówienia o rzeczach, które ją interesują. Nie takiej dziewczynie jak ona - odparł ponuro.

- Przeklęty łobuz z tego Avigdora. To jego sprawa.

- Jesteś bardzo niesprawiedliwy. Oczywiście, chłopak dolewa oliwy do ognia, ale moim zdaniem nie w tym tkwi przyczyna. Jeżeli szukasz winnego, należy o to oskarżyć Maggy Lunel.

- Co to znaczy, u diabła?

- Jezuici powiadają, że wystarczy dać im dziecko na pierwszych siedem lat, a ukształtują je na całe życie. Oddałeś Fauve jej babce, a ona nie traciła czasu, narzucając własną tożsamość twojej córce. Poza tym, Fauve ma w sobie kroplę żydowskiej krwi, niezależnie od tego, czy ci się podoba, czy nie. Nie lekceważ tej siły, Julien... Każde dziecko potrzebuje poczucia tożsamości... tak się przynajmniej mówi.

- Jest moją córką - jest malarką. Czy taka tożsamość jej nie wystarczy, na Boga? Czego więcej może chcieć szesnastolatka, na miły Bóg? Ale nie - zamiast wykorzystać to lato, traci czas biegając w kółko i wyobrażając sobie, że odnalazła jakąś tam tradycję, która nie ma z nią nic wspólnego. Zwariowała i myśli, że Lunelowie i Astrucowie w tej przeklętej książce to jej rodzina. Przecież nie może niczego się dowiedzieć - nawet jeśli istnieje jakiś niejasny związek, to nie ma zupełnie żadnego znaczenia!

- Może Fauve nie wystarcza świadomość, że jest twoją nieślubną córką! - Kate odłożyła bransolety, zamknęła kasetkę z biżuterią i zaczęła

szczotkować swoje piękne włosy, które układały się wokół jej twarzy w nienagannym porządku. - Idź wreszcie spać, Julien! Denerwuję się, kiedy tu tak stoisz.

* * *

W chwilę później Mistral szedł do pracowni rozświetlonej blaskiem nocnego nieba Prowansji, na którym gwiazdy zdają się zbliżać tak, jakby chciały zaśpiewać człowiekowi pieśń, tak jak dzieje się to na innych wielkich przestrzeniach, na pustyni albo wśród polarnego pustkowie. Nie włączył oświetlenia do pracy, lecz podszedł prosto do sztalugi, na której stał nie dokończony portret Fauve. Pograżony w myślach patrzył na prostokąt płótna, niemal zupełnie szary w blasku nieba. Słowa Kate dźwięczały mu w uszach. „Każde dziecko potrzebuje poczucia tożsamości”. Czyż mógł nie przyznać jej racji? Od dnia, w którym Fauve przyszła na świat był bezsilny, nie mogąc dać jej swojego nazwiska. Według francuskiego prawa nie mógł uznać jej za swoją córkę, nie mogła nazywać się Fauve Mistral, więc oczywiście myślała o sobie jako o Lunel - jednej z nich. Wymykała mu się całe lato, unikała go coraz bardziej z każdym dniem i choć uchwycił jej obraz na płótnie, wiedział, że - inaczej niż w poprzednich latach - nie udało mu się uchwycić jej duszy, bo nawet kiedy ją malował, była kimś innym.

Mistral odwrócił się od obrazu z pogardą. Po co ma zawracać sobie głowę i kończyć ten bohomasz? Rozglądał się po ciemnej pracowni. Jak można schwytać szesnastoletnią dziewczynę, przyprzeć ją do muru i przemówić jej do rozsądku? Kolibra byłoby łatwiej nauczyć rozumu. Gdyby tylko była Francuzką, wychowaną tu, w Félice, pod jego okiem. Gdyby tylko nie wymykała mu się co roku, gdyby mogła zatrzymać się w

latach!

Niespokojnie szukał jedynej skutecznej pociechy - towarzystwa swoich własnych prac. Otworzył drzwi magazynu, włączył górne światła. Chodził jasno oświetlonym przejściem, wyciągając stelaże, jeden po drugim, i przypatrywał się tkwiącym na nich obrazom, tak jakby były nieznanymi przedmiotami, jakby nigdy nie poświęcił każdemu z nich wielu tygodni, a często i miesięcy, skrajnie intensywnego wysiłku, na który potrafił się zdobyć. Po dłuższej chwili wyciągał dłoń i przesuwał nią po wybranej na chybił trafił powierzchni pokrytej farbą, dotykając szorstkiej faktury płótna, tak jakby to była żywa istota. Powoli odprężał się, powoli doznawał pociechy. One żyły. Był tego równie pewny jak faktu, że Julien Mistral to on sam. Żyły teraz i będą żyć, póki będą istnieć. Tego pokoju nie wypełniały skończone obrazy, ale istoty, które mówiły i oddychały. Tu była jego tożsamość, w tym pokoju bez okien było wszystko, co kiedykolwiek będzie można powiedzieć o Julienie Mistralu.

Była taka część pomieszczenia, do której nie zaglądał nigdy. Portrety Teddy w ciąży i Teddy z Fauve, które namalował przez pierwsze dwa miesiące życia Fauve, kiedy pracował tak intensywnie jak nigdy, zajmowały kilka stelaży w głębi ogromnego pokoju. Po śmierci Teddy zostawił je w mieszkaniu w Awinionie, gdzie strzegło ich pieczołowicie małżeństwo służących. Po powrocie do La Tourelle, Mistral zorganizował przewóz obrazów do magazynu, ale nie spojrzął na nie już nigdy.

Zbliżył się teraz wolno do stelaży i wysunął je na środek szerokiego przejścia. Był tam tylko jeden nie dokończony obraz, ostatni obraz Teddy, który namalował w St. Tropez. Siedziała w ogrodzie na huśtawce w niebieskie i białe pasy, trzymając przy piersi Fauve i pochylała głowę,

przyglądając się dziecku.

Nawet w najbardziej dręczących, pełnych tęsknoty snach nie była tak piękna. Namalował swoją miłość tak wyraźnie, że płótno zdawało się krzyczeć jednym wysokim czystym okrzykiem radości bez słów. Szybko wepchnął stelaż z powrotem na miejsce i wypadł z magazynu, zamykając za sobą drzwi na klucz. Wyszedł z pracowni tylnymi drzwiami i szybkim krokiem poszedł ścieżką prowadzącą wzdłuż murów La Tourello. Zatrzymał się dopiero w głębi dębowego lasu. Usiadł na ziemi, opierając się o drzewo i oddychając głęboko, jakby walczył o życie. Dlaczego to zrobił? Po co ryzykował tak niechybny ból?

Odruchowo, jakby umykał przed strumieniem wrzátku, bronił się przed uczuciem bólu, starając się nie myśleć o obrazie Teddy i skoncentrować na tym fragmencie płótna, na którym namalował tę część istnienia, malutką Fauve. Już wtedy miała w sobie płomienną żywość. Pamiętał ją w chwili narodzin, owiniętą w różowy kocyk. Ledwie wyjrzała na świat, a już wyróżniała się tak, że wiedział od razu, jak ją nazwać. Jego gniew na nią, który wzbierał w nim przez całe lato, kiedy wymykała mu się z rąk, rozwiął się na wspomnienie Fauve przy dzisiejszej kolacji. Jej twarz odzwierciedlała każde jej uczucie. Nie potrafiła powściągnąć swojej idealistycznej, zmiennej natury, tak jak nie potrafiła być hipokrytką i bawić się w dyplomację.

Julien Mistral nie był człowiekiem zdolnym do abstrakcyjnego współczucia. Nie tylko nie współczuł ludziom, ani jako jednostkom, ani jako zbiorowości, ale nie miał najmniejszej ochoty im współczuć. Jego sztuka była całkowicie osobista. Obejmowała tylko te przedmioty, które znalazły się w obszarze uznanym przez niego za swój własny. Pewne

przejawy natury, pewne elementy życia mieszkańców Prowansji i kilku - niewielu - ludzi, których kochał. Bez impulsu miłości był kamieniem - kamieniem który malował.

Kiedy siedział pod drzewem, jego miłość do Fauve pozwoliła mu przeniknąć jej umysł, umożliwiła mu dostęp do jej duszy i powoli uświadomił sobie, jakie pytania zadaje sobie pewnie Fauve. Kim jestem? Czym jest życie? Dokąd zmierzam? Kto był przede mną? Czy istnieje jakaś więź.

Szukała, rzecz jasna, czegoś, co pozwoliłoby odpowiedzieć na te pytania, bo przecież nie była romantyczką, romantyczką taką jak Teddy? Nic dziwnego, że Fauve czuła się zagubiona, nic dziwnego, że miotła się i przejmowała głupstwami. Mistral spróbował wyobrazić sobie wspaniałe życie, w którym Fauve dorastałaby pod troskliwym i uważnym spojrzeniem Teddy, jako dziecko, które ma matkę i ojca, bezpieczne, wolne od trosk, kochane. Jęknął pod ciosem bezcelowej rozpacz i odegnał od siebie ten obraz, ale pierwszy raz w życiu zrozumiał w pełni, że nie był jedynym człowiekiem na świecie, pozbawionym tak okrutnie miłości Teddy Lunel. I nigdy nie pokazał portretu Fauve i Teddy nikomu. Nawet Fauve.

Siedział nieruchomo, tak wstrząśnięty myślą, która przyszła mu teraz do głowy, że analizował ją nieustannie, szukając jej słabych stron. Nie mógł uwierzyć, że nigdy przedtem na to nie wpadł. Jego surowa, władcza twarz przybrała niepoohamowany grymas gwałtownej radości, by po chwili stężeć w wyrazie postanowienia tak mocnego, jakby musiał znosić głęboki ból, jakby się w nim pogrążał. Wiedział, jak dać Fauve poczucie tożsamości, które zwiąże ją z nim na zawsze, które pozwoli mu tak

zaważyć na jej życiu, że uniemożliwi jej poszukiwanie przeszłości, nie mającej nic wspólnego z nim. Była tak zdesperowana, że musiała szukać namiastki swojej tożsamości w zrębach synagogi z czasów Ludwika XV. Ale tylko on jeden na tym wielkim, szerokim świecie miał moc dać jej tożsamość, dziedzictwo, poczucie przynależności, dzięki któremu zrozumie, że pierwszym i najważniejszym związkiem na świecie był i zawsze będzie jej związek z nim.

Julien Mistral nie sporządził dotąd testamentu, ale kiedy zmarli jego rodzice, miał do czynienia ze sprawami spadkowymi. Jego matka wprawiała go w osłupienie i niezadowolenie, zapisując jedną trzecią swojej małej posiadłości przyjaciółce, z którą spędzała wiele czasu haftując, kobiecie, z którą nie była w żaden sposób spokrewniona. Kiedy Mistral pytał prawnika o zgodność tego faktu z przepisami, usłyszał, że każdy ma prawo zostawić jedną trzecią majątku osobie obcej. Pozostałe dwie trzecie należy podzielić między prawowitych spadkobierców, niezależnie od własnej woli.

W świetle prawa Fauve była dla niego osobą obcą. Francuskie prawo nie pozwalało na żaden oficjalny związek między nimi. Nie miała statusu prawnego. Jako *enfant adulterine* nie mogła dziedziczyć niczego, ale jako osoba obca - jedną trzecią! Och, jakże starannie, w jakiej bliskości, z jakim ożywieniem będą przeglądać obrazy w magazynie. Ile godzin poświęcą na radośnie skomplikowany, wymagający skupienia proces wybierania tej jednej trzeciej z nich, która stanie się osobistą własnością Fauve, i oddzielania ich od tych, które z konieczności muszą przypaść Nadine i Kate. Oczywiście, jeśli ta ostatnia go przeżyje.

Zamknie Fauve w swoim życiu na zawsze. Czy zakurzona książka o

historii może przywiązać ją do siebie mocniej niż najlepsze dzieło jego życia? Jaka architektoniczna blahostka, jaka książka, jaka lista nazwisk ludzi, którzy dawno pomarli może dać jej mocniejsze poczucie tożsamości niż wiedza o tym, że jej ojciec dał jej za życia największą, jaką mógł, część skarbu, dla którego żył? Dzieła, które było nim samym.

Wstał i otrzepał spodnie z liści. Kiedy wracał do La Tourello, w świetle gwiazd jego sylwetka wyglądała tak zwawo i młodo, jak tego dnia, kiedy pierwszy raz zbliżył się do bram wielkiego domostwa, które miało zdecydować o jego przyszłości.

* * *

- Kate, zarządz, by przygotowano dwa pokoje gościnne - powiedział Mistral następnego ranka do żony, siedzącej samotnie na brzegu basenu.

- Zaprosiłeś gości? - zapytała zaskoczona. Sprawy życia towarzyskiego pozostawiał całkowicie w jej rękach.

- Przyjeżdżają dwaj ludzie, którzy będą jeść z nami posiłki, bo w pobliżu nie ma innego miejsca, w którym mogliby się żywić. Zostaną tu prawdopodobnie przez tydzień albo dziesięć dni.

- Julien, co ty mówisz? To absurdalne.

- Postanowiłem sporządzić testament. Trzeba wycenić obrazy. Dziś rano telefonowałem do Etienne Delage'a po radę. Jako dealer zna wszystkie kruczki. Powiedział mi, że nie powinienem sporządzać testamentu, dopóki nie ustalę wartości każdej z moich prac. Inaczej po mojej śmierci zrobi to za mnie rząd. I, naturalnie, wycenia je jak najwyżej, żeby ściągnąć z mojego majątku jak największy podatek. Ale jeśli zrobi się to póki żyję, mam prawo sam wybrać sobie jednego z ekspertów, a rząd przysyła drugiego. To są właśnie ci dwaj panowie, którzy przyjadą - i

osiągną między sobą uczciwy kompromis. Etienne znalazł dla mnie człowieka, który wyceni obrazy według najniższej wartości, którą można przyjąć - to jego specjalność.

- Jak to ładnie ze strony Etienne'a. Czy mogę zapytać, dlaczego postanowiłeś sporządzić testament?

- Zostawiam Fauve jedną trzecią mojego majątku, tę część, którą może dziedziczyć osoba postronna. - Spojrzał na Kate, szukając oznak gniewu, ale jej oczy były ukryte za ciemnymi okularami, a wyraz jej twarzy nie zmienił się. - Wczoraj w nocy uświadomiłem sobie, że to możliwe i ciągle słyszałem twoje słowa - „każde dziecko potrzebuje poczucia tożsamości” - i zrozumiałem, że muszę to zrobić. Oczywiście ty i Nadine dostaniecie pozostałe dwie trzecie. Zamierzam pozostawić jej część wyłącznie w postaci obrazów, bo nie miałoby sensu pozostawienie jej jednej trzeciej farmy albo inwestycji w kraju, w którym nie mieszka. To oznacza, że muszę ustalić całkowitą wartość La Tourello i naszych kont bankowych oraz innych inwestycji i obrazów, by mieć pewność, że dostanie uczciwą trzecią część.

- Rozumiem - powiedziała Kate bezbarwnym głosem.

- Potrzeba czasu, by to ustalić. Prawdopodobnie wszystkie szczegóły nie będą znane, czarno na białym, przed wyjazdem Fauve, ale Etienne powiada, że obrazy - tak jak meble, srebra lub biżuterię - można zapisać w spadku indywidualnie. Innymi słowy, obraz o danej wartości dostanie Fauve, obraz o takiej samej wartości Nadine i ty, i tak dalej.

- Więc zamierzasz zostawić je wszystkie według tytułów i opisów?

- Tak. Och, zapomniałem, że wszystkie obrazy z cyklu *Rouquinne* należą do ciebie. Nie ma obaw. Zrobiłaś dobry interes, Kate.

- Tak, owszem.

- Zamierzam je od ciebie odkupić.

- Naprawdę?

- Tak. Powinny należeć do Fauve. Można by przecież rzec, że to portrety rodzinne. - Na twarzy miał taki uśmiech, jakiego nie widziała od lat.

- Tak. Istotnie, tak. Czy wiesz, ile mogą być warte?

- Zapłacę, ile będzie trzeba.

- Zgoda.

- Zatem - Mistral podniósł się z ulgą - rzecz jest postanowiona. Powiesz służbie, co trzeba? Eksperci przyjeżdżają za dwa dni.

- Oczywiście - odparła Kate. - Czy rozmawiałeś już z Fauve?

- Nie. Porozmawiam z nią dziś wieczorem, kiedy wróci, żeby się przebrać. Idzie dzisiaj na jakieś przyjęcie. - Zniknął w pracowni myśląc, że Fauve może sobie dzisiaj biegać cały dzień, bo jutro nie będzie mogła się oderwać od tego, co odkryje w magazynie.

* * *

Kate siedziała bez ruchu zastanawiając się, czy zdoła wytrzymać ten piekący, świdrujący ból, który wdzierał się w jej ciało niczym metalowe wiertła maszyny. Więc nie wystarczyło, że doprowadził Nadine do nędzy, że zmusił ją, by zarabiała na życie, dopóki on nie umrze. Teraz odzierał ją ze wszystkiego, ograbiał i zabierał jej wszystko, zniżając własną córkę do poziomu bękarta.

Czy myślał, że była tak głupia, by uwierzyć w jego wyjaśnienia na temat „uczciwego” wyboru obrazów, które zostawi Fauve? Czy nie zdawał sobie sprawy, że ona wie równie dobrze jak on, że między dwoma

obrazami wycenionymi tak samo będzie ogromna różnica ważności, o której tylko artysta może zdecydować? Czyżby nawet nie podejrzewał, że ona wie doskonale, że Fauve dostanie tylko te obrazy, które on sam z pewnością uzna za swoje największe dzieła? Arcydzieła wśród arcydzieł? Jeżeli Fauve dostałaby całą trzecią część spadku w obrazach, z pominięciem jego ziemi, jego pieniędzy, jego inwestycji, równie dobrze mógłby jej dać co najmniej połowę zawartości magazynu. Na wspomnienie tego pomieszczenia wciągnęła głęboko powietrze i pochyliła się, ściskając oburącz brzuch.

Jak śmiał jej to zrobić? Ona, Kate Browning, zajęła się nieznanym artystą i uczyniła z niego Julięna Mistrala i do diabła z nim, należał do niej! Nie miał żadnych praw na tej ziemi, dopóki ona mu ich nie nadała. Jak mógł gadać niczym stary głupiec o „dzieleniu się” swoją pracą, skoro wszystko, najmniejszy kawałek płótna, który kiedykolwiek zasmarował farbą, należał naprawdę do niej?

Był jej tworem. Kim byłby, gdyby nie została jego żoną? Nikim! Byłby nikim, zgorzkniałym starcem, gnieźdzącym się w jakiejś obskurnej paryskiej pracowni, zdziwionym, że świat nie legł u jego stóp. Przegapiłby swoją chwilę i inny malarz zyskałby sławę. A jednak ośmielił się, naprawdę się ośmielił mówić o tym, że odda swoje prace Fauve?

Czy nie namalował tylko tego, co ona sama pozwoliła mu stworzyć? Jeżeli odda swoje prace, odda jedyną rzecz na świecie - jedyną rzecz, która należała wyłącznie do niej. Tego nie może zrobić. Sparaliżowana napadem furii większej niż kiedykolwiek w życiu, większej niż uczucie, którego doznała, kiedy Julien zostawił ją dla Teddy Lunel, zaślepiona Kate siedziała w słońcu, a skłębione, rozdzierające ciosy gniewu wzbierały jej

w żołądku, aż wreszcie musiała wyrwać się z bezruchu i popędzić do pawilonu kąpielowego, by tam, w toalecie, dać upust nienawiści.

Kiedy wyszła, poczuła się silna, spokojna i pewna, że wie, co trzeba zrobić.

* * *

- Fauve, czy możesz wejść na chwilę do mojego pokoju i zamknąć za sobą drzwi? - poprosiła Kate tego popołudnia, kiedy usłyszała, jak Fauve wchodzi po schodach.

- Jasne, ale nie jestem jeszcze gotowa, a Eric przyjedzie po mnie o szóstej. Czy to zajmie dużo czasu?

- Nie, niedużo. Fauve, myślę, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak bardzo denerwujesz ojca takimi dyskusjami, jak ta, którą uraczyłaś nas wczoraj wieczorem.

- Och, wiem, że mówiłam za dużo, Kate. Myślałam o tym dzisiaj i zrozumiałam, że nie pozwoliłam nikomu dojść do głosu. To się więcej nie powtórzy. Przepraszam.

- Nie w tym rzecz, jak długo mówiłaś, Fauve. To kwestia tematu. Mówiłaś bez przerwy o cierpieniach Żydów.

- Co?

- Miałam nadzieję, że nie będę zmuszona do tego, by ci o tym powiedzieć, ale widzę, że jesteś głęboko zaangażowana w dziedzictwo po matce. To zupełnie zrozumiałe i uważam nawet, że wzruszające i fascynujące, ale widzisz, twój ojciec... kiedy mówisz w ten sposób o Żydach, odnawiają się stare rany.

- Domyślam się, że chcesz mi powiedzieć, że to przypomina mi moją babkę? Wiem o tym, Kate i nie wierzę, że to, co mówię musi

koniecznie wywoływać w nim jej wspomnienie. Maggy nie jest jedyną Żydówką na świecie.

- Wcale nie to mam na myśli. Nigdy nie przysłoby mi to do głowy. Nie, Fauve, to coś, co jest mi znacznie trudniej wyjaśnić.

- Do czego zmierzasz, Kate? - zapytała Fauve, zaskoczona przejętym i zatroskanym wyrazem twarzy, zazwyczaj opanowanej Kate.

- Fauve, masz dopiero szesnaście lat. Zawsze żyłaś w bezpiecznym świecie, ale jeszcze dziesięć lat przed twoim urodzeniem była druga wojna światowa, a nieszczęścia, które trudno ci sobie nawet wyobrazić, były chlebem powszednim.

- O, mój Boże - powiedziała wolno Fauve - wczoraj wieczorem, kiedy mówiłaś o obozach koncentracyjnych, myślałaś o tym, co stało się z Żydami podczas wojny, prawda? Chciałaś mnie ostrzec. Och, Boże, Kate, tak mi przykro! Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że to go zmartwi... Nie przyszło mi do głowy...

- Fauve, nie postawiłam sprawy jasno. Mówię o okupacji Francji i o tym, jakie było wtedy życie. Kiedy wróciłam do Félice po wojnie, Marte Pollison, która była w La Tourello przez cały czas, opowiedziała mi coś i nie przypuszczałam, że będę zmuszona rozmawiać o tym z kimkolwiek. - Kate wpiła się chciwym spojrzeniem w przerażoną twarz Fauve, z której zniknęła już beztroska, promienna radość widniejąca na niej w chwili, kiedy Fauve wchodziła do jej pokoju. - Fauve, całymi tygodniami pasjonowałaś się historią Żydów z Prowansji, a ja starałam się ciebie zniechęcić. Miałam swoje powody - myślałam, że w końcu przestaniesz cię to interesować. Ale nie przestało i teraz, zanim ci wytłumaczę, dlaczego musisz przestać poruszać ten temat, chcę mieć pewność, że dobrze

zrozumiesz swojego ojca. Żyje tylko po to by malować. Wiesz, czym jest dla niego jego twórczość, prawda? Wiesz, że sztuka jest dla niego wszystkim, że żyje tylko dla niej?

- Jest też człowiekiem, mężczyzną - powiedziała powoli Fauve.

- Ale nie takim jak wszyscy. Żaden geniusz nie jest taki jak wszyscy. Musiałam do tego dochodzić przez wiele lat. Oczywiście, nie spodziewam się, że zrozumiesz to w pełni, ale jest pewien wymiar, którego geniusz nie posiada. Wymiar zwykłego człowieczeństwa jest obcy geniuszowi, właśnie dlatego, że jest geniuszem.

- Chyba rzeczywiście nie rozumiem tego „w pełni”, Kate.

- Tak, tego się obawiałam. Przykład wytłumaczy ci to lepiej niż same słowa. W ostatnich latach wojny wszędzie było pełno Niemców, żadne miejsce nie było tak odległe, by nie wiedzieli, co się w nim dzieje. Nawet Félice. Wywieźli niemal wszystkich mężczyzn zdolnych do pracy na przymusowe roboty do Niemiec... - Kate przerwała i ze smutkiem potrząsnęła głową.

- I... ?

- Twojego ojca zabraliby także, gdyby nie wstawiennictwo niemieckiego oficera wysokiej rangi, z którym bardzo się zaprzyjaźnił, bardzo zbliżył.

- Nie wierzę.

- Nie, Fauve, oczywiście, że nie wierzysz. Na tym właśnie polega trudność wytłumaczenia ci nawet tak drobnej sprawy jak ta.

- Drobnej sprawy? - Twarz Fauve pobleadła, co Kate zauważyła z dreszczem satysfakcji. A przecież nic jej jeszcze nie powiedziała. Nic ważnego, zupełnie nic. Jakaż była mądra, starająca się przez te wszystkie

lata o względy Marte Pollison. Ta kobieta to istny tyran, ale plotki są dla niej zbyt silną pokusą.

- Ten oficer był wielbicielem sztuki. Dostarczał twojemu ojcu cennych farb, żeby mógł pracować wbrew wszelkim trudnościom, i skreślił go z listy tych, których przeznaczono na wywózkę do niemieckich fabryk. W tym czasie namalował kilka ze swoich najlepszych dzieł, a jednak, gdyby ludzie o tym wiedzieli, nie zawahaliby się nazwać go kolaborantem.

- Po co mi o tym mówisz?

- Żebyś mogła w pełni pojąć, czego wymagał od ojca jego geniusz. Kiedy powiedział Niemcom o bandzie łobuzów, którzy ukradli mu cenne prześcieradła - przez wiele lat nie miał żadnego innego materiału, którego mógłby używać zamiast płótna - skąd mógł wiedzieć, że to byli partyzanci? To było straszliwe nieporozumienie i nigdy nie mógł sobie tego darować. Było ich dwudziestu, złapano wszystkich i rozstrzelano na miejscu. Nigdy nie dowiedziałyby się nawet, co się z nimi stało, gdyby Niemcy nie zwrócili mu prześcieradeł.

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo - powiedziała z wściekłością Fauve. - To podłe kłamstwo i co to ma, do diabła, wspólnego z wczorajszym wieczorem? Mówiłam o tym, jak żyli w Prowansji Żydzi przed Rewolucją, a nie po wojnie!

Kate westchnęła i na chwilę ukryła twarz w dłoniach. Teraz! Teraz! - pomyślała. - Och, Fauve - powiedziała znużonym głosem, tak łagodnym i błagalnym, jakby chciała, by dziewczyna domyśliła się wszystkiego sama. - To był tylko przykład tego, tego okrucieństwa i tragedii, które może wydarzyć się podczas wojny. Miał dać ci pojęcie o sprawie z tymi Żydami,

którzy zwracali się do niego o pomoc podczas okupacji.

- Żydami? Jakimi Żydami?

- Żydami z Paryża, którzy chcieli wydostać się z okupowanej Francji.

Przyszli do niego, przychodzili bez przerwy - ludzie, którzy powoływali się na fakt, że byli jego starymi przyjaciółmi z paryskich czasów, albo na to, że zapraszał ich do siebie jeszcze przed wojną. Czasem byli to tylko przyjaciele przyjaciół. Opowiadała mi o tym Marte... och, Fauve... tak trudno to wytłumaczyć komuś, kto należy do twojego pokolenia... co ty możesz wiedzieć o wojnie? - Kate opadła na krzesło. Jej twarz przybrała nieprzystępny i czujny wyraz.

- Co jest trudno wytłumaczyć? - zapytała Fauve słabym głosem. Serce biło jej szybko. Czowała się tak, jakby musiała natychmiast rzucić się do ucieczki, jakby palił się dom, a ona była w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Kate wzięła oddech, by nabrać sił i mówiła cicho, patrząc na dywan.

- Twój ojciec kazał, by Marte i Jean ustawili barierę przy głównej drodze, by ukryć wejście do La Tourello, tak żeby żadni uciekinierzy, Żydzi i wszyscy inni, także i ci, którzy nie byli Żydami, nie nachodzili go i nie przeszkadzali mu w pracy. Musiał oczywiście zamknąć także główne bramy, bo niektórzy z nich przedostawali się tu przez las. Przecież wiedzieli, że dom tu jest, jeśli już kiedyś w nim byli. Ale twój ojciec zdawał sobie sprawę, że jeśli ustąpi i pozwoli kilku Żydom spędzić choćby jedną noc pod swoim dachem, będzie w poważnym niebezpieczeństwie. Każdy Francuz, który udzielał pomocy Żydowi, ryzykował życiem.

- A wszyscy ci Francuzi, którzy pomagali Żydom, walczyli w Ruchu Oporu, wysadzali niemieckie pociągi i odpowiadali walką? - zapytała

Fauve z napięciem w głosie.

- To mali ludzie, Fauve, mali ludzie, którzy nie mieli tyle do stracenia co twój ojciec. On musiał wybrać między malarstwem i ryzykiem utraty życia, i jestem głęboko przekonana, że dokonał właściwego wyboru. Wierzę, że ty także zgodzisz się z tym. Uznał, że obowiązuje go wyłącznie lojalność w stosunku do własnej pracy, a nie ludzi, wobec których nie miał nigdy żadnych zobowiązań. Powinnaś być na tyle dorosła, by to pojąć.

- Dorosła? - powtórzyła Fauve. - Dorosła?

- Ależ, Fauve, po prostu trzeba było ich odprawić. Zakłócaliby jego równowagę psychiczną. Jak myślisz, dlaczego zobaczył się z tobą dopiero po ośmiu latach? Bał się o swoją równowagę psychiczną, o swoją zdolność koncentracji. Ci Żydzi nie daliby mu malować, nawet gdyby nikt ich nie złapał, nawet gdyby nikt nie wiedział. Przyznaję, że La Tourello leży na uboczu, ale prędzej czy później plotki roznoszą się po miasteczku i ktoś mógłby donieść na niego władzom. I dlatego, Fauve, martwi go to, że bez przerwy zajmujesz się Żydami... w ten sposób przypomina sobie wszystkich tych ludzi, którzy przechodzili koło ogrodzenia, a dzwonek w kuchni dzwonił bez przerwy.

- Co ty możesz o tym wiedzieć! Nie było cię tutaj! Wszystko przez Martę. Ja nie uwierzyłabym w żadne z tych cholernych kłamstw, których ci naopowiadała!

- Nadal nic nie rozumiesz. Ach, Fauve, po co miałabym zadawać sobie trud, żeby cię okłamywać! W grę wchodziła praca twojego ojca. Czy nie pojmujesz, co to znaczy? Nie ma nic ważniejszego.

- Kłamiesz!

- Skoro mi nie wierzysz, zapytaj Adriena Avigdora.

- Co?

- Słyszałaś. Przed wojną był najlepszym przyjacielem twojego ojca. Ale ojciec jego także odprawił, odmówił mu schronienia. Avigdor sam mi o tym powiedział w 1946, w Paryżu i przez cały ten czas, kiedy spotykałaś się z Ericem, bałam się, że ten stary coś ci powie. Kiedy ostatni raz go widziałam, był bardzo rozgoryczony. Sądzę, że śledził losy tych ludzi, którzy tu przychodzili... to byli przeważnie artyści. Jego własna wrogość była przerażająca. Zachowywał się tak, jakby twój ojciec był winny temu, że w Europie toczy się wojna i że wielu z tych nieszczęśników schwymano i deportowano. Przecież prawdopodobnie zginęliby i tak, niezależnie od tego, co zrobił twój ojciec.

- Deportowani... zginęli... schwytani...

- Fauve, po prostu musiałam ci o tym powiedzieć. Po prostu nie wolno ci więcej robić wykładów z historii podczas posiłków. Czy dasz mi słowo...

Kate nie skończyła jeszcze mówić, kiedy Fauve wybiegła z sypialni. Nie - pomyślała - nie, chyba nie zapomniałam o niczym istotnym.

* * *

Fauve pchnęła drzwi pracowni, kiedy Mistral malował jej portret, którego każdy szczegół ożywiała siła i głębia. Jego zdolność uczestnictwa w poszukiwaniu tożsamości Fauve dostarczyła tego składnika, którego brakowało jego dziełu przez ostatnie tygodnie i teraz, jednego dnia, zapanował nad obrazem.

- Dzięki Bogu, że wróciłaś! Mam ci tak wiele do powiedzenia. - Rzucił pędzel i podszedł do niej, by ją pocałować. Zatrzymała się w

drzwiach i uczyniła ręką gest, by go powstrzymać.

- Ojciec, czy odmawiałeś schronienia żydowskim uciekinierom podczas wojny - czy słuchałeś, jak dzwoni dzwonek i nie podchodziłeś do bramy, żeby ich wpuścić?

Mistral poszedł za ciosem. Szok, wywołany oskarżeniem Fauve wzbudził w nim tylko jedną myśl. - Avigdor! - ryknął. - Czego ci, u diabła, naopowiadał?!

- A więc to prawda! - wykrzyknęła Fauve. Cała jej desperacka nadzieja rozviała się, kiedy wymówił nazwisko Avigdora. - Czy czasami myślisz o nich - o Żydach, którzy przez ciebie zginęli?

Odwróciła się, ale nie tak szybko, by nie wyczytać z jego twarzy tak oczywistej prawdy. Wyciągnął do niej rękę, ale odeszła. A on nie odważył się pójść za nią. Stał, drżąc pośrodku pustej pracowni, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić, a potem w pośpiechu, jak człowiek w śmiertelnym niebezpieczeństwie, zaczął zamykać od wewnątrz wszystkie drzwi i okna pracowni, by schronić się przed nienawiścią, bijącą z oczu córki.

* * *

Przybywszy na miejsce trzy kwadransy później Eric Avigdor zastał Fauve czekającą pod murami La Tourelle. Obok niej, na zwirowanym podjeździe, stały jej walizki. Miała ze sobą płaszcz przeciwdeszczowy.

- Wybieramy się dokądś, kochanie? - zapytał wesoło. Gotów był znosić wszelkie kaprysy Fauve.

- Eric, proszę, zabierz mnie na dworzec kolejowy w Awinionie.

- Tego nie zrobię na pewno. Jeżeli pokłóciłaś się z tą tak zwaną siostrzyczką, wejdę tam i złamię jej paznokiec.

- Eric, nie, nie żartuj... - Fauve opuściła głowę, a on w przypiływie

strachu rozsunął kurtynę włosów, która niemal całkowicie kryła jej twarz. Pod jego dotykiem wydała z siebie jeden urywany szloch i dostrzegł, że musiała długo płakać, zanim przyjechał, bo jej twarz była mokra od łez, spływających do ust i na brodę.

- Mój Boże, co ci się stało - wykrzyknął, ale bez zastanowienia potrząsnęła tylko głową, wsiadła do samochodu i skuliła się na siedzeniu. Wrzucił do tyłu walizki i chcąc pocieszyć, wziął ją w ramiona, ale odtrąciła go. - Zabierz mnie stąd - powiedziała w taki sposób, że bez słowa włączył silnik. Ruszyli w kierunku Awinionu. Jechali główną drogą już od pięciu minut, kiedy ponowił próbę. - Fauve, powiedz mi, co się stało. Proszę, kochanie, pozwól sobie pomóc. Wiem, że potrafię.

- Nie, Eric - wydawało się, że jej głos i jej ciało są obce.

- Fauve, nie ufasz mi? Nie może być nic gorszego.

- Nie mogę o tym mówić. - Przestała płakać, ale kiedy na nią spojrzał, przeraził go wygląd tej młodej twarzy, pokrytej wypiekami, bezradnej, zmiętej. Zjechał z drogi i wyłączył silnik.

- Fauve, nie pojedziemy dalej, dopóki nie powiesz mi, co się stało. Nigdy nie widziałem nikogo w takim stanie.

Otworzyła drzwi samochodu i wyskoczyła. Potem sięgnęła po jedną z walizek. Zaciśnął rękę wokół jej ramienia i wciągnął ją z powrotem do samochodu. - Co ty wyprawiasz? Oszalałaś? Fauve!

- Jeżeli będziesz zadawał mi pytania, złapię inny samochód do Awinionu. Ktoś nadjedzie i podwiezie mnie.

- Dobrze, już dobrze. Wygrałaś. Ale dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? Czy nie wiesz, jak bardzo cię kocham?

Czułe wyznanie i pełna miłości troska sprawiły, że straciła nad sobą

panowanie i poddała się naporowi dzikiej rozpacz, spazmów, dziecinnych szlochów pomieszanych z lamentem wyrażającym tak bolesne uczucie straty, że Eric z trudem powstrzymywał się, by znów nie przystanąć. Kiedy wjechali na przedmieścia Awinionu, uspokoiła się i ogarnęła ją stłumiona, bezbrzeżna pustka.

- Proszę cię, zawieź mnie na dworzec. Zaczekam na wieczorny pociąg.

- Zostanę z tobą.

- Nie chciałam.

- Nie możesz mi przeszkodzić.

Siedzieli na ławce przed dworcem. Fauve patrzyła prosto przed siebie, tak milcząca i niezdolna do żadnej rozmowy, jakby odgradzona ścianą z betonu. Eric chciał wziąć ją za rękę, ale wyrwała mu ją szybko i ciasno oplotła ramiona wokół ciała, chowając ręce pod pachami. Tylko jej włosy, płonące wiecznym ogniem upewniały go, że to jest Fauve, jego swawolna, wesoła dziewczyna, pełna pogody ducha i radości. Nawet wtedy, gdy była poważna lub smutna, nigdy nie cofała się przed zgłębianiem trudnych uczuć, ale teraz popadła w lodowaty trans, z którego jego bezbrzeżna miłość nie potrafiła jej wyrwać. Gdyby był naprawdę dorosły, gdyby tylko wiedział, co robić - myślał w udęcie, nienawidząc sam siebie za to, że ma tylko dwadzieścia lat. Nie potrafił zrozumieć, że powiedzieć mu o tym, czego się dowiedziała znaczyłoby wziąć na siebie odpowiedzialność za to, co zrobił Mistral. Czowała, że przygniata ją ciężar wstydu tak wielkiego, że niewiele różnił się od poczucia winy. Jako córka swojego ojca czowała się napiętnowana. Czowała, że jego monstrualna miłość odciska na niej piętno jego zła, a słowa Kate, które odsłoniły jedną

haniebną tajemnicę po drugiej, wypełniały jej serce niczym młyńskie kamienie, trące o siebie przez całą nikczemną wieczność.

- Dokąd jedziesz? - zapytał Eric.

- Do Nowego Jorku.

- Masz bilet na samolot? - Skinęła głową. - A na pociąg?

- Kupię w pociągu.

- Kupię ci go teraz.

- Nie.

- Fauve, musisz pozwolić, żebym coś dla ciebie zrobił. Inaczej oszaleję!

Przystąpiła na to, wzruszając ramionami. Poszedł, by kupić bilet, zapas kanapek i wody mineralnej na podróż i w przypiływie bezradnej rozpacz, wszystkie czasopisma, jakie tylko były, mimo iż wiedział, że będzie siedziała bez ruchu przez całą drogę do Paryża. Ktoś zrobił jej coś strasznego, a jego rozgorączkowana intuicja podpowiadała mu, że nic na świecie nie wróci mu tej samej dziewczyny, którą zaledwie kilka godzin temu podwoził pod bramę La Tourello.

- Dziękuję - powiedziała Fauve matowym głosem, kiedy wrócił z zakupami. - Przepraszam cię, Eric.

- Będiesz odpisywać na moje listy?

- Tak.

- Fauve, czy zastanowisz się czasem i przypomnisz sobie, że kocham cię, że będę kochał cię zawsze i nigdy nie przestanę? Gdybyś była tylko o kilka lat starsza, nie pozwoliłbym ci odejść, bez względu na wszystko. Wiesz o tym, prawda?

- Tak, Eric - odpowiedziała, ale zamarło mu serce, kiedy usłyszał

obojętny, daleki ton jej głosu. Przytakiwała wszystkiemu tylko po to, żeby się go pozbyć, albo po to, by pozwolił jej wsiąść do pociągu, którego gwizd słyhać już było w oddali. Wokół nich ludzie wstawali i brali swój bagaż, kierując się na odpowiedni peron.

Pociąg zatrzymał się. Eric odnalazł jej miejsce w wagonie pierwszej klasy, ułożył zapasy na drogę i walizki na półce nad głową.

Bezwładnie osunęła się na miejsce niczym martwe zwierzę. Stał nad nią przez kilka sekund nie wiedząc, co ma robić, dopóki nie usłyszał gwizdka kolejarza, oznajmiającego odjazd pociągu. Ujął ją za łokieć i zmusił, by wstała i spojrzała na niego.

- Nie dotarliśmy do Lunel.

- Nie.

Kiedy ją pocałował, pociąg z wolna ruszył. Zaczął nabierać szybkości. Eric puścił Fauve. - Obiecałem, że tam pojedziemy i tak będzie. Jesteś moją jedną jedyną miłością, Fauve. Nigdy o mnie nie zapomnij. - Pobiegnął korytarzem i wyskoczył na sam skraj peronu. Łzy spływały mu po twarzy, kiedy patrzył, jak pociąg oddala się na północ, unosząc jego serce.

W rok później, pewnego dnia pod koniec lata, Kate Mistral siedziała sama przy śniadaniu, czekając aż Mistral wyjdzie z domu. Całymi miesiącami znikał od rana do wieczora. Nie mówił jej dokąd prowadzi jego wędrówki, ale wiedziała dostatecznie dużo, by się domyślać, że przemierza okolicę szukając nowych pomysłów. Od dawna nic nie namalował i od miesięcy nie był w pracowni. Kate była realistką i zdawała sobie sprawę z tego, że ta zła passa nieprzypadkowo zaczęła się wtedy, kiedy Fauve opuściła La Tourello. Od tamtej pory Mistral pisał do Fauve sześć razy. Marte Pollison, która odbierała pocztę od listonosza przy

bramie, zawiadamiała Kate, kiedy wracały nie otwarte listy. Jakie kłamstwa, jakie próby wyjaśnień mógł wymyślić sobie Julien? Kiedy Fauve zniknęła, powiedział jej, że to tylko kłótnia z nastolatką, głupia awantura o to, że spędza zbyt wiele czasu z tym młodym Avigdorem i zbytnio angażuje się w związek z jego rodziną.

Kilka tygodni temu postanowił wreszcie napisać do Maggy i od tamtej pory Kate z lękiem wyczekiwała odpowiedzi, która mogłaby ujawnić jej udział w ucieczce Fauve. Właśnie w chwili kiedy Kate wyjeżdżała do Apt na spotkanie, nadszedł wreszcie list od Maggy, który Mistral, nie otwierając, włożył do kieszeni.

Wczoraj wieczorem, podczas kolacji, tak cichej i ponurej, jak wszystkie przez cały ten rok, Mistral miał zły, zmęczony i zgorzkniały wyraz twarzy. Nie zwracał uwagi na nic, ani na wspaniałe jedzenie, które mu podano, ani na wytwornie nakryty stół, ani na zręczną obsługę, ani nawet na rozkoszną woń wieczornego powietrza. Co mogła napisać Maggy? Kate musiała się dowiedzieć.

Usłyszawszy, że Mistral odjeżdża, Kate poszła do jego sypialni i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Jak zwykle, w pokoju panował bezosobowy ład, bo prawdziwe życie Mistrała toczyło się gdzie indziej. Nie było listu na nocnym stoliku, na którym trzymał teraz książkę o Żydach z Awinionu, pozostawioną przez Fauve. Kate widziała ją tam już wcześniej, kiedy jak to miała w zwyczaju, myszkowała w jego pokoju podczas jego nieobecności. Nadal nie mogła pojąć, po co ją tu trzyma. To niepodobne do Juliana, by się tak umartwiać. Błat biurka był także pusty. Zręcznie przeszukała szuflady i wreszcie, pod stosem pozostających bez odpowiedzi listów od wielbicieli z całego świata, znalazła kopertę, którą

na jej oczach wkładał wczoraj do kieszeni. Przeczytała szybko znajdujący się w niej krótki list.

Julien,

Nie mam pojęcia, dlaczego Fauve nie odpowiada na twoje listy i nawet ich nie czyta. Próbowałam z nią porozmawiać o tym, co zaszło ostatniego lata, ale nie chce mi absolutnie niczego powiedzieć, oprócz tego, że nie ma ochoty o tym rozmawiać. Jest tak bardzo smutna i niespokojna, że nie potrafię wyrazić tego słowami, a każdy twój list sprawia, że czuje się jeszcze gorzej. Kiedy zobaczyła, że do mnie napisałeś, powiedziała, że mogę ci napisać, co zechcę, ale jeżeli ty jeszcze kiedyś napiszesz do niej, wcale nie chce o tym wiedzieć. Prosiła mnie, żebym od tej pory odsyłała wszystkie twoje listy, nie mówiąc jej nawet, że nadeszły.

Nic nie wiem o tym, co zaszło między wami i nie zamierzam się do tego wtrącać w żaden sposób. Jeżeli zrobiłeś coś, by Fauve zwróciła się przeciwko tobie, to już się stało i za późno, żeby to zmienić. Moje własne doświadczenia związane z twoją osobą są takie, że nie jestem skłonna pozostawiać ci żadnej nadziei

Maggy

Kate przeczytała list dwukrotnie, włożyła go na miejsce i szybko wymknęła się z pokoju, by posiedzieć w słońcu nad basenem.

Była teraz bezpieczna, całkowicie bezpieczna - myślała. Nie będzie już listów, o które trzeba się martwić. Nie ma żadnej możliwości, by Fauve napisała do ojca, by mu wyjaśnić, kto opowiedział jej o wszystkim, czego dowiedziała się tamtego popołudnia rok temu. Bezpieczna - jego wszystkie obrazy, ziemia, inwestycje, konta bankowe, niepodzielne i

nietknięte odziedziczy Nadine. Przyszłość jej córki nie będzie zależała od kompromisu, a ona sama nie musi się już niczego obawiać ze strony Fauve.

Wczoraj zdążyła na czas do Apt na wizytę do doktora Elberta. Elbert był lekarzem, który przyjmował na świat Nadine i ceniła go bardziej niż innych specjalistów w Awinionie. Kiedy w zeszłym tygodniu znowu zaczęła krwawić, piętnaście lat po menopauzie, niechętnie wybrała się do lekarza, którego nie odwiedzała już od lat. Rak macicy, powiedział jej, w stadium tak zaawansowanym, że są przerzuty na wątrobę. Ile życia jej pozostało? Może rok, może trochę więcej, może trochę mniej, ale, Madame Mistral, w tym stadium choroby nie można już nic zrobić. Gdyby zjawiała się pani u mnie dużo wcześniej, może dałoby się coś zrobić..., ale nawet wtedy, kto wie?

Istotnie, kto wie? Kto w ogóle wie? - pytała Kate sama siebie. Rozejrzała się dokoła. Wszystko było w porządku. Bogate imperium, wspaniałe, bezpieczne i nietknięte. Po raz pierwszy od chwili, w której Teddy Lunel przekroczyła bramy La Tourello, Kate poczuła wreszcie pewność, że wszystko znów należy do niej... na rok, może trochę więcej, może trochę mniej.

Był to dzień dwudziestych pierwszych urodzin Fauve Lunel, środek czerwca 1974 roku. Na drugim piętrze rosyjskiej herbaciarni tłoczyło się dwustu gości, a każdy z nich promieniował niewysłowioną radością, że jego ważność została potwierdzona zaproszeniem na te właśnie urodziny. Takiego zadowolenia, które jest jednym z podstawowych składników natury ludzkiej, doświadczali już zapewne jaskiniowcy zgromadzeni wokół wybitnie prestiżowego ogniska.

Zza wielkich okularów Falk, którego najbliżsi przyjaciele nadal nazywali MeMnem, bystrym i uważnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu przyglądał się badawczo tej hordzie, ożywionej hałasem o takim napięciu, jakie osiągnąć można tylko w Nowym Jorku. Tu, właśnie tu - myślał - zebrali się wszyscy ludzie, którzy mają moc, by decydować o tym, jak amerykańska kobieta chciałaby wyglądać rano, po przebudzeniu.

Ucałował Dianę Vreeland i Cheryl Tiegs, wspinając się przy tym na palce, z nie większym zażenowaniem niż to, które odczuwa niska kobieta całująca wysokiego mężczyznę i kiedy ścisnął Laureen Hutton, z przyjemnością dotykając jej kształtów pomyślał, że choć kobiety sądzą, że to one same decydują, jak chcą wyglądać, w istocie to fotograficy tacy jak on wnoszą ducha przemiany, który skłania kobiety do wizyt u fryzjera, do odwiedzania sklepów z kosmetykami i strojami. A jednak zdawał sobie sprawę z tego, że nawet on nie ma na nie takiego wpływu jak Maggy Lunel, która dobierając nowe modelki i wysyłając je do odpowiednich ludzi, mogła ostatecznie decydować o tym, w jaki sposób cały świat będzie sobie wyobrażał ideał kobiecego piękna.

Czy jednak ostateczna władza tkwiła naprawdę w rękach redaktorów

działów mody i urody, decydujących o tym, którą dziewczynę należy pokazać, czy też - zastanawiał się całując wypiełgnowane policzki Christine Ferrare - ostateczną władzę miały te wspaniałe dziewczyny, które stawały przed obiektywem aparatu? Dokąd zaszłyby te wszystkie instytucje magazynów mody, agencji reklamowych, przemysłu kosmetycznego, fotografów i agencji modelek bez niewyczerpanych zasobów pięknych dziewczyn, gotowych poświęcić swoje życie, by stać się wzorem dla innych kobiet? W każdym razie Falk nie musiał wyciągać żadnych trudnych i pochopnych filozoficznych wniosków, bo wszyscy zajmujący się tworzeniem wzorów, które kobiety z całego kraju chciały naśladować, byli właśnie tu, na tej sali. Wszyscy, oprócz Fauve. Gdzie jest Fauve?

Przez ostatnie pięć lat Falk widywał ją rzadziej niż tego pragnął. Kiedy dorastała, spędzali prawie wszystkie sobotnie popołudnia spacerując po galeriach, ale wczesną jesienią 1969 roku po prostu wypięła się na sztukę i Falk nie znajdował innego sposobu, by opisać przemianę, która wtedy w niej zaszła. O tę nagłą, szokującą dla Falka zmianę zainteresowań obwinięła doświadczenia związane z przełomową wystawą zatytułowaną „Nowojorskie Malarstwo i Rzeźba: 1940 - 1970”, którą Henry Geldzahler zorganizował w Metropolitan Museum.

Bóg wie, że to wystarczyło, by przyprawić każdego o wzrokową niestrawność. Istny groch z kapustą - trzydzieści pięć różnych galerii przedstawiało trzydzieści pięć wystaw retrospektywnych trzydziestu pięciu największych współczesnych artystów, ale Falk spodziewał się, że taka eksplozja estetyczna odpowiada potrzebom szesnastolatki. Nawet jego, weterana sztuki efektu, oszołomił niesłychany przepych wieczoru,

zaskoczyły artystyczne ekscesy, ogłuszył zespół rockowy i zmęczyły same rozmiary widowiska, ale Fauve zareagowała w sposób bliski hysterii mówiąc, że nie chce już nigdy oglądać żadnego dzieła sztuki ani rzeźby. Był pewny, że „nigdy” znaczy „do następnej ciekawej wystawy”. Jak ktoś obdarzony takim zamiłowaniem do sztuki jak Fauve mógł zobojętnieć na różnorodność doświadczeń, których mogło dostarczyć oglądanie nowych dzieł?

Jednak z czasem zauważył, że jej niechęć nie tylko trwa, ale pogłębia się i zmienia w smutek, tak jakby opłakiwała śmierć sztuki. Twierdziła, że wszyscy wielcy malarze wszystko już namalowali, że wymyślili to, co było do wymyślenia, że wyczerpały się wielkie tematy, wszystkie możliwości grafiki, a nowi artyści zbierali tylko odpadki pozostawione na podłodze pracowni przez wielkich mistrzów.

Falk śmiał się z teorii Fauve, dopóki nie zrozumiał, że przestała pracować nad swoimi obrazami. Kiedy zapytał ją o to, postawiła sprawę jasno. Nie zamierzam już więcej malować. Po co ma to robić, skoro nie ma nic nowego do powiedzenia? Mimo iż Falk zawsze dostrzegał w jej pracy niewątpliwy wpływ Mistrała, widział także, jak rodzi się w walce prawdziwy i oryginalny talent. Wiedział, że to tylko kwestia czasu, by Fauve stała się samodzielna, by wszystko to, co w jej pracy osobiste i świeże umocniło się na tyle, by wyrwała się spod wpływu ojca i zaczęła wyrażać samą siebie. Jednak zamiast dokonywać postępu rzuciła wszystko, rzuciła całkowicie i teraz był tego pewien, że rzuciła raz na zawsze.

Falk ugryzł pieróg, smakując gorące pulchne ciasto na kwaśnej śmietanie i przeżuając pomyślał, że to co w jego przekonaniu było dla

świata sztuki niepowetowaną stratą, przyniosło zysk interesom agencji modelek.

Któż mógłby przypuszczać, że Fauve, ukończywszy szkołę średnią w wieku lat siedemnastu, postanowi pracować dla Maggy zamiast pójść do college'u? I któż by się spodziewał, że będzie radzić sobie nad podziw dobrze? Przez ostatnie cztery lata nie tylko dokładnie poznała całą firmę, ale i wprowadziła zmiany, dzięki którym Agencja Lunel wyprzedzała swoich konkurentów. Stała się prawą ręką Maggy. Pracowała tak ciężko, wykazując taką ambicję, energię i wytrwałość, że ukończywszy dziewiętnaście lat przewyciężyła własny młody wiek i brak doświadczenia, i od tamtej pory „Lunel” w coraz większym stopniu odnosiło się zarówno do Fauve jak i do Maggy.

Falk przystanął obok Dicka Avedona i Irvinga Penna, jedynych fotografów, którzy utrzymywali się w czołówce tak długo jak on sam. Jedynych, z którymi zawsze porównywano każdy nowy talent. Rozmawiając z nimi rozmyślał, jak rzadka w tym świecie poddanym regule przemijania jest długowieczność, moc przetrwania i ponadczasowa doskonałość. A jednak aura wielkości niezmiennie otaczała Maggy Lunel.

Była teraz w wieku, który najlepiej można by opisać jako „wiek nieokreślony”, tajemniczy, olśniewający, tryumfalny nieokreślony wiek. I tak pozostanie - stwierdził, składając jej w swoich myślach hołd - przynajmniej przez następnych dwadzieścia lat, aż wreszcie wejdzie z wdziękiem w okres, w którym mówić się o niej będzie, niewątpliwie ku jej wielkiej irytacji, jako o „żywej legendzie”.

Kiedy witał się z nią dzisiejszego wieczoru, wymienili uśmiechy, w których kryło się smutne porozumienie. Znali nawzajem swoje myśli i

łączył ich ten sam niewyraźny, niewygasły żal. Gdyby tylko była tu Teddy.

Falk odsunął od siebie tę myśl, tak jak robił to już wiele razy, żeniąc się trzykrotnie z modelkami, mając czworo dzieci, z których każde dziedziczyło geny po matce i było już wyższe od niego - dzięki ci, Boże, za wspaniałe wysokie dziewczyny - i poszukał wzrokiem jedynej osoby, którą chciał zobaczyć w tej zatłoczonej sali. Bardzo, naprawdę bardzo kochał swoje dzieci, ale Fauve zajęła miejsce w jego sercu, zanim ożenił się po raz pierwszy i w marzeniach, których wcale nie miał ochoty analizować, zawsze była dla niego niczym córka, którą mógłby mieć z Teddy Lunel. Ale gdzie podziewa się Fauve?

Zanim Maggy opuściła swój apartament, by udać się na przyjęcie urodzinowe Fauve, rzuciła ostatnie taksujące spojrzenie w sięgające od sufitu do podłogi lustro, obejmujące postać z trzech stron. A więc jest kobietą, która ma dwudziestojednoletnią wnuczkę, czyż nie? Zatem, tym lepiej! Obróciła się, spoglądając na tył zakietu z kilku warstw zwiewnej czarnej jedwabnej *crepe de chine* w ogromne kwiaty o zgaszonych orientalnych barwach śliwki, lawendy i głębokiego, przechodzącego w purpurę fioletu. Czy wszystkie kobiety czują się tak samo jak ona? - zastanawiała się, przyglądając dłonią włosy z tyłu głowy, układające się w gładką fryzurę pazia i wdzięcznie podwinięte na karku. Tak jakby przestała się starzeć w pewnym nieokreślonym wieku, który wcale się nie zmieniał, chyba że w niektóre złe dni. Wieku, który zatrzymał się w chwili mile dojrzałej, ale jeszcze pełnej świeżości, gdzieś między dwudziestoma sześcioma a trzydziestoma dwoma laty.

Uniosła rąbek zakietu i przyjrzała się wzorzystej podszewce w liście.

To było prawdziwe wyrafinowanie, bo przecież podszewki nie zauważy nikt. Ale Karl Lagerfeld z Chloe, który projektował ten strój krojem przypominający nieco kimono oraz noszoną pod nim tunikę w taki sam pomniejszony wzór, na pewno pracował nad nim z radością. Czyż nie był to człowiek, który całkiem poważnie poprosił matkę, by na czwarte urodziny zrobiła mu prezent w postaci jego osobistego lokaja? Tak, kostium wyglądał dobrze, bo smukłe, wyraziste kontury ciała, które okrywał oparły się próbie czasu, ale w chwili gdy Maggy zapinała wokół szyi brylantową kolię od Van Cleefa i Arpelsa, musiała przyznać, że jej wiek psychiczny nie całkiem odpowiada temu, o którym świadczy jej szyja. Dlaczego prawie wszystkie szyje kobiet, noszących takie kolie, o których jubiler, tonem nadającym słowom znaczenie czysto techniczne, powiada, że się „liczą”, nie są gładkie? Przeklęte szyje! O ile piękniejszy byłby świat, gdyby tak głowa spoczywała bezpośrednio na ramionach. Jej ramiona ciągle jeszcze wytrzymywały porównanie w każdym towarzystwie.

Kiedy Maggy podjęła tę przelotną, chełpliwą myśl, z rozbawieniem pomieszanym z irytacją zadała sobie pytanie, czy przypadkiem nie staje się próżna? Gotowa była przysiąc, że wszelka próżność, która niegdyś nie była jej obca, została całkowicie pokonana w codziennym obcowaniu z najmłodszymi i najpiękniejszymi wśród milionów dziewcząt na świecie. Jej szyja musi zastąpić miłowy kamień, znaczący dwudzieste pierwsze urodziny Fauve.

Jednak w przypadku Fauve dwadzieścia jeden lat z pewnością nie oznaczało początku dojrzałości czy dorosłości. Nie, ta zmiana zaszła w niej pięć lat temu i do dziś Maggy nie wiedziała na ten temat więcej niż

wtedy, kiedy Fauve wróciła z letnich wakacji we Francji nadspodziewanie wcześnie. Z początku Maggy zasypywała ją pytaniami, ale Fauve odmawiała rozmowy o tym, co się wydarzyło z takim uporem, z taką niewzruszoną i żelazną konsekwencją, iż Maggy sądziła, że się wreszcie złamie. Jednak po upływie kilku tygodni zauważyła w Fauve zmianę, utratę dziewczęcych złudzeń, zanik jej niewinnej trzpiotowatości i pojęła, że po raz kolejny wysłała do Europy ukochane dziecko i po raz kolejny w dziecku zaszła zmiana, straszliwa zmiana, której sprawcą był Julien Mistral. Ale to dziecko przynajmniej wróciło.

Kiedy minął rok, Maggy po prostu pogodziła się z faktem, że zapewne nie dowie się nigdy, co się stało. Fauve, tak spontaniczna, tak otwarta, tak żywa, że każde uczucie, które poruszyło jej serce natychmiast znajdowało wyraz na jej twarzy, nauczyła się dochowrywać tajemnicy. To był bardzo ciężki rok, ten rok między siedemnastką i osiemnastką, ostatni rok szkolny Fauve - myślała Maggy, znajdując spokój w stwierdzeniu, że to było tak dawno. Tajemnicza rana nie zblizniła się jednak nigdy. Fauve nigdy nie powróciła do Francji. Po tym jak Maggy odpowiedziała na list Mistrala, wszelki kontakt między nim a jego córką został całkowicie zerwany, tak jakby nigdy nie było tych ośmiu letnich wakacji w Félice.

Fauve, tak zmienna, tak czuła, tak łatwo przebacząca, w sprawie ojca była całkowicie nieprzejednana. Wyrzuciła go ze swojego życia. Na początku Maggy musiała przyznać, że dręczyła ją ogromna ciekawość, co spowodowało zerwanie, ale tam, gdzie w grę wchodził Julien Mistral, nie należało myśleć zbyt długo i zbyt wnikliwie.

Przez kilka lat Fauve często dostawała listy, na które odpisywała, od poznanego tam chłopca, syna - cóż za zbieg okoliczności! - starego

Avigdora, ale teraz listy przychodziły bardzo rzadko. Maggy nie była nawet pewna, czy dalej do siebie pisują. Wreszcie Fauve przezwyciężyła depresję, w której była pogrążona.

Czas... Po części dzięki upływowi czasu - stwierdziła Maggy - po części dzięki błogosławionej zdolności przystosowania się, właściwej młodym ludziom, lecz przede wszystkim dzięki pracy, która okazała się najlepszym lekarstwem. Kiedy Fauve po raz pierwszy oświadczyła, że nie zamierza ubiegać się o przyjęcie do college'u, lecz chce pracować, Maggy pomyślała przez jedną straszliwą chwilę, że Fauve pragnie zostać modelką. Nie mogłaby temu zapobiec. Fauve miała bezsprzecznie hipnotyzujący czar, który mógłby uczynić jej twarz symbolem epoki w sposób tak oczywisty, jak Suzy Parker i Teddy uosabiały lata pięćdziesiąte, a Jean Shrimpton połowę lat sześćdziesiątych. Ale, dzięki Bogu, Fauve chciała wstąpić w jej ślady na drodze interesów. Nie zamierzała odwoływać się do przywilejów urody jako źródła własnej tożsamości, ani do swojego talentu plastycznego. Fauve nie miała ochoty stać się czujnym stróżem własnego wyglądu. Nie chciała zmuszać się do tego, by go sprzedawać. Zabrała się do spraw agencji tak, jakby tylko to interesowało ją w życiu.

Fauve pogrążyła się w pracy tak sprawnie i pilnie, że zaskoczyła Maggy. W ciągu dwóch pierwszych lat miała okazję nauczyć się każdej pracy w agencji. Kiedy skończyła lat dziewiętnaście, wiosną 1972, Maggy przywykła do tego, że może liczyć na Fauve, kiedy trzeba podjąć decyzje, które dotychczas podejmowała sama osobiście. W działaniu Fauve była zasadnicza, zdecydowana i kompetentna, wykazując się rzetelnością większą, niżby na to wskazywały jej lata.

Właśnie wtedy Maggy odważyła się wyjechać na wakacje, pierwszy raz od dłuższego czasu. Kiedy powróciła z Darcym z Londynu, zastała doskonale prosperującą agencję i pewną siebie, pogodną Fauve. Maggy doznała uniesienia, oszałamiającego uczucia nieprzytomnej ulgi, wspaniałej ulgi, która dodała jej sił i wzbudziła apetyt na to, na co nigdy nie miała zbyt wiele czasu przez te wszystkie lata, kiedy prowadziła własne interesy, te lata, kiedy utrzymywała siebie i swoją córkę ślubując, że nigdy więcej nie będzie tak słaba i głupia, by oczekiwać od mężczyzny czegoś więcej niż uczucia, a nawet jeśli trzeba, poradzi sobie i bez tego.

Pozwoliła sobie na rozkosznie długi ranny sen, na przychodzenie do biura zaledwie na dwie godziny przed czasem, kiedy można było pójść na lunch z przyjacielem, z którym przesiadywała rozmawiając tak beztrosko, jakby nic innego nie robiła przez całe życie. Wyrzuciła wszystkie kapelusze i rękawiczki - po co jej takie rzeczy? Zmieniła uczesanie, a nawet kolor włosów, ze zdecydowanie kasztanowego, odpowiadającego jej profesjonalnemu wyglądowi, na bardziej subtelny odcień stylowe połączenie tycjanowskiej barwy z jasnym brązem, w którym, tak jakby przez pomyłkę, znalazło się miejsce dla kilku zabłąkanych srebrzystych pasemek. Maggy spędzała wiele godzin kupując nowe ubrania o bardziej swobodnym kroju i zatrudniła Susie Frankfort, by nadać swojemu wspaniałemu, niemal nazbyt szykownemu mieszkaniu kapryśny i oryginalny urok. Och, jakże rozkosznie było zdejmować z siebie to brzemie, które dźwigała samotnie tak długo, myślała Maggy. Ale dlaczego nikt nie dostrzegał w niej przemiany? Każdy traktował ją tak samo jak dotychczas, myślała ze wzbierającą goryczą. Była szefową, która wszystko załatwi, istnym koniem pociągowym. Zajmowała się interesami tak długo,

że wszyscy widzieli ją tylko w takim świetle. Nie spodziewała się, że zaczną się zachowywać tak, jakby właśnie obwołano ją Majową Królową, ale ktoś mógłby naprawdę coś zauważyć!

* * *

Pewnego wieczoru, późną wiosną, która była niczym ponowne narodziny, Maggy i Darcy wybrali się na kolację. W „21” szef sali, Walter Weiss, poprowadził ich do stolika, do tego samego stolika, przy którym po raz pierwszy siedzieli razem w 1931 roku, w czasach kiedy była to najlepsza knajpa w Nowym Jorku.

Darcy, tak jak to miał w stałym, niemal uświęconym czterdziestodwuletnim zwyczaju, siadywał przy stoliku numer siedem w sali przy barze, na lewo od wejścia, pośrodku bocznej ściany. Był to pierwszorzędny, dobrze widoczny i bardzo pożądaný punkt strategiczny, o który na próżno ubiegało się wielu innych ważnych mężczyzn.

Każdy ze stolików w dwu pierwszych salach był przedmiotem wielkiego pożądania, bo „21” była jedyną restauracją w Nowym Jorku, która nie straciła nic ze wspaniałości i blasku swojej legendy, jedyną restauracją, której majestat pozostał nietknięty. Przetrwała przez całe dziesięciolecia, ze statecznością wielkiego oceanicznego liniowca, na którym nie może przydarzyć się nic złego. Była światem samym w sobie, co nigdy nie udało się i nie uda żadnej innej restauracji w Stanach Zjednoczonych. Pewność, że zawsze zaprowadzą cię do określonego, wybranego stolika w „21” stanowiła coś, czego nie można by kupić za żadne pieniądze - symbol ceniony wyżej niż członkostwo najbardziej ekskluzywnego klubu lub miejsce w najważniejszym zarządzie - bo oznaczało wysokie i niezmiennie miejsce w strukturze potęgi tego kraju.

Prawo Darcy'ego do stolika numer siedem stanowiło jeden z najważniejszych elementów jego porządku życia, więc westchnął z wyrazem zadowolenia, kiedy usiedli przy stole.

- Dlaczego - narzekała Maggy - zawsze siadamy w tym samym miejscu, przy barze? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że nigdy nie byliśmy w głównej sali na piętrze? - Darcy miał minę tak zdziwioną, jakby przy stoliku numer siedem zastał gwiazdę rocka. - Wiem - mówiła Maggy smutnym głosem na pograniczu irytacji - że na piętrze jest bardzo przyjemnie. Słyszałam, że jest mniej hałasu i więcej miejsca. Onassis zawsze tam jada, i Dr Armand Hammer, i pani Douglas Mc Arthur, i Nelson Rockefeller... a my zawsze tłoczmy się tutaj. To naprawdę niedobrze.

- Przecież nigdy nie chciałaś jeść na górze i o ile mi wiadomo, nie widziałaś nawet, jak tam jest. - Darcy wpadł w złość. Na piętrze było dobrze, jak sądził, solidnie, oficjalnie i sztywno, ale każdy człowiek, który ma w sobie choć trochę ikry, zawsze wolał jeść w sali przy barze. Tu, wyobrażał sobie, można było jeszcze poczuć i usłyszeć klimat wspaniałych czasów prohibicji, kiedy Jack i Charlie podawali najlepszy bimer w całym mieście.

- Nie masz żadnych podstaw, by tak sądzić - powiedziała Maggy płaczliwym głosem. Ze wzgardą skubnęła obrus w wyraźną czerwono - białą kratę. - Na piętrze na stołach jest śliczne gładkie białe płótno, ciężkie i staroświeckie, śliskie i wykrochmalone, tak przynajmniej mówi Lally. I na stołach stoją kwiaty, a nie te ohydne pojemniki na zapałki. - Westchnęła ze smutną rezygnacją małej biednej dziewczynki, która przyciska nosek do szyby sklepu ze słodyczami i w zamyśleniu poprawiła kokardę granatowej

marynarskiej bluzki, doskonale pasującej do nowego fantastycznego białego marynarskiego kostiumu od Adolfo.

- Do diabła, jeżeli czujesz się tutaj taka nieszczęśliwa, dlaczego, u licha, nie powiedziałaś mi o tym wcześniej! - powiedział z wściekłością Darcy. - Chodźmy na górę... dalej.

- Och, nie, to za duży kłopot. Tak sobie tylko pomyślałam, coś mi przyszło do głowy - mruknęła Maggy. - W każdym razie, wcale nie czuję się nieszczęśliwa. Po prostu jestem niespokojna. - Pociągnęła z kieliszka łyk szampana z butelki Bollinger Brut, rocznik 1947. Kelner otworzył ją natychmiast na widok Maggy i Darcy'ego zajmujących miejsca przy stole, przy którym jadali dwa lub trzy razy w tygodniu. - Zastanawiam się, jak smakuje tequila - powiedziała zagubionym, przyciszonym głosem.

- Zamówię ci ją - prychnął Darcy, unosząc brwi.

- Och, nie, nie zawracaj sobie głowy. Nie mówiłam poważnie. To tylko taki przelotny kaprys. - Kiedy porzucała myśl o tequili, wyglądała tak, jakby użalała się nad sobą. - Lubię szampana... w każdym razie zawsze tak uważałeś... nie przejmuj się mną.

- O co tu, u diabła, właściwie chodzi? - zapytał Darcy, odwracając się tak, by znaleźć się twarzą do niej. Siedziała wyprostowana, jak zawsze smukła, nieprzenikniona, niepokojąca kusicielka, taka jak tego wieczoru, kiedy przyprowadził ją tu pierwszy raz, patrzył w jej cudowne oczy barwy tyleż zieleni, co złota i zastanawiał się, kim u diabła jest Maggy Lunel?

- Jestem zmęczona... - powiedziała niemal szeptem.

- Pójdziemy do domu - odrzekł zaniepokojony. Maggy nigdy nie była zmęczona, chyba że była chora.

- Jestem zmęczona tym, iż uważasz, że nie pragnę już nowych

doznań. Jestem zmęczona tym, że traktujesz mnie tak, jakbym nie chciała już żadnej zmiany przyzwyczajęń - mruknęła. - Jestem zmęczona... twoim brakiem zainteresowania, Darcy. Uważasz, że nie musisz już mnie zdobywać - powiedziała w zamyśleniu.

- Co za kompletna bzdura!

- Zatem zaprzeczasz, czy tak? - Nagle odczuła przyływ energii. Wyrzucała z siebie słowa. - Wiedziałam, że tak będzie. Taki niewrażliwy, bezmyślny, nieromantyczny mężczyzna jak ty... kobieta mogłaby równie dobrze iść na kolację ze starym wujaszkiem... dziadkiem... pradziadkiem.

- Co?! - ryknął.

- Nie wrzeszcz na mnie! Ile czasu minęło, odkąd po raz ostatni prosiłeś mnie o rękę? - jej twarz płonęła od pretensji i oburzenia.

- Ile czasu? Tyle, ile było trzeba, żebym postanowił przestać robić z siebie przekłętą durnia! Tyle czasu... - wyrzucił z siebie, dotknięty niesprawiedliwością jej słów.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - była niewzruszona.

- Piętnaście lat - nie, wydaje mi się, że prosiłem cię kiedyś w Dzień Świętego Walentego, mniej więcej dwanaście lat temu, jak kompletny idiota. Tak, teraz pamiętam... Byłaś szczególnie czuła tamtej nocy, więc spróbowałem jeszcze raz, biedny, cholerny, stary wierny przyjaciel, jak to ja, chociaż dobrze wiedziałem, że nie ma szans. Można by pomyśleć, że się czegoś nauczyłem.

- Aha! - Maggy tryumfowała gniewnie. - Więc teraz wiem, dlaczego prosiłeś mnie o rękę tyle razy. Bo wiedziałeś, że to żadne ryzyko i taki gest nie kosztował cię absolutnie nic. Zawsze się tego domyślałam, zawsze podejrzewałam, że jesteś taki jak wszyscy. Zawsze umiałam przejrzeć

twoją grę. Mam dosyć tego zaniedbywania mnie. Dziękuję bardzo! Gardzę twoimi podłymi sztuczkami i nie zamierzam się na nie godzić ani chwili dłużej. To wstyd i hańba!

- Ty... ty... niewdzięczna babo!

- Czy to oświadczyły? - zapytała, a jej oczy miały wściekłe błyski.

- Absolutnie nie!

- Ach tak! Kiedy o tym mowa, nie masz ochoty się angażować, czy tak? To zbyt poważna decyzja, prawda? - szydziła. - Dobrze, Darcy, masz dokładnie jedną minutę na postawienie sprawy jasno.

- Czy to oświadczyły?

- Tylko mężczyzna całkowicie pozbawiony kultury wewnętrznej może żądać od kobiety odpowiedzi na takie pytanie. Jak śmiesz?!

- Szefie! - Darcy przywołał go skinieniem dłoni. - Przenosimy się na piętro na kolację. Proszę przysłać nam dwie tequile z lodem. Madame i ja musimy uzgodnić ważne sprawy, a w tej sali jest stanowczo zbyt wiele hałasu.

I tak, wspominała Maggy, pobrali się dwa lata temu. Najwyższy czas, jak stwierdziła Lally Longbridge, jak zwykle przypisując sobie za to zasługę. Maggy ciągle jeszcze stała przed lustrem, kiedy wszedł Darcy, ubrany na przyjęcie urodzinowe Fauve. Spojrzała na odbicie ich dwojga w lustrze i doznała przyplitwu lekkiego, niepohamowanego szczęścia. Jakże słusznie postąpiła poślubiając tego mężczyznę.

Darcy jadł kolejny mały wydrążony ziemniak napełniony świeżym kawiozem, i polany kwaśną śmietaną stwierdzając, że Henry McIlheeny, ten bon vivant, który rzekł niegdyś: „Kawioru nigdy nie należy podawać do koktajli. Trzeba siedzieć, żeby się nim delectować”, był niesamowicie

napuszony. Wziął jeszcze jeden i wziął go do ust, starając się skorzystać z chwili spokoju panującego u szczytu schodów, gdzie stał razem z Maggy witając gości, podczas gdy za ich plecami przyjęcie znajdowało się w tym stadium, które można by nazwać wchodzeniem na orbitę. Ale gdzie podziła się Fauve?

Była tu Polly Mellen z „Vogue”, która wiedziała wszystko o tym, jak należy przystroić właściwą modelkę we właściwą suknię i - co najważniejsze - we właściwy sposób, oraz prawie wszyscy jej współpracownicy. Był Tony Mazzoła, od niepamiętnych czasów redaktor naczelny „Harper's Bazaar”, w towarzystwie najważniejszych osób ze swojej świty. Był i Tom Hogan z Clairol, i Estee Lauder z całą rodziną, i Gilbert Shawn, prezes Warshaw, firmy wydającej katalogi i zatrudniającej najwięcej modelek na świecie, i - ku kompletnemu zaskoczeniu Darcy'ego - także Eileen i Jerry Fordowie, których agencja modelek stanowiła główną - i wspaniałą - konkurencję dla Maggy od końca lat czterdziestych.

Fakt, że Maggy zaprosiła swojego głównego rywala był najlepszym dowodem, że kobieta, którą kochał od tak dawna zmieniła się naprawdę. Trzy lata temu, gdyby ktoś zapytał go, czy bardziej prawdopodobne jest to, że Maggy wyjdzie za niego za męża, czy to, że zaprosi Fordów na przyjęcie, postawiłby na małżeństwo, choć wówczas wydawało się to zupełnie niemożliwe. Konkurencja między agencjami nasilała się z każdym rokiem, wraz ze stałym wzrostem sum, które modelki otrzymywały za godzinę pracy.

Dochód Maggy, na który składały się honoraria jej dziewcząt wynosił, nie uwzględniając wydatków, blisko dwa miliony dolarów rocznie, zaś Fordowie zarabiali niewiele mniej. W każdej agencji, oprócz

kilkuset modelek, była grupa około sześciu gwiazd, które mimo iż zarabiały więcej niż niemal każdy mężczyzna w Ameryce, zawsze nazywano „dziewczętami”, nigdy - „kobietami”. Te dziewczyny stanowiły taki majątek agencji, jakby każda z nich była biurowcem, w którym wynajęto wszystkie pomieszczenia lokatorom, zawsze regularnie płacącym czynsz.

Przez ponad dwadzieścia lat Maggy Lunel i Eileen Ford ubiegały się o te same skarby. Żadna z nich nie lubiła przegrywać, a że wygrana jednej oznaczała przegraną drugiej, to zawieszenie broni, zapewne chwilowe, zaskoczyło Darcy'ego.

- Jesteśmy niczym kraje produkujące ropę naftową - wyjaśniła mu Maggy. - Tylko Eileen i ja, a teraz od siedmiu lat jeszcze Wilhelmina, a może i Zoli od 1970 coś znaczymy w całym mieście. Nie możemy wprowadzać stałych cen, ani tworzyć monopolu, bo byłoby to sprzeczne z tymi śmiesznymi ustawami antymonopolowymi. Ale odpowiadamy przed naszymi dziewczynami za właściwy poziom, za to, żeby były uczciwie traktowane przez agencje reklamowe i fotografów. Przecież zarabiają dobrze tylko przez tych kilka lat, dopóki są jeszcze młode, więc jako rzecznik ich interesów zawsze uważałam, że powinniśmy być w dobrych stosunkach. - Teraz Darcy pojął przyczynę jej postępowania. Myślała o przyszłości Fauve.

Pewnego dnia Fauve poprowadzi agencję sama i Maggy chciała zapewnić jej bezpieczeństwo, uwolnić ją od zadawnionych konfliktów. Darcy nie wierzył, że nadejdzie ten dzień, kiedy owo przekonanie dojdzie do głosu, ale cieszył się, widząc jak Maggy stara się działać praktycznie. W istocie, myślał sobie, kiedy się jej teraz przyglądał, była najwspanialszą

kobietą na sali, mimo iż były tu także Karen Graham i Renee Russo, ale zdrowy rozsądek nie był w jej stylu. Podobała mu się najbardziej jej zwykła popędliwość i porywczność, ale przygotowując to przyjęcie Maggy objawiła skłonności matki - kwoki i udało jej się z tej okazji stłumić ducha bezwzględnej rywalizacji, który istniał, istniał od zawsze i istnieć będzie w świecie agencji modelek. Przyglądał się z upodobaniem jej niekonsekwencji w tej sprawie.

Jason Darcy wiedział, że jest szczęściarzem. Zaciągnął Maggy przed oblicze urzędnika stanu cywilnego zanim zdążyła zmienić zdanie, ale jeszcze podczas uroczystości zastanawiał się, co nowego wniesie akt prawny do tak długotrwałego związku. Kiedy powtarzał słowa przysięgi, przypominał sobie niezliczone opowieści o ludziach, kochających się i będących ze sobą długo, dopóki nie popełnili błędu i nie pobraли się. A przykład Fanny Hurst, powieściopisarki, która żyła ze swoim mężem bardzo szczęśliwie przez wiele lat, w osobnych mieszkaniach i umawiali się ze sobą, ilekroć chcieli być razem? Czy nie jest to idealny sposób, by przetrwać w tak nienaturalnym, nieludzkim, sztucznym związku jak małżeństwo? Ale Maggy, ta płomienna, zamyślona dziewczyna, wiośniiana Maggy, zdradziła się pewnego wieczoru w „21” z wyraźnym zamiarem zostania jego żoną, a on zwyczajnie nie ośmielił się namyślać zbyt długo.

I było w tym coś nowego. Było po prostu lepiej. Lepiej było wiedzieć, że wreszcie mu zaufała. Lepiej wiedzieć, że chciała wreszcie choć trochę na nim polegać, było lepiej nie budzić się co rano w innym pokoju, na innej ulicy i nie wiedzieć, co robi i czuje jego ukochana, dopóki się do niej nie dodzwonił. Stwierdził, że małżeństwo jest cudownym darem, który powinien być przeznaczony tylko dla osób w średnim wieku.

Ludziom młodym powinno się prawnie zakazać legalizacji wszelkich romansów, dopóki nie przekroczą pięćdziesiątki, bo nie są w stanie docenić uroków małżeństwa, dopóki myślą o nim jak o prawie, a nie przywileju. Powinno być nagrodą za oddanie i miłość, przeznaczoną tylko dla tych, którzy potrafią pozostać sobie wierni. Miał jednak na tyle rozsądku, by zachować ten pogląd dla siebie. Gdyby się z nim zdradził, jego reputacja człowieka nieprzystępnego i nieugiętego zostałaby zrujnowana, a ponieważ Darcy był nadal wydawcą najbardziej popularnych pism w kraju, nie chciał, by sądzono, że dostał się pod pantofel.

* * *

- Gdzie, u licha, podziwiała się Fauve? - zapytał męski głos za jego plecami.

- Myślałem, że jest z tobą - odpowiedział Darcy, zwracając się do Bena Litchfielda, swojego dawnego protegowanego, który przebył drogę od redaktora działu ogłoszeń w „Women's Journal”, największym w kraju i najbardziej poczytnym piśmie dla kobiet, do redaktora naczelnego, szokując świat pism kobiecych tym, że osiągnął szczyty kariery przed trzydziestką.

- Chciałbym, żeby tak było - odparł, ale nie widziałem jej od poniedziałku. Benjamin Franklin Litchfield był najbardziej zagorzałym i jak się wydawało, najmilej widzianym wielbicielem Fauve, mimo iż ona sama wcale się z tym nie zdradzała, więc Maggy i Darcy byli skazani na własne domysły. Darcy był osobiście zainteresowany tą sprawą, bo to właśnie on przedstawił ich sobie rok temu.

Fauve i Ben powinni się poznać, postanowił pewnego dnia, kiedy

usiłował dodzwonić się do nich obojga w niedzielny poranek i odnalazł każde z nich w swoim biurze, zajętych sprawami, które odłożyli na weekend, by nikt nie mógł im przeszkodzić. Namówił ich, by skończyli za godzinę i spotkali się z nim i z Maggy na lunchu. Musiał posłużyć się swoim autorytetem, by namówić zapracowaną parę na tak lekkomyślną stratę czasu. Jednak od tego pierwszego spotkania Darcy miał powody, by sądzić, że wkrótce niedzielne poranki będą spędzać razem w łóżku. Ten obowiązek uważał za najważniejszy, bardziej ludzki, dobry na krążenie, cerę i duszę.

Także Maggy patrzyła przychylnie na młodego Litchfielda. Przypominał jej nieco Darcy'ego z czasów ich pierwszego spotkania: miał w sobie tę siłę, która dawała mu umiejętność traktowania z rozbawieniem największych absurdów życia, miał w sobie ciekawość Darcy'ego i jak wyczuwała, wiele z jego wielkoduszności, choć fizycznie bynajmniej nie wyróżniał się smukłym, filozoficznym, niemal ascetycznym wyglądem, którym jej ukochany zwrócił najpierw na siebie jej uwagę.

Przystojny Ben Litchfield wyglądał zwykle bardzo nieporządnie. Zaczynał każdy dzień z najlepszymi zamiarami - wysoki, muskularny, ubrany zgodnie z zasadami w starannie odprasowany garnitur, czystą koszulę i błyszczące buty, ale w porze lunchu był już zakałą świata Gentleman's Quarterly. Szarpał w rozpaczy swoje gęste płowe włosy tak często, że sterczały na wszystkie strony albo opadały mu na oczy. Niecierpliwie targał węzeł krawata, dopóki ów nie znalazł się na wysokości trzeciego, o tej porze zwykle już rozpiętego guzika koszuli, która wyłaziła mu ze spodni. Kieszenie miał wypchane papierami i ogryzkami cudzych ołówków. Zwykle gubił też swoje trzy pary okularów

w rogowej oprawie, których potrzebował do oglądania rozkładówek i czytania rękopisów.

Kiedy jednak Ben Litchfield zdejmował okulary, jego ogromne niebieskie oczy krótkowidza patrzyły zdumione i szczęśliwe niczym oczy dziecka, które ożywia się, kiedy po raz pierwszy zobaczy słonia. Każde wydarzenie w życiu witał tym samym zdziwionym i przyjaznym wyrazem twarzy, choć jego współpracownicy podobno przebąkiwali, że jest równie niewinny co glina z Detroit w randze porucznika. Miał nagły, słodki, na wpół zdumiony uśmiech człowieka, który robi to, co lubi najbardziej i w dodatku robi to lepiej niż inni. Był tak zajęty wspinaczką na szczyt, że nie miał czasu, by zatrzymać się i rozejrzeć za jakąś dziewczyną na stałe, dopóki nie poznał Fauve.

- Od poniedziałku? - zapytał Darcy. - Myślałem, że widujecie się często... to już trzy dni.

- Wiem - mruknął Litchfield. - Słuchaj, Darcy. Nauczyłeś mnie wszystkiego, co wiem, o czym zresztą przypominasz mi przy lada okazji, i to zazwyczaj publicznie. Co zrobić, żeby namówić dziewczynę do małżeństwa?

- Ćwicz cierpliwość, mój chłopcze, cierpliwość.

- Cholerne dzięki. Bardzo mi pomogłeś.

- Kobiety Lunelów nie wychodzą za mąż tak łatwo, jeśli już w ogóle wychodzą. - W istocie, myślał zadowolony z siebie Darcy, był jedynym mężczyzną, któremu naprawdę udało się nakłonić jedną z rodu trzech ślicznych rudych pań Lunel do małżeństwa. Jedną z trzech nieślubnych pań Lunel - myślał sobie, bo Maggy opowiedziała mu całą historię podczas ich miodowego miesiąca i był, jak sądził, jedyną osobą na

świecie, oprócz Fauve, która wiedziała, że Maggy i Teddy, tak jak Fauve, też były nieślubnymi dziećmi. - Nie będę miała chwili spokoju, dopóki nie zobaczę, jak Fauve przykładowie wychodzi za mąż - powiedziała do niego Maggy. - Trzy bękarty pod rząd to i tak już za wiele.

- Chodź, Ben, postawię ci bliny i pomówimy o tym poważnie. Może będę miał dla ciebie jakąś dobrą radę. Tak naprawdę nie uważam, że zbyt duża cierpliwość to bardzo dobry pomysł.

- Nie byłoby to uczciwe, gdyby tylko on miał monopol na panie Lunel. Powinien udzielić Benowi pomocy ze względu na Maggy. Ale gdzie podziała się Fauve?

Spojrzał w dół schodów. Nareszcie! Pojawiła się, tak szokująco piękna, jak ją zawsze widział, z rozwianymi rudymi włosami, ubrana w suknię ze srebrnych cekinów, o kroju krótkiej halki. Policzki miała zarumienione z podniecenia. Biegła po schodach i przeskakując po dwa stopnie, krzyczała: Magali, Magali, przepraszam za spóźnienie! - Fauve Lunel, dziewczyna żywa niczym salamandra, której żywiołem jest ogień, nie przyszła sama na swoje przyjęcie urodzinowe. Ręką ścisnęła mocno nadgarstek dziewczyny - Darcy domyślał się tylko, że to dziewczyna - wysokiego na metr osiemdziesiąt stracha na wróble, w kombinezonie i tenisówkach, o jasnych, ostrzyżonych niemal po męsku włosach, który sadził za Fauve z przerażonym wyrazem twarzy.

Maggy przyjrzała się dziewczynie. Modelki najwyższej klasy były teraz eleganckie, wyrafinowane, kształtne, długowłose. Dziewczyna była nieziemsko chuda, miała ciut wystające zęby, piegi i szerokie brwi. Wyglądała niezwykle obiecująco. Zatem, zmieni się moda. Fauve wie, co robi.

- Spóźniłaś się z jej powodu?

- Byłam w biurze, chciałam załatwić kilka spraw przed przyjęciem, a ona weszła prosto z ulicy. Namówili ją przyjaciele, z którymi przyjechała tu autobusem. To oznaczało, oczywiście, że muszę z nimi porozmawiać, zadzwonić do jej rodziców, powiedzieć, że nie wróci do domu, przekonać ich, że nie jestem handlarzem żywym towarem, i znaleźć jej jakieś mieszkanie... sama wiesz.

- Jak się nazywasz? - zwróciła się Maggy do dziewczyny.

- Ida Clegg.

- Hmm... dobrze, zatem - witaj w Agencji Lunel. Pijesz wódkę?

- Same nowe rzeczy w tym zakichanym dniu - powiedziała dziewczyna z miękkim południowym akcentem. - Tak, proszę pani, chyba się napiję.

Magali odwróciła się do Fauve i całując ją szepnęła: - Dlaczego nie zaczekałaś z załatwianiem tych spraw do jutra?

- Magali, ona miała na kartce adres Eileen. Jej przyjaciele radzili jej, żeby poszła także do niej - odpowiedziała Fauve takim samym szeptem.

- Dlaczego od razu tak nie powiedziałaś, do licha? Martwiłam się.

- Spójrz za siebie. - Magali odwróciła się i zobaczyła Eileen Ford. Wyglądała, jak zwykle, niczym dziewczyna, która zwyciężyłaby w wyborach na przewodniczącą klasy w każdej szkole, w której by się znalazła.

- Wszystkiego najlepszego, Fauve - powiedziała Eileen z przyjaznym uśmiechem.

- Dziękuję, Eileen.

- Musisz być z niej bardzo dumna, Maggy.

- Och, tak!

- A kto to jest?

- To nowa dziewczyna, którą właśnie odkryliśmy - Arkansas. Eileen obrzuciła Idę Clegg szybkim przenikliwym wzrokiem, który widział wszystko, wszystko pojmował, wszystko rozumiał.

- Arkansas? - zapytała. - Jaka Arkansas?

- Po prostu Arkansas - odparła Fauve.

- Rozumiem. Cóż za patriotyczne imię. Zatem, witaj w Nowym Jorku, Arkansas. - Eileen odeszła zamyślona. Nie wyglądała na uszczęśliwioną.

- Kim jest ta miła pani? - zapytała Arkansas.

- Ach... to... - zaczęła Maggy.

- Nikt, kogo powinnaś poznać - zapewniła ją pośpiesznie Fauve.

Fauve Lunel niemal wypadła z drzwi starej windy otwierających się wolno na dziesiątym piętrze biurowca Carnegie Hall, w którym mieściła się Agencja Lunel. Spóźniła się na swoje zwykłe spotkanie z Casey d'Augustino, ale ostatniej nocy Benjamin Franklin Litchfield był wyjątkowo wytrwały i tego ranka zasnęła. Fauve prześliznęła się przez recepcję. Na ścianach wisiało sześć oprawionych w ramy okładek magazynów z dawnymi modelkami Agencji Lunel.

- Tylko sześć - powiedziała kiedyś Maggy - spośród setek innych, bo dziewczyna, która czeka na rozmowę kwalifikacyjną i patrzy na te okładki, od razu zrezygnuje i pójdzie sobie, jeśli nie jest wystarczająco pewna siebie, żeby podjąć próbę. Natomiast, jeśli będę musiała odprawić ją z niczym, te same zdjęcia pocieszają, bo czyja uroda mogłaby się równać z urodą tych dziewczyn?

Agencja, która rozrastała się z roku na rok, zajmowała coraz więcej miejsca we wspaniałym budynku, a mimo to panował w niej tłok. We wszystkich agencjach modelek jest taki ścisk, jak w restauracyjnej kuchni, w obozie wojskowym albo za kulisami. Nigdy nie ma dość miejsca na wszystko czego trzeba, by skutecznie wykonywać działania, które należy wykonać w tym właśnie miejscu. A gdyby nawet, dzięki cudownemu pomysłowi projektanta, miejsca zrobiło się nagle dosyć, cierpiałyby na tym praca z powodu braku niezbędnego porozumienia wśród personelu.

Biuro Maggy było obszerne, ale Fauve i Casey dzieliły dwa małe pokoje obok jednego z trzech sekretariatów, które stanowiły serce agencji. Siadając za swoim biurkiem i ponagłając Casey, Fauve zauważyła odruchowo, że wszystkie sekretarki są zajęte przy telefonach. Dział męski,

kierowany przez Joe O'Donnella, który sam niegdyś był modelem, znajdował się po drugiej stronie korytarza i zajmował jeszcze mniejszą, mniej elegancką przestrzeń. Casey d'Augustino pracowała w agencji zaledwie od roku, ale razem z Fauve tworzyły zgrany zespół. Skończyła Hunter, prywatną szkołę wyższą, do której przyjmowano tylko najlepszych, najbardziej inteligentnych uczniów z Nowego Jorku, a bystra, bystra Casey, która przyszła na świat na Brooklynie, pod niezbyt oryginalnym, wskazującym na pochodzenie imieniem Anny Marii w wielkiej dwupokoleniowej rodzinie przybyłej z Palermo, była najlepszą przyjaciółką Fauve. Usiadła na jednym z dwóch krzeseł stojących naprzeciw biurka i jęknęła, ostrożnie zgarniając na czoło krótkie kręcone włosy, jakby dotykała guzów albo siniaków.

- Co się stało? - zapytała radośnie Fauve.

- Kac po szampanie. Najgorszy z możliwych. Wszyscy mają kaca. Cały personel. To przez te wszystkie toasty.

- Ja czuję się świetnie - zdziwiła się Fauve.

- Nie możesz wznosić toastów sama za siebie, więc nie rób z siebie bohaterki. To tylko dlatego, że to były twoje urodziny, nie moje. Po moich urodzinach będziesz miała kaca - giganta. Przrzekam ci to.

- Przyniosłam ci prezent.

- Nic mi nie pomoże.

- To lekarstwo na podły nastrój.

- Z góry mi się nie podoba.

- To nowy „Cosmopolitan”. Artykuł Guya Flatleya o Laureen Hutton. Tylko posłuchaj, jak Laureen opowiada o spotkaniu z Dianą Vreeland, o swoim pierwszym kroku w świecie mody.

Wokół niej paradowało dwanaście modelek. Przysiadłam niczym ropucha, przyglądając się temu widowisku. Nagle D. V. przerwała w pół zdania i zatrzymała się przede mną, wskazując na mnie długim palcem w białej rękawiczce. - Ty! - powiedziała.

- Tak, ty... wyglądasz wspaniale - powtórzyła, patrząc na mnie przenikliwie swoimi wielkimi orlimi oczyma.

- Dziękuję - odparła. - Pani też.

Posłała mi uśmiech i dokończyła zdania. Jeszcze tego samego popołudnia zawiadomiono mnie telefonicznie, żebym zgłosiła się na zdjęcia próbne do studia Richarda Avedona.

- O, cholera! - Casey podskoczyła na krześle. - Nie, powiedz mi, że to nieprawda! Powiedz, że bujasz! Powiedz, że to tylko kiepski żart, który wymyśliłaś, żeby pokazać, jak bardzo mnie lubisz, żeby uzdrowić mój umysłowy paraliż, żeby znowu zmusić moją krew do odżywiania wątroby.

- Od razu czujesz się lepiej, prawda? - zapytała rozbawiona Fauve.

- Boże, tak. Czuję się tak, że mogłabym rzucić się z gołymi rękami lwicy do gardła. Och, jak mogli zrobić nam coś takiego? Czy zdajesz sobie sprawę, że miliony kobiet czytają z nabożeństwem każdy numer „Cosmopolitan” i kiedy zobaczą tę historyjkę, uwierzą, że coś takiego im także mogłoby się przytrafić? „Przysiadłam niczym ropucha” - ładne rzeczy! Laureen nigdy nie wyglądała jak ropucha, nawet w swoim najgorszym dniu. Przecież to Eileen, na miłość Boską, posłała ją do Vreeland. Wcale nie wpadła tam ot, tak sobie! I gdzie wylądują wszystkie czytelniczki „Cosmopolitan”? Tu, w naszym hallu, czekając na próbę w czwartek rano. Lepiej zaangażuj my jeszcze jedną dziewczynę, żeby się nimi zajęła.

- Tak. Ale, Casey, wiesz, że takie rzeczy się zdarzają. I wiesz, że tak musiało być w tym przypadku. Laureen jest zbyt uczciwa, żeby to sobie zmyślić.

- Jasne. Od czasu do czasu zdarza się grom z jasnego nieba, ale to nie znaczy, że jeśli staniesz w Central Parku i poczekaś dziesięć lat, uderzy właśnie w ciebie. W każdym razie, co to za historia z tobą i Miss Texarkana? Faith poszła z nią kupić dla niej jakieś ubrania. Co to za sprawa?

- Jeszcze jeden „grom”.

Dziewczyny uśmiechnęły się do siebie z nadzieją i pełną rezerwy ekscytacją, niczym dwóch poszukiwaczy złota, którzy nie są pewni, czy znaleźli samorodek czy grudę błota. Praca w agencji modelek stanowiła interes, na który składał się grom z jasnego nieba i wiele godzin ciężkiej, zwykłej harówki, ale bez olśnienia, bez nagłego pojawienia się na widoku nowej, jedynej w swoim rodzaju piękności, nie byłaby to praca, która w ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci stawała się coraz bardziej fascynująca, aż - w swojej zdolności wpływania na odbiorców - okazała się konkurencją dla przemysłu filmowego.

Jak każdy, kto pracuje w dziedzinie, która ma coś wspólnego ze światem blichtru i czaru, znały prawdy, tkwiące u podłoża tego ulotnego złudzenia: podstawową konieczność systematycznej, codziennej orki, nieprawdopodobnej wytrwałości i niesłychanej dyscypliny, nie mówiąc już o absolutnie zasadniczej sprawie, by być we właściwym miejscu b właściwym czasie. Ale wiedziały, że czar istnieje, że pewne twarze są nim obdarzone i że jest to cecha, której istoty nie uda się wyjaśnić. Rozumiały to tak, że pewne twarze budzą uczucia i nauczyły się wyławiać takie

twarze w morzu dziewczyn, które były piękne w zwyczajny sposób. Różnica była tak niewielka, że w wielu wypadkach trzeba było zdać się na subiektywną decyzję.

Co roku przez Agencję Lunel przewijały się tysiące dziewczyn. Jedne pisały i załączały swoje zdjęcia, inne były laureatkami lokalnych konkursów na modelki, odbywających się na całym świecie, jeszcze inne zjawiały się w agencji osobiście. Spośród nich wybierano nie więcej niż trzydzieści. Dlaczego właśnie trzydzieści tych, a nie innych? Ani Maggy, ani Fauve, ani Casey nie potrafiły tego opisać, ani ująć w żaden schemat. Podstawowe zasady były oczywiste, podstawowe wymagania fizyczne, którym powinna odpowiadać modelka, spełniało wiele dobrze zapowiadających się dziewcząt. Ale musiały im odmówić. Widziały już tyle kandydatek, że tylko ktoś wybitnie wyjątkowy budził ich zainteresowanie. Casey nazywała to „czymś w oczach”, zaś Fauve „udoskonaloną rzeczywistością”, ale obie miały na myśli to samo - grom z jasnego nieba.

* * *

- Pierwsza ze spraw do załatwienia - powiedziała Casey - to przypadek panny Day O'Daniel. Dzwoniła do mnie dziś rano. Jest gotowa przybiec tu w podskokach, ale chce mieć własną sekretarkę.

- Bardzo się przy tym upiera?

- Albo własna sekretarka, albo nic z tego.

Day O'Daniel była jedną z sześciu modelek najwyższej klasy w innej agencji. Ostatnio dręczył ją niepokój, co czasem zdarza się modelkom, z powodów które trudno naprawdę pojąć, więc postanowiła przenieść się do Lunel. Jej kontrakt, jak wszystkie kontrakty w 1974, wymagał tylko

trzydziestodniowego okresu wypowiedzenia dla obu stron umowy, zaś Fauve i Casey ochoczo przyjęłyby tę brunetkę o wyrafinowanych rysach, która w swojej dziedzinie miała najwyższe notowania. Umiejętność prezentowania sukni Galanos w reklamie w piśmie o masowym nakładzie z niedbałą pewnością siebie i wyglądu w niej nie strasznie, lecz prześlicznie była jedną z umiejętności, które musiała posiadać modelka najwyższej klasy, zanim mogła aspirować do pozycji supergwiazdy. Day tę umiejętność posiadała. Jednak w Agencji Lunel obowiązywała reguła, wprowadzona przez Maggy, że modelce nie wolno mieć własnej sekretarki.

- Day powiedziała, że będzie się czuła niezależna dopiero wtedy, kiedy będzie miała własną sekretarkę. Powiedziała, że chce mieć kogoś, z kim mogłaby czuć się naprawdę dobrze i bezpiecznie, kogoś, kto znałby jej wszystkie potrzeby i otoczyłby ją opieką. Cytuję.

- Może powinna wrócić do domu, do mamusi - zamyśliła się Fauve. - Przekonanie, że własna sekretarka dowodzi czyjejś wysokiej pozycji jest takie błędne i naiwne. Czy ona nie zdaje sobie sprawy, że jeśli jej dam własną sekretarkę, wszystkie inne sekretarki w agencji skreśla ją i zapomną o jej istnieniu? A jeśli jej sekretarka wyjdzie na lunch? A jeżeli będzie przez tydzień chora albo znajdzie sobie inną pracę? W ten sposób nikt nie będzie należycie chronił interesów Day. To zwariowany sposób robienia kariery. Mam nadzieję, że jej to powiedziałaś.

- Jezu, nie, Fauve. Pomyślałam, że zostawię to tobie, bo dobrze sobie z tym radzisz.

- Zabawne. Widzę, że lepiej się czujesz. To straszne, jaka jesteś sympatyczna, kiedy coś ci dolega. Uspokoję się dopiero wtedy, kiedy

będziesz tak okropna jak zwykle. Zatem nasz Główny Sekretariat to za mało dla Day O'Daniel?

Fauve zwróciła wzrok na krzątanicę, którą mogła obserwować przez szklaną szybę swojego biura. Miała stąd widok na trzy pomieszczenia, w których pracowały sekretarki: niewielki pokój, w którym cztery w nich przyjmowały wszystkie nowe dziewczyny rozpoczynające dopiero karierę, ogromne pomieszczenie Centralnego Sekretariatu, w którym czternaście sekretarek przygotowywało plany zajęć dla większości modelek Lunel i owiany legendą Główny Sekretariat, w którym trzy główne sekretarki przyjmowały zlecenia dla zaledwie dwudziestu dziewczyn, gwiazd agencji. - Czy postawiła sprawę otwarcie i powiedziała, że nasz Główny Sekretariat jej nie wystarczy? - dopytywała się Fauve.

- Pomyślałam, że może ty ją o to zapytasz.

- Myślę, że powinna zapytać ją o to Magali - powiedziała Fauve.

- Przecież pojechała na wieś na weekend. A panna O'Daniel chce mieć odpowiedź dzisiaj. Zostawiła telefon do domu. Możesz do niej wieczorem zadzwonić.

- Dobra. Następna sprawa. - Fauve raz jeszcze przypomniała sobie, że od czwartkowego wieczoru aż do późnych godzin w poniedziałek Maggy bawiła na wsi w domu, który kupili z Darcym za Bedford Village. Nadal niełatwo było zrozumieć, że Maggy zdecydowała się właściwie pozostawić Fauve całkowite zarządzanie Agencją na dwa spośród pięciu dni pracy. Ale Darcy nauczył swoich rozmaitych wydawców, że ma dla nich czas tylko przez trzy dni w tygodniu stwierdzając, że dzięki temu zaczęli pracować bardziej wydajnie i nauczyli się polegać na sobie. Zawsze starał się, by jego praca zajmowała nie więcej czasu, niż skłonny

był jej poświęcić bez wyrzeczeń, a kiedy on i Maggy pobrali się, postanowił zrealizować swoje marzenie o długich weekendach na wsi.

- Dalej - powiedziała Casey - Miss Mgławica, Miss Kosmos, Miss Super Nova, Miss Mleczna Droga, czy jak jej tam, odmawia uczestnictwa w programie. Mówi, że jej to niepotrzebne - ten trening, który ma za sobą wystarczy jej do końca życia. Nawet nie próbuj mnie pytać. Już jej powiedziałam, że każda dziewczyna musi brać udział w programie, chyba że jest modelką należącą do czołówki, przychodzącą do nas z innej agencji. A nawet wtedy podejmujemy decyzję indywidualnie. Ale to Szwedka, całkiem jak z innej galaktyki i do tego bardzo uparta.

Agencja Lunel wprowadziła system ocen nazywany programem dla wszystkich nowych modelek przyjmowanych do pracy, w którym uczestniczyły Maggy, Fauve, Casey i trzy najbardziej doświadczone sekretarki. Agencja płaciła za fotografa, do którego wysyłano dziewczyny na męczące sesje zdjęciowe organizowane ekspresowo po to, by dziewczyna mogła zademonstrować swoją pracę przed obiektywem we własnych ubraniach i makijażu. Następnie analizowano każdy szczegół i cała szóstka decydowała, w jaki sposób należy dać nowej modelce ogłędę. Dyskutowały o tym, czy jej sylwetka wymaga poprawy, czy jej włosy mają odpowiednią długość, fryzurę i kolor, czego jeszcze powinna nauczyć się o makijażu, by poszerzyć zakres swoich możliwości, czy potrzebny jest dodatkowy trening, zwiększający jej ekspresyjność, by była bardziej elastyczna i swobodna przed obiektywem, czy nauka tańca ułatwiająca ruch i pozowanie. Jeżeli przychodziła do nich dziewczyna po szkole modelek, trzeba było także zastanawiać się, czego należy ją oduczyć.

- Żadna Szwedka nie dorówna mi uporem - zauważyła Fauve. Miss Szwecji będzie uczestniczyć w programie, chyba że ma swój własny latający talerz, nawet jeśli zadzwonią dzisiaj z Revlon i zechcą podpisać z nią wyłączny kontrakt na całe życie. Już raz popełniłyśmy błąd z Jane, kiedy stwierdziłyśmy, że nie potrzebuje programu - to była lekcja, której nigdy nie zapomnę.

- A jednak, żeby zostać laureatką konkursu piękności, trzeba włożyć w to pewien wysiłek - powiedziała Casey, starając się spojrzeć na sprawę obiektywnie.

- Ale to nie ma nic wspólnego z zawodem modelki.

- Dobrze o tym wiem.

- Zobaczę się z Miss Zaiste Wspaniałą - myślę, że jej prawdziwy tytuł to Miss Universum, Casey - w wolnej chwili. Teraz poprosimy tu Loulou. Fauve połączyła się z Głównym Sekretariatem przez intercom i wezwała do swojego biura Loulou, najbardziej doświadczoną sekretarkę w agencji.

Pół minuty później weszła Loulou i z wdziękiem osunęła się na krzesło. Była trzydziestoletnią pulchną blondynką o przyjemnym wyglądzie. Jej twarz wyrażała niezmiennie głęboką troskę połączoną z totalnym optymizmem. Wyglądała tak, jakby szła na dno z Titanicem, z niewzruszoną wiarą w istnienie raju. Loulou, niczym wspaniały trener koni wyścigowych albo mądra mistrzyni baletu, opanowała sztukę zachowywania tej szczególnej równowagi, która pozwalała jej radzić sobie z rasą odmienną od swojej własnej. Modelkę - bardzo nerwową, bardzo dobrze opłacaną, bardzo wrażliwą naturalną arystokratkę, klasowy system piękna na zawsze oddzielał od świata zwykłych kobiet.

- Cześć, dziewczyny - powiedziała - Spójrzmy co tu mamy? Betty nie przekłuje uszu do reklamy brylantowych kolczyków dla De Beersa. Twierdzi, że się nie boi, ale nie znosi igieł. Hillary zwolniła się na cały październik. Wybiera się w Himalaje, żeby medytować o czymś tam z jakimś tam guru. Glamour przedstawił kosztorys podróży do Tangeru - wystarczy im środków na dwie i pół dziewczyny, a potrzebują trzech, więc zaproponowałam, że zapytam dziewczyny, czy zgodzą się na mniejsze wynagrodzenie, żeby zobaczyć Kazbę. Ta nowa Kanadyjka ciągle mi powtarza, że chce pracować tylko przy katalogach, choć wiem, że nadaje się do zdjęć dla pism... ktoś musi z nią porozmawiać o jej problemach z samoocena. Jak zwykle wysiadło dziewięć telefonów, a Pete - facet, który reperuje telefony na zlecenia, jest na urlopie. Ponieważ nikt inny nie zna się na naszej sieci, cieszymy się, że dziś piątek. Jedna z was musi zwolnić Cindy, bo od dwóch tygodni nie ma dla niej zamówień, a wiecie, że to oznacza dla niej koniec, ale do licha, ma już dwadzieścia sześć lat i mniej więcej od roku zdawała sobie sprawę z tego, że to musi nastąpić, więc może to i dobrze. W salonie Annę Klein jest wyprzedaż. Halston wydaje przyjęcie, na które Linda nie dostała zaproszenia - nie odpowiadam za to, co sobie robi - chowajcie przed nią żyletki. Najpierw namawiałam Faberge, żeby wzięli Jessicę, a teraz są w niej zakochani i nie chcą nikogo innego. Potrzebują jej na jutro, a ona jest w Meksyku. Z Syracuse przyjechał ojciec Dawn, która zwolniła się na weekend, żeby poszaleć z chłopakiem za miastem. Co mam powiedzieć biednemu tatusiowi? Doyle Dane zadzwonił nagle, żeby mi przypomnieć, że Patsy musi umieć zmieniać biegi do tej reklamy Alfa Romeo. Patsy jest w drodze na zdjęcia i o ile wiem, nie ma zielonego pojęcia o prowadzeniu samochodu. Jedna z

początkujących sekretarek zapomniała zadzwonić do Lani, żeby ją obudzić. Lani zasnęła i dziesięciu ludzi czekało na nią przez godzinę, więc chciała, żeby zapłaciła im za to odszkodowanie. Zadzwoniła właśnie Patsy, żeby umówić ją do dentysty, do lekarza, do kosmetyczki i na woskowanie, ale nie mamy nawet pojęcia, co chce sobie wywoskować. W każdym razie, dziewczyny, jeśli nie macie nic innego do roboty i chcecie sobie posiedzieć, pogadać i ponarzekać, to wspaniale, ale ja mam mnóstwo roboty, więc jeśli wybaczycie - och, chciałyście się ze mną widzieć? Co się stało?

- Dzięki, że o to pytasz - odparła Fauve.

- To miło z twojej strony, że poświęcasz nam czas - mruknęła Casey.

- Day O'Daniel zamierza się przyłączyć do naszego wspaniałego zespołu - oświadczyła Fauve.

- Czemu nie? - Loulou nigdy nie okazywała zdziwienia. Wyraz jej twarzy nie zmieniał się nigdy i nic nie mogło jej poruszyć. Gdyby Fauve chciała pozbyć się co do jednej wszystkich dwudziestu modelek z Głównego Sekretariatu, Loulou wzruszyłaby tylko ramionami. W jej przekonaniu, co trzy miesiące z tajemniczego, pozbawionego znaczenia świata spoza Manhattanu przybywało nowe pokolenie modelek, a jej praca polegała na tym, by znaleźć im najbardziej korzystne zajęcie. Modelki z Głównego Sekretariatu Agencji Lunel zarabiały siedemset pięćdziesiąt dolarów dziennie, choć kilku z nich wydawało się, że są warte więcej - aż tysiąc dolarów dziennie. Nikt, ani Maggy, ani Eileen Ford, ani Fauve, a już na pewno nie Loulou, nie miał pojęcia, że za sześć lat modelki najwyższej klasy we wszystkich agencjach będą zarabiać trzy tysiące dolarów za dzień pracy.

Loulou uczyła zarówno Fauve, jak i Casey, które wiedziały, że choć Loulou, jak każda sekretarka, ma swoje ulubione modelki, agencja jest dla niej ważniejsza niż każda z dziewczyn.

- Przygotuję dla niej program - westchnęła Loulou, przeciągając się i ziewając. - Moja głowa - jęknęła.

- Loulou, nie zastanawiałaś się, dlaczego ona chce do nas przyjść? - zapytała Casey.

- Wiem, dlaczego. Założyłam się o to o pięć dolarów i wygrałam. Żałuję, że nie postawiłam więcej. Och, Boże, po co piję? Żadna zabawa nie jest warta tego, by czuć się tak jak ja teraz. Słuchajcie, dziewczyny, wracam do sekretariatu. Może dla was to tylko nudna harówka, ale dla mnie to sprawa życia i śmierci. - Wychodząc zamknęła za sobą drzwi.

- Pewnego dnia - rzekła ponuro Casey - mam zamiar ją zaskoczyć.

- Nie uda ci się.

- Nie uda mi się - zgodziła się Casey. Ach, te sekretarki!

* * *

To oczywiste, myślała Nadine Mistral Dalmas, że w rachunkach z Arenę jest pomyłka. Jak to możliwe, by przez ostatnich kilka miesięcy wydała dwanaście tysięcy franków na kwiaty? Arenę była najdroższą i najbardziej prestiżową kwiaciarnią w Paryżu. Zdaniem Nadine, posyłanie pani domu kwiatów z innej kwiaciarni dowodziło braku inteligencji, bo niezależnie od tego, ile się na nie wydało, nie robiły żadnego wrażenia. Posyłanie kwiatów, odpowiednich kwiatów w odpowiedni sposób, było jednym ze starannie wy kalkulowanych niuansów, w których Nadine osiągnęła doskonałość będąc od siedmiu lat żoną Phillipe'a Dalmasa.

Uważano ich za najbardziej godne zazdrości małżeństwo w Paryżu,

pomyślała Nadine, siedząc przy biurku w swoim nowoczesnym salonie i patrząc na stos rachunków, którymi w końcu postanowiła się zająć. Większość z nich pochodziła sprzed trzech lub czterech miesięcy, a wiele z nich nadesłali ludzie, których wcale nie obchodziło to, czy jest córką księcia Paryża, prawowitą kandydatką do tronu Francji, czy córką Julienu Mistrala, mającą odziedziczyć ogromny majątek po jego śmierci. Po jego śmierci. Jej ojciec, niech go szlag trafi, wyglądał tak, jakby zamierzał dożyć stu lat, a kupcy paryscy nie mieli nic wspólnego z brytyjskimi kupcami sprzed stu lat, zaopatrującymi dziedzica na kredyt na poczet przyszłego majątku.

Nadine starannie przejrzała rachunki z Arenę. Dwie miniaturowe orchidee cymbidium w porcelanowych wazonach dla księżniczki Eduard de Lobkowicz. Jak mogli policzyć tak dużo, skoro wazy dostarczyła sama? Była bardzo dumna z tego prezentu, bo wpadła na pomysł kupna najśliczniejszych waz w Le Grenier de la Marquise, wspaniałym sklepie z antycznymi drobiazgami na rue de Sevigne i dostarczenia ich do Arenę, żeby posadzono w nich rośliny. Oczywiście, w ten sposób kwiaty stały się znacznie bardziej kosztowne, ale jak ktoś, kto miał najmniejsze choćby pojęcie o dobrym smaku, mógłby posłać banalny bukiet, by podziękować damie, która jest z domu księżniczką Françoise de Bourbon-Parme? Damie, która zaprosiła Nadine i Phillipe'a razem z księciem i księżną d'Uzès oraz księciem i księżną Torlonia na obiad o dwunastej, podawany przez czterech lokajów na miśnieńskiej porcelanie, obiad, na którym na karcie dań przed każdym talerzem widniała korona Świętego Cesarstwa Rzymskiego? Nie zawsze posyłała kwiaty Lobkowiczom w podziękowaniu za gościnność, ale kiedy już to robiła, musiały być

wyjątkowe.

Konwalie dla wiceksiężnej Ribes, posłano po zaproszeniach na kolacje w małym gronie, poprzedzające pokaz filmów, oraz na jedną oficjalną kolację dla czterdziestu osób. Nadine długo wahała się z podjęciem decyzji, jakie kwiaty posłać tej najbardziej eleganckiej damie w Paryżu. Postanowiła wreszcie, że swoje zadanie spełnią najskromniejsze kwiaty. Oczywiście, w takim wypadku był jasne, że potrzeba czterech tuzinów wiązanek... mniejszy gest byłby skąpstwem i nie zwróciłby niczyjej uwagi. Kwiaty dla Helenę Rochas, kwiaty dla Sao Schlumberger, kwiaty do księżniczki Ghislaine de Polignac... Odłożyła rachunki z Areną. Nie miała wątpliwości, że były dokładne, ale i konieczne, jako jedno z zobowiązań, które wzięła na siebie, by utrzymać swoje miejsce w wąskim kręgu paryskiej socjety.

Mimo iż ludziom z zewnątrz wydawać by się mogło, że śmietanka towarzyska Paryża to społeczność otwarta, bo należało do niej kilku krawców i pisarzy, jeden czy dwóch projektantów wnętrz, a nawet Borys, właściciel wielkiej sieci sklepów spożywczych Fauchon, Nadine była w pełni świadoma - czuła na najlżejsze drgnięcia niczym linoskoczek pozbawiony siatki ochronnej - że w istocie był to światek, w którym gdyby nie jej niezmordowana czujność, nawet „najbardziej godne zazdrości małżeństwo Paryża” mogłoby szybko pójść w zapomnienie.

W społeczeństwie francuskim, w którym pozycja jest tak subtelnie wyważona, że nawet wśród książąt - Brissac, Uzès i Luynes są bardziej książęcy niż pozostali, zdolność dostrzegania różnic jest sztuką. To społeczeństwo, w którym nadal najbardziej liczą się tytuły. Nosi je tylko niewielka grupa paryżan, ale są to jedyni ludzie na świecie, którzy liczą się

dla Nadine. Drzwi stały otworem także dla kilku nieprzeciętnie bogatych cudzoziemców, bo nikt się z nimi nie liczył - jak mógł się liczyć, skoro nie byli Francuzami? Wolno im było wydawać pieniądze na rozrywki i kupić sobie chwilową tylko pozycję towarzyską, pozycję, która zależała wyłącznie od tego, jak dalece potrafią być rozrzutni i z jakim smakiem. Często dopuszczano także do grona dodatkowego atrakcyjnego mężczyznę o dobrych manierach, którego kochanki zajmowały wysokie miejsce w hierarchii, takiego jak Phillipe Dalmas przed ślubem, a także paru zagranicznych dyplomatów utrzymujących się długo na swoich stanowiskach oraz wąskie grono wpływowych polityków.

Ale znane panie domu nigdy nie zapraszały ludzi tylko dlatego, że kiedyś już u nich bywali. Każde zaproszenie, niezależnie od rozmiarów przyjęcia, było starannie przemyślane, analizowane, wazone i rozważane ponownie. Nadine wyobrażała sobie, jak pani domu zadaje sobie pytanie - dlaczego zapraszam Dalmasów do swojego stołu? Czy nadal przedstawiają sobą jakąś wartość? On nie przydaje żadnego splendoru, bo zawsze jest pod ręką, nie ma historycznego nazwiska, żadnych osiągnięć, a teraz - nie jest nawet wolny. Ale ona jest bliska Jean François Albinowi, jak nikt... jego ostatnia kolekcja to istny cud... a oboje są nadal niezwykle dekoracyjni...

Trzy lata temu Nadine także zadała sobie pytanie, jak długo jeszcze potrwa okres tolerancji dla Dalmasów, tego śmiesznie ubogiego małżeństwa? Jeszcze rok... może mniej? Właśnie wtedy zrozumiała, że nie mogą sobie już pozwolić na sprawianie wrażenia biednych, choćby tylko okresowo, bez utraty pozycji społecznej. Jeżeli nie podejmie decyzji, że muszą przyjmować u siebie, wkrótce zostaną napiętnowani jako ludzie,

którzy tylko korzystają z zaproszeń, ale nigdy ich nie odwzajemniają.

Potem stopniowo wszyscy o nich zapomną, dopóki nie znajdą się daleko poza kręgiem dobrego towarzystwa, jak członkowie Cafe Society, którzy kupują bilety na wszystkie wielkie bale dobroczynne i dają zbyt wysokie napiwki kelnerowi w Relais Plaza, żeby dostać stolik przy barze, a wszystko po to, by podtrzymać złudzenie, że ustawili się w Paryżu, podczas gdy w rzeczywistości pozwolono im tylko wypełnić niewielką lukę.

Co oni robią? Co robią ci ludzie, których nie zaprasza się na właściwe przyjęcia, zastanawiała się Nadine, a jej ciało zeszywniało z obrzydzenia i pogardy. Jak mogą znieść swoje życie, kiedy muszą tkwić poza jedynym światem, który się liczy? Czy nie zdają sobie sprawy z tego, jak nisko upadli, jak niewielkie mają znaczenie, jak nędzna jest ich pozycja? Czy pojmują, że żyją na ziemi tak pustej i tak pozbawionej sensu jak kosmos? Kiedy patrzyła na tych outsiderów, jak zamawiają u Albina wspaniałe stroje, zawsze uderzał ją niepojęty fakt, że te ubrania kupuje się po to, żeby ich nigdzie nie nosić. Kolacje, na które ich zapraszano nie były godne nawet wzgardy, ich galowe wieczory w restauracjach budziły tylko szyderstwo. Istnieli tylko po to, by Albin mógł się bogacić. Mogłaby nawet uznać, że są śmieszni, gdyby się nimi tak nie brzydziła, gdyby ich niższość nie czyniła ich w jej oczach podludźmi.

Nadine pochyliła się nad rachunkiem od Lenotre'a, sławnej firmy organizującej przyjęcia. Ponieważ nie mieli z Phillipem służby, tylko sprzątaczkę, rachunek od Lenotre'a był największy ze wszystkich, które musiała zapłacić. Co trzy miesiące wydawali „koktajl”, przemyślnie zaplanowany na czas tuż przed ważną premierą lub wielkim balem, więc

goście z przyjemnością raczyli się przystawkami z bufetu, wiedząc że później, tego samego wieczoru, zjedzą coś większego. Wypisując czek na ogromną sumę, Nadine pomyślała, że nie można zrobić nic głupszego niż zatrudnić drugorzędnego organizatora przyjęć. Lepszy koktajl przygotowany przez Lenotre'a niż kolacja na siedząco pośledniej jakości - upewniała samą siebie, przypominając sobie wszakże z ukłuciem bólu tak dotkliwym jak zimny wiatr ostatnie obchody rocznicy ślubu, na które zaprosiła ich księżna de Rochefoucauld. Jeanie - Marie zaprosiła stu czterdziestu gości na kolację przy stole, a kolejnych dwustu na tańce po kolacji. Jedyne sposoby, by stwierdzić, że pani domu jest pół - Amerykanką to przyjrzeć się niezwyklej doborowi potraw: wirginijska szynka i sałatka ziemniaczana wśród innych frykasów - ach, być tak niesamowicie, niewyobrażalnie bogatą, by móc serwować dania włoskiemu królowi Umberto i księciu Karolowi Luksemburskiemu - pomyślała Nadine, nadal sparaliżowana zazdrością. Jeanie - Marie jest najszczęśliwszą z kobiet. Czy zdaje sobie z tego sprawę? Czy to docenia?

Nadine przerwała marzenia myśląc, że jest znacznie bardziej wymagająca, ostrożna i wybredna w doborze gości niż wiecznie zajęta księżna. Księżna wydawała u siebie tyle przyjęć, że przyjmowała u siebie ludzi, których Nadine nigdy nie zaprosiłaby do domu. Nie, małe koktajle Nadine Dalmas cieszyły się sławą takich, z których wykluczano wszystkie osoby nie należące do ścisłej elity.

Razem z Phillipem przyjmowali często zaproszenia od ludzi, których pozycja społeczna była nieco wątpliwa, na tyle, że ona sama mogła nie odwzajemniać ich zaproszeń. Zawsze byli tym śmiesznie dotknięci. Spodziewali się zapewne, że koktajl ma być spędem rozmaitych typów i

sądzi, że należy im się rewanż. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że jej sposób postępowania jest słuszny. Cztery koktajle rocznie tylko dla wybranych dodawały pani domu znacznie więcej splendoru, niż gdyby wydawała dwanaście wspaniałych obiadów dla mniej doborowego towarzystwa. A przy tym - było to o wiele tańsze.

Któż by pomyślał, że nie są bogaci? Najlepsza kwiaciarnia, najlepiej zorganizowane przyjęcie, najlepsze kluby, oprócz Jockey - mimo iż Phillipe pochodził z dobrej rodziny, jego pochodzenie nie uprawniało go do przynależności do Jockey. Wśród rachunków były też i te z Polo Club i Golf de St. Cloud. Phillipe należał do nich jeszcze w kawalerskich czasach i były to w owym okresie jedne z nielicznych jego wydatków. Rezygnacja z nich była nie do pomyślenia. Jego rachunek za wypożyczenie kuców do gry w polo za ostatnie dwa miesiące, kiedy to grał w drużynie Agi Khana, wynosił ponad cztery tysiące franków, zauważyła, ale dobry gracz mógł jeździć nawet na wypożyczonym koniu i przynajmniej nie było to tak kosztowne, jak jego wysokie przegrane w sezonie zimowym, kiedy w Polo urzędowali zaprawieni dżinem i rumem hazardziści.

Nadine wypisywała czeki jak najszybciej, żeby pozbyć się problemu i wypisując myślała o rzeczach, za które nie musieli płacić. Te rachunki, choć wysokie, stanowiły tylko nikły procent w skali ich poziomu życia. Na ogromną garderobę Nadine, do której nieustannie przybywały nowe rzeczy, składały się ubrania dostarczane przez Dom Jean François Albina. Apartament nie kosztował ich nic. Podróżowali prywatnymi samolotami przyjaciół, jeździli na nartach, zatrzymując się w zimowych rezydencjach przyjaciół w górach Sabaudii albo w St. Moritz, pływali ich jachtami po Morzu Egejskim, spędzali całe tygodnie w ich prywatnych pałacach w St.-

Jean-Cap-Ferrat, Porto-Cervo i Bawarii. Mogła jadać lunch w Relais Plaza i u Maxima na rachunek Albina i rzecz jasna, jadali kolacje poza domem w każdy wieczór paryskiego sezonu.

Nadine wydawała niewiele gotówki i tylko tam, gdzie było to zauważane. U Éduarda i Frédérica, najmodniejszych paryskich fryzjerów, do których chadzała prawie codziennie, dawała hojne napiwki. Fryzjer, który dbał o blond kolor jej włosów, pomocnik, który je mył, człowiek, który je suszył, manicurzystka i pedicurzystka - to najwięksi plotkarze. O ile księżniczka albo żona greckiego armatora mogły pozwolić sobie na skąpstwo, o tyle zwykła Madame Dalmas - nie.

Zwykła Madame Dalmas. Nadine odeszła od biurka i przemierzała swój salon. Dlaczego, zastanawiała się i dziwiła, dlaczego ciągle musi zadawać sobie to samo gorzkie pytanie? Dlaczego poślubiła tego nędzarza? Dlaczego nie uchroniła jej przed tym matka? Dlaczego pozwolono jej na to, by zrobiła największe głupstwo w życiu? Tak, była zaślepiona, ale ktoś mógł, ktoś powinien był ją ostrzec. I nie tylko nędzarza, ale i nieudacznika, któremu w ciągu siedmiu lat małżeństwa udało się zrealizować tylko parę mglistych kontraktów.

Mimo iż teraz wydawało jej się to niewiarygodne, musiała go kiedyś kochać. Czym innym można wytłumaczyć sposób, w jaki wydała pieniądze, które zostawiła jej w spadku matka? Kate umarła na raka cztery lata temu, zostawiając znacznie więcej pieniędzy niż, zgodnie z tym co mówiła, Nadine mogła się spodziewać. Zdaje się, że miała jakieś obrazy, które sprzedała niezwykle korzystnie. W każdym razie, tych pieniędzy już nie było. Nadine dała się uwieść marzeniu Phillipe'a o wiejskiej rezydencji. Połowę jej spadku wydali na zakup zamku w Normandii. Od

tamtej pory nie chciał się go pozbyć, mimo iż nie mieli środków, by go odpowiednio odrestaurować i przystosować do użytku. Jak stanowczo stwierdził, zbyt długo już czekał na własny dom, a przecież wkrótce i tak będą mieli ogromny majątek.

Miłość do Phillipe'a. Musiała istnieć, bo z jakiego innego powodu pozwoliłaby mu zainwestować pozostałą część spadku po matce? Było tego wystarczająco dużo, by wykupić udział w nocnym klubie, który miał stać się konkurencją dla klubu Castela. Karta wstępu miała kosztować trzy tysiące. Jean Castel co noc musiał odprawiać z niczym setki klientów, więc rzecz jasna, potrzebny był jeszcze jeden lokal.

Phillipe i jego wspólnik sądzili, że obaj znają wszystkich ludzi, liczących się w wybranych kręgach nocnych marków, tych sławnych zblazowanych ludzi, tak zblazowanych, że nudziła ich nawet własna sława, ludzi, którzy nie mogli sobie znaleźć miejsca i co wieczór o jedenastej szukali czegoś, co zastąpi im sen. Ale obaj nie zdawali sobie sprawy z tego, że ci ludzie nie chcą i nie potrzebują żadnego innego miejsca, do którego mogą uczęszczać poza ich ukochanym, dobrze znanym klubem Castela przy rue Princesse. Po roku Phillipe musiał porzucić horrendalnie kosztowne przedsięwzięcie jako całkowity niewypał.

Tak, musiała go kochać, albo tak jak i jemu zabrakło jej całkowicie rozumu. Po bankructwie nocnego klubu Phillipe zachowywał się jakby to była jej wina. Stał się drażliwy i nadęty, karząc Nadine za to, że nie mogła mu dostarczyć nowych funduszy. Stał się zbyt leniwy, by starać się ją oczarować.

Czy było coś równie nieprzyjemnego, jak życie z człowiekiem, który

miał tylko wdzięk i ten wdzięk utracił, niczym tęga kobieta, zdejmująca za ciasny gorset? A jednak, kiedy zadzwonił telefon, kiedy podnosił słuchawkę, znowu odzyskiwał swój wdzięk.

Obserwowała go na przyjęciach, tak beznamiętnie, jakby tkwił za szybą. Patrzyła, jak zachowuje się w stosunku do mężczyzn i kobiet - człowiek, który zadaje rozkoszne pytania, który sypie najwymyślniejszymi pochlebstwami, który opanował sztukę słuchania, a jeśli już mówi o sobie - mówi skromnie i zawsze z humorem. Aura wdzięku spowijała go niczym trykoty strojące matadora. Każdą jego sztuczkę znała tak dobrze, że aż ją mdliło. Nawet jego atrakcyjny wygląd był odrażający. Nie obchodził jej do tego stopnia, że były jej obojętne jego romanse. Na szczęście miał na tyle dobrego smaku, by angażować się w związki z kobietami, które były bogate, sławne i niezmiennie gościnne. Przynajmniej w tej kwestii nie brakowało mu sprytu.

Nadine ułożyła w stos koperty z czekami i zaniósła je do sypialni. Wyśle je w poniedziałek od Albina. Po co płacić za znaczki, skoro wysyłką zajmie się jej sekretarka? Otworzyła troje drzwi w ścianie sypialni i ogarnęła spojrzeniem swoją garderobę. Stroje, buty, kapelusze, futra, bielizna warte miliony franków. Każda rzecz, oprócz bielizny, szyta na miarę. A wszystko to jedynie za cenę pralni i jej własnej dumy.

* * *

Już wiele lat temu zdała sobie sprawę, że nienawidzi Jeana François Albina. Nie pamiętała, kiedy to się zaczęło - kiedy zrozumiała, że jest wyniesioną na piedestał, wystrojoną pielęgniarzką kapryśnego, słabego, egocentrycznego, często okrutnego chłopczyka, który był obdarzony jedynym talentem uznawanym przez świat za niezwykle cenny. Jego

najlepsza przyjaciółka, jego Muza!

Cóż to była za farsa, farsa, którą nadal grali oboje. Nadine - bo nie mogła sobie pozwolić na utratę darmowych ubrań i prestiżu, który zyskiwała dzięki tej znajomości. Albin - bo kiedy jego krótkie oczarowanie nią zmieniło się w szaleństwo i nieustanne rozczarowanie, odkrył, że szykowna, wyniosła Nadine Mistral może mu się przydać. Żądał teraz od niej, by prowadziła do weterynarza jego znerwicowane afgańskie charty, by wyrzucała i zatrudniała jego domową służbę, pisała dziękczynne listy, jadała lunch z najnudniejszymi i najbogatszymi klientami, pozbywała się kochanków zapraszanych na jedną noc, roszczących sobie potem pretensje, by kupowała dla niego haszysz i była na każde jego skinienie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Dziś wieczorem musi przymilać się do niego i skłonić go, by wziął udział we własnym przyjęciu urodzinowym, na które odmówił przybycia, po tym jak Nadine spędziła całe tygodnie nad jego przygotowaniem. Za dużo homarów - narzekał - za dużo księżniczek. Dlaczego nie wymyśliła czegoś bardziej zabawnego, na przykład pikniku, z golonką i kapustą, i morzem taniego wina? Dlaczego jest taka konwencjonalna, taka mieszczańska? Nadine roześmiała się i przypomniała mu, że po czerwonym winie robi mu się niedobrze, ale kipiała ze złości. Był nieznośny, nienawidziła samego dźwięku jego głosu, ale jej praca u Albina była jedynym źródłem regularnych dochodów, które posiadali godni zazdrości Dalmasowie. Wystarczało tego zaledwie na zaspokojenie paru jej potrzeb. Nie było tego nawet tyle, by pokryć rachunek z kwiaciarni, który przed chwilą zapłaciła. Od czasu niepowodzenia z klubem nocnym, żyli niemal tylko za pieniądze, które Nadine pożyczala od Etienne

Delage'a, dealera Mistrala. Nienawidziła udawać się do niego po pożyczkę, bo za każdym razem czuła się od niego coraz bardziej zależna, ale któż inny pożyczylby jej pieniądze pod zastaw tego, co otrzyma po śmierci ojca?

Nadine rzuciła się na łóżko i pogrążyła się w marzeniach, które zawsze przynosiły jej ulgę. On umrze. Ona dostanie spadek. Majątek jest wart... tak wiele... tak wiele! Nie mogła sobie wyobrazić, jak wiele! Oczywiście, nie może sprzedać wszystkiego zbyt szybko, bo załamałby się rynek, ale z miejsca weźmie sobie co najmniej milion franków. To wystarczy, by zapłacić wszystkie rachunki. Wystarczy, by mogła wydawać tyle, ile ma ochotę. Zostawi Albina w najgorszym momencie, rujnując go emocjonalnie tuż przed pokazem, kiedy jest najbardziej przeczulony. Porzuci Phillipe'a w sposób tak upokarzający, że nigdy nie będzie mógł o tym rozmawiać z żadnym ze swoich przyjaciół. Kupi ogromny dom na lewym brzegu Sekwany - może na rue de Lille, a wewnątrz zaprojektuje jej Didier Aaron, z klasycznym wyrafinowaniem, nie mającym nic, ale to nic wspólnego z modą. I zacznie nowe życie. Nadine Mistral, wielka dziedziczka, zajmie należne jej własne miejsce w sercu samej śmietanki towarzyskiej Paryża.

Ale do tego czasu nie zrobi nic, by zmienić istniejący stan rzeczy. Nie może się rozwieść, dopóki jej pozycja towarzyska zależy od wdzięku i znajomości jej męża i od magicznego nazwiska jej pracodawcy. Nadal musi być Madame Phillipe'ową Dalmas, najlepszą przyjaciółką Jean François Albina - bez tej protekcji żadne orchidee i porcelanowe wazy nie zapewnią jej miejsca na listach gości. Jako kobieta wolna zatryumfuje dopiero wtedy, kiedy będzie bogata. Poczeka. Chryste, jak długo jeszcze

może pożyczyć ten starzec?

Fauve przeciągnęła się. Och, jak dobrze! Przeciąganie się, pomyślała sennie, jest tak samo dobre jak jedzenie, słuchanie muzyki i całowanie się. Dzięki Bogu, żeby się przeciągać nie trzeba być bogatym. Ziewnęła. Potężne ziewnięcie jest tak samo dobre jak mocne przeciąganie się. Ziewnęła i przeciągnęła się jednocześnie. Nie, tracą coś w zestawieniu. Przy tylu wspaniałych doznaniach nie mogła dobrze się skupić.

Przekręciła się na łóżku, chcąc dotknąć Bena i powiedzieć mu o tym, ale Bena nie było. Otworzyła oczy i rozejrzała się po mrocznej sypialni - miejscu, którego nie знаła dobrze, bo był to pierwszy raz, kiedy obudziła się w jego mieszkaniu. Czy to jeszcze noc? Dokąd poszedł? Czekala przez chwilę przysypiając, lecz kiedy się nie pojawił, wymknęła się z łóżka, po omacku podeszła do okna i odsłoniła firanki.

Skąpy blady blask słońca w marcowy nowojorski poranek sprawił, że wzdrygnęła się. Małe chmurki wysoko nad miastem przypominały kawałki lodu, a ze szczelin framug sączyło się chłodne powietrze. Wróciła do łóżka, by rozważyć różne możliwości. Mogła go zawołać i przybiegłby natychmiast, gdziekolwiek by był. Mogła znowu zasnąć, albo znaleźć jakieś okrycie, bo przecież była naga, a potem pójść umyć zęby. Najpierw zęby, postanowiła, podnosząc z podłogi narzutę i owijając się nią, bo nigdzie w pokoju nie mogła dostrzec swojego ubrania.

W łazience znalazła tubę pasty do zębów z przytwierdzoną do niej kartką:

Kochanie,

Poszedłem kupić coś na śniadanie. Wrócę jak najszybciej. Kocham cię.

Ben

To miło, że o tym pomyślał, powiedziała do siebie, rozglądając się za szczotką do zębów. Ogromne śniadanie - królewskie, wystawne, erotyczne śniadanie - to najlepszy sposób rozpoczynania niedzielного poranka w Nowym Jorku. Co ważniejsze, to dowodziło, że nie spodziewał się, że zostanie u niego do rana. W przeciwnym razie zaopatrzyłby lodówkę dzień przedtem. Kiedy nie znalazła żadnej innej szczoteczki do zębów oprócz szczoteczki Bena, zauważyła, że Ben Litchfield nie traktował obecności damy w swoim mieszkaniu jako sprawy z góry przesądzonej. W przeciwnym razie miałby zapasową szczoteczkę. Lepsza już mokra, używana szczoteczka niż nic. Szybko wzięła prysznic, wytarła się jednym z jego wilgotnych ręczników i włożyła czysty ale mocno już wytarty szlafrok frotte, który zostawił na wieszaku na drzwiach łazienki. Prawdziwe kawalerskie gospodarstwo.

Fauve powędrowała do salonu i natychmiast zrozumiała, że w kuchni nie ma nikogo, kto przyrządzałby jakieś wspaniałości. Salon był nie tylko pusty, był wręcz zimny i bezosobowy. Pomyślała, że wewnątrz musiał projektować ten sam dekorator, który zajmował się wystrojem wnętrza biura Bena. Stały tu takie same barcelońskie fotele - czy ktokolwiek ma więcej niż te niezbędne dwa, czy może jest to prawnie zakazane? - i identyczne stoliki ze szkła i aluminium. Widać było, że dywan, podobnie jak krzesła, jest kosztowny i starannie dobrany do szewiotowych draperii, ale nieładne rośliny wyglądały tak, jakby wybrano je z uwagi na ich zdolność przetrwania w trudnych warunkach, a litografie na ścianach zdradzały brak własnego smaku.

Jedynym śladem ludzkiej obecności w salonie Bena były niedzielne

egzemplarze „New York Timesa” i „Sunday News”. Wczoraj wieczorem, zanim tu trafili, Ben zatrzymał się przy kiosku na rogu Pięćdziesiątej Ósmej i Madison, żeby je kupić. Spojrzała na wymiętoszone gazety leżące na stoliku do kawy i zrezygnowała z pomysłu, by je przejrzeć. Nie pasowały do jej radosnego nastroju. Czowała każdą cząsteczkę swojego ciała i przyjemne zmęczenie. Nie bez powodu. W końcu, ile dobrych wiadomości można znaleźć w „Timesie”? Z pewnością nic, co nadawałoby się do druku, pomyślała, próbując się ułożyć na nieprzytulnej kanapie.

Dlaczego meble w domach kawalerów zawsze muszą być wypchane sztuczną gąbką? Może powinna pójść do kuchni i poszukać herbaty w torebkach? Po takiej nocy jak ostatnia, filiżanka herbaty wypita w samotności to niezbyt dobry początek tej cudownej, wolnej niedzieli... tej z konieczności krótkiej niedzieli, bo jeszcze dziś po południu wyrusza do Rzymu z pięcioma dziewczętami, które wybrał Valentino na inauguracyjny pokaz wiosennej kolekcji. Wyjeżdżają na dwa tygodnie, najpierw do Rzymu, potem do Mediolanu i Paryża.

Fauve bezskutecznie starała się znaleźć przytulne miejsce wśród poduszek wypełnionych gumową pianką. Benjaminie Franklinie Litchfield, gdzie jesteś? Ostatnia noc była pierwszą, którą spędziła z nim od wieczora do rana. Pierwszą nocą spędzoną w całości z mężczyzną, pomyślała Fauve, zastanawiając się nad krótką listą swoich kochanków. Wiedziała, że to niemożliwe, ale oprócz Bena było ich jeszcze tylko dwóch.

Fauve rzadko miała czas, żeby się nad tym zastanawiać, ale myślała sobie, że jej tryb życia musi wydawać się dziwaczny w wyzwolonych latach siedemdziesiątych. Mimo iż pracowała dużo, ciężko i do późna, osiągając w ten sposób niezależność finansową, jak mało która

dziewczyna w jej wieku, jeszcze dwa lata temu nie myślała o wyprowadzeniu się z domu. Uganiało się za nią wielu mężczyzn, ale wspomnienie Erica Avigdora było zbyt silne, by Fauve zwracała uwagę na kogoś innego.

Wreszcie nadszedł czas, gdy same listy nie wystarczały, by podtrzymać tę miłość. Po ukończeniu Beaux-Arts Eric musiał iść na dwa lata do wojska, a to nie pozwoliło mu przyjechać do Stanów Zjednoczonych. Z kolei krótkie wakacje Fauve nigdy nie wypadały w czasie, kiedy on był wolny.

Fauve doszła wreszcie do wniosku, że nie mają co marzyć o ponownym spotkaniu. Wraz z upływem lat krótkie tygodnie, które spędzili ze sobą, kiedy miała szesnaście lat, ulegały stopniowo zapomnieniu i zacierają się w jej pamięci. Niektóre chwile pozostały w niej jednak na stałe, tak żywe i wyraziste, że nie mogła przywołać ich na myśl bez uczucia bólu, ale wszystko to, co łączyło te chwile uległo zatarciu. Nie mogła przypomnieć sobie całego dnia z Ericem, lecz tylko jego urywane fragmenty.

Czy nie dorośli do swojego uczucia - zadawała sobie smutne pytanie - czy może po prostu przecenili jego siłę? Na pewno i w jego pamięci zatarły się wspomnienia.

Fauve z wielkim zaangażowaniem weszła w świat mody i z czasem pisanie do Erica stało się coraz trudniejsze. Czytała swoje listy po kilka razy i zastanawiała się, co interesującego może być dla niego w przełomowym dla świata mody fakcie, że Lauren Hutton zgodziła się pozować Avedonowi ubrana tylko w czarny koronkowy biustonosz, czarne majteczki bikini i zalotny kapelusik? Cóż za znaczenie może mieć dla

niego to, że w tym tygodniu podjęła zasadniczą decyzję o przeniesieniu dziewczyny z Sekretariatu Centralnego do Głównego. Nie było sposobu, by wytłumaczyć mu, jakie to ważne, bo jeśli modelka zaryzykowała taki krok w swojej karierze, nie mogła się już wycofać, a jeżeli ów krok okazał się błędny albo przedwczesny, cała jej kariera mogła lec w gruzach.

Sprawy, które wypełniały jej dni, zajęcia, które wydawały się tak ważne, bo były związane z ludźmi, których lubiła i wywierały wpływ na interesy i na pracowników, stawały się tak nieistotne, kiedy próbowała je opisać, że darła pięć listów na kawałki, zanim wreszcie wysłała jeden.

Gdyby nie niespodziewane małżeństwo Magali - rozmyślała Fauve - nadal mieszkałaby pewnie w domu, z radością jadając obiady z Magali i Darcym kilka razy w tygodniu. Było jej tam tak dobrze i czuła się tam tak szczęśliwa, że nic nie byłoby w stanie wypędzić jej stamtąd, gdyby nie przekonanie, że powinni wreszcie być ze sobą sami. Magali protestowała twierdząc, że to śmieszne, by traktować ich jak parę nowożeńców w podróży poślubnej, ale Fauve wiedziała, że instynkt jej nie myli, a czas jest odpowiedni.

Znalazła przytulne małe dwupokojowe mieszkanie w wąskim, staroświeckim budynku z piaskowca na East Seventies, w pobliżu Trzeciej Alei i tam, tuż przed ukończeniem dwudziestu lat, miała swój pierwszy romans. I drugi. Żaden z nich nie był doświadczeniem szczególnie satysfakcjonującym. Fauve musiała to przyznać. Brakowało w nich czegoś, jakiegoś istotnego elementu. Gdyby musiała to nazwać, do cholery, było tylko jedno słowo, które przychodziło jej na myśl - romans.

Może przepelniała ją absurdalna tęsknota, może szukała czegoś, co może zdarzyć się tylko raz w życiu? Doznania fizyczne były przyjemne,

obaj mężczyźni byli inteligentni i zabawni, ale ten inny wymiar, ten wątek radosnej melodii, ten zmysł poezji obecny w najbardziej pospolitej sprawie, ta przemiana świata, której doznała niegdyś siedząc w malutkim samochodzie otoczonym przez owce na drodze w pobliżu Félice - nie, tego nie było.

Fauve nigdy nie pozwalała swoim dwu kochankom spędzić ze sobą całej nocy mimo iż jej łóżko, łoże z powiewnymi draperiami z muślinu w różane pączki, tak długimi, że opadały na kwiecisty wiktoriański dywan, było wystarczająco duże, by zmieściły się w nim dwie osoby. Rzecz w tym, że nie mogła sobie wyobrazić przebudzenia u boku żadnego z nich - budzenie się przy kimś wydawało się w pewien sposób czynnością bardziej intymną niż kochanie.

Ostatniej nocy, kiedy zasypiała, pomyślała sobie, że przebudzenie u boku Bena Litchfielda może stać się objawieniem. Romans wisiał w powietrzu, nie tak blisko, by go uchwycić, ale czaił się, czekał na odpowiednią chwilę. Ben próbował rozmawiać o małżeństwie, ale nie pozwoliła mu - to nie był właściwy czas. Czuła się tak, jakby słuchała orkiestry strojonej instrumenty, nieskoordynowanych dźwięków, które zapowiadały nadejście muzyki.

* * *

Teraz, pomyślała Fauve, uświadamiając sobie, że marzną jej stopy, zajmie się jedzeniem i porzuci na chwilę myśl o romansie. Wiejska kiełbasa - cienka, pikantna, brązowa, z chrupiącą skórką, do tego, na przykład, naleśniki ociekające klonowym syropem. Może to właśnie przyniesie Ben? Albo gofry, na których topnieje masło z dżemem truskawkowym? A może poszedł po brioszki i croissanty z cienkimi

plasterkami wirginijskiej szynki o słodkawym smaku, albo nawet po ciasto Pepperidge Farm, które można podać na ciepło, wspaniałe ciasto z lepiącym się lukrem i rodzynekami? A może utknął w kolejce po obwarzanki? Pumper - nikłowe obwarzanki ze słodkim masłem i plastrami jesiotra, soczystego białego jesiotra z Wielkich Jezior? Och, Boże, nie ma wielkich wymagań - nie spodziewa się jaj benedict w sosie holenderskim, nie będzie się upierać przy świeżo wyciśniętym soku pomarańczowym w wysokiej oszronionej szklance. Chce tylko zjeść śniadanie, nie wielką przekąskę, na Boga, nie przekąskę, na którą mogłyby się złożyć delikatne naleśniki z nadzieniem z kurczaka, polane grzybowym sosem, a może nawet... nawet duszone ostrygi.

Fauve ułożyła nogi w pozycji kwiatu lotosu, żeby się rozgrzać, z nadzieją, że to skłoni ją do medytacji, zaś medytacja pozwoli jej zapomnieć o jedzeniu. Niezależnie od wszystkiego, nie zamierzała myszkować w kuchni i psuć mu niespodzianki.

Zanim zaczęła spotykać się z Benem Litchfieldem, wiele o nim słyszała, bo wśród jego współpracowników było wiele rozmarzonych redaktorek, które bezskutecznie zabiegały o jego względy. Przyglądała się badawczo szukając oznak, które świadczyłyby o tym, że jest zepsuty powodzeniem u kobiet, ale niczego takiego nie stwierdziła w sposobie, w jaki ją adorował. Miał przenikliwy, bystry, dociekliwy umysł, rozumiał jej sprawy zawodowe i konieczność pracy do późna. Lubiła jego dowcip. Był niesłychanie energiczny, a ona, zaznajomiona dzięki Darcy'emu z problemami wydawniczymi, czuła się swobodnie w kręgu jego spraw. Ben Litchfield zalecał się do niej wytrwale i niezmiennie na długo przedtem, zanim wreszcie, kilka miesięcy temu, zgodziła się, by został jej

kochankiem. Był bardzo...

niekrepującym... kochankiem, pomyślała Fauve, szukając najwłaściwszego określenia. Czowała się przy nim bezpiecznie, pewnie, spokojnie, miło i... nieskrepowanie.

Fauve zaburczało w brzuchu i pomyślała, że może jednak zacznie czytać gazety... robić coś, żeby wypełnić czas i nie myśleć o ciastkach: ciastkach z galaretką i cukrem pudrem, pierniczkach, ciastkach z otrębami, ciastkach z czekoladą - Boże, przecież wcale nie lubi ciastek. Kiedy Ben zdążył przejrzeć Timesa i News? - zastanawiała się. Przypomniała sobie mgliście, że obudziła się w środku nocy, zobaczyła światło w łazience i usłyszała szelest gazet. Czyżby miał atak bezsenności i próbował czytaniem zmusić się do snu?

Klucz Bena Litchfielda zazgrzytał w drzwiach. Wszedł tak obładowany, że Fauve podskoczyła, by uwolnić go choćby od części ładunku.

Dwie paczki płatków Kelloga, mleko, jajka... to wszystko? - miała ochotę rozplakać się, ale nie pozwoliła jej na to duma.

- Nie wiedziałem, czy wolisz płatki kukurydziane, czy zbożowe - powiedział - więc kupiłem mnóstwo takich i takich. W kuchni jest masło i trochę chleba. - pocałował ją w nos, zza stosu gazet wysokości jednego metra.

- Nie było cię przez parę godzin!

- Myślałem, że będziesz jeszcze spała... Musiałem pójść na Times Square do Hotalinga, a jeśli chcesz wiedzieć, Philadelphia Inquirer przyszedł dziś rano z opóźnieniem, więc musiałem poczekać - powiedział, układając starannie niedzielne wydanie „Boston Globe”, „Pittsburgh

Press”, „Washington Post”, „Cleveland Plain Dealer”, „Los Angeles Times”, „Newsday”, „Houston Chronicle”, „Atlanta Journal - Constitution”, oraz „San Francisco Examiner and Chronicle”. - Ale, z drugiej strony, miałem szczęście. Popatrz - „Miami Herald”! Zazwyczaj w niedzielę jest nieosiągalny... rekompensuje mi to niemal, że nie dostałem „Chicago Tribune”. Będzie dopiero jutro. Pocałuj mnie jeszcze raz.

- Czy jest bekon? - zapytała ostrożnie Fauve. - Do jajek?

- Pomyślałem o bekonie, ale mam tylko jedną patelnię, więc nie można jednocześnie usmażyć bekonu i jajek.

- Nie przyszło ci nigdy do głowy, że można najpierw usmażyć bekon, a potem na tym tłuszczu - jajka? - zapytała w przypiływie natchnienia wywołanego uczuciem głodu.

- Moje mądre kochanie - kobiety potrafią tyle rzeczy. Zrobimy to innym razem - powiedział w roztargnieniu, zabierając się do szybkiego przeglądania gazet, odkładania jednych stron na osobny stos i zrzucania reszty na podłogę.

- Czego szukasz? - zapytała rozwścieczona Fauve. - Czy stało się coś niesamowicie ważnego?

- Hmm... nie... nic szczególnego... muszę przeczytać niedzielne dodatki gazet i rubryki dla kobiet - Styl, Opinie, Dom, Odpoczynek, czy jak to się tam nazywa...

- Musisz je przeczytać?

- Zdziwiłabyś się, jakie zupełnie nowe pomysły można znaleźć w niedzielnych wydaniach prowincjonalnych gazet - bardzo się przydają... - wymruczał, gorączkowo przerzucając strony „Cleveland Plain Dealer”. - Cholera, cholera, ten cham sprzedał mi niekompletny egzemplarz. Nie ma

niedzielnego dodatku! Nie można wierzyć tym facetom... to zbrodnia... no, do diabła, to nie wina sprzedawcy... ale tych facetów, którzy pakują je w niedziele do samolotu... o, cholera! - Ben!

- Tak, kochanie? - podniósł wzrok.

- Wracajmy do łóżka.

- Teraz?

- Właśnie teraz - powiedziała, biorąc go w ramiona i zdejmując mu okulary.

- Przed śniadaniem?

- To lepsze na pusty żołądek. Z pełnym żołądkiem - niebezpieczne.

- Tak... - powiedział, patrząc z niepowstrzymanym żalem na swoje gazety. - Tak...

- A może - zaproponowała łagodnie Fauve - wolałbyś przeczytać gazety, podczas gdy ja zrobię śniadanie - a potem pójść do łóżka?

- Cudowny pomysł! Och, najdroższa, jak ja cię kocham.

- Ben, co się stało z moimi ubraniami?

- Nie jest ci tak wygodnie?

- Szlafrok jest za duży i mam bose stopy.

- Powiesiłem wszystko w szafie, kiedy spałaś... nienawidzę budzić się w pokoju, w którym jest bałagan.

- Dziękuję ci - powiedziała, gdy on pogrążył się w lekturze działu Opinii „Los Angeles Times” z gorliwością narkomana.

Pięć minut później Fauve opuściła apartament tak cicho, że Ben Litchfield zauważył jej nieobecność, gdy było już za późno. „Wyszłam na lunch” - tak brzmiała wypisana szminką na lustrze łazienki informacja, którą mu zostawiła.

* * *

Maggy leżała na podłodze ogromnego salonu wiejskiego domu, ubrana w brązowe tweedowe spodnie i kaszmirowy złotobrazowy sweter. Na kraciastym dywanie leżał wielki zwój kartonu, kolorowe kredki i katalog White Flower Farm. Darcy siedział z książką na kolanach, patrząc na płomienie wspaniałego ognia, który ogarniał szczapy drewna ustawione przez niego w kominku.

Sączył martini i delektował się swoim szczęściem. Czy mogło być coś lepszego niż świadomość, że jest niedzielny wieczór i nie trzeba wracać do miasta aż do jutra? Dziś po południu byli razem z Maggy na spacerze w lesie, który dopiero zaczynał się zielenić. Raz jeszcze słuszna okazała się jego teoria, że martini smakuje najlepiej po dużej dawce tlenu i dziarskim rozruszaniu wszystkich mięśni. Gimnastyka nie miała sensu, jeśli nie była zakończona drinkiem.

- Co robisz, kochanie? - zwrócił się do Maggy.

- Zamawiam nowe rośliny do ogrodu liliowców.

- Ale po co papier rysunkowy?

- Nie wtykam roślin w ziemię, jak to niegdyś bywało, dziecino. Mierzę swój ogród i projektuję na papierze, sześć kwadratów o trzydziestocentymetrowych bokach, i koloruję zarysy kształtów rabat liliowców, tak żeby jedne kolory naturalnie przechodziły w drugie. Potem zaglądam do katalogu i wybieram kolory, które będą pasowały do posadzonych w zeszłym roku - a potem zamawiam je pocztą. W zasadzie powinnam była zrobić to w zeszłym miesiącu, ale byłam za bardzo zajęta obmyślaniami nowego angielskiego trawnika.

- Och, Boże, dlaczego w ogóle o tym wspominałem? - zapytał,

wznosząc oczy ku bielonym belkom sufitu. - Dlaczego o tym nie pomyślałem wcześniej, dlaczego nikt mnie nie ostrzegł?

- O czym ty mówisz?

- O dniu, w którym powiedziałem ci, że nie masz pojęcia o ogrodnictwie. Przeklinam siebie. Bo to było tego dnia, kiedy odprawiłaś ogrodnika, pamiętasz?

- To był decydujący moment w moim życiu, kochanie. Rozzłościłaś mnie tak, że postanowiłam ci dowieść, że każdy, nawet taka dziewczyna z miasta jak ja, może nauczyć się ogrodnictwa z książek. To nie jest trudniejsze niż gotowanie.

- Ale, Maggy, ty oszalałaś! Pojmuję teorię roztropnego sadzenia krzewów różanych za trzy dolary w dziurach wartych sześć dolarów, ale, mój Boże, przez ostatnie lato narobiłaś otworów za sześćdziesiąt dolarów! Podziurawiłaś pół trawnika. Wykopanie każdego otworu wraz z jego przygotowaniem zajmowało ci cały dzień.

- Chciałam tylko mieć pewność, że moje krzewy będą miały tyle miejsca, ile potrzebują, żeby wypuszczać korzenie i że na dnie każdego otworu będą wszystkie składniki, które pozwolą im rosnąć przez następnych sto lat.

- A co powiesz o tych nocach, kiedy chodziłaś plewić chwasty, a ja musiałem stać i trzymać ci latarkę, żebyś mogła widzieć, co robisz? Czy uważasz, że to normalne?

- Kiedy ma się czas tylko w weekendy, trzeba wykorzystać każdą minutę - odparła pogodnie Maggy.

- A zeszłej jesieni, kiedy przez sześć dni okładałaś wszystko warstwą suchego krowiego gnoju grubą na dziesięć centymetrów? Byłaś w tym

unurzana po łokcie!

- Kiedy jesienią przygotowujesz ogród do zimy, cwaniaczku - powiedziała Maggy uczonym tonem - nie wystarczy zrobić pa, pa, ty... gnojku! W przyszłym miesiącu, kiedy wszystko zakwitnie, mój trud będzie nagrodzony. Ogrodnictwo nauczyło mnie cierpliwości. Powinieneś się z tego cieszyć.

- Jestem oczarowany. To zupełnie nowa Maggy, królowa ogrodowej ławeczki. Myślę, że potrafisz udźwignąć dwa razy więcej niż sama ważysz, pod warunkiem że dźwigasz w doniczce wilgotne błoto. Nie rozumiem tylko, po co chcesz iść do biura jutro rano. No i co z tego, że Fauve tam nie będzie? Musimy przerwać swój weekend - mruknął z niechęcią, przypomniawszy sobie nagle o słabym punkcie następnego dnia, o którym zupełnie zapomniał.

- Kochanie, nie musisz wracać aż do jutrzejszego wieczoru. Zaczekam na ciebie. Ale nie lubię zostawiać agencji bez opieki.

- Przecież Casey może się wszystkim zająć przez jeden dzień, prawda? Zawsze mi mówisz, że można na niej polegać i że jest bardzo rozsądna.

- To nie to samo. Fauve ma robienie interesów we krwi. Kiedy jej nie ma, ja muszę być na miejscu - odparła Maggy.

- Lunel zawsze u steru? „Och, kapitanie, mój kapitanie”? O to właśnie chodzi?

- Lunel coś znaczy i nie mogę pozwolić na to, żeby wszystko odbywało się bez udziału głównego zarządu, który jest zawsze na miejscu

- Maggy była stanowcza.

- Ty wiesz najlepiej. Tak naprawdę nigdy nie wierzyłem, że uda ci

się spędzać tu długie weekendy, tak jak planowałaś... Nie powinienem narzekać.

- Nie, na pewno nie powinieneś - powiedziała Maggy i wracając do swojego rysunku, zamyśliła się nad tym, jak szybko znenawidziła te czterodniowe weekendy, jeden po drugim, przez cały rok.

Kiedy Darcy kupił ten dom, zaplanował ich życie tak, by stworzyć idealne połączenie pracy i odpoczynku. Jednak po kilku miesiącach zrozumiała, że nie jest stworzona do czterech dni swobodnego życia na wsi co tydzień. Maggy brała lekcje golfa i tenisa, i nienawidziła ich serdecznie. Przygotowywała pracochłonne lunchy i kolacje, i z nadzieją szukała pod łóżkiem śladów nieobecnego kurzu, kiedy nagle wyzwaniem okazało się ogrodnictwo, w którym mogła spożytkować swoją energię.

Gdyby nie uprawa ogrodu... zrozumiała teraz, dlaczego księżę Windsor, kiedy nie odgrywał już roli monarchy, potrafił spędzać całe lata na tworzeniu cudownego ogrodu. Ale dla niej była to zaledwie namiastka prawdziwej pracy. To jej nie wystarczało, nawet w sezonie, a od końca października do końca marca mogła zajmować się tylko planami na przyszłą wiosnę. Maggy powiedziałaaby Darcy'emu, że jego pomysł okazał się niedobry, że lenistwo ją unieszczęśliwia, że nie jest jeszcze gotowa, by przejść na coś w rodzaju emerytury, gdyby nie Fauve, którą trzeba było przygotować do samodzielnego zarządzania w chwili, kiedy całkowicie przejmie interesy.

Od czasów skromnych początków w 1931 roku, Agencja Lunel rozrastała się nieustannie. John Robert Powers musiał zlikwidować interes w 1948 roku, a mimo powstania agencji Eilleen i Jeny'ego Fordów, Lunel pozostawała w 1975 roku nadal największą i najbardziej znaną agencją na

świecie. Ale pozycja agencji modelek zależała od ludzi dbających o ich sukces, więc Maggy zmuszała się do tego, by siedzieć na wsi w piątki i w poniedziałki, tak jak zmuszała się do tego, by akceptować decyzje podejmowane w te dni przez Fauve. Musiała pozwolić Fauve na swobodę w prowadzeniu interesów na własną rękę, na popełnianie błędów, na trudną naukę.

Ten pomysł okazał się skuteczny. Nader skuteczny - przyznawała z żalem Maggy. Nie można abdykować częściowo, myślała, dochodząc do wniosku, że zrozumiała to zbyt późno. Fauve zasłużyła sobie, by korzystać z władzy i gdyby Maggy próbowała uszczknąć trochę tej władzy dla siebie, gdyby próbowała ją odzyskać, podważyłaby autorytet zdolnej, samodzielnej kobiety interesu, którą stała się Fauve.

Przynajmniej jutro, kiedy Fauve wyjedzie do Europy, będzie miała powód, by znaleźć się w poniedziałek w swoim biurze. Cudowny poniedziałek, kiedy mogą zdarzyć się różne nieprzewidziane sprawy, związane z tym, co przydarzyło się podczas weekendu dwustu pełnym wigoru dziewczynom, nie mówiąc już o osiemdziesięciu zdrowych chłopakach - pomyślała wesoło Maggy. Kłopot. Miała ochotę na jakiś kłopot. Może, powtarzała sobie z nadzieją, pojawią się jakieś naprawdę okropne problemy, jakie zdarzają się w tego rodzaju interesach w przekonaniu innych, ale bardzo rzadko w rzeczywistości. Albo, jeśli w ten właśnie poniedziałek nie wydarzy się nic, coś musi się stać przez następne dwa tygodnie, kiedy nie będzie Fauve. Zaprosi Loulou na lunch. Już od tygodni nie pogadały sobie od serca. Jednak, jak zwykle, pierwszą sprawą do załatwienia było przeszmuglowanie z powrotem korespondencji, tak by nikt nie zauważył, pomyślała Maggy, pamiętając o walizce, którą ukryła

na piętrze w swoim małym salonie, walizce wypchanej po brzegi przypadkowo wybranymi setkami listów, które co tydzień przychodziły do agencji od pełnych nadziei kandydatek na modelki.

W Lunel, tak jak w innych agencjach, listy otwierała i przeglądała początkująca sekretarka albo nawet recepcjonistka. Obie były doskonale przygotowane do tego, by wybrać zdjęcia, które należy pokazać komuś bardziej doświadczonemu. Maggy udawało się przejąć część tej ostatniej korespondencji, dzięki której w całej historii agencji znaleziono tylko parę nowych modelek, i przywozić ją ze sobą na wieś w każdy czwartkowy wieczór. Podczas weekendów, w wolnym czasie, kiedy Darcy był zajęty, wymykała się do swojego skarbca, otwierając i przeglądając każdy list. Zawsze była szansa... zawsze istniała możliwość... olśnienia... myślała, rozcinając każdą kopertę po kolei tak ochoczo, jakby to była niezwykle kusząca paczka z niespodzianką. Jeszcze nie odkryła swojej ostatniej modelki. Nie wiadomo, co się jeszcze może wydarzyć.

* * *

Fauve zagoniła swoich pięć wysokich podopiecznych, różniących się od zabieganych rzymian niczym wędrowne stado dzikich gazeli, do pustego stolika, który cudem wypatrzyła na znajdującym się tuż przy chodniku tarasie Pasticeria Rosati.

- Siadajcie! - zarządziła pośpiesznie, pamiętając ze swoich dawnych doświadczeń, że zdobycie stolika w Rosati było takim sukcesem, jak wygrana w komórki do wynajęcia. Oprócz Fauve, która była już w Rzymie, wszystkie dziewczyny z grupy były tu pierwszy raz. Przed rozpoczęciem pracy miały wolny dzień na odpoczynek po podróży samolotem, więc Fauve wybrała Rosati na drinka przed lunchem, bo

kawiarnia znajdowała się na Piazza dei Popolo, do obrzydzenia barokowym zbiorowisku kościołów o podwójnych kopułach, z fontanną Berniniego, obeliskiem Ramzesa i okazałą bramą Via Flamina.

Plac zaprojektowano trzysta lat temu, by zrobić wrażenie na podróżniku przybywającym po raz pierwszy do Wiecznego Miasta. Pomysł udał się nad wyraz dobrze, tak że wydawało się niemal świętokradztwem siedzieć i zamawiać campari w tym majestatycznym otoczeniu:

A jednak, był to Rzym, istota Rzymu, niezwykła teatralność codziennego życia, z praniem suszącym się wśród pałaców, które projektował Michał Anioł, ze zwyczajną restauracją mieszczącą się w domu, w którym przyszła na świat Lukrecja Borgia, z dziećmi bawiącymi się w berka w ogrodach Villa Medici.

Rzymian nie dziwi nic, nic nie robi na nich wrażenia. To wyniosła, pełna rezerwy i dystansu rasa, wyraźnie niechętna turystom. Od czasów Cezara muszą dzielić się swoim miastem z pielgrzymami. Dla rzymian wszyscy inni mieszkańcy ziemi to zwykli prowincjusze, więc rzymianie starają się nie słyszeć i nie widzieć otaczającego ich nigdy nie zmieniającego się tłumu turystów. Jest tylko jeden wyjątek, jeden typ cudzoziemca, za którym ogląda się rzymianin.

- Jezuniu - powiedziała Arkansas - jacy sympatyczni są ci wszyscy ludzie!

Bez śladu zdziwienia Fauve spojrzała na zachwycone twarze wokoło, zwrócone ku nim z nie skrywanym zainteresowaniem. Odkąd istnieją modelki, nigdy jeszcze w historii nie cieszyły się takim uznaniem amerykańskie dziewczyny, wysokie, chude, energiczne dziewczyny o

długich włosach rozwianych na wietrze, bardzo zmysłowe, a przy tym niewinne, zachwycające niezwykłym pięknem i świeżością młodości. Takie nadzwyczajne istoty, skore do śmiechu i szaleńczo olśniewające, które przypościły teraz szturm na Europę, nie mogły narodzić się na starym kontynencie.

Pozując fotografom amerykańskie modelki prezentowały nowe kolekcje projektantów mody, którzy jeszcze kilka lat temu nie zdecydowałiby się pokazać swoich strojów na nikim innym, jak na rodzimych modelkach. Projektowali dla nich, dla europejskich dziewczyn, które wiedziały, jak poruszać się na wybiegu dziesięć razy lepiej niż Amerykanki, przyzwyczajone do pracy przed obiektywem. Ale teraz biznes *haute couture* przypominał małego, otaczanego luksusem pudełka, który ciągnął za sobą wielki pociąg towarowy pełen masowo wytwarzanych produktów, sprzedawanych pod szyldem każdego z projektantów. Suknie nadal szły się ręcznie w Paryżu, w Londynie i w Rzymie, ale kupujących je nielicznych bogatych klientów nazywano „dinozaurami” niezależnie od ich wieku, bo byli przedstawicielami gatunku, który niemal całkowicie zniknął z powierzchni ziemi.

A jednak pokazy mody nigdy jeszcze nie były tak teatralne, ani tak widowiskowe. Wielkim kosztem wynajmowano modelki z każdej większej agencji w Nowym Jorku, by przylatywały do Europy na pokazy kolekcji, ponieważ organizowana w ten sposób ogromna reklama przynosiła widoczne rezultaty w sprzedaży licencjonowanych towarów w sklepach od Indiany po Oslo, od Tokio po Hamburg.

Niesamowita gorączka, rosnący szal na amerykańskie modelki szerzył się w europejskich magazynach mody, a Maggy, Wilhelmina i

Eileen Ford miały w zwyczaju wysyłać swoje najlepiej zapowiadające się modelki na trzy miesiące do Paryża lub Rzymu. Kiedy nieznana dziewczyna już się tam znalazła, natychmiast wyrwali ją sobie najlepsi fotograficy, spragnieni cudownie świeżych amerykańskich twarzy. Uczyła się, jak nosić ubrania, które były znacznie droższe i bardziej intrygujące niż wszystkie te, które produkowano w Stanach Zjednoczonych; najznakomitsi mistrzowie grzebienia i artyści makijażu eksperymentowali z jej wyglądem, dopóki nie poznała najdalszych granic swoich możliwości. Mogła wówczas złożyć własną książkę z dziesiątków zdjęć z włoskiego „Bazaar” i francuskiego „Vogue” oraz innych pism wydawanych za granicą. Kiedy ta dość jeszcze nieokrzesana szkolna królowa piękności wracała do domu - oszałamiająca, egzotyczna, olśniewająca, pewna siebie - zdobywszy szlify w Paryżu lub w Rzymie, była mocniej osadzona w swoim zawodzie, niż gdyby spędziła trzy lata systematycznie kształcąc się w Nowym Jorku.

Jeśli wracała do domu.

Maggy i Fauve były doskonale świadome ryzyka, jakie pociąga za sobą wysyłanie modelek do Europy. Mimo iż mieszkały przeważnie w pensjonatach i wszystkie miały kontrakty z lokalnymi agencjami pozostającymi w bliskim kontakcie z Lunel, lista nieszczęśliwych wypadków, które mogły przydarzyć się młodym dziewczynom z dala od domu była nieskończenie długa. Co kilka miesięcy ktoś z Agencji Lunel jechał do Europy, by upewnić się, czy wszystko u nich w porządku. Także podczas tej podróży zadaniem Fauve było dopilnowanie wszystkich modelek Lunel pracujących w Europie i zadbanie o to, by Arkansas i cztery inne modelki wynajęte na pokazy przez Valentino w Rzymie,

Armaniego i Versace w Mediolanie oraz Saint Laurenta i Diora w Paryżu, działały zgodnie z opracowanym planem.

- Co mówiłam wam o rzymianach? - zwróciła się do Arkansas, posyłającej nieśmiały uśmiech ku sąsiedniemu stolikowi.

- Nie ufać im ani na jotę - odpowiedziała Arkansas, uśmiechając się jeszcze bardziej.

- Jak sądzisz, kim są ci mężczyźni, do których szczerzysz zęby?

- Bóg wie, przecież mogą być cudzoziemcami tak jak my. Nie mają plakietek z nazwiskami, Fauve. Wiesz, dlaczego jesteś taka podejrzliwa? Dlatego, że jesteś z miasta. Dlatego jesteś taka nietowarzyska. Wydają mi się zupełnie fajni.

- Ty też wydajesz im się fajna. Och, dobry Boże, czy tak ma być przez całe dwa tygodnie? Nie, nic nie mów. Będzie jeszcze gorzej. To dopiero początek.

- Ależ, Fauve - sprzeciwiła się Angel, jedna z najświeższych zdobyczy z Południowej Karoliny, stanu, z którego nie wiadomo dlaczego wywodziło się najwięcej znakomitości wśród modelek - mama mi mówiła, że jeśli w Rzymie nikt nie szczipnie dziewczyny w tyłek to tak, jakby ją obrażał. Powiedziała, że w tym kraju jest taki zwyczaj i zrobię z siebie małomiasteczkową gęś, jeśli będę protestować.

- Najnowsza metoda włoskich kieszonkowców polega na tym, że jeden z nich cię szczipie, a drugi łapie za twój portfel - to tyle, jeśli chodzi o rzymskie zaloty. Powiedz mamusi, że czasy się zmieniły - powiedziała złowieszczo Fauve.

- Czy mamy spędzić całe dwa tygodnie na pracy? A co z obiadem? Musimy coś zjeść - zaproponowała Ivy Columbo swoim bostońskim

akcentem. Inteligentną Ivy przyjęto do Radcliffe i Lunel jednocześnie. Wyższe wykształcenie nie wytrzymało konkurencji.

- Posłuchajcie - powiedziała Fauve - w Mediolanie mężczyźni są inni, bardziej zajęci interesami, nieco mniej niebezpieczni. Kiedy będziemy już w Mediolanie, możecie pójść na obiad, jeżeli wystarczy wam siła, żeby wyjść z hotelu po całym dniu pracy, w co wątpię. Ale w Rzymie musicie się mnie pilnować. Obiecałam, że zabiorę was do najlepszej restauracji, prawda?

Fauve spojrzała na otaczające ją zbuntowane twarze. Do stolika zbliżył się kelner z butelką wina.

- Dżentelmeni przy sąsiednim stoliku chcieliby zaproponować paniom kieliszek wina. Fauve odprawiła go skinieniem dłoni. - Proszę podziękować panom i powiedzieć, że panie muszą same płacić za swoje drinki zgodnie z nakazem swojej religii.

- Też coś - powiedziała Arkansas.

- Wstręciucha! - mruknęła Angel. - Nudziara. Psuje nam zabawę.

- Nie zaszkodziłoby ci, gdybyś była nieco bardziej wielkoduszna - wtrąciła Ivy, potrząsając czarnymi lokami w sposób obliczony na zwrócenie uwagi wszystkich siedzących na tarasie. Nawet Bambi Jeden i Bambi Dwa, które do tej pory nie powiedziały ani słowa, ze smutkiem spojrzały na Fauve swoimi przepięknymi oczami.

- Słuchajcie dziewczyny - powiedziała surowo Fauve - to jest pierwszy poranek pierwszego dnia podróży i już mam z wami kłopoty. To nie jest w porządku i nie pozwolę na to. Jeżeli zgodzę się, by ktokolwiek postawił nam drinka, zostanie to poczytane za zaproszenie do naszego stolika, a potem nie będziemy mogły się ich pozbyć, niezależnie od tego

kim są. Nie istnieje coś takiego jak tylko uprzejmy gest ze strony mieszkańca Rzymu... nie tylko nie wolno wam przyjmować drinka, ale nie wolno wam odwzajemniać uśmiechów, nie wolno dać po sobie poznać, że zauważyłyście, że was zauważyli. Na uwodzeniu kobiet schodzi im całe życie - każdy rzymianin to najbardziej niegodziwy i podstępny Casanovą na świecie - nie chciałybyście mieć z takim do czynienia pod żadnym pozorem. Rozumiecie? Czy wyłożyłam sprawę jasno? Ani słowa, ani spojrzenia, ani uśmiechu... - powiedziała, przyglądając się im z powagą, bo był to pierwszy raz, kiedy Maggy uznała, że można jej powierzyć trudne zadanie pilnowania modelek. Sama odpowiadała za tę grupę i nie chciała, by wątpiły w jej autorytet. Fauve była tak przejęta tym, co mówi, że nie zauważyła mężczyzny, który zbliżał się do stolika z drugiej strony tarasu, mężczyzny, który zatrzymał się, spojrzał na nią, popatrzył jeszcze raz i zaczął zbliżać się ku niej możliwie najszybszym krokiem.

... ani najmniejszego nawet gestu - zakończyła, mierząc swoje podopieczne wzrokiem. Kiedy wygłaszała ostatnie słowa, mężczyzna zbliżył się do niej niepostrzeżenie. Przez chwilę stał za jej plecami, patrząc na nią z niedowierzaniem, a potem, kiedy wszystkie modelki zwróciły ku niemu zdziwione spojrzenie, pochylił się i ucałował ją w czubek głowy. Rozwścieczona Fauve otworzyła usta. Strzepnęła ręką włosy i ze złością ruszyła do walki.

- Jak... śmiesz! Ty... - zapiszczała, kiedy Eric Avigdor wziął ją w ramiona. Dziewczyny wybuchnęły aplauzem, ale Fauve już tego nie słyszała.

- Sprawdzam czas - powiedziała cicho Ivy - już od dobrych pięciu minut nie popatrzyła na nas podejrzliwie. - Siedziała z czterema pozostałymi modelkami, Arkansas, Angel, Bambi Jeden i Bambi Dwa przy stoliku w Dal Bolognese, znakomitej restauracji w pobliżu Rosati. Jadły lunch przy jednym stoliku, podczas gdy Eric i Fauve siedzieli razem przy innym, z którego Fauve mogła widzieć wszystko, co robiły, choć była za daleko, by usłyszeć, o czym rozmawiały.

- Mam po dziury w nosie udawania, że patrzę na ciebie, Arkansas - jęknęła Angel. - To dobrze, że bez okularów nie widzę dalej niż do połowy tego stolika. Czy ktoś, kto ma dobry wzrok mógłby mi powiedzieć, czy ten znajomy Fauve jest rzeczywiście tak szokująco przystojny, jak myślę?

- Mój stary nauczyciel powiedziałby, że to nader wątpliwy komplement - mruknęła Arkansas. - Dlaczego się mnie czepiasz? Gap się na Bambi Jeden albo na Bambi Dwa. To mnie okropnie denerwuje.

- Najlepiej cię widzę. Jesteś najwyższym kształtem, który odróżniam - wyjaśniła Angel. - Myślę, że Fauve to straszna jędza! Wszystko jest w porządku, kiedy to ona je lunch z mężczyzną, bo to jej stary przyjaciel, a przynajmniej tak mówi, a na dowód, że nie jest jednym z rzymskich podrywaczy, ma francuski akcent. Więc co? Myślę, że Fauve to wstrętna oszustka.

- Gdybyś nie była prawie ślepa, zorientowałabyś się, że to stary przyjaciel - sprzeciwiła się Bambi Dwa. - Szkoda, że nie widziałas, jak na nią patrzył. To ktoś więcej niż tylko znajomy. Tak mi się przynajmniej wydaje. - Westchnęła tęsknie.

- Litości! - powiedziała ze złością Angel.

- Nie kłóćcie się, kochaneczki - ostrzegła Ivy swoje cztery koleżanki.

- Dobrze nam idzie. Zapomniała o nas. Nie garbcie się, nie rozglądajcie się i nie wygłupiajcie. Kto ma przewodnik?

- Ja - powiedziała Bambi Jeden, pochylając długą szyję z zabójczym wdziękiem, który roztaczała odkąd skończyła dwanaście lat.

- Dobra, otwórz go i poczytaj nam na głos - powiedziała Ivy.

- Przecież jem - zaprotestowała Bambi Jeden. - I nie mów na mnie więcej Bambi Jeden. Postanowiłam zmienić imię. Moja biedna mama chciała być oryginalna, ale w całym interesie jest pięć Bambi, cztery Dawn, siedem Kelly, tuzin Kim, siedemnaście Liz, dziewięć Heidi - od tej pory mówcie na mnie... Harold.

- Harold, ukochany, otwórz przewodnik. Zjesz później. Będziemy czytały po kolei - obiecała Ivy. - Nawet Angel założy okulary, kiedy przyjdzie jej kolej. Prawda, Angel?

Przy swoim stoliku modelki zajęły się makaronem z pełną słodczy powagą, słuchając uważnie, jak Harold czyta na głos fragmenty Europy Fieldinga.

- Dal Bolognese - zaintonowała płaczliwie - jest ulubionym miejscem spotkań prześlicznych początkujących gwiazd filmowych, artystek i innych adeptek sztuk pięknych - niezły numer!

Któż by pomyślał? Kto jest początkujący, jeśli nie ja? A nie spotkałam nikogo, oprócz kelnera i kierowcy autobusu - ani nawet innej artystki, choć niewiele mnie obchodzą.

- Zamknij się i czytaj dalej, Harold - zarządziła Ivy. - Fauve spojrzała właśnie w naszą stronę.

Harold pochyliła niżej swoją śliczną popielatoblond głowę nad grubą

czerwoną książką i czytała szybko, podczas gdy dziewczyny jadły w ogromnym skupieniu, patrząc przed siebie i nie zauważając, że znajdują się w centrum uwagi całej restauracji. Czy w całej historii Rzymu zdarzył się taki widok? Pięć bogiń, niewątpliwie Amerykanek, z oczami utkwionymi w siebie i jakąś książkę? Czy to nowa sekta religijna? Czy może lesbijki? A ta niewyobrażalnie wysoka, z jasnymi włosami ostrzyżonymi tak krótko, jak nikt jeszcze nie widział... czy taka będzie nowa moda, zastanawiały się zaniepokojone rzymianki. Jeśli tak, to nadchodzą ciężkie czasy, bo tylko największa piękność może wyglądać dobrze w tak krótkich włosach. Jankesi do domu!

* * *

- Szpiegują nas, czuję to - powiedziała skrepowana Fauve.

- Wcale nie. Zajęły się przewodnikiem, jak przykładne turystki. Wyglądają na czarujące, poważne dziewczyny - odparł Eric.

Po pierwszych minutach szalonej ekscytacji, kiedy on i Fauve byli zbyt zaskoczeni i oszołomieni, żeby powiedzieć cokolwiek, poczuł, że nagle paraliżuje go nieoczekiwana nieśmiałość. Fauve stała się kobietą, zdyscyplinowaną, doświadczoną, ogładzoną kobietą, decydującą o własnym życiu. Co stało się z jego Fauve? Wyglądała... jak kobieta interesu w czarnym kaszmirowym blezerze o męskim kroju, w szarej flanelowej spódnicy, w kosztownych butach na płaskim obcasie i nieskazitelnie białej jedwabnej bluzce. Tylko kraciasty szalik przypominał mu jej dawny rozkoszny styl ubierania się, ale nawet krata była stonowana, szaro - ruda. Ten poważny strój podkreślał jeszcze jej urodę. Jej głowa przypominała zachwycający wielki kwiat na doskonałej łodydze. Wydawała się znacznie starsza od otaczającej ją grupki pięknych

dziewczyn. Nic dziwnego, że nigdy nie odpisała na jego ostatni list... to nie była ta sama osoba, do której pisał.

- Co robisz w Rzymie? - zapytała Fauve z zimną krwią.

- Pracuję w firmie architektonicznej w Awinionie i przyjechałem tu na konferencję poświęconą budowie domów. Zaczyna się dopiero za kilka dni, ale przyjechałem wcześniej. Architekt powinien bywać w Rzymie przynajmniej raz do roku, niezależnie od swoich poglądów estetycznych... prawda?

- Och, tak, oczywiście. Tyle tu... ruin.

- Nie tylko. Tyle tu budynków z różnych epok i jeszcze w dobrym stanie - odparł Eric bez uśmiechu.

Zapomniał o ruinach, pomyślała ze smutkiem Fauve. Nic dziwnego, że nigdy nie odpisał na jej ostatni list. Ale czego mogła się spodziewać? Pisała do dwudziestoletniego, pełnego entuzjazmu, impulsywnego młodego człowieka, zakochanego w ruinach akweduktów i Fauve Lunel, a teraz był dorosły, był dojrzałym mężczyzną. Z jego włosów nadal sterczał niesforny kosmyk, który starała się przyglądać tyle razy, jego dolna warga była nadal pełna i nadal nie mogła oderwać oczu od wgłębienia w jej środku, ale mówił w sposób tak opanowany, z taką swobodą, że wydawał jej się obcy. Był przystojny w sposób dojrzały, już ukształtowany i prawie onieśmielający.

- Cóż za zbieg okoliczności, że jesteśmy tu dzisiaj oboje - powiedziała.

- Takie rzeczy zdarzają się w Rzymie - odpowiedział niedbale Eric.

- Do którego prowadzą wszystkie drogi? - zapytała Fauve myśląc, że siłą się, naprawdę siłą się na rozmowę. Co miał na myśli, mówiąc o

„takich rzeczach”? Czy to nie coś więcej niż „taka rzecz”?

- Fauve... - zaczął Eric, kiedy przerwał mu jakiś głos. Przy ich stoliku pojawiła się Ivy.

- Przepraszam cię, Fauve. Przykro mi że muszę przeszkodzić tobie i twojemu przyjacielowi, ale pomyślałyśmy sobie, że skoro mamy tylko jedno wolne popołudnie na oglądanie miasta, najlepiej byłoby, gdybyśmy wsiadły w autobus wycieczkowy z angielskim przewodnikiem i w ten sposób zobaczyły co nieco. - Ivy trzymała pod pachą książkę Fieldinga.

- To Ivy Columbo - powiedziała Fauve, przypatrując się jej.

- Eric Avigdor.

- Ma pani rację, panno Columbo - szybko przy klasnął jej Eric.

- Są także nocne wycieczki po Rzymie - chyba że będą panie zbyt zmęczone wycieczką za dnia.

- Och, nie, jesteśmy zbyt przejęte, żeby spać. Kiedy będziesz gotowa, Fauve, możemy wyruszać. Nie jesteśmy specjalnie głodne.

- Tak... - zawahała się Fauve. Nie mogła tak po prostu wstać i zostawić Erica, nawet jeśli to nie był jej Eric. Niech licha weźmie te dziewczyny! Dlaczego nie mogą zwyczajnie w spokoju zjeść lunchu? Dlaczego tak się spieszą?

- Jak sobie życzysz - Ivy stała przy stoliku, wyraźnie czekając na jej decyzję. - Mogłybyśmy pójść wszystkie na Via Condotti, jeżeli nie podoba ci się pomysł z autobusem, i obejrzeć sklep Gucciego. Może mają tam teraz wyprzedaż? Powiedz mi tylko, co postanowiłaś, a ja przekażę to innym, żebyśmy mogły znaleźć coś na ten temat w przewodniku i przeczytać sobie, zanim tu skończysz.

- Ale, z pewnością, panno Columbo, chciałybyście zobaczyć

Watykan? - On i Ivy wymienili szybkie porozumiewawcze spojrzenia.

- Świetnie! Wspaniały pomysł! Na pewno chciałybyś zobaczyć Watykan, prawda, Fauve?

- Tak...

- Oj, Jezu, Fauve, zdecyduj się wreszcie. Tracimy cenny czas. Koniecznie musimy wysłać kartki z Watykanu.

- Och, do diabła, Ivy, więc idźcie! Spotkamy się w hotelu. Widziałam już Watykan.

Ivy odeszła do swojego stolika, przepelniona zadowoleniem z siebie. Zawsze wiedziała, że nie wystarczy być piękną. Kiedy postanowiła, że - zamiast stepować - przeczyta napisany przez siebie wiersz o dziedzictwie Thomasa Jeffersona i wygrała konkurs na Miss America nastolatek, nie znaczyło to, że nie potrafi stepować jak mało kto. Przemądrzała Fauve Lunel nie zabroni Ivy Columbo robić tego, co robi się w Rzymie z wysokimi, śniadymi, niebezpiecznymi rzymianami o kręconych włosach, rzymianami w koszulach rozpiętych aż po pępek.

- Chodźcie, kochaneczki - mruknęła, kiedy wróciła do czterech pozostałych dziewczyn - zanim zmieni zdanie. Ten facet jest super. Bez popłochu. Chcę widzieć, że wychodzicie z godnością jak damy. Arkansas, przestań parskać śmiechem. Bambi Dwa, nie śmieję spojrzeć na stolik Fauve, Harold, przestań puszczać oko do tego mężczyzny...

- Jezu - skarżyła się Arkansas - niektórzy ludzie nie mają szans na La Dolce Vita.

* * *

- Przejdziemy się? - zapytał Eric, kiedy weszli z restauracji w nie kończący się korowód na Piazza dei Popolo, na którym marmurowe

kaskady balustrad prowadzących na wzgórze Pincio zdawały się kołysać niczym sosny w wysoko położonym ogrodzie Villa Borghese.

- Dokąd? - zastanawiała się Fauve, zdumiona własną potrzebą wyboru kierunku.

- Bez określonego celu - powiedział Eric, ujmując jej ramię.

- To moje ulubione miejsce. Och, czuję się tak, jakbym była na wagarach. Powinnam czuć się winna, że pozwoliłam im na wycieczkę samopas, ale nie mogłam znieść myśli o Watykanie. Byłam przedtem w Rzymie tylko raz i, rzecz jasna, wydawało mi się, że muszę go zobaczyć. Do Kaplicy Sykstyńskiej dobrnęłam niemal na czworaka. Ale, jak można być w Watykanie i nie zobaczyć Kaplicy? To obowiązek. Wiem, że to bardzo ważne dla Ivy, ale nie mogłabym tego znieść.

- Pamiętasz Pałac Papieski w Awinionie? - zapytał Eric. - Od tamtej pory wiedziałem, że Watykan ci się nie spodoba. To była propozycja całkowicie pozbawiona ryzyka.

- Och.

- Chyba nie sądzisz, że pozwoliłbym ci odejść z tymi dziewczynami?

- Nie... byłam pewna.

- Muszę zapytać cię o tyle rzeczy. Po pierwsze, czy wróciłaś kiedykolwiek do Félice?

- Nie.

- I nadal nie powiesz mi, dlaczego?

- Nie - powiedziała gwałtownie Fauve. - Jak tam twoi rodzice?

- Oboje bardzo dobrze. Kwitnąco. Ojciec osiadł w Villeneuve, więc jest zachwycony, że postanowiłem zamieszkać w Awinionie. A twoja babka? Czy jej małżeństwo jest udane?

- Kupili z Darcym posiadłość na wsi i jest szczęśliwa, zajmując się rzeczami, na które przedtem nigdy nie miała czasu. Magali kocha swoje życie - przyjeżdża teraz do agencji tylko trzy razy w tygodniu - ufa mi na tyle, że może wreszcie choć trochę pomyśleć o sobie... Bóg jeden wie, że na to zasłużyła - powiedziała Fauve w zamyśleniu.

Szli teraz zatłoczoną, wąską Via Margutta ku Hiszpańskim Schodom, nie zwracając uwagi na dziesiątki galerii, kiedy Eric pociągnął nagle Fauve ku podwójnym drzwiom starego, zaniedbanego budynku. Wewnątrz było obszerne podwórko. Z tyłu podwórka rozciągał się widok na zieloną stromiznę wzgórza Pincio, pokrytego grubą, pierzastą warstwą liści, ciągnącą się w dół aż do serca Rzymu.

- To właśnie tu... - powiedział i spojrzał, jak zareaguje na tę niespodziankę. Na jego twarzy dojrzała ten sam niezwykły, godny zaufania wyraz, który uderzył ją po raz pierwszy w Salle des Fetes w Uzès i nagle wszystkie dzielące ich lata rozplynęły się, zbladły, zniknęły, jakby nigdy ich nie było. Stała twarzą do niego i spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego nie odpowiedziałeś na mój ostatni list? - zapytała Fauve, odważywszy się wreszcie zadać pytanie, które martwiło ją bez przerwy.

- Przecież odpowiedziałem. To ty przestałaś pisać.

- To po prostu niemożliwe.

- Wiem, że to ja napisałem do ciebie ostatni - przekonywał Eric.

- Wiem, że to ja.

- Nie możemy oboje mieć racji - powiedział Eric.

- Nie możemy oboje się mylić!

- Może oboje - mamy rację i mylimy się? - podsunął.

- Myślałam - myślałam, że moje listy są takie niemądre, że zajmujesz

się czymś innym niż ja, że to co piszę przestało cię interesować.

- Myślałem, że moje listy są nudne w porównaniu z twoim życiem. Wszystko, o czym mogłem pisać to studia i wojsko. Uwielbiałem twoje listy... przechowywałem wszystkie. Mam je w domu, w biurku.

- Pomyślałam, że się zakochałeś... i że nie chcesz mi o tym napisać - powiedziała Fauve przytłumionym głosem.

- Wyobrażałem sobie, że interesuje się tobą każdy mężczyzna w Nowym Jorku.

- Och, to prawda. I nadal tak jest. Przynajmniej połowa z nich. Nie mogę się od nich opędzić.

- I że się z kimś związałaś... w kimś zakochałaś.

- Nie.

- Nawet troszkę?

- To co nazywam miłością nie przychodzi po troszku. Ale ty... przez prawie sześć lat?

- Och, starałem się. Wypróbowałem wszystkie specyfiki na złamane serce. Ciężką pracę, picie i inne kobiety. Ale nic nie pomogło.

- Jakie złamane serce? - zapytała, a jej oczy przybrały barwę mgły wstającej nad rzeką u schyłku pięknego letniego dnia.

- Moje. Nigdy nie przestałem cię kochać, a ty nigdy do mnie nie wróciłaś. Więc zostało złamane.

- Och, kochany - Fauve przylgnęła do niego, a cały świat wokół niej zawirował ogromnym, szalonym, wspaniałym kołem. - Jak daleko stąd do twojego hotelu?

- Pięć minut, jeśli...

- Ale ruch uliczny - nic nie jeździ.

- ... jeśli pójdziemy. Trzy minuty, jeśli pobiegniemy.

Łóżko było ogromne. Materac miał w środku przytulne wgłębienie i wznosił się wokół nich miękkimi, rozkołysanymi falami. To tak, jakby znaleźć się w gorącej zaspie śnieżnej, pomyślała Fauve, owinięta wokół niego tak, że nie wiedziała, gdzie kończy się jej, a zaczyna jego ciało. Jej myśli przepływały przez warstwy uczuć i emocji. W ciągu ostatnich godzin tyle się wydarzyło, że była pijana, oszołomiona, dojrzała i nabrzmiała od przeżyć. Wszystkie szczegóły złączyły się w jedno; zadziwiająca jedwabistość włosów pod pachami Erica, przeszywające uczucie wstydu, kiedy po raz pierwszy stanął przed nią nagi, ciche minuty bez tchu, kiedy ssał jej sutki, a ona spoglądała na czubek jego ciemnowłosej głowy i wiedziała, że nigdy przedtem nie doznała prawdziwej czułości, a potem chwila, kiedy czułość zmieniła się w to szczególne pragnienie, tak niezwykle, że pokonało czułość; wybuch czystej namiętności, w którym dwie połowy tajemnicy łączącej ich w małym samochodzie na drodze w Félice, związały się wreszcie we wszechogarniającą radość rozkwitłą wieloma płatkami - przeszłość mieszała się z terażniejszością. Tańczyli razem walca przy dźwiękach orkiestry z miasteczka, chroniły ich gałęzie starej gruszy w otoczonym murami ogrodzie, leżeli w przezroczystym, miodowym, czerwono - złotym cieple, które tylko wyzłocone przez czas cegły i stiuki Rzymu potrafią wydobyć ze słońca. Jego powieki poruszały się pod dotykiem jej ust.

- Nie śpię - powiedział - zamknąłem oczy tylko na minutę.

- Nigdy, nigdy, przez całe moje życie nie czułam, że jestem w miejscu, w którym powinnam być, tak jak teraz - pomyślała Fauve i po

chwili zdała sobie sprawę, że powiedziała to na głos.

- W Rzymie? - zamruczał, całując jej szyję.

- W tym łóżku. To łóżko to świat. Nie chcę go opuszczać.

- Nie musisz, kochanie. Zatrzymam cię tu na zawsze. Będę przynosił ci wspaniałe jedzenie i cudowne napoje, i co jakiś czas będę zmieniał prześcieradła, choć te pachną tak wspaniale miłością, że nie chciałbym... Nie pozwolę ci odejść. Powinienem był się z tobą ożenić, kiedy miałaś szesnaście lat.

- Jesteś marzycielem - co ci przyszło do głowy? - westchnęła.

- Nie, to wcale nie musiało być jedynie marzenie. Mógłbym to zrobić, gdybym miał trochę rozumu, gdybym potrafił przewidywać - Eric wyslizgnął się spod jej ramienia, oparł głowę na rękę i spojrzał na nią z powagą. - Nie wiesz, ile razy powtarzałem sobie w myślach tę scenę na dworcu. Zamiast zabierać cię na dworzec, powinienem był zabrać cię prosto do domu rodziców i zająć się tobą, aż minie ten dziwny, straszny stan, w którym się znajdowałaś, a potem mogliśmy się pobrać i nie stracilibyśmy wszystkich tych lat. Ale byłem za młody i nie wiedziałem, co robić i jak dziecinny, bezradny idiota, pozwoliłem ci odejść. Nigdy sobie tego nie wybaczyłem.

- Ależ, Eric! - Fauve usiadła, śmiejąc się i drocząc z nim. Kaskada włosów na wpół przykrywała jej małe, delikatne sutki.

- To tak, jakby dzieci przykrywały się jesienią liśćmi. Byliśmy tylko dziećmi - dzieci nie żenią się i nie żyją ze sobą w małym domku przy wodospadzie - nie myślałeś o tym wszystkim naprawdę?

Spojrzał na nią i nie odpowiedział.

- Przecież nie mogłam wtedy wyjść za mąż! - mówiła dalej Fauve.

- Nie wiedziałam nic, nie miałam żadnego doświadczenia, nie wiedziałam, jak zarabia się na życie, jak prowadzi się interesy - nie byłabym szczęśliwa jako dziecinna panna młoda... żartujesz, tylko żartujesz, powiedz? - drwiła z niego, ale w jej głosie czaiło się pytanie.

Eric powiódł palcem po wysoko osadzonych jabłuszkach jej policzków unoszących się, kiedy się uśmiechała, owych *pommettes*, o słodkim krągłym kształcie, które wspominał tak często. Milczeli teraz oboje. Zapadła między nimi pełna oczekiwania cisza, niczym na koncercie między jedną częścią sonaty fortepianowej a drugą, cisza nabrzmiała świadomością, że ktoś, kto nie zna utworu, mógłby pomyśleć, że to już koniec i zaczął klaskać w niewłaściwym momencie.

- Oczywiście, że żartowałem - odpowiedział wreszcie. - Żołnierze oddają się czasem szalonym marzeniom w środku nocy, a to było całkiem przyjemne. Miałem za dużo zdrowego rozsądku i ty także - już wtedy.

- Och, kochanie, czasami żałuję, że byłam taka rozsądna. Jestem taka zmęczona mocnym stąpieniem po ziemi. Czy kiedykolwiek czytałeś jedną z tych książek, których autorzy nieustannie radzą, że trzeba żyć tak, jakby każdy dzień życia miał być ostatni? Myślę, że to banda sadystów, którzy przyczyniają się do powszechnego niezadowolenia z życia.

- Zastanawiam się, jak wyglądałby świat, gdyby wszyscy żyli tak, jakby miało nie być jutro? - zastanowił się Eric.

- Nie wiem, co zrobiliby inni, ale gdybym to ja miała umrzeć jutro, wiem, co bym zrobiła.

- Co? - zapytał Eric.

- Pokażę ci - powiedziała, opadając w zagłębienie materaca i mocno obejmując jego silne barki szczupłymi ramionami. Pochyliła głowę tak, że

jej wargi znalazły się dokładnie w tym miejscu między obojczykami, gdzie mocno uderzał puls. - Pokażę ci dokładnie... nie pomnę niczego...

* * *

Na zewnątrz powoli zachodziło słońce, ale ani Fauve, ani Eric tego nie zauważyli. Dopiero wtedy, gdy ktoś włączył światło w pokoju po drugiej stronie dziedzińca hotelu Erica, Fauve poderwała się gwałtownie. - Och, mój Boże, która to godzina?

Eric sięgnął do stolika przy łóżku i poszukał zegarka. - Chyba za dziesięć szósta.

- Och, nie. Och, nie. - Wyskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki. Włączyła światło i przejrzała się w lustrze. Była oszołomiona, zaróżowiona i rozczochrana. - Och, nie!

Wystarczy, że na mnie spojrzą, a już będą wiedziały, co robiłam całe popołudnie - wykrzyknęła z przerażeniem w głosie. - Muszę wziąć prysznic, zrobić makijaż, uczesać się, ale zgadną i tak, mimo wszystko. Eric, kiedy zamykają Watykan? Masz o tym jakieś pojęcie? Och, nie wiem, od czego zacząć! Och, co za ruina!

- Zaczekaj chwilkę, kochanie. Nie szalej. Pomyślmy.

- Pomyślmy? Kto ma czas, żeby myśleć? Muszę wracać do Grandu jak najszybciej i modlić się, żeby tam na mnie czekały. A jeśli nie poczekają? - Fauve biegła po łazience, całkiem naga, usiłując włączyć dziwny prysznic, w panice i bezskutecznie grzebiąc w torebce w poszukiwaniu małej szczotki do włosów, spryskując rozpaloną twarz zimną wodą, kręcąc się w kółko, nie mogąc pozbierać myśli, przerażona, że czas wymknął się jej spod kontroli.

- Kochanie, przesadzasz. I marzniesz. Masz gęsią skórkę. - Eric

szybko zarzucił na nią kołdrę, owinał ją, podniósł i zaniósł wierzgającą i protestującą z powrotem do łóżka. - Siedź teraz cicho i pozwól mi zatelefonować. Powiedziałaś - hotel Grand? - Szybko przemówił po włosku do hotelowej telefonistki.

- Ale, co ja mam powiedzieć? Odłóż słuchawkę, na Boga. Muszę najpierw coś wymyślić.

- Próbowала wyrwać mu słuchawkę, ale przytrzymał ją wolnym ramieniem.

- La Signorina Ivy Columbo, per favore - powiedział. - Nie! Tylko nie Ivy. Ivy jest najbardziej bystra. Poproś... Poproś Bambi Dwa.

Eric nie zwracał na nią uwagi. - Halo, panna Columbo? Mówi Eric Avigdor, tak... jak podobał się Watykan? Porywający? Tak właśnie przypuszczałem. Fauve? Odpoczywa na ławce. Prosiła, żebym się z paniami skontaktował. Nie, czuje się dobrze, choć troszkę słabo - to skutek podróży samolotem pomieszanej z klaustrofobią - właśnie wyszliśmy z Katakumb - tak, Katakumb St. Callisto... za Rzymem, na Via Appia Antica. Bardzo daleko... obawiam się, że to moja wina. To był mój pomysł - zapomniałem, że są ciemne i niskie. Kiedy się już do nich wejdzie, trzeba trzymać się przewodnika. Inaczej można zabłądzić i zostać tam na zawsze - strasznie długo to trwa. Ale trzeba zobaczyć Katakumby, jeśli ktoś interesuje się męczennikami z okresu wczesnego chrześcijaństwa... Nie wiedziała pani, że Fauve się tym interesuje? Ona nie, ale to moje hobby - obawiam się, że byłem samolubny. Problem polega na tym, że zepsuł mi się samochód, a teraz jest godzina szczytu i zamykają stację benzynową, z której właśnie dzwonię, więc nie wiem, kiedy wrócimy. Obawiam się, że bardzo późno - nie mam pojęcia, kiedy. Bardzo się o panie martwi... to nie

problem? Zamierzacie zjeść kolację w pokojach i iść wcześniej spać? To doskonały pomysł - najlepszy jaki może być. Jesteście wszystkie zmęczone? Po kolacji możecie panie wywiesić na drzwiach tabliczki z napisem „Nie przeszkadzać”, a ja powiem Fauve, żeby się nie martwiła.

- Zamówić budzenie! - syknęła Fauve.

- Proszę nie zapomnieć powiedzieć telefonistce, o której ma jutro panie obudzić... och, nie, nie można polegać na budzikach podróźnych, nigdy nie dzwonią, kiedy trzeba. Dobrze, przekażę jej. Dobranoc, panno Columbo - słucham? Ivy?... Dobranoc, Ivy. Dziękuję, że zechciałaś mnie wysłuchać. Fauve będzie spokojna. - Odłożył słuchawkę.

- Katakumby! - powiedziała Fauve. - Na pewno ci nie uwierzyła.

- Myślałem, że to brzmi przekonująco.

- Tak. Nie wiedziałam, że potrafisz tak dobrze kłamać. Ale, kto u licha byłby tak głupi, żeby zwiedzać Katakumby w cudowne popołudnie wczesną wiosną w Rzymie?

- Ci sami ludzie, którzy zwiedzaliby Watykan.

- Och.

- To się chyba nazywa meksykański remis - powiedział czule Eric, rozluźniając nieco uścisk ramienia, którym przygwoździł ją do łóżka.

- Co to jest?

- To znaczy, że nikt nie wygrał. Pat.

- Uważasz, że straciłam swój autorytet moralny?

- Powiedzmy, że zawiesiłaś go tylko na jakiś czas. Jutro znowu włożysz ten niesamowicie poważny żakiet i praktyczne buty, i będziesz prowadzić swoją trzódkę...

- Ale, jak sądzisz, co naprawdę będą robić? Uwierzyłeś jej?

- Dlaczego nie? Wydawało mi się, że jest zmęczona.

- Ivy? To niemożliwe... na pewno stepuje wokół pokoju - odparła ponuro Fauve.

- Jestem pewny, że kolację zjedzą na miejscu - powiedział Eric, całując ją w szyję i kończąc w ten sposób dyskusję. Przecież sam słyszał wyraźnie dźwięk korka od szampana, wyskakującego z butelki w pokoju Ivy.

Następnego ranka Fauve siedziała w hallu Grandu, czytając „Daily American” z anielskim i nieco sztucznym wyrazem twarzy kogoś, kto cierpliwie czeka. Modelki wysypały się z windy punktualnie i jak zauważyła z ulgą, wyglądały na wypoczęte. Zaprowadziła je do Valentino, gdzie miały spędzić czas do wieczora, przymierzając stroje na czwartkowy pokaz.

Dzień, pomyślała, zapowiadał się cudownie, choć w marcu może być w Rzymie mokro i zimno. Uliczne kawiarenki zapełniały się już gośćmi, w łagodnym powietrzu unosiła się woń kawy z ekspresu, zza murów wyciągały gałęzie kwitnące drzewa, niemal na każdym rogu ulicy stały stragany pełne kwiatów.

Fauve kupiła mnóstwo drobnych, kłujących, ciemnoczerwonych goździków, tyle, ile zdołała udźwignąć. Miała ich całe narecze, a część włożyła jeszcze do torby na ramieniu. Jej serce przepełniała nieogarniona, oszałamiająca czułość. Wydawało jej się, że jest różowym balonikiem napelnionym helem, unoszącym się po turkusowym niebie, ze sznurkiem tańczącym radośnie na wietrze. Po co jej tyle kwiatów, pomyślała przez chwilę, wracając na ziemię i przypominając sobie, że idzie odwiedzić trzy modelki Lunel, które od sześciu tygodni pracowały w Rzymie.

Stwierdziwszy, że są w doskonałym nastroju, dała każdej z nich pęk goździków, ucałowała je pospiesznie i mogła wreszcie pobiec na spotkanie z Ericem.

Mogła spędzić z Ericem cały dzień, do czasu kiedy trzeba będzie przyprowadzić dziewczęta od Valentino. Mogła spędzić z Ericem czas istniejący poza czasem, pozbawiony związku z rzeczywistym życiem, czas, który trzeba było pochwycić i przeżyć, minuta po minucie, niezmacony myślą o tym, co będzie jutro. To dopiero środa rano. Do Florencji leci dopiero w czwartek wieczorem. To cała wieczność, jeśli będzie o tym myśleć jako o szeregu cudownych chwil, z których każda jest pełnią sama w sobie.

Kiedy jedli lunch w małej restauracyjce w pobliżu Forum, Eric nie mógł oderwać oczu od Fauve. Wyglądała na piętnaście lat. Nie była umalowana, jeśli nie liczyć tuszu na rzęsach, a jej wyszczotkowane włosy lśniły niczym cynobrowa chmura. Miała na sobie miękki sweter z golfem w kolorze lodów pistacjowych i sztruksowe spodnie barwy złamanej bieli, z nogawkami wetkniętymi w cholewki krótkich botków w kolorze miodu. Z jasnoniebieskim poncho, które trzymała w ręku i torbą na ramieniu wyglądała jak w pierwszym dniu szkoły, pomyślał, z sercem tak przepelnionym miłością, że niemal odchodził od zmysłów. Po lunchu poszli na Forum i zapłacili za wstęp w małej budce, która wyglądała tak nadzwyczajnie zwyczajnie, jakby do podróży w przeszłość potrzebny był tylko bilet.

- Ostatnim razem też tu byłam - powiedziała Fauve - następnego dnia, po Watykanie, i obiecałam sobie, że zawsze będę tu wracać, ilekroć będę w Rzymie. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Obawiam się, że

nie ma tu nic ciekawego dla architekta.

- Strzaskane kolumny, kilka łuków, kilka posągów bez głów? - powiedział Eric, rozglądając się. - Gąszcz ruin, jedne na drugich, rumowisko nawarstwiających się wieków, a wszystko to porośło bluszczem, dzikim winem i ostrokrzewem. Mnóstwo rzeczy dla archeologa. - Roześmiał się. - Co cię tu ciągnie?

- To jedyne miejsce w Rzymie, w którym naprawdę czuję, jak stare jest to miasto. Inne zabytki są tak dobrze zachowane i odrestaurowane, że tracę poczucie przeszłości - ale tu...

tu zachowało się tak niewiele, że mogę marzyć, że mogę poddać się nastrojowi miejsca i puścić wodze fantazji.

Fauve i Eric ruszyli w górę pod cyprysami, kierując się ku wzgórzu Palatynu, gdzie stały niegdyś pałace władców całego ówczesnego świata. Nigdzie nie było widać innych turystów, a już na pewno nie rzymian.

- To chyba najspokojniejsze miejsce w całym Rzymie - powiedziała cicho Fauve. Rozkoszowała się poetycznym milczeniem Forum. Było nieziemskim uczuciem poddać się tajemniczej opuszczonej przestrzeni, gdzie gromadziły się niegdyś tłumy z całego Cesarstwa Rzymskiego, by zobaczyć znakomitych obywateli kroczących wśród splendoru. Fauve czuła dreszcz pychy, tak jakby przekraczała tysiąclecia w siedmiomilowych butach. Zerwała gałązkę ciemnozielonych liści akantu i przyjrzała się ich klasycznemu kształtowi. Spoglądając na Erica pomyślała, że chciałaby wiedzieć, jak upleść z nich wieniec. Wyobraziła sobie, że młody rzymski konsul, który przybył, by zdać sprawę z wydarzeń na krańcach imperium, mógłby mieć na twarzy ten sam wyraz pogody i siły, widoczny w mocnych rysach opalonej twarzy Erica. Jego głowa

prosiła się o wieniec.

Weszli na szczyt wzgórza i wspięli się stromymi schodami do małego zielonego ogrodu zarosłego bukszpanem - jedynej pozostałości niegdyś wspaniałych wiszących ogrodów Farnese.

- Jak tu pięknie! - wykrzyknęła Fauve. - Jak cudownie pachnie! Co to za zapach?

- To bukszpan - a może zapach wieków? - zapytał Eric, patrząc w dół na rozciągające się u ich stóp zaśmiecone Forum.

- W tym miejscu czuję, że żyję, bardziej niż gdziekolwiek indziej w Rzymie - powiedziała Fauve zachwyconym głosem. - Nawet duchy są tu przyjazne.

- Tak... ja też to czuję... skąd wiedziałaś.

- Ostatnim razem było tak samo... byłam pewna, że ty też to poczujesz. - Usiedli na kamiennej ławce i zamilkli, przejęci i ukojeni namacalnymi wibracjami przeszłości, która zniknęła, ale nie umrze nigdy.

Eric pierwszy przerwał milczenie. - Opowiedz mi o swoim malarstwie... nie powiedziałaś dotąd ani słowa na ten temat.

- Przestałam malować. Nie malowałam od tego lata, kiedy cię poznałam.

- Rzuciłaś to? - powiedział zdziwiony. - Jak to się mogło stać... Jak to możliwe, skoro tyle to dla ciebie znaczyło?

- Eric, kochany - odparła Fauve głosem, w którym uderzyła go głęboka nuta zmieszania i żalu - nie pytaj mnie o to... Naprawdę nie potrafię tego wytłumaczyć, nawet sobie. Opowiedz mi o sobie. Czego dotyczy ta konferencja?

- To wspaniałe, Fauve. Naprawdę bardzo ważne. - Podniósł się z

ławki i zaczął chodzić tam i z powrotem zwirową ścieżką, żywo gestykułując swoimi dużymi dłońmi o pięknym kształcie i mówiąc z gorączkowym błyskiem w oku. - Pamiętasz wszystkie te ohydne bloki, które wybudowano w przemysłowej strefie Cortine, na przedmieściach Awinionu?

- Jak mogłabym zapomnieć? Tylko one szpeciły cały krajobraz.

- Ale nie będą! Konferencja dotyczy humanizacji taniego budownictwa, budowania dobrze, a nie źle za tę samą cenę - a może i taniej niż teraz... to kwestia projektowania, zadbania o to. Nigdy nie zgodzę się z tym, że budownictwo komunalne nie może być piękne... nie godzi się z tym wielu architektów z całego świata. Spotykamy się, żeby dzielić się pomysłami i doświadczeniami technicznymi.

- Interesujesz się tylko takimi budynkami?

- Skądże. To tylko konieczność. Tak myślę. Ale nie największa przyjemność. Moja specjalność to restaurowanie starych farm w Prowansji. Nie wyobrażasz sobie, ilu ludzi kupuje stare domostwo, a potem chce przerobić je na tyrolską chatę albo grecką willę. Daję im wygodne domy, przystosowane do współczesnych warunków życia, ale tak, by nie zniszczyć pierwotnego piękna. Ale najbardziej cieszę się, kiedy mogę wybudować nowy dom. W takim wypadku nie kopiuję stylu starego domostwa - tak byłoby łatwiej, ale gdzie tu pole do popisu? Zaprojektować nowy dom w prowansalskim krajobrazie, nowoczesny dom, który będzie przyjemny dla oka, da ciału schronienie i pozostanie w zgodzie z linią horyzontu i wzgórz, i z sąsiednimi domami - ach, to dopiero marzenie architekta! Pokażę ci te domy - przyjedziesz, żeby je zobaczyć? Nie wracaj do Nowego Jorku po Paryżu - słuchaj, to łatwo zaplanować...

Fauve natychmiast ostudziła jego niepohamowany zapał. Uniosła rękę w ostrzegawczym geście. - Żadnych planów! Sięgam myślą najdalej do wieczora, kiedy będę musiała postanowić, co zrobić z moimi dziewczętami. Mam wrażenie, że mają własny ukryty plan. Nie mogę zostawić ich bez opieki, ale nie mogę też znieść myśli o porzuceniu cię choćby na chwilę.

- Może by tak odszukać innych architektów? Moglibyśmy pójść wszyscy razem na kolację - zaproponował Eric.

- Architektów? Rzymskich architektów?

- Ta konferencja jest jak olimpiada. Są na niej przedstawiciele wszystkich narodowości. Wielu z nich jest już w Rzymie.

- Hmm... - Fauve zamyśliła się głęboko. - Przedstawiciele wszystkich narodów romańskich absolutnie wykluczeni. Szwedzi pozostawiają wiele do życzenia - musi być jakiś powód, dla którego tyle filmów porno ma w tytule przymiotnik „szwedzki”. Anglicy, Anglicy... nie, jest stare francuskie powiedzenie, które mówi, że nie ma kobiet dorównujących namiętnością nawet najbardziej oziębłej Angielce. To może dotyczyć także Anglików, czy nie? Nie mogę podjąć takiego ryzyka.

- Finowie - zaproponował Eric. - Dlaczego nie spróbować z Finami? Wydaje mi się, że mają niski przyrost naturalny.

* * *

Tej nocy, po obiedzie, który przejdzie do historii Agencji Lunel, Fauve upewniła się, że wszystkie jej podopieczne są już w swoich pokojach i wymknęła się do hotelu Erica. Przyjęła ich rozległa łąka łóżka, w którym spędzili ze sobą tylko jedną noc. Wszystko to zaczyna zmieniać się w mit, myślał Eric, licząc godziny, które im pozostały. Był tak

świadom upływu czasu, że dotyk prześcieradeł, rozkołysany materac, bursztynowy blask lampki przy łóżku, wydawały się należeć tyleż do przeszłości, co do teraźniejszości.

- Została tylko dzisiejsza noc - powiedział, kołysząc ją w ramionach.

- Jutro możesz być ze mną tylko w czasie pokazu, a potem wsiadasz w ten piekielny samolot do Florencji. Dlaczego, och, dlaczego musisz wyjechać w czwartek wieczór?

- Nie licz godzin. Nie licz minut - zepsujesz to, co jest teraz. Nie zasmucaj mnie. Nie zasmucaj mnie jeszcze bardziej - prosiła Fauve.

- Dziewczyny muszą wstać wypoczęte bardzo wcześnie w piątek rano, wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Próby będą trwać cały weekend

- Versace, Armani - myślałam, że rozumiesz.

- Na nieszczęście jest to tak proste i logiczne jak projekt. Jedyne czego nie rozumiem to to, dlaczego wymykasz mi się, ilekroć chcę z tobą porozmawiać poważnie od chwili, kiedy się spotkaliśmy. Nie nalegałem, bo myślałem, że może czas jest nieodpowiedni, ale teraz...

- Och, pozwól mi wymknąć ci się jeszcze raz. Wymykam się tak rozkosznie - wyszeptwała Fauve, okrywając jego pierś pocałunkami.

- Pozwolę, jeśli odpowiesz tylko na jedno, bardzo proste pytanie - kochasz mnie, Fauve?

- Och, tak.

- Zatem musimy robić plany, musimy porozmawiać o przyszłości...

- Powiedziałeś, że pozwolisz mi się wymknąć, jeżeli odpowiem - zaprotestowała Fauve, przerywając niepowstrzymany potok jego słów. - Plany... przyszłość - to nie ma nic wspólnego z wymykaniem się.

- Gdybyś powiedziała, że mnie nie kochasz, siedziałbym cicho i

kochał się z tobą. Ale, kochasz - czy nie widzisz, że to zmienia wszystko?
- Pod wpływem uczucia ulgi jego głos brzmiał inaczej.

Fauve wymknęła się z jego objęć, wyszła z łóżka i stanęła przy oknie, naga i biała w ciemności panującej poza kręgiem światła lampy. Otoczyła dłońmi pochyloną głowę i potrząsnęła nią w niemal niedostrzegalnym geście zmieszania i przeczenia. - Proszę, och, proszę cię, Eric, nie dzisiejszej nocy.

- Więc kiedy? Przecież nie zamierzasz wyjechać bez... To niemożliwe! Fauve, jak myślisz, ile następnych okazji mamy jeszcze przed sobą?

- Eric, po prostu nie chciałam o tym myśleć - powiedziała powoli, odwracając od niego twarz. - Żyłam, nie myśląc o tym, ani nie zastanawiając się nad możliwościami... Żyłam - unosiłam się z wiatrem. Byłam taka szczęśliwa, tocząc się niczym mydlana banka, ale, jeśli będziemy mówić o tym dłużej, moja cudowna bańka pęknie. Proszę?

Eric stanął za nią przy oknie i wziął ją w ramiona, ujmując w dłonie delikatny ciężar jej piersi. Oparł podbródek o czubek jej głowy i osłonił ją swoim potężnym, ciepłym ciałem.

- Drzysz. Nie stój tu, w tym zimnym miejscu. Chodź do łóżka, moje kochane maleństwo. I weź ze sobą swoją mydlaną bańkę - jest taka lśniąca i tak pięknie w niej wyglądasz.

- Jutro, Eric. Przyrzekam.

- Jutro.

* * *

W czwartek po lunchu, Eric czekał na Fauve w Rosati. Niecierpliwie spoglądał na zegarek. Pokaz Valentino pewnie już się zaczął. On i Fauve

mają co najmniej dwie godziny, żeby wszystko zaplanować, zanim będzie musiała odejść, by zabrać dziewczyny i bagaż, i dojechać na czas na lotnisko Fiumicino.

Zobaczył, że nadchodzi i podniósł się. Podeszła do niego, ubrana w obszerny podróżny płaszcz. Na placu wiał chłodny wiosenny wiatr.

- Wejźmy do środka i usiądźmy - powiedział, przygarniając do siebie jej głowę, żeby ją ucałować. - Dzięki Bogu, że nic cię nie zatrzymało.

- Kiedy zaczął się pokaz, tylko wybuch bomby mógłby powstrzymać moje dziewczyny, a i wtedy przedefilowałyby zapewne, omijając gruzy. Wymknęłam się. Muszę wrócić na czas, żeby pogratulować Valentino, ale to długi pokaz.

- Kawy? - zaproponował.

- Tak naprawdę chciałabym wielki dzbanek herbaty. Czy to możliwe we Włoszech?

- Do Rzymu już dawno temu przyjeżdżali ekscentryczni Anglicy z kobietami, po to by nigdy stąd nie wyjechać. To tradycja... Jestem pewny, że podają tu herbatę. Fauve... kiedy za mnie wyjdiesz?

- Bałam się, że o to zapytasz - powiedziała dziwnie zgaszonym głosem. Eric spojrzał na nią i wydało mu się nieprawdopodobne, że ta blada dziewczyna, ubrana znów na czarno i białą, której twarzy przydawały koloru tylko włosy, jest tą samą płomienną i wolną istotą, która spędziła z nim noc i odeszła dopiero o świcie.

- Dlaczego się bałaś?

- Bo nie mogę.

- Dlaczego nie, kochanie? Z jakiego powodu dwoje ludzi, którzy

kochają się tak jak my, nie może się pobrać? - mówił spokojnie i cicho. Był pewny, że się opiera. Było to widoczne w jej nieuchwytności, w jej uporze, by nie wybiegać myślą poza teraźniejszość. - Nie masz już szesnastu lat... Wiem, że to był zwariowany pomysł - ale teraz wszystko się zmieniło - nic nie może nas powstrzymać.

- Nie jestem gotowa do małżeństwa. Jak możesz się spodziewać, że spędzę z tobą dwa dni - tylko dwa dni i podejmę taką decyzję? Było wspaniale, a w prawdziwym życiu nic nie jest tak wspaniale, nic! To nie mogłoby trwać - to było tylko interludium, Eric. Ale to nie jedyny powód. - Fauve mówiła zdecydowanym głosem, pewna tego, co chce powiedzieć. - Mam obowiązek wobec Magali i nie mogę go zlekceważyć. Gdybym porzuciła agencję, musiałaby wrócić i pracować pięć dni w tygodniu, albo rzucić wszystko - prawdopodobnie sprzedać. Tworzyła tę firmę przez całe życie, a ja uczyłam się zawodu przez pięć lat. Liczy na mnie - i ma do tego wszelkie prawo. Och, nigdy nie stanęłaby mi na drodze, ale wiem, że gdybym musiała wyjechać z Nowego Jorku - zmieniłoby się całe jej życie. To nie byłoby w porządku! Czułaby się źle, gdyby musiała pozbyć się agencji i równie źle, gdyby w tym wieku musiała pracować cały czas. A poza tym, co bym robiła, gdybym zamieszkała w Awinionie?

- Poczekaj chwilę! To trzy powody - czy możesz przerwać na sekundę i złapać oddech? Wypij herbatę. Mleka? Cytrynę? W porządku, małżeństwo to coś innego niż dwa dni w Rzymie. Nie ma nic lepszego niż dwa dni w Rzymie. Nie ma nic lepszego niż tydzień we Florencji. Nie ma nic lepszego niż miesiąc na wsi. Małżeństwo to małżeństwo. Każde jest inne, a nasze byłoby cudowne. Od czasu do czasu nie byłoby pewnie doskonałe, ale tylko dzieci spodziewają się, że małżeństwo będzie

doskonale. A ty nie jesteś dzieckiem. To po pierwsze. Po drugie - z tego, co opowiadałaś mi o Magali wynika, że potrafi o siebie zadbać. Byłaby wściekła, gdyby doszła do wniosku, że poświęcasz się dla niej... Nie wyobrażam sobie, by - tak czy inaczej - nie potrafiła sobie z tym wszystkim poradzić... sama radziła sobie wspaniale ze wszystkim przez większą część swojego życia, prawda? Po trzecie - to istotny problem, ale nie taki, którego nie można rozwiązać. Mógłbym przeprowadzić się do Paryża, przystąpić do jakiejś firmy, a ty mogłabyś znaleźć pracę, albo otworzyć agencję modelek, jeżeli tego właśnie chcesz... nie muszę koniecznie mieszkać w Awinionie...

- Przestań, Eric! Jesteś w tym wszystkim tak cholernie rozsądny. To brzmi jak kolejowy rozkład jazdy.

- Podajesz mi powody, a ja podaję ci powody, dla których twoje powody są niesłuszne. Jeżeli chcesz powiedzieć coś nierozsądnego, będę siedział cicho i słuchał.

- Och - och... - Fauve zaniemówiła i rozłożyła ręce.

- Dalejże, powiedz coś nierozsądnego - nalegał.

- Boję się, jestem przerażona, umieram ze strachu - wybuchnęła.

- Paraliżuje mnie myśl o tak poważnej decyzji. To dla mnie zbyt wiele - robi mi się zimno na samą myśl o tym - och, Eric, już taka jestem od urodzenia, że dojrzewam z opóźnieniem. Rozstaję się z każdym etapem mojego życia tak długo, jak się tylko da i cały czas spoglądam wstecz - potrzebuję starych przyzwyczajzeń, bezpieczeństwa, bliskości tego, co dobrze znam - przeraża mnie myśl, że miałabym spędzić z tobą całe życie - czy z kimkolwiek innym. Przecież tak naprawdę cię nie znam, nie znam ciebie dorosłego. A ty nie znasz mnie. Nie miałam dość czasu dla siebie,

nie jestem przygotowana do tego, żeby być żoną, nie chcę planować przyszłości... tobie jest łatwo, masz dwadzieścia sześć lat, miałeś czas, by siebie poznać, by gromadzić doświadczenia. Czuję się zmuszona do pośpiechu, czuję, że wywiera się na mnie nacisk... jak możesz oczekiwać, że jestem do tego przygotowana?

- To nie jest nierozsądne. To naturalne - ujął jej ręce w swoje dłonie.

- Rozumiem, że jest za wcześnie na podjęcie decyzji. Po prostu zamieszkać ze mną - zobaczymy, jak nam będzie razem. To przecież nie taki poważny krok, prawda? Żadnych zobowiązań – tylko interludium, jeśli tego chcesz. Nie wracaj do Nowego Jorku z Paryża... przyjedź i spędź ze mną wiosnę w Awinionie.

Fauve zajrzała do swojej filiżanki, oszołomiona jak nigdy w życiu. Nie potrafię mu tego wytłumaczyć... Jak mogę mu powiedzieć, że mu nie ufam, nie, mimo iż myślałam, że ufam? Wierzyłam ojcu i, proszę, co zrobił... jak mogę kiedykolwiek znowu zaufać mężczyźnie? „Interludium”... mówi, że tylko interludium... to zawsze zaczyna się jako interludium - a potem dzieją się straszne rzeczy. Dawno temu, w Paryżu to też było tylko interludium dla Magali, tylko interludium dla mojej matki... interludia zamieniają się w preludia, a potem? Co dalej, och, Boże? Wiosna w Awinionie? Nie! To niebezpieczne, to zbyt niebezpieczne. Nic dziwnego, że się boję. To zawsze niebezpieczne, kiedy się komuś ufa, kiedy się na kims polega, kiedy powierza się komuś swoje życie. Och, chcę takiego życia, które znam, życia, w którym mam swoje miejsce, swoje biuro, gdzie czuję się potrzebna, życia tam, gdzie dorastałam, gdzie jestem bezpieczna. Bezpieczna.

- Nie - powiedziała, spoglądając na dno filiżanki. - Nie, nie mogę.

Muszę wracać do Nowego Jorku. Może w czasie wakacji - głos jej się załamał - podczas moich następnych wakacji... może wtedy...

- Nie zawracaj sobie tym głowy - Eric podniósł się. - Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że ta myśl napawa cię takim wstrętem - powiedział sztywno. - Gdybym wiedział, nie zawracałbym ci tym tak długo głowy. Powiedziałaś, że mnie kochasz, ale tak nie jest - nie kochasz mnie mocno. Nie dość mocno. Przepraszam - pomyliłem się.

Położył pieniądze na stoliku i odszedł.

- Wiedziałaś, że nie zrozumie - wyszeptała do siebie Fauve.

- Czy coś się stało, Signorina? - zapytał kelner.

- Nie - odparła Fauve - nic się nie stało. To tylko koniec.

- Koniec...

- Interludium.

Falk przywykł do tego, że piękne kobiety zasypywały go pochlebstwami i niewiele je sobie cenił. Był tak przesycony pochlebstwami, że - jak sądził - nie pamięta już, jak czuje się człowiek, któremu się pochlebia, ale gdy Fauve Lunel zaprosiła go do siebie na obiad, pierwszy obiad ugotowany przez siebie, czuł... że to mu pochlebia.

- Chyba nie jestem dobrą kucharką - ostrzegła go.

- Kto to powiedział?

- Nikt, dla nikogo jeszcze nie gotowałam, więc jak mogę być dobrą kucharką?

- Zaryzykuję.

Czekając na Fauve, która w kuchni przygotowywała drinki, Falk rozejrzał się po jej salonie. To tak, jakby zajrzeć na strych starego domostwa, albo przeglądać stare albumy z wycinkami. Czy Fauve nigdy niczego nie wyrzuca? Dostrzegł tylko dwa przejawy umiaru; pomalowała podłogę na szmaragdowo i dobrze do niej dobrała materiał pokrywający wygodne do przesady, rozłożyste wiktoriańskie meble. Kiedy przyjrzał się satynie w róże, olbrzymie niczym główki kapusty, przypomniał sobie, że to ten sam materiał, którego Maggy użyła na zasłony w swoim apartamencie na Piątej Ulicy, zanim zmieniła wystrój wnętrza.

Pamiętał, skąd wzięło się wiele przedmiotów, które tu widział. Była tam wielka metalowa klatka dla ptaków, którą kupił Fauve na Trzeciej Ulicy pewnego sobotniego popołudnia. Wokół niej piętrzyło się siedem innych klatek dla ptaków, wyglądających tak, jakby z niej wyrastały. Tworzyły razem skomplikowaną konstrukcję, w której nie śpiewał żaden ptak. Był tam też olbrzymi pleciony kapelusz, który przywiózł jej z sesji

zdjęciowej na Jukatanie, w otoczeniu dziesiątków innych, wszelkich rozmiarów i kształtów, wiszących na wieszakach na ścianie. O inną ścianę opierała się wdzięczna stara lira, którą kupił jej pod choinkę, kiedy miała dwanaście lat. Wokół niej stały inne stare instrumenty - flety, skrzypce, oboje, a nawet stary klarnet, wspaniale odnowiony. W pokoju Fauve wszędzie stały kosze, kosze piętrzyły się na koszach. W jednym umieściła rośliny, w innym tkwiły ołówki, w jeszcze innym notesy, kawałki materiału i kłębki wełny.

Poduszki! Fauve wykupiła chyba cały sklep z poduszkami, pomyślał, oddając jej cześć jako znawca, który uważa się za eksperta w dziedzinie zagracenia. To nie była zwykła graciarnia - to było zjawisko historyczne. Na przeładowanych półkach stał komplet książek o krainie Oz, wiele przygód Mary Poppins, książki Edith Nesbitt i wiele innych, które przeczytała od czasów dzieciństwa. Nie chciała rozstawać się z żadną z nich. Kominka, w którym stały wypolerowane mosiężne ruszta, strzegły dwa kamienne sfinksy - jak mu się zdawało - naturalnych rozmiarów, choć nigdy w życiu nie widział sfinksa, kiedy ten był jeszcze w dobrym stanie.

W ciepły wrześniowy dzień 1975 roku na kominku nie płonął ogień, ale Fauve zapaliła mnóstwo białych wotywnych świec na małych przezroczystych podstawkach i ustawiła je na rusztach, żeby w kominku nie było pusto i ciemno. Przy wysokich oknach, wychodzących na kwitnące drzewo różdżeńca stał nakryty okrągły stół. Stół przykrywały trzy różne obrusy. Pierwszy, spływający aż na podłogę, był z szeleszczącej jasnoczerwonej tafty. Drugi był małym starym jedwabistym obrusikiem w kwiatki we wszystkich odcieniach różu. Na nich leżał obrus z cienkiego białego płótna lamowany szerokim pasem haftowanej organdy.

Na biurku Fauve, w starych ozdobnych ramach stały jedyne trzy fotografie w tym pokoju: zdjęcie Maggy i Darcy'ego siedzących na trawniku przed swoim domem, zdjęcie z *Life'a* z 1951, na którym widniała Maggy w otoczeniu swoich najsłynniejszych modelek oraz powiększenie jednego ze zdjęć próbnych, które Falk zrobił Teddy w 1947. Zdjęcie dwudziestoletniej Teddy Lunel.

Odwrócił się, nie mogąc patrzeć na nie dłużej niż przez jedną chwilę, i jego uwagę przykuł niezwykle przedmiot, ogromna wypchana panda, mocno już wyleniąca, siedząca na honorowym miejscu w fotelu na biegunach stojącym w rogu pokoju. Zaskoczony, poszukał wzrokiem innych zwierząt. Flota stateczków, armia małych figurek, kolekcja katarynek, las rozmaitych świeczników, a na każdym stole stosy doniczek wszelkich rozmiarów, w każdej po jednym kwiatku, kępcy drobnych listków, pęku dzikiej trawy - tak, czego tu nie ma, ale stwierdził z ulgą, że nie widzi żadnych innych wypchanych zwierząt.

- Bardzo przytulnie - powiedział do Fauve, kiedy podała mu szklanę.

- Nie włożyłam w to wiele pracy - odparła - ale powoli wszystko nabiera kształtów.

- Jakich kształtów?

- Dokładnie nie wiem. Będę wiedziała, kiedy uda mi się to osiągnąć - może wtedy, kiedy nie będę mogła przejść przez pokój nie potykając się o nic. Dlatego nie mam dywanu. Dywan nie wnosi elementu niespodzianki. Gdybym miała dywan, chciałabym pewnie położyć na nim mały dywanik, a potem jeszcze dywan przed kominkiem - coś wzorzystego - ciągle znajduję jakieś rzeczy.

- Kocham rzeczy - powiedział Falk. - Nie ma nic lepszego niż rzeczy.

- Wiedziałaś, że mnie zrozumiesz. - Uśmiechnęli się do siebie z nadzwyczajną radością. - Nigdy nie pytasz mnie, czy przez to wszystko nie gromadzi się w mieszkaniu kurz, ani o to, czy to jest objawem jakiejś nerwicy, ani nie robisz znaczących komentarzy na temat mojego instynktu budowania gniazda.

- Nigdy. Ale zastanawiam się... ?

- Nad czym?

- Nie chcesz mieć fotografii?

- Nie, nie ma miejsca na zdjęcia. Na ścianach wisi mnóstwo rzeczy. Żeby zdjęcia wyglądały dobrze, trzeba by podporządkować im wystrój pokoju.

- A ten pokój jest w sposób oczywisty niepodporządkowany.

- Dokładnie tak. Och, kurczak! Przepraszam cię na chwilę. Wróciła po chwili, w białym kuchennym fartuchu zarzuconym na wydekoltowaną na plecach bluzkę bez rękawów z bawełny barwy jasnego szafranu. - Gotuje się. To wszystko, co mogę o nim w tej chwili powiedzieć.

- Jaki to kurczak? - zapytał łakomie.

- Po węgiersku. Paprykarz z kurczaka. Liczę na to, że nie ma takiej rzeczy na świecie, której nie dałoby się zjeść z dużą ilością kwaśnej śmietany. Wiem, że to oszustwo, ale radzę sobie najlepiej, jak potrafię.

- Kiedy zaczęłaś gotować? Czy to się stało nagle?

- Myślę, że to musi mieć coś wspólnego z dojrzewaniem, albo z nienaturalnymi zachciankami, tak jak w „Dziecku Rosemary”. Odkąd się tu wprowadziłam, zawsze kupowałam coś w delikatesach Diver, ilekroć nie byłam zaproszona na kolację. Kilka tygodni temu przechodziłam obok

sklepu rzeźnika i nie zastanawiając się wiele, kupiłam dwa baranie kotlety. Myślałam, że położę je na patelni i usmażę. Nadal nie jestem pewna, jaki popełniłam błąd, ale w kuchni było pełno dymu, a gorący tłuszcz opryskał mnie od stóp do głów. Tak się przeraziłam, że szybko zdjęłam patelnię z ognia i wyrzuciłam wszystko przez okno na podwórze. Ale pomyślałam sobie, że skoro Maggy nauczyła się ogrodnictwa z książek, mogę w ten sam sposób nauczyć się gotować. I kupiłam książkę kucharską. Dzisiejszy wieczór przejdzie do historii. - Zaczęła nakrywać do stołu.

- Maggy uważa, że za dużo pracujesz - powiedział Falk.

- Powiedziała mi, że podporządkowujesz swoje życie pracy.

- Ma niezły tupet! Czy wiesz, co zrobiła podczas ostatniego weekendu? Zamówiła pięć tysięcy cebulek żonkili. Pięć tysięcy! Zamierza własnoręcznie posadzić je na pagórkach za domem, żeby rozkwitły następnej wiosny, tak jakby rosły tam dziko od lat. Falami. Fale - ciągle marzy o falach. Kiedy już posadzi żonkile, chce założyć ogród w lesie, taki, jaki mogłaby stworzyć sama natura, gdyby natura miała własny gust. Czy wyobrażasz sobie, by ktoś, kto zamierza wykopać pięć tysięcy dziur własnymi rękami, mógł powiedzieć mi, że to ja pracuję zbyt ciężko?

- Ty nie kopiesz pojedynczych dziur. Ty przerzucasz całe tony brudu i rozrzucasz cebulki wokół. Tak przynajmniej powiedziała. To coś w rodzaju siania ziarna.

- Niezależnie od tego, jak to robię, to praca. Wiesz, wydaje mi się, że teraz Maggy bardziej interesuje się ogrodem niż agencją - powiedziała Fauve układając talerze na płóciennym obrusie.

- Dlaczego tak sądzisz?

- W czwartki dzieje się coś naprawdę dziwnego. Co czwartek, kiedy

praca zbliża się do końca, staje się coraz bardziej podenerwowana, tak jakby nie mogła się już doczekać, żeby sobie pójść. Ale nie chce się do tego przyznać. Wszędzie dopatruje się nie istniejących błędów, chodzi od sekretariatu do sekretariatu i sprawdza po kilka razy wszystkie karty, żeby mieć pewność, że nikt się nie wymknie z pracy w piątek albo w poniedziałek, martwi się o modelki, które doskonale sobie radzą, idzie do działu księgowości i pyta, czy są przygotowani do wypłaty, tak jakby pracując tyle lat, nie wiedziała, że wszystkie modelki stawia się po swój czek w piątek, jak dwa razy dwa. Doprowadza wszystkich do lekkiego szału. Boją się jej nowe sekretarki. Ciągłe wynajduje drobiazgi, które „musi” natychmiast zrobić, popołudnie mija i nie możemy zamknąć biura... zbędne drobiazgi, którymi Casey, Loulou albo ja mogłybyśmy z powodzeniem zająć się w piątek. To tak, jakby zmuszała się do pracy do późna, bo czuje się winna, że ma wolne. Czyste szaleństwo.

- Rozmawiałaś z nią o tym? - zapytał Falk.

- Nie. Przypuszczam, że nie chciałabym powiedzieć nic, co mogłaby odebrać jako krytykę. Wyobrażam sobie, że nadejdzie dzień, w którym sama dojdzie do wniosku, że nie ma ochoty pracować przez te trzy dni w tygodniu. Wtedy sama mi o tym powie - odparła Fauve, oceniając nakryty przez siebie stół i stwierdzając, że niczego nie brakuje.

- Czy poprowadziłabyś agencję bez jej pomocy?

- Jestem do tego przygotowana. Znam się na tym. W każdym dziale pracują ludzie, na których można polegać. Casey potrafi tyle co ja. Loulou ma na oku wszystkie sprawy związane z zamówieniami, najlepiej jak tylko można. Wiem, że to duża firma dla osoby w moim wieku, ale tkwię w tym od pięciu lat i myślę, że poradziłabym sobie. A jednak... Maggy jest Lunel.

Każda kandydatka na modelkę na świecie chce mieć do czynienia z Maggy Lunel, a nie z Fauve Lunel. Wydawcy pism liczą się z jej opinią tak, jak nie będą się liczyć z moją jeszcze przez wiele lat. Agencja nie byłaby już nigdy tą samą agencją... ale... jeśli naprawdę ma wszystkiego dość, zrozumie to. Będę musiała... och, mój kurczak!

Fauve wróciła z kuchni z uczuciem ulgi. - Spróbowałam go i wydaje mi się, że ma nieokreślony węgierski smak.

- Nigdy nie gotowałaś dla Bena Litchfielda? - zapytał Falk.

- Ben Litchfield ma całkowicie niewrażliwe podniebienie.

- Myślałam...

- Wiem, o czym myślałaś. O tym, o czym myślą wszyscy. Prawdę mówiąc, Melvin, Manhattan to wielka wieś, w której wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. - Fauve usiadła obok Falka i wypła pół kieliszka wina. - Oczywiście, nie miałam ciebie na myśli.

- Wiem. Więc opowiedz mi wszystko o wszystkich.

- Chce się ożenić.

- Co w tym dziwnego?

- Chcę przez to powiedzieć, że on naprawdę chce się ożenić.

Najpierw mówił o tym na co piątym czy szóstym spotkaniu, teraz mówi o tym za każdym razem. Presja. Presja - zamyśliła się Fauve.

- Większość dziewczyn - powiedział Falk.

- Dokładnie. Większość dziewczyn. Zapewne wszystkie dziewczyny. Jest cudownym facetem, jest inteligentny, dobry, robi karierę, jest poważny, jest bardzo, bardzo atrakcyjny, mogę z nim porozmawiać, mamy ze sobą wiele wspólnego, jest uroczy, jest wszystkim, co można sobie wymarzyć.

- Och, chyba nie podoba mi się to, co mówisz.

- Myślę, że ja i Ben jesteśmy tym, co ludzie nazywają dobraną parą - powiedziała Fauve ze złośliwym uśmiechem.

- Gdybyś powiedziała, że jest nieznośny, zwariowany, nieobliczalny, że nie pojmujesz, dlaczego zakochałaś się w nim jak szalona... wtedy... może.

- Może tak... może nie. Nawet to nie daje żadnej gwarancji.

- Nic nie daje żadnej gwarancji, Fauve - powiedział łagodnie Falk. - To ślepy traf.

- Czy istnieje jakiś sposób, by zyskać pewność, by trzymać wszystko w garści, tak żeby nic nie wymykało się spod kontroli? Jeżeli będzie się bardzo, bardzo ostrożnym? - zapytała ze smutkiem Fauve.

- Nie wtedy, kiedy ryzykuje się jakąś zmianę. Zmiany nie można ukształtować, zorganizować, przewidzieć, póki się nie dokona. Zmiana polega na tym, że masz znaleźć się w innym miejscu niż dotychczas. Dojrzewasz. Dojrzewanie to jedyna rzecz, której można być naprawdę pewnym. Ale zmiana zawsze łączy się z niespodzianką.

- Nigdy nie przepadałam za niespodziankami - powiedziała Fauve z wyrazem takiego smutku na twarzy, że Falkowi ścisnęło się serce.

- Czy kurczak jest gotowy? - zapytał. - Pachnie tak, jakby już był gotów.

- Sprawdzę. Po czym się poznaje, że już jest dobry?

- Kiedy noga rusza się swobodnie. Weź też długi widelec kuchenny, nakłuj i sprawdź, czy sos, który wycieka jest przezroczysty. Nakłuj nogę, nie pierś.

- Skąd wiesz?

- Ile miałem żon?

- Tylko trzy.

- Nauczyła mnie któraś z nich, ale nie pamiętam, która. Dobrze wiedzieć takie rzeczy, nawet jeśli to nieprawda. To się nazywa - ludowa mądrość.

Rozpromieniona Fauve wynurzyła się z kuchni, niosąc półmisek.

- Wygląda dobrze, jeżeli wygląd o czymś świadczy. Kurczak był dobry, dobry był ryż, dobra była szparagowa fasolka po francusku, a przyprawiona papryką śmietana uczyniła łakomstwo najwspanialszą cnotą, bo nie zjeść wszystkiego z apetytem byłoby grzechem zaniedbania.

* * *

Po obiedzie Fauve i Falk siedzieli sącząc brandy przed kominkiem, na którym nadal migotały wotywnie świece. Fauve była milcząca, zamyślona. Po długiej, przyjemnej ciszy, Fauve podniosła wreszcie wzrok i powiedziała: - Wszyscy ludzie, którzy są ważni w moim życiu, Magali, Darcy - nawet Lally Longbndge, która jest jak własna ciotka, i ty, zwłaszcza ty, Melvin, z którym mogę rozmawiać tak otwarcie jak z nikim innym - nigdy nie rozmawiają ze mną o mojej matce. Zastanawiam się, dlaczego?

- Zawsze sądziłem... że Magali wszystko ci o niej opowiedziała... że niczego nie ukryła - odpowiedział Melvin z zażenowaniem.

- Och, o jej życiu, tak. Podstawowe fakty, rzeczy, które należało mi powiedzieć. Wpatrywałam się w zdjęcia przez wiele godzin - w biurze są wszystkie roczniki starych pism, a między 1947 a 1952 rokiem były w nich dosłownie tysiące zdjęć Teddy Lunel. Ale, niezależnie od tego, jak długo będę patrzeć w jej oczy, te zdjęcia nie powiedzą mi tego, co chcę

wiedzieć.

- Co chciałabyś wiedzieć? - zapytał Falk czując, jak mocno bije mu serce.

- Mam tylko kilka lat mniej niż ona w chwili śmierci. Czy kochałabym ją? Czy powiedziała by mi, jak mam postąpić z Benem? Co było dla niej najważniejsze na świecie? Dlaczego za ciebie nie wyszła?

- Wiesz o tym? Kto ci powiedział? - zaskoczony, gwałtownie odstawił swoją lampkę brandy.

- Och, domyśliłam się już tak dawno temu. Kiedy na mnie patrzysz, masz taki szczególny wyraz twarzy. Wiedziałam, że byłeś w niej zakochany. Czy wy dwoje byliście kochankami?

- zapytała Fauve, łagodnie i z powagą.

- Byłem... byłem pierwszym chłopcem, który powiedział jej, że jest piękna. Byłem pierwszym, z którym umówiła się na randkę. Pierwszym, który ją pocałował, pierwszym, który się z nią kochał, ale nie byłem pierwszym mężczyzną, któremu złamała serce.

- Tak mi przykro... tak mi przykro, Melvin. Chciałabym, żeby nie złamała ci serca.

- Nie chciała tego. Nie mogła na to nic poradzić. Po prostu nie mogła naprawdę mnie pokochać... szukała czegoś innego, czegoś... innej rzeczy.

- Czy miała wielu kochanków?

Falk zawahał się. Czy miał prawo odpowiadać? Czy miała prawo pytać?

- Widzisz? - powiedziała Fauve. - To właśnie mam na myśli. Gdyby żyła, zapytałabym - „Mamo, czy miałaś wielu kochanków, kiedy byłaś w moim wieku?”, a ona musiałaby mi coś odpowiedzieć, choćby i to, że bym

nie wtykała nosa w nie swoje sprawy. Ale, oczywiście, nie mogę zapytać o to Magali, a teraz ty nie chcesz mi nic powiedzieć. Co powiedziałaaby mi ona?

- Myślę, że powiedziałaaby ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Nie wiem, czy dałaby ci rozsądną radę - rozsądek nie był dla Teddy najważniejszy - ale myślę, że byłaby z tobą szczerą.

- Więc?

- Powiedziałem ci już, że szukała czegoś innego. Szukała długo i ilekroć zaczynała rozumieć, że nie znalazła tego, czego chce... cokolwiek to było... zaczynała szukać gdzie indziej... więc miała wielu kochanków. Nie wiem, co to dokładnie znaczy - „wielu”, ale może na każdych stu mężczyzn, którzy jej pożąдали, jeden stawał się jej kochankiem - może jeden na dwustu...

- Ale coś do nich czuła?

- Do każdego z nich, dopóki to nie mijało i nie zaczynała szukać znowu. A potem, spotkała twojego ojca i właśnie on był tym kogo chciała. Boże, miej ją w opiece.

- Czy postępuję wobec ciebie nieuczciwie? - zapytała nagle Fauve. - Zwabiam cię tu, nęcąc cię swoim boskim kurczakiem, a potem pytam o sprawy, o których nie chcesz rozmawiać?

- Nie! Boże, nie. Myślę, że to my wszyscy byliśmy nieuczciwi wobec ciebie, nie mówiąc ci nic więcej, nie rozmawiając z tobą o Teddy, bo to było zbyt bolesne. Jej śmierć zmieniła wszystkich. Nikt nie jest już taki sam od tamtej pory.

- Czy zawsze dzieje się tak; kiedy ktoś umiera młodo?

- Może. Ale twoja matka była... ona była...

- Inna? Wyjątkowa? - w głosie Fauve drżało pragnienie, by dowiedzieć się wszystkiego.

- Chciałbym umieć dać choć najmniejsze wyobrażenie o jej uroku. Czytywałem niegdyś e. e. cummingsa - wszyscy czytali wtedy e. e. cummingsa - i zawsze myślałem o niej - „białe źródło muzyki” - nie, musiałbym być poetą, żeby choć w jednej dziesiątej dać wyobrażenie o Teddy. Tak, kochałabyś ją bardzo, bardzo mocno, a ona kochałaby cię najbardziej na świecie... to jest w tym wszystkim najsmutniejsze. Wstał, podszedł do skulonej na krześle Fauve i uściskał ją.

- Zapamiętaj jedną rzecz. Twoja matka znalazła wreszcie to, czego tak długo pragnęła i była najszczęśliwsza na świecie do ostatniej sekundy swojego życia.

- Czy nalać ci jeszcze brandy, Melvin? - zapytała Fauve, podnosząc się tak gwałtownie, że przewróciła wielką teczkę, leżącą przy stoliku obok krzesła. Z teczki posypały się na podłogę papiery. Fauve rzuciła się, by je pozbierać. Falk pochylił się, żeby jej pomóc. Papiery ślizgały się po lakierowanej podłodze i dopiero wtedy, kiedy zebrał niewielki stos, przystanął, by na nie spojrzeć. Zerknął na nie, przez okulary wyteżył wzrok, a potem przeniósł je z półmroku, w którym siedział i obejrzał w świetle lampy.

- To nic nie jest - powiedziała Fauve. - Daj mi je.

- Nie oddam. Wcale nie oddam.

- To tylko bazgroły, Melvin. Słuchaj, nie doprowadzaj mnie do szału. To moja własność.

- Wepchnęła pozbierane przez siebie rysunki z powrotem do teczki i usiłowała wyrwać mu pozostałe.

- Podrzesz! - ostrzegł ją cofając się.

- I co z tego?

- Fauve, ty rysujesz, ty pracujesz... od jak dawna? Czy masz choć pojęcie, jak bardzo jesteś w tym dobra, ty głupia, głupia dziewczyno?

- Ja tylko... Mam jakąś nerwową potrzebę rysowania... to coś takiego, jak tik nerwowy - proszę, nie przeceniaj sprawy, Melvin. Wiesz, co sędzę na temat sztuki - to tylko taki nieważny drobiazg, to nie jest nawet hobby. Każdy bazgrze od czasu do czasu. Pokaż mi choć jedną osobę, która tego nie robi.

- Jezu, Fauve, zapomniałaś chyba, z kim rozmawiasz? Myślisz, że nie potrafię dostrzec różnicy? One są kurewsko dobre! Czy oprócz tego malujesz? Fauve, powiedz mi!

- Nie mam absolutnie nic do powiedzenia. W porządku - trochę rysuję, przyznaję. Wcale nie maluję... mówię prawdę... żadnych farb, poczułbyś ich zapach, gdyby były w mieszkaniu. - Fauve rozłożyła ramiona w niewinnym geście. - Żadne prawo nie zabrania rysowania. Nie uważa się tego za przestępstwo. No, Melvin, przestań na mnie patrzeć takim wzrokiem. To mnie krępuje. I oddaj moje rysunki.

Oddał jej rysunki i wzruszył ramionami. - Jeśli tego chcesz, kochanie, nie mam nic do powiedzenia. Ale, gdybyś postanowiła kiedyś dać mi prezent urodzinowy, albo prezent na dzień Świętego Walentego, albo bez okazji... daj mi jeden ze swoich bazgrołów. Nie musisz oprawiać go w ramy. Znalazłaś wreszcie swoją własną kreskę - twój własny indywidualny styl, który nie ma nic wspólnego ze stylem twojego ojca, ani żadnego innego artysty! Czy rozumiesz, co to znaczy? Nie? Nieważne, głuptasie. Myślę, że skorzystam z twojej propozycji i napiję się brandy.

Nigdy nie było mi bardziej potrzebne.

* * *

Blisko siedemdziesięcioletnia Marte Pollison była zawsze niezmiennie oddana Nadine. W jej oczach Nadine była nadal małą śliczną córeczką, której sama nie mogła mieć. Nadine wiedząc, że Marte darzy ją ślepym uwielbieniem, zawsze bezwstydnie i instynktownie wykorzystywała uczucia tej nieprzystępnej wiejskiej kobiety. Szukała u niej współczucia, kiedy nabiła sobie niewielkiego guza lub skaleczyła się tak nieznacznie, że Kate tylko by ją wyśmiała. Przesiadywała z nią godzinami w kuchni, słuchając wiejskich plotek i czekając na smakołyki, które Marte przygotowywała specjalnie dla niej. Kiedy Nadine wyjechała do szkoły z internatem, całkiem zapomniała o Marte, dopóki nie przyjechała do domu na wakacje. Wówczas dawny związek odnawiał się momentalnie, a uwielbienie Marte dla Nadine rosło z każdym rokiem. Po śmierci Kate Nadine utrzymywała kontakt z La Tourello tylko dzięki Marte, bo Mistral nie ukrywał, że nie chce jej widzieć.

- Twoje życie jest farsą, twój mąż jest nic niewart, a ja mam dużo pracy i nie chcę, żeby mi przeszkadzano. Nie chcę cię tu widzieć, Madame Dalmas - powiedział brutalnie, kiedy ostatnim razem zaproponowała, że przyjedzie do La Tourello na weekend. Od tamtej pory, przez blisko cztery lata, Nadine postanowiła roztropnie utrzymywać kontakt z Mistralem, dzwoniąc od czasu do czasu do Marte.

Och, ileż to już razy słyszała, jak Marte skrzeczącym starym głosem zdaje ten sam ponury, doprowadzający ją do szału raport. - Jest taki sam, jak zawsze, *ma petite chérie*. Wstaje, zjada śniadanie, zamyka się na cały dzień w pracowni, je kolację i idzie spać. Nie, czuje się bardzo

dobrze. W ogóle ze mną nie rozmawia. Ostrzega mnie tylko, żebym nie wpuszczała obcych, tak jakbym o tym nie wiedziała. Co robi całymi dniami? Zamyka pracownię na klucz, a ja nie jestem z tych, co to wsadzają nos w cudze sprawy. Odkąd umarła twoja matka, jest cicho i pusto. Zaniedbał ziemię, zwolnił robotników, maszyny zardzewiały, winnice i gaje oliwne są takie, że aż wstyd przed sąsiadami, ale jego to nie obchodzi, nic a nic. Gdyby nie ja, ani by się obejrzał, jak by umarł z głodu, ale siedzę tu ze względu na ciebie i pamięć twojej biednej matki.

W połowie września 1975 roku Marte Pollison zadzwoniła do Nadine, by powiedzieć jej, że ojciec kaszle od kilku dni. Pracował nieustannie, nie zgadzał się na żadną zmianę w swoim rozkładzie dnia, ale tego wieczoru nie mógł podnieść się z łóżka. - Nie pozwala mi wezwać lekarza, *ma petite*, ale wydaje mi się, że ma bronchit - co mam robić?

- Nic, Marte. Przyjadę rano. Wiesz, jak traktuje lekarzy. Nie denerwuj go.

Phillipe Dalmas zaproponował dla formy, że poleci z Nadine do Marsylii i pojedzie z nią do Félice - to nie zajmie więcej niż półtorej godziny - ale nie zgodziła się. Kiedy podjechała pod bramy, doznała szoku. La Tourello wyglądało na opuszczone. Przypominało stos martwych głazów. W kuchni z wdziękiem pozwoliła, by Marte ją uściskała. - Wyglądasz tak pięknie, jak nigdy - jakże wesoło musi być w Paryżu - wykrzyknęła Marte, radośnie krzątając się wokół Nadine.

- Dlaczego dom jest zamknięty, Marte? Dlaczego okiennice są zamknięte, a meble w pokrowcach?

- Och, nie miej do mnie żalu, to nie moja wina. Basen też jest pusty, ogród zarósł, ale oprócz mnie nie ma tu nikogo do roboty. Odkurzam i

sprzątam dom, reperuje się dach, jeśli trzeba, ale wiesz, że Monsieur wyrzucił całą służbę po śmierci Madame, a mój artretyzm dokucza mi coraz bardziej, kiedy wieje mistral.

- Biedna Marte, oczywiście rozumiem - powiedziała Nadine.

- Przez długi czas mówiłam mu, że mogę rozpalić ogień w kominku w salonie, żeby mógł tam przesiadywać w nocy, ale nigdy nie chciał. Sprzątnęłam dokładnie i wywietrzyłam twój pokój dziś rano i podam ci kolację w jadalni, jeśli chcesz, albo zjesz ze mną w kuchni. Jak długo możesz zostać?

- Dopóki nie będę pewna, że czuje się lepiej - odpowiedziała Nadine, wstępując na schody prowadzące do pokoju Mistrała.

- Nie wiem, po co, u diabła, tu przyjechałaś - warknął Mistral, kiedy stanęła w drzwiach. - Było za późno, żeby cię powstrzymać, kiedy Marte, niech ją cholera, powiedziała mi, że przyjeżdżasz.

- Marte martwi się o ciebie.

- To stara plotkara. Stary grzyb! Porządnie się przeziębilem. Muszę tylko poleżeć kilka dni.

- Czy nie sądzisz, że trzeba wezwać lekarza?

- Nie bądź śmieszna. W życiu nie miałem do czynienia z lekarzem. Nie potrzebuję doktora. Chcę mieć spokój i ciszę.

- Marte uważa, że to bronchit.

- Sama nie wie, o czym mówi. Ma jakieś kwalifikacje, żeby stawiać diagnozę? Zostawcie mnie w spokoju.

- Może zbyt ciężko pracowałeś? - zapytała Nadine.

- Zbyt ciężko pracowałem? Czy masz choć pojęcie, co to znaczy? Pracuję, to wszystko. Praca to praca. - Zaniósł się donośnym, nagłym,

niewstrzymanym kaszlem.

- Wyjdź stąd - powiedział, kiedy złapał oddech. - Zarazisz się.

- Wypił łyk wody ze szklanki stojącej przy łóżku.

- Nie, ojciec. Dotrzymam ci przez chwilę towarzystwa. Nie zwracaj na mnie uwagi. Posiedzę tu przez chwilę.

Mistral obojętnie przymknął oczy i po minucie zapadł w lekki sen, od czasu do czasu pochrapując. Nadine wpatrywała się w niego bez przerwy. Czy to ten sam człowiek, który, według Marte, czuje się bardzo dobrze? Może Marte, widząc go codziennie, nie zauważyła, że Mistral był tak chudy. Jego ciało tworzyło pod przykryciem długie, kanciaste wybrzuszenie. Z krzesła przy jego łóżku czuła, że jego ciało cuchnie pleśnią i potem. Potrząsnęła głową z obrzydzeniem.

Był silnym starym człowiekiem, miał dopiero siedemdziesiąt pięć lat. Wczoraj pracował jak zwykle. Któż wie, jakie zapasy siły kryje w sobie jeszcze to ciało? Kiedy była małą dziewczynką, był najsilniejszym człowiekiem na świecie. Wielcy malarze, tak jak wielcy dyrygenci żyli nieskończenie długo, jeśli nie zginęli w ten czy inny sposób w młodym wieku. Z pewnością nie zachowywał się jak człowiek, który uważa, że jego życiu zagraża niebezpieczeństwo.

Nadine przygryzła wargi w przyływie bezsilnej wściekłości. To zapewne fałszywy alarm, gorączka, kaszel, pot, sama przeżyła to co najmniej tuzin razy. Jednak niewątpliwie bardzo schudł. Ale chudzi żyją dłużej niż grubi, pomyślała ze złością i zbliżyła się na palcach do łóżka, żeby przyjrzeć się z bliska jego twarzy. W wychudłej twarzy, która przypominała surową, posepną, starożytną maskę jego nos wydawał się dwa razy większy niż zwykle.

- Do cholery, Nadine, zostaw mnie w spokoju! Chcę spać! - krzyknął chrapliwym głosem, nie otwierając oczu.

Serce skoczyło jej do gardła i uciekła do kuchni.

- Marte, myślę, że nie ma powodu, żeby się o niego martwić. Jest tak nieprzyjemny, że nie wydaje się, by był chory.

- Nie mogłam wziąć na siebie odpowiedzialności. Musiałam do ciebie zadzwonić - mruknęła Marte.

- Oczywiście, że musiałaś. W każdym razie, cieszę się, że przyjechałam, choćby po to, żeby się z tobą zobaczyć. Ojciec tak długo nie chciał mnie oglądać. Wiesz, że przyjeżdżałabym tak często, jakbym mogła, ale nie zgadzał się na to. Nie mogłam tego zrozumieć, ale cóż mogłam zrobić? W końcu to jego dom.

- Gdyby tylko żyła twoja matka. Pamiętasz te przyjęcia? I jaki piękny był dom, pełno kwiatów, wszędzie służba, w kuchni mnóstwo jedzenia. A wszyscy ci sławni ludzie? Madame była królową okolicy - powiedziała ze smutkiem.

- Wyglądasz na zmęczoną, moja biedna Marte - pocieszała ją Nadine.

- Czuwałam nad nim całą noc, chodziłam w górę i w dół po tych schodach. Prawie nie spałam, ale nic się o mnie nie martw.

- Myślę, że obie powinnyśmy dzisiaj pójść wcześniej spać. Mój pokój jest w drugim końcu korytarza, więc zostawię swoje drzwi i drzwi jego pokoju otwarte. Jeśli ojciec będzie czegoś potrzebował, usłyszę go... Mam lekki sen. Nie wolno ci tak biegać po schodach przy twoim artretyzmie. A jutro, jeśli uznam, że to konieczne, wezwę doktora, niezależnie od tego, czy go sobie życzy, czy nie.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś, *petite chérie*. Lepiej się czuję, kiedy

zajmujesz się wszystkim. To za dużo dla takiej starej kobiety jak ja.

* * *

Nadine leżała w łóżku, ale była zbyt niespokojna, by zasnąć. Wyobrażała sobie, że bierze świecę, skrada się do kuchni i na wiszącym tam wielkim kółku do kluczy znajduje klucz do pracowni. Wyobrażała sobie, że idzie przez ciche pokoje opuszczonego domu, wychodzi tylnym wyjściem, idzie wzdłuż pustego basenu aż do wielkich drewnianych drzwi pracowni. Widziała siebie, jak otwiera drzwi, włącza światło i wędruje przez pracownię do magazynu, w którym na stelażach spoczywają dzieła największego żyjącego artysty Francji, setki płócien, wartych więcej niż najcenniejsze klejnoty. Liczyła je w myślach, wyceniała ich wartość - tak, w setkach milionów franków, jeśli dealer Mistrala nie mylił się, a przecież nie było powodu, by sądzić, że się myli. Przeogromny, niepojęty majątek. W tej pracowni była jej wspaniała, tryumfalna przyszłość, powtarzała sobie Nadine, szarpiąc niecierpliwie swoje ciało. Nie tylko obrazy - nie, wiele więcej. Domy, które zakupi w różnych miejscach świata, cudowne rzeczy, które będzie kupować, kupować, kupować, przyjęcia, które będzie wydawać, odziedziczona sława, która wreszcie, ostatecznie przypadnie jej, przynęta, dzięki której pozna wszystkich. Świat legnie u stóp córki Mistrala. Wkrótce. Już niedługo. Kiedy?

Podniosła się z łóżka i weszła cicho do pokoju Mistrala. Oddychał ciężko, ze znacznie większym wysiłkiem niż przedtem. Walczył ze wszystkimi siłami, by wydać zduszony, chrapliwy odgłos. Przyglądała mu się uważnie przez dłuższy czas, wystarczająco daleko od jego łóżka, by jej nie spostrzegł, gdyby otworzył oczy. Wróciła wreszcie do swojej sypialni i spała smacznie aż do rana. Ubrała się szybko i stanęła u wezgłowia

Mistrala. Był na wpół przebudzony, a szklanka na wodę, stojąca przy łóżku była pusta. Naczynie nocne, które Marta postawiła na stoliku przy łóżku było do połowy pełne. Nadine opróżniła je. Zemdlilo ją z obrzydzenia. Nalała mu wody i przytknęła szklanekę do ust.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Tak samo, jak wczoraj - odpowiedział, ale jego głos przeszedł w szept i nie dotykając go nawet, Nadine czuła, że trawi go gorączka. Buchał od niego żar. Wzięła ręcznik i ciepłą wodę, obmywała go ze skrywanym obrzydzeniem. - Myślę, że nie będę próbowała cię ogolić. Nigdy przedtem tego nie robiłam - powiedziała lekkim tonem. - Czy poprosić Marte, żeby zrobiła ci śniadanie?

- Nie... jestem głodny... więcej wody - wymamrotał, zanosząc się znowu ostrym, duszącym kaszlem, tak głębokim, że wydawał się dobywać z głębi trzewi, kaszlem, który rzucał nim po łóżku i zginał go wpół.

Nadine zeszła do kuchni, do której właśnie wchodziła Marte ze zmartwionym wyrazem twarzy.

- Miał bardzo spokojną noc - powiedziała wesoło Nadine. - Umyłam go gąbką i ułożyłam wygodnie. Znowu zasnął. To dla niego najlepsze. Usiłowałam go namówić, żeby coś zjadł, ale nie chce. Dobrze wiem, jak się czuje - kiedy się tak przeziębę, nie mogę patrzeć najedzenie, mogę tylko pić. Mój doktor w Paryżu powiada, że nikt nie wymyślił jeszcze nic lepszego niż odpoczynek i dużo płynów.

- Och, czuję się winna, że musiałaś to wszystko robić - powiedziała Marte nieszczęśliwym tonem.

- Marte, moja dobra Marte, jakże mogłabym nie zająć się własnym ojcem... ? Posłuchaj, przyrządzisz dobrą, pożywną zupę, wołowy rosół,

może nakłonię go potem, żeby trochę zjadł.

- Nie sądzisz, że powinniśmy zatelefonować do tego lekarza z Apt, który opiekował się Madame?

- To rozgniewałoby ojca tak, że jego stan mógłby się tylko pogorszyć. Wiesz, jak bardzo szczeni się tym, że nigdy nie chorował. Nie chciałabym brać na siebie odpowiedzialności za sprowadzenie lekarza do domu, chyba żebym wiedziała, że naprawdę jest z nim źle. Byłby tak wściekły, jakby zobaczył księdza z ostatnim sakramentem! Potrzebuje tylko zwyczajnej dobrej opieki. Marte, wiem, do czego możesz się przydać! Upiecz mi wspaniałego kurczaka, tak jak tylko ty potrafisz. Umieram z głodu! I twoje morelowe ciasto, i wielki talerz serów specjalnie dla mnie. Te sery z Félice śniły mi się po nocach. I wiejskie masło.

- Muszę iść do miasteczka. W domu prawie nic nie ma.

- Więc idź, idź. Ja tu zostanę. Nie martw się.

* * *

Przez ten długi, gorący wrześniey dzień Nadine stała na straży przy pokoju chorego. Stała na korytarzu, przy na wpół przymkniętych drzwiach i czujnie nasłuchiwała. Mistral kaszlał nieustannie i gwałtownie. Czasami jęczał i wzywał ją po imieniu, błagalnym, rozpaczliwym głosem, tak cichym, że niemal niedosłyszalnym. Chrapliwym szeptem raz po raz przyzywał Marte, potem kaszlał znowu, coraz bardziej rozdzierająco, ale jak jej się zdawało, coraz słabiej. Od czasu do czasu chyba zasypiał, ale nie na długo. Na dole pokrzepiona na duchu Marte z ulgą zajęła się gotowaniem i porządkowaniem domu.

- Otwórz okiennice, Marte, zdejmij z mebli te ohydne pokrowce, przynieś trochę kwiatów, rozpal w kominku ogień - w nocy wszystko

wygląda tak ponuro - zarządziła Nadine, zaś Marte zachwycona, że dom się ożywił, wypełniała rozkazy z radością. Zanim Monsieur wyzdrowieje na tyle, by mógł zejść na dół i narzekać, będzie czas, żeby znowu zamknąć okiennice.

* * *

W środku nocy Nadine obudziła się przerażona, tak jakby ktoś wołał jej imię, ale w domu panowała cisza. Wiedziała, że Marte śpi na dole w swoim pokoju za kuchnią. Ale... coś... coś się działo. Narzuciła szlafrok i weszła do pokoju Mistrała. Kiedy weszła do pokoju, zrozumiała natychmiast, że on umiera. Śmierć wypełniała przestrzeń, pierwotna siła, gęstość powietrza, nieodwracalne przemijanie. Wreszcie. Wreszcie.

Dusił się płynem, który wypełniał mu płuca. Słyszała to. Nigdy przedtem nie słyszała tego dźwięku, ale rozpoznała go. Czym innym mogło być to dławiące, rozpaczliwe charczenie? Gdybyż tylko w pokoju nie unosił się tak nieznośny fetor. Ale nie zamierzała wychodzić - dopóki nie będzie pewna.

Nadine podeszła do okna i otworzyła je, by rozwiać nieco ten ohydny odór bijący od łóżka. Przysunęła krzesło jak najbliżej okna i włączyła lampę znajdującą się nad jej głową. Przyjrzała się uważnie swoim paznokciom. Na jednym z nich odprysł lakier. Och, na dwóch. Przed pogrzebem będzie musiała znaleźć w Félice manicurzystkę.

Z łóżka dobiegał ją nowy, słaby głos, błagalny, proszący. Wody? Czy to możliwe, żeby tonący chciał wody? Niemożliwe. Męczył się, chcąc coś powiedzieć. Mamrotanie. Sylaby bez sensu. Nie słuchała.

Wkrótce z łóżka nie dobiegał już żaden dźwięk. Ani jeden. Ale Nadine nadal siedziała cicho w słabym kręgu światła. Czekala, dopóki nie

przekonała się całkowicie, że zwyciężyła, a potem szybko wróciła do swojego pokoju.

Potrzebowała snu. Zbudzi ją brzask poranka. To wszystko stało się tak nagle.

Ciągle padało. Nie przestaje padać cały dzień, pomyślała Fauve, wyglądając przez okno mieszkania Maggy, w którym schroniły się obie na wieść o śmierci Juliena Mistrala.

- Jak myślisz - Darcy zwrócił się łagodnie do Fauve - jak długo będę mógł mówić wszystkim dziennikarzom tym, że nie możesz z nimi rozmawiać? Oprócz „New York Times”, „Daily News” i „Post” pod domem czekają jeszcze korespondenci, pół tuzina zamiejscowych reporterów, grupa fotografów i dwie ekipy telewizyjne., Nie wpuszczono ich do hallu, ale - deszcz, nie deszcz - nie chcą odejść.

- Dlaczego nie mogą zostawić mnie w spokoju? - zapytała żałośnie Fauve.

- Na całe nieszczęście jesteś najsmaczniejszym kąskiem w całej tej historii, kochanie. Kiedy wszyscy dziennikarze zaczęli stawać na głowie, żeby złożyć życiorys Mistrala do kupy, z ich punktu widzenia najciekawsza, w całej tej sprawie jest Fauve Lunel, jego córka. Cały kłopot w tym, że takie rzeczy najbardziej interesują ludzi, a przy tym jesteś na miejscu i mogą się do ciebie dobrać. Sama jego śmierć to wielkie wydarzenie, ale dodaj do tego historię swojej matki... Sama widzisz, czego od ciebie chcą.

- Czy naprawdę muszę z nimi rozmawiać i odpowiadać na wszystkie pytania?

- Nie rozumiem, dlaczego Fauve musi to robić, a ty, Darcy? - zapytała Maggy. - Czy to konieczne?

- W ten sposób najłatwiej będzie sobie z tym poradzić - odparł Darcy. - Stawić im czoło.

- Co będą chcieli wiedzieć? - zapytała Fauve, całkiem zagubiona.

- Przede wszystkim pytali mnie, czy pojedziesz na pogrzeb. Sam tego nie wiem. Kiedy go ostatnio widziałaś, jak zareagowałaś na tragiczną wiadomość... wiesz, te wszystkie sprawy, o które pyta się członków rodziny.

- Nie spodziewałam się tego - powiedziała powoli Fauve.

- A ja, tak - stwierdziła z goryczą Maggy. - Pamiętam, co się działo, kiedy zginęła twoja matka... Będą o wszystko pytać i wszystko wydrukują. Darcy, czy nie możesz napisać oświadczenia i odczytać im? Powiedz, że Fauve jest zbyt wstrząśnięta, by z nimi rozmawiać.

- Można spróbować - powiedział z powątpiewaniem.

- Tylko nie mów, że pojedę na pogrzeb - ostrzegła go Fauve - bo nie pojedę.

W salonie zapanowała cisza, przzerwana dopiero wtedy, gdy Maggy i Darcy wymienili szybkie spojrzenia, po czym Darcy podniósł się, żeby wyjść. - Będę w bibliotece. Napiszę oświadczenie - wyjaśnił.

Maggy przeniosła się na sofę, usiadła obok Fauve i wzięła ją za rękę.

- Posłuchaj, Fauve. Jeżeli nie wybierasz się na pogrzeb, czy nie sądzisz, że wzbudzi to jeszcze większą sensację niż teraz? Niezależnie od twoich osobistych problemów z ojcem, dla całego świata był jednym z najwybitniejszych ludzi - nie tylko dla kolekcjonerów sztuki, a oprócz Nadine Dalmas jesteś jego jedynym dzieckiem. Musisz pojechać - Maggy mówiła rozsądnym i pewnym siebie tonem. Od rana unikały dyskusji na temat odmowy uczestnictwa Fauve w pogrzebie i miała czas, żeby zastanowić się nad sytuacją.

- To nie ma nic wspólnego z osobistymi problemami, Magali -

odparła Fauve stłumionym głosem.

- Kochanie, nie rozumiem cię. Za trzy dni w Félice odbędzie się wielki pogrzeb... wiemy o tym z konferencji dla prasy, którą zwołała Nadine. Nie może cię tam zabraknąć. Jeżeli chcesz, pojedę z tobą. Zwróci to jeszcze większą uwagę, ale to nieistotne.

- Nie, Magali. Nie trzeba. Dziękuję, ale nie zamierzam jechać.

- Posłuchaj, Fauve. Codziennie tysiące ludzi uczestniczą w pogrzebach i nikt ich nie pyta o to, co w głębi duszy sądzą o zmarłych. Wystarczy, że się jest na pogrzebie. To może być tylko formalność, ale ma głębokie znaczenie. To gest szacunku, jeśli już nic więcej. Zwłaszcza gdy chodzi o ojca.

- Nie mogę uczynić tego gestu - powiedziała Fauve tak cicho, że Maggy z trudem ją dosłyszała. Przysunęła się bliżej i otoczyła wnuczkę ramieniem.

- Już sama jego praca zasługuje na szacunek, niezależnie od tego, co zaszło między wami. Dzieła pozostają, Fauve. Nie zapominaj o tym. Musisz to zrobić... To obowiązek córki.

- Nie. Nie mówmy o tym więcej - powiedziała Fauve wstając.

- Po prostu nie rozumiem - wykrzyknęła zrozpaczona i zaskoczona Maggy. Dotąd zawsze można było przemówić Fauve do rozsądku.

- Przysięgałam sobie, że nigdy ci o tym nie powiem - o tym, co zrobił, o tym, dlaczego nie mogłam znieść jego widoku... ale teraz chyba muszę - albo nigdy tego nie zrozumiesz - Fauve uklękła przy sofie, na której siedziała Maggy i spojrzała na nią wzrokiem, w którym żal łączył się z rozpaczą, niechęcią i innym jeszcze uczuciem, którego Maggy nie potrafiła nazwać. Sprawilo ono, że cofnęła się w przerażeniu.

- Dla pracy, o której mówisz, dla pracy, którą powinnam szanować, Magali, poświęcił wielu ludzi.

- Poświęcił?

- W czasie wojny postanowił malować, podczas gdy cały świat walczył. A inni... nie był sam. Współpracował z Niemcami... w tym także nie był sam. Kiedy oddział Ruchu Oporu - partyzanci - ukradli prześcieradła, na których malował, zadenuncjował ich przyjacielowi, niemieckiemu oficerowi. Zamordowano wszystkich - wszystkich chłopców - ale on odzyskał swoje prześcieradła, więc nie musiał przerywać pracy. Ale nie to było najgorsze, Magali. To jeszcze nic. W czasie wojny, kiedy uciekinierzy próbowali zatrzymać się w La Tourelle na noc, nie pozwalał im wejść. Ludziom, którzy walczyli o życie - przeważnie Żydom. To byli jego przyjaciele z Paryża, Magali. Wielu z nich było też na pewno twoimi przyjaciółmi. Nie pomógł nawet Adrienowi Avigdorowi. Mógłby ocalić kilku tych ludzi, ale przeszkodziłoby mu w pracy. Żydzi - nikt dokładnie nie wie, ilu - dostali się do obozów koncentracyjnych z powodu jego pracy. I tam zginęli. Nic, żadna ludzka uczciwość nie mogła stanąć na drodze jego pracy.

- Jak... kto... ? - Maggy z trudem chwytła oddech.

- Powiedziała mi Kate, ale on to potwierdził.

- On potwierdził?

- Tak. Powiedział mi. W dniu, w którym wyjechałam. Wcale nie chciałam, żebyś o tym wiedziała, Magali.

- Mój Boże... mój Boże... dlaczego bałaś się o tym powiedzieć?... byłaś przecież dzieckiem... powinnaś była mi powiedzieć - Maggy była załamana.

- Było mi wstyd. Później nie było powodu, żeby o tym mówić. Wszystko się skończyło. Wiedział, że nie zobaczy mnie już nigdy.

- Wstyd?

- Było mi wstyd, że człowiek, który zrobił coś takiego jest moim ojcem. Wstydziałam się przede wszystkim za niego, wstydziałam się, że wiem, ile jest wart jako człowiek. Dlatego nie stać mnie na gest szacunku, Magali, ani wobec niego, ani wobec pracy. Jaka praca może być ważniejsza niż ludzkie życie?

* * *

Nadine Mistral nie była tak zadowolona, jak się tego spodziewała. Jak zwykle, mówiła sobie, starając się spojrzeć na wszystko z dystansu, nie ma ludzkich spraw bez skazy. Pogrzeb był prawie taki, jak to sobie wymyśliła. Z Paryża przybył minister kultury z całą świtą, a stary, smagany wiatrem cmentarz na wzgórzu Félice stanowił niezwykle fotogeniczne tło dla długiego konduktu, który szedł za trumną po mszy żałobnej.

Byli tam wszyscy dorośli mieszkańcy Félice, jako że mieli w zwyczaju chodzić na wszystkie pogrzeby w miasteczku, ale tłum powiększały rzesze miłośników sztuki z całej Prowansji, którzy chcieli potem opowiadać, że byli na pogrzebie Mistrala. Sprawy przybrały nie najgorszy obrót, pomyślała, mimo faktu że poza nią, Phillipem oraz kilkorgiem jego mało ważnych przyjaciół nie przyjechał nikt z Paryża. Oczywiście wszyscy, na których obecności jej zależało bawili jeszcze na wakacjach. To naturalne, że nie mogli przylecieć stamtąd do tak odległego miejsca. Gdyby ten stary umarł w październiku w Paryżu, byłoby całkiem inaczej, pomyślała Nadine. Ale, mimo wszystko, była to doskonała

uroczystość. Nawet w takim prowincjonalnym miasteczku kościół katolicki ma swój styl. Całkiem niezły. Wszystko odbyło się tak gustownie, że nie czuła potrzeby, by cokolwiek zmieniać.

Teraz, kiedy prasa wyniosła się tak bezceremonialnie, tracąc zainteresowanie gdy tylko trumnę spuszczone do grobu, Nadine poczuła się trochę osamotniona. Jednak stwarzało jej to pierwszą od śmierci ojca szansę odpoczynku.

Nadine pomyślała, że ten poborca podatkowy naprawdę ją drażni. Bezsprzecznie jest to duża niedogodność. Jak ten drobny urzędnik śmiał zabronić jej otworzyć pracownię? Czy sądził, że ukradnie swoją własność, zapytała go, gdy opieczętowywał frontowe i tylne drzwi? Odmruknął coś w sposób zbyt wymijający, aby wziąć to za impertynencję - powiedział, że w takim przypadku to normalne postępowanie, tylko do czasu przybycia panów z Paryża, zwykła formalność. Ale kiedy poskarżyła się Etienne'owi Delage'owi, pośrednikowi Mistrala - teraz jej pośrednikowi, napomniała się - powiedział, że nic nie może zrobić. Państwo musi ustalić swoją część masy spadkowej zanim cokolwiek będzie można ruszyć, nie mówiąc już o sprzedaży. Do wściekłości doprowadzała ją konieczność czekania po tak długim czasie jeszcze minuty dłużej i uznania roszczeń rządu, ale nie miała wyboru.

- A teraz co znowu? - spytała Nadine Marte, która pojawiła się w drzwiach do salonu.

- Właśnie przyjechał *maître* Banette, notariusz z Apt. Chce się z panią widzieć.

- Nigdy o takim nie słyszałam. Powiedz mu, że śpię, pozbądź się go.

- Próbowałam, *ma petite*, ale jest uparty. Mówi, że to coś ważnego.

- No dobrze. - Nadine westchnęła. Każdy wie, że nie można schować się przed notariuszem. Poradziła już sobie ze śmiercią i podatkami, więc jak miał się nie pojawić notariusz?

Nadine zauważyła w przypiływie złości, że pulchny mężczyzna o czerwonej twarzy, ubrany w urzędowy granat, który wszedł do salonu, ma pretensje do ważności.

- Wybrał pan sobie zły moment, żeby mnie nachodzić, monsieur.

- Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia, madame Dalmás. Lecz z pewnością rozumie pani, że musiałem tu przyjść jak najszybciej.

- Nie wiem, po co - *maître* Banette, tak? Po co pan tu przyszedł?

- Madame - rzekł z naganą w głosie - jedynie moje zawodowe zobowiązania mogły zmusić mnie do zakłócenia pani spokoju w takiej bolesnej chwili. Ale niewątpliwie musi pani zostać powiadomiona o tej sprawie z testamentem monsieur Mistrala. Zgodnie z przepisami znajduje się on w kartotece w Fichier Centrale des Dernieres Volontes w Aix, ale przyniosłem pani swój egzemplarz. Zdawałem sobie sprawę, że takie byłoby pani życzenie.

- Jego testament? - Nadine wyprostowała się gwałtownie.

- Sporządził testament! Nic o tym nie wiedziałam. - Z niepokojem zadała sobie pytanie, czy stary mógł zostawić jakieś pieniądze na cel dobroczynny. Nie, to do niego niepodobne. Z pewnością nie.

- Przyszedł po poradę do mnie trzy lata temu, madame - ciągnął *maître* Banette. - Powstał problem Aktu z 3 stycznia 1972 roku...

- Jakiego aktu? Nie przypominam sobie żadnego aktu z tamtych czasów, który dotyczyłby własności. Powiedziałyby mi o tym mój własny prawnik z Paryża.

- Ach, nie, madame. Nie ma on nic wspólnego z własnością jako taką. - *Maître* Banette napuszył się. - W 1972 roku parlament francuski po raz pierwszy umożliwił prawne uznanie dzieci z nielegalnych związków. Monsieur Mistral sporządził akt prawnego uznania mademoiselle Fauve Lunel.

Nadine oniemiała. *Maître* Banette mówił dalej. - I jest jeszcze jego testament, bardzo dziwny dokument. Bardzo trudno było udzielić porad monsieur Mistralowi, madame. Najpierw chciał zapisać cały majątek mademoiselle Fauve Lunel. Wyjaśniłem mu, że w świetle francuskiego prawa jest to niemożliwe. Zgodził się jedynie na podział majątku między swoje dzieci...

- Podział!

- Zapewniam panią, madame, że nie można było podzielić go na połowę, nie, Artykuł 760 prawa *Les Successions* jasno o tym mówi. Mademoiselle Fauve Lunel może otrzymać jedynie połowę tego, co odziedziczyłaby, gdyby była ślubnym dzieckiem, to znaczy dwadzieścia pięć procent majątku zamiast pięćdziesięciu. Pani, madame, zatrzymuje siedemdziesiąt pięć procent tego, co zostanie po odliczeniu podatków. - Przerwał i czekał, czy Nadine coś powie, ale gdy milczała, ciągnął wyjaśnienia, rozgrzewając się do tematu.

- Testament jest napisany w sposób, jakiego nie pochwalam, madame. Poinformowałem monsieur Mistrala o mojej opinii, ale z żalem stwierdzam, że nie uznał za stosowne przyjąć moich rad.

- Fauve - wysyczała Nadine. - Zawsze Fauve.

- Właśnie tak, madame. Najwyraźniej istniała... pewna preferencja tego dziecka.

- Co on powiedział? - zapytała ostro Nadine. - Proszę mi dać te papiery.

- Madame! - Przycisnął dokumenty obronnym gestem do korpulentnego torsu. - Tylko dlatego, że mademoiselle Fauve Lunel nie ma w Félice - dowiadywałem się - przyszedłem do pani nie czekając na jej przybycie. Trzeba będzie ją zawiadomić, wezwać, ale tymczasem pomyślałem, że powinienem panią poinformować o treści testamentu, ponieważ nie potrafię jej odnaleźć.

- Proszę to przeczytać, do cholery - wypluła z siebie Nadine.

- Właśnie zamierzam to uczynić, madame - rzekł z wyrzutem i odchrząknął.

- „Ja, Julien Mistral, pragnę zostawić wszystkie moje dzieła mojej najukochańszej córce, Fauve Lunel. Jednak ponieważ prawo mi na to nie zezwala, pragnę, żeby otrzymała cykl *La Rouquinne*, który odkupiłem od mojej żony Katherine Browning Mistral, akt której to sprzedaży jest dołączony do niniejszego dokumentu. Pragnę, aby moja córka Fauve otrzymała wszystkie obrazy przedstawiające ją i jej matkę, Theodore Lunel, która była jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochałem. W szczególności zostawiam Fauve cykl *Cavaillon*, do namalowania którego mnie zainspirowała. Dzięki Fauve nauczyłem się w końcu, lecz ku mojemu nieustającemu żalowi, zbyt późno, najważniejszych lekcji mego życia. Mam nadzieję, że pewnego dnia zrozumie, że jej posłuchałem i zmieniłem się. Jeśli moja ukochana córka Fauve zażyczy sobie tego, chciałbym, aby dostała posiadłość La Tourello i całą należącą do niej ziemię. Jeśli nie zechce przyjąć posiadłości, polecam, by ją sprzedać, a dochód dołączyć do mego majątku.

W żadnym wypadku nie życzę sobie, aby La Tourello i pracownia, w której malowałem, stała się własnością madame Nadine Dalmas. Wiem z całą pewnością, że nigdy nie doceniała ani nie rozumiała, ani piękna żadnej ziemi, ani istoty żadnej sztuki. Resztę mojego majątku, do oszacowanej wysokości dwudziestu pięciu procent, także zostawiam mojej córce Fauve. Byłbym zaszczycony, gdyby nazywała się Fauve Mistral, lecz zrozumieć, jeśli postanowi inaczej.

Wszystko to, co z tego zostanie, musi zgodnie z prawem przyspaść madame Nadine Dalmas, która z pewnością wszystko sprzeda jak najszybciej, by kupić sobie dalsze płytkie, niegodziwe, bezwartościowe i całkowicie bezcelowe życie, jakie zawsze prowadziła. „

To wszystko, madame.

- Ten bękart! Ta dziwka, plugawa, cholerna suka! Nie! Nigdy! Nie dostanie ani jednej rzeczy, ani franka, póki żyję! Musiał zupełnie zwariować! Zakwestionuję jego testament, nie zostanie uznany! - Z twarzy Nadine zmienionej w japońską maskę zła wydobywał się głos, na dźwięk którego notariusz wstał i zaczął się wycofywać z obrzydzeniem wyraźnie widocznym na twarzy. Uczynił wysiłek osłonięcia się swą godnością.

- Muszę pani powiedzieć, madame - udało mu się wykrztusić drżącym głosem - że nie ma żadnej wątpliwości co do zdrowia psychicznego. Gdybym wątpił w poczytalność monsieur Mistrala, nie sporządziłbym tego testamentu. Jest absolutnie ważny.

- Precz! Co pan w ogóle wie? Zadzwoń do mojego adwokata w Paryżu. Ty nadęty ośle, ty prowincjonalny, głupi durniu - oczywiście, że ten szalony testament będzie unieważniony. Wynocha! - Nadine ruszyła na notariusza z taką nienawiścią, że porwał kapelusz i uciekł z pokoju bez

słowa, zabierając ze sobą testament.

* * *

Gdy dowiedzieli się szczegółów, wszyscy dziennikarze zgodzili się, że to niewątpliwie największa historia od dłuższego czasu. Od dawna nie słyszeli o „*Inconduite notoire de la mere*”, Kodeks Cywilny, Akt 339. „Notoryczne złe prowadzenie się” ze strony Teddy Lunel, nadal najwspanialszej dziewczyny z okładki wszechczasów - niełatwo będzie to udowodnić, mówili eksperci, ale niewątpliwie jest to jedyna metoda podważenia tego niezwykłego testamentu, jaki sporządził Julien Mistral, a którego tekst odszukano w kartotece w Aix natychmiast po ujawnieniu wiadomości o procesie, tekst, który sam w sobie był wspaniałym tematem dla dziennikarzy. W sumie niezły rozgłos jak na wydarzenie, które według nich miało się skończyć na cmentarzu położonym wysoko na północnych stokach Luberon. Pewien młodszy reporter powiedział z podnieceniem, że to materiał na kilka tygodni.

Miesiące, ty młody ignorancie, miesiące, poprawił go starszy kolega, zacierając z zadowolenia ręce.

* * *

- To nie ma znaczenia, że Nadine Dalmas niczego nie może udowodnić - rzekł Darcy. - I tak dokona zemsty, i tak obrzuci imię Teddy błotem.

- Wolno jej wydobyć na światło dzienne wszystko, co znajdzie o mamie, nawet, jeśli nie ma to żadnego związku ze sprawą, tak? - zapytała gwałtownie Fauve.

- Obawiam się, że tak. Pewnie zamierza zrobić właśnie to. No bo dlaczego podjęła kroki, które doprowadziły do publicznego ujawnienia

treści testamentu? Gdyby nie wytoczyła procesu o unieważnienie testamentu, nikt by się nigdy nie dowiedział, jak Mistral nią gardził.

Fauve chodziła po salonie Maggy z zaciśniętymi pięściami.

Każdy mięsień jej ciała był napięty tak mocno, że chodziła tam i z powrotem pochylona, zgarbiona, nie mogąc się zatrzymać i usiąść w spokoju nawet na minutę. Ogarnęła ją wściekłość tak wielka, że Fauve nawet nie podejrzewała istnienia takiego uczucia. Było jak zbłąkana fala pojawiająca się na spokojnym morzu, zawisająca nad małą łódką i porywająca ją piętnaście metrów w górę. Nic, czego kiedykolwiek doświadczyła w całym swym życiu, nie miało znaczenia w porównaniu z atakiem Nadine na pamięć jej matki. Fauve uświadomiła sobie, że gdyby to było możliwe, zabiłaby Nadine tu i teraz - nie przeraża jej to.

- Jadę jutro do Awinionu. Nie dopuszczę do tego. Nikt nie będzie nazywał mojej matki dziwką! Nic mnie nie obchodzą obrazy, ale Nadine nie może tego zrobić - nie pozwolę na to.

- Fauve... - zaczęła Maggy i zamilkła. Spróbowała ponownie. - Wszystko to zdarzyło się przed twoim urodzeniem...

- Idę się spakować - rzekła Fauve nie zwracając na nią uwagi.

- Czy nie masz do kogo zadzwonić? - spytała Maggy błagalnie. - Może jest ktoś, kogo poznałaś przez te wszystkie wakacje spędzane we Francji, kto mógłby ci pomóc? Nie potrafisz sobie przypomnieć choć jednej osoby?

- Tak - rzekła Fauve powoli, zatrzymując się po drodze do drzwi - tak, jest ktoś taki. Jak mogłam o nim zapomnieć?

* * *

Eric Avigdor czekał na lotnisku w Marsylii. Wyraził swe

współczucie z rezerwą, pamiętając ich rozstanie przed sześcioma miesiącami.

- Tata był zachwycony, że do niego zadzwoniłaś - powiedział, gdy mknęli do Awinionu po Autoroute du Sud.

- Pewnie się bardzo zdziwił - po prostu poprosiłam informację zagraniczną o jego numer i uzyskałam połączenie w ciągu kilku minut. Obawiam się, że była prawie północ. Nie pomyślałam o różnicy czasu.

- Nigdy nie kładzie się spać wcześnie.

- Tak powiedział, ale pomyślałam, że po prostu był uprzejmy.

- Tata? Skończył z uprzejmością, gdy przestał pracować.

- Czy znalazł dla mnie prawnika? - spytała Fauve z niepokojem.

- Najlepszego w Awinionie. Czeka na ciebie u moich rodziców.

Nazywa się *maître* Jean Perrin. Walczył z tatą w Ruchu Oporu.

- Twój ojciec jest taki miły.

- Bardzo cię lubi. - Eric po raz pierwszy uśmiechnął się do niej i Fauve też się lekko uśmiechnęła. Na samą myśl o Adrienne Avigdorze poczuła się lepiej.

Znów zamilkli, ale ta cisza była mniej niezręczna niż sztywne słowa, jakie wypowiadali czekając na walizkę Fauve. Przyleciała do Marsylii od razu po wyjściu z samolotu w Paryżu, więc była wyczerpana i wymęczona, ale popołudniowe światło Prowansji na początku października, widok wiecznie świeżych drzewek oliwkowych i czujnych, spiczastych cyprysów jak zwykle cudownie na nią podziałał i krew jej zapulsowała czystą zwierzęcą przyjemnością powrotu.

Po raz pierwszy od ukończenia szesnastu lat Fauve pozwoliła sobie wspomnieć, jak bardzo kocha ten kraj. Skręcili z Autoroute w miejscu,

gdzie przechodziła nad główną szosą prowadzącą ze wschodu na zachód. Zamiast skierować się na wschód, do Félice, pojechali na zachód i w ciągu pół godziny przybyli do domu Avigdorów przy rue de la Montee St. Andre w Villeneuve-les-Avignon.

Na widok prawnika Fauve poczuła rozczarowanie i niepokój. Spodziewała się, że Jean Perrin będzie w wieku Adriena Avigdora, a ten człowiek nie mógł mieć więcej niż trzydzieści osiem lub trzydzieści dziewięć lat. Był szczupły, niski i wyglądał prawie jak chłopiec. Jednak gdy bliżej się przyjrzała jego szarym oczom, wyprostowała się na całą wysokość, bo Jean Perrin był jednym z tych ludzi, którzy ogarniają wszystko jednym szybkim, wszystko dostrzegającym, rozkazującym spojrzeniem.

Adrien Avigdor, nie zmieniony, miał na sobie sweter i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, ale *maître* Perrin był ubrany w dwurzędowy garnitur z rozetką Legii Honorowej w klapie. Fauve pomyślała z niepokojem, że jego elegancki, miejski strój nadaje mu wygląd łobuziaka wystrojonego w najlepsze ubranie.

Beth Avigdor uściskała Fauve tak ciepło, jakby ta była jej ulubioną siostrzenicą.

- Musisz być bardzo zmęczona, moja biedna Fauve. Pokój gościnny czeka na ciebie. Czy chciałabyś się położyć na godzinkę, zanim siądziemy do kolacji?

- Nie, dziękuję, madame Avigdor. Wolałabym od razu porozmawiać z *maître* Perrinem. Fauve usiadła z prawnikiem na szerokim balkonie domu, wysoko ponad miastem, mając widok na niedaleki Rodan, a za nim sylwetki pałaców w Awinionie, których wieże i wieżyczki sprawiały

wrażenie, jakby po wzburzonej rzece płynął ogromny żaglowiec.

- Eric mówił mi, że był pan w Ruchu Oporu z monsieur Avigdorem?

- zapytała Fauve, nadal niespokojna z powodu jego młodości.

- Widzi pani, ja nie znosiłem szkoły. O wiele łatwiej było uciec w góry koło Aix i bawić się w dobrych i złych. Kiedy wojna się skończyła, miałem trzynaście lat. Niestety, był jeszcze czas, by zmusić mnie do powrotu do szkoły i jak pani widzi, zostałem stosunkowo szacownym obywatelem.

- Ile pan miał lat, gdy uciekł pan ze szkoły?

- Dziesięć. - Wzruszył z uśmiechem ramionami. Ale byłem tak samo wysoki. - W tym uśmiechu Fauve dostrzegła zuchwałego, małego patriotę, jakim wtedy był i poczuła, jak opuszcza ją dotychczasowy brak zaufania.

- *Maître* Perrin, czy może mi pan pomóc?

- Tylko o tym myślę, od kiedy Adrien zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem. Właściwie spędziłem cały dzień pracując nad tym, mademoiselle, i muszę powiedzieć, że był to dzień bardziej interesujący od tych, jakie zwykle spędzam w moim biurze.

- Już się pan wziął do pracy? Ależ my nawet z sobą nie rozmawialiśmy.

- Sprawa najwyraźniej ogranicza się do kwestii osób mogących zaświadczyć o charakterze pani matki, prawda? Poszukałem ich zatem. Miło mi pani oznajmić, że znalazłem jednego świadka.

- Jednego? Jednego świadka? - zawołała Fauve. - Jak może to pomóc przeciwko oskarżeniu o „notoryczne złe prowadzenie się”? Gdy moja matka poznała ojca, miała dwadzieścia cztery lata... najwyraźniej znała już życie, nie była zakonnicą - a teraz znajduje się w rękach mojej przyrodniej

siostry, która postanowiła ją zniszczyć... och, moja matka jest taka bezbronna.

Zaufanie Fauve do Jeana Perrina znikło tak szybko, jak się pojawiło. Jak ten mężczyzna, który znów wydawał się jej naiwny i niedoświadczony, mógł nawet domyślać się, jakie fakty z życia Teddy Lunel można odkryć i przekręcić, z życia Teddy Lunel, która zawładnęła sercami tak wielu żyjących do dziś mężczyzn? „Pewna liczba kochanków”, powiedział jej kiedyś Melvin, a wiedziała, że starał się być taktowny.

Ilu z nich chciałoby się tym pochwalić? Ilu z nich potrafiłoby się oprzeć chęci mówienia o swoim romansie z najpiękniejszą dziewczyną na świecie?

- Mademoiselle, co wiek pani matki ma wspólnego z tym oskarżeniem?

- Chyba wszystko? - powiedziała z roztargnieniem. On po prostu nie rozumie.

- Nie rozmawiała pani z żadnym francuskim adwokatem czy chociaż notariuszem?

- Moja babka porozmawiała z francuskim prawnikiem w Nowym Jorku, a ja wyleciałam następnego dnia rano.

- Ach, z dyplomata. Szkoda. Ale właściwie skąd on może wiedzieć? Widzi pani, prawo Francji jest w tym względzie niezwykle jasne, nie dopuszcza żadnej wątpliwości, nie pozwala na bezpodstawne stawianie złośliwych oskarżeń. Oskarżenie o złe prowadzenie się stosowałoby się jedynie do okresu, w którym znali się pani rodzice i podczas którego można by podać w wątpliwość pani pochodzenie. Z tego, czego się

dowiedziałem, nigdy się nie rozstawali od dnia, w którym się poznali aż do dnia jej śmierci. Zamierzam doprowadzić do ustalenia tego faktu bez najmniejszej wątpliwości.

Oderwał wzrok od twarzy Fauve. Nieprzyzwoicie było patrzeć na taką ulgę. Gdy Jean Perrin usłyszał, że zaczyna szlochać, wstał i cicho wrócił do mieszkania.

- Co się stało? - zapytała Beth Avigdor. - Mam do niej iść?

- Nie, zostawiłbym ją przez chwilę samą - poradził Jean Perrin.

Eric nie zwrócił na niego uwagi i wybiegł na balkon. Fauve siedziała skulona na leżaku i tak trzęsła się od nieopanowanego szlochu, że Eric aż się przestraszył. Porwał ją w ramiona i mocno przytulił do piersi, dając jej się wypłakać, aż koszula stała się mokra od jej łez. Pocieszał ją cichymi słowami, kołysząc ją jak dziecko, aż w końcu uniosła mokrą, spuchniętą, zaczerwienioną twarz i wysapała: - Chusteczkę. - Poszukał w kieszeni i nic nie znalazł. - Wytrzymaj nos w mój rękaw - powiedział.

- Och, nie mogę - jęknęła Fauve. - W twój rękaw nie.

- A więc ja to zrobię. - Roześmiał się, rozpinając jedną ręką mankiet.

- Dmuchaaj!

* * *

W pół godziny później Fauve siedziała z umytą twarzą i wyszczotkowanymi włosami w salonie z trojgiem Avigdorów, a *maître* Perrin opowiadał o swym pracowitym dniu z tak dobrze skrywaną dumą, że tylko Adrien Avigdor wiedział, co czuje.

- Zacząłem od zadania sobie pytania, co dwoje ludzi, którzy jakby zniknęli ze swego normalnego świata, nadal robi jak zwykli ludzie. To znaczy ludzie, którzy nie żyją samą miłością - zaczął Jean Perrin. - A na to

jest tylko jedna odpowiedź, prawda? - Przerwał, ale nikt nie próbował zgadnąć. - Jedzą.

- Piją wino - poprawił go Adrien Avigdor.

- I jedno, i drugie, *mon vieux*. A gdzie jedzą? W restauracjach, przynajmniej od czasu do czasu, bo dwoje ludzi, nieważne, jak bardzo zakochanych, nie zadowoli się przez cały rok domową kuchnią. A gdzie w Awinionie jadałby największy malarz Francji? - Znow przerwał i tym razem Fauve zawołała:

- Hiely!

- Skąd pani wie, mademoiselle?

- Mój ojciec zabierał mnie tam przy specjalnych okazjach - wykrzyknęła i urwała, zdumiona. Od tylu lat nie wypowiadała słów „mój ojciec”, że aż trudno jej było uwierzyć, jak naturalnie spłynęły z jej ust.

- Oczywiście, w Hiely, jedynej dwugwiazdkowej restauracji w Awinionie. Nietrudno było się tego domyślić. Poszedłem więc tam dziś rano i porozmawiałem z monsieur Hiely. W 1952 roku uczył się swego *metier* w kuchni ojca, ale często podkradał się do drzwi, żeby ukradkiem podziwiać pani matkę. Pamiętał ją dobrze. Poprosiłem, żeby mi pokazał *Livre d'Or* restauracji, bo wiedziałem, że na pewno poprosili Julię Mistrala o wpisanie się do niej. Znalazłem jego podpis na jednej ze stron. Coś więcej niż podpis, czarujący rysunek taty Hiely. A pod spodem podpisała się też pani matka.

- Ale... ale... to niczego nie dowodzi - rzekła z wahaniem Fauve.

- Istotnie. Jednak rodzina Hiely wysyła na Boże Narodzenie życzenia swoim dobrym klientom i w restauracji zachował się spis adresów. Szukając trochę w papierach udało mi się znaleźć, gdzie rodzice pani

mieszkali w Awinionie i zaraz tam poszedłem, nie robiąc sobie przerwy na lunch, co Adrien przyjąłby ze zdumieniem. Dom nadal stoi i jest tam ta sama konsjerżka co wtedy. Przypuszczam, że madame Bette będzie tam i w roku 2000. W każdym razie bardzo mi pomogła...

- Konsjerżka? - przerwała Fauve.

- Nie, mademoiselle, proszę nie robić takiej powątpiewającej miny, to nie konsjerżka jest naszym świadkiem, chociaż byłaby znakomita, gdybyśmy potrzebowali więcej niż jednego. Madame Bette powiedziała mi, że rodzice pani zaprzyjaźnili się z lekarzem, który wciąż mieszka na parterze tego domu. Nie więcej niż dwie godziny temu udało mi się zastać tego lekarza w domu. Powiedział, że on i jego żona znali pani rodziców od dnia, w którym się wprowadzili - pomagali pani ojcu przenieść meble, które kupił. Obie pary od czasu do czasu spotykały się na kieliszek i chodziły na kolację do restauracji - do Hiely, Prieure czy gdzieś poza miasto. Bardzo lubili pani matkę, bardzo. Po jej śmierci nie widzieli się więcej z pani ojcem, ale od razu zrozumieli, dlaczego zniknął z ich życia. Mówili o całkowitym wzajemnym oddaniu pani rodziców. Lekarz, profesor Daniel...

- Doktor Daniel! - wykrzyknęła Beth Avigdor. - Ależ ja go znam!

- Naturalnie, Beth. Jest jednym z najszacowniejszych ludzi w całym Awinionie, profesorem na uniwersytecie w Aix, mademoiselle Lunel - wyjaśnił pośpiesznie Jean Perrin. - Profesor Daniel był niezwykle oburzony z powodu tego ohydneho i obrzydliwego oskarżenia... wpadł w wielki gniew - właściwie można powiedzieć, że wziął to do siebie. Oczywiście zarówno on, jak i jego żona, są gotowi zaświadczyć, że podczas całego pobytu w Awinionie matka pani nie miała do czynienia z

żadnym innym mężczyzną poza pani ojcem. Atak na testament zostanie odparty zanim jeszcze się zaczął. Nie będzie mowy o żadnych dalszych kłopotach ze strony madame Dalmas. - Jean Perrin uśmiechnął się nieśmiałym, szelmowskim uśmiechem tryumfu.

- Wziął to do siebie? - spytała Fauve. - Dlaczego ten lekarz potraktował to tak osobiście? Czy dlatego, że był tak zaprzyjaźniony z moimi rodzicami?

- To on, mademoiselle, sprowadził panią na świat.

- Madame Dalmas, jak to miło panią widzieć. - Madame Violette, główna vendeuse w salonie Yves Saint Laurenta, była zbyt dobrze wyszkolona, by na widok wchodzącej Nadine zdradzić się ze zdumieniem, ale wśród grupki młodszych vendeuses czekających, żeby przed pokazem wskazać klientom ich miejsca, powstał szmer pełnej zaskoczenia ciekawości.

Prowadząc Nadine do najlepiej usytuowanego fotela, madame Violette spytała: - Czy interesuje panią coś szczególnego, madame?

- Nowa, całkowicie nowa garderoba - odparła z obojętną miną Nadine. - Tak długo ubierałam się u Albina, że zrobiło się to zbyt nudne i całkowicie przewidywalne.

- Ach, lecz madame jest wspaniale ubrana. Jednak muszę się zgodzić, że odmiana zawsze jest przyjemna. Monsieur Saint Laurentowi będzie przykro, kiedy się dowie, że przyszła pani podczas jego nieobecności w Paryżu.

Nadine wzięła do ręki tradycyjny maleńki złocisty ołówek i biały notesik, w którym zamierzała zapisywać numery strojów, interesujących ją na tyle, żeby chciała je przymierzyć. Była trochę zdezorientowana siedząc jak zwykła klientka i czekając na pokaz nowej kolekcji. A także niezwykle podniecona. Nie zazna tego uczucia zbytniego opatrzenia, które istniało zawsze, gdy miesiącami obserwowała, jak powstają projekty Jeana François, tak że za każdym razem, gdy wkładała nowy strój, czuła się jakby nosiła go od lat.

Saint Laurent był największym projektantem na świecie, ale jeszcze wczoraj przyznanie czegoś takiego było nie do pomyślenia. Dzisiaj jest

wolna, wreszcie wolna od tyranii tego przecenianego, kwilącego niemowlęcia, Jeana François Albina, oraz jego dąsów i napadów złego humoru. Dzisiaj jest w sytuacji, w jakiej nie potrafiła sobie wyobrazić żadnej innej kobiety na świecie: ma tyle pieniędzy, ile tylko zechce wydać, a nawet więcej, a w jej licznych szafach nie ma ani jednej sukienki, ani jednej bluzki, nawet torebki, którą zamierza zatrzymać o dzień dłużej niż to konieczne. Rozmyślała, że nawet nowa miłość najbogatszego mężczyzny na świecie musi mieć w swej garderobie coś, z czym nie chce się rozstać, co zamierza jeszcze kiedyś włożyć; Ale od swej wczorajszej rozmowy - jeśli tak to można nazwać - z Jeanem François, Nadine postanowiła pozbyć się wszystkiego. Nie z powodu czegoś, co powiedział, właściwie padło wtedy niewiele słów. Nadine po prostu weszła do jego gabinetu i powiedziała mu, że odtąd będzie musiał sobie radzić bez niej.

- Ach, rozumiem - powiedział tak obojętnie, zapewne zbyt oszołomiony, by zacząć swe zwykłe narzekanie.

- Chyba rozumiesz, Jean François, że teraz... - uniosła ramiona gestem, który doskonale wyraził to, czego nie mogły uczynić słowa: teraz nie mogę już tracić więcej czasu na twoje drobne, irytujące zachcianki, teraz zobaczysz, że twoje głupiutkie życie rozpadnie się w kawałki, bo ja już nie mogę zawracać sobie tobą głowy.

- Ależ rozumiem, Nadine. Będę musiał sobie jakoś poradzić. Wybacz mi, Nadine, ale w przymierzalni jest księżna Grace, a obiecałem, że do niej przyjdę. Czy zobaczymy się wieczorem u niej na kolacji? Nie? Oczywiście, pewnie jesteś jeszcze w żałobie. A więc, *a bientôt!* - Pocałował ją sucho w policzek, jak całował każdego, i wyszedł zaaferowany, nucąc, wołając na swą ulubioną krawcową robiącą

przymiarki, by z nim poszła, prosząc sekretarkę, żeby przysłała do przymierzalni księżnej kawę, zatrzymując się tylko na chwilę, aby pogłaskać swoje afgany, leżące u wejścia do pracowni. - Tak, moje śliczności, jesteście najpiękniejszymi istotami stworzonymi przez Boga, tak, moje dzieci, tak - zanucił do psów i zniknął w głębi korytarza.

Dobrze to odegrał, pomyślała Nadine, każdemu mógłby zamydlić tym oczy. Wiedziała oczywiście, że zadała mu poważny cios, który z łatwością mógł przyprawić go o atak depresji nerwowej.

Było jednak coś - coś, co nie uszło jej uwagi - co spowodowało, że zdecydowała się przyjść dziś do Saint Laurenta. Gdyby nie знаła Albina tak dobrze, musiałaby powiedzieć, że to wrażenie... rozbawienia? Czy to możliwe? Z całą pewnością nie, pomyślała przyglądając się otaczającym ją kobietom z tylko na wpół skrywaną pogardą. To nie była właściwa pora roku do zamawiania nowych strojów; były to kobiety z prowincji albo cudzoziemki, zachwycone, że się tu znalazły. Nie podobało jej się, że razem z nimi będzie oglądać kolekcję, ale postanowiła nie nosić już ubrań od Albina. Co mogło tak rozbawić Jeana François?

Pierwsze modelki szybko zademonstrowały kostiumy na przedpołudnie zaprojektowane na jesień i zimę, które po raz pierwszy pokazano na początku lata. Nadine pomyślała, że do tej pory wszystkie jej znajome ubierające się u Saint Laurenta już otrzymały swe nowe jesienne kostiumy i je noszą.

Gdyby poprosiła madame Violette, była pewna, że czas potrzebny do uszycia jej strojów można by skrócić do minimum. Pomyślała ponuro, że musiałaby wtedy zostać potraktowana jak turystka dysponująca na przymiarki tylko dwoma tygodniami. Nie szkodzi, obejrzy kolekcję

wiosenną na pokazie dla prasy, razem z innymi uprzywilejowanymi klientkami Saint Laurenta ozdabiając pierwszy rząd foteli, co było taką samą częścią rytuału, jak same stroje i w pewien sposób od nich ważniejszą.

Wypisywała numery w notesie usiłując nie zastanawiać się nad rozmową, jaką rano odbyła ze swoim adwokatem. Poszła do niego próbując po raz ostatni przekonać go, aby zagłębił się w życie tej dziwki, matki Fauve. Gdy adwokat dowiedział się o świadectwie doktora Daniela z Awinionu, powiedział Nadine, że jej sprawa przeciw testamentowi ojca jest skończona, zamknięta. Chodziła do innych prawników i wszyscy powiedzieli jej to samo: można podjąć tylko jedną „*action en reduction*” testamentu. Musi zaakceptować testament jako ostateczny: nic już nie może przeszkodzić Fauve w otrzymaniu dwudziestu pięciu procent majątku w dokładnie taki sposób, jak to określa testament. Powiedzieli jej, że będzie musiała zadowolić się siedemdziesięcioma pięcioma procentami, jakby to chroniło ją przed świadomością, że nieodwołalnie ją oszukano i okradziono!

Nadine pomyślała, że to tak typowe dla jej adwokata upierać się przy ostatnim słowie, nawet w porażce. Powiedziała mu, że jest karygodnie nieprofesjonalny, na co jedynie odrzekł, że w ogóle odradzał jej podważanie testamentu. Gdy Nadine przypomniała sobie jego zadowolenie z siebie, jej ołówek złamał się na pół od siły, z jaką przyciskała go do papieru. Madame Violette, która stała w końcu sali obserwując klientki, natychmiast przyniosła jej inny.

Na wybiegu rozpoczęła się prezentacja zakietów ze spodniami. Były ręcznie uszyte z tą szczególną przesadą Saint Laurenta, której Albin nigdy

nie potrafił osiągnąć. Dokładnie w jej stylu. Akurat to co lubi najbardziej, pomyślała Nadine przewracając kartkę i zaczynając pisać na nowej.

Kobiety siedzące po obu stronach obserwowały, jak zapisuje numery, z tak widoczną zazdrością, że mogłaby roześmiać się im w twarz. Jak to jest, przyjść tutaj i wiedzieć, że można sobie pozwolić na tylko jeden zestaw? To niewyobrażalne, zajrzeć do szafy i znaleźć tylko jedno ubranie szyte na miarę. To tak, jak jeść porządny posiłek raz w roku, a resztę czasu żyć o chlebie i wodzie. Po co w ogóle w takim razie zawracać sobie tym głowę? Nadine zapisała więcej numerów, szybko, zachłannie. Nie mogła się już doczekać, kiedy pójdzie do przymierzalni i zobaczy się w tych strojach.

Winiła adwokata za więcej niż samo katastrofalne zeznanie lekarza w Awinionie. Dlaczego wyraźnie jej nie ostrzegł, że tekst testamentu jej ojca zostanie podany do publicznej wiadomości? Dlaczego nie powiedział jej, że do Aix zjadą się reporterzy, aby przeczytać znajdujący się tam dokument? Czy ten przyprawiający o mdłości, zadowolony z siebie tak zwany mężczyzna nie potrafił przewidzieć, że testament zostanie przetłumaczony na wszystkie języki obce, że zostanie ogłoszony w wiadomościach w każdym obcym mieście? Przynajmniej tak mówił Phillipe. Może Phillipe się mylił, może tekst pojawi się tylko w Paryżu? Nie zamierzała się dowiadywać.

Poglądy Phillipe'a nic już dla niej nie znaczyły, nie stanowiły źródła nawet drobnych rozterek. Wyrzuciła go tego samego dnia, gdy „Le Monde” i „Le Figaro” wydrukowały testament. Kazała mu się wynieść w ciągu godziny. Szybkość, z jaką się spakował i to, że zrobił to prawie bez protestu, była zdumiewająca, a nawet na swój sposób godna podziwu.

Pewnie wiedział, że to nadchodzi, zawyrokowała Nadine, pewnie się na to przygotował. Mężczyzna z jego doświadczeniem musiał wiedzieć, że gdy Nadine już dostanie pieniądze, pozbędzie się go. Pewnie planował, jak z tego wyjść z twarzą od dnia śmierci Mistrała. Musiała przyznać, że Phillipe w takich sprawach nie był głupi. W innych owszem, ale nie, jeśli chodziło o pieniądze innych. Człowiek, który całe życie potrafił jak gąbka ssać innych, musi mieć trochę sprytu.

W każdym razie, powiedziała sobie z ulgą, już nigdy nie będą jej obciążały jego rachunki, długi i opinie. Zależało jej wyłącznie na zdaniu przyjaciół. Zrozumieją przecież, że Mistral był starcem - szalonym, chorym starcem. Inni, te zera składające się na resztę świata, zapomną w ciągu godziny, nawet jeśli zadali sobie trud przeczytania tych nagłówków, tej całej historii. A więc monsieur Phillipe Dalmas myśli, że wylał jej na głowę kubek pomyj, tak? Typowe słowa rozgoryczonego mężczyzny, który dostał kopa. Czym wyjaśni, że nikt, ani jedna osoba, nie zagadnęła ją o testament?

Co za absurdalny pomysł... że nikt o tym nie wspominał, nie chcąc jej postawić w niezręcznej sytuacji. Wczoraj, kiedy wpadła na Helenę i Peggy przed Hermesem, żadna z nich nic nie powiedziała o testamencie. Nie złożyły jej jednak zwyczajowych kondolencji. Zachowały się, jakby od czasu, gdy ostatnio się z nią widziały, jeszcze przed śmiercią jej ojca, nic się nie stało. Wyglądały - no, może trochę bezceremonialnie.

Czasem nawet najlepiej wychowanym ludziom trudno było mówić o śmierci. Czy to dlatego zwykle przysyłali parę słów współczucia zamiast kondolencji przez telefon? Helenę i Peggy. Czy w ich spojrzeniu nie było jakby... rozbawienia? Gdyby ojciec którejś z nich sporządził tak wyraźnie

szalony testament, to zupełnie prawdopodobne, że miałyby na tyle szyku i taktu, żeby zrobić na ten temat jakiś żart, ale na głos, żeby wiedziały, że rozumie, jak jest śmieszny i nic nie znaczący, jak niewielki ma związek z rzeczywistością. Nadine wyjęła maleńką chusteczkę do nosa i dotknęła nią czoła pod grzywką. U Saint Laurenta jest o wiele za gorąco.

A, krótkie suknie wieczorowe. Zawsze szczególnie podziwiała Saint Laurenta za płomienną brawurę, z jaką były uszyte. Nigdy nie podobało jej się, że musiała nosić suknie wieczorowe Albina, zaprojektowane z klasycznie wygaszonym sex apealem. Ten Albin przesadzał z subtelnością, jak ze wszystkim innym.

Uważnie oglądając sukienki doświadczonym okiem, które zatrzymywało się z lubością na każdym szczególe, Nadine zastanawiała się leniwie, co to może być ten cykl *Cavillon*? To jakiś żart, wydziedziczyć ją z domu, w którym nie chciałyby mieszkać za żadne skarby, i kilku portretów trzech pokoleń dziwek, jakby mogły one być ważniejsze od całości jego dzieł, które jej przypadną. *Cavillon*? Miasteczko targowe, miejsce zupełnie nieinteresujące.

Jej ciekawość nie była aż tak wielka, by chciała się jutro znaleźć przy otwieraniu pracowni przez władze podatkowe. Będzie ją reprezentował Etienne Delage, jej pośrednik. Bóg jeden wie, że zarobi na niej za pośrednictwo wystarczająco dużo, by pojechać i siedzieć tam tak długo, jak będzie trzeba, pilnując poborców podatkowych przy sporządzaniu ich cholernego inwentarza.

Gdy pierwsza modelka wyszła w sukience wieczorowej, którą Nadine po prostu musiała mieć, skończył się jej papier i nie miała gdzie zapisać numeru. Kompletnie zapisała maleńki notesik numerami

wszystkich tych cudownych strojów, które chciała czym prędzej zamówić. Uniosła głowę, by dać znak madame Violette, że potrzebuje następnego notesu i złapała ją na tym, jak zakrywając usta ręką szepce coś do pozostałych dwóch vendeuses. Wszystkie trzy patrzyły wprost na Nadine. Odwróciły wzrok w chwili, gdy je zobaczyła, lecz na twarzy każdej z nich dostrzegła to rozbawienie, które widziała u Jeana François, Peggy i Helene. Śmiały się z niej. Drwiły? Nie, śmiały się.

Nadine wstała i ruszyła przejściem nie zważając na nogi mijanych kobiet. Zbliżając się do wyjścia z sali szła coraz szybciej.

- Madame Dalmas? Czy coś się stało? Czy mogę czymś służyć? - szepnęła madame Violette, doganiając ją tuż przy drzwiach.

- Duszno tu. Nie spodziewa się pani chyba, że można w taki dzień wytrzymać bez klimatyzacji parę godzin?

- Ach, madame Dalmas, ma pani całkowicie rację. Jestem niepokieszona, Monsieur Saint Laurent będzie niepokieszony. Jeśli pani pozwoli, wezmę pani notes. Gdy pani wróci, obiecuję, że klimatyzacja będzie włączona, a wszystkie numery, jakie pani wybrała, będą czekać na panią w naszej największej przymierzalni.

- Nie zobaczyłam niczego, co chciałabym mieć.

- Niczego? - powtórzyła z niedowierzaniem madame Violette.

- Nawet bluzki. Jestem rozczarowana tą kolekcją. Po Albinie odpowiadają mi stroje tylko najwyższej klasy.

* * *

Gdyby to było możliwe, Fauve Lunel potrafiła być niemal tak uparta jak jej ojciec, powiedział sobie w duchu Adrien Avigdor, rozmawiając z nią w swojej bibliotece.

- Nadal zamierzam wrócić prosto do Nowego Jorku - Fauve powtórzyła łagodnie, bo bardzo lubiła Adriena Avigdora, lecz ze stanowczością, której przyczyn wolała nie zgłębiać.

- Oczywiście, ale nie teraz, póki nie otwarto jeszcze pracowni, póki nie zobaczyłaś obrazów, które zostawił ci ojciec.

- Czy nie może pan po prostu zaakceptować faktu, że nie chce mieć z nimi nic do czynienia? - powiedziała prosząco - że po prostu odmawiam? *Maître* Perrin zgodził się wszystkim za mnie zając.

- Ufam Jeanowi całkowicie, ale są pewne rzeczy, których nie może zrobić za ciebie nikt inny.

- Jestem potrzebna w Nowym Jorku - rzekła Fauve, próbując innego argumentu. - Nie zdaje pan sobie sprawy ze wszystkiego, najdroższy panie Avigdor. Proszę sobie wyobrazić setki pięknych dziewcząt i trzy tysiące potencjalnych klientów spragnionych ich usług. Jak mogę je opuścić?

- Czy ty sprzedajesz te piękne dziewczęta?

- Chyba pan wie, co robię - roześmiała się z jego poważnej próby przekomarzania się.

- Wiem także, że są ludzie, którzy potrafią poprowadzić agencję podczas twojej nieobecności. Przypuszczam, że moja stara przyjaciółka Maggy nie rozleniwiała się z upływem czasu? Ufam, że nie pozwoli ani jednej z tych dziewcząt zginąć z braku pracy.

Fauve zawahała się, przyglądając się jego twarzy. Z pewnością nie wygląda na niewzruszonego, nieznośnego i opornego. Wygląda natomiast na tak spokojnego i odprężonego, jakby doił krowę, prawie zasypiając w słońcu, ale nadal nie potrafiła go przekonać, że ma rację. Teraz, gdy problem procesu Nadine został rozwiązany, gdy pamięć jej matki jest już

bezpieczna, dlaczego Adrien Avigdor tak bardzo chce użyć całej siły swego autorytetu, by zmusić ją do zostania na dłużej? Była mu zbyt wdzięczna za pomoc, żeby tak po prostu zlekceważyć jego zaangażowanie, ale z drugiej strony jej postanowienia nie zachwiało nic, co do tej pory powiedział.

- Nie ma już nic, co wymagającego podjęcia decyzji - odparła Fauve pamiętając o swym postanowieniu. - Co miałabym robić z La Tourello? Mam tylko kilka tygodni wakacji w roku i przecież nie zawsze chciałabym je spędzać tutaj, prawda? No, a co się dzieje, gdy dom jest niezamieszkały? Co z pożarami, z pękającymi rurami, mistralem strącającym dachówki i deszczem lejącym się do środka? Musiałabym go wynająć albo znaleźć stróża, który by tam mieszkał na stałe. To zbyt skomplikowane. Oczywiście sprzedam ten dom.

- Testament twego ojca wyraźnie mówi, że powinnaś zrobić tak, jak zechcesz.

- A więc? - spytała Fauve.

- Niemniej jednak uważam, że musisz przynajmniej zobaczyć swój spadek, cykl *Cawillon*. To twój obowiązek.

- Monsieur Avigdor - rzekła Fauve stanowczo - moglibyśmy tak rozmawiać całymi dniami. Ale nie o to chodzi. Ja wiem... ja wiem, jak mój ojciec zachował się w czasie wojny.

- Ach. - Udało mu się nie pokazać zaskoczenia i niepokoju, jakie w nim wywołały te słowa.

- Wiem także, że pan wie, że zdaje pan sobie sprawę, co zrobił nie tylko panu, ale wielu innym - nie, proszę nic nie mówić! Proszę mi tylko powiedzieć, czy nadal pan myśli, że mam „obowiązek”, jak pan to ujął,

zobaczyć mój spadek?

- Tak - odparł z przekonaniem.

- Ale dlaczego - jak pan może?

- Bo kimkolwiek był i co zrobił, nie możesz zaprzeczyć, że Julien Mistral kochał twoją matkę, a ona jego. A i ciebie bardzo kochał. Dał to jasno do zrozumienia w swoim testamencie. Cykl *Cavaillon*, cokolwiek by to było, został namalowany dla ciebie, Fauve, został namalowany z twojego powodu. Nie możesz się odwrócić do niego plecami.

- Czy więc pan mu wybaczył?

- Tak, mam nadzieję, że tak.

- Dlaczego? - znów zapytała, pochylając się do przodu, by spróbować zrozumieć.

- Dlaczego? Po części oczywiście dlatego, że był geniuszem. Wiem, że to niczego nie usprawiedliwia, ale z pewnością wiele wyjaśnia, przynajmniej częściowo. Ojciec mówił mi, że gdzieś w Księdze Hioba, o ile dobrze pamiętam, jest powiedziane, że wielcy ludzie nie zawsze są mądrzy. I nie zawsze są też uprzejmi albo odważni, Fauve. Jest w tym jednak coś więcej. Przebaczyłem mu, bo był człowiekiem i ja też jestem człowiekiem - tylko człowiekiem - a nie jego sędzią. - Gdy wypowiadał ostatnie słowo, do biblioteki wszedł Eric i stanął słuchając. Odpowiadając jego ojcu, Fauve patrzyła na Erica.

- Może pan ma rację, ale nadal nie chcę mieć do czynienia z przeszłością.

- Proszę tylko o jedną wizytę, Fauve - dalej nalegał Avigdor.

- Potem możesz zrobić, co zechcesz.

- Chyba można o was powiedzieć, że doszliście do meksykańskiego

impasu - powiedział Eric.

Adrien Avigdor patrzył z ciekawością na ciemny rumieniec pełnący od ramion ku linii jej włosów, gdy skinieniem głowy wyraziła zgodę. Dlaczego ten gałgan, jego syn, uważa, że jemu, Adrienowi Avigdorowi, trzeba powiedzieć, że doszedł do meksykańskiego impasu, cokolwiek to dziwaczne określenie znaczyło? Po prostu wygrał negocjacje, tak jak w pełni zamierzał i jak był tego zawsze pewien. Nie miał zwyczaju przegrywać w takich sprawach.

* * *

W kilka dni później, w drugim tygodniu października, trzem rzeczoznawcom wyznaczonym przez Biuro Podatków Spadkowych, udało się w końcu zebrać w La Tourello. Rząd czekał, aż będą wolni wszyscy najlepsi znawcy sztuki we Francji, bo zawartość pracowni Mistrała była zbyt ważnym źródłem dochodu, by obrazy wyceniał ktoś, kto nie był najlepszy.

Gdy Fauve jechała do Félice z Ericem i jego rodzicami, jej niepokój rósł coraz bardziej. Z trudem przyjęła fakt, że dała się przekonać do powrotu, nawet po raz ostatni, do domu, w którym znajdowały się dwa pokoje, które kiedyś kochała najbardziej na świecie: pracownia jej ojca i jej sypialnia w *pigeonnier*, do domu, o którym próbowała zapomnieć od szesnastego roku życia.

Przerażenie, paląca gorycz, beznadziejna litość dla tych nieznanym, którym odmówiono schronienia, ciągły wstyd, wszystkie uczucia, które w nią uderzyły, gdy przed kilkoma laty opuszczała La Tourello, wróciły potężną falą, gdy samochód przejeżdżał obok Menerbes i zbliżał się do Félice. Odczuwała chłód aż w kościach, a niepokój i napięcie sprawiły, że

czuła cały swój kręgosłup, jakby każdy krąg był zębem zaatakowanym przez poczucie niezwyklej niewygody. Nie bólu, lecz niemal nieznośnego niepokoju.

Zmysły Fauve były zbyt wrażliwe. Kolory krajobrazu wydawały jej się tak jaskrawe, że nawet okulary przeciwsłoneczne nie przynosiły ulgi, zdawała sobie też sprawę z głosów Erica i jego rodziców, jakby były zbyt głośne, lekko zniekształcone, nieco wyższe niż normalnie. A ich gesty wydawały się fragmentaryczne, urwane, drżące. Usiłowała odzyskać kontakt z rzeczywistością, lecz wszystko sprawiało wrażenie halucynacji, która stawała się coraz bardziej nie do zniesienia, w miarę jak wspinali się wąską drogą poprzez las dębowy i Fauve w końcu zobaczyła stare mury La Tourello wznoszące się za aleją wirujących cyprysów.

Zaparkowali przy łące pokrytej płataniną ostów i ostrej trawy, wysychającej całe lato. Fauve wysliznęła się z samochodu niechętnie, powoli. Uderzył ją zapach kapryfolium. Udało jej się zapomnieć tyle szczegółów. Udało jej się zapomnieć, że *mas* był pokryty kapryfolium. Udało jej się zapomnieć, jak nigdy nie mogła odetchnąć jego słodyczą wystarczająco głęboko, jak ten zapach nigdy nie dusił, nigdy nie stawał się mniej kusząco wonny, jak zawierał tajemniczą nutę, której nigdy nie potrafiła uchwycić, woń będącą przedestylowanym wspomnieniem dzieciństwa.

- Patrzcie, są już samochody. Rzeczoznawcy muszą już czekać w środku - powiedział Adrien Avigdor, żeby Fauve ruszyła się z miejsca. Stała sztywno z niechęcią widoczną w każdej linii jej ciała - i z czymś jeszcze. Czymś, co mógł nazwać tylko strachem. Sam doznawał głębokiego i bolesnego uczucia. Nie stał w tym miejscu od lata 1942 roku,

gdy Marte Pollison nie wpuściła go do środka, a on się odwrócił, by zobaczyć, jak Julien Mistral pozwala mu odejść.

- Chodźmy - odezwał się Eric biorąc Fauve bezceremonialnie za rękę. Pociągnął ją za sobą przez otwartą bramę na dziedziniec.

Stała tam grupka pięciu mężczyzn. Palili i rozmawiali ze sobą. Jednym z nich był Etienne Delage, pośrednik Mistrala reprezentujący obecnie Nadine Dalmas, trzech było rzeczoznawcami, a jeden kontrolerem z Wydziału Podatkowego w Awinionie. Wszyscy przedstawili się, z powagą ściskając ręce Fauve, Erica i jego rodziców.

- Zdaje się, że nie ma nikogo, kto by otworzył drzwi - rzekł jeden z ekspertów, brodaty, wysoki i elegancki paryżanin.

- Ja mam klucz - powiedział pośrednik. - Poinformowano mnie, że stara służąca odeszła na emeryturę. Dom jest pusty. Wszystkie klucze zostawiono u notariusza w Apt, *maître* Banette. Poprosił mnie, bym przekazał je mademoiselle Lunel, ponieważ sam nie mógł tu dzisiaj przybyć. Prosił także, bym jej powiedział, że gdyby potrzebowała go w sprawach spadkowych, jest na jej usługi.

- Wyjął klucze na kółku i podał je Fauve.

- Bardzo pana proszę, monsieur - rzekła cofając się gwałtownie - czy mógłby pan otworzyć drzwi?

Etienne Delage skinął głową i poprowadził wszystkich do pracowni. Chociaż znał dom gorzej niż Fauve, zostawała w tyle, stawiając każdy krok z niechęcią, postępując z grupą przez słabo oświetlone domostwo, przez pokoje, gdzie niekiedy jakaś okiennica była jeszcze otwarta, aż w końcu wyszła na tyły domu, do skrzydła z pracownią. Wreszcie stanęli przed drzwiami do pracowni Juliana Mistrala.

Kontroler podatkowy z Awinionu zdjął pieczęcie, które umieszczono na drzwiach w kilka godzin po ogłoszeniu śmierci Mistrala.

- Mademoiselle? - poprosił Fauve, wskazując drzwi. Potrząsnęła przecząco głową i znów Delage otworzył drzwi pracowni.

Teraz, jednym ruchem, wszyscy się cofnęli a Fauve zmuszona ich uprzejmością i samą chwilą weszła pierwsza. Ściągnęła łopatki i zrobiła kilka szybkich, stanowczych kroków w głąb mrocznego pomieszczenia, zanim nagle się zatrzymała. Wstrząs, jaki przeżyła od zapachu kapryfolium był niczym w porównaniu z atakiem, jaki przypuścił na jej zmysły ukochany, doskonale znajomy aromat królestwa, w którym jej ojciec malował przez prawie pięćdziesiąt lat. Niemal krzyknęła, zderzając się tak gwałtownie z najważniejszymi godzinami swojej przeszłości.

W pracowni nie było ciemno, choć wszystkie okiennice zostały założone. Część świetlika była otwarta i nadal paliło się światło, tak jak zostawił je Mistral. Strzały porannego słońca, w którym wirowały miliardy cząsteczek kurzu, wydawały się kolumnami wydzielającymi w powietrze ostry zapach farby olejnej.

Fauve na moment zamknęła oczy przed atakiem wspomnień, a potem, odzyskując równowagę, stała sztywno, patrząc na podłogę. W końcu podniosła wzrok i stawiała czoło pracowni.

Co to takiego? Co to za rozszalała symfonia kolorów? Co to za ogromne płótna dyszące życiem, to poczucie tworzenia tak pełne zadowolenia, tak hojne, że unosiło na skrzydłach silniejszych niż orle? Skąd brał się rytm pulsujący w całej pracowni majestatycznym gromem?

Na całej niewielkiej przestrzeni znajdowało się tylko kilka ogromnych płócien, większych od wszystkiego, co Mistral kiedykolwiek

namalował, a każde zostało starannie powieszzone w miejscu świadczącym o głębokim przemyśleniu. Jedynym śladem obecności Mistrała była solidna, przenośna drabina ustawiona w jednym kącie oraz stare sztalugi z pustym, świeżym płótnem.

Patrząc na ściany, Fauve wstrzymała oddech, oszołomiona złożonością wizerunków wylewających się z ram roztańczonym korowodem. Spojrzała na jeden obraz i znalazła lwy w koronach wspinające się na tylnych łapach, rozbrykane jagnięta, skaczące gazy i polatujące wokół synogarlice, a wszystko na tle splątanej jaskrawości dzikich kwiatów i jabłoni błyskających jak klejnoty, seledynowych i zielonych jak oliwki. Popatrzyła na następny obraz i pogrążyła się w majestatycznym ciężarze spiętrzonych snopów pszenicy i jęczmienia, obfitości granatów, daktyli, winogron, oliwek i fig. Tutaj migotały głębokie, bogate zielenie i złoto pełnego lata, rozfalowane jak sztandary. Następny obraz wybuchał nagromadzoną dojrzałością, głębią i intensywnością odcieni jesiennego zrównania dnia z nocą: ametystu, wina, dyni i rubinu, drgających spełnieniem żniw. Gałęzie palmowe przybrane wierzwą i mirtem były wyrzucone wysoko, niby we wspaniałej procesji posuwającej się pod czerwonym księżycem w pełni i niezliczonymi gwiazdami.

Śpiewające ptaki... róża Saronu... cedry Libanu... co to znaczy?

Wtedy zobaczyła na przeciwległej ścianie obraz największy ze wszystkich i natychmiast poddała się jego magnetyzmowi. Całe roziskrzone bogactwo innych wizerunków zbladło wokół niej, gdy zawężyła pole widzenia, podchodząc do ogromnego obrazu, na którym siedmioramienny świecznik płonął kaskadą żywego światła. Z

monumentalnej menory na tle tryumfalnego szkarłatu promieniowała chwała tysięcy lat wiary. Fauve stała oniemiała, z zadartą głową, z mocno bijącym sercem, z umysłem przepelnionym lękiem.

Stojący za nią Eric przeczytał głośno słowa namalowane przez Julię Mistrala dużymi, wyraźnymi literami pod menorą:

- La Lumiere Qui Vit Toujours. La Synagogue de Cavaillon, 1744 - światło, które żyje wiecznie...

- On... on pojechał do Cavaillon! - wykrzyknęła Fauve ze zdumieniem i radością.

- Cykl „Cavaillon” - to właśnie znaczy to - powiedział Eric powoli, z szacunkiem.

- Ale te inne obrazy? Co... ?

- Na każdym z nich jest napis - odparł Eric. Grupa gości rozchodziła się po pracowni, zapamiętując się w przygodzie odkrywania, głośno wykrzykując, mówiąc do siebie i do innych, wyruszając na nie opisane mapami, morza geniuszu Mistrala.

Fauve nie odwracała się, lecz w dalszym ciągu wpatrywała się przenikliwie w wielki świecznik, który upamiętniał święte naczynie stojące w sanktuarium na pustyni i w dwóch świątyniach w Jerozolimie. W końcu odwróciła się i wzięła Erica za rękę. Razem przeszli przez całą pracownię i stanęli przed pierwszym wielkim obrazem.

Na nim dwie wysokie świece tkwiły w wypolerowanych świecznikach, a na białym obrusie obok chały stał srebrny puchar napelniony po brzegi winem. Każdy z tych prostych, podstawowych przedmiotów mówił namiętnie o wdzięczności człowieka za dary Stwórcy. Z płótna wylewał się spokój, radość, radosna powaga i Fauve skinęła

głową, zaczynając rozumieć.

- Szabat - powiedział brodaty ekspert z Paryża, tłumacząc napis namalowany nie po francusku, ale literami alfabetu hebrajskiego. Szabes. Fauve przyjrzała się mocnym, nieznanym, pobudzającym wyobraźnię kształtom liter i zobaczyła w nich charakterystyczne pociągnięcia pędzla Mistrala, ostre i gwałtowne, lecz ujęte dyscypliną, do jakiej nigdy przedtem się nie nagiął.

Szybko przeszła do następnego obrazu i zdała sobie sprawę, że trzy płótna, te ze skaczącymi gazelami i rosnącymi gałęziami, na których najpierw zatrzymał się jej wzrok, były specjalnie oddzielone od pozostałych. Cofnęła się, żeby zobaczyć je w całości.

Zdziwiona, choć wyniesiona na kolejny szczyt przyjemności wzrokowej, patrzyła od jednego do drugiego z pełnym dezorientacji podnieceniem. Co jest kluczem do tych namiętnych rytmów, do bogactwa wyobrażeń?

Usłyszała z prawej strony głos Adriena Avigdora, zatrzymujący się przy każdym słowie, tłumaczący znaczenie hebrajskiego podpisu złożonego z liter, których uczył się przez kilka lat bardzo dawno temu, liter, które jak się przekonał, nigdy nie zniknęły z jego pamięci.

- *Pesach* - rzekł dźwięcznym głosem patrząc na pierwsze płótno.

- Święto Wyjścia - dodał ekspert z Paryża. - Rocznicą objawienia na górze Synaj - użył tu symboli z „Pieśni nad Pieśniami”.

- *Szawuot* - powiedział Avigdor, zwracając się ku następnemu obrazowi i znów ekspert pośpieszył z wyjaśnieniem. - Letnie Święto - przynoszenie do świątyni owoców i zboża.

- *Sukot* - przeczytał Avigdor z trzeciego obrazu i zamilkł.

- Jesienne Święto Szałasów - odezwał się głos paryżanina.

- Szałasy budowane z gałęzi i trzciny, w których wszyscy spali przez tydzień, widząc nad sobą niebo.

Fauve zachwiała się, a wokół niej ogromne kształty na obrazach wydawały się sięgać coraz wyżej i wyżej, aż dotknęły sufitu pracowni i wyszły ponad nią w firmament wypełniony blaskiem księżyca. Ściany cofnęły się, kolory płonęły coraz jaśniej, usłyszała śpiew gwiazd i śmiech gałęzi palmowych, poczuła skrzydła wiatru, a kształty zaczęły się poruszać, unosić z obrazów i wirować wokół niej we wznoszącym się, świecącym, rozżarzoneym hymnie pochwalnym, zwycięskiej hosannie koloru.

Coś w głębi Fauve otwarło się i wreszcie zrozumiała; Julien Mistral przekroczył zielone pola czasu i zamieszkał w starodawnym Jeruzalem; jego pogański pędzel został przemieniony i Mistral przeznaczył swe ostatnie i największe siły na namalowanie świąt ludu, który czci niewidzialnego Boga.

Uszanował tę niewidzialność. Nie próbował dokonać niemożliwego; nie usiłował malować głosu z krzaka gorejącego, lecz sięgnął do sedna ich świąt i odmalował ducha, w jakim utrwalali pamięć swego Boga w taki sposób, że potrafiły go zrozumieć wszystkie ludy na ziemi, bo wszyscy ludzie żyją według wiecznie obracającego się koła przyrody. Zamknęła oczy i oparła się na ramieniu Erica.

- Nic ci nie jest? - zapytał z niepokojem.

- Wyjdźmy stąd na chwilę... Później obejrzę inne obrazy.

Gdy ruszyli w kierunku drzwi, Adrien Avigdor podszedł do Fauve i wyciągnął rękę z pytaniem wypisanym na twarzy, na które otrzymał

odpowieź zajrzawszy w przemienione oczy Fauve. Opuścił rękę zadowolony i przepuścił ich. Fauve minęła sztalugi Mistrała, ale odwróciła się widząc kątem oka kawałek papieru przypiętego do drewna. Ręka jej ojca napisała na nim jedną linijkę. Zatrzymała się. Kawałek papieru był zużyty, zżółkły i pobrudzony tęczą kolorów, jakby był często brany do ręki, ale tkwił na sztalugach jak sztandar z mottem.

- Słuchaj Izraelu, Pan jest naszym Bogiem, Pan jest jeden - przeczytała na głos. - To wszystko.

- A czy to nie wystarczy?

- Próby opisanie ci tego przez telefon są tak strasznie nieudolne - czy nie mogłabyś przylecieć i sama ich zobaczyć, Magali? - poprosiła Fauve.

- Kiedyś przylecę, ale teraz to niemożliwe. Dawno nie było takiego zamieszania, a nie odważę się zostawić agencji samej. Najważniejsze, że wiemy, że twój ojciec namalował te obrazy, wiemy, że chciał stworzyć coś, co zrównoważyłoby przeszłość. Chyba można to nazwać tylko odkupieniem... nie jest to słowo, którego często używam, kochanie. Dziękuję Bogu, że miał czas to zrobić.

- To coś więcej niż kwestia czasu, Magali. Zrozumiesz, gdy je zobaczysz. Malował do ostatniej kropli krwi. Monsieur Avigdor mówi, że czasami na stare lata zdarza się malarzom tak wszechogarniająca wizja, ale tylko największym - Donatellowi, Rembrandtowi - to jest coś tak zupełnie świeżego, że wznosi się wysoko ponad wszystko, co kiedykolwiek stworzyli. Tak jak wszyscy inni, monsieur Avigdor sądził, że ojciec został tego pozbawiony, ponieważ przez osiem lat nie namalował nic nowego i że ukrywa się, ponieważ nie chce przyznać, że już nie może malować.

- Czy wszyscy byli tak oszołomieni jak ty?

- Tak, chociaż poza Avigdorami nie przeżyli dodatkowego wstrząsu, nie wiedząc, co ojciec przedtem czuł do wszystkiego, co miało jakiś związek z Żydami. Eksperci byli oszołomieni - po prostu oniemieli - mimo że cały czas mają do czynienia z wielką sztuką. Najbardziej wzruszył mnie człowiek z Wydziału Podatków. Nie ma żadnego wykształcenia malarskiego, ale chodził po pracowni w niemym zachwycie, po prostu oglądając obrazy - tak się zapamiętał w cyklu *Cavaillon*, że zupełnie zapomniał o innych obrazach w magazynie. Chciałam zadzwonić do ciebie

od razu, ale na szczęście przypomniałam sobie, że w Nowym Jorku jest jeszcze środek nocy, więc zaczekałam, aż przyjdiesz do biura.

- Och, jestem tu już od pewnego czasu - rzekła Magali. - Jest przecież prawie dziewiąta.

- Chodzi o to, że nie mogę tak zaraz wyjechać z Prowansji, Magali. Cykl wzbudził ogromne zainteresowanie, a ponieważ należy do mnie, będę musiała tu zostać. I wcale nie jestem pewna, kiedy dokładnie będę mogła wyjechać. Nie chciałabym cię tak zostawić...

- Nie martw się o mnie ani sekundy. Wszystko jest pod kontrolą.

- Ale twoje weekendy - zaprotestowała Fauve.

- Nie przejmuj się nimi. Kwiaty w ogrodzie prawie już skończyły kwitnąć i do twego powrotu będziemy wyjeżdżać na wieś tylko na soboty i niedziele. Darcy zrozumie... kiedy Darcy nie rozumiał?

- Och, Magali, dziękuję, i podziękuj Darcy'emu. Będę dzwonić co kilka dni. Ucałuj wszystkich ode mnie, szczególnie Casey i Loulou i... Kocham cię, Magali. Tak się cieszę.

- Słyszę to w twoim głosie, kochanie. Nie śpiesz się, podejmuj mądre decyzje, nie bądź pochopna. Kocham cię, Fauve.

* * *

Maggy odłożyła słuchawkę i odchyliła się na oparcie fotela przy biurku. Tak jak Fauve, była w euforii. Szczegółowy opis cyklu z Cavaillon, choć Fauve uważała go za niedostateczny, trwał ponad dwadzieścia pełnych podniecenia i zachwyty minut. A więc ten człowiek użył wreszcie danego mu od Boga talentu do przyporządkowania światu czegoś więcej niż jedynie piękna. Maggy odkryła, że czuje się tak samo szczęśliwa z powodu swej wnuczki, jak z powodu Juliana Mistrala, tego

Juliena Mistrala, którego kochała i nienawidziła tyle lat. Istniały między nimi rachunki nie do uregulowania, nawet gdyby zilustrował każdą linijkę Starego Testamentu, ale teraz w końcu mogła szczerze pomyśleć „Spoczywaj w pokoju”. Przez dłuższą chwilę siedziała pogrążona w myślach. Potem, wyrwana z zamyślenia spojrzeniem na zegar stojący na biurku, poprosiła do siebie Casey i Loulou. - Właśnie rozmawiałam z Fauve, moje panie. Przesyła wam specjalne ucałowania i mówi, że będzie musiała jakiś czas zostać we Francji. Musi się zająć pewnymi sprawami.

- Jak się czuje? - spytała Casey z niepokojem.

- Absolutnie wspaniale! Nigdy nie było lepiej. No! Jest kilka spraw, o których chciałam porozmawiać z Fauve, które nie mogą czekać do jej powrotu. Casey, przeglądałam zdjęcia próbne tej dziewczyny, którą znalazłaś na Południowozachodnim Regionalnym Konkursie Modelek. Nie ma mowy, Casey, nie ma mowy. - Maggy potrząsnęła przecząco elegancką głową.

- Maggy, ona była najwspanialszą dziewczyną na konkursie - zaprotestowała Casey.

- Wpadłaś w pułapkę. Poszłaś zobaczyć setki dziewcząt i wybrałaś najlepszą. Ale czy pamiętałaś, żeby wziąć ze sobą dla porównania kilka zdjęć naszych własnych dziewcząt?

- No, nie, zapomniałam. Ale spędziłam na ocenianiu tych dziewcząt trzy całe długie dni.

- O to właśnie chodzi. Po trzech dniach oglądania ich kolejno, złapałaś najlepszą. Niezwykle łatwo jest oszukać oko, pójść na kompromis, zapomnieć, jak wspaniała musi być dziewczyna. Sama tak wpadałam wiele razy. Ona jest naprawdę ładna, Casey, ale nie na tyle,

żeby dostać się do Lunel. - Maggy podsunęła serię zdjęć Casey, która przyjrzała się im uważnie i westchnęła zgadzając się z jej zdaniem.

- Masz rację - rzekła. - Trudno, i tak jest zaręczona z chłopcem ze swojego miasta. Może się ucieszy. On na pewno.

- Loulou - powiedziała Maggy. - Przysłuchiwałam się otwartym rozmowom. Widzę, że nasza recepcja jakoś nigdy nie jest pusta. Czy zdajesz sobie sprawę, że u Bobbie - Ann rozwinął się kompleks Pigmaliona?

- O, Boże, od dwóch miesięcy zajmuje się próbami, a ja byłam zbyt zajęta, żeby zwrócić na nią uwagę. Co się stało?

- Loulou, istnieje milion sposobów przyjemnego odrzucania ofert. Ale Bobbie - Ann nie mówi „przykro mi” krótko i miło. Dziś rano spędziła siedem minut pokazując jednej dziewczynie, jak używać różu, zanim ją odrzuciła, i osiem minut z inną na rozmowie o zmianie jej fryzury - potem też ją odrzuciła. To nieuczciwe dawać komuś fałszywą nadzieję, nawet na kilka minut - powiedziała Maggy szorstko. - Porozmawiaj z nią, Loulou. Jeśli Bobbie - Ann nie zmieni się, zawsze może założyć szkołę piękności. Jeśli jakaś dziewczyna starająca się u nas o pracę ma zostać odrzucona, powinno się to stać przy jak najmniejszym kontakcie osobistym, zanim zaczniesz czuć, że zdobyła nową przyjaciółkę. W ten sposób nie boli to tak bardzo, zapewniam cię.

- Tak jest, proszę pani! Pogadam z nią. Posłuchaj, Maggy, martwi mnie Bambi Dwa. Mówi, że tęskni za domem i je jak szalona. Przyłapałam ją na tym wczoraj.

- Porozmawiam z nią. Może na początek trochę pomogłoby, gdybyście wszystkie przestały ją nazywać Bambi Dwa. Spróbuj.

Zobaczymy, miała trzy okładki „Glamour”, a zastanawia się nad nią „Vogue”. Chyba o tym wie?

- Aha.

- No dobrze, oczywiście, że tęskni za domem i naturalnie zjada wszystko, co wpadnie jej w ręce... może uda jej się przytyć na tyle, żeby nie dostać się na okładkę „Vogue'a”, jeśli będzie zmiatać jedzenie wystarczająco szybko. To po prostu wypływa na powierzchnię codzienna, zwykła, rozsądna i zrozumiała niepewność. Któż nie przeżył małego kryzysu tożsamości - dawno już powinna go mieć. - Maggy uśmiechnęła się do dziewcząt. Pomogła już w takiej sytuacji pół setce modelek.

- Czy coś jeszcze? - spytała ostrożnie Casey.

- Nie, a w każdym razie nie teraz. Czy pamiętałam, żeby wam powiedzieć, że jeśli o mnie chodzi, to obie jesteście absolutnie niezastąpione? Nie? No to uważajcie się za oficjalnie zawiadomione. Aha, wyślijcie kogoś, żeby mi kupił czerwony goździk - tylko jeden, do klapy. - Gdy wychodziły z gabinetu, podniosła słuchawkę, żeby zadzwonić do Darcy'ego.

- Hmm - mruknęła Casey, gdy wyszły na korytarz.

- Co oznacza ten dźwięk? - zapytała Loulou, nadal ślicznie zarumieniona od niesłychanego komplementu Maggy.

- Jakoś dobrze, że Maria Antonina znów szaleje.

- Czy właśnie nie przetrzepała nam skóry?

- Tyle, ile trzeba - uśmiechnęła się Casey. - Akurat *comme il faut*, Loulou, jeśli wiesz, co mam na myśli.

* * *

Nadine Dalmas postanowiła zmienić fryzjera i wypróbować

Aleksandre'a. Jak zwykle, gdy jest się uprzejmym, ludzie pozwalają sobie na poufałość zapominając, że linia oddzielająca obsługiwanych od obsługujących może być niewidoczna, ale prawdziwa, i nigdy nie może być przekroczona.

Gdy w zeszłym tygodniu poszła do poprawienia odrostów, monsieur Christophe, którego zadaniem jest farbować jej włosy, pozwolił sobie uraczyć ją opowieścią o tym, jak jego dziad umarł nie pozostawiając testamentu. Miał trzech synów, z których jeden, o czym najwyraźniej było jej przeznaczeniem się dowiedzieć, był ojcem monsieur Christopher. Spadkobiercy tak zażarcie walczyli o podział rodzinnego gospodarstwa, że posiadłość w końcu sprzedano na aukcji. Nadine nie mogła po prostu wstać i wyjść, by nie słyszeć tej wstrętnej historii, bo fryzjer akurat rozjaśniał jej włosy, nie odważyła się też dać mu do zrozumienia, że jest wściekła z powodu traktowania jej jak przymusowej słuchaczki. Kiedy człowiek odpowiedzialny za kolor włosów właśnie je farbuje, trzeba bardzo uważać, by go do siebie nie zrazić bez względu na to kim jest.

- Więc widzi pani, madame Dalmas, mój dziad nie miał racji spodziewając się, że jego synowie dojdą do porozumienia. Powinien sporządzić testament, ale ponieważ tego nie zrobił, rodzina na zawsze straciła posiadłość. Wielka szkoda, nie uważa pani? - Nadine musiała pochylić głowę, by pokazać, że słucha. Twarz miała doskonale spokojną i obojętną. Dlaczego musi wysłuchiwać tej historii rodzinnej? Co dało monsieur Christophe'owi prawo narzucania się jej z tą osobistą opowieścią? - Tak, madame, nawet zły testament jest lepszy od żadnego - powiedział nim przekazał ją do umycia włosów.

Cóż za zdumiewająca zuchwałość, żeby mówić do niej

pocieszającym tonem. Czy jest jej równy, żeby pozwalać sobie na taką zażyłość? Żeby oferować jej swoje zrozumienie, swoją przychylność? Na jakiej podstawie uważa, że ona może potrzebować pociechy, wierności? Jego bezczelność zaparła jej dech. Jednak jeśli wróci za tydzień, monsieur Christophe może mieć coś jeszcze do powiedzenia na ten nienawistny temat, którego najwyraźniej się uchwycił, żeby sprawić wrażenie, że jest jej równy.

Siedząc u Aleksandre'a na okrągłym, pasującym raczej do haremu, ogromnym meblu pokrytym skórą leoparda, na którym wszystkie klientki oprócz królowych musiały czekać na swoją kolej, Nadine rozmyślała, że tutaj, gdzie nie przychodziła nigdy przedtem, będzie traktowana w należyty jej sposób i że teraz, kiedy jest już bogata, nie będzie musiała dawać tak hojnych napiwków.

Był straszny tłok, nawet biorąc pod uwagę, że jest piątek. Jedną z zalet jej poprzedniego salonu było to, że każda klientka miała swoje dni: czwartki i soboty rano na czesanie. Nadine zapomniała, że wytresowanie personelu nowego salonu zajmie trochę czasu, ale postanowiła trzymać się Aleksandre'a aż ustali rytm swych wizyt zgodnie ze swoją wolą. Bogu dzięki nie musi się już martwić spóźnieniem do biura. To naprawdę zdumiewające, jak szybko Albin potrafił sobie znaleźć dziewczynę od Montesquiou na jej miejsce, mimo że to taka niewdzięczna praca. To głupiutkie stworzenie długo z nim nie wytrzyma. Początkowo skusi ją blichtr, ale potem odkryje, jaką kloaką jest Albin.

Nadine gestem ręki odmówiła lektury sterty czasopism, jaką zaproponowała jej młoda asystentka w fartuchu. Nie, nie chce ani „Matcha”, ani „Jours de France”, ani „Marie Claire”, ani „Elle”. Dziękuję,

ale nie.

W istocie już je widziała. Kupiła wczoraj w kiosku całą stertę kolorowych tygodników i zniosła je szybko do domu, żeby w spokoju przeczytać, bo wszystkie potraktowały cykl *Cavaillon* jako główną atrakcję. Jaki niezrozumiały napad szału sprawił, że stary namalował te potworne rzeczy z hebrajskimi literami, pytała samą siebie ze wstrętem i obrzydzeniem. Nie mogła wprost na nie patrzeć - same napisy wystarczały, żeby zamykała oczy. Jakże to charakterystyczne dla prasy, żeby zrobić wokół nich taki rozgłos, taką przesadną wrzawę, jakby Julien Mistral był nowym odkryciem, sensacją z dnia na dzień, rewelacją. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tej garstce płócien poświęcano tyle miejsca, okładki i drukowano ich całostronicowe zdjęcia. Ach, Bóg jeden wie, jej naprawdę nie podobają się te obrazy, mówiła sobie. Nie chciałaby ich dla siebie za żadne skarby świata. „Nieśmiertelne”, powiedział jeden krytyk. Inny - „Ostateczny dowód jego nieograniczonego geniuszu”. A trzeci oznajmił: „Spuścizna, dzięki której wzbogaciła się cała ludzkość”. Wszyscy są równie niedorzeczni, każdy szczeka jak pies ze sfory, tak jak zawsze usiłując nawzajem się przekrzyczeć, jak dziennikarze zajmujący się modą po udanym pokazie. Ich słowa mogły równie dobrze dotyczyć nowej mody, co farby na płótnie.

Jednak w ostatecznym rozrachunku wszystko to tylko podnosiło wartość jej własnych obrazów. Nadine pomyślała, że właściwie nie może się sprzeciwiać, jeśli chcą po raz drugi odkryć Mistrala. Naturalnie wszyscy rzucili się na cykl *Cavaillon*, skoro stary wyróżnił go w testamencie, i naturalnie wszyscy uparli się traktować Fauve, jakby była gwiazdą całego tego cyrku. Nie żałowała Fauve tej taniej chwilki w

światle reflektorów. Szybko przygaśnie.

Nadine tak pograżyła się w myślach, że z zaskoczeniem stwierdziła, iż fryzjer podaje jej lusterko, aby mogła obejrzeć jego dzieło. Starannie sprawdziła tył głowy. Widziała, że jest absolutnie do przyjęcia, ale nie może przecież mu pozwolić, żeby pomyślał, iż można ją łatwo zadowolić. - Może zbyt przylegają na bokach - powiedziała przeciągając ręką pod lśniąco włosami zawijającymi się pod podbródkiem.

Podczas gdy fryzjer wziął się do pracy, Nadine rozejrzała się wokół siebie. Wymieniając skinienia głowy i uśmiechy, Nadine zdała sobie sprawę, że musi tu być z tuzin jej znajomych. Nie miała pojęcia, że tyle ich przychodziło do Alexandre'a, że z tyłoma jego klientkami zwykła jadać kolacje i obiady. Jednak wszystkie ich fryzury zdaniem Nadine były przesadzone. Dlaczego księżna d'Ornano dodała do swych ślicznych czarnych włosów te fałszywe warkocze? A księżniczka Laure de Beauveau - Craon postanowiła z jakiegoś dziwnego powodu przypiąć do swego koka gałązki drobnych, fioletowych orchidei? Dziwne. Jeśli chodzi o baronową Guy, jej długie blond loki więziła jakby złocista siateczka. Madame Patino, księżniczka Alexander z Jugosławii, młoda baronowa Olimpia de Rothschild - wszystkie miały niezwykle ozdobne fryzury. Czy nie wiedzą, jakie są przeładowane, jak nieodpowiednie do normalnego życia? Jeśli styliści Alexandre'a robią coś takiego z kobietami, których gust jest zwykle dobry, to lepiej mieć się na baczności.

- Jeśli wolno mi coś zasugerować, madame - rzekł fryzjer - może moglibyśmy spróbować czegoś bardziej formalnego?

- Proszę niczego nie dotykać - warknęła Nadine. - Jest dobrze.

- Jak sobie pani życzy. Pomyślałem, że na dzisiejszy bal...

- Jestem w żałobie - powiedziała szybko Nadine.

- Wyrazy współczucia, madame. - Wyraźnie mu ulżyło, że nie wykazał się brakiem taktu.

- Nie mogłabym iść na bal.

- Oczywiście, że nie, madame. To przykre, prawda? - mruknął.

- Szczególnie, że to pierwszy bal, jaki wyprawia księżna Marie - Blanche w *château* po śmierci męża. Dlatego taki u nas tłok. Mówi się, że to będzie największy bal od tego, jaki ostatnio wyprawił baron de Rede.

- Tak, to był piękny wieczór - odparła mechanicznie Nadine. Księżna Marie - Blanche? A więc jej romans z Phillipem trwał nawet wtedy, gdy książę leżał na łożu śmierci, a także gdy umarł, i trwa nadal. Z jakiego innego powodu nie zaprosiłaby na swój bal tak bliskiej przyjaciółki jak Nadine? Jedynym możliwym wyjaśnieniem było, że w jakiś sposób Phillip ma być nieoficjalnym gospodarzem. Dziwne, że nie słyszała żadnych plotek o Marie - Blanche i Phillipie, bo Marie - Blanche rzeczywiście przewodziła paryskiemu towarzystwu. Kiedy kazała tańczyć, wszyscy tańczyli; kiedy kazała jechać dziewięćdziesiąt kilometrów na bal, wszyscy jechali dziewięćdziesiąt kilometrów i uważali się za szczęśliwców. Czego, na litość boską, mogła Marie - Blanche chcieć od Phillipa'a Dalmasa?

Patrząc na swe własne ostro zarysowane oczy w lustrze, zliczyła w duchu samotnych paryżan w średnim wieku, którzy byli czarujący, przystojni, dobrze ubrani i heteroseksualni, dobrze tańczyli, grali dobrze w karty i w polo, i których uwielbiały wszystkie gospodynie. Poza Phillipem wiedziała o trzech - nie, czterech, wliczając Omara Sharifa. A ile było bogatych kobiet - wiele z nich o wiele bogatszych od niej - samotnych i

rozpaczliwie potrzebujących męskiego towarzystwa, nie mówiąc już o kimś takim? Dziesiątki. Serce jej się skurczyło, wstrętny, niedobry pył wypełnił usta, a w żołądku zapłonął ból, w którego istnienie nigdy by nie uwierzyła, ból jak płonący szczur biegający na łapkach z rozpalonego ołowiu.

Nie, nie słyszała żadnych plotek o Phillipe i Marie - Blanche. Nie słyszała żadnych plotek, bo nie otrzymywała żadnych zaproszeń... żadnych zaproszeń, o których warto by mówić, oprócz kilku niewątpliwie trzeciorzędnych, których nawet nie raczyła odrzucić. Stojąc przed wyborem księżnej Marie - Blanche i Nadine Dalmas ludzie oczywiście wybiorą tę pierwszą. Sama by tak postąpiła. Bezsprzecznie.

* * *

Dając napiwek monsieur Christophe'owi, tak duży, że wyglądał na zdziwionego, Nadine myślała tylko o jednym. Przez przypadek włożyła dzisiaj czarny kostium. Odtąd musi chodzić tylko w czerni. Znajdzie w sąsiedztwie mały salon fryzjerski, gdzie nie będzie wpadać na przyjaciółki. Znajome. Nie ma przyjaciółek. Będzie chodzić w czerni z powodu ojca i zadecyduje, co robić z resztą życia, życia, w którym niewątpliwie często będzie opisywana jako była pracownica Jeana François Albina, była żona Phillipe'a Dalmasa, bo kimże jest Nadine Dalmas? Kogo to obchodzi?

Szła ulicą szukając taksówki, która zawiozłaby ją do domu. Minęła ją pusta taksówka, gdy stanęła jak sparaliżowana wpatrując się w nagłówek we „France Soir” wystawionym w kiosku. „*Fauve Lunel-Prendra-t-elle le nom de Mistral, son pere?*” Czy Fauve przyjmie nazwisko swojego ojca? Kogo obchodzi, co zrobi ten bękart bez gustu, ten intruz, ta przebiegła przybłęda? Dlaczego traktuje się ją, jakby była jedyną córką Mistrala?

Nadine chciała krzyknąć do każdego przechodnia: - Ja, ja jestem córką Mistrala!

* * *

Gdy Fauve postanowiła zostać parę tygodni w Prowansji, wzięła pokój w Le Prieure, a potem, gdy hotel skończył sezon w listopadzie, przeniosła się do hotelu Europa w Awinionie.

Pewnego ranka pod koniec listopada pojechała wynajętym peugeotem w kierunku Félice, chcąc przed końcem dnia podjąć decyzję co do La Tourello. Od czasu odkrycia cyklu *Cavaillon* dom był pełen ludzi. Musiała odgrywać gospodynię przed różnymi ludźmi - dziennikarzami, historykami sztuki i kustoszami muzeów. Teraz jednak już ustalono, co zrobić z cyklem. Wczoraj ostatnie płótno zostało ostrożnie zapakowane do skrzyni i załadowane na miękko wybitą ciężarówkę, która zabierze wszystkie obrazy do Amsterdamu, gdzie zaczną swą wolną podróż od kontynentu do kontynentu, od miasta do miasta, do każdego muzeum, które o nie poprosiło, niosąc swe świąteczne przesłanie braterstwa przez świat. Jeśli zatrzymałaby je w La Tourello, obejrzałoby je tylko stosunkowo niewielu ludzi. Kiedyś te transcendentalne płótna wrócą do niej, ale przez wiele lat cykl *Cavaillon* będzie należał do ludzkości.

Teraz, gdy pracownia opustoszała, a magazyn też wyczyszczono ze wszystkiego oprócz portretów rodzinnych, które Fauve chciała zatrzymać dla siebie, będzie mogła rozsądnie i spokojnie ocenić dom. Miała wrażenie, że poza przyszłością cyklu, żadna decyzja, jaką podjęła od wyjazdu z Nowego Jorku w październiku, nie była oparta na rozsądnym przemyśleniu. Musiała się śpieszyć, kierowały nią wydarzenia, a pod koniec każdego dnia była tak wyczerpana, że padała na łóżko myśląc tylko

o spotkaniach przewidzianych na następny dzień. Wynajęła młodą wdowę z Lacoste, Lucette Albion, żeby codziennie przychodziła sprzątać i przygotowywać poczęstunki i kawę dla wszystkich odwiedzających. Dzisiaj odjechali ostatni i La Tourelle będzie zupełnie puste, ponieważ jest niedziela i Lucette pojechała na ślub w Bonnieux, przy którym miało asystować jej dwoje małych dzieci.

Od kilku dni wiał mistral i Fauve ubrała się w ciepłą, kraciatą wełnianą kurtkę, zielone spodnie z lodenu i kremowy irlandzki sweter rybacki, ale tego ranka wiatr opuścił Luberon równie kapryśnie, jak się pojawił. Zbyt jasne niebo znów przybrało zwykły, miękki, błękitny kolor, a poskręcane w falbanki chmury przyozdabiały je gdzieśgdzie jak dekoracja ze wstążek. Jedyнным znakiem prawdziwej zimy była nagość pól. Chroniące je od wiatru graniczne szeregi cyprysów były zielone i czujne, a w gajach oliwkowych liście drzew były tak podobne do srebrzystego strumienia, że Fauve prawie spodziewała się zobaczyć pływające w nich ryby. Po drodze słyszała wśród wzgórz strzały - to gospodarze polowali na dzikie ptactwo. Dzwonił przenikliwy, pełen podniecenia śmiech dzieci bawiących się w niedzielne zabawy, zwolnionych od wiecznych prac domowych, a przed wejściem do niejednego *mas* stał stół z wyłożonymi na sprzedaż owocami. Fauve zatrzymała się przed jednym z nich i kupiła sobie na lunch gruszkę i jabłko.

Zaokrągląła się - no, może tylko troszeczkę, pomyślała mijając Les Baumettes. Każdy, kogo spotkała, był tak gościnnie, że bez względu na to, jak była zmęczona pod koniec dnia, często jadła kolację z Jeanem i Félice Perrinami albo z doktorem Lucienem Danielem i jego żoną Celinę, albo z

jakimiś innymi nowymi przyjaciółmi z Awinionu, Apt czy Bonnieux. W Félice często jadła z Pomme i Epinette, które mimo swej małżeńskiej godności były równie zgryźliwe i lekceważące jak zawsze. No i oczywiście widywała się z Adrienem i Beth Avigdorami.

Pomyślała, że Eric nie pojawiał się dość często, czując wbrew rozsądkowi, że powinien. Lecz budował dwa ważne domy po drugiej stronie gór Luberon, w Les Baux, a stamtąd do Awinionu droga była dziwnie długa i skomplikowana, ponieważ Autoroute zupełnie omijała Les Baux. Eric zaprojektował duże letnie domy dla pary szwedzkich przemysłowców i musiał większość robót nadzorować osobiście, ponieważ mistrzowie budownictwa z Prowansji nie stali się mniej nieobliczalni ze wzrostem popytu na ich usługi. Ta część Francji była rajem dla kamieniarzy i stolarzy. Mogli dowolnie wybierać sobie pracę. Eric chciał skończyć domy przed wiosną, nawet jeśli miałyby zostać w Les Baux i pilnować wznoszenia każdego centymetra.

Naturalnie był tak samo zajęty jak ona, tłumaczyła sobie Fauve. To nie celowo spotykali się tak rzadko. Nie, może nie celowo, ale czy nie mógłby wygospodarować trochę czasu dla niej? Czy nie mógłby, cholera, być trochę bardziej zainteresowany spotykaniem się z nią? Dziewięć miesięcy temu ten człowiek chciał, żeby rzuciła wszystko, z czego składał się jej świat, i poślubiła go. Teraz jego ojciec i matka, na litość boską, traktowali ją z większą czułością niż on. Do diabła z Ericem Avigdorem! Niech spędzi całe życie poganiając tragarzy cegieł, pomyślała z pogardą otwierając frontowe drzwi La Tourello kluczem wybranym z ciężkiego kółka, które stało się tak znajome i niezauważalne jak jej szminka.

Fauve obesza salon La Tourello sprawdzając, czy Lucette opróżniła

wszystkie popielniczki i zebrała wszystkie kieliszki po winie ze stołu, przy którym wczoraj z Adrienem Avigdorem, Jeanem Perrinem i różnymi panami z muzeum w Amsterdamie uczciła odjazd cyklu *Cavillon*. Salon wyglądał zbyt porządnie z wszystkimi poduszkami wstrząśniętymi i przetartymi stołami. Ponieważ nie mieszkała w tym domu, nie zawracała sobie głowy kupowaniem do niego kwiatów. Wyglądał jak biuro w niedzielę, jak miejsce, które nie miało być otwarte i zamieszkane, pomyślała i wycofała się do kuchni, gdzie w lodówce odkryła porządnie schowane resztki z wczorajszego uroczystego lunchu. Zimny kurczak, połowa pasztetu z wątróbki, sery, ostatnia butelka białego wina, prawie pełna.

Ustawiając jedzenie na stole w kuchni postanowiła od jutra zacząć poważną dietę. W ciągu tygodnia, zanim wróci do Nowego Jorku, powinna stracić te dwa i pół kilograma, które na pewno przytyła. Będzie w domu przed udekorowaniem sklepów przy Piątej Alei na Boże Narodzenie, przed wszystkimi przyjęciami, przed pierwszym dużym śniegiem. Nie, Fauve poprawiła się, dekoracje pojawiły się w sklepach jeszcze przed świętem dziękczynienia. Podczas ostatniej rozmowy Maggy powiedziała jej, że śnieg spadł przed tygodniem, więc teraz jest już pewnie przykryty brudem; czarne płatki spadają na biały śnieg z szarego nowojorskiego nieba. Taksówki zjeżdżają do garaży; na każdym rogu brejowate kałuże tak wielkie, że musiało się przez nie brodzić, by wepchnąć się do przegrzanego autobusu, jeśli nie przemknął obok przystanku; ciągłe wycie syren, jakby zawsze coś gdzieś się paliło - ale są też przyjęcia, może przyjęcie powitalne, doroczne przyjęcie gwiazdkowe w agencji, tańce w Doubles, w którym była członkiem, koncert Horowitza,

na który Melvin ma, jak napisał, bilety, Bobby Short w Cafe Carlyle i Barysznikow, i bagietki: gdzież by indziej jak nie w Nowym Jorku?

Fauve poszukała pomidorów, które wczoraj przyniosła Lucette. Świetnie, wystarczą na sałatkę z kurczaka. Albo może kiedy przyjdzie pora na lunch zje tylko pomidory i owoce. Nie byłoby dobrze, gdyby wróciła do agencji nawet o jedną uncję cięższa niż była gdy wyjeżdżała... modelki byłyby zachwycone, gdyby mogły na nią wskoczyć za brak dyscypliny, którą im zawsze głosiła. Było zupełnie w porządku, jeśli dziewczyny z personelu agencji były tak przyjemnie pulchne, jak im się podobało, ale Maggy i Fauve Lunel zawsze miały być szczupłe jak ich modelki.

Umysł Fauve oddał się marzeniom, w których były pomieszczone wszystkie wspaniałości Prowansji: *tapenade*, smakołyk z czarnych oliwek rozsmarowany na chlebie jak masło; gwiazdy wiszące tak nisko nad ziemią, że spacer po kolacji wydawał się lotem; kawiarnie w Félice, gdzie mogła siedzieć obserwując, jak pod oknami przechodzi cała wioska, codziennie poznając z imienia coraz więcej ludzi; kolor światła, kolor nieba, kolor kamieni - kolor światła, światło. Z westchnieniem zdmuchnęła sobie z oczu włosy i z rozmysłem zajęła się problemem La Tourello.

Mogła go wynająć, jak najpierw planowała, albo sprzedać. Jean Perrin zapewnił ją, że żadne z tych wyjść nie stwarzało najmniejszych kłopotów; na całym południu Francji był ogromny popyt na posiadłości i luksusowo wyposażony dom Juliena Mistrala zdobędzie bardzo wysoką cenę. Był równie słynny co unikalny ze wspaniale odrestaurowanymi budynkami, basenem, centralnym ogrzewaniem, wygodnymi łazienkami. Zdała sobie nagle sprawę, że wołałaby go od razu sprzedać. Drzewa morel

owe, winnice, pola szparagów, gaje oliwkowe - cała żyzna ziemia La Tourello była strasznie zaniedbana. Jak mogła zaufać dzierżawcy, że dopilnuje potrzebnych robót? Nikt, kto jedynie wynajmuje dom, nie zechciałby uczynić wysiłku koniecznego do przywrócenia posiadłości do jej poprzedniego stanu. Z drugiej strony, każdy, kto ją kupi, zrobiłby to ze świadomością, że będzie przynosić stały, znaczący dochód, jeśli będzie się uprawiało ziemię tak jak należy.

Tak, idealnym nabywcą byłby bogaty ojciec rodziny mieszkający gdzieś w pozbawionej słońca północnej Europie, ktoś, kto zawsze chciał posiadać liczne hektary w Prowansji - czyż nie marzyli o tym wszyscy? - kto wynająłby miejscowego gospodarza wraz z żoną, by zamieszkali tu na stałe, kto mógłby spędzać lato w Prowansji i przylatywać zimą po słońce z Monachium, Kopenhagi czy Brukseli, dwa tygodnie na Boże Narodzenie, tydzień na Wielkanoc; oczywiście z dziećmi, może prywatnym samolotem, który mógłby lądować na lotnisku pod Awinionem. Mogliby trzymać samochód na lotnisku i znaleźć się w La Tourello w pół godziny po wylądowaniu.

Fauve wzięła kupione przez siebie gruszkę i jabłko, i przeszła się po pokojach La Tourello, wyobrażając sobie, że jest żoną ewentualnego kupca. Zdecydowała, że zatrzymałaby kilka lśniących antycznych drewnianych skrzyń i stolików, ale zmieniłaby dywany i draperie i pozbyłaby się wszystkich wyściełanych mebli - w domu jest za mało mebli. Wołał o większe kanapy, głębsze fotele, mniej wyraźne proste tkaniny - brakowało mu koloru, ciepła, a przede wszystkim przedmiotów. To dziwne, nigdy przedtem nie przeszkadzała jej celowa surowość wystroju, ale zawsze myślała o tym domu jako o domu Kate, a jej taki

właśnie odpowiadał. Nie odpowiadał jednak Fauve - ale, kto wie - może będzie doskonały taki jaki jest, dla żony tego bogatego Belga? Była prawie pewna, że to będzie Belg. Mieli jedne z najgorszych zim w Europie.

A jej własna sypialnia na wieży? Prawdopodobnie stanie się pokojem gościnnym, chyba że mają nastoletnią córkę, która zechce go dla siebie. Fauve miała nadzieję, że będą mieli córkę, kogoś, kto położy się na łóżku i będzie śnił z otwartymi oczami.

* * *

A co się stanie z pracownią? spytała Fauve znalazłszy się przed jej drzwiami. Wczoraj była zbyt zajęta ostatnimi uzgodnieniami z ludźmi z Amsterdamu, aby samej zamknąć pracownię, gdy wyniesiono cykl *Cavaillon*, więc zrobił to Jean Perrin i przed wyjściem oddał jej klucz. Wahając się przed drzwiami, zdała sobie sprawę, że nigdy nie widziała pracowni bez obrazów. Czy chce tam wejść? Czy musi? Czy się odważy?

Powiedziała sobie, żeby nie była śmieszna i otworzyła drzwi. Pokój, o którym zawsze myślała jako o dużym, wielkim, ogromnym - był po prostu normalnych wymiarów. Owszem, duża pracownia, ale bez obrazów Mistrała już nie tak olśniewająca. Ludzkich rozmiarów. Fauve zrozumiała, że tak jest z powodu nagich ścian. Dzieła jej ojca zawsze otwierały się na inny wymiar; bez względu na temat obrazu oko zawsze wędrowało poza granice płótna. Teraz są tam tylko ściany, wysoki sufit, świetlik i belkowanie. Jedynym znakiem, że pracował tu Mistral, był stół, drabina i sztalugi z pustym płótnem.

Położyła jabłko i gruszkę, ciągle nietknięte, na najmniej poplamionym farbą rogu stołu i automatycznie, bezmyślnie zajęła się zbieraniem porozrzucanych wszędzie pędzli. Po całym dniu pracy zawsze

jej specjalnym zadaniem było pozbierać pędzle i umyć je w zlewie w pokoiku przylegającym do pracowni, gdzie Mistral trzymał materiały malarskie. Jej ojciec zawsze dbał o pędzle tak skrupulatnie jak każdy dobry rzemieślnik o swoje narzędzia pracy. Mimo bałaganu panującego w jego pracowni codziennie zaczynał pracę czystymi pędzlami, a kiedy uczył Fauve malowania, nauczył ją także sprzątania po sobie.

Zauważyła, że nie będzie to ani łatwe, ani szybkie zadanie. Obie ręce miała pełne pędzli odłożonych ostatniego wieczora, gdy malował, a właściwie, jak stwierdziła patrząc na nie z niesmakiem, pośpiesznie odrzuconych. Były pozlepiane i sztywne od wyschniętej farby. Prawdopodobnie po prostu powinno się je wyrzucić. Powtórne ożywienie tych źle potraktowanych narzędzi będzie ją kosztowało więcej pracy, niż myślała. A jednak Fauve podeszła do zlewu, gdzie stały zakręcone słoiki z terpentyną i rozcieńczalnikiem.

Powoli, z miłością, zaczęła pracowicie czyścić pędzle Julienu Mistrala. W końcu zostawiła wszystkie, oprócz jednego, nie używanego, aby namokły przez noc. Podeszła do stołu z czystym pędzlem w ręce i stanęła niezdecydowanie przed pustym płótnem ze spokojnym umysłem i nieruchomymi rękoma. Stała tak nie musząc już podejmować żadnej decyzji, bez żadnej myśli o tym, co za chwilę zrobi, aż zdała sobie sprawę, że cofa się w czasie i powoli przemierzając wspomnienia czuje na swej ręce dużą dłoń Julienu Mistrala, jej nacisk, przekazujący jej swą moc. Poczuła, jak ręka malarza prowadzi jej palce tak, jak to czyniła tyle razy po tym pierwszym dniu, tym dniu, w którym miała osiem lat. Usłyszała, jak wydaje znane polecenia: „Patrz”, usłyszała jego głos. „Widzisz, Fauve? Patrz, zawsze patrz. Musisz nauczyć się widzieć”.

I rzeczywiście ujrzała, w chwili absolutnego olśnienia, co będzie robiła. To coś więcej niż wiedza, to było nagłe uznanie od dawna skrywanej, lecz całkowitej potrzeby, czyste i nie znoszące sprzeciwu, bez żadnych komplikacji, ostateczny rozkaz.

Spróbuj. Jest malarką. Zawsze była malarką. Odrzuciła w sobie malarkę odrzucając ojca, ale teraz... teraz była pewna tylko jednego, tego, że musi spróbować. Ściany zostały obalone, drzwi otwarte na oścież, leżała przed nią wielka otwarta łąka, łąka, której nie mogła przejść bez ryzyka, ale gdy ją już przetnie, otworzą się przed nią nieodgadnione zmiany, zadania i próby, jakie można sobie tylko wyobrazić. Musi jednak spróbować.

Fauve wiedziała, że znajduje się na progu wielkiej podróży odkrywczej, nieodparcie wzywającej ją przygody. Po drugiej stronie łąki leży tajemnica, nieznaną świat, który trzeba zbadać. Poczowała się pełna cudownie nieroztropnych impulsów i niecierpliwości, by spotkać tę tajemnicę, gotowa do podjęcia wyzwania, do próby, do zmiany.

Puls, który nigdy nie przestał bić, przyśpieszył rytm w przegubach i palcach Fauve. Siły i umiejętności, które stłumiła i od których się odwróciła, zaczęły wyłaniać się z mocą pąków otwierających się w wiosennym słońcu.

Będzie musiała znów zacząć. Nie od początku, ale jednak zacząć. Na pewno straciła technikę, giętkość, łatwość - całą malarską maszyną prawdopodobnie zardzewiała jak Blaszyński Drwal z Oz pozostawiony na deszczu. Będzie musiała jeszcze raz zaznajomić się z farbą. Ale zna już język... nie tak łatwo było go zapomnieć, szczególnie że nigdy nie straciła nerwowego nawyku, który nakazywał jej ręce brać ołówki i rysować linie

na papierze.

Fauve siedziała na stole patrząc na płótno z pędzlem w jednej ręce i jabłkiem w drugiej. Ma zjeść czy namalować? Roześmiała się głośno i ugryzła jabłko. Namaluje gruszkę.

Biorąc pod uwagę pięciogodzinną różnicę w czasie, Fauve obliczyła, że jeśli zadzwoni od razu, złapie Maggy i Darcy'ego przy czytaniu niedzielnych gazet po śniadaniu na wsi. Zeskoczyła ze stołu, chwyciła gruszkę i popędziła z pracowni do telefonu w bibliotece La Tourello.

Nakręciła numer centrali międzynarodowej i zanim uzyskała połączenie, pośpiesznie odłożyła słuchawkę, ogarnięta spóźnionymi refleksjami. Ta nagła decyzja, ta zmiana kierunku - jak to wpłynie na Maggy i życie, które sobie tak starannie zbudowała z Darcym, życie tak dobrze zorganizowane, wygodne i szczęśliwe?

Czy nie jest to dokładnie ten sam rodzaj postępowania, jaki cechował jej ojca, zapytała Fauve samą siebie. Podejmował każde działanie najlepsze dla niego bez względu na konsekwencje. Czy przedłoży swą pracę nad wszystkie inne zobowiązania w życiu? Czy jej poczucie celu, jej fizyczna i duchowa potrzeba malowania były tym samym uczuciem, jakiego on doznał? Czy to nie ta sama potrzeba, która popychała Mistrala? I zaślepiła go?

Fauve usiadła bardzo spokojnie i spróbowała wyobrazić sobie rezygnację z tego poranka i powrót do Lunel Agency. Przecież może na malowanie poświęcić weekendy. Będzie spędzać dni kierując losami dwustu najlepszych modelek na świecie, usiłując przejmować się jak przedtem wszystkim, co działo się w pełnej konkurencji cieplarni mody. Przecież została do tego wychowana, prawda?

Niezupełnie. Wcale nie, kiedy się poważnie nad tym zastanowić. Gdy skończyła szkołę średnią, Magali nigdy nie dała jej do zrozumienia, że żywi ukrytą nadzieję na przemianowanie agencji na Lunel i Wnuczka. Z

własnej woli chciała nauczyć się tego zawodu, jakby to była odpowiedź na wszystkie jej problemy. Jeśli Fauve wiedziała cokolwiek o sprawach pracy z modelkami, to to, że nie powinno się tego robić, jeśli nie ma się do tego serca. Gdy widok dziewczyny od Wilhelminy zamiast dziewczyny od Lunel na okładce „Vogue'a” przestał być źródłem ściskającego serca zawodu, to nadszedł czas, by zmienić pracę.

Podnosząc znów słuchawkę Fauve powiedziała sobie, że jedno wie na pewno: Maggy będzie chciała, żeby była szczerą, nawet jeśli prawda jej się nie spodoba. Każdy malarz musiał przedłożyć malowanie nad wiele innych rzeczy. Musi pamiętać, by nie przedłożyć go nad wszystko. Przynajmniej nie przez cały czas.

* * *

Fauve poprosiła Darcy'ego, by przeszedł do innego aparatu i powiedziała obojgu, co jej się przytrafiło tego poranka. Mówiła tak bezpośrednio i jasno, jak tylko potrafiła. Nie było sensu obchodzić faktów albo udawać, że jeszcze się nie zdecydowała.

- No - powiedziała Maggy po chwili przerwy głosem albo dalekim, albo przytłumionym, Fauve nie była pewna. - No, muszę powiedzieć, Fauve, że nie wiem dokładnie, jak bardzo jestem zaskoczona.

- Magali, to nie tak, że nie myślałam, co to będzie dla ciebie oznaczać - powiedziała Fauve żarliwie. - Wiem, ile dla ciebie znaczy, żeby jedna z nas była codziennie w agencji i zdaję sobie sprawę, że teraz będziesz albo musiała pracować na cały etat, albo jakoś pójść na kompromis i bardziej polegać na Casey i Loulou.

- Zaczynałam się zastanawiać, dlaczego to trwa tak długo, przecież nie musiałas absolutnie koniecznie zostać w Félice całą zimę... mogłaś

znaleźć ludzi, którzy zajęliby się tam twoimi sprawami. Darcy, ile razy mówiłam ci, że z Fauve dzieje się coś dziwnego? - spytała Maggy jak ktoś, kto wygrał zakład.

- Magali! Czy nie zdajesz sobie sprawy, o czym mówię? Na litość boską, nie chcę prowadzić agencji modelek!

- No cóż, to można zrozumieć. Nie wszyscy mają takie powołanie - rzekła Magali z nutką zadowolenia z siebie w głosie.

- Nie przejmujesz się tym? - spytała z niedowierzaniem Fauve.

- Nie chciałbym przerywać tej rozmowy na temat przyszłości Fauve - przerwał Darcy - ale właśnie sobie pomyślałem, Maggy, że absolutnie nie zgadzam się, abyś zbudowała tę cieplarnię na dachu jadalni.

- Cholera, Darcy, przecież doskonale wiesz, że planowałam po powrocie Fauve hodować przez całą zimę orchidee - powiedziała z irytacją Maggy. - Nie da się tego zrobić bez cieplarni.

- Ale ona nie wróci, a brud nie schodzi ci spod paznokci od wiosny do jesieni... Nie ożeniłem się z żeńskim wariantem Nerona Wolfe'a... ożeniłem się z Maggy Lunel. Wiem, że jesteś śmiertelnie znudzona swoimi czterodniowymi weekendami. Od wyjazdu Fauve do Francji życie z tobą jest dziesięć razy zabawniejsze. Żadnej cieplarni.

- Darcy! Od jak dawna wiesz... o tych weekendach?

- Powiedzmy, że wolę pozostać nieprzenikniony.

- Czy wy rozmawiacie ze sobą, czy ze mną? - spytała Fauve. - Czy to rozmowa osobista? Ostatecznie to ja płacę za telefon. - Jean Perrin powiedział jej, że w końcu odziedziczy przynajmniej dwadzieścia pięć milionów dolarów, ale nie brzmiało to dla Fauve realnie. A rozmowa międzynarodowa to rozmowa międzynarodowa.

- Powinnaś zadzwonić na mój koszt - powiedziała Maggy. - Przyjęlibyśmy to. Posłuchaj, Darcy, czy to znaczy, że nie pozwalasz mi wybudować cieplarni?

- Myślałem, że wyraziłem się jasno.

- W takim razie rzekła Maggy - nie zamierzam oddać swoich piątek w agencji.

- A co z poniedziałkami? - odparował szybko Darcy.

- Pod jednym warunkiem. Będę spędzała poniedziałki z tobą na wsi, jeśli będę mogła kupić ten kawałek bagna tuż na granicy naszej posiadłości.

- „Kawałek bagna”? To około siedmiu akrów! Po co ci to?

- Na ogród lilii wodnych, jak u Moneta w Giverny - odparła Maggy wizjonerskim tonem.

- To będzie oznaczało buldożery - jęknął Darcy.

- Ale tylko przez kilka tygodni. A tylko pomyśl, kochanie, moglibyśmy mieć łódkę wiosłową i mały domek letni i w lecie woziłbyś mnie tam przed obiadem na martini.

- Zgadzą się na trzy dni, tak? - targował się. - Od piątku wieczorem do poniedziałku?

- Umowa stoi. W poniedziałki będę oddawała sprawy w ręce Casey, Loulou i Ivy - to zwykle dzień, który i tak powoli się zaczyna.

- Ivy? - spytała Fauve ze zdumieniem.

- Ivy Columbo. Czy jest kilka Ivych? Doszła do wniosku, że kariera modelki trwa zbyt krótko, więc zaczyna pracę sekretarki. Na razie jako pomocnica, ale ta dziewczyna jest tak władcza, że to słowo nie ma w jej przypadku zastosowania. Przypomina mi mnie samą. Szkoda, że odchodzą

z wybiegu najlepsze kolana w interesie, ale z drugiej strony zaręczyła się z jakimś wspaniałym Włochem, którego spotkała w Kaplicy Sykstyńskiej podczas pobytu w Rzymie z tobą w marcu. Lubię ją, poradzi sobie - powiedziała z zadowoleniem Maggy. - Ale, Fauve, naturalnie, jeśli wrócisz, jeśli zmienisz zdanie, twoje stanowisko zawsze będzie dla ciebie otwarte. Wiesz o tym.

- Dzięki - powiedziała Fauve z roztargnieniem. - W Kaplicy Sykstyńskiej? - wyobrażając sobie przepychanki, które będą się rozgrywały w poniedziałki. Loulou była bardziej doświadczona, Casey mądrzejsza, ale Ivy... była najlepsza.

- Dobrze, a gdzie będziesz mieszkać? - powiedziała Maggy praktycznym tonem.

- Myślałam, że zrozumiałaś. Oczywiście tutaj, w La Tourello.

- Sama! - Maggy zrobiła się nagle w każdym calu babcią.

- Wcale nie sędzę, że to dobry pomysł.

- I ty to mówisz! - Fauve aż zatchnęło. - Ty, która tańczyłaś co noc do świtu i byłaś obnoszona nago na talerzu i mieszkałaś w jakiejś spelunie na Montparnasse z Bóg wie kim - pewnie paliłaś opium... akurat ty mi to mówisz!

- Widzę, że Adrienowi Avigdorowi zebrało się na wspomnienia. Pewnie się starzeje... Nigdy w życiu nie paliłam opium. Nie, żeby mi tego nie proponowano. W każdym razie wszystko to zdarzyło się, kiedy byłam młoda i głupia. Zanim miałam tyle lat, co ty, doskonale zarabiałam na życie, i to w bardzo szacowny sposób.

- Z nieprawym dzieckiem i pewnie jak szalona zadając się z Darcym - podsunęła cicho.

- Chyba jeszcze wtedy nie znałam Darcy'ego, prawda, kochanie?
Kiedy dokładnie odbyło się poszukiwanie skarbów Lally... czy... ?

- Magali, dokładna data nie jest ważna - przerwała Fauve.

- W każdym razie nie będę tu zupełnie sama. Zapytam Lucette, czy nie zechce zamieszkać tu z dziećmi. Mieszka w jednym domu z teściami, których nie znosi, więc jestem pewna, że chętnie skorzysta z okazji. A posiadłość będzie pełna ludzi pracujących na roli. La Tourello nigdy już nie będzie puste - powiedziała radośnie Fauve.

- A tak przy okazji, Fauve, pomyślałam sobie, że powinnaś się dowiedzieć, że w zeszły czwartek widziałam w „21” Bena Litchfielda - powiedział Darcy z miną kogoś, kto czuje się w obowiązku dorzucić na wagę ostatni odważnik. - Na Boga, Pete Kriendler dał mu stół 9, a ma dopiero trzydziestkę. W każdym razie wychodząc zapytał, kiedy wracasz.

- Z kim był? - spytała Fauve automatycznie.

- Z wyjątkowo ładną dziewczyną. Pewnie jest modelką.

- U kogo? - zapytała Fauve z prawdziwym zainteresowaniem.

- U nas - odparła sucho Maggy. - To Arkansas.

- Arkansas! Dlaczego o tym nie pomyślałam? Ależ to wspaniale! Uczy się szybko i zatrzyma Bena w rodzinie. Tylko pamiętaj powiedzieć Arkansas, że co niedzielę rano robi tę naprawdę dziwną rzecz, ale niech nie zwraca na to uwagi, to nie trwa długo.

- Nie powiem jej nic podobnego - powiedziała Maggy z oburzeniem.

- No to będzie musiała się dowiedzieć praktycznie. Pewnie już przez to przeszła. Uściskaj ją ode mnie. Och, Magali, posłałam ci ten obraz, który ojciec ci podarował, ten, z którego wyślizgała cię Kate... wiesz, ten z zielonymi poduszkami, pamiętasz?

- Trudno zapomnieć o takim obrazie - rzekł Darcy. - A jak myślisz, gdzie go powiesimy?

- Znajdziecie jakieś miejsce - powiedziała wesoło Fauve. - Pozostałe sześć zachowałam dla moich prawnuków.

- Prawnuków? Fauve... chyba... chyba nie... - jękała się Maggy.

- Doprawdy, Magali, jak mogłabyś? Przecież nie jestem zameżna - zganiała ją Fauve. - Ale gdybym była w ciąży, byłby to czysty przypadek predyspozycji genetycznej. Darcy, pamiętasz tę pandę, którą mi kiedyś podarowałaś?

- Doskonale.

- Czy pomyślałabyś, że jestem głupia i dziecinna, gdybym cię poprosiła o przysłanie jej? Siedzi na fotelu bujanym w salonie mojego mieszkania.

- Oczywiście, że nie. Każdy potrzebuje pandy. Czy chcesz coś jeszcze ze swojego mieszkania?

- Właściwie... ten dom jest goły jak diabli. Może mógłbyś po prostu kazać jakiejś firmie przeprowadzkowej spakować je i przysłać tutaj?

- Co spakować?

- Wszystko w całym mieszkaniu. Och, wiem, że to będzie kropla w morzu potrzeb, ale pozwoli mi zacząć czymś wypełniać te pokoje.

- Czemu nie?

- Och, Darcy, ty tak wszystko rozumiesz. Tak się cieszę, że zmusiłeś Magali do poślubienia cię.

- Właściwie to ona zmusiła mnie do poślubienia jej.

- Nie wiedziałam - rzekła Fauve zafascynowana. - Jak to się stało? Opowiesz mi?

- Sądzę, że ta rozmowa trwa już dostatecznie długo - wtrąciła się Maggy. - Fauve, kochanie, robisz jedyną rzecz, jaką powinnaś zrobić - jestem głęboko szczęśliwa z twojego powodu, jestem szczęśliwa z mojego powodu, i jestem szczęśliwa z powodu Darcy'ego, chociaż nie wiem, czy na to zasługuje. Człowiek, który łamie obietnice zbudowania cieplarni...

- Ktoś przyszedł. Słyszę dzwonek w kuchni - powiedziała Fauve. - Muszę kończyć. Zadzwoń za kilka dni. Kocham was oboje.

Z lekkim sercem i wesoła, pobiegła do drzwi frontowych i stwierdziła, że stoi za nimi Eric Avigdor, oparty o framugę, z marynarką przewieszoną przez ramię.

- A - ha. Mistrz murarski. Wejdz.

- Wróciłem z Les Baux do domu późno w nocy i rano poszedłem cię szukać. Gdy nie zastałem cię w hotelu, pomyślałem, że możesz być tutaj, więc po prostu przyjechałem i wpadłem... dobrze?

- Jasne, z przyjemnością goszczę syna moich drogich przyjaciół, Avigdorów.

- Mówisz, jakbyś strasznie...

- Jak mówię? - spytała obracając się na pięcie z rozfalowanym zaczepnie płaszczem płonących włosów, oszałamiająco piękna, o czym doskonale wiedziała.

- Nie zupełnie mogę zrozumieć twój ton - odparł ostrożnie.

- Uznam to za komplement. Jak tam twoje domy?

- Ślicznie się budują. Najważniejszy etap jest już skończony, będą gotowe na czas. Wkrótce wrócę do normalnych zajęć. Posłuchaj, Fauve, tak naprawdę przyjechałem po to, żeby przeprosić, że nie spędzam z tobą czasu, ale byłaś taka zajęta, że chyba i tak nie miałaś wolnej chwili - a

teraz tata mówi, że w przyszłym tygodniu wracasz do Nowego Jorku.

- Zew obowiązku - powiedziała obdarzając go figlarnym zerknięciem spod oka. Oczy zaś miała wielkie, mglistoszare. W taki sposób, pomyślała, jej matka musiała traktować mężczyzn, którzy się w niej zakochiwali. Czowała się jak prawdziwa Lunel, za co nie można było jej winić, prawda?

- Rozumiem - powiedział obojętnie.

- Chcesz coś zjeść? - spytała gościnnie Fauve.

- Nie chcę ci sprawiać kłopotu - słuchaj, zapraszam cię do tego hoteliku, Hostellerie w Bonnieux, gdzie tak dobrze dają jeść.

- Jestem zbyt głodna, żeby czekać, a mam kuchnię pełną resztek, które moglibyśmy skończyć. Od śniadania zjadłam tylko jabłko, a to było całe wieki temu.

Poprowadziła go do kuchni, gdzie stół był już zastawiony jedzeniem, które wcześniej wyjęła z lodówki. Sery już zmiękły, pasztet i kurczak straciły lodówkowy chłód i gdy Eric siedział popijając białe wino, Fauve nakryła stół i pokroiła pomidory na sałatkę.

- Nigdy nie widziałem cię w tak zacisznym, domowym otoczeniu - rzekł z zastanowieniem.

- To jeszcze nic. Jestem wspaniałą kucharką. Moja specjalność to paprykarz z kurczaka z dużą ilością kwaśnej śmietany.

- Kwaśna śmietana? Co to takiego?

- *Crème fraîche*, tylko lepsza - odparła Fauve, która od dawna zastanawiała się nad tym nierozwiązywalnym gastronomicznym problemem i nie uważała, że popełnia świętokradztwo.

- Jakoś nigdy nie pomyślałam o tobie jako o kucharce.

- Jeśli w ogóle o mnie myślałeś - mruknęła odmierzając oliwę.

- To nieprawda! - prawie krzyknął, odstawiając wino.

- No dobrze. Przepraszam. Tani chwyt. Chodź, lunch gotowy.

* * *

Oboje jedli łąpczywie, prawie w milczeniu. Fauve pochyliła głowę i ściągnęła brwi w prostą, pomarańczową linię, bardzo się starając, by nie patrzeć na rękę Erica, na jego wyłaniające się z rękawów swetra przeguby, na jego szyję i na jego twarz, szczególnie na jego twarz.

- Wiesz co - powiedziała w końcu zamyślonym, lecz obojętnym tonem - nigdy bym nie pomyślała, że jesteś człowiekiem, który by zapomniał o świętej obietnicy. Darcy obiecał Magali cieplarnię i cofnął słowo, ale to co innego, rozumiem to. To była kwestia równowagi. Ale z drugiej strony ty przynajmniej wydawałeś mi się bardzo szczerzy.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Obiecałeś zawieźć mnie do Lunel, pamiętasz? Zawsze miałam nadzieję, że coś tam znajdę, doznam olśnienia, które mi coś powie o mojej tożsamości. Ile lat temu obiecałeś mi to? Obietnicy nadal nie spełniłeś, a nie widzę, żebyś miał jakikolwiek zamiar zabrania mnie tam - powiedziała spokojnie uważając, by w jej głosie nie pojawił się cień wyrzutu.

- Cholera, Fauve, tego już za wiele! Odjeżdżasz bez słowa, znikasz na całe lata, pojawiaasz się w Rzymie tylko na dwa dni, znów znikasz, pojawiaasz się znikąd w sześć miesięcy później z jakiegoś powodu, który nie ma ze mną nic wspólnego, spędzasz cały czas otoczona prawnikami, pośrednikami, nowymi przyjaciółmi, dziennikarzami i fotografami, teraz znowu chcesz zniknąć i masz niewiarygodny, zapierający dech w piersiach tupet oskarżać mnie o złamanie obietnicy!

- Nie zaprzeczasz, że obiecałeś? - powtórzyła ze spokojem i słodko

niewinnym uśmiechem lekceważącym jego wybuch, jakby go w ogóle nie słyszała.

- Oczywiście, że obiecałem. Mam w samochodzie mapy, żeby ci to udowodnić. Boże, ale ty jesteś podła! Lunel leży na południe od Nimes i na północ od Montpellier - trochę z boku trasy A9. Gdybyśmy teraz wsiedli do samochodu, zajechalibyśmy tam w trochę więcej niż w godzinę - możemy pojechać skrótem przez St. Remy i Tarascon... to niedaleko morza, na granicy Camargue, właściwie to tylko kilkanaście kilometrów za mapą Prowansji, ściśle mówiąc, w Langwedocji.

- Byłeś tam beze mnie! - zawołała oskarżycielsko.

- Oczywiście, że nie. Nigdy bym tego nie zrobił.

- No to skąd tak dobrze wiesz, gdzie to jest? Eric, gdzie moja gruszka?

- Gruszka? Właśnie ją zjadłem... Przepraszam, powinienem zapytać, czy nie chcesz połowy. Co się stało?

- Zjadłeś... zjadłeś... - Fauve zapiszczała, z trudem wymawiając słowa - mój pierwszy... temat!

- Temat? To była tylko gruszka... Przysięgam, Fauve, nigdy nie zbliżyłem się nawet do Lunel, ale chciałem dokładnie wiedzieć, gdzie się znajduje...

- Dlaczego? - spytała z trudem uspokajając się po ataku śmiechu.

- Tak na wszelki wypadek - odparł - gdybyś kiedyś wróciła i przypomniała sobie, że chciałaś tam pojechać.

- Od jak dawna masz te mapy w samochodzie?

- Od czasu twego wyjazdu... gdy miałaś szesnaście lat. Kiedy zmieniałem samochód, po prostu przekładałem je ze schowka do schowka.

- No to chyba zdecyduję się ci przebaczyć. Przynajmniej miałeś dobre intencje, chociaż wykazujesz żalosny brak inicjatywy. Dobre intencje chyba jednak trochę się liczą...

- Nazwałbym to czymś o wiele więcej niż dobrymi intencjami.

- A czym byś to nazwał? - Fauve oparła się na rękach i popatrzyła ponad stołem wprost na niego. - Sentymentalizmem? Nostalgia? Romantycznym gestem w stronę swych uczuć?

- Ty mała suko!

- Słucham? - udało jej się unieść brwi w grzecznym zapytaniu, podczas gdy jej serce fikało koziołki z radości.

- Nie próbuj ze mną więcej tej zabawy! Już raz się ubawiłaś w Rzymie, pamiętasz? Pozwalając mi myśleć, że nadal mnie kochasz, pozwalając mi być w tobie beznadziejnie zakochanym, wymykając się w ostatniej chwili, drocząc się sadystycznie i bez serca - tak jak robisz to teraz... nie ma słów, by wyrazić, co o tobie myślę. - Wstał.

Fauve też wstała i szybko obeszła stół, przemieniona, pewna, tak pewna, jak w pustej pracowni, witająca życie.

Eric spojrzał na nią i jego świat się odmienił. Jedyna miłość jego życia z twarzą zarumienioną i pełną miłości dorównującą jego uczuciu, wyciągała do niego ręce gestem ogarniającym całą ich błyszczącą, wyraźną przyszłość.

- Czy na swój oryginalny sposób próbujesz mi powiedzieć, że nadal mnie kochasz? - spytała Fauve zakładając mu ręce na szyję.

- Czy próbujesz poprosić, żebym za ciebie wyszła? Bo ostrzegam, jestem dzisiaj w nastroju do podjęcia każdego ryzyka, jeśli mnie chcesz, to teraz masz okazję mnie przygwoździć, czuję się zdumiewająco

lekkomyślnie, jakby mnie kto na sto koni wsadził.

- Nie było nawet sekundy, w której bym cię nie chciał - myślałem, że to ty mnie nie chcesz - mruknął zajrzawszy w tajemnicę jej oczu i przeniknąwszy ją do głębi. - Ale dodawał cofając się, nagle zaniepokojony - nie chcę wykorzystywać twojego nastroju... zwodziłaś mnie dość długo... a co, jeśli jutro zmienisz zdanie?

- Eric, to nie nastrój. Nigdy nie czułam się pewniej. Droczyłam się tylko, nie mogłam się powstrzymać, musiałam cię rozzłościć, żeby się do ciebie przebić. Chciałam za ciebie wyjść przez te wszystkie lata - pamiętasz swój sen o wspólnej ucieczce, kiedy miałam szesnaście lat? Mnie się też to ciągle śniło, ale bałam się do tego przyznać, bo wiedziałam, co to musi znaczyć, dokąd to nas doprowadzi. Nie miałam niestałego serca, lecz brakło mi wiary - och, nie w ciebie, ale w możliwość całkowitego zaufania - teraz już z tym koniec. Mam nadzieję na dwie rzeczy w życiu i żadna z nich nie będzie kompletna bez drugiej. Chcę być twoją żoną i chcę spróbować malować...

- Malować? Jak to się stało? Kiedy - och, nieważne - powiesz mi później - wspaniale - zawsze wiedziałem, że musisz do tego wrócić.

- Chciałbyś mieszkać tutaj, w La Tourello?

- Ten dom czekał na nas, nie wiesz?

- Uczę się powoli... ale tak, teraz wiem.

Powiódł palcem po jej wargach czując, jak serce wali mu w piersi.

- Czy nadal chcesz pojechać do Lunel? Nie chcę stale łamać tej obietnicy - rzekł poważnie.

- Nie teraz, nie dzisiaj - odparła.

- Nie chcesz sama zobaczyć?

- Nie śpieszmy się - powiedziała Fauve w zadumie. - Chyba już nie muszę nigdzie się śpieszyć. Ale chciałabym się przejechać - niedaleko - tylko kawałek drogi - muszę kupić jeszcze jedną gruszkę.